

# Peter Robinson



## PODPALACZ



Trzeba rozwiązać zagadkę, zanim płomień  
strawią resztki dowodów...

Peter  
Robinson  
PODPALACZ

Z języka angielskiego przełożył  
Paweł Cichawa



Tytuł oryginału:  
PLAYING WITH FIRE

Copyright © 2004 by Peter Robinson  
Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2013 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Tłumacz dziękuje st. bryg. Pawłowi Frątczakowi z Komendy Głównej PSP  
za konsultację pożarniczą.

Redakcja: Mariusz Kulan Korekta: Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7508-730-7

Sprzedaż wysyłkowa:

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z o, o.

Pl. Grunwaldzki 8-10,40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](http://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

Skład i łamanie: Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2013. Wydanie I

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne S.A.

Dla Sheili

## 19 lipca

Właśnie połknąłem trzecią pigułkę nasenną, popijając drugą szklaneeczką whisky, kiedy zapukał do moich drzwi. Nie mam pojęcia, dlaczego mu otworzyłem. Pogodziłem się już przecież ze swoim losem, zaplanowałem wszystko tak, żeby odejść z tego świata możliwie spokojnie i łatwo. Nikt by po mnie nie płakał.

Z głośników sęczyły się dźwięki *Pastoralnej* Beethovena, głównie dlatego, że kiedyś widziałem futurystyczny film. Jeden z bohaterów idzie do szpitala, gdzie przed jego eutanazją puszcza ją mu na ścianach slajdy ze strumieniami, wodospadami i lasem, przy akompaniamencie właśnie symfonii *Pastoralnej*. Nie mogę powiedzieć, żeby ta muzyka działała na mnie w jakiś szczególny sposób, ale miło słyszeć coś oprócz nieprzerwanego dudnienia kropel deszczu o mój lichey dach.

Decyzja, żeby otworzyć drzwi, była chyba odruchową reakcją, jak tik nerwowy. Gdy zadzwoni telefon, to się odbiera. Gdy ktoś puka do drzwi - idzie się sprawdzić, kto to, zwłaszcza że do mojego samotnego świata nieczęsto zachodzili goście. Tak czy owak otworzyłem.

W progu stał on: pod czarnym parasolem, jak zawsze elegancki, w garniturze od Hugo Bossa, z butelką w wolnej ręce. Choć nie widziałem go od dwudziestu lat, nawet w marnym świetle rozpoznałem go natychmiast.

- Mogę wejść? - zapytał z tym swoim zażenowanym uśmiechem.  
- Leje tak mocno, że tylko się spodziewać drugiego potopu.

Zdaje mi się, że zrobiłem krok w tył, żeby go wpuścić do środka, i stałem osłupiały, obserwując, jak składa parasol. Możliwe, że trochę się chwiałem. Był ostatnią osobą, którą spodziewałem się zobaczyć ponownie, jeśli w ogóle kogokolwiek się spodziewałem.

Pochylił się, żeby wejść. Zauważyłem, że jego oczy natychmiast

wszystko rejestrują, jak zawsze zresztą. Kolejna jego cecha, którą zapamiętałem: natychmiast przyswajał fakty, błyskawicznie je interpretując. Jak tylko się z kimś spotkał, jego oczy zaglądały wszędzie, nawet w duszę rozmówcy, i po kilku sekundach miał każdego na widelcu. Wtedy mnie to przerażało, ale też fascynowało.

Oczywiście nie zwracałem sobie głowy chowaniem whisky i proszków nasennych - wszystko stało się tak szybko - nie powiedział jednak ani słowa na ten temat. Nie wtedy. Oparł parasol o ścianę, pozwalając, żeby woda ściekała na wyliniały dywan, po czym usiadł. Ja usiadłem naprzeciwko, ale mój umysł zasnuwał się już mgłą, nie miałem więc pojęcia, jak się odezwać. Był gorący letni wieczór, ulewny deszcz tylko zwiększał wilgotność powietrza. Czułem, jak pot przebija się przez pory mojej skóry, a nudności skręcają żołądek. On natomiast siedział zrelaksowany, jakby nie odczuwał wysokiej temperatury. Na jego skórze nie dostrzegłem choćby jednej kropelki potu.

- Cholernie kiepsko wyglądasz - stwierdził. - Przyszły ciężkie czasy?

- Mniej więcej - wymamrotałem. Teraz widziałem go na przemian ostro i nieostro, wszystko wokół wirowało, a podłoga falowała jak wzburzony ocean.

- No to dziś nadszedł twój szczęśliwy dzień - podjął. - Mam dla ciebie drobne zlecenie, które powinno się okazać naprawdę zyskowne. Niewielkie ryzyko, a zarobek duży. Sądzę, że moja propozycja przypadnie ci do gustu, ale widzę, że teraz nie jesteś w najlepszej formie do rozmowy. To nic, poczekamy.

Chyba potwierdziłem skinieniem głowy. Błąd. Wszystko wokół wirowało coraz szybciej. Poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Wtedy on się poderwał, żeby do mnie podbiec. Nie miałem pojęcia, jak zdołał ustać, skoro podłoga tak bardzo się chwiała. Wstrząsnęła mną fala wymiotów i stoczyłem się w nicość. Spadając z krzesła, czułem na ramieniu silny uścisk jego dłoni.

Został u mnie dwa dni i wylałem na niego wszystkie swoje żale.

Słuchał cierpliwie, nie komentując. W tym czasie zadbał o moje potrzeby z poświęceniem i sprawnością zawodowej pielęgniarki. Gdy mogłem jeść, to mnie karmił, a gdy wymiotowałem - sprzątał po mnie. Nie mam też wątpliwości, że czuwał nade mną, kiedy spałem.

Później powiedział mi, czego ode mnie chce.

# Rozdział 1

- „Jej łódź, niczym tron błyszczący, na wodzie płonęła blaskiem” - wyszeptał Banks. Jego oddech tworzył obłoczki pary w chłodnym styczniowym powietrzu.

Stojąca obok niego inspektor Anne Cabbot musiała coś usłyszeć, ponieważ zapytała:

- Co powiedziałaś?
- To cytat - wyjaśnił Banks. - *Z Antoniusza i Kleopatry*.
- Gliniarze nie sypią cytatami z Szekspira, chyba że w powieściach - skwitowała Annie.
- Pamiętam te słowa jeszcze ze szkoły. Wydały mi się odpowiednie.

Stali na brzegu kanału, tuż przed świtem, obserwując, jak się tlą resztki dwóch barek. Nie było to zadanie typowe dla detektywa w randze starszego inspektora, jak Banks, a już na pewno nie w piątek tuż przed świtem, ale kiedy wcześniej strażacy ugasił ogień i mogli bezpiecznie sprawdzić pogorzelisko, na pokładach obu barek znaleźli ludzkie zwłoki. Dodatkowo jeden ze strażaków, świeżo przeszkolony w zakresie ustalania przyczyn pożaru, zauważył ślady, które mogły wskazywać, że na barkach rozlano łatwopalną ciecz. Wezwał więc lokalnego posterunkowego, a ten zawiadomił wydział poważnych przestępstw Komendy Policji Obszaru Zachodniego. I tak Banks znalazł się nad kanałem, gdzie cytował Szekspira w oczekiwaniu na przyjazd specjalisty mającego dokonać oględzin pogorzeliska.

- Czyli brałaś udział? - upewniała się Annie.
- W czym?
- W inscenizacji *Antoniusza i Kleopatry*.
- Dobry Boże, nie! Moja szkolna kariera aktorska zakończyła się



na halabardniku w *Juliuszu Cezarze*. Ten fragment musiałem wykuć na pamięć, żeby zaliczyć angielski.

Banks podtrzymywał klapy płaszcza, zakrywając gardło. Nawet w szaliku Leeds United, który jego syn Brian подарował mu na urodziny, było mu chłodno. Annie kichnęła i Banks poczuł się winny, że ściągnął ją tutaj o tak wczesnej porze. Biedaczka od kilku dni walczyła z przeziębieniem. Ale sierżant Jim Hatchley był w jeszcze gorszym stanie: od początku tygodnia leżał w domu z powodu grypy.

Chwilę wcześniej przejechali trzy mile na południe od Eastvale nad ślepą odnogę kanału przyłączającego rzekę Swain do traktu wodnego z Leeds do Liverpoolu, tym samym dającego jej dostęp do sieci dróg wodnych obejmującej cały kraj. Odnoga przecinała piękną wiejską okolicę, która choć zwykle cicha i spokojna, tej nocy tonęła w światłach reflektorów i tętniła życiem, wypełniona pokrzykiwaniem strażaków oraz trzaskiem radiotelefonów. Śwąd spalonego drewna, plastiku i gumy wisiał w powietrzu, drażniąc gardło Banksa przy każdym oddechu. Oświetlony obszar otaczała ciemność bezgwiazdnej i zimnej nocy. Na miejscu pojawiły się już media, głównie ekipy telewizyjne, ponieważ ogień zawsze ładnie wygląda, nawet po ugaszeniu, ale strażacy i funkcjonariusze policji trzymali je na dystans, miejsce zdarzenia było więc bezpieczne.

O ile Banks zdołał ustalić, odnoga prowadziła na północ, by po niespełna stu metrach zakończyć się gąszczem zarośli, które w końcu przechodziły w suchy łąd. Ludzie nie pamiętali już, czy kiedykolwiek dokądś wiodła, czy tylko służyła za miejsce do cumowania, czy też dawała łatwiejszy dostęp do złóż wapienia, z których słynęła okolica. Ktoś zasugerował, że w pierwotnym zamyśle odnoga miała prowadzić aż do Eastvale, ale później pomysł zarzucono z powodu braku funduszy, lub może zbyt dużego stopnia nachylenia terenu.

- Chryste, ale zimno! - jęknęła Annie, przestępując z nogi na nogę. Właściwie nie było jej widać spod starego szynela, który narzuciła na dzinsy i sweter z golfem. Do tego miała rdzawoczerwoną wełnianą czapkę, rękawiczki oraz skórzane kozaki do kolan. I czer-

wony nos.

- Idź porozmawiać ze strażakami - polecił jej Banks. - Wpytaj ich, dopóki mają wszystko na świeżo. Kto wie, może historia któregoś z nich trochę cię rozgrzeje.

- Bezczelna kanalia! - Annie kichnęła, wyczyściła nos i oddaliła się, sięgając do kieszeni po notatnik. Banks obserwował ją, zastanawiając się, czy jego podejrzenia są uzasadnione. Niby nie miał żadnych podstaw oprócz drobnej tylko zmiany w jej zachowaniu i wyglądzie, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Annie kogoś ma. Nie żeby to go obchodziło. Annie zakończyła ich związek wieki temu, ale - choć przyznawał to niechętnie - poczuł ukłucie zazdrości. Było to naprawdę głupie, bo przecież on sam od ubiegłego lata spotykał się z detektyw Michelle Hart. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że jest zazdrosny o Annie.

Młody funkcjonariusz skończył rozmawiać z dowódcą strażaków i podszedł do Banksa, żeby się przedstawić: posterunkowy Smythe z Molesby, najbliższej miejscowości.

- Więc to ty jesteś odpowiedzialny za to, że mnie obudzili o takiej nieludzkiej porze? - stwierdził Banks.

Posterunkowy Smythe zbladł.

- No cóż, wydawało się, że... że...

- W porządku - przerwał mu Banks. - Postąpiłeś właściwie. Powiedz mi krótko, co się dzieje.

- Niewiele mogę dodać, sir. - Smythe był wymizerowany i zmęczony, co nie dziwiło w takiej sytuacji. Wyglądał na niewiele więcej niż dwanaście lat i zapewne była to jego pierwsza duża sprawa.

- Kto zawiadomił o pożarze? - zapytał Banks.

- Facet nazwiskiem Hurst. Andrew Hurst. Mieszka w dawnym domku służowego około półtora kilometra stąd. Twierdzi, że właśnie się kładł do łóżka tuż po pierwszej, gdy dostrzegł łunę przez okno sypialni. Wiedział mniej więcej, gdzie się pali, podjechał więc na miejsce, żeby sprawdzić.

- Podjechał?

- Rowerem, panie inspektorze.
- Mów dalej.
- To właściwie wszystko. Gdy zobaczył ogień, wezwał straż przez telefon komórkowy. Jak pan widzi, strażacy mieli problemy z podjechaniem. Musieli rozwinąć długie węże.

Banks zerknął na widoczne za drzewami wozy strażackie, zaparkowane kilkadziesiąt metrów dalej, w miejscu, gdzie wąska dróżka ostro skręcała w prawo, dochodząc do kanału.

- Ktoś przeżył? - zapytał.
- Nie wiemy, panie inspektorze. Jeśli tak, to nie został na miejscu. Nie mamy nawet pojęcia, ilu ludzi mieszkało na barkach, ani jak się nazywali. Pewne są tylko dwie ofiary śmiertelne.
- No to pięknie - rzucił Banks. Z pewnością nie były to wystarczające informacje. Podpalenie często ma na celu zatarcie śladów innych przestępstw, niszczenie dowodów albo ukrycie tożsamości ofiary i jeśli tak właśnie było tutaj, to Banks musiał się dowiedzieć jak najwięcej o ludziach, którzy mieszkali na tych barkach. To mogło się okazać trudne, jeśli wszyscy zginęli w pożarze. - Ten śluzowy jeszcze tu jest?

- On nie jest śluzowym, panie inspektorze - sprostował posterunkowy Smythe. - Śluz już się nie używa. Po prostu zamieszkał w dawnym domu śluzowego. Odebrałem jego zeznania i odesłałem go do domu. Źle zrobiłem?

- Nie, wszystko dobrze - uspokoił go Banks. - Porozmawiamy z nim później. - Ale nie było dobrze. Posterunkowy Smythe najwyraźniej miał zbyt niewielkie doświadczenie, żeby wiedzieć, że podpalacze często sami informują o wywołanym przez siebie pożarze, a uczestniczenie w jego gaszeniu sprawia im przyjemność.

Hurst zyskał wiele czasu, żeby się pozbyć ewentualnych dowodów, jeśli był w tę sprawę zamieszany. - Są wiadomości od Geoffa Hamiltona? - zapytał Banks.

- Jest w drodze, panie inspektorze.

Banks już wcześniej pracował z Hamiltonem, przy sprawie pożaru

hurtowni w Eastvale, który okazał się oszustwem ubezpieczeniowym. Choć nie poczuł wtedy sympatii do tego szorstkiego i małowównego faceta, to jednak szanował go za wiedzę oraz skrupulatność, spokój i opanowanie. Z Geoffem Hamiltonem nie dało się niczego przyspieszyć ani wyciągnąć pochopnych wniosków. Nikt, kto miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie używał przy nim określeń „podpalenie” ani „celowe działanie”. Zbyt wiele razy stawał jako biegły w sądzie, żeby się dać na to złapać.

Annie Cabbot dołączyła do Banksa i Smythe'a.

- Dyżurny odebrał zgłoszenie o pierwszej trzydzieści jeden - oznajmiła. - Strażacy przybyli na miejsce o pierwszej czterdzieści cztery.

- Czas chyba przywoity.

- Naprawdę bardzo dobry czas reakcji poza miastem - uściśliła Annie. - Mamy szczęście, że akurat ta jednostka nie zatrudnia ludzi na kontrakcie.

Banks wiedział, że wiele komend straży pożarnej na terenach wiejskich posiłkowało się strażakami kontraktowymi po specjalnych kursach, zatrudnianymi na zlecenie, a to oznaczałoby dłuższe oczekiwanie, ponieważ upłynęłoby przynajmniej pięć minut, zanim dotarliby oni do remizy po odebraniu wezwania.

- Mamy też szczęście, że akurat nie strajkują - dodał. - Prawdopodobnie nadal byśmy czekali, aż przyjedzie wojsko i naszcza na ogień.

Przyglądali się, jak strażacy w milczeniu zwijają sprzęt, a ciemność jaśnieje i przechodzi w szarość. Poranna mgła pojawiła się dosłownie znikąd, by wirować nad mętną wodą i spowijać patykowate drzewa. Mimo że dym pożaru gryzł go w płuca, Banks poczuł przemożną chęć, żeby zapalić. Ale minęło prawie pół roku, odkąd miał w ustach papierosa i prędzej by go szlag trafił, niżby miał się teraz poddać.

Gdy tak walczył z pokusą, dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Ktoś ich obserwował z daleka. Banks szepem wydał polecenie Annie i Smy-

the'owi. Rozeszli się w przeciwnych kierunkach wzdłuż brzegu, żeby otoczyć intruza i odciąć mu drogę. Banks cofał się powoli do linii drzew. Gdy uznał, że dotarł dostatecznie blisko, odwrócił się i puścił pędem w kierunku ukrywającej się między drzewami postaci. Poczul zimne powietrze. Końcówki bezlistnych gałęzi uderzały go w twarz. Widział, jak ktoś biegnie niespełna dwadzieścia metrów przed nim. Smythe i Annie przedzierali się przez ciemne zarośla, coraz szybciej pokonując odległość dzielącą ich od uciekiniera.

Smythe i Annie mieli zdecydowanie lepszą kondycję. Banksowi zaczęło brakować oddechu, choć przecież już nie palił. Widząc, że Smythe dogania uciekiniera, a Annie zbliża się od północy, Banks zwolnił. Dobiegł na miejsce w chwili, kiedy jego współpracownicy powalali młodego człowieka na ziemię. W ciągu sekund skuli go i podnieśli na nogi, choć jeszcze się opierał.

Przez kilka chwil wszyscy stali bez słowa, łapiąc oddech. Banks mierzył chłopaka wzrokiem: niewiele ponad dwadzieścia lat, wzrost Banksa, czyli metr osiemdziesiąt, postura wątpa jak wycior do fajki, ogolona głowa i zapadnięte policzki. Wyrwał się posterunkowemu, ale nie miał szans z krzepkim policjantem.

- No dobrze - zaczął Banks. - Kim, do cholery, jesteś i co tutaj robisz?

Chłopak silniej się szarpnął.

- Nic. Wypuście mnie! Nic nie zrobiłem. Wypuście mnie!

- Jak się nazywasz?

- Mark. Wypuście mnie!

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki rozsądnie mi nie wyjaśnisz, dlaczego się ukrywałeś w zaroślach, żeby oglądać pożar.

- Nie oglądałem pożaru. Ja tylko...

- Ty tylko co?

- Nic. Wypuście mnie! - Znów spróbował się wyrwać, ale Smythe trzymał go mocno.

- Mam go zabrać na posterunek, panie inspektorze?

- Jeszcze nie. Najpierw chcę z nim porozmawiać - odpowiedział

Banks. - Wracajmy nad kanał.

Cała czwórka ruszyła między drzewami w kierunku tłących się jeszcze barek. Smythe ani na chwilę nie puszczał Marka, który teraz zaczął dygotać.

- Spróbuj wysepić trochę ciepłej herbaty - polecił Banks Smythe'owi. - Któryś ze strażaków musi mieć termos. - Następnie odwrócił się do Marka, który wbił oczy w ziemię i kręcił głową. Chłopak podniósł wzrok. Był blady i przyszczaty, a w jego oczach bunt mieszał się ze strachem.

- Dlaczego nie chcecie mnie puścić?
- Bo muszę się dowiedzieć, co tutaj robisz.
- Nic nie robię.
- Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Ciekawe dlaczego?
- Nie wiem. To pański problem.

Banks westchnął i przez chwilę rozcierał dłonie. Jak zwykle zapomniiał rękawiczek. Niemal wszyscy strażacy odpoczywali w milczeniu, małymi łykami popijając herbatę albo kawę, paląc papierosy. Wpatrywali się w pogorzeliśko, być może w duchu wznosząc dziękczynną modlitwę za to, że żaden z nich nie zginął. W powietrzu zaczynał dominować zapach mokrego popiołu, a nad zniszczonymi barkami unosiła się para wodna, mieszając się z poranną mgłą.

Gdy przybędzie Geoff Hamilton, Banks będzie mu towarzyszył w oględzinach miejsca pożaru, podobnie jak poprzednim razem. Strażacy nie mają uprawnień, żeby formalnie stwierdzać przyczyny pożarów, Hamilton robi to więc we współpracy ze śledczymi i technikami kryminalistycznymi. To on sporządzi raport dla koronera. W pożarze hurtowni nikt nie ucierpiał, teraz jednak było inaczej. Banks nie lubił widoku spalonych ciał - dość się już na nie napatrzył, żeby zaliczyć ogień do tych rzeczy, których się bał i jednocześnie szanował bardziej niż cokolwiek innego. Gdyby musiał wybierać między ofiarą pożaru a topielcem, zapewne wybrałby widok rozdętych, zniekształconych zwłok tego ostatniego niż zwęglonych i łuszczących się szczątków strawionych przez płomień. Ale wybór nie byłby łatwy.

## Ogień czy woda?

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego Banks odczuwał przygnębienie. Właśnie się zaczynał piątkowy poranek i inspektor coraz wyraźniej widział, że szanse na zaplanowany weekend z Michelle Hart maleją. Jeśli pożar naprawdę powstał w wyniku podpalenia, a zatem zabito dwie osoby, to Banks będzie musiał pożegnać się z urlopem oraz pracować bez przerwy, dzień i noc. Zadzwoi do Michelle, która przynajmniej to zrozumie. Jako inspektor policji w Cambridgeshire dobrze wiedziała, jak nieprzewidywalna jest ta służba. Nadal mieszkała i pracowała w Peterborough, mimo kontrowersyjnego zakończenia sprawy, którą prowadziła wspólnie z Banksem ubiegłego lata.

Posterunkowy Smythe wrócił, niosąc cztery plastikowe kubki i termos. Była to kawa rozpuszczalna, w dodatku słaba, ale przynajmniej wciąż gorąca: para, która się nad nią unosiła, gdy Smythe zaczął ją rozlewać, choć trochę odpędziła chłód poranka. Banks sięgnął do kieszeni po piersiówkę, prezent urodzinowy od ojca, i zaproponował pozostałym. Tylko Annie pozwoliła sobie na alkohol. Piersiówka zawierała laphroaig, i chociaż Banks uważał, że dolewanie przyzwyczajonej whisky single malt do plastikowych kubków z wodnistą Nescafe jest strasznym marnotrawstwem, to uznał, że sytuacja chyba jednak tego wymaga. Jak się okazało, odrobina trunku ulepszyła kawę tak bardzo, że ustępstwo się opłaciło.

- Rozkuj go - Banks polecił Smythe'owi.
- Ale panie inspektorze...
- Rób, co mówię, on się nigdzie nie wybiera. Prawda, Mark?

Mark nie odpowiedział. Gdy Smythe zdjął mu kajdanki, Mark roztarł nadgarstki i splótł dłonie wokół swojego kubeczka z kawą, jakby jej ciepło miało go wzmocnić.

- Ile masz lat, Mark? - zapytał Banks.
- Dwadzieścia jeden. - Mark sięgnął do kieszeni po pomiętą paczkę papierosów Embassy Regal, przypalił jednego, posługując się jednorazową zapalniczką, i głęboko się zaciągnął. Widząc to, Banks

uświadomił sobie, że będą musieli jak najszybciej sprawdzić, czy na dłoniach i ubraniu chłopaka nie ma pozostałości jakichś łatwopalnych cieczy. Takie ślady nie utrzymują się długo.

- Posłuchaj, Mark - podjął Banks. - Przede wszystkim musisz zdać sobie sprawę z faktu, że jesteś najlepszym kandydatem, jakiego mamy, na sprawcę tego pożaru. Kręciłeś się po okolicy, wręcz jak podręcznikowy podpalacz. Będziesz musiał jakoś nam wyjaśnić powód swojej obecności w tym miejscu i wytłumaczyć, dlaczego rzuciłeś się do ucieczki, kiedy próbowaliśmy do ciebie podejść. Możesz to zrobić tu i teraz, bez kajdanków, albo przesłuchamy cię oficjalnie na komendzie w Eastvale i spędzisz noc w celi. Wybór należy do ciebie.

- W celi będzie przynajmniej ciepło - odparł Mark. - Nie mam dokąd pójść.

- Gdzie mieszkasz.

Przez chwilę chłopak milczał, powstrzymując łzy, po czym drżącą dłonią wskazał barcę przycumowaną od północy.

- Tam - wyznał.

Banks spojrział na dymiące pogorzeliisko.

- Mieszkałeś na barce?

Mark skinął potakująco głową i szepnął coś, czego Banks nie zrozumiał.

- Co powiedziałeś? - zapytał Banks, pamiętając, że strażacy znaleźli na barce ludzkie zwłoki. - Wiesz o czymś ważnym?

- Tina... Czy Tina się uratowała? Nie widziałem jej.

- Czy to dlatego się chowałeś?

- Chciałem ją zobaczyć. Dlatego tam stałem. Czy ją uratowali?

- Tina mieszkała z tobą na barce?

- Tak.

- Był jeszcze ktoś?

Oczy Marka zapłonęły wstydem.

- Tak, dziewczyna - odpowiedział. - Właśnie od niej wracam. Mieszka w Eastvale. Wcześniej pokłóciłem się z Tiną.



Nie o to Banksowi chodziło, ale przyjął nieoczekiwane wyznanie o niewierności Marka. Ciężko będzie mu chyba żyć ze świadomością, że jego żona albo dziewczyna zginęła w płomieniach, podczas gdy on pieprzył inną kobietę. Jeśli tak właśnie sprawy się miały, to Mark na pewno nie podpalił barki, zanim opuścił pokład. Banks przypuszczał, że jedną z ofiar odnalezionych przez strażaków była właśnie Tina, nie miał jednak pewności, a w związku z tym za żadne skarby nie zamierzał poinformować Marka o jej śmierci, dopóki się nie dowie, co chłopak robił w momencie podpalenia. I dopóki nie uzyska pewności, czyje to zwłoki.

- Chodziło mi o to, czy ktoś jeszcze mieszkał z wami na tej barce.
- Nie, tylko ja i Tina.
- I nie widziałeś jej?

Mark pokręcił głową, po czym otarł nos wierzchem dłoni.

- Jak długo tu mieszkaliście?
  - Około trzech miesięcy.
  - Gdzie spędziłeś dzisiejszą noc, Mark?
  - Już mówiłem. Byłem z kimś.
  - Musimy wiedzieć, kto to jest i gdzie mieszka.
  - Dziewczyna, Mandy. Nie znam nazwiska. Mieszka w Eastvale.
- Podał adres, a Annie go zanotowała.
- O której do niej dotarłeś?
  - Poszedłem do pubu, w którym ona pracuje, George and Dragon, niedaleko uczelni. Byłem tam tuż przed zamknięciem, chyba za kwadrans jedenasta. Potem poszliśmy do niej.
  - Jak dotarłeś do Eastvale? Masz samochód?
  - Żartuje pan? Przy drodze można złapać autobus. Odjeżdża o wpół do jedenastej.

Jeśli Mark mówi prawdę, a jego alibi potwierdzi kierowca autobusu i ta dziewczyna, to nie mógł wywołać pożaru. Gdyby ogień podłożono przed dziesiątą trzydzieści, z drewnianych barek nie zostałyby nic do pierwszej trzydzieści, kiedy Andrew Hurst zgłosił, że się pali.

- O której tu wróciłeś? - kontynuował przesłuchanie Banks.
- Nie wiem. Nie mam zegarka.

Banks zerknął na przegub jego dłoni. Chłopak mówił prawdę.

- Która mogła być? Dwunasta? Pierwsza? Druga?
- Później. Wyszedłem od Mandy około trzeciej według jej budzika.

- Jak wróciłeś? W nocy chyba nie ma autobusów?
- Na piechotę.

- Dlaczego nie zostałeś na noc?

- Martwiłem się o Tinę. Jak jest po wszystkim... no wie pan, to człowiekowi zaczynają przychodzić do głowy różne myśli, nie zawsze dobre. Nie mogłem zasnąć. Miałem kiepski nastrój, czułem się winny. Nie powinienem był jej zostawiać.

- Ile czasu zajęła ci droga powrotna?

- Jakąś godzinę. Może trochę mniej. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ten tłum... Dlatego się ukryłem i obserwowałem, co robicie, dopóki mnie nie znaleźliście.

- Długo?

- Nie mierzyłem czasu.

- Widziałeś w lesie kogoś jeszcze?

- Tylko strażaków.

- Wiem, że nie jest ci łatwo, Mark, ale muszę zadać to pytanie.

Wiesz coś o ludziach z tej drugiej barki? Zbieramy wszystkie informacje, jakie nam wpadną w ręce.

- Tam jest tylko jeden facet.

- Jak się nazywa?

- Tom.

- Tom jaki?

- Po prostu Tom.

- Od jak dawna tam mieszkał?

- Nie wiem. Był już, jak się wprowadziliśmy z Tiną.

- Czym on się zajmuje?

- Nie mam pojęcia. Rzadko wychodzi. Jest zamknięty w sobie.

- Wiesz, czy był u siebie wczoraj wieczorem?  
- Nie. Ale pewnie był. Jak mówiłem, prawie nie wychodzi z domu.

- Zauważyłeś w okolicy jakichś obcych?
- Nie.
- Ktoś wam groził?
- Tylko urzędnicy z British Waterways.
- Jak to?

Mark rzucił Banksowi wyzywające spojrzenie.

- Chyba się pan domyśla, że raczej nie jesteśmy typowymi przedstawicielami klasy średniej. - Gestem dłoni wskazał na barki. - To były stare rzęchy, od lat nieużywane. Ktoś je tutaj zostawił, żeby butwiały. Nie wiadomo nawet, do kogo należą, to się wprowadziliśmy. - Mark ponownie spojrzał na barki. Do jego oczu napłynęły łzy i nieznacznie pokręcił głową.

Banks dał mu chwilę, żeby się pozbierał, zanim podjął przesłuchanie.

- Chcesz powiedzieć, że byliście tu dzikimi lokatorami?

Mark otarł oczy wierzchem dłoni.

- Tak. A ludzie z British Waterways od wielu tygodni próbowali nas wyrzucić.

- Tom też mieszkał na dziko?
- Nie wiem. Chyba tak.
- Czy na barkach był prąd?
- Ale skąd!
- To skąd oświetlenie i ogrzewanie?
- Świece. Mieliliśmy stary żelazny piecyk na drewno. Był rozwalony, ale udało mi się jakoś go naprawić.
- A Tom?
- Chyba podobnie. Barki były takie same, nawet jeśli on swoją trochę odpicował.

Banks odwrócił się, patrząc na spalone barki. Piecyk na drewno mógł być przyczyną zaproszenia ognia, co wyjaśniałoby przyczynę

pożaru. Być może Tom używał niebezpiecznych materiałów na rozpałkę - nafty, benzyny albo ropy. Ale to była tylko spekulacja, dopóki Geoff Hamilton i patolog nie zakończą pracy. *Cierpliwości!* - skarcił się w duchu Banks.

Czy istniały jakieś oczywiste motywy? Mark i Tina posprzeczekali się, może więc chłopak ją pobił, a potem podpalił barkę i uciekł. Niewykluczone, jeśli jego alibi okaże się fałszywe. Banks zwrócił się do funkcjonariusza Smythe'a:

- Posterunkowy, proszę z powrotem skuć Marka, przewieźć go na komisariat i tam umieścić w areszcie.

Mark spojrzął na Banksa przerażony.

- Nie możecie tego zrobić!

- Wyobraź sobie, że możemy. Przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Nadal jesteś podejrzany i nie masz stałego miejsca zamieszkania - powiedział Banks, po czym dodał: - Spójrz na to trochę inaczej. Będziesz dobrze traktowany i dostaniesz coś do jedzenia. A jeśli wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą, to nie masz się czego obawiać. Byłeś karany?

- Nie.

- Czyli nie dałeś się złapać, tak? - Banks zwrócił się do Smythe'a.

- Dopilnuj, żeby jego dłonie i całe ubranie sprawdzono na obecność materiałów łatwopalnych. Przekaż to dyżurnemu w izbie zatrzymań. Będzie wiedział, co zrobić.

- Nie myśli pan chyba, że to ja? - protestował Mark. - Co z Tiną? Kocham ją i nigdy bym jej nie skrzywdził.

- To rutynowe działania - wyjaśnił Banks. - Żeby eliminować podejrzanych. W ten sposób potwierdzimy twoją niewinność, nie będziemy więc musieli tracić naszego i twojego czasu na zadawanie bezsensownych pytań. - Albo udowodnimy, że jesteś winny, dodał w myślach Banks, ale to zupełnie inna para kaloszy.

- Chodź, chłopaku.

Mark zwiesił głowę. Smythe ponownie założył mu kajdanki, wziął go za ramię i zaprowadził do radiowozu. Banks westchnął. Miał za

sobą długą noc, a czekał go jeszcze dłuższy dzień. Wzdłuż kanału szedł w jego stronę Geoff Hamilton.

\*\*\*

Mgła oblepiała poczerniałe resztki spalonych barek. Kiedy dowódca jednostki straży pożarnej, który oficjalnie dowodził całą akcją, wydał zgodę na oględziny miejsca pożaru, Banks, policyjny fotograf Peter Darby, technik kryminalistyczny Terry Bradford oraz Geoff Hamilton zaczęli wkładać kombinezony ochronne. Annie obserwowała ich z daleka opatulona szynalem.

- Pożar został ugaszony, a pogorzelsko jest dozorowane - stwierdził Hamilton. - Nie runie na nas żaden sufit i pokład raczej się nie zapadnie. Ale trzeba stąpać ostrożnie. Deski pokładowe położone na stalowym kadłubie mogły się w niektórych miejscach przepalić. Nie mamy do czynienia z przestrzenią zamkniętą, nie powinno więc być problemów z zatruciem powietrza, ale i tak musimy nosić maski przeciwpyłowe. Popiół zawiera sporo trujących substancji. Mogą się wzbijać w górę od naszych kroków, a nie chcemy, żeby się dostały do płuc.

Banks sięgnął po maskę, myśląc o ilościach dymu papierosowego, które wciągnął do swoich płuc przez wszystkie te lata.

- Sprzęt gotowy? - Hamilton zwrócił się do Petera Darby'ego.

Darby zdobył się na uśmiech.

- Kamera analogowa, film trzydzieści pięć milimetrów. Kolor. Może być?

- Tak. Pamiętaj, żeby jej nie wyłączać i robić zdjęcia pod różnymi kątami. Prawdopodobnie zwłoki będą przysypane szczątkami elementów kabiny, dlatego chcę mieć je sfilmowane przed i po odsłonięciu. Zrób też ujęcia wszystkich możliwych wyjść i zwracaj specjalną uwagę na miejsca szczególnego oddziaływania ognia oraz możliwe potencjalne źródła powstania pożaru, które ci wskażę.

- Zwykle robię co najmniej dwukrotnie każdy metr kwadratowy. Oczywiście dokumentuję też całość oględzin.

- Bardzo dobrze. Idziemy.

Darby zarzucił na ramię swój sprzęt.

- I żebyście mi się nie płatali pod nogami! - zrzędził Hamilton. -  
Będzie nas tam zdecydowanie zbyt wielu.

Banks słyszał te narzekania już wcześniej. Hamilton chciałby jak najbardziej ograniczyć liczbę ludzi na barkach, żeby zmniejszyć ryzyko zatarcia śladów pożarowych, które i tak już są w bardzo kiepskim stanie. Musiał jednak zabrać ze sobą technika kryminalistycznego, żeby ten zabezpieczył ślady na miejscu. Fotograf też był niezbędny.

Banks poprawił maskę przeciwpyłową. Terry Bradford podniósł pękatą torbę ze sprzętem do przeprowadzania oględzin i zabezpieczania śladów i ruszyli - najpierw na barkę Toma. Wchodząc na spalony pokład, Banks musiał walczyć ze strachem. Choć nikomu tego nie wyznał, panicznie bał się ognia. Jeszcze podczas służby w policji stołecznej był świadkiem wyjątkowo drastycznych scen i potem regularnie dręczyły go nocne koszmary, w których pożar uwięził go na którymś z wyższych pięter płonącego budynku. Tym razem nie jest tak źle, powtarzał sobie w duchu. Żadnego ognia, tylko ugaszone wodą fragmenty pokładu. Ale już sama myśl o płomieniach pełzających po ścianach oraz suficie i niszczących wszystko na swojej drodze przyprawiała go o trwogę.

- Stąpajcie ostrożnie - napominał ich Hamilton. - Łatwo zniszczyć jakiś ślad na pogorzelisku, ponieważ nie zawsze go widać. Na szczęście większość wody użytej do gaszenia wyciekła przez burty, nie będziemy więc w niej brodzili.

Żeby nabrać dystansu, Banks zmusił się do skoncentrowania całej uwagi na pracy i przypomniał sobie, co wie. Pogorzelisko jest wyjątkowe, ponieważ stwarza problemy, których na innych miejscach zbrodni nie ma. Niszczycielski dla potencjalnych śladów i późniejszych dowodów w sądzie jest nie tylko ogień, ale też sam proces gaszenia pożaru. Banks i Hamilton właśnie dokonywali oględzin, ale strażacy, którzy wcześniej prowadzili akcję, prawdopodobnie zاده-

tali część cennych śladów. Najważniejsze było dla nich ratowanie życia. Tym razem zniszczenia mogły być mniejsze niż zazwyczaj, ponieważ strażak, który zauważył potencjalne dowody podpalenia, znał zasady oględzin miejsca przestępstwa i wiedział, jak należy postępować, żeby je zachować w jak najlepszym stanie.

Jednak to niszczycielska siła ognia stanowi chyba największy problem, rozważał dalej Banks. Płomienie i temperatura całkowicie niszcą wiele przedmiotów, inne zaś zmieniają nie do poznania. Banks pamiętał ze spalonej hurtowni, że zniekształcone i powyginane kształty, które nie kojarzyły mu się z czymkolwiek - zupełnie jak fotografie sprzętów wykonane pod nietypowym kątem, pokazywane uczestnikom emitowanych dawniej teleturniejów w celu rozpoznania - miały wyraźny kształt i konkretne przeznaczenie w oczach Hamiltona, który potrafił podnieść z podłogi jakiś czarny obiekt, zdeformowany niczym artefakt na obrazach Dalego, i rozpoznać w nim pustą puszkę, zapalniczkę, a nawet stopiony kieliszek do wina.

Barka miała dziewięć i pół albo dziesięć metrów długości. Większość drewnianego dachu i ścian uległa spaleni, przybierając kształt czarnych, nieforemnych zgliszczy - sofy, łóżek, komody i resztek sufitu - najpierw zniszczonych przez ogień, a następnie oblaných wodą ze strażackich węży. Wyglądało na to, że po jednej stronie kajuty znajdowała się półka z książkami. Banks dostrzegł na podłodze przemoczone tomy. Przez maskę nie czuł żadnego zapachu, ale został mu w pamięci kwaśny odór spalonego plastiku, gumy oraz tkanin, który dolatywał do jego nozdrzy wcześniej, jeszcze nad brzegiem kanału. Ponieważ niemal wszystkie okna popękały, a schody i drzwi się spaliły, nie sposób było stwierdzić, czy ktokolwiek wtargnął na barkę siłą.

Banks szedł ostrożnie za Hamiltonem, który od czasu do czasu się zatrzymywał, żeby zrobić szybki szkic albo uważniej się przyjrzeć czemuś, co następnie kazał Terry'emu Bradfordowi umieścić w plastikowej torebce. Powoli przemierzali pogorzelnisko. Banks słyszał pracę kamery, którą trzymał, gdy Peter Darby robił aparatem foto-

graficznym zdjęcia detali wskazanych mu przez Hamiltona.

- Wygląda na to, że pożar się zaczął tutaj - stwierdził Hamilton, gdy dotarli do środka części mieszkalnej.

Banks widział, że zniszczenia są w tym miejscu znacznie poważniejsze niż gdzie indziej, a stopień spalenia przedmiotów większy od tego, który widzieli dotychczas. Musieli uważnie stąpać, żeby przejść między poniewierającymi się wszędzie na podłodze spalonymi resztkami. Głos Hamiltona tłumiała maska, ale Banks wystarczająco dobrze rozumiał jego słowa.

- To ognisko powstania pożaru. Wyraźnie widać, że podłoga jest wypalona bardziej niż po przeciwległej stronie. - Hamilton podniósł nadpalony kawałek drewna. - Ogień przemieszcza się do góry, dlatego należy zakładać, że powstał w najniższym punkcie obszaru o największym wypaleniu. To tutaj. - Hamilton zdjął maskę i kazał Banksowi zrobić to samo.

Inspektor zastosował się do polecenia.

- Czuje pan coś? - zapytał Hamilton.

Odór spalonej gumy mieszał się z zapachem popiołu, ale Banks poczuł coś jakby znajomego.

- Terpentyna? - powiedział niepewnie.

Hamilton wyjął z torby na narzędzia jakiś mały gadżet w kształcie tuby, a następnie schylił się, żeby ustawić go nad podłogą.

- To detektor fotojonizacyjny, znany jako wachacz - wyjaśnił. - Powinien nam powiedzieć, czy używano tu cieczy łatwopalnych i... - Hamilton włączył urządzenie. - Rzeczywiście, użyto przyspieszacza.

Hamilton polecił Terry'emu Bradfordowi, żeby szuflą nagarnął mniej więcej dwa, trzy litry spalonych szczątków do szklanego słoja, a następnie szczelnie go zamknął. - Do chromatografii gazowej - powiedział i kazał Bradfordowi zrobić to samo w innych częściach pomieszczenia. - Wygląda na pożar z kilkoma ogniskami - wyjaśnił. - Dokładne oględziny pozwalają stwierdzić, że w tym pomieszczeniu ogień pojawił się w kilku miejscach, połączonych wąskimi liniami większego zwęglenia, tak zwanymi wstęgami.



Banks wiedział, że pożar z kilkoma ogniskami sugeruje podpalenie, wiedział też jednak, że jest jeszcze za wcześnie, by mógł zmusić Hamiltona, aby to przyznał. Peter Darby pstryknął kilka zdjęć swoim pentaxem.

- Czy woda, której użyli strażacy, nie zmyła śladów przyspieszacza? - zapytał.

- Wbrew temu, co można by przypuszczać, woda doskonale spowalnia cały proces odparowania, ponieważ obniża temperaturę. W rzeczywistości konserwuje ślady przyspieszaczy. Może mi pan wierzyć, że jeśli używano tutaj jakichkolwiek cieczy łatwopalnych, a wskazania wączacza każą przypuszczać, że tak, to ich ślady zachowały się w resztkach dywanu oraz desek podłogowych.

Terry Bradford pochylił się, żeby usunąć z podłogi nadpalony fragment sufitu i odsłonił całkowicie niemal spalone ludzkie zwłoki leżące na brzuchu. Najpierw nie sposób było stwierdzić, czy należały do mężczyzny czy do kobiety, ale Banks założył, że to najprawdopodobniej osobnik, którego Mark znał jako Toma. Wydawało się, że był to człowiek niskiego wzrostu, Banks wiedział jednak, że ogień czasem zmienia ludzkie ciało nie do poznania. Do pękniętej czaszki wciąż przylegało kilka kępek rudych włosów, w niektórych miejscach ogień zwęglił fragmenty ciała. Mimo to wciąż widać było kawałki niebieskiej dżinsowej koszuli na plecach i resztki dżinsowych spodni, które ofiara niewątpliwie miała na sobie w chwili śmierci.

- To dziwne - stwierdził Hamilton, pochylając się, żeby dokładniej obejrzeć ciało.

- Co?

- Ludzie, których pokonał ogień albo wdychany dym i gazy pożarowe, zwykle upadają na plecy - wyjaśnił Hamilton. - Dlatego tak często widzi się kolana i pięści uniesione w tak zwanej pozycji bokerskiej. Powoduje ją skurcz mięśni wskutek gwałtownego wzrostu temperatury od płomieni. Proszę spojrzeć, widać głębsze wypalenia dookoła zwłok, w miejscu, gdzie łatwopalna ciecz wsiąkła w szczeliny między deskami, to samo zobaczymy prawdopodobnie pod

ciałem. Zwęglenie jest wyraźnie większe wokół miejsca znalezienia zwłok, a zniszczenia znacznie poważniejsze w tej części pomieszczenia.

- Niech mi pan powie, czy miałby szansę uciec, gdyby był przytomny i świadomy w momencie powstania pożaru? - zapytał Banks.

- Trudno stwierdzić - odpowiedział Hamilton. - Leży na brzuchu, głową w kierunku źródła ognia. Gdyby próbował uciec, najprawdopodobniej szedłby albo się czołgał w przeciwnym kierunku, do wyjścia.

- Ale czy byłby w stanie stąd uciec, gdyby widział rozprzestrzeniający się ogień?

- Wiemy, że runęła na niego część sufitu. Niewykluczone, że stało się to, zanim zdołał uciec. Może był naćpany, albo pijany, kto wie? Nie wciąganie mnie pan w spekulacje na ten temat. Obawiam się, Banks, że trzeba będzie poczekać na wyniki sekcji zwłok oraz badań toksykologicznych, żeby odpowiedzieć na pańskie pytania.

- Jakież ślady pojemnika po cieczy albo zapalek lub zapalniczki?

- Jest tu wiele potencjalnych pojemników, ale na żadnym nie napisano drukowanymi literami nazwy cieczy łatwopalnej. Trzeba je wszystkie przebadać. Możliwe, że do wzniesienia pożaru użyto zapalki, z której niestety niewiele pozostało.

- A więc działanie celowe?

- Jeszcze nie wyciągnąłem ostatecznych wniosków, ale wygląda mi to podejrzanie. Tyko że z pożarami nigdy nic nie wiadomo. Może mężczyzna był pijany, przypadkiem wylał na siebie ciecz łatwopalną, stanął w płomieniach i spanikował? Tak się czasem dzieje. Widziałem już podobne przypadki. Poza tym gwałtowne wdychanie dymu prowadzi do utraty przytomności albo dezorientacji oraz sprawia, że mylnie ocenia się sytuację. Czasem widzimy na miejscu pożaru, że ofiary biegły wprost w płomienie, zamiast od nich uciekać. Na razie pozostanmy więc przy stwierdzeniu, że przyczyna pożaru jest wątpliwa, okej?

Banks spojrział na spalone zwłoki.

- Jeśli lekarz zdoła cokolwiek orzec na podstawie tego, co po nim zostało.

- Byłby pan zaskoczony, jak rzadko ciało ulega w pożarze takiemu zniszczeniu, że dobry patomorfolog nie może niczego wywnioskować - powiedział Hamilton. - Zgaduję, że dostanie pan doktora Glendenninga?

Banks skinął głową.

- Jeden z najlepszych.

Hamilton poinstruował Terry'ego Bradforda, żeby pobrał więcej próbek, po czym przeszli na dziób, który niemal się stykał z sąsiednią barką. Poczekali chwilę, aż Peter Darby zmieni film w kamerze oraz aparacie fotograficznym.

- Niech pan spojrzy tutaj! - Hamilton wskazywał na wyraźnie widoczną linię bardziej wypalonego drewna, która biegła od części mieszkalnej, blisko ogniska pożaru, do samego dziobu i dalej przez rufę do części mieszkalnej na drugiej barce. - Kolejna wstęga - stwierdził. - Struga cieczy łatwopalnej, mającej rozprzestrzenić ogień w inne miejsce. W tym przypadku z jednej barki na drugą.

- Czyli sprawca, kimkolwiek był, chciał spalić obydwie łodzie?

- Na to wygląda. - Hamilton zmarszczył brwi. - Ale jedna wąska wstęga to niewiele. Jak... sam nie wiem... Jak szybki cios pięścią. Nie wystarczy. Tak stwierdzam po namyśle.

- Do czego pan zmierza?

- Nie wiem. Ale jeśli ktoś naprawdę chciał doprowadzić do zniszczenia drugiej barki wraz z tym, kto na niej przebywał, to zapewne bardziej by się postarał. Nie twierdzą oczywiście, że tak było.

- Może zabrakło mu czasu? - spekulował Banks.

- Niewykluczone.

- Albo przyśpieszcza?

- Takiego wyjaśnienia też nie da się wykluczyć - odpowiedział Hamilton. - Ale równie dobrze mogło to mieć na celu zagmatwanie

sprawy. Tak czy owak kolejna osoba straciła życie.

Ciało na drugiej barce leżało zawinięte w spalony śpiwór. Mimo kilku pęcherzy na policzkach i czole Banks bez wątpliwości stwierdził, że to zwłoki młodej dziewczyny. Miała raczej spokojny wyraz twarzy i jeśli zmarła wskutek wdychania dymu oraz gazów pożarowych, to nie poczuła ognia. Jej metalowy kolczyk tuż pod dolną wargą, jak przypuszczał Banks, bardzo się rozgrzał w wyniku pożaru. Zapewne to wyjaśniało większe spalenie skóry wokół stalowej ozdoby. Banks miał nadzieję, że tego też nie poczuła. Jedna zwęglona ręka leżała na zewnątrz śpiwora obok czegoś, co wyglądało na przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych.

- Ciało powinno się zachować we względnie dobrym stanie, bo jest w śpiworze - stwierdził Hamilton. - Zwykle są one produkowane z materiałów niepalnych. I te pęcherze na twarzy!

- O czym świadczą? - zaciekawił się Banks.

- Pęcherze świadczą zwykle o tym, że ofiara jeszcze żyła, gdy powstał pożar. - Upewniwszy się, że Peter Darby sfilmował już i sfotografował wszystko, co należy, Hamilton pochylił się po dwa przedmioty, które leżały na podłodze obok śpiwora.

- Co to? - zainteresował się Banks.

- Pewności nie mam - stwierdził ostrożnie Hamilton - ale uważam, że jedno to strzykawka, a drugie - łyżeczka.

Wręczył obydwie przedmioty Terry'emu Bradfordowi, a ten włożył je do szklanego słoja, najpierw jednak wyjął ze swojej torby korek i zatknął go na czubku igły.

- Ogień na pewno ją wysterylizował, ale z igłami nigdy dość ostrożności - powiedział.

Tymczasem Hamilton znów się schylił, tym razem żeby zeszkrobać z podłogi, także obok śpiwora, coś, co Bradford umieścił w kolejnym słoju.

- Wygląda na to, że dziewczyna używała świeczki - zawyrokował Hamilton. - Prawdopodobnie do podgrzania tego, co sobie wstrzyknęła. Gdybym nie miał pewności, że ogień się zaczął na

sąsiedniej barce, powiedziałbym, że to możliwa przyczyna pożaru. Nieraz widziałem takie rzeczy: ćpun zasypia nad zapaloną świeczką i nieszczęście gotowe. Ale świeceki bywają też prymitywnym zapalnikami czasowym.

- Tutaj nie mamy do czynienia ani z jednym, ani z drugim? - upewniał się Banks.

- Nie. Źródło ognia zdecydowanie znajduje się w sąsiedztwie. Byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby dwa pożary powstały równocześnie z dwóch różnych przyczyn. Poza tym widzimy tutaj znacznie mniejsze zniszczenia.

Banks czuł, że zaraz rozboli go głowa. Ponownie spojrzał na ciało dziewczyny, ściskając kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa nad maską przeciwpyłową, dopóki jego oczy nie napęliły się łzami. Odwrócił wzrok, patrząc w mgłę, akurat na czas, żeby zobaczyć, jak doktor Burns, biegły lekarz, idzie w kierunku barek ze swoją czarną torbą.

## Rozdział 2

Andrew Hurst mieszkał w domku słuzowego, małym i nijakim, położonym blisko kanału, mniej więcej półtora kilometra na wschód od ślepej odnogi kanału, na której spaliły się barki. Wysoki i wąski budynek wzniesiono z czerwonej cegły, pokryto łupkową dachówką, a w miejscu, gdzie ściany schodziły się z dachem, zamontowano antenę satelitarną. Mimo wczesnej pory Hurst był na nogach. Wysoki i chudy, po czterdziestce, z rzędnącymi brązowymi włosami, miał na sobie dzinsy i czerwoną bluzę sportową zapinaną na zamek błyskawiczny.

- Spodziewałem się was - oznajmił, gdy Banks i Annie pokazali legitymacje. Jego jasnoszare oczy odrobinę dłużej patrzyły na Annie.  
- Pewnie chodzi o ten pożar.

- Istotnie - potwierdził Banks. - Możemy wejść?

- Proszę. Wybraliście doskonałą porę. Właśnie skończyłem śniadanie. - Cofnął się, wpuszczając gości. - Pierwszy pokój na lewo. Wezmę państwa płaszcze.

Podali mu okrycia i weszli do pokoju pełnego półek. Na nich stały setki, może tysiące płyt winylowych: longplaye, single czterdziesto- pięcioobrotowe oraz epki, wszystkie ułożone w równe rzędy. Banks spojrział porozumiewawczo na Annie, zanim usiedli w fotelach, które wskazał Hurst.

- Robią wrażenie, prawda? - stwierdził Hurst z uśmiechem. - Kolekcjonuję płyty winylowe od dwunastego roku życia. Są moją wielką pasją. Oczywiście oprócz kanałów i ich historii.

- Rzeczywiście - przytaknął Banks, wciąż poruszony ogromem kolekcji. Przy innej okazji już klęczałby przy półkach, przeglądając okładki.

- Założę się, że natychmiast znajdę wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy. Wiem, gdzie leży każda płyta. Kathy Kirby, Matt Monro, Vince Hill, Helen Shapiro, Joe Brown, Vicki Carr. Proszę bardzo, niech mnie państwo sprawdzą! No, proszę.

Chryste, pomyślał Banks, przecież to czubek. Tylko tego im było trzeba!

- Panie Hurst - zaczął - z przyjemnością poddałbym próbie pański system katalogowania zbiorów i zapoznał się z całą kolekcją, ale czy moglibyśmy najpierw porozmawiać o pożarze? Na tych barkach zginęło dwoje ludzi.

Hurst sprawiał wrażenie rozczarowanego, jak dziecko pozbawione nowej zabawki. Ciągnął swój wywód ostrożnie, niepewny, czy władza jeszcze uwagą publiczności.

- Bo widzicie państwo, płyty nie są ułożone alfabetycznie, tylko według daty wydania. Na tym polega mój sekret.

- Panie Hurst, płyty zostawmy na później, bardzo proszę - Annie wsparła Banksa. - Musimy zadać panu kilka ważnych pytań.

Hurst rzucił jej pełne urazy, ponure spojrzenie, ale wydawał się rozumieć sytuację. Przesunął dłonią po włosach.

- Tak, wiem. Proszę mi wybaczyć, że tak paplam. To chyba szok. Zawsze dużo mówię, gdy jestem zestresowany. Naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało. W jaki sposób...

- Nie wiemy, jaka była przyczyna pożaru, ale uznajemy ją za podejrzaną - wyjaśnił Banks. Geoff Hamilton użył słowa „wątpliwa”. Wiedział równie dobrze jak Banks, że pożar nie zaczął się przypadkiem. - Dobrze zna pan okolicę? - zapytał.

Hurst kiwnął głową.

- Myślę o niej jako o moim odcinku kanału. Czuję się odpowiedzialny.

- Za ślepą odnogę też?

- Tak.

- Co może mi pan powiedzieć o mieszkańcach tych barek?

Hurst podniósł czarną oprawę swoich okularów i potarł prawe oko.

- Ściśle rzecz ujmując, to nie są zwykłe barki, wie pan?
- Jak to?
- To barki rzeczne. Zwykłe barki transportowe są szersze i nie mogłyby manewrować na tym kanale.
- Ach tak? Jednak chciałbym się dowiedzieć, co pan powie o tych dzikich lokatorach.
- Niewiele. Dziewczyna była miła. Błada i chuda, biedactwo, wcale nie wyglądała dobrze, ale miała słodki uśmiech i była całkiem ładna. Zawsze się ze mną witała, ilekroć ją widziałem oczywiście. Ale to nie zdarzało się często.

Zapewne mówi o Tinie, pomyślał Banks, przypominając sobie pokryte pęcherzami zwłoki w spalonym śpiworze, poczerniałe ramię, w które wstrzyknęła sobie ostatnią działkę. - A jej chłopak, Mark?

- Tak ma na imię? Zawsze wydawał mi się trochę podejrzany. Jakby coś knuł albo miał zaraz coś zbroić.

Doświadczenie mówiło Banksowi, że wiele dzieciaków w wieku Marka i młodszych sprawia takie wrażenie.

- Co pan wie o facecie z drugiej łodzi?
  - Artysta.
- Banks spojrział na Annie, która uniosła brwi.
- Skąd pan wie, że był artystą?
  - Zaraz po tym, jak się tutaj wprowadził, zamontował świetlik oraz pomalował zewnętrzne ściany kajuty, dlatego uznałem, że na pewno wynajął albo kupił tę łódź i złożyłem mu sąsiedzką wizytę.
  - Jak przebiegła?
  - Przyjął mnie w drzwiach. Odwiedziny najwyraźniej nie były mu w smak. Nieniegancko się zachował.
  - Ale powiedział panu, że jest artystą?
  - Oczywiście, że nie. Przyjął mnie w drzwiach, ale stamtąd też widać, co jest w środku, prawda?
  - Co więc pan zobaczył?
  - Zobaczyłem sprzęt i wyposażenie pracowni malarskiej. Szta-lugę, tubki farby, palety, ołówki, węgiel rysunkowy, stare szmaty,



sterty płócien i papierów oraz mnóstwo książek. Bałagan był potworny, a smród jeszcze większy.

- Co tak śmierdziało?

- Nie wiem. Terpentyna. Farby. Klej. Właśnie, może facet wachał klej. Braliście to pod uwagę?

- Dotychczas nie, ale dziękuję za tę sugestię. Jak długo tam mieszkał?

- Mniej więcej pół roku. Od lata.

- Czy widział pan go przedtem?

- Raz albo dwa. Przechadzał się po ścieżce holowniczej ze szkicownikami w dłoni.

Może miejscowy, pomyślał Banks, to zapewne ułatwiłoby zebranie o nim informacji. Była żona Banksa, Sandra, pracowała kiedyś w galerii sztuki Eastvale Community Centre, dlatego wciąż miał tam znajomą. Perspektywa spotkania z Marią Phillips była mniej więcej tak samo kusząca jak randka z Cillą Black, ale Maria prawdopodobnie mogłaby mu pomóc. Miejscowy światek artystyczny miał przed nią niewiele tajemnic, do tego zbierała wszystkie plotki. Znał też Lesliego Whitakera, właściciela jedyneho antykwariatu w Eastvale, który dorabiał sobie jako marszand.

- Co jeszcze może pan o nim powiedzieć?

- Nic. Prawie go nie widywałem. Zapewne całymi dniami malował, zamknięty w kajucie. Zagubił się w swoim własnym świecie. Albo épał. Ale to przecież nic zaskakującego u artysty, prawda? Nie mam pojęcia, jakie bohomyzy malował. Moim zdaniem cała nowoczesna sztuka...

Banks zauważył, że Annie przewraca oczami i pociąga nosem, przewracając kartkę w swoim notatniku.

- Wiemy, że miał na imię Tom - przerwał gospodarzowi Banks. - Zna pan może jego nazwisko?

Hurst był niezadowolony, że przerwano mu krytyczną ocenę sztuki nowoczesnej.

- Nie - odpowiedział.

- Wie pan, do kogo należą te barki?  
- Nie mam pojęcia. Ale ktoś powinien był się nimi zająć. Bo widzi pan, one nie zostały całkiem zdewastowane. To wstyd i hańba, żeby je tak zostawić.

- Dlaczego więc właściciel niczego nie zrobił?  
- Myślę, że z braku pieniędzy.  
- Mógł więc je sprzedać - stwierdził Banks. - Barki rzeczne na pewno przynoszą niezłe dochody. Ludzie lubią spędzać wakacje na wodzie.

- Owszem - zgodził się Hurst. - Ale nabywca musiałby ponieść spore nakłady, żeby turyści chcieli z nich korzystać. Może pan nie wie, ale to były barki ciągnięte przez konie, a na takie nie ma dzisiaj wielkiego zapotrzebowania. Trzeba by więc zamontować silniki. Do tego centralne ogrzewanie, elektryczność i bieżącą wodę. Kosztowny interes. Turyści lubią pływać po kanałach, owszem, ale wymagają komfortowych warunków.

- Wróćmy do artysty Toma - zasugerował Banks. - Czy kiedykolwiek widział pan jego prace?

- Jak już mówiłem, cała współczesna sztuka to jedna wielka bzdura. Damien Hirst i podobne pierdoły. Weźmy na przykład Nagrodę Turnera...

- Mimo to ludzie są skłonni wydawać fortunę na te pierdoły - wtrąciła Annie. - Widział pan jakieś jego obrazy? Jeśli będziemy mieli choćby ogólne pojęcie o tym, co tworzył, ułatwi nam to ustalenie jego tożsamości.

- No cóż, o gustach się nie dyskutuje. Ale nie, nie widziałem żadnego z jego obrazów. Gdy składałem mu wizytę, sztaluga stała pusta. Może to był jakiś ekscentryk? Cierpiący geniusz. Może trzymał fortunę pod materacem swojego łóżka i ktoś go zabił, żeby mu ją ukraść?

- Dlaczego pan sądzi, że został zabity?
- Nie sądzę. Rozważam tylko głośno możliwości, i tyle.
- Teren wokół barek wygląda na raczej nieprzystępny - zmienił

temat Banks. - Którędy najwygodniej się tam dostać?

- Od ścieżki holowniczej - odpowiedział Hurst. - Ale najbliższy most jest na wschód stąd, każdy więc, kto się tam wybiera, musi minąć mój domek.

- Widział pan kogoś dzisiejszej nocy? Czy ktokolwiek szedł po ścieżce w stronę barek?

- Nie, ale oglądałem telewizję, mogłem więc nie zauważyć.

- Czy jest jakaś inna droga?

Hurst zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi.

- Jeśli wykluczyć pokonanie kanału wpływ, czego nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby robić, zwłaszcza o tej porze roku, to powiedziałbym, że druga najlepsza droga prowadzi od szosy przez las, bezpośrednio na zachód. Jeśli pamięć mnie nie myli, jest tam mała zatoczka parkingowa, którą dzieli od barek najwyżej sto metrów. Od miejsca, gdzie leśna droga dociera do drogi krajowej, trzeba by przejść półtora kilometra.

Banks zapamiętał, że wozy strażackie zaparkowały w miejscu, gdzie leśna droga raptownie skręcała. Za tym zakrętem biegła wzdłuż kanału. On i Annie zostawili swoje auta za pojazdami straży. Miał nadzieję, że nie zatarli żadnych śladów, które mogły się tam zachować. Poprosi sierżanta Nowaka i techników kryminalistycznych, żeby dokładnie zbadali ten konkretny fragment terenu.

- Czy kręcą się tutaj jacyś obcy? - zapytał.

- Latem wielu, ale o tej porze roku zwykle jest spokojnie.

- A przy odnodze kanału? Tam też się pojawiają?

- Mieszkam półtora kilometra od niej. Nie zajmuję się szpiegowaniem. Czasem widywałem mieszkańców barek, jadąc na rowerze po ścieżce holowniczej, to wszystko.

- Ale zauważył pan pożar?

- Nie dało się go przeoczyć.

- Dlaczego nie?

Hurst podniósł się z miejsca.

- Proszę za mną. - Spojrzał na Annie i uśmiechnął się. - Z góry

przepraszam za bałagan. To jedna z zalet kawalerskiego życia, że człowiek nie musi wszystkiego sprzątać i kłaść na swoje miejsce.

Annie wytarła nos. Banksa wcale nie zaskoczyła wiadomość, że Hurst jest kawalerem.

- Z wyjątkiem kolekcji płyt - uzupełnił.

Hurst odwrócił się i popatrzył na Banksa jak na wariata.

- Chyba pan rozumie, że to coś zupełnie innego?

Banks i Annie spojrzeli na siebie znacząco i po skrzypiących schodkach ruszyli za gospodarzem do pokoju na lewo. Miał rację co do bałaganu. Sterty ubrań czekających na upranie, chwiejny stos książek przy nieposłanym łóżku, wiele z nich o historii kanałów. Banks zauważył kilka hitów Toma Clancy'ego, Fredericka Forsytha i Kena Folletta, wszystko tanie wydania w miękkich oprawkach. W powietrzu wisiał smród niepranych skarpet i zastałego potu. Banks pomyślał, że w tym wypadku zatkany nos Annie działa na jej korzyść.

Ale Hurst miał rację. Za oknem sypialni roztaczał się widok na brzeg kanału po zachodniej stronie, w kierunku ślepej odnogi. Teraz unosiła się mgła, ale przez całą noc i wczesny poranek powietrze było przejrzyste. Hurst nie widział samej odnogi, ponieważ zasłaniały ją drzewa, ale na pewno nie mógłby przeoczyć płomieni, gdy przed snem podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony.

- Co pan miał na sobie? - zapytał Banks.

- Na sobie?

- Tak, pytam o ubranie. Co pan włożył, jadąc wczoraj na rowerze do pożaru.

- Ach, o to chodzi. Dżinsy, koszulę i gruby wełniany sweter, a na to anorak.

- Czy te same dżinsy ma pan teraz na sobie?

- Nie, przebrałem się.

- A gdzie są tamte?

- Pyta pan o dżinsy?

- Tak, panie Hurst. Pańskie ubranie będzie nam potrzebne do badań.

- Nie myśli pan chyba, że ja...
- Proszę mi dać te rzeczy.
- Musiałem je uprać - stwierdził Hurst. - Bardzo nieładnie pachniały dymem i spalenizną.

Banks zmierzył wzrokiem stertę ubrań czekających na upranie, po czym spojrział na Hursta.

- Chce pan mi powiedzieć, że tak szybko znalazł pan czas, żeby uprać rzeczy, które miał pan na sobie wczoraj wieczorem?

- Właśnie tak... Zrobiłem to zaraz po powrocie do domu. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale czy mogłem przypuszczać, że będzie pan chciał poddać je jakimś badaniom?

- Co z anorakiem?
- Anorak też...
- Uprał pan anorak?

Hurst przełknął ślinę.

- Z metki wynikało, że można prać w pralce.

Banks westchnął. Ślady cieczy łatwopalnych mogą przetrwać gaśnienie pożaru, bo strażacy używają zimnej wody. Proszek i wrzątek usuną pewnie wszystko.

- Mimo to je weźmiemy - zapowiedział. - Co z butami? Też włożył je pan do pralki?

- To niedorzeczne!

- Dziękujemy Bogu choć i za to - powiedział Banks, gdy schodzili po schodkach. - O której godzinie zwykle pan się kładzie?

- O której chcę. Kolejna zaleta kawalerskiego życia. Wczoraj wieczorem oglądałem dobry film.

- Jaki?

- Ach, stara policyjna sztuczka, żeby sprawdzić, czy nie kłamię? No cóż, to prawda, że nie mam alibi. Byłem sam przez cały wieczór. Właściwie przez cały dzień. Ale naprawdę oglądałem *O jeden most za daleko* na Sky Cinema. Filmy wojenne to kolejna moja pasja.

Hurst zaprowadził ich do maleńkiej kuchni, gdzie unosił się zapach skisłego mleka. Anorak wisiał na oparciu krzesła, wciąż wil-

gotny, a reszta ubrań suszyła się w suszarce. Hurst wygrzebał plastikową reklamówkę i Banks wepchnął do niej ciuchy razem z butami, które stały na wycieracze w przedpokoju.

- O której skończył się film? - zapytał Banks, gdy wrócili do salonu.

- O pierwszej. Może pięć po, albo jakoś tak. Programy nigdy się nie kończą o równej godzinie, zauważył pan?

- Gdy więc wyjrzał pan przez okno swojej sypialni około pierwszej w nocy...

- Zanim dokonałem wieczornych ablucji, był już pewnie kwadrans po.

*Ablucje.* Banks nie słyszał tego słowa od lat.

- W porządku - ciągnął. - Mniej więcej kwadrans po pierwszej, gdy wyjrzał pan przez okno swojej sypialni, co pan zobaczył.

- Jak to co? Płomienie.

- Zorientował się pan, co płonie?

- Natychmiast. Drewniane łodzie to śmiertelna pułapka. Deski ponad poziomem wody są suche jak szczapy.

- Wiedział pan więc, co się dzieje?

- Oczywiście, że tak.

- Jak pan zareagował?

- Wsiadłem na rower i pojechałem ścieżką wzdłuż kanału.

- Ile to panu zajęło?

- Nie wiem. Nie mierzyłem czasu.

- Mniej więcej? Pięć minut, dziesięć?

- Nie jeżdżę szybko. W każdym razie nie pędziłem, jakbym chciał wygrać Tour de France.

- Czyli, powiedzmy, dziesięć minut.

- Powiedzmy.

- Co pan zrobił potem?

- Zadzwoiłem po straż pożarną.

- Skąd?

Klepnął się po kieszeni.

- Z komórki. Zawsze mam ją przy sobie. Na wszelki wypadek... Funkcjonariusze British Waterways lubią wiedzieć, co się dzieje.

- Pracuje pan dla British Waterways?

- Formalnie nie. To znaczy nie jestem tam zatrudniony. Staram się po prostu być użyteczny. Gdyby te dwie barki nie znajdowały się w takim opłakanym stanie i gdyby nie stały zacumowane w tak ustronnym miejscu, to inspektorzy British Waterways na pewno coś by z nimi zrobili.

- O której pan zadzwonił po straż?

- Nie pamiętam.

- Czy będzie pan zaskoczony, słysząc, że wezwanie zarejestrowano o pierwszej trzydzieści jeden?

- Skoro pan tak mówi.

- Owszem. To piętnaście minut po tym, jak pan zobaczył, że się pali, i wsiadł na rower.

Hurst mrugnął oczami.

- Tak.

- Co pan robił po wezwaniu strażaków?

- Czekałem, aż przyjadą.

- Nie przyszło panu do głowy, żeby coś zrobić?

- Na przykład co?

- Sprawdzić, czy ktoś się znajduje na pokładzie.

- Ma mnie pan za szaleńca? Nawet strażacy nie ryzykowali wejścia na pokład, dopóki nie oblali go wodą, a mieli na sobie ubrania ochronne.

- Tylko że wtedy było już za późno.

- Co pan chce powiedzieć?

- Nikt już nie żył.

- No cóż... Tłumaczyłem im, jakie to niebezpieczne. Znaczą mieszkanie na barce. Pewnie któreś z nich używało zdezelowanego piecyka. I ta terpentyna. Wiem, wiem, zima była łagodna, ale mimo wszystko... Mamy styczeń.

- Panie Hurst, co pan myślał, widząc łunę nad linią drzew, gdy

wsiadał pan na rower? - zapytała Annie.

Hurst spojrział na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

- Że muszę ustalić, co się dzieje.

- Sam pan przecież stwierdził, że nie było wątpliwości.

- Przecież musiałem mieć pewność, prawda? Nie mogłem wszczynać alarmu na podstawie domysłów.

- Jak pan sądzi, co jeszcze mogło dawać pomarańczową łunę?

- Nie wiem. Nie myślałem logicznie. Po prostu wiedziałem, że muszę tam pojechać.

- Mimo to nie zrobił pan nic po przybyciu na miejsce.

- Było za późno. Już to mówiłem. Nie mogłem nic zrobić. - Hurst pochylił się do przodu, agresywnie wysuwając dolną szczękę. Spojrział na Banksa. - Niech pan posłucha. Nie wiem, do czego ona zmierza, ale...

- To proste - przerwał mu Banks. - Detektyw Cabbot się dziwi, dlaczego postanowił pan przejechać na rowerze półtora kilometra po ścieżce holowniczej, i to powoli, skoro już pan wiedział, że barki się palą, że są drewniane, a deski wyschły tak bardzo, że spłoną w mgnieniu oka. Mnie także to dziwi. Zastanawiam się też, dlaczego nie zrobił pan tego, co zrobiłby każdy normalny człowiek na pana miejscu. Dlaczego nie wezwał pan straży pożarnej od razu. Stąd.

- Nie ma powodu, żeby się wściekać. Nie myślałem logicznie. Już mówiłem. Nikt nie myśli logicznie w takiej sytuacji... To szok. Może ma pan rację. Teraz myślę, że powinienem był zadzwonić od razu. Ale... - Pokręcił wolno głową.

- Czekałem, aż pan powie, że wsiadł pan na rower, żeby sprawdzić, czy coś da się zrobić. Jakoś pomóc tam na miejscu - stwierdził Banks.

Hurst tylko się na niego gapił z opuszczoną dolną szczęką. Poprawił okulary.

- Ale pan tego nie powiedział - ciągnął Banks. - Nie spróbował pan nawet skłamać.

- Co to znaczy?



- Nie wiem, Andrew. Niech pan mi powie. Przychodzi mi do głowy tylko tyle, że chciał pan się pozbyć tych barek oraz ludzi, którzy na nich nielegalnie mieszkali, że nie wezwał pan straży pożarnej natychmiast, gdy zauważył pan pożar i że włożył pan swoje ubrania do pralki. Zapewne nie można pana winić za to, że nie wskoczył pan na płonący pokład, ale te piętnaście minut, kiedy pedałowal pan po ścieżce holowniczej, zwlekając z sięgnięciem po telefon, mogło bardzo wiele zmienić. Zastanawiam się też, czy wtedy był pan tego świadomy. - Banks spojrzal na Annie i obydwójce podnieśli się z foteli. - Niech pan nie wstaje - powiedział do Hursta. - Sami znajdziemy drogę. I proszę się nie oddalać od miejsca zamieszkania. Wkrótce znów będziemy chcieli z panem porozmawiać.

Nie tylko Banks miał przykre wrażenie, że weekend wymyka mu się spod kontroli. Parkując przed wiktoriańskim szeregowcem na Blackmore Street w południowej części Eastvale, wycierając obolały nos i zerkając na numerację budynków, Annie uświadomiła sobie, że pożar na barkach, a właściwie barkach rzecznych, jak dowodził Andrew Hurst, najpewniej da jej zajęcie na najbliższe dni. Miała nadzieję, że w weekend przyjedzie z Londynu Phil Keane, mężczyzna, z którym się spotykała od kilku miesięcy - jeśli oczywiście pozwalały na to obowiązki służbowe, co nie zdarzało się często. Phil pochodził z południa, ale odziedziczył po dziadkach dom w Fortford, gdzie lubił przebywać bez względu na porę roku. Gdyby jednak coś mu wypadło, Annie chciała poświęcić wolne dni na kurowanie się.

Annie wysiadła z samochodu i rozejrzała się. Większość domów w tej okolicy zajmowali słuchacze studium pomaturalnego. Wiele się tu zmieniło, odkąd Annie zaczęła pracę w Eastvale. Bagniste nieużytki między kilkoma rozrzuconymi domami a przysadzistymi budynkami szkolnymi zamieniły się w park nazwany imieniem mało znanego afrykańskiego rewolucjonisty, z klombami, które wiosną mogłyby śmiało konkurować z tymi w Harrogate. W ostatnich latach pojawiło się tam też kilka kawiarni i modnych restauracji. Studenci nie są tak

biedni jak kiedyś, zgadywała Annie, zwłaszcza ci zagraniczni. Wiele starych budynków poddano remontom. Większe mieszkania i malutkie kawalerki urządzono całkiem komfortowo. Podobnie jak pozostała część Eastvale, studium się rozrosło, a jego zarząd doskonale wiedział, że o nowych słuchaczy trzeba się starać.

Tego ranka jednak, w lepkiej styczniowej mgle okolica nabrała przerażającego surrealistycznego wyglądu. Wyłaniające się z oparów wysokie, kryte łupkową dachówką budynki z wymyślnymi wieżyczkami wyglądały jak wyjęte wprost z gotyckiego horroru. Między nagimi drzewami w parku Annie widziała samotny, oświetlony na czerwono szyld Blue Moon Café and Bakery, oferującej tanie śniadania. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie zajść tam na jajecnicę z grzybami i fasolką na tostach - jako wegetarianka zrezygnowałaby z kiełbasy i bekonu - ale odrzuciła ten pomysł. Zje coś zdrowszego później, gdy wróci do centrum. Poza tym, pomyślała, zerkając na wysoki budynek, musi sprawdzić alibi podejrzanego.

Podeszła do wejścia i przejrzała nazwiska przy domofonie. Mandy Patterson. To z nią chciała porozmawiać. Wcisnęła dzwonek. Trwało całą wieczność, zanim w końcu w głośniku odezwał się zaspany głos.

- Kto tam?

Annie przedstawiła się.

- Policja? - Mandy wyraźnie się zaniepokoiła. - Dlaczego? Co się stało? Czego pani chce?

Annie była przyzwyczajona do takiej reakcji obywateli, którzy albo czuli się winni z powodu jakiegoś zaległego mandatu za wykroczenie drogowe czy parkowanie w niedozwolonym miejscu, albo po prostu nie zamierzali w nic się wplątać.

- Chciałam tylko porozmawiać, to wszystko - powiedziała, starając się, by jej słowa brzmiały jak najbardziej przyjacielsko i przekonująco. - Chodzi o Marka.

- Pierwsze piętro, po lewej stronie. Mieszkanie numer trzy.

Annie usłyszała brzęczyk i pchnęła drzwi. Wnętrze okazało się o wiele mniej ponure. Gruba wykładzina na schodach wyglądała na

całkiem nową, korytarz był czysty i zadbane, wszystko dobrze oświetlone. Lepiej niż za jej studenckich czasów, pomyślała Annie, choć przecież te czasy się skończyły ledwie piętnaście lat temu.

Annie wspięła się po stromych schodach i zapukała do drzwi z numerem trzy. Chociaż nie narzekała na kondycję, była zadowolona, że Mandy nie mieszka na samej górze. To cholerne przeziębienie odbierało jej energię i przyprawiało o zawrót głowy przy każdym wysiłku.

Nie mogła też medytować. Siedząc w pozycji kwiatu lotosu i próbując się skoncentrować na punkcie między brwiami, którą przepływa oddech, czuła tylko opuchnięty nos i gęstą flegmistą wydzielinę.

Dziewczyna, która otworzyła drzwi, wyglądała, jakby dopiero co się obudziła, bo też tak zapewne było. Przetarła oczy, zerkając na Annie.

- To pani jest z policji? - zapytała, przenosząc wzrok z szynela na długi szalik, a następnie wysokie buty.

- Obawiam się, że tak.

Annie poszła za nią do pokoju. Może dlatego, że po rozmowie przez domofon Mandy wiedziała, że ma do czynienia z kobietą, a może dlatego, że nie przejmowała się nagością, dziewczyna nie narzuciła niczego na długi biały, bawełniany podkoszulek z logo pubu George and Dragon na piersi. Annie pomyślała, że jest o wiele za zimno na tak skąpe odzienie, ale niebawem poczuła, że kawalerka ma centralne ogrzewanie. Jeszcze jedna zmiana od jej studenckich czasów, kiedy co rano musiała się zbierać na odwagę, żeby wyskoczyć spod sterty koców prosto pod piec gazowy z nadzieją, że pięciopensówka wrzucona poprzedniego wieczoru jeszcze wystarczy.

Zdjęła szynel i stwierdziła, że bez niego jest jej dostatecznie ciepło.

- Obudziła mnie pani - rzuciła Mandy przez ramię.

- Przepraszam. Taka praca - odparła Annie. Zwinięta pościel na materacu pod oknem potwierdzała słowa dziewczyny.

- Może herbaty? Ja muszę się napić. Rano nie potrafię myśleć bez filiżanki herbaty.

- Chętnie, skoro i tak zaparzasz. - Annie zauważyła, że dziewczyna mówi z akcentem charakterystycznym dla klasy wyższej. Co więc robiła z Markiem? Zadowolala się byle czym? Lubiła prymitywnych facetów?

Aneks kuchenny oddzielała cienka zielona zasłona, którą Mandy zostawiła odsuniętą, gdy szła włączyć czajnik elektryczny. Annie usiadła w jednym z dwóch małych foteli przed kominkiem, w którym stał wazon z suszonymi fioletowo-żółtymi kwiatami oraz pawimi piórami. Na ścianie wisiał plakat ze *Słonecznikami* van Gogha, a w tle cicho grało radio. Annie poznała stary kawałek Pet Shop Boys - *Always on My Mind*. To był prawdziwy hit za jej studenckich czasów w Exeterze. Lubiła Pet Shop Boys.

Muzyka przywołała wspomnienie Ricka Stensona, z którym wtedy chodziła. Przystojny jasnowłosy student medioznawstwa zawsze wyśmiewał jej muzyczne gusty, bo sam słuchał Joy Division, Elvisa Costello, Dire Straits i Tracy Chapman. Uważał, że jest lepszy od tych, dla których idolami byli Pet Shop Boys, Enya czy Fleetwood Mac. Za to ciągle głądził o początkach Fleetwood Mac, gdy jeszcze grał z nimi Peter Green. Co ona w nim widziała? Był cholernie aroganckim snobem i nawet w łóżku się niespecjalnie sprawdzał, ponieważ przejawiał ciągoty do wszystkiego, co oczywiste oraz absolutny brak wyobraźni. Ach, błędy młodości!

Mandy wróciła z herbatą i usiadła na drugim fotelu, podwijając nogi. Rąbek białego podkoszulka ledwie zakrywał jej szczupłe uda. Kręcone kasztanowe włosy, potargane po nocy, okalały twarz w kształcie serca z wąskimi ustami, małym nosem i piaskowobrązowymi oczami. Brwi ma piękne jak Brooke Shields, pomyślała z zazdrością Annie, sama narzekająca na raczej marną oprawę oczu.

- Co robiłaś w nocy? - zaczęła Annie.
- Co pani na myśli? O co pani chodzi?
- Czy pozwolisz, że to ja będę zadawała pytania? - Annie nie

miała pojęcia, dlaczego cierpko traktuje tę dziewczynę, ale tak ją traktowała. Może ze względu na irytację, którą wyczuwała w jej głosie, a może z powodu brwi i łydek. Wyjęła papierową chusteczkę i wyczyściła nos. W mieszkaniu zrobiło się gorąco i czuła pot skraplający się pod pachami. A może to z powodu gorączki wywołanej przeziębieniem?

Mandy nadaśała się, wypła łyk herbaty, po czym powiedziała:

- Okej, niech pani pyta.
- Czy Mark był tu z tobą?
- Mark? Oczywiście, że nie. To śmieszne! Co on takiego zrobił?

Jeśli powiedział...

- Ale znasz go, prawda?

Mandy bawiła się pasemkiem swoich włosów, zwijając je i prostując na zmianę.

- Jeśli ma pani na myśli Marka Siddonsa, to owszem, znam go.

Przychodzi czasem do pubu, gdy pracuje na budowie.

- Na której budowie?
- Po drugiej stronie parku. Stawiają nowy ośrodek sportowy dla college'u.

- Przyjaźnicie się z Markiem?
- Powiedzmy.

Annie pochylila się do przodu.

- Mandy, to może się okazać bardzo ważne. Czy Mark był tutaj ubiegłej nocy?

- Myśli pani, że kim ja jestem?

- Na litość boską! - jęknęła Annie, czując, jak kręci jej się w głowie od gorączki i ze złości. - Sprawa jest prosta. Ja zadaję pytania, a ty mi na nie uczciwie odpowiadasz. Nie przyszłam tutaj, żeby cię osądzać. Wszystko mi jedno, kim jesteś. Równie dobrze możesz lubić prymitywnych facetów i Mark...

Mandy poczerwieniała.

- To nie było tak!
- Powiedz mi więc, jak było.

- O co chodzi? Co takiego Mark zrobił?

Annie nie zamierzała pozwolić Mandy na wykręcanie się od jasnej odpowiedzi. Wiedziała, że nawet najbliższa informacja może się okazać kluczowa.

- Najpierw odpowiedz na moje pytania, potem wyjaśnię, dlaczego je zadaję.

- To nie fair.

- To moje ostatnie słowo. Możesz się zgodzić lub nie.

Mandy rzuciła jej gniewne spojrzenie, po czym znów zaczęła się bawić włosami. Dopiero po chwili przerwała milczenie.

- Mark kilka razy przychodził do pubu w porze lunchu, jak mówiłam. Były wakacje, brałam więc dodatkowe zmiany. Polubiłam go. Wcale nie jest prymitywny. - Spojrzała na Annie z pretensją. - Na pierwszy rzut oka mógł się taki wydawać, ale w głębi duszy jest... jest miłym facetem, jakich nie spotyka się wielu.

Taka młoda i taka cyniczna, powiedziała w duchu Annie, ale Mandy miała rację. Annie pomyślała o Banksie, który jest miłym facetem, a mimo to się z nim rozstała. Może powinna była się go trzymać? Miał teraz nową dziewczynę, chociaż niewiele o niej mówił. Annie z zaskoczeniem obserwowała budzącą się w niej zazdrość, gdy Banks wyjeżdżał na weekend. Czy była młodsza? Ładniejsza? Lepsza w łóżku? A może tylko sprawiała mniej trudności? Ale przecież nie bez powodu podjęła taką a nie inną decyzję, niech więc będzie, co ma być.

- Trochę flirtował, potem rozmawialiśmy - ciągnęła Mandy. - Wie pani, jak to jest.

- A wczoraj wieczorem?

- Przyszedł do pubu późno. Wydawał się zmartwiony.

- Czym?

- Nie powiedział. Ale był przygnębiony, jakby miał za dużo na głowie.

- Która była godzina?

- Mniej więcej za kwadrans jedenasta. Tuż przed zamknięciem.

Wypił tylko jedno piwo.

- Co potem?
- Zaprosiłam go tutaj na kawę.
- Czyli jednak tu był?
- Tak.
- Dlaczego mnie okłamałaś?
- Nie chciałam, żeby mnie pani uznała za zdzirę. Bo wcale się tak nie zachowałam. Zaprosiłam go na kawę, bo zrobiło mi się go szkoda.
- Co było potem?
- Głównie rozmawialiśmy.
- Głównie?

Mandy spuściła wzrok i przez chwilę badawczo przyglądała się paznokciowi kciuka.

- No wie pani... Od słowa do słowa, a potem... Nie muszę chyba zdradzać szczegółów?
- O czym rozmawialiście?
- O życiu.
- Szeroki temat. Możesz go trochę zawęzić?
- Wie pani, związki, nadzieje na przyszłość, te sprawy. Wcześniej nie rozmawialiśmy naprawdę poważnie. - Zmarszczyła brwi. - Nic mu się nie stało, prawda? Niech mi pani powie, że nic mu jest.
- Jest cały i zdrowy - zapewniła ją Annie. - Czy wspominał o Tinie?
- Tina? Kto to jest?
- Nieważne - ucięła Annie. - O czym mówił?
- Czy on ma dziewczynę? Nic o niej nie wspominał. Niewierny skurwiel!

- Mandy, czy pamiętasz, co ci mówił?

Mandy potrzebowała kilku chwil, żeby zapanować nad złością i odpowiedzieć na zadane pytanie.

- O łodzi. Że mieszka na jakiejś łodzi. Że pracuje na budowie, ale chciałby się zająć kamieniarstwem i odnawianiem kościołów. Powiedział, że ma siostrę, która ćpa, i że chce jej pomóc. Różne takie

rzeczy. Jak mówiłam: życie, marzenia. Zaraz, zaraz... Czy ta Tina to nie była przypadkiem jego siostra?

- Nie wiem - skłamała Annie. - Czy wspominał może o mężczyźnie imieniem Tom?

- Tom? Nie. Kto to taki?

- Sąsiad. Malarz, który mieszkał na barce obok Marka.

Mandy pokręciła głową. Brązowe loki podskoczyły.

- Nie - zapewniła. - Nie wspominał o żadnym Tomie. Mówił tylko, że bardzo mu się na tej barce podoba, bo jest spokojnie i cicho. Narzekał tylko na jakiegoś starego czubka, który próbował go stamtąd wykurzyć.

Pewnie chodziło o Andrew Hursta, pomyślała Annie, śmiejąc się w duchu z określenia, które usłyszała.

- O której stąd wyszedł?

- Nie wiem. Późno. Właściwie już spałam i nawet nie zauważyłam, jak wychodzi.

- Jak późno - naciskała Annie. - O pierwszej? O drugiej?

- Nie, zdecydowanie później. Naprawdę rozmawialiśmy przez kilka godzin, przynajmniej do drugiej. Dopiero potem...

- Co potem?

- No wie pani. Ale już po wszystkim wydawał się podenerwowany. Mówił, że nie może spać. Powiedziałam mu więc, żeby sobie poszedł, bo muszę się wyspać przed pracą.

- Czyli było po drugiej?

- Nawet bliżej trzeciej.

- Czas na mnie - stwierdziła Annie, wstając z miejsca.

- Teraz pani kolej - przypomniała Mandy już przy drzwiach.

- Co?

- Obiecała mi pani powiedzieć, dlaczego zadaje te wszystkie pytania.

- Ach, o to chodzi. Przeczytasz o wszystkim w porannych gazetach - powiedziała i ruszyła w stronę schodów. Po chwili rzuciła jeszcze przez ramię: - Albo po prostu włącz radio.



Dopiero przed południem Banks zdołał w pełni uruchomić biurokracyjną maszynę śledztwa w sprawie morderstwa. Trzeba było powołać zespół, przydzielić zadania oraz zamówić jednostkę mobilną, żeby stacjonowała nad kanałem. Już wcześniej Banks zlecił, żeby tuzin funkcjonariuszy przeczesywał teren wokół barek oraz miejsca, z których najwygodniej było się do nich dostać, włącznie z fragmentem lasu, gdzie ukrywał się Mark. Gdyby coś znaleźli, mieli to zagrodzić i czekać na przybycie techników kryminalistycznych. Niestety najbliższym zamieszkanym miejscem był dom Andrew Hursta. Wioska Molesby znajdowała się kilometr dalej, w kotlinie po drugiej stronie kanału, Banks nie spodziewał się więc, że przepytywanie mieszkańców cokolwiek da. Ale i tak trzeba przejść od domu do domu. Ktoś mógł coś zauważyć albo usłyszeć.

Banks wrócił do swojego gabinetu. Lewy policzek nadal go bolał w miejscu, gdzie jakaś gałąź przecięła skórę, gdy gonił Marka między drzewami. W płucach piekło go, jakby wypalił paczkę papierosów. Niczego na świecie nie pragnął teraz bardziej, niż iść do domu, wziąć długi prysznic i zdrzemnąć się chwilę przed pracą, nie mógł jednak sobie na to pozwolić. Działal pod presją czasu.

Geoff Hamilton, który nadal przebywał na miejscu pożaru, zdążył już interweniować w zakładzie kryminalistyki, żeby przyspieszono ustalanie rodzaju cieczy łatwopalnej w próbkach pobranych z pogrzeliska. Patolog doktor Glendenning miał przeprowadzić pierwszą sekcję zwłok po południu, zaczynając od Toma, ponieważ to na jego barce powstał pożar. Banks wiedział, że trochę na wyrost podjął decyzję, żeby traktować sprawę jako podwójne zabójstwo, powinien bowiem poczekać, aż Geoff Hamilton i doktor Glendenning podadzą mu informacje niezbędne do jej podjęcia, ale wystarczyło mu to, co zobaczył na pokładzie obydwu barek. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny po odkryciu poważnego przestępstwa są kluczowe dla śledztwa, potem ślady szybko stygną. Będzie więc się martwić, jeśli dostanie opieprz od zastępcy komendanta głównego policji

McLaughlina, gdy jego przypuszczenia okażą się błędne, a koszty, na które naraził jednostkę, zupełnie niepotrzebne. Na razie przekonał komendanta Kathleen Finlay oraz nadinspektora Gristhorpe'a o konieczności natychmiastowego działania, śledztwo więc zaczęło się toczyć. On sam je nadzorował, Annie została jego zastępczynią.

Banks musiał zrobić jeszcze jedno, zanim mógł choćby pomyśleć o lunchu. Zatelefonował na dół do oficera dyżurnego izby zatrzymań i polecił, żeby przyprowadzić do jego gabinetu Marka, którego pełne nazwisko, jak ustalono, brzmiało Mark David Siddons. Testy nie wykazały żadnych śladów substancji chemicznych na jego dłoniach. Ubranie chłopaka natomiast czekało jeszcze w laboratorium na chromatografię gazową, której przeprowadzenie musiało trochę potrwać. Mark nie był więc poza podejrzeniami.

Czekając, Banks włączył trzeci program BBC. Puszczała muzykę kameralną. Nie rozpoznał utworu, ale kojące brzmienie w sam raz się nadawało na tło rozmowy. Banks nie przypuszczał, żeby Mark był fanem muzyki poważnej, ale to się nie liczyło. Nie na niej przecież chłopak będzie się koncentrował. Banks miał w pamięci niedawno przeczytany artykuł o tym, że muzykę poważną puszczano na stacjach metra, żeby zniechęcić młodych ludzi do atakowania podróży. Najwidoczniej odstraszała prymitywów. Może powinni puszczać Mozarta albo Bacha przez głośniki na ulicach centrów miast, zwłaszcza w godzinach zamykania pubów.

Spojrzał na kalendarz. Styczniowe zdjęcie przedstawiało ośnieżony stok w Swaledale usiany owcami o czarnych pyskach.

Wreszcie do drzwi zastukał funkcjonariusz i w progu stanął Mark.

- Usiądź - powiedział Banks.

Mark z niepokojem rozejrzał się po gabinecie, po czym przycupnął na krawędzi krzesła.

- Co się dzieje? - zapytał. - Pan coś wie? Chodzi o Tinę, prawda?

- Wyraży współczucia, Mark - powiedział Banks.

Głośne wycie, które wydobyło się z drobnego ciała Marka, zaskoczyło Banksa. Podobnie jak wściekłość, z którą chwycił swoje

krzesło i cisnął nim w drzwi, a potem stanął nieruchomo, tylko jego piersią wstrząsał szloch.

Natychmiast do środka zajrzał funkcjonariusz z izby zatrzymań. Banks gestem kazał mu wyjść. Przez długi czas Mark stał odwrócony tyłem, ze zwieszoną głową i zaciśniętymi pięściami, łkając. Banks pozwolił mu na to. Muzyka grała cicho w tle i Banks doszedł do wniosku, że to adagio z któregoś z późnych kwartetów smyczkowych Beethovena. W końcu Mark otarł twarz ramieniem, podniósł krzesło z podłogi i usiadł, wpatrzony w swoje kolana.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Nic się nie stało - odparł Banks.

- Ja... chyba wiedziałem. Od samego początku wiedziałem, jak tylko zobaczyłem ten pożar, że nie miała szansy stamtąd uciec.

- Nie cierpiała, jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

Mark otarł ciekący nos wierzchem dłoni. Banks podał mu pudełko chusteczek, które przeleżały na biurku nikomu niepotrzebne, odkąd w grudniu pozbył się przeziębienia.

- I nigdy już nie będzie cierpiała - stwierdził Mark i pociągnął nosem. - Jest pan pewien, że jej nie bolało? Słyszałem potworne rzeczy o pożarach.

- Wygląda na to, że zmarła we śnie uduszona dymem, zanim zdążyła się zorientować, że wybuchł pożar. - Banks miał nadzieję, że się nie myli. - Posłuchaj, Mark. Czeka nas długa droga. Jeśli jest jeszcze coś, o czym chcesz mi powiedzieć, to powinienesz to zrobić teraz.

Mark podniósł wzrok.

- Nie ma nic więcej - stwierdził. - Mówiłem prawdę o tym, gdzie byłem. Teraz mogę tylko żałować, że tam poszedłem, Bóg mi świadkiem.

- A więc nie było cię między dziesiątą trzydzieści a czwartą rano?

- Tak, mniej więcej w tych godzinach. Jestem pewien, że testy...

- Muszę to usłyszeć z twoich ust. - Banksowi było żal tego

dzieciaka, ale musiał przestrzegać procedur. - Mamy do czynienia z morderstwem - dodał. - Właściwie z dwoma morderstwami, chcę więc od ciebie znacznie więcej informacji.

- Ktoś zamordował Tinę? Po co ktoś by to zrobił? - Oczy Marka znów zaszyły łzami.

- Prawdopodobnie nie była zamierzoną ofiarą, ale to nie ma znaczenia. Tak, ktoś ją zamordował.

- Chodziło o Toma?

- Można tak przypuszczać. Ale jest coś jeszcze, kolejne przestępstwo.

Mark otarł oczy.

- Jakie?

- Czy ty bierzesz, Mark?

- Co?

- Czy jesteś uzależniony? Ćpasz?

- Wiem, co to znaczy.

- Więc jak, jesteś ćpunem?

- Nie.

- A Tina była?

- Tina była...

- Dokończ!

- Już nic.

- Posłuchaj, Mark. Obok niej znaleźliśmy strzykawkę. Nie zamierzam cię za nic wsadzać do paki, ale musisz mi powiedzieć prawdę. To może się okazać ważne.

Mark oglądał swoje buty.

- Mark! - ponaglił go Banks.

W końcu Mark przeciągle westchnął i powiedział:

- Nie była uzależniona. Brała, owszem, ale nie musiała. Potrafiła się obejść bez towaru.

- Ale częściej brała?

- Tak.

- Co?

- Jak leci. Heroinę, jeśli miała. Morfinę. Metadon. Demerol. Walium. Tabletki na uspokojenie. Żeby tylko zapomnieć. Ale niczego z amfą. Twierdziła, że ją to za bardzo ożywia, a z tego brała się tylko paranoja. Nie lubiła trawy, kwasów i ecstasy. Po nich widziała rzeczy, których nie chciała zobaczyć. Powinienem być z nią zostać. Była taka przerażona!

- Czego się bała?

- Wszystkiego. Życia. Ciemności. Mężczyzn. Miała ciężkie życie. Właśnie dlatego... To była ucieczka.

- Czy Tina miała jakieś narkotyki, gdy wychodziłeś?

- Trochę heroiny. Właśnie ją przygotowywała. - Mark znów się rozplakał. Banks zauważył, że chłopak zaciskał dłonie w pięści, kiedy mówił. Miał tatuaże na palcach. Ale nie LOVE i HATE jak Robert Mitchum w *Nocy myśliwego*, tylko TINA i MARK.

- Skąd wzięła heroinę?

- Od dealera w Eastvale.

- Jak się nazywa?

Mark zawahał się. Banks widział walkę malującą się na twarzy chłopaka: nie w smak mu było donosić na kogokolwiek, nawet na dealera. W końcu zwyciężyło uczucie do Tiny.

- Danny - powiedział. - Danny Corcoran.

Banks słyszał o Danny'ego „Boyu” Corcoranie. Typ był pomniejszym dealerem i chłopcy z wydziału narkotykowego obserwowali go od wielu tygodni, żeby ich doprowadził do większego dostawcy. Na razie bez skutku.

- Skąd się o nim dowiedziałeś?

- Od znajomego w Leeds. Mieszkał z nami na squacie.

- Jak długo Tina brała?

- Już ćpała, jak ją poznałem.

- Czyli kiedy?

- Jakieś pół roku temu.

- Jak się poznaliście?

- Na squacie w Leeds.

- Jak trafiliście na barcę?

- Nie podobało nam się na squacie. Mieszkały tam ciemne typy, a jeden skurwiel ciągle ją obmacywał. Pobiliśmy się. Poza tym było brudno. Nikomu nie chciało się sprzątać. Może pan sobie różnie myśleć o mnie i o Tinie, ale jesteśmy porządnymi ludźmi, nie lubimy żyć w syfie. Barka wymagała sporo pracy, ale daliśmy radę.

- Skąd się o niej dowiedzieliście?

- Ja wiedziałem. Już wcześniej. Chodziłem na spacerówkę po ścieżce wzdłuż kanału, czasem się zatrzymywałem i myślałem, jak to by było tam zamieszkać.

- Kiedy tam spacerowałeś?

- Rok temu.

- Czyli jesteś z tych stron? Z Eastvale?

Mark przecząco pokręcił głową. Banks nie naciskał.

- Mów dalej - zachęcił.

- Po prostu chcieliśmy być razem, tylko we dwoje, żeby nikt z nas nie zdzierał, ani się nie wpięprzał w nasze życie. Próbowaliśmy odzwyczaić Tinę od dragów. Kochałem ją. Może pan mi nie wierzyć, ale ją kochałem. Opiekowałem się nią. Potrzebowała mnie, a ja ją zawiodłem.

- Co z jej rodzicami? Będziemy chcieli się z nimi skontaktować.

Ktoś musi zidentyfikować zwłoki.

Mark spojrział ostro na Banksa.

- Ja to zrobię - oświadczył.

- To musi być rodzina. Najbliższy krewny.

- Powiedziałem, że ja to zrobię. - Założył ręce na piersi.

- Nie robisz nam łaski, Mark. Tak czy inaczej się dowiemy.

- Nie chciałaby, żeby te łajzy się do niej zbliżały.

- Dlaczego?

- Dobrze pan wie.

- Czy była molestowana?

Chłopak skinął głową.

- Jej ojczym. Robił to regularnie, a jej matka nie protestowała.

Bała się stracić tego żalosego skurwysyna. Przysięgam, że go zabiję, jeśli kiedyś jeszcze go zobaczę. Mówię poważnie.

- Nie zobaczysz go, Mark. I nie powinieneś grozić nikomu śmiercią. Nawet w emocjach i żalobie. Powiedz, gdzie oni mieszkają?

- W Adel.

- No, no. Dziana okolica - rzucił Banks. Bogate przedmieścia na północy Leeds szczycą się kościołem z czasów normańskich i mnóstwem zieleni.

Mark zauważył zdziwienie Banksa.

- On jest lekarzem.

- Ojczym Tiny?

- Uhm. Przez to się uzależniła. Podkradała morfinę z jego gabinetu, kiedy... no wie pan. Żeby pokonać wstyd i ból. Musiał o tym wiedzieć, ale nic nie mówił.

- Czy wiedział, że Tina mieszkała na barce?

- Tak.

- Czy kiedykolwiek tam przyjechał?

- Tak. Próbował zabrać Tinę. Ale mu nie pozwoliłem.

Mark nie ważył pewnie więcej niż pięćdziesiąt kilka, góra sześćdziesiąt kilogramów. Był chudy, ale umięśniony i wbrew pozorom mógł mieć naprawdę dużo siły. Banks wiedział, że ludzie o takiej budowie mogą się okazać zaskakująco twardymi zawodnikami, ponieważ sam tak właśnie wyglądał w wieku Marka. Nadal zaliczał się do szczupłych, mimo piwa i śmieciowego żarcia. Pewnie kwestia przemiany materii. Z kolei u Jima Hatchleya widać było każdy kufel piwa, który wlał sobie do żołądka.

- Więc ojciec Tiny wiedział o tobie?

- Tak.

- Kiedy przyszedł ostatni raz?

- Jakiś tydzień temu.

- Jesteś pewien, że nie wczoraj?

- Nie wiem. Byłem w pracy. Na budowie. Ale Tina nic nie mówiła.

- A powiedziałyby?
- Może. Ale była... no wie pan... trochę nie w sosie.

Jakaś miła pogawędka z ojczymem Tiny zrobiła się bardziej niż prawdopodobna.

- Jak on się nazywa? - zapytał Banks.
- Aspern - wypluł z siebie Mark. - Patrick Aspern.
- To może od razu powiedz mi, gdzie mieszka.

Mark podyktował adres.

- I trzymaj się od niego z daleka - ostrzegł Banks.

Mark zrobił ponurą minę, ale się nie odezwał.

- Czy możesz powiedzieć mi coś więcej na temat tego Toma z sąsiedniej barki? Jak on wyglądał?

- Całkiem zwyczajnie. Niski, beczkowaty, ale miał długie palce.

Nie dało się ich nie zauważyć. Nie golił się często, ale nie miał brody.

I nie mył włosów.

- Jakie miał te włosy?
- Brązowe. Długie i tłuste.

Może więc nie Tom był ofiarą? Banks pamiętał kępkę rudych włosów, która jakimś cudem uniknęła płomieni, i postanowił zapytać Geoffa Hamiltona o tę różnicę.

- Ktoś go odwiedzał?
- Dwie osoby, o ile mi wiadomo.
- Jednocześnie?
- Nie, nie, osobno. Jednego widziałem dwa albo trzy razy, drugiego tylko raz.

- Jak wyglądał ten, którego widziałeś kilka razy?

- Trudno powiedzieć. Było dobrze po zmroku.

- Postaraj się.

- Widziałem go tylko przez chwilę, kiedy Tom otworzył drzwi i wpadło trochę światła. Szczupły, raczej wysoki, metr osiemdziesiąt albo więcej, trochę się garbił.

- Widziałeś jego twarz?
- Nie. Było ciemno.



- A włosy?
- Krótkie. Chyba ciemne. Albo mi się tak zdawało po ciemku.
- Ubranie?
- Naprawdę nie wiem. Chyba dzinsy i sportowe buty.
- Rozpoznałbyś go?
- Nie wiem. Raczej nie. Ale jest jeszcze coś.
- Co takiego?
- Miał taką dużą teczkę. No wie pan, jak studenci akademii sztuk pięknych.

- Teczka na rysunki?
- Tak to się chyba nazywa.

Skoro Tom malował, to pewnie był jego agent albo marszand, pomyślał Banks. Warto sprawdzić.

- Kiedy go ostatnio widziałeś?
- Wczoraj.
- O której?
- Zaraz po zmroku. Chwilę wcześniej wróciłem z pracy.
- Jak długo został?
- Nie wiem. Wróciłem do środka, zanim stamtąd wyszedł. Tylko paliłem na zewnątrz, bo Tina nie lubi dymu. Było zimno.
- Czyli możliwe, że jeszcze tam siedział, kiedy szedłeś do pubu?
- Chyba tak. Nie słyszałem, żeby ktoś otwierał drzwi. Ale mieliśmy włączoną muzykę.
- Ten drugi gość?
- Niewiele mogę powiedzieć, naprawdę. Przyszedł tylko raz, może dwa, trzy tygodnie temu. Ale też po nocy.
- Może jednak coś pamiętasz?
- Był niższy niż tamten drugi i trochę grubszy. To znaczy, nie gruby, ale i nie chudy, wie pan, o co chodzi.
- Widziałeś jego twarz?
- Tylko przez chwilę w drzwiach. I mogę powiedzieć, że miał duży nos. I haczykowany, jak dziób orła. Ale widziałem go tylko z boku.

- Czy w zatoczce przy lesie parkowały jakieś samochody?
- Zdarzało się.
- Jakie to były samochody?
- Pamiętam, że widziałem jakąś terenówkę. Granatową.
- Jeep cherokee? Range rover?
- Nie wiem, po prostu terenówka. Granatowa albo czarna.
- Coś jeszcze pamiętasz?
- Nie.
- Ale nigdy nie widziałeś, żeby ktoś z tego samochodu wysiadał?
- Nie.
- Czy auto stało tam wczoraj, gdy przyszedł ten mężczyzna?
- Nie widziałem, ale też nie patrzyłem. No wie pan, było ciemno, musiałbym przechodzić tamtędy, żeby zauważyć. Ale ta sama terenówka parkowała, jak przychodził ten drugi facet, ten wysoki.
- Czy cokolwiek się wydarzyło, zanim wczoraj wyszedłeś z domu?

- Ten skurwiel z domku śluzowego kręcił się na rowerze.
- Andrew Hurst? Co on tam robił?
- To samo co zwykle. Gapił się. Myśli, że go nie widać, jak stoi w lesie, ale ja zawsze go zauważę.

Podobnie jak my ciebie, pomyślał Banks.

- Na kogo tak się gapi?
- Nie wiem. Ale moim zdaniem chodzi mu o Tinę nago.
- Dlaczego tak mówisz?
- Przecież widzę, jak się do niej ślini, kiedy jest obok. Moim zdaniem to zboczeniec, i tyle. Ciągłe się czai po krzakach i szpieguje. Niby po co?

Dobre pytanie, pomyślał Banks. Ciekawe, że Andrew Hurst tak wyraźnie zaznaczył, że się nie zajmuje szpiegowaniem. Podczas porannej rozmowy nie powiedział też Banksowi i Annie, że poprzedniego dnia kręcił się przy barkach. Banks będzie musiał jeszcze porozmawiać z tym samozwańczym śluzowym.

- Co teraz stanie się z Tiną?

Banks nie chciał się wdawać w drastyczne szczegóły sekcji zwłok, odpowiedział więc tylko ogólnie.

- Zostanie u nas, dopóki wszystko się nie wyjaśni.
- A potem? Przecież musi być jakiś pogrzeb.
- Oczywiście - zapewnił go Banks. - Nie martw się, wszystkim się zajmiemy.

- Kiedyś, jak o tym rozmawialiśmy, tylko raz, powiedziała mi, żeby na jej pogrzebie zagrać *Stolen Car*. Bardzo lubiła Beth Orton. Chciała zostać piosenkarką.

- Jestem pewien, że spełnimy jej prośbę. Ale to musi jeszcze potrwać. Co zamierzasz?

- Chyba muszę znaleźć jakieś mieszkanie.

- Pomogą ci w pomocy społecznej. Dostaniesz od nich ubranie, pieniądze i potrzebne rzeczy. Skoro mowa o pieniądzach, to masz w ogóle jakieś?

- Może dziesięć funtów, tyle, co przy sobie. Na barce trzymaliśmy trochę oszczędności, kilkaset funtów, ale się spaliły, jak wszystko inne. Ale nie jestem pasożytem. Mam stale zajęcie. Nie boję się ciężkiej pracy.

Banks przypomniał sobie, co o marzeniach Marka powiedziała mu Annie po wizycie u Mandy Patterson.

- Słyszałem, że chcesz zostać kamieniarzem i prowadzić prace restauracyjne w kościołach. To prawda?

Mark odwrócił wzrok, zakłopotany.

- Nie mam kwalifikacji, ale chciałbym spróbować. Lubię stare kościoły i tyle. Nie jestem wcale religijny. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale lubię kościoły. To piękne budynki.

- Co z ubraniami?

- Zostały mi tylko te, które zabraliście do badania - odpowiedział. - Wszystkie inne poszły z dymem.

- Nosimy chyba podobny rozmiar. Mogę ci pożyczyć jakieś stare dżinsy i trochę rzeczy, dopóki jakoś się nie urządzisz - zaoferował Banks.

- Dziękuję. - Mark spojrział na czerwony, kiepskiej jakości kombinezon dla aresztantów, który mu wydano w izbie zatrzymań. - Wszystko będzie lepsze niż to.

- Może powinienes na jakiś czas wrócić do domu? Do rodziców?

Mark energicznie pokręcił głową. Banks wiedział, że tego tematu także nie należy drażnić, choć bardzo był ciekawy, dlaczego Mark tak gwałtownie zareagował na wzmiankę o rodzicach. Najprawdopodobniej spotkało go to samo co Tinę. Pomyślał, że takie rzeczy zdarzają się zbyt często, i większość z nich nie jest zgłaszana na policję.

- To może się zatrzymaj u któregoś z kolegów? U kogoś z budowy?

- Mógłbym chyba u Lenny'ego.

- Znasz jego adres?

- Nie, ale prawie codziennie je lunch w George and Dragon. No i ludzie na budowie wiedzą, gdzie mieszka.

- Myślisz, że pozwoliliby ci nocować u siebie przez kilka dni, dopóki nie znajdziesz jakiegoś mieszkania i jakoś nie staniesz na nogi?

- Nie wiem. Ale niech się pan o mnie nie martwi - powiedział Mark. - Nic mi nie będzie. Potrafię o siebie zadbać. Czy mogę już wrócić do celi? Nie zmrużyłem oka i jestem wykończony.

Banks spojrział na zegarek.

- Zaraz będą dawać lunch. Słyszałem, że dziś jest nawet niezły hamburger i frytki.

Mark podniósł się z miejsca. Zeszli na dół, po czym Banks przekazał chłopaka jednemu z funkcjonariuszy, który miał go eskortować do piwnicy, gdzie znajdowały się cele. Następnie Banks wyszedł na rynek i ruszył w kierunku Queen's Arms. On też nabrał ochoty na hamburgera wołowego z frytkami. Zrezygnuje jednak z kufła piwa, który zazwyczaj wychylał w porze lunchu. Potem wybierał się do Adel na spotkanie z rodzicami Tiny i nie chciał, żeby czuć było od niego alkohol podczas rozmowy z doktorem Aspernem.

## Rozdział 3

Banks wpadł na chwilę do domu, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. Wczesnym popołudniem jechał do Adel, słuchając po drodze tego samego kwartetu smyczkowego Beethovena, który nadawali w radio podczas jego rozmowy z Markiem: dwunastego, w Es-dur.

Mgła znacznie zrzędała i utrzymywała się tylko miejscami, Banks nie miał więc problemów z prowadzeniem auta. Temperatura powoli zmierzała w kierunku dwucyfrowych wartości. Na polu golfowym niedaleko Harrogate grało jakichś dwóch twardzieli w dzinsach i swetrach.

Z obwodnicy zjechał na Otley Road, gdzie zatrzymał się na chwilę przed imponującą bramą krematorium Lawnswood, żeby zerknąć na mapę. Pojechał jeszcze kawałek główną drogą, po czym skręcił w prawo i dotarł do krętych uliczek Adel, zamożnego przedmieścia Leeds.

Szybko znalazł duży dom na rogu, w którym mieścił się także gabinet lekarski. Wsiadając z samochodu, Banks pomyślał, że to nie będzie łatwe zadanie. Zarzuty Marka wobec Patricka Asperna mogą być bezpodstawne, a Banks miał przede wszystkim poinformować rodziców o śmierci córki oraz poprosić ich o zidentyfikowanie zwłok, nie zaś przesłuchiwać ojczyrna w związku z wykorzystywaniem seksualnym pasierbicy. Wiedział jednak, że ta sprawa może się pojawić później, postanowił więc bacznie obserwować reakcję Asperna na zadawane pytania, aby wychwycić coś nietypowego.

Banks wziął głęboki wdech i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła kobieta, która wyglądała młodziej, niż się spodziewał. Była mniej więcej w wieku Annie, tuż po trzydziestce, miała cieniowane blond włosy, bladą cerę, nieskazitelną skórę, zwiewną sylwetkę i sprawiała

wrażenie przestraszonej.

- Pani Aspern? - zapytał.

Kobieta odpowiedziała skinieniem głowy. Zrobiła zdziwioną minę i przyłożyła dłoń do policzka.

- Chodzi o pani córkę, Tinę. Jestem policjantem. Czy mogę wejść?

- Christine? - Pani Aspern zmięła w palcach luźny kołnierz robionego na drutach swetra. - Ona już tutaj nie mieszka. Co się stało?

- Czy możemy porozmawiać w środku?

Usunęła się na bok i Banks wszedł na lśniący, wypolerowany parkiet.

- Pierwsze drzwi na prawo - powiedziała pani Aspern.

Ruszył we wskazanym kierunku i znalazł się w małym salonie o kremowych ścianach, z ciemnoniebieską kanapą i dwoma fotelami w tym samym kolorze do kompletu. Na ścianach wisiały dwa oprawione obrazy: jeden nad ozdobnym, ale spełniającym swą funkcję kominem. Obydwa przedstawiały pejzaże i obydwie miały proste czarne ramy.

- Czy mąż jest w domu? - zapytał Banks.

- Patrick? Przyjmuje pacjentów w swoim gabinecie.

- Czy zechce pani poprosić go tu na chwilę?

- Poprosić? - Wyglądała na zatrwożoną. - Ale... pacjenci.

- Chcę porozmawiać z wami obojgiem. To ważne - oznajmił Banks.

Kręcąc głową, pani Aspern wyszła z salonu. Banks wykorzystał okazję, żeby się uważniej przyjrzeć obrazom. Akwarele wyglądały, jakby malowano je w mglistym świetle poranka. Jedna przedstawiała kościół Świętego Jana Chrzciciela, stojący kawałek dalej przy tej samej ulicy, który Banks odwiedził kiedyś z byłą żoną Sandrą, niedługo po przyjeździe do Yorkshire. Wiedział, że to najstarszy normański kościół w Leeds, wzniesiony w połowie dwunastego wieku. Sandra zrobiła wtedy kilka niezwykłych zdjęć. Prosty budynek słynie z misternych płaskorzeźb w prezbiterium i nad wejściem, ale na

akwareli ledwie je zaznaczono.

Drugi malunek przedstawiał las, też pewnie miejscowy, jak się domyślał Banks, i też w tym samym pretensjonalnym, przesyconym strzępkami mgły porannym świetle, w którym polana wyglądała jak magiczny las ze *Snu nocy letniej*. Na obydwu obrazach widniał ten sam podpis: Keith Peverell. Czyli bez związku z Tomem, czego zresztą Banks się spodziewał.

Pani Aspern wróciła po kilku minutach wraz z rozdrażnionym mężem.

- Proszę pana - wypalił mężczyzna, zanim Banks zdążył się przedstawić. - Nie mogę zostawiać moich pacjentów na lodzie. Proszę wrócić po siedemnastej.

- Obawiam się, że to niemożliwe - stwierdził Banks, pokazując swoją legitymację służbową.

Aspern obejrzał ją starannie i delikatny nieprzyjemny uśmiech wykrzywił kąciki jego ust. Spojrzał na żonę.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś, kochanie? Detektyw inspektor we własnej osobie - powiedział. - Zapewne to coś ważnego, skoro przysłali samego kataryniarza. Proszę spocząć.

Banks usiadł. Zadowolony, że do rozmowy z nim wydelegowano kogoś odpowiedniego do jego statusu, choć zapewne wolałby komendanta miejscowych służb policyjnych, Aspern szybko zapomniał o pacjentach. Wyglądało na to, że sprawy potoczą się bardziej gładko. Jeśli Banks im pozwoli.

Aspern był o dobre piętnaście lat starszy od żony, zgadywał Banks. Około pięćdziesiątki, z rzednącymi, rudawozłotymi włosami i kanciastymi rysami był nawet przystojny, choć Banks uznał za odstręczające jego cyniczne spojrzenie i usta, na których nieustannie błędził pełen wyższości, paskudny uśmieszek. Miał sylwetkę kogoś, kto regularnie gra w tenisa i golfa oraz odwiedza siłownię. Jako lekarz wiedział pewnie wszystko o korzyściach płynących z aktywnego trybu życia, choć Banks znał więcej niż jednego lekarza, wśród nich patologa doktora Glendenninga, którzy palili, pili i mieli gdzieś

ćwiczenia fizyczne.

- Niestety przynoszę złe wiadomości - zaczął, gdy państwo Aspernowie usiedli naprzeciwko niego na kanapie. Pani Aspern ogryzała już paznokcie, jakby w oczekiwaniu na najgorsze. - Dotyczą państwa córki Tiny.

- Zawsze nazywaliśmy ją Christina, proszę pana - sprostowała kobieta.

- Niech pan to wreszcie z siebie wyrzuci - ponaglał Aspern. - Czy zdarzył się jakiś wypadek?

- Nie - odparł Banks. - Christina nie żyje. Przykro mi, nie da się tego powiedzieć delikatniej. Będę prosił jedno z państwa lub obydwoje o zidentyfikowanie zwłok.

Małżonkowie siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie, nawet się nie dotykając. W końcu Aspern zapytał:

- Nie żyje? Jak to? Co się stało?

- Zginęła w pożarze. Czy wiedzieliście państwo, że mieszkała na barce tuż pod Eastvale?

- Tak. Kolejny z jej głupich pomysłów. - Dopiero teraz Aspern spojrział na żonę. Płakała, jakby od obierania cebuli, nie wydając żadnego dźwięku. Jej mąż wstał po pudełko chusteczek jednorazowych. - Proszę, kochanie - powiedział, kładąc je na jej kolanach.

Nawet na nie nie spojrziała, wpatrzona przed siebie w jakąś potworną otchłań. Z jej brody skapywały łzy, tworząc małe zacieki na bładozielonym materiale spódnicy w miejscach, gdzie spadły.

- Doceniam fakt, że przyjechał pan osobiście, żeby nam o tym powiedzieć - stwierdził Aspern. - Jak pan widzi, moja żona jest wstrząśnięta. To prawdziwy szok. Czy to wszystko?

- Obawiam się, że nie, proszę pana - odpowiedział Banks. - Przyczynę pożaru uznaliśmy za podejrzaną. Muszę więc jak najszybciej zadać państwu kilka pytań. Prawdę mówiąc, muszę to zrobić teraz.

- W porządku, Patricku - odezwała się pani Aspern, powróciwszy z bardzo daleka. - Pozwól temu panu wykonywać jego pracę.



Poirytowany faktem, że przejęła kontrolę nad sytuacją - albo tylko tak się Banksowi wydało - Aspern usiadł z powrotem na kanapie.

- Skoro tak uważasz... - rzucił.
- Tak uważam. - Pani Aspern spojrzała na Banksa. - Proszę nam powiedzieć, co się stało.
- Christine mieszkała z chłopcem, właściwie z młodym mężczyzną, nazwiskiem Mark Siddons na porzuconej barce.
- Siddons - wycedził Aspern, wykrzywiając wargi. - Sporo o nim wiemy. Czy on to zrobił? On ponosi odpowiedzialność?
- Nie mamy dowodów na to, że Mark Siddons miał coś wspólnego z pożarem - stwierdził Banks.
- Gdzie on był? Czy przeżył?
- W czasie pożaru nie było go na barce. Nie odniósł żadnych obrażeń. Rozumiem, że się panowie nie darzycie sympatią?
- Nastawił naszą córkę przeciwko nam - powiedział Aspern. - Zabrał ją z domu i sprawił, że przestała się z nami widywać. Jakby przejął władzę nad jej umysłem, jak w sektach religijnych, o których tyle się czyta.
- On przedstawił mi inną wersję - odparł Banks ostrożnie, wiedząc, że stąpa po polu minowym. - Nie takie też odniosłem wrażenie na jego temat.
- Chyba pan nie oczekuje, że on się przyzna? Mogę sobie tylko wyobrażać kłamstwa, których panu naopowiadał.
- Jakie kłamstwa?
- Nieistotne. Tylko pana ostrzegam, i tyle. Ten chłopak to nic dobrego. Niech pan nie wierzy w nic, co on mówi.
- Zapamiętam tę radę - zapewnił Banks. - Ile lat miała Christina?
- Siedemnaście - odpowiedział Aspern.
- A ile lat miała, gdy się wyprowadziła z domu?
- Szesnaście. - Tym razem odezwała się pani Aspern. - Wyniosła się dzień po swoich szesnastych urodzinach. Jakby nie mogła się doczekać, kiedy stąd odejdzie.
- Czy któreś z państwa wiedziało, że Christina bierze narkotyki?

- Wcale mnie to nie dziwi - oznajmił Aspern. - Wpływ towarzystwa, w którym się obracała. Co to było? Trawa? Ecstasy?

- Jak się zdaje, wolała narkotyki przynoszące zapomnienie od tych, które pobudzają - powiedział Banks cicho, uważnie obserwując, jaka reakcja maluje się na twarzy Asperna. Dostrzegł jedynie konsternację. - Brała heroinę - kontynuował Banks. - Inne narkotyki także, jeśli jej nie miała, ale głównie heroinę.

- Dobry Boże! - wyszeptała pani Aspern. - Co myśmy zrobili?

Banks spojrzał na nią.

- Co ma pani na myśli?

- Fran! - zwrócił się do kobiety jej mąż. - Nie możemy winić za to siebie. Zapewniliśmy jej to, co najlepsze. Miała wszystko.

Banks słyszał to już tyle razy przy podobnych okazjach. Słowa mężczyzny wlatywały jednym, a wylatywały drugim uchem. Nikt nie ma pojęcia, czego naprawdę potrzebują jego dzieci - bo niby jak, skoro nastolatki trudno zaliczyć do najrozmowniejszych stworzeń na ziemi - ale zbyt wielu rodziców zakłada, że korzyści wynikające z bogactwa i statusu wystarczą. Nawet rodzice Banksa, choć pochodzili z klasy robotniczej, uważali, że sprawił im zawód, wstępując do policji, zamiast wybrać karierę w biznesie. Doświadczenie pokazuje, że bogactwo i status rzadko wystarczają, choć oczywiście Banks wiedział, że dzieci z dobrze sytuowanych rodzin zwykle dobrze sobie radzą w życiu. Są też jednak takie jak Tina, które schodzą na złą drogę. W niedalekiej przeszłości sam miał do czynienia z podobnymi przypadkami, kiedy prowadził sprawę najpierw Emily Riddle, a potem Luke'a Armitage'a.

- Ponoć Christine kradła morfinę z pańskiego gabinetu - stwierdził Banks. Wyraźnie wyczuwał narastające napięcie między mężem i żoną.

Aspern poczerwieniał.

- To kłamstwo! Siddons to panu powiedział? Wszystkie narkotyki w moim gabinecie są zamykane zgodnie z wymogami prawa. Jeśli pan nie wierzy, sam może pan sprawdzić. Pokażę panu. Proszę ze

mną.

- To nie będzie konieczne - oznajmił Banks. - Śledztwo nie dotyczy źródeł, z których Christine brała narkotyki. Wiemy, że ostatnią działkę kupiła od dealera w Eastvale.

- To skandal, że nie potraficie wyeliminować tych ludzi, zanim wyrządzą szkodę - stwierdził Aspern.

- Musielibyśmy wiedzieć, kim są przestępcy, zanim wejdą w konflikt z prawem - odparował Banks, myśląc o filmie *Raport mniejszości*, który obejrzał z Michelle kilka tygodni wcześniej.

- Moim zdaniem to bardziej niż oczywiste w większości wypadków - upierał się Aspern. - Nawet jeśli Siddons nie wywołał pożaru, może pan być więcej niż pewien, że coś przeskrobał. Charakter kryminalisty ma wypisany na twarzy.

Bywało, że Banks, podobnie jak jego koledzy, działał wedle zasady, że nic wielkiego się nie stanie, jeśli człowiek, któremu stawiał zarzuty, nie popełnił konkretnego przestępstwa, bo policja dobrze wiedziała, że ma na sumieniu inne, tylko nie dysponowała dowodami, żeby mu je przypisać. Według policyjnej logiki oskarżenie o przestępstwo, którego nie popełnił, ma wyrównać rachunki za te, które mu się upiekły. Oczywiście łatwiej było tak zrobić przed laty, zanim Ustawa o policji i dowodach kryminalnych nie przyznała kryminalistom więcej praw niż policjantom, a Królewska Prokuratura nie zaczęła się czepiać wszystkiego, co nie dawało stuprocentowej pewności skazania. Ale policjanci nadal tak postępowali, jeśli tylko wiedzieli, że unikną konsekwencji.

- Trzeba by przewietrzyć system prawny, gdybyśmy chcieli bez procesu sądowego wsadzać do więzienia ludzi, którzy nic nie zrobili. Wróćmy jednak do spraw bieżących. Czy pani zdaniem ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Christine, pani Aspern?

- Nie zaliśmy jej towarzystwa. Nie wiem, z kim się zadawała po odejściu z domu - odpowiedziała kobieta. - Ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał wyrządzić jej jakąś krzywdę.

- A pan, doktorze?

- Też sobie tego nie wyobrażam.
  - Na sąsiedniej barce mieszkał artysta malarz. Wiemy tylko, że miał na imię Tom. Czy państwo coś o nim wiecie?
  - Pierwsze słyszę - powiedział Patrick Aspern.
  - Mówi coś państwu nazwisko Andrew Hurst? Mieszka w okolicy barek.
  - Nigdy tam nikogo nie widziałem.
  - Kiedy ostatni raz złożył pan wizytę na barce?
  - W ubiegłym tygodniu. W czwartek, jeśli dobrze pamiętam.
  - W jakim celu?
  - Jak to w jakim celu? - obruszył się Aspern. - To moja pasierbica. Martwiłem się. Chciałem ją przekonać, żeby wróciła do domu.
  - Czy podczas którejś z wizyt widział pan sąsiada córki?
  - Brzmi to tak, jakbym odwiedzał ją regularnie. Byłem tam zaledwie kilka razy, próbując przekonać Christine, żeby wróciła do domu, a ten... oprych, z którym mieszkała, otwarcie mi groził.
  - Czym?
  - Oczywiście użyciem przemocy. Nie jestem tchórzem, ale ktoś taki jak on może przecież mieć nóż albo pistolet.
  - Nie był pan na barce wczoraj?
  - Nie byłem.
  - Jakim samochodem pan jeździ?
  - Jaguarem x8.
  - Czy odwiedzała pani barkę, pani Aspern? - zapytał Banks.
- Zanim Frances Aspern zdążyła odpowiedzieć, odezwał się jej mąż:
- Zawsze jeździłem sam. Frances jest bardzo nerwowa. Konfrontacje źle na nią działają. Poza tym nie zniosłaby widoku warunków, w jakich mieszkała Christine.
  - Czy to prawda, pani Aspern? - upewnił się Banks.
- Frances Aspern kiwnęła głową.
- Sam pan widzi, jak nas przejęła ta wiadomość. Powinien pan po prostu wyjść i zostawić nas w spokoju, żebyśmy mogli opłakiwać córkę.

- Obawiam się, że musicie państwo z tym poczekać - odpowiedział Banks. - Po naszej rozmowie przynajmniej jedno z państwa będzie musiało pojechać ze mną do Eastvale, żeby zidentyfikować zwłoki.

Pani Aspern dotknęła białego jak kreda policzka.

- Mówi pan, że zginęła w pożarze?

- Tak - potwierdził Banks. - Bardzo mi przykro. Ogień ją trochę oszpecił, ale nie bardzo.

- Pojadę tam, kochanie - zaproponował pan Aspern, kładąc dłoń na jej kolanie. - Mogę odwołać pacjentów. Na pewno zrozumieją.

Zepchnęła jego dłoń.

- Nie, ja pojadę.

- Jesteś zdenerwowana, kochanie. Jako lekarz potrafię się znaleźć w takiej sytuacji. Uczono mnie tego na studiach.

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Znaleźć się? Czy tyle tylko to dla ciebie znaczy? Powiedziałam, że pojadę z panem Banksem. Zabierze mnie pan, a później każe komuś mnie odwiedzić? Obawiam się, że jestem zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić.

- Przynajmniej pozwól się odwiedzić - poprosił jej mąż.

- Nie chcę cię tam - ucięła. - Christine była moją córką.

Stało się. Słowa padły i zaczęły ich uwierać, jak niestrawiony posiłek.

- Jak sobie życzysz - odparł Patrick Aspern.

- Czy jest pan pewien, że to nie był wypadek? - Pani Aspern zwróciła się do Banksa. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś chciałby wyrządzić krzywdę Christine.

- Wszystko może się zdarzyć, gdy w grę wchodzi narkotyki - odparł Banks. - To kolejne założenie, które przyjmujemy na potrzeby śledztwa. Istnieje też jednak możliwość, że Christine nie była zamierzoną ofiarą.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - wtrącił się Aspern.

- W tej chwili nie mam wiele do powiedzenia - wyznał Banks. -

Czeka nas jeszcze wiele testów kryminalistycznych i znalezienie odpowiedzi na wiele pytań. Na razie zbieramy wszystkie możliwe informacje o ludziach, którzy mieszkali na barkach. Dopiero gdy dowiemy się więcej, będziemy wiedzieli, na czym skoncentrować nasze działania i jak poprowadzić śledztwo.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć! - rzekł Aspern.

Jego żona wstała z miejsca.

- Jestem gotowa - powiedziała do Banksa, po czym dodała, patrząc na męża: - Możesz już wrócić do pacjentów, Patrick.

Doktor Aspern zaczął coś mówić, ale jego żona odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu.

Nieduża cebra Marka miała tylko niezbędne wyposażenie, ale i tak zapewniała dostateczną wygodę. Trochę w niej śmierdziało - moczem, wymiocinami i zepsutym alkoholem - ale zapachy te niemal całkiem wywietrzały. Przynajmniej było czysto i nie zamknęli go z bandą wyposzczonych harleyowców o trzydziestocentymetrowych penisach. W tym samym korytarzu trzymali kilku pijaków, mimo że było dopiero wczesne popołudnie. Jeden z nich śpiewał bez przerwy *Your Cheatin' Heart*, dopóki któryś z policjantów wreszcie nie kazał mu się zamknąć. Potem Mark słyszał, jak pijani mężczyźni chrapią i od czasu do czasu krzyczą przez sen, ale poza tym panował względny spokój. W sumie nie było więc tak źle. Doskwierało mu tylko to, że nie mógł wychodzić, kiedy chciał. Czuł się więc jak w domu, zanim zebrał odwagę, żeby się postawić matce oraz Szalonemu Nickowi i ostatecznie się stamtąd wyrwać.

Mark próbował zasnąć, ale sen nie przyszedł. Jego myśli wciąż wracały do Tiny i wiadomości o jej śmierci, którą przekazał mu policjant. Oczywiście przeczuwał to już wcześniej. Kiedy w lesie zobaczył strażaków i tłące się barki, wiedział, że musiała zginąć. Ale próbował oszukiwać samego siebie. Teraz musiał stawić temu czoło, pogodzić się z faktem, że stracił Tinę na zawsze.

I to z własnej winy.

Tina. Taka delikatna, taka słaba. Jak mały ptaszek. Myśl, że ją zdradził, łamała mu serce. Nigdy już nie zdoła tego naprawić, powiedzieć jej, że żałuje, że kocha tylko ją, a nie Mandy ani nikogo innego. Stał u jej boku w najgorszych chwilach, a gdy przychodziły te dobre, bo przecież przychodziły, śmiali się razem, spacerowali po okolicy albo nad krystalicznym strumieniem pili tanie wino z gwinta, zagryzając kanapkami z serem.

Czasem prowadzili prawie normalne życie, jakiego Mark tak bardzo dla nich chciał. Marzył, że dostanie stałą pracę w Eastvale, może nawet przy renowacji kościołów, że wyprowadzi Tinę na prostą i wspólnie wynajmą małe mieszkanie. Gdy narodzi się pierwsze dziecko, będą mieli już wystarczająco dużo oszczędności, żeby kupić połowę małego bliźniaka, może nad morzem. Tak przynajmniej widział ich wspólne życie. Wiedział, że zawsze będzie się opiekował Tiną, bo ona zawsze będzie tego potrzebowała, nawet gdy przestanie ćpać, tak wielki miała w sobie strach. Ale on potrafił jej pomóc, chciał to zrobić, a po zerwaniu z nałogiem Tina na pewno nabralaby sił. Była inteligentna, o wiele bardziej niż on. Może poszłaby na studia, jak Mandy, i dostała posadę sekretarki albo jakąś podobną. Bez dwóch zdań potrafiłaby obsługiwać komputer, gdyby tylko się do tego przyłożyła.

Czasem nawet się kochali, ale dla Tiny to było trudne: nigdy nie oddalała się zbyt od pazernego i mrocznego jądra swojej duszy. Jedno niewłaściwe słowo albo gest wystarczyły, żeby znów się zamknęła w sobie, skuliła w pozycji embrionalnej, wetknęła kciuk do ust i leżała bez kontaktu ze światem zewnętrznym, jak po prochach. Gdy wpadała w taki stan, Marka równie dobrze mogło przy niej nie być. Właśnie dlatego wyszedł z domu ostatniej nocy.

Tina niezbyt lubiła seks, po części dlatego, że narkotyki w najdziwniejszy sposób wpływają na popęd seksualny, ale w większości z powodu ojczyma. Gdy Mark pomyślał o Patricku Aspernie, ścisnęło go w żołądku i poczuł, jak przetacza się przez niego fala wściekłości.

Mimo tego, co powiedział mu policjant, Mark zaczął się zastana-

wiać, czy Tina mogła wywołać ten pożar nieumyślnie. Przecież podgrzewała łyżeczkę nad świeczką, żeby przygotować działkę, a raz czy dwa w przeszłości zdarzyło jej się robić to nieostrożnie. Ale wtedy był obok niej, inaczej niż tym razem.

Ale nie, to nie mogło się wydarzyć. Przypomniał sobie, że starannie zgasił świeczkę, zanim wyszedł, zostawiając ją naćpaną, w śpiworze, ze szklistymi oczami, rozszerzonymi źrenicami, praktycznie rzecz biorąc nieistniejącą dla świata, otuloną ciepłym kokonem bezpieczeństwa i nieprzytomności, wolną od wszelkich trosk, dopóki efekt działania narkotyku nie ustąpi, bo wtedy wszystko zacznie ją swędzieć, jej żołądek się ściśnie, a każdy por jej ciała będzie wypacał głód kolejnej dawki. Tak wiele razy przechodził z nią przez to już wcześniej i wiedział, że wszystko powtórzyłoby się po raz kolejny po powrocie na barkę - gdyby nie pożar.

Powiedział Tinie, że ma już dość życia z ćpunką i że od niej odejdzie, jeśli ona się nie zapisze do jakiegoś ośrodka albo na kurację metadonową. Gdy to mówił, było jej wszystko jedno, bo właśnie zaczynała działać heroina krążąca w jej żyłach, najważniejsze na całym świecie było więc dla niej to, żeby dostać kopa, żeby fala złotego ciepła przetoczyła się przez nią jak orgazm. Dlatego wypadł stamtąd jak burza. Uciekł do Mandy, do jej młodego i gibkiego, kuszącego ciała. Oczywiście Tina nie miała pojęcia, dokąd on się wybiera. Teraz nigdy już tego się nie dowie. On jednak wiedział, i nie mógł sobie z tym poradzić.

Przynajmniej tyle, że pożar nie zaczął się na ich barce. Czy Tina zdawała sobie sprawę, co się dzieje? Czy wiedziała, że płomienie podpełzają coraz bliżej, że ogarnia ją dym? Gdyby oprzytomniała, czując swąd albo widząc płomienie, to czy miałyby czas, żeby pozbierać myśli i zeskoczyć na ląd? Albo do wody? Ale wtedy pewnie by utonęła. Tina nie umiała pływać.

Mark zwinął się w kłębek na twardej pryczy. W jego zmęczonej głowie nie przestawały galopować myśli. Gdy pijak znów zaintonował *Your Cheatin' Heart*, Mark zasłonił uszy dłońmi i zapłakał.



Nie przeszkadza pani muzyka? - Banks zapytał Frances Aspern.

- Słucham?
- Muzyka. Odpowiada pani?

Właśnie wjeżdżali w doliny za Ripon. Odległe kształty wzgórz wyłaniały się z mgły różnymi odcieniami szarości, niczym wieloryby przebijające powierzchnię wody. Banks włączył *Fado em Mim*, płytę z tradycyjnymi pieśniami portugalskimi. Mariza śpiewała akurat z akompaniamentem gitary klasycznej oraz kontrabas, ale zdał sobie sprawę, że taka muzyka nie każdemu musi odpowiadać.

Frances Aspern od początku podróży milcząco gapiła się w szybę i Banks niemal już zrezygnował z nawiązania rozmowy. Nie mógł nie zauważyć olbrzymiego żalu tej kobiety. Żalu albo poczucia winy: nie był pewien.

- Tak - odpowiedziała. - Jest ładna. Piosenkarka ma bardzo smutny głos.

Istotnie, miała. Banks nie rozumiał ani słowa bez tłumaczenia w dołączonej do płyty książeczce, której druk z dnia na dzień stawał się zbyt mały, by mógł go odczytać bez okularów, ale nie miał wątpliwości, że w głosie Marizy pobrzmiewają smutek, poczucie straty i skarga na okrucieństwo losu. Nie trzeba było znać słów, żeby to wyczuć.

- Nie chciałem zadawać pani tego pytania w obecności męża. Czy ojciec Christiny mieszka w okolicy?

Pokręciła głową.

- Byłam bardzo młoda. Nie pobraliśmy się. Moi rodzice... byli dla mnie bardzo dobrzy. Mieszkałam z nimi w Roundhay, dopóki nie pobraliśmy się z Patrickiem.

- Mimo to będziemy musieli porozmawiać z ojcem Christiny.  
- Wrócił do siebie, do Stanów. Poznaliśmy się, gdy podróżował po Europie.

- Czy ma pani dokładniejsze informacje?

Patrzyła przez okno, odwrócona do niego tyłem, Banks ledwie więc słyszał jej słowa.

- Nazywa się Paul Ryder. Mieszka w Cincinnati w Ohio. Nie znam adresu ani numeru telefonu. Nie kontaktowaliśmy się, od... no cóż...

Banks zapamiętał nazwisko i miasto. Odnalezienie tego Paula Rydera może się okazać trudne po tak długim czasie, ale będą musieli spróbować.

- Jak poznała pani doktora Asperna? - zapytał.

- Patrick należał do znajomych mojego ojca, często gościł w naszym domu, gdy Christina była jeszcze małeńka. Mój ojciec też jest lekarzem. Można by powiedzieć, że mentorem Patricka. Oczywiście przeszedł już na emeryturę.

Banks zastanawiał się, czy i na ile ich małżeństwo zyskało akceptację rodziny pani Aspern.

- Czy wczorajszą noc spędziliście państwo w domu?

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Co niby mam panu na to odpowiedzieć?

- Prawdę - rzekł Banks.

- Ach, prawdę. Tak, obydwoje byliśmy w domu, oczywiście. -  
Znów zwróciła się twarzą do szyby.

- Czy pani mąż wczoraj wychodził z domu?

Pani Aspern nie odpowiedziała.

- Czy chce mi pani powiedzieć coś jeszcze? - zachęcał Banks. -  
Może jest coś, o czym chce mnie pani poinformować. Cokolwiek.

Pani Aspern spojrzała na Banksa. Nie potrafił określić wyrazu jej twarzy. Po chwili ponownie odwróciła się tyłem do niego, żeby znów wpatrywać się w szybę.

- Nie - powiedziała po długiej pauzie. - Nie wydaje mi się.

Banks zrezygnował i zajął się prowadzeniem auta. Na tle mglistych dolin Mariza śpiewała piosenkę o smutku, tęsknocie, żalu, karze oraz rozpacz.

Idąc przez las w kierunku odnogi kanału, Annie pomyślała, że późnym popołudniem wszystko wygląda tu inaczej. Teren pozostawał

zagrodzony, więc żeby ją wpuszczono, musiała się wylegitymować i wpisać na listę. Sprzęt strażaków zniknął, oni sami też, ustępując miejsca upiornej ciszy, która otaczała dwie wypalone barki, oraz garstce ludzi w białych kombinezonach z kapturem, cierpliwie przeszukujących brzegi. W wilgotnym powietrzu ciągle wisiał zapach popiołu.

Sierżanta Stefana Nowaka zastała na barce artysty plastyka nad stertą spalonych rzeczy, które uważnie przeglądał. Stefan koordynował policyjne dochodzenia na miejscu zbrodni. Kierował grupą świetnie wyszkolonych specjalistów, którzy mieli za zadanie zebrać możliwie najwięcej dowodów rzeczowych. Pełnił też funkcję łącznika między laboratorium kryminalistycznym a zespołem kierowanym przez Banksa.

Gdy Annie podeszła, Stefan podniósł głowę. Był przystojnym, eleganckim mężczyzną i nawet w kombinezonie ochronnym miał prawdziwie arystokratyczny wygląd. Annie uważała, że Stefan jest na pewno jakimś księciem, jak wielu emigrantów z Polski. Wyczuwało się w nim jakąś wyniosłość, która jednak nigdy nie przekraczała granicy uprzejmej rezerwy wobec otoczenia, co dodawało mu prawdziwie królewskiej powagi. Mówił z lekkim polskim akcentem, co jeszcze zwiększało efekt tajemniczości. Z Annie i Banksem zaprzyjaźnił się na tyle, że był z nimi po imieniu, ale nie chadzał do Queens Arms jak reszta chłopaków i nikt nie wiedział wiele o jego życiu prywatnym.

Annie pociągnęła nosem.

- Macie coś?

Stefan wskazał gestem ciemną wodę kanału.

- Nurek natrafił na pusty pojemnik - odpowiedział. - Prawdopodobnie zawierał terpentynę, której użyto do wzniesienia pożaru. Ale bez odcisków palców ani jakichkolwiek śladów. Zwyczajny pojemnik po terpentynie, którą sprzedają w każdym sklepie. I tak już tu skończyłem - dodał. - Chodź, pokażę ci, co znaleźliśmy do tej pory.

Annie ciaśniej owinęła szalikiem bolące gardło, gdy ruszyli wąską

ścieżką przez las. Pasemka mgły wciąż utrzymywały się między drzewami, jak misterne pajęczyny. Od czasu do czasu musieli obchodzić rozmiękczony grunt i płytkie kałuże.

Mniej więcej w połowie drogi Annie zauważyła plastikowe ramki zabezpieczające ledwie wyraźne odciski stóp w błocie. Przy każdej leżała miarka.

- Na szczęście grunt był miejscami wystarczająco błotnisty - stwierdził Stefan. - Pewnie dlatego, że w cieniu drzew. W każdym razie mamy względnie świeże odciski butów. Ale mógł je zostawić każdy.

- Ile osób?
- Wygląda na to, że jedna.
- Czy strażacy korzystali z tej ścieżki?

Stefan wskazał w bok.

- Nie, szli tamtędy. Ścieżka prowadzi do zatoczki parkingowej przy szosie. Oni zostawili wozy dalej, bliżej kanału. Ta część lasu jest poprzecinana ścieżkami. Domyślam się, że latem to popularne miejsce.

Annie spojrzała na ślady.

- Mężczyzna?

- Mężczyzna, ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Tak czy owak wszystkie ślady zostały sfotografowane i zrobiliśmy odlewy. Teraz schną, ale jutro porównamy je z danymi w SICAR.

System utrwalania i identyfikacji odcisków obuwia, Shoeprint Image Capture and Retrieval, składa się z kilku baz danych pozwalających porównywać zebrane ślady ze zgromadzonymi próbkami, w tym dwoma tysiącami różnych podeszew trzystu najczęściej sprzedawanych marek butów, które skatalogowano w bazie danych Solemate. Któryś z podwładnych Stefana pokrył odcisnięty w ziemi ślad szelakiem albo lakierem akrylowym, po czym wykonał odlew z gipsu dentystycznego. Po powrocie do pracowni wprowadzi dane odlewu do komputera, uwzględniając powszechnie występujące na podeszwach wzory, takie jak paski, wielokąty i zygzaki oraz logo produ-

centa, jeśli ten je zamieścił. W ten sposób, dzięki systemowi SICAR, dowiedzą się, jakiego typu i marki są buty, których odciski znaleźli na miejscu zbrodni. Będą też mogli przeszukać bazy danych o przestępcach i podejrzanych, żeby sprawdzić, czy nie zatrzymano osoby używającej takiego obuwia albo nie utrwalono identycznego śladu w którymś z poprzednich śledztw policyjnych.

Oczywiście wszyscy mieli nadzieję na coś więcej niż tylko ogólna charakterystyka, zdarzają się bowiem unikalne ślady świadczące o sposobie chodzenia oraz zużyciu obuwia. Albo pinezka wbita w podeszwę. Wtedy po schwytaniu podejrzanego zabezpiecza się jego buty, które stanowią solidny dowód w sądzie, pozwalający powiązać go z miejscem zbrodni.

Doszli do zatoki, przy której parkowało mobilne laboratorium policyjne, całkowicie blokując przejazd. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ mało kto używał leśnej drogi, żeby dojechać do mostu rozpiętego nad kanałem około trzech kilometrów na zachód. Gdyby jednak ktoś chciał tamtędy przejechać, znak objazdu na skrzyżowaniu z główną szosą informował go, żeby skręcił w następną leśną drogę.

Annie zauważyła jeszcze kilka zabezpieczonych odcisków na terenie zatoczki.

- Imponujące - pochwaliła. - Mielicie mnóstwo roboty.
- Zobaczmy, co z tego wyniknie - odparł Stefan. - Badanie miejsca zbrodni w taki sposób jest jak obieranie kolejnych warstw cebuli, tylko nie wiadomo, która warstwa okaże się najważniejsza. - Wskazał na jeden ze śladów. - Tutaj mamy ślady opon, równoległe. Powinny wystarczyć do określenia producenta. Ustalimy też rozmiar opony i rozstaw osi pojazdu, co być może doprowadzi do zidentyfikowania marki samochodu. Jeśli się okaże, że opona ma jakies charakterystyczne cechy, czego nie wykluczam w tym wypadku, to zapewne odlew da się porównać z ogumieniem konkretnego wozu.
- Jeśli go odnajdziemy - dodała Annie.
- Naturalnie. Zebraliśmy też próbki gleby z całego terenu.

Oczywiście o tej porze roku nie mogło być mowy o rzadkich kwiatkach, ale skład mineralny też pozwoli powiązać z miejscem zbrodni bury oraz opony pojazdu, gdybyśmy je odnaleźli.

- Pod warunkiem, że będą jeszcze brudne.

Stefan zmrużył oczy.

- Czasem wystarczą mikroskopijne ślady. Powinnaś o tym wiedzieć. Byłabyś zaskoczona, jak niewiele nam potrzeba do pracy.

- Przepraszam. Nie chcę szukać dziury w całym - zapewniła. - Po prostu nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie mamy tu do czynienia z amatorem.

- Ale my także nie jesteśmy amatorami. Poza tym nie wiemy jeszcze, z czym mamy tu do czynienia.

- Racja - zgodziła się Annie. - Twierdzą tylko, że sprawca zrobi wszystko, żeby zatrzeć ślady. Im więcej czasu upłynie, zanim go złapiemy...

- Tym więcej śladów zdoła pozacierać. Owszem, tu przyznam ci rację. Ale trzeba czegoś więcej niż umycie i staranne wyczyszczenie samochodu, żeby usunąć każdą cząsteczkę gleby, którą tutaj się zabrudził. Nie zapominaj też, że mamy odcisk opony. Znaleźliśmy także plamę oleju, a przynajmniej na olej to wygląda. - Wskazał drugi koniec otoczonego taśmami terenu. - Próbką będzie gotowa do końca dnia. Niewątpliwie ktoś tutaj parkował auto całkiem niedawno i jeśli to nie byliście wy ani strażacy...

Annie wiedziała, że nie była to ani ona, ani Banks. Niemal instynktownie. Obydwoje postępowali tak, aby zachować jak najwięcej śladów na miejscu zdarzenia, zostawili więc samochody dalej i przeszli między drzewami, nie korzystając ze ścieżki. W sumie zapowiadało się obiecująco. Nawet jeśli dowody, które Stefan i jego zespół tak skrupulatnie zebrali, nie doprowadzą ich do podpalacza, to przydadzą się w sądzie później, kiedy go w końcu dopadną.

- Jest szansa, że to jeep cherokee? - zapytała Annie, przypominając sobie, co Banks przekazał jej po przesłuchaniu Marka. - Albo coś podobnego.

Stefan zamrugał powiekami.

- Jest coś, o czym nie wiem?

- Po prostu widziano w tej okolicy jeepa cherokee. Nie wczoraj wieczorem, ale niedawno.

Stefan spojrział na ślady opon.

- Przynajmniej mamy od czego zacząć - stwierdził. - Porównamy rozstaw osi i szerokość opon. - Teatralnym gestem otworzył drzwi mobilnego laboratorium. - Co prawda to nie Ritz, ale przynajmniej działa ogrzewanie. Może zajdziesz na herbatkę?

Annie uśmiechnęła się, a jej ciało zwróciło się do źródła ciepła jak słonecznik do słońca.

- Jak nic, czytasz w myślach - powiedziała, wchodząc za nim do środka.

Zanim Banks dotarł na komendę po pozytywnej identyfikacji zwłok Christiny przez panią Aspern w kostnicy szpitala w Eastvale, Annie pojechała już nad kanał, żeby porozmawiać z ekipą kryminalistyczną. Banks polecił, aby mundurowy policjant odwiózł panią Aspern do domu i już miał się zabrać do analizy dotychczasowych ustaleń, przy cichym akompaniamencie przebojów Jimiego Hendrixa w aranżacjach Gila Evansa, gdy w drzwiach jego gabinetu pojawił się Geoff Hamilton.

- Przytulny pokoik - stwierdził.

- Może być - odparł Banks. - Kawy? Herbaty?

- Kawy, jeśli jest. Czarnej, dużo cukru.

- Zamówię. - Przez telefon Banks polecił przynieść dwie czarne kawy. - Coś nowego?

- Właśnie wracam z laboratorium - odpowiedział Hamilton. - Po południu przeprowadziliśmy chromatografię.

- I?

Hamilton wyjął z teczki dwie kartki papieru oraz kasetę wideo i położył je na biurku Banksa. Na kartkach widniały wędrujące w górę i w dół zygzaki wykresów.

- Jak pan wie - spojrzął na Banksa - zebrałem w kilku miejscach na barce próbki pogorzeliśka, zwłaszcza na barce numer jeden, na której mieszkał Tom i gdzie stwierdziłem ognisko pożaru. Nie wiem, na ile pan się w tym orientuje - ciągnął - ale chromatografia to względnie prosty i szybki proces. W tym wypadku umieściliśmy próbki w dużych puszkach, podgrzaliśmy je, następnie strzykawką zebraliśmy wytrącony gaz, a potem wstrzyknęliśmy go do chromatografu. To - wskazał na wykres po lewej stronie - jest chromatogram gazów, które się wytrąciły po podgrzaniu próbek pobranych w miejscu, gdzie pożar się zaczął. - Następnie wskazał na drugi wykres, który zdaniem Banksa wyglądał niemal identycznie.

Obydwa przedstawiały serię niskich do średnich wychyleń z olbrzymim szpicem pośrodku. - To chromatograficzny zapis terpentyny.

- Czyli mieliśmy rację - rzekł Banks, uważnie oglądając chromatogramy. - A druga barka?

- Oprócz wstęg, które zauważyłem podczas wstępnych oględzin, nie znaleźliśmy żadnych śladów cieczy łatwopalnych. W każdym razie ma pan pierwsze konkretne dowody. Do przyspieszenia pożaru użyto terpentyny. Jej temperatura zapłonu wynosi dwieście pięćdziesiąt trzy stopnie Celsjusza, czyli raczej niewiele. Ponieważ nie ma śladów mechanizmu zegarowego ani zapalnika, powiedziałbym, że ktoś użył zapalki.

- Czyli celowe podpalenie?

Hamilton rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że pomieszczenie jest na podsłuchu, po czym pozwolił sobie na uśmiech, tak u niego rzadki.

- Tylko niech to zostanie w tych czterech ścianach - zaczął. - Nie mam cienia wątpliwości.

Funkcjonariusz przyniósł kawę i obydwaj zamilkli, czekając, aż opuści gabinet. Hamilton wypił łyk i sięgnął po kasetę.

- Chce pan obejrzeć nagranie? - zapytał.

Rejestrowanie dowodów na taśmach wideo stało się tak po-



wszechne, że Banks miał w gabinecie mały telewizor z odtwarzaczem. Hamilton wsunął taśmę do kieszeni urządzenia i na ekranie zobaczyli szosę przed pędzącym na miejsce pożaru wozem strażackim.

Większość pojazdów strażackich została wyposażona w tak zwanego milczącego świadka, czyli rejestrator wideo, który nagrywa przejazd do pożaru. Nagranie takie bywa przydatne, bo przy naprawdę szybkiej reakcji strażacy mogą uchwycić na miejscu samochód, którym uciekają sprawcy, albo piromana kręcącego się po okolicy i podziwiającego efekt swojego działania. Tym razem jednak nie nagrało się nic takiego. Co prawda wóz strażacki mijął po drodze kilka samochodów, których numery rejestracyjne da się zapewne ustalić dzięki metodom obróbki i powiększenia obrazu, ale Banks nie miał zbyt wielkiej nadziei, że to przyniesie jakiegokolwiek rezultaty. Pożar rozszalał się już na dobre, gdy Hurst wezwał pomoc, podpalacz zdążył więc na pewno pokonać kawał drogi. Była to jednak ekscytująca podróż i Hamilton wyjął kasetę dopiero wtedy, kiedy się zatrzymała, pokazując zakręt na leśnej drodze.

- Jest coś, co nie daje mi spokoju - rzekł Banks. - Ten chłopak, Mark, opisał włosy malarza jako brązowe, ale te, które miał denat na barce, były raczej rude.

- Ogień powoduje takie zmiany - odparł Hamilton.

- Zmianę koloru włosów?

- Tak. Czasami. Szare zamieniają się na blond, a brązowe na rude.

- Ciekawe - powiedział Banks. - A Tina? Czy mogłaby się uratować?

- Gdyby była przytomna i świadoma, tak. Ale nie miała najmniejszych szans w tym stanie, w którym się znajdowała.

- Wygląda więc na to, że to malarz na barce numer jeden był zamierzoną ofiarą - stwierdził Banks. - Mimo to sprawca się postarał, żeby ogień rozszerzył się na barkę numer dwa, gdzie mieszkali Mark i Tina. Tylko po co?

- Obawiam się, że to pan musi znaleźć odpowiedź, nie ja.
- Tylko głośno myślę. Eliminacja świadka?
- Świadka czego?
- Jeśli podpalacz odwiedzał ofiarę wcześniej, to mógł zostać zauważony. Albo tak myślał.

- Tylko że ten młody człowiek przeżył.
- Tak, i rzeczywiście widział dwie różne osoby odwiedzające Toma niezależnie od siebie. Może jedną z nich był morderca, który jednak nie wiedział, że Marka nie ma na barce. Prawdopodobnie zakładał, że dopadnie oboje. Pośpiesznie opuszczał miejsce pożaru, a to oznacza, że...

- Że co?
- Nieważne - uciął Banks. - Jak pan słusznie zauważył, muszę znaleźć odpowiedź. Póki co mam wrażenie, że dysponuję tylko przypuszczeniami.

Hamilton stuknął palcem w wykresy i wstał z miejsca.

- Nieprawda - zaprzeczył. - Ma pan potwierdzenie wykorzystania cieczy łatwopalnej do wzniesienia pożaru w dwóch lokalizacjach.

Banks uświadomił sobie, że Hamilton ma rację. Jeszcze kilka minut temu mógł polegać tylko na instynkcie i przypuszczeniach, teraz jednak zyskał mocny naukowy dowód, że ogień podłożono celowo.

Spojrzał na zegarek i westchnął.

- Za chwilę doktor Glendenning przeprowadzi sekcję zwłok pierwszej ofiary - powiedział. - Chce pan uczestniczyć?

- A niech tam - rzucił Hamilton. - Nie szkodzi, że jest piątek po południu i właśnie zaczyna się weekend.

## Rozdział 4

- Macie pojęcie, że potrzeba około półtorej godziny i temperatury między osiemset siedemdziesiąt a dziewięćset osiemdziesiąt stopni, żeby skremować ludzkie ciało? - zapytał doktor Glendenning, nie odnosząc się do niczego konkretnego. - Podczas pożaru zwykłego budynku, w tym wypadku barki, temperatura rzadko przekracza sześćset pięćdziesiąt stopni. Właśnie dlatego, panie i panowie, zostało nam tak wiele materiału do analizy.

Sala sekcyjna w piwnicy szpitala Eastvale General Infirmary nie należała do najnowocześniejszych, ale doświadczenie doktora Glendenninga kompensowało to z nawiązką. Banks miał wrażenie, że poczerniały kształt na stalowym stole to zwłoki człowieka z epoki żelaza odnalezione gdzieś na torfowiskach, a nie ktoś, kto jeszcze żył przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami. Wcześniej usunięto pozostałości ubrania i przesłano je do laboratorium, a także pobrano próbki krwi do analizy. Wykonano także zdjęcia rentgenowskie zwłok, szukając śladów kul oraz obrażeń wewnętrznych. Przy zmarłym znaleziono jedynie klamrę od paska, trzy funty sześćdziesiąt pięć pensów drobnymi oraz sygnet bez żadnych wrytych inicjałów.

- Uznałem, że możecie tego nie wiedzieć - zakończył Glendenning, rzucając okiem na swoją widownię: Banksa, Geoffa Hamiltona oraz Annie Cabbot, która dopiero co wróciła z miejsca zbrodni. - Powinniście docenić fakt, że pracuję w piątek po południu - ciągnął, dokonując oględzin zewnętrznych zwłok przy pomocy swojej nowej asystentki Wendy Gauge, ubranej w niebieski chirurgiczny fartuch i czepek ochronny. Glendenning spojrział na zegarek. - To może potrwać naprawdę długo, a ja jestem dziś umówiony na kolację, i to

ważną.

- Zdajemy sobie sprawę, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, dlatego żywimy olbrzymią wdzięcznością, i będziemy żyć po wsze czasy - oznajmił Banks, delikatnie trącając Annie w bok. - Prawda, Annie?

- Oczywiście, że tak - przytaknęła skwapliwie.

Glendenning spojrział na nich gniewnie.

- Przestań pyskować, chłopcze! Czy wiemy, kto to jest?

Banks pokręcił głową.

- Wszystko zawarłem w raporcie, który panu przesłałem. Prawdopodobnie miał na imię Tom i prawdopodobnie był malarzem.

- Przydałoby mi się chociaż coś na temat jego historii choroby - utyskiwał doktor Glendenning.

- Niestety nie możemy niczego dostarczyć - powiedział Banks.

- Chociaż to, czy był alkoholikiem, brał narkotyki albo jakies podejrzanе pigułki... Nie mam pojęcia, Banks, dlaczego pan zawsze cholernie utrudnia mi pracę, która i tak jest niełatwa. Może pan mi to wyjaśni?

- Niestety nie potrafię.

- Pewnego dnia sam poszukam odpowiedzi. Wytrząsnę ją z pana, Banks. - Glendenning spojrział groźnie, zapalił, choć palenie było całkowicie zakazane, i wrócił do pracy.

Banks zazdrościł mu papierosa. Kiedyś sam palił podczas sekcji zwłok. Dym trochę maskował odór ciała. Zwłoki zawsze śmierdzą. Ten facet też zaraz zacznie, jak tylko doktor Glendenning go otworzy. Będzie jak wysmażony stek w drogiej restauracji: na zewnątrz zwęglony, a w środku różowy. A jeśli do organizmu dostało się dostatecznie dużo tlenu węgla, to jego krew nabrała koloru lemoniady wiśniowej.

- Skoro był artystą, to na pewno lubił sobie wypić - monologował Glendenning. - Tak przynajmniej wynika z mojego doświadczenia.

Annie nie odezwała się, chociaż jej ojciec, Ray, był artystą i lubił sobie wypić. Stała obok Banksa, z oczami wpatrzonymi w doktora, i

już jakby trochę pobladła. Banks wiedział, że Annie nie przepada za sekcjami - nikt ich nie lubi, chyba że patolodzy - ale im częściej będzie brała w nich udział, tym szybciej się przyzwyczai.

- Ma poparzone siedemdziesiąt pięć procent powierzchni ciała. Najpoważniejsze uszkodzenia, kombinacja oparzeń trzeciego i czwartego stopnia, występują w górnej części ciała.

- Czyli najbliżej miejsca, gdzie powstał pożar - stwierdził Geoff Hamilton z miną spokojną i ponurą jak zawsze.

Doktor Glendenning skinął głową.

- To ma sens. Mamy do czynienia z całkowitym wypaleniem górnej części ciała z przodu. Widać czarne, zwęglone miejsca. Powodem jest wrzący tłuszcz podskórny. Ludzkie ciało pali się jeszcze długo po tym, jak zgasną płomienie. Działa jak świeczka, spalając swój własny tłuszcz.

Banks zauważył, że Annie skrzywiła się z niesmakiem.

- Dalej, na nogach i stopach na przykład, skóra jest różowa, miejscami plamista i pokryta pęcherzami - kontynuował patolog. - To sugeruje krótki kontakt z ogniem oraz niższą temperaturę.

Gdy doktor Glendenning przystąpił do zewnętrznych oględzin głowy denata, Banks zauważył obrażenia, które wyglądały jak złamanie czaszki.

- Co tam mamy, doktorku? - rzucił.

- Tyle razy panu mówiłem, żeby mnie tak nie nazywać. To nie-stosowne.

- Ale czy znalazł pan ślady od uderzeń w głowę czy nie?

Glendenning pochylił się, żeby staranniej obejrzeć ślady.

- Nie sądzę - stwierdził.

- Moim zdaniem to wygląda na ślady uderzeń - wtrąciła Annie.

- Pani zdaniem może i tak, ale ja widzę tutaj pęknięcia spowodowane wysoką temperaturą.

- Wysoka temperatura powoduje pęknięcia? - zdziwiła się Annie.

Doktor Glendenning westchnął. Banks mógł sobie wyobrazić, jakim Glendenning byłby nauczycielem i jak bardzo by się go bali

biedni studenci medycyny.

- Oczywiście, że tak - powiedział. - Od gorąca kurczy się skóra, co powoduje pęknięcia, które można łatwo pomylić z ciosami zadawanymi za życia. Wysoka temperatura może też powodować pęknięcia długich kości rąk i nóg, albo tak je osłabiać, że stają się kruche i pękają przy transporcie zwłok. Niech pani pamięta, że w sześćdziesięciu sześciu procentach składamy się z wody, a ogień doskonale odwadnia.

- Ale co z czaszką? - dopytywała się Annie.

Glendenning spojrzał na nią z gniewnym błyskiem w oku.

- Pęknięcia są skutkiem wysokiego ciśnienia. Mózg i krew zaczynają się gotować, para potrzebuje ujścia, wybija więc otwór w czaszce. Bum! Jak butelka szampana.

Annie się wzdrygnęła. Nawet Banks poczuł lekkie mdłości.

Doktor Glendenning wrócił do pracy z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Wracając do naszego przypadku - kontynuował. - Pęknięcia czaszki wskutek wysokiej temperatury często przebiegają wzdłuż szwów kostnych, czyli najsłabszego miejsca powierzchni czaszki i tak właśnie jest tutaj. Ponadto odłamki czaszki nie są wciśnięte do wewnątrz, co zapewne miałyby miejsce, gdyby pęknięcia powstały od uderzenia tępym narzędziem. Odłamki zostały wypchnięte na zewnątrz.

- Twierdzi pan więc, że denat nie został uderzony w głowę?

- Niczego takiego nie powiedziałem - odparł Glendenning. - Twierdzą tylko, że to raczej mało prawdopodobne. A pan jak zwykle wyciąga pochopne wnioski, Banks, na podstawie ledwie częściowych przesłanek. Jest pan w gorącej wodzie kąpany. A może by tak sięgnąć po jakąś naukową metodę, chłopie? Nie czytał pan Sherlocka Holmesa?

- Wiem, że kiedy wyeliminujemy to, co niemożliwe, cokolwiek pozostaje, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. Albo jakoś tak.

- No cóż, w tym wypadku niemal wszystko jest możliwe - podjął Glendenning. - Pański raport stwierdza, że zwłoki znaleziono pod warstwą gruzu. Widziałem też fotografie i rysunki zrobione na miejscu zbrodni. obrażenia na ciele denata mogły powstać już po śmierci, gdy zawalił się sufit.

- Przypuszczam, że mogło tak być - zgodził się Banks.

- Całkiem możliwe - przytaknął Geoff Hamilton.

- Ciesz się, że obydwoj panowie się zgadzacie - powiedział Glendenning.

- Ale z drugiej strony, czy w takim wypadku nie należy się spodziewać odłamków kostnych wewnątrz czaszki? - polemizował Banks.

Glendenning obdarzył go nieczęstym uśmiechem.

- Szybko się pan uczy, młody człowieku. W każdym razie nie wiemy, czy te obrażenia powstały za życia czy już po śmierci. O to właśnie mi chodzi.

- Czy może pan to jakoś stwierdzić?

Glendenning przewrócił oczami.

- Czy mogę to jakoś stwierdzić? - powtórzył, przedrzeźniając Banksa, po czym znów zajął się zwłokami. - No cóż, może najpierw ustalimy, czy istnieją oznaki wdychania dymu? - Wyciągnął rękę w teatralnym geście. - Skalpel!

Wendy Gauge stłumiła uśmiech, podając mu żądane narzędzie. Patolog pochylił się nad zwłokami. Nie tylko nos denata się spalił, ale też znaczna ilość skóry i mięśni twarzy, w niektórych miejscach widać było kości szczęki i brody. Glendenning odsłonił okolicę tchawicy i oskrzeli, częściowo poczerniałych od okopcenia albo zwęglenia, jak zauważył Banks, po czym znów pochylił się nad zwłokami.

- Widać obrażenia o charakterze termicznym w ustach, nosie oraz górnych drogach oddechowych - powiedział. - Ale to nic niezwykłego i nie mówi nam wiele. - Pogrzebał jeszcze w miejscu rozcięcia. - Mamy okopcenie, ale niewielkie. Taka ilość pozwala stwierdzić, że w czasie pożaru denat jeszcze oddychał, ale płytko.

- Był nieprzytomny? - zapytał Banks.
- Bardzo prawdopodobne.
- Czyli uderzenie w głowę mogło nastąpić, zanim powstał pożar?

Mogło doprowadzić go do nieprzytomności?

- Wstrzymaj konie! - Doktor Glendenning znów pochylił się nad zwłokami. - Przecież mówiłem, że uderzenie było skutkiem zapadającego się dachu raczej niż ludzkiego działania. Osad z sadzy na języku, w nozdrzach, w części ustnej gardła oraz nosogardzieli, co widzimy tutaj, nie wystarczy, by wnioskować, że denat żył, gdy powstał pożar.

- Czyli mógł umrzeć wcześniej?

Glendenning obdarzył Banksa nieprzyjemnym spojrzeniem i mówił dalej.

- Okopcenie poniżej krtani świadczyłoby o tym, że ofiara żyła w chwili powstania pożaru.

- Czy widzi pan je tutaj? - zapytał Banks.

- Nieznaczące. Teraz musimy zajrzeć głębiej. - Glendenning dał sygnał i Wendy Gauge także sięgnęła po skalpel, żeby wykonać zwyczajowe nacięcie w kształcie litery igrek. Poczerniała skóra, wysuszona przez ogień a następnie zmoczona wodą z węży strażackich, łuszczyła się jak spalony papier. Dopiero teraz pojawił się mdlący zapach śmierci. Na gorąco czy na zimno, zawsze się kończy tym samym. - Hm - mruknął Glendenning. - Widzicie, jak głębokie są poparzenia w niektórych miejscach. obrażenia nie są równomierne z kilku powodów, także dlatego, że skóra ma różną grubość w poszczególnych miejscach.

- Przy panu trzeba mieć naprawdę grubą - rzucił Banks.

Glendenning ostentacyjnie go zignorował.

- Stwierdzam przesadną czerwień krwi, co świadczy o obecności tlenku węgla - kontynuował. - Stężenie gazu poznamy, gdy ten niekompetentny jełop Billings przyniesie wyniki badań laboratoryjnych.

Banks przypomniał sobie, jak znalazł swojego byłego szefa za-



trutego tlenkiem węgla w jego własnym garażu. Samobójstwo. Miał pąsową twarz.

- Jaka ilość tlenu węgla powoduje śmierć? - zapytał.

- Każda ilość powyżej czterdziestu procent upośledzi zdolność oceny sytuacji, pozbawi przytomności i z czasem spowoduje śmierć, ale to zależy od stanu zdrowia danej osoby. Za śmiertelny przyjmuje się powszechnie poziom pięćdziesięciu procent. W porządku, Wendy. Możesz kontynuować.

- Tak, panie doktorze. - Wendy Gauge odchyliła płat skóry na piersi, po czym sięgnęła po nożyce, żeby przeciąć żebra i odsłonić organy wewnętrzne.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, a następnie pojawił się w nich Billings. Jatka na stalowym stole sekcyjnym nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, za to wyraźnie bał się doktora Glendenninga, bo zawsze zaczynał się jękać, gdy przychodziło mu z nim rozmawiać.

- Proszę, pa-panie do-doktorze. Po-poziom tlenku węgla.

Glendenning spiorunował go wzrokiem, po czym przeczytał raport.

- Woli pan wersję krótką czy długą? - zapytał Banksa, gdy gwałtownym ruchem głowy odprawił Billingsa.

- Na razie wystarczy krótka.

- Tlenek węgla na poziomie dwudziestu ośmiu procent - stwierdził. - Dość, by gaz wywołał zawroty i potworny ból głowy, nudności oraz zmęczenie.

- Ale nie śmierć?

- Nie, jeśli nie cierpiał na poważne zaburzenia układu oddechowego albo chorobę serca, o czym byśmy wiedzieli, gdybyśmy dysponowali jego dokumentacją medyczną. Ale ogólnie rzecz biorąc, taka ilość nie spowoduje śmierci. Zważywszy na stopień okopcenia oraz cząstki stałe w drogach oddechowych, powiedziałbym, że jeszcze żył w chwili powstania pożaru. Oznacza to, że bezpośrednią przyczyną zgonu była asfiksja wywołana wdychaniem dymu. Niech pan nie zapomina, że podczas pożaru uwalnia się wiele trujących

gazów, włącznie z amoniakiem i cyjankiem. Pełna analiza potrwa dłużej.

- A badanie toksykologiczne?
- Niech mnie pan nie uczy mojego zawodu, młody człowieku - odparł Glendenning. - Już jest w trakcie.
- Da się przeprowadzić analizę stomatologiczną?
- Możemy oczywiście zrobić wyciski, ale nie rozesłemy ich przecież do gabinetów dentystycznych w całym kraju.
- Istnieje pewna szansa, że był tutejszy - wyjaśnił Banks. - Zaczniemy więc od Eastvale i okolic.
- To już pański problem, nie mój. - Glendenning spojrział na zegarek i odwrócił się do denata. - Nadal mam tu mnóstwo roboty - powiedział. - Niestety nie mogę panu obiecać, że jeszcze dzisiaj zdążę się zabrać za drugą ofiarę. Jak tak dalej pójdzie, chyba będę musiał odwołać moje wieczorne spotkanie.

Wendy Gauge wyjęła organy wewnętrzne i położyła je wszystkie razem na stole sekcyjnym.

- No cóż - zaczął Banks, patrząc na Hamiltona i Annie. - Bez względu na to, czy ten mężczyzna został uderzony w głowę, czy cierpiał na chorobę serca i zmarł wskutek stosunkowo niskiego stężenia tlenu we krwi, czy też mózg rozsadził mu czaszkę, mamy dowód na to, że dokonano podpalenia, badamy więc sprawę morderstwa. Teraz musimy ustalić, kto podłożył ogień. - Banks raz jeszcze spojrział na przerażający kadłub na stole sekcyjnym, zwęgloną i twardą skórę, wyjęte wnętrzności oraz kropelki jaskrawoczerwonej krwi. - Możemy tylko mieć nadzieję, że nie szukamy seryjnego podpalacza - dodał. - Nie chciałbym uczestniczyć w kolejnych sekcjach.

- Czy to coś osobistego? - zapytała Maria Phillips, sadowiąc się na krześle po drugiej stronie pełnego wgnieceń miedzianego blatu stolika w Queens Arms. - W takim razie mów. No dobra, weź mi campari z sodą, proszę.

Banks nie zdążył nawet zapytać, czy Maria ma ochotę na drinka, ona jednak najwyraźniej się tym nie przejmowała. Przewiesiła swoje sztuczne futro przez krzesło obok, przelotnie dotknęła dłońmi swoich blond loków, po czym sięgnęła do torebki po puderniczkę oraz szminkę i zajęła się nimi, podczas gdy Banks poszedł do baru. Gdy wcześniej dzwonił do niej do domu kultury, dowiedział się, że Maria pracuje dziś do późna, co mu odpowiadało. Z przyjemnością wybrał się do przyjaznego pubu po drastycznych widokach podczas sekcji zwłok. Nie pragnął niczego innego, jak tylko znaleźć się wśród zwyczajnych żywych ludzi, w otoczeniu których mógłby kilkoma mocnymi drinkami wypłukać z organizmu posmak śmierci w płomieniach.

- Dobry wieczór, Cyril - powiedział do barmana. - Kufel gorzkiego i duży laphroaig dla mnie oraz campani z sodą dla pani.

Cyril uniósł brwi.

- Nie pytaj - rzucił Banks.

- Znasz mnie. Jestem uosobieniem dyskrecji. - Cyril zaczął nalewać piwo. - Ale nie powiedziałbym, że ona jest w twoim typie.

Banks tylko na niego spojrzał.

- Nad ranem był straszny pożar w okolicy Molesby.

- Mnie to mówisz?

- Już się tym zająłeś?

- Od samego początku. To był koszmarnie długi dzień.

Cyril spojrzał na zadrapany policzek Banksa.

- Wygląda na to, że w tej wojnie były ofiary.

Banks dotknął dłonią twarzy.

- Ach, nic takiego. Krótkie starcie z ostrą gałęzią.

- Bujac to my, ale nie nas - powiedział Cyril.

- Naprawdę - zapewnił Banks.

- Rozumiem, że nie możesz ujawnić szczegółów.

- Niewiele jest do ujawniania, nawet gdybym chciał. Nie mamy niczego oprócz pary zwłok. Dzięki. - Banks zapłacił i zaniósł drinki do stolika, gdzie Maria czekała już niecierpliwie, z dłońmi na blacie.

Perfekcyjnie wymanikiowane purpurowe paznokcie dorównywały długością kocim pazurom. Była tuż po trzydziestce, miała apetycznie zaokrąglone kształty, które przeczyły współczesnym kanonom mody i zdaniem Banksa wyglądałyby o wiele atrakcyjniej, gdyby zmyła z siebie te wszystkie barwy wojenne oraz zaczęła się ubierać wygodnie zamiast efektownie. No i te perfumy! Zwłaszcza perfumy. Przytłaczały go gryzącymi falami, zatruwając smak piwa. Wypił łyk la-phroaigu, czując, jak przyjemnie piecze w gardle. Zazwyczaj nie zamawiał mocnych drinków w Queens Arms, ale tego wieczoru zrobił wyjątek ze względu na szczególnie przykrą sekcję zwłok i Marię Phillips, w dodatku jedno po drugim w tak krótkim czasie.

Maria dała do zrozumienia, że zauważyła zadrapanie na policzku Banksa, ale nie ma zamiaru o nie wypytywać, przynajmniej nie od razu.

- Co u Sandry? - zapytała zamiast tego. - Bardzo nam jej brakuje w domu kultury. Taka energia i zaangażowanie!

Banks wrzucił ramionami.

- Wszystko dobrze, o ile wiem.

- A dziecko? Po takiej przerwie musi się dziwnie czuć, że znów została matką. W dodatku w jej wieku.

- Dawno się nie widzieliśmy - odparł Banks. Ale wiedział, od swojej córki Tracy, że trzeciego grudnia, a więc niewiele ponad miesiąc temu, Sandra urodziła zdrową dziewczynkę, która ważyła trzy osiemnaście i dostała na imię Sinéad, nie dla uczczenia łysej śpiewaczki pop, tylko po matce Seana. No cóż, życzył jej dużo szczęścia. Z takim imieniem będzie go potrzebowała. O ile wiedział, także od Tracy, matka i córka czuły się dobrze. Cała ta historia nieźle go walnęła i zmieniła wszystko, zwłaszcza sposób, w jaki myślał o swojej przeszłości, o życiu z żoną. W jakiś niewytłumaczalny sposób zrobiło się tak, jakby tych dwudziestu kilku wspólnych lat nie było, jakby wydarzyły się we śnie albo w jakimś poprzednim wcieleniu. Nie znał tej kobiety, tego dziecka. Zmienił się nawet jego stosunek do własnych dzieci, Tracy i Briana. Nie wiedział dlaczego, nie wiedział,

w jaki sposób, ale się zmienił. Co oni czuli, gdy przyszła na świat przyrodnia siostra?

- Oczywiście - zaszcebiotała Maria. - Co za nietakt z mojej strony! To musi być dla ciebie bardzo bolesne. Spędziłaś z nią tyle lat, jest matką twoich dzieci, a teraz urodziła dziecko innemu mężczyźnie.

- Co z tym malarzem, Tomem? - zapytał Banks.

Maria pogroziła mu palcem.

- Ty spryciarzu, próbujesz zmienić temat? No cóż, nie mogę cię za to winić.

- To jest temat. A przynajmniej taki był mój zamiar, gdy zapraszałem cię na drinka.

- A ja naiwna myślałam, że chcesz po prostu porozmawiać.

- Bo chcę. O Tomie.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Znasz jakiegoś miejscowego artystę imieniem Tom? Albo słyszałaś o kimś takim?

Maria podniosła dłoń do złotego naszyjnika ściskającego jej gardło.

- Czy tak wyglądasz, gdy przesłuchujesz podejrzanych? - zapytała. - Na pewno są przerażeni.

Banks zdobył się na słaby uśmiech. Nie kłamał, mówiąc Cyrylowi, że ma za sobą długi dzień, który w dodatku robił się coraz dłuższy. Każda minuta spędzona z Marią wydawała się godziną.

- To nie jest przesłuchanie, Mario - odparł. - Ale jestem bardzo zmęczony, dlatego nie chcę się bawić w żadne gierki, a potrzebuję informacji, które możesz mieć. - Miał ochotę dodać, że przed chwilą stał nad zwęglonymi zwłokami, przyglądając się, jak doktor Glendenning rozcina pocerniałe ciało, żeby wyjąć ze środka lśniące narządy, to jednak tylko pogorszyłoby sprawę. Cierpliwości. Tego mu było trzeba. I to w dużych ilościach. Tylko skąd miał ją brać?

Maria dąsała się przez chwilę, albo udawała, że się dąsa, po czym powiedziała:

- Tylko tyle o nim wiesz? Że ma na imię Tom?

- Tak, na razie tyle.
- Jak wygląda?

Banks zrobił pauzę, przywołując w pamięci zniszczoną twarz, stopione oczy, odsłoniętą szczękę i chrząstki na szyi.

- Dysponujemy jedynie bardzo ogólnym rysopisem. Był raczej niski i krępy, miał długie, tłuste brązowe włosy. I nie golił się zbyt często.

Maria wybuchnęła śmiechem.

- Brzmi jak opis wszystkich artystów, których w życiu spotkałam. A można by sądzić, że człowiek zdolny do tworzenia piękna powinien bardziej cenić własny wygląd, prawda?

- No nie wiem - odparł Banks. - Musi być fajnie ubierać się według własnej woli, a nie wciskać się w garnitur i golić codziennie rano przed wyjściem do pracy.

Maria spojrzała na niego z błyskiem w niebieskich oczach.

- Ale mógłbyś też nie mieć na sobie żadnego ubrania, gdyby zrobiło się naprawdę gorąco, prawda?

- Pewnie tak - zgodził się Banks, pijąc kolejny łyk laphroaigu i zaraz po nim duży haust piwa. - Czy ten opis kojarzy ci się z kimś konkretnym?

Spojrzała na niego z pobłażaniem, jak na niesforne go uczniaka, po czym zmarszczyła brwi.

- To mógłby być Thomas McMahon - stwierdziła. - Z pewnością jest najniższym malarzem, jakiego znam. Toulouse-Lautrec był chyba niższy, ale nie za moich czasów. - Uśmiechnęła się.

Banks nadstawił ucha.

- Ale pasuje do rysopisu? Ten Thomas McMahon?

- Raczej. Był niski i krępy, trochę taki ropuchowaty. Miał brodę, ale nie nosił długich włosów, przynajmniej wtedy. Ale jest coś, co o nim pamiętam...

- Co?

- Miał piękne palce. - Wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała zademonstrować. - Długie i smukłe. Bardzo delikatne. Za-

skakujące u takiego niskiego mężczyzny.

Czy nie to właśnie Mark powiedział mu o Tomie? Że miał długie palce? Nie stanowiło to mocnej podstawy do identyfikacji, ale do-tychczas nie zdobyli niczego lepszego.

- Powiedz mi o nim coś więcej - poprosił.

Maria machnęła pustym kieliszkiem.

- Przydałaby się jakaś łapówka - powiedziała.

Banks skończył co prawda swoją whisky, ale miał jeszcze trochę piwa i nie zamierzał pić więcej, ponieważ musiał wrócić do domu samochodem. Poszedł do baru po kolejne campari dla swojej towarzyszki. Pub zapelniał się już ludźmi, Banks musiał więc kilka minut poczekać, aż zostanie obsłużony. Ktoś wybrał w szafie grającej starą piosenkę Oasis. Jakże inaczej wyglądał ten pub zeszłego lata, pomyślał Banks, gdy pryszczycza odstraszyła ludzi od Yorkshire Dales i Cyril całymi dniami czekał na klienta. Teraz, w styczniu, większość gości była tutejsza. Może nadchodzące lato przyniesie ożywienie dla firm w Dales? Na pewno tego potrzebowały. Po powrocie na miejsce wręczył Marii kieliszek, mówiąc:

- Więc?

Z zaskoczeniem obserwował, jak kobieta otwiera swoją torebkę, wyjmuje paczkę silk cut oraz cienką złotą zapalniczkę. Nie pamiętał, żeby paliła.

- Przeszkadza ci? - zapytała, zapalając papierosa.

Nawet gdyby zaprotestował, niczego by to nie zmieniło: dym już płynął w jego stronę, unoszony zapachem perfum.

- Nie - odpowiedział zaskoczony, że zamiast chęci na papierosa po raz pierwszy poczuł odrazę. Czy stanie się teraz jednym z tych potwornych neofitów zajadłe zwalczających palenie? Cholera! Miał nadzieję, że nie. Napił się piwa. Trochę pomogło.

- Niewiele mogę ci o nim powiedzieć. Jeśli to rzeczywiście ten, o którego ci chodzi.

- Założmy, że tak, czysto teoretycznie - zachęcił ją Banks.

- No wiesz, nie chcę potem odpowiadać za marnowanie poli-

cyjnego czasu, jeśli ci wskażę niewłaściwy kierunek.

Banks znów się uśmiechnął.

- O to się nie martw. Nie aresztuję cię za to. Po prostu powiedz mi, co wiesz, a resztę zostaw nam.

- To było jakieś pięć lat temu - zaczęła Maria. - Jeszcze pracowała u nas Sandra. Często z nim rozmawiała. Jestem pewna, że będzie wiedziała więcej niż ja.

Cudownie! - pomyślał Banks. Czy będzie musiał rozmawiać ze swoją byłą żoną, żeby zdobyć informacje o tej sprawie? Może zamiast tego pośle Annie. Nie, to byłoby okrutne. W takim razie Jima Hatchleya? Albo Winsome? Wiedział jednak, że gdyby naprawdę zaszła taka konieczność, to musiałyby załatwić sprawę sam. Inaczej okazałyby się nie tylko tchórzem, ale i gburem. Nie obeszłoby się pewnie bez oglądania jej nowego dziecka i bujania małej Sinéad na kolanach. Niewykluczone, że wszystko to w obecności Seana, który by zaproponował, żeby Banks został u nich na kolacji. Ach, te szczęśliwe rodziny! Albo może skończyłby jako opiekunka dla ich córeczki, podczas gdy oni wybraliby się wieczorem do teatru albo do kina. Mógłby jednak tego wszystkiego uniknąć, gdyby tylko bardziej przycisnął Marię.

- Zacznijmy od tego, co pamiętasz - zaproponował.

- Jak mówiłam, to było dawno temu. McMahon mieszkał gdzieś we wschodniej części miasta, jeśli dobrze pamiętam. Był malarzem, a myśmy mieli za zadanie między innymi zachęcać lokalnych artystów do pracy. Nie finansowo, jak się domyślasz, ale dając przestrzeń do wystawiania ich dzieł.

- Czyli Thomas McMahon miał wystawę w galerii domu kultury?

- Tak.

- I zachowały się jakieś ślady? Może katalog? Albo jakieś jego zdjęcie?

- Przypuszczam, że tak. Pewnie zostało coś w archiwum.

- Czy jego prace były coś warte?



Maria zmarszczyła nos.

- Nie zamierzam się podawać za eksperta w tej dziedzinie, ale powiedziałabym, że nie. W jego pracach nie było niczego wybitnego, o ile potrafię ocenić. Głównie epigonizm.

- W takim razie nie zrobiłby wielkiej kariery?

- Tak sędzę. Pamiętam, że w ostatniej chwili podrzucił nam kilka potwornych abstrakcji. Odniosłam wrażenie, że naprawdę chciał malować właśnie abstrakcje, ale z czegoś takiego nie da się żyć, jeśli się nie ma prawdziwego talentu. Z drugiej strony można nieźle zarobić na sprzedawaniu turystom lokalnych pejzaży, co zresztą robił.

- Czy to możliwe, żeby śmierć wpłynęła na wartość jego prac?

Maria zrobiła wielkie oczy.

- No, no, to się nazywa zawodowe zboczenie! Cóż za wspaniały motyw: zabić artystę, żeby podbić cenę jego prac.

- Więc?

- Nie, raczej nie w tym wypadku. Kiepska akwarela zamku w Eastvale zawsze pozostanie kiepską akwarelą zamku w Eastvale, za życia malarza i po jego śmierci. Może marszand mógłby to ocenić lepiej ode mnie, ale wydaje mi się, że będziesz musiał poszukać innego motywu.

- Pił?

- Lubił się napić, ale nie nazwałabym go pijakiem.

- Narkotyki?

- Nawet jeśli, to przecież trudno poznać. Ale nie dostrzegłam żadnych objawów. Żadnych plotek też nie słyszałam.

- Nigdy potem go nie widziałś?

- Owszem, wpadł kilka razy na wernisaże, ale nic poza tym. Był też oczywiście na otwarciu wystawy Turnera.

- Rozumiem - rzucił Banks. Turner. Zdecydowanie najcenniejszy i najslawniejszy obraz, jaki kiedykolwiek się pojawił w skromnej galerii miejscowego domu kultury: namalowana przez Turnera akwarela przedstawiająca zamek w Richmond w hrabstwie Yorkshire, latami uznawana za zaginioną, wisiała w galerii przez dwa dni po tym,

jak odnaleziono ją pod warstwą starej izolacji podczas remontu starej chałupy. Nikt nie miał pojęcia, jak się w tej chałupie znalazła, ale spekulowano, że pierwotny właściciel zmarł, a następny ociepiał ściany, nie mając pojęcia o wartości malutkiego obrazu. Wydano wtedy przyjęcie dla miejscowych notabli i artystów. Banks pamiętał, że Annie pracowała przy zabezpieczeniu tej imprezy. Wszystko działo się tego lata, gdy Banks był w Grecji, ominęło go więc całe zamieszanie.

- Poza tym nic?

- Nic. Zniknął z miejscowej sceny krótko po tej wystawie, pięć lat temu. Wydaje mi się, że marszandowi nie najlepiej schodziły jego obrazy, a McMahan przeszedł jakiś osobisty kryzys. Nie znam szczegółów. Może Leslie Whitaker mógłby pomóc. Wiem, że się kolegowali. Pewnie dlatego Whitaker sprzedawał poważniejsze obrazy McMahona oraz landszafty, które malował dla turystów.

- Więc Whitaker był marszandem McMahona?

- Tak jakby.

- Ostatnio też?

- Tak. Raz czy dwa w tym miesiącu widziałam, jak Thomas McMahan wychodził z antykwariatu Lesliego Whitakera. Wyglądało, jakby kupił kilka książek. W każdym razie niósł jakiś pakunek.

- Rozmawiałaś z nim?

- Tylko się przywitaliśmy.

- Jak wyglądał?

- Zaskakująco dobrze. Ale jak wspomniałeś wcześniej, miał trochę przydługie włosy, którym przydałoby się trochę szamponu. I na pewno od kilku dni się nie golił.

- Myślisz, że mogłabyś odnaleźć ten katalog i podać mi nazwiska artystów, na których wystawy przychodził McMahan?

- Po co ci to?

- Katalog pomoże ustalić, czy któraś z jego prac nie pojawiła się na rynku. Chcielibyśmy też porozmawiać z ludźmi, którzy mogli go znać. Przydałaby się także jego fotografia.

- Mogę spróbować. Ale będę musiała przejrzeć archiwa.
- Mogłabyś zrobić to z samego rana?

Maria zmierzyła go wzrokiem, po czym wypila łyk campari z sodą. Jej kieliszek znów się zrobił niemal pusty.

- Pewnie tak. Pamiętasz, że jutro sobota, prawda?
  - Dom kultury będzie otwarty.
  - Owszem, ale ja mam wolny dzień.
  - W takim razie posłę kogoś z policjantów - powiedział Banks.
- Zajmie mu to trochę więcej czasu, ale...
- Nie powiedziałam, że tego nie zrobię.
  - A zrobisz?
  - No dobrze, jeśli nalegasz.
  - A potem zadzwonisz do mnie na komendę i przyslesz mi tam wszystko, co znajdziesz?
- Tak. - Podniosła kieliszek. - Nie wiadomo, może nawet dostarczę osobiście.

- Chcesz jeszcze drinka? - zapytał Banks.
- Tak, proszę.
- Oczywiście. Ale obawiam się, że wypijesz go sama. Mam przed sobą długą drogę do domu.

Maria wyglądała na zawiedzioną.

- No cóż... W takim razie sobie podaruję... Ale myślałam, że...
- Że co?
- Nie mieszkam tak daleko. Może byś wpadł na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem, filiżankę kawy albo coś? - Zmarszczyła nos. - Mogłoby cię to trochę ożywić.
- Dziękuję za propozycję - powiedział Banks, pośpiesznie kończąc swoje piwo. - Ale ostatnie, co przyszłoby mi teraz do głowy, to żeby się rozruszać. Naprawdę potrzebuję snu.
- No to nie nalegam. Może innym razem. - Maria zebrała swoje rzeczy i wstała z krzesła, żeby nałożyć futro. - Zadzwonię rano - rzuciła i prędko wyszła.

Cholera, pomyślał Banks speszony spojrzeniami, które posyłali

mu pozostali goście. Przecież chyba nie dał Marii Phillips żadnego powodu, żeby sądziła, że chce czegoś więcej niż informacji o malarzu? Widział ją tylko dwa albo trzy razy, odkąd Sandra wyjechała, gdy przypadkowo wpadli na siebie na ulicy albo on z jakiegoś powodu odwiedził dom kultury. Za każdym razem wymieniali tylko kilka słów. Z drugiej strony ona zawsze była jakaś dziwna, kokieteryjna i trochę zalotna, nawet za czasów jego małżeństwa z Sandrą. Zawsze myślał, że to jej sposób bycia i nigdy nie traktował tego poważnie. Może więc także teraz nie było to nic innego? Sięgnął po swój płaszcz i teczkę. Tak czy owak Maria Phillips zatelefonuje do niego jutro rano z informacjami, które mogą go trochę przybliżyć do tajemnicy, jaką był Tom.

Po autopsji Annie dowiozła swoje obolałe kości do domu, zgodnie z radą Banksa. Nie ma już nic do zrobienia tego wieczoru, powiedział, najlepiej więc trochę odpocząć. Taki właśnie miała zamiar, gdy zamykała za sobą drzwi swojego małego domku w Harkside, który znajdował się w samym środku labiryntu wąskich i krętych uliczek, jak to kiedyś powiedział Banks. Wypije kieliszek chilijskiego caber-neta, weźmie długą, gorącą kąpiel, potem połknie kilka tabletek leku na przeziębienie i położy się do łóżka z nadzieją na spokojny całonocny sen. Może rano poczuje się lepiej.

Na sekretarce automatycznej czekała na nią jedna wiadomość. Z niesamowitą przyjemnością usłyszała, że nagrał ją Phil. Potwierdził, że nazajutrz przyjeżdża do Swainsdale, żeby spędzić kilka dni w swoim domku w Fortford. Czy Annie zje z nim kolację któregoś wieczoru podczas weekendu albo nawet na początku przyszłego tygodnia, czy będzie zbyt zajęta?

Pewnie, że by zjadła, ale nie wiedziała, czy może się umawiać już teraz, skoro właśnie się zaczynało nowe śledztwo, a to cholerne przeziębienie nie chciało ustąpić. Z drugiej strony jako detektyw miała pewne przywileje - chociaż nie płacili jej za nadgodziny - wieczory powinna więc mieć wolne, o ile nie zdarzy się jakiś nie-

przewidziany wyjazd. Jeśli będzie się czuła wystarczająco dobrze, to nie ma powodu, żeby wstępnie nie zgodziła się na spotkanie jutro wieczorem.

Rzuciła klucze na stolik, nalała sobie wina i sięgnęła po słuchawkę telefoniczną.

\*\*\*

Także na Banksa czekała jedna wiadomość na sekretarce automatycznej, gdy przyjechał do domu po spotkaniu z Marią Phillips - od Michelle Hart, do której zapomniał zatelefonować. Chciała mu tylko przekazać, że nie może się z nim spotkać w weekend, ponieważ wszyscy funkcjonariusze mają nadgodziny w związku z poszukiwaniami zaginionego dziecka. Banks doskonale to rozumiał. Zaginięcia dzieci są najgorsze, prawdziwy koszmar każdego policjanta. Traf chciał, że poznali się z Michelle, gdy zajmowała się sprawą zaginionego przyjaciela Banksa z dzieciństwa, Grahama Marshalla, którego kości odkryto ubiegłego lata, ponad trzydzieści pięć lat po zaginięciu.

Choć on sam też nie mógłby się wyrwać z pracy, to i tak był zadowolony. Przytrafiało im się to ostatnio na tyle często, że przez kilka pierwszych godzin każdego spotkania czuli się i zachowywali jak obcy sobie ludzie. Trudno w takich warunkach budować związek. Po pierwsze, odległość - kilometry jazdy we mgle, w ulewnym deszczu albo gradzie; po drugie, praca, która jest kompletnie nieprzewidywalna. Czasem się zastanawiał, czy gliniarz może sobie pozwolić na cokolwiek poza powierzchownym, niewymagającym związkiem.

Zastanawiał się też więcej niż podczas ostatnich miesięcy, dokąd zmierza jego znajomość z Michelle. Spotykali się, ilekroć mogli, dobrze się ze sobą czuli, no i seks był wspaniały. Ale ona zawsze sprawiała wrażenie, że bardzo się kontroluje. Banks wiedział oczywiście, że większość ludzi tak robi, on sam także, ale z Michelle sprawy miały się inaczej, jakby dźwigała jakiś potworny ciężar, którym nie mogła albo nie chciała się z nim podzielić. Sprawiało to, że ich związek był w pewnym sensie płytki.

Jego wcześniejszy związek z Annie był głębszy. Właśnie dlatego Annie uciekła: poszło o zbytnią bliskość. Ale też o resztki uczuć Banksa do Sandry, no i o dzieci oczywiście. Myśl o dwójce dzieci Banksa śmiertelnie przerażała Annie. Michelle nigdy nie rozmawiała o dzieciach. Banks zastanawiał się czasem, czy Michelle nie została głęboko zraniona w przeszłości. Annie padła ofiarą gwałtu i zdradziła mu tę tajemnicę, rozmawiali o tym, ale Michelle... Ona po prostu nie chciała się otworzyć.

Banks przejrzał pocztę, z przyjemnością odnotowując, że przyszły najnowsze egzemplarze „Gramophone” oraz „Mojo”, po czym nalał sobie kapkę dziesięcioletniego laphroaigu, cask strength, którą sierżant Hatchley kupił mu w sklepie bezcłowym. Niech ktoś powie, że alkohol nie ma zębów: wgrzył się mocno w język oraz gardło i za nic nie chciał puścić. Sam zapach chyba by wystarczył, żeby się poczuć urzęniętym.

Banks znów pomyślał o Michelle. Czy pociągały go tylko zranione kobiety? Czyżby postrzegał siebie jako uzdrowiacza, kogoś w rodzaju Trávisa McGee - zastanawiał się, przypominając sobie bohatera książek, które jako nastolatek pochłaniał z chorobliwym zainteresowaniem, podobnie jak te o Jamesie Bondzie i Świętym oraz komiksy z Sextonem Blakiem czy Modesty Blaise. Kilka dni na Busted Flush ze starym dobrym Tráviserà, a będziesz zdrow jak ryba! No cóż, jeśli rzeczywiście tak się definiował, to chyba nie szło mu najlepiej. Poza tym ludzie w wieku jego czy Michelle po prostu musieli dostać już od życia niezłe ciągi, emocjonalne, a nawet fizyczne. Zwłaszcza gdy są gliniarzami. Banks zaśmiał się z samego siebie i przechylił głowę do tyłu, zrzucając okulary.

Oddzwonił, ale nie zastał Michelle w domu, zostawił więc wiadomość, że jest mu przykro, ale może się uda w przyszłym tygodniu, chociaż wątpił, czy prowadzone przez nich sprawy do tego czasu się zakończą.

Ale przynajmniej miał jedną dobrą wiadomość, która czekała na niego na komendzie, dokąd zjechał na chwilę po spotkaniu z Marią

Phillips: zwłoki znalezione na barce istotnie należały do Thomasa McMahona. W Molesby, miejscowości najbliższej barek, praktykował tylko jeden dentysta, a posterunkowy Templeton wykazał się zdrowym rozsądkiem i z odciskiem poszedł właśnie do niego. Dentysta zakładał Thomasowi McMahonowi plombę ledwie tydzień wcześniej.

Czasem szło aż tak łatwo.

W domu było zimno, Banks zastanawiał się więc, czy nie rozpalić kilku kostek brykietu torfowego, doszedł jednak do wniosku, że się nie opłaca: był pewien, że zaśnie, zanim się zdoła nacieszyć ciepłem. Zresztą po tym, co widział, przerażała go myśl o choćby najbardziej niewinnych płomieniach pod jego dachem. Sprawdził czujniki dymu, żeby się przekonać, czy obydwa działają poprawnie. Działały. Potem włączył grzejnik elektryczny i nalał sobie kolejnego drinka.

Pomyślał, żeby obejrzeć coś na DVD. Niedawno kupił odtwarzacz i odżyło jego zainteresowanie filmami. Zaczął je kolekcjonować tak jak płyty CD. Ostatecznie jednak uznał, że jest za późno; wiedział, że zaśnie na kanapie w połowie seansu. Włączył więc płytę Cassandry Wilson *Belly of the Sun* i zaczął przeglądać recenzje w „Gramophone”. Boże, jaki głęboki, bogaty i zmysłowy głos ma Cassandra Wilson! Jak rozplływająca się czekolada! Z każdej sylaby wydobywa wszystko, co można, rozciąga dźwięki tak, że niemal pękają, spada na nie z wysoka albo wspina się od spodu, liżąc je i żując, żeby zmienić ich kształt.

Whisky smakowała dobrze: ostra, w smaku intensywnie torfowa z lekką nutką szpitalną. Żałował, że nie może wyjść na zewnątrz, stanąć przy wodospadzie Gratly i spojrzeć w dół na dolinę, aż do świateł Helmthorpe, jak wtedy, za czasów młodości. Ale było za zimno. Oczywiście jak na styczeń panowała umiarkowana temperatura, pomyślał, ale po zmroku pojawiał się chłód, który potrafił się oprzeć nawet cudownym właściwościom whisky słodowej, która działała jak balsam na jego serce. Zerwał się też wiatr i Banks miał wrażenie, że jego mały domek jest zagubionym okrętem, a on musi się siłować z linami, żeby go utrzymać na ziemi.

Odłożył magazyn i oparł się wygodnie, podnosząc nogi. Palila się tylko słaba lampka na stole, Cassandra śpiewała *Shelter from the Storm* Dylana, a jego myśli powędrowały do wydarzeń tego dnia, co często się zdarzało w takich sytuacjach. Nie tyle myślał, co riffował, improwizował, tak samo jak muzyk jazzowy, albo Elgar, gdy pisał *Wariacje „Enigma”*.

Muzyka Elgara doskonale pasowała na początek, ponieważ cały ten dzień wypełniała enigma. Wszystko było niejednoznaczne, nieokreślone, nieuchwytnie. Chociaż w sumie wyglądało na to, że zamierzoną ofiarą był Thomas McMahon. Tylko że na jego ciele nie znaleziono żadnych obrażeń oprócz tych spowodowanych pożarem. Nie odkryli też potencjalnego motywu. Z kolei Mark Siddons najpierw się pokłócił ze swoją uzależnioną od narkotyków dziewczyną, a potem wypadł z domu jak szalony, ale jego alibi się potwierdziło, a wyniki badań laboratoryjnych oczyszczały go z zarzutów.

Tina, a także Mark kupowali narkotyki od Danny'ego Boya Corcorana, a jeśli w grę wchodzi narkotyki, to trzeba się dokładnie przyjrzeć wszystkim zamieszanym. Był wreszcie ojczym Tiny, doktor Patrick Aspern. Banks niezbyt go polubił, ale to niewiele znaczyło. Zdarzało mu się już wcześniej nie lubić niewinnych ludzi. Jeśli jednak Mark zeznał prawdę, to doktor Aspern miałby dostateczny motyw. Poza tym zarówno Aspern, jak i jego żona przedstawili mało konkretne alibi, mówiąc najdelikatniej. Z drugiej strony może jakieś wydarzenie z przeszłości kazało Markowi bezkrytycznie uwierzyć w historię Tiny. Tej przeszłości warto się więc przyjrzeć, pomyślał Banks, notując sobie w pamięci, żeby zlecić to sierżantowi Hatchleyowi następnego ranka.

Andrew Hurst był kolejnym problemem. Kręcił się nad kanałem, skłamał w rozmowie z nimi, uprał ubrania i nie miał żadnego alibi. Tylko jaki motyw mógłby nim kierować? Może nie potrzebował motywu. Pierwszy przybył na miejsce pożaru, a potem wezwał straż. Może jest podpalaczem, który lubi wywoływać pożary. O ile Banks znał się na psychologii, piromani często nie tylko zgłaszają swój pożar



i kręcą się na miejscu, żeby podziwiać efekty swojego działania, ale też biorą udział w akcji gaśniczej oraz pomagają policji. Banks będzie musiał się przekonać, na ile pomocny okaże się Andrew Hurst.

Gdy płyta kompaktowa dobiegła końca, Banks miał ochotę na kolejną whisky, ale zrezygnował. Powlókł się do łóżka.

## Rozdział 5

Danny Boy Corcoran zajmował małe mieszkanie przy Market Street, na obrzeżach miasteczka studenckiego. Kiedyś studiował zarządzanie w Eastvale College, ale odkrył, że handel narkotykami jest o wiele bardziej lukratywny i zakończył edukację, zanim otrzymał dyplom. Jego mieszkanie było pod obserwacją przez całą noc, ale Danny i jego dziewczyna wrócili do siebie dopiero o ósmej rano. Banks i Annie mieli więc przewagę. Banks czuł się zaskakująco wypoczęty po długim śnie, Annie wyglądała i brzmiała lepiej niż przez wiele ostatnich dni. Przeziębienie jeszcze dawało o sobie znać, co Banks stwierdzał po czerwonym nosie i sporadycznych kichnięciach, ale z pewnością ustępowało.

Z kolei Danny Boy wyglądał kiepsko. Zapewne dopiero co się położył do łóżka, bo miał na sobie tylko slipy i czerwoną bluzę z logo Montego Bay, spod której sterczały jego chude owłosione nogi. Chłopak chciałby pewnie być wyluzowanym dealerem z Jamajki, ale na nieszczęście dla niego urodził się w białej rodzinie klasy średniej w Blandford Forum. Dredy sterczały we wszystkie strony, a jego bezkrwista cera wydawała się bledsza niż twarz wampira w czasach głodu.

- Możemy wejść, Danny? - zapytał Banks, gdy się wylegitymowali.

- Po co? Czego chcecie?

- Powiem, jeśli mnie wpuścisz do środka.

Tyczkowate ciało Danny'ego wciąż blokowało przejście.

- Macie nakaz?

- Nie potrzebujemy nakazu. Chcemy porozmawiać.

Z tyłu pojawiła się dziewczyna, jakby w kadrze między jego wy-

ciągniętą ręką a framugą drzwi, tak samo chuda i tak bardzo blada, że cielisty biustonosz oraz majtki wyglądały jak opalenizna.

Banks zauważył gęsią skórę na jej ramionach. I ślady po igle.

- Kto to jest, Danny? Powiedz im, żeby sobie poszli i wracaj do łóżka.

- Odpierdol się, Nadia - uciszył ją Danny, nawet się nie odwracając. - Chodzi o interesy.

Nadia zrobiła skrzywioną minę za jego plecami, odwróciła się i odeszła, powłócząc nogami.

- Nie wiem, po co zakłóacie mi odpoczynek - zwrócił się do nich. - Nie zrobiłem nic złego.

- Daruj sobie gadkę biednego pokrzywdzonego młodzieńca, Danny. Przez całą noc handlowałeś towarem w pubach na York Road i South Market Street, a na koniec wylądowałeś na imprezie w East Side Estate.

Danny wyglądał najpierw na zdziwionego, a potem dotkniętego.

- Śledziliście mnie?

- Nie my. Ja nie traciłbym na ciebie czasu. Posłuchaj, Danny, a jeśli ci powiem, że nie jesteśmy z wydziału narkotykowego i nie chodzi o narkotyki? Nie musimy więc przeszukiwać mieszkania, ale możemy, jeśli nas zmusisz.

- Przecież sam pan mówił, że...

- Że co?

- Nieważne.

- Nigdy wcześniej z tobą nie rozmawiałem, Danny - stwierdził Banks, delikatnie odsuwając rękę chłopaka, żeby wejść do środka. W salonie panował bałagan. Ubrania i pudełka z płytami kompaktowymi leżały porozrzucane na podłodze, za to przynajmniej było czysto i nie śmierdziało dymem papierosowym albo czymś gorszym. Na ścianie wisiał wielki plakat, na którym Bob Marley palił skręta - prawdopodobnie apogeum kontaktów Danny'ego Boya z Jamajką - na parapecie natomiast w kilku doniczkach stały przywiedle rośliny, ale nie marihuana.

- Tylko kilka pytań, Danny, to wszystko.
- Dotychczas zawsze z wami współpracowałem, no nie?
- Już mówiłem, że pierwszy raz cię widzę na oczy, ale jestem pewien, że twoje zachowanie można stawiać za wzór - powiedział Banks. - I niech tak zostanie. Odpowiesz nam na kilka pytań, prawda? Pozwolisz, że usiądziemy.

Danny sprawiał wrażenie nieufnego, co zrozumiałe. Wskazał gościom dwa duże tapicerowane fotele z bocznymi oparciami na głowę. Podrapał się w potylicę.

- Nie uda wam się złapać mnie na jakieś sztuczki - oznajmił. - Nie urodziłem się wczoraj.

- Nie - wpadła mu w słowo Annie, rozsiadając się w fotelu. - Urodziłeś się dziewiętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. To wiemy. Wiemy o tobie wiele różnych rzeczy, Danny.

Danny wciąż stał, przestępując z nogi na nogę.

- Jest zimno - stwierdził w końcu. - Czy mogę włączyć ogrzewanie i trochę się ubrać?

- Oczywiście, że możesz. Istotnie, trochę tu rześko.

Danny odwrócił się do piecyka gazowego, po czym poszedł do sypialni. Banks ruszył za nim.

- Co pan robi? - zdziwił się Danny.

- Rutynowa procedura - wyjaśnił Banks. - Mamy taki nawyk, że nie spuszczaamy podejrzanych z oka.

- Podejrzanych? Mówił pan, że nie chodzi o narkotyki.

- Ubierz się, Danny.

Nadia leżała w półmroku z kołdrą podciągniętą pod brodę.

- Co się dzieje, Danny? - odezwała się piskliwie. - Wróc do łóżka, proszę.

- Śpij, Nadio. To nie potrwa długo. - Danny wciągnął na siebie dzinsy.

- Co miałeś na sobie w czwartek wieczorem? - zapytał Banks.

- W czwartek? Nie wiem. A co?

- Chcę obejrzeć to ubranie.

- Cokolwiek to było, pewnie wciąż leży w koszu na bieliznę. Takimi pierdołami zajmuje się Nadia. - Spojrzał na swoją dziewczynę. - Jeśli raczy, oczywiście.

- Danny...

Kosz na bieliznę był w połowie pełny.

- Masz plastikową torbę, Danny? - zapytał Banks. - Trochę większą niż te, w których sprzedajesz swój towar.

- Bardzo śmieszne. - Danny sięgnął do szafy w ścianie i wyjął worki na śmiecie. - Taka wystarczy?

- Jak najbardziej. - Banks wpakował ubrania z kosza do worka, po czym poszedł za Dannym do pokoju dziennego, który trochę się już ogrzał.

Gdy wszyscy usiedli, Banks zaczął przesłuchanie.

- Wiesz, że spaliły się barki na południe od miasta?

- Chyba coś słyszałem wczoraj w pubie. Bo co?

- W tym pożarze zginęły dwie osoby - powiedziała Annie.

- Wielka tragedia, ale co ma wspólnego ze mną?

- Myślisz, że nie ma? - Annie sięgnęła do torby po teczkę z aktami i otworzyła ją na kolanach. - Dysponujemy zeznaniem młodego człowieka nazwiskiem Mark Siddons, w którym stwierdza, że za jego pośrednictwem dostarczałeś heroinę jego dziewczynie, Tinie Aspern. Co masz na ten temat do powiedzenia, Danny?

Danny wyglądał na zdziwionego.

- To prawda, że od czasu do czasu wyświadczam różnym ludziom różne przysługi. Wam teraz też. Ale wiecie przecież, że nie jestem jakimś wielkim dealerem. Nic nie rozumiem. Co się tu dzieje? Mówił pan, że nie jesteście z narkotykowego. I że nie chodzi o dragi.

- Bo nie chodzi, przynajmniej nie przede wszystkim. Chyba rozumiem, co próbowałeś powiedzieć. Nie jesteś nas pewien, to znaczy detektyw Cabbot i mnie, dlatego podchodzisz do sprawy bardzo ostrożnie, ale przecież zawarłeś pewien mały układ z wydziałem narkotykowym, prawda? W zamian za informacje o grubych rybach,

które przekazujesz od czasu do czasu, moi koledzy dają ci spokój. Masz ochronę. Jesteś bezpieczny. Ale to ryzykowna gra, Danny. Te grube ryby zawsze jakoś się w końcu dowiadują, gdzie jest przeciek, a one nie należą do wyrozumiałych. To jednak twoja sprawa. Jestem pewien, że wiesz, jakie podjąłeś ryzyko. My nie mamy nic wspólnego z narkotykami. Jesteśmy z wydziału poważnych przestępstw. Zajmujemy się teraz pożarem. Śledztwo dotyczy morderstwa, Danny. Właśnie dlatego chcemy zbadać twoje ubranie. Chodzi o podpalenie, a nie o narkotyki. Chyba że jedno ma związek z drugim?

- Nie mam nic wspólnego z tym pożarem. Nie byłem nawet w tamtej okolicy. Nadia i ja wróciliśmy z Leeds dopiero wczoraj wieczorem.

- Pojechaliście po herę, żeby mieć co sprzedawać w ten weekend?

Danny podrapał się pod pachą.

- Odwiedzaliśmy znajomych.

- Zaczyna cię swędzieć, co?

- Chyba pan nie myśli, że ćпам to gówno?

- Pytanie jest proste - Annie ponownie włączyła się do rozmowy.

- Dostarczałeś Markowi Siddonsowi heroinę dla jego dziewczyny Tiny Aspern?

- Skąd mam wiedzieć, dla kogo brał? Zaraz, zaraz... - Przeniósł wzrok na Banksa. - Ten towar był w porządku. Nikt nie mógł przedawkować. Nie ma siły!

- A więc dostarczałeś?

- Dokąd trafi to, co powiem?

Annie spojrzała na Banksa, unosząc brwi. Banks przejął przesłuchanie.

- To poważna sprawa, Danny - zaczął. - Widzisz, Tina Aspern była jedną z osób, które zginęły na płonącej barce.

- Nie wiedziałem. Biedny dzieciak. Chociaż właściwie prawie jej nie znałem.

- Jeśli jednak dostarczyłeś jej heroinę, Danny... Sam rozumiesz,

gdyby nie była naćpana, miałyby szansę przeżyć.

- Nie przyklepie mi pan tego. Nie ma mowy! - Założył ręce.

- To kwestia winy, Danny - ciągnął Banks, naginając nieco prawo i przekręcając fakty. - Jeśli jej sprzedałeś ten towar, a on doprowadził do jej śmierci, choćby pośrednio, to jesteś odpowiedzialny. Nie sądzisz chyba, że chcielibyśmy cię zamknąć za opchnięcie jednej czy dwóch torebek z towarem. To o wiele poważniejsza sprawa, Danny. Może się skończyć solidną odsiadką.

- To same pierdoły, i dobrze pan o tym wie! - zaprotestował Danny. - Chyba ma mnie pan za idiotę. Nie produkowałem tego towaru. Nawet jej go nie sprzedałem. To on kupił go ode mnie, jej chłopak. Pewnie też wbił jej igłę. Niby jakim cudem miałyby to być moja wina?

- Takie jest prawo.

- Ciekawe, co na to powie mój papuga, bardzo ciekawe. - Sięgnął po telefon leżący na stoliku do kawy. Zanim zdążył wybrać numer, Banks wytrącił mu z ręki aparat. Komórka poszybowała w powietrzu i upadła z hukiem na drewnianą podłogę w rogu pokoju, przy wieży stereofonicznej.

- Jeśli go pan zniszczył... - Danny zaczął się podnosić z krzesła, ale Banks się pochylił, położył dłoń na klatce piersiowej chłopaka i pchnął go z powrotem na miejsce.

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział.

- Niech pan sobie nie...

- Nie, Danny, to ty sobie nie pozwalaj. A teraz słuchaj uważnie. Co się stało? Czy Mark i Tina cię orznęli, czy może odkryłeś, że mieli grubszą kasę schowaną na łodzi i poszedłeś, żeby ją zwędzić, jak będą naćpani? Mogłeś nie wiedzieć, że Mark nie bierze dragów.

- Ja nie...

- Poszedłeś tam ostatniej nocy, gdy Tina leżała bez świadomości, i ukradłeś pieniądze? Widział cię facet z sąsiedniej barki? Doszło między wami do przepychanki i przywaliłeś mu za mocno? Co podsunęło ci pomysł pożaru? Może butelka terpentyny, którą tam

znalazłeś? Swoją drogą to bardzo sprytnie z twojej strony. Stworzyłeś pozory, jakby to tamten facet był zamierzoną ofiarą. Bardzo sprytnie!

Danny siedział z otwartymi ustami, kręcąc głową.

- A może to któryś z twoich dostawców, który się dowiedział o twoim układzie z wydziałem narkotykowym? O to chodziło? To miało być ostrzeżenie dla ciebie, Danny? Że ty będziesz następny?

Banks wiedział, że popłynął. Zarzucał wędkę, jak popadło, z nadzieją, że przynęta chwyci, ale im dalej się posuwał, tym wyraźniej widział, że niczego nie złowi. Danny Boy Corcoran nawet się nie zbliżył do barek; nie zabił Tyny Aspern i Thomasa McMahona. Zrobił tylko to, co zwykle: za kilka funciaków sprzedał trochę kiepskiej heroiny weekendowym poszukiwaczom atrakcji, a w tym wypadku chłopakowi poważnie uzależnionej narkomanki. Nie było jednak najmniejszej szansy, że może coś wiedzieć.

- Jakim samochodem jeździsz? - zapytał Banks.

- Czerwonym mondeo. Bo co?

- Słyszałeś kiedykolwiek o malarzu nazwiskiem Thomas McMahan? Mieszkał na drugiej barce.

- Nigdy tam nie byłem. Nie lubię wody.

- Nie sprzedawałeś heroiny także McMahanowi?

- Nigdy w życiu!

- Tak w ogóle, to jak Mark i Tina do ciebie trafili?

- To nie jest trudne, jeśli się szuka tego co oni. Rekomendacja z ust do ust zwykle się sprawdza. Zresztą mój kumpel w Leeds powiedział, że oni są w porządku.

Banks pamiętał, że to samo zeznawał Mark.

- Jak się nazywa? - zapytał.

- Dajcie z tym spokój!

- Nazwisko - naciskała Annie. - Jeśli nie ty, to powie nam Mark Siddons. Jego dziewczyna zginęła w tym pożarze, pamiętasz?

Danny spojrział na Annie, później na Banksa, a potem znów wbił oczy w podłogę.

- Benjamin Scott - wyszeptał. - Tylko mu nie mówcie, że wiecie



ode mnie. Benjy potrafi być naprawdę niemiły. - Danny złapał się za brzuch. - Bebechy mnie bolą. Długo jeszcze?

- Jego adres? - zapytała Annie.

Danny podał jej adres w Gipton. Banks zatelefonuje później do detektywa Kena Blackstone'a z komendy Milligarth w Leeds i poprosi go, żeby sprawdził pana Benjaminą Scotta.

- Jeszcze jedno, Danny - powiedział Banks, podnosząc się do wyjścia.

- Co?

- Od teraz wycofujesz się z interesów.

- Co pan ma na myśli.

- To, co słyszałeś.

- Nie może pan...

- Mogę zrobić to, co mi się podoba, Danny. I tak właśnie uczynię. Powiem wprost: nie lubię handlarzy narkotykami. Będziesz pod obserwacją. Nie moją, ani policjantów z wydziału narkotykowego, tylko ludzi, którym ufam. Jeśli ktokolwiek zobaczy, że handlujesz herą, to zgarniemy cię, zanim zdążysz zrobić kilka kroków. Zrozumiałeś?

- Przecież ja nie...

- A jeśli to nie pomoże, wtedy Benjy i jego koledzy szybciułko się dowiedzą, że działasz na dwa fronty i sprzedałeś ich w narkotykowym. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Danny pobladał.

- Nie słyszę - naciskał Banks.

Danny przełknął ślinę i skinął głową.

W tym momencie do pokoju weszła Nadia i stanęła nad Dannyem, pocierając swoje chude ramiona.

- Pośpiesz się, Danny - poprosiła. - Potrzebuję czegoś. I to bardzo.

Danny przewrócił oczami.

- Do kurwy nędzy!

Banks i Annie wyszli, zabierając worek z ubraniami.

Mark pokwitował odbiór swoich rzeczy: pieniędzy, scyzoryka, kluczy oraz przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych - wsunął go do kieszeni razem ze starą płytą Davida Bowiego, teraz jedyną, która mu została. Lubił Bowiego za to, że nigdy nie stał w jednym miejscu na tyle długo, by dało się go zaszufladkować; ciągle się zmieniał, szedł naprzód. Ziggy Stardust. The Thin White Duke. Może Mark też funkcjonowałby tak samo. Gdy była jeszcze Tina, miał dla kogo pracować, z kim się związać na dłużej. Ale teraz... Bez niej dalsze życie straciło sens.

- Co z moim ubraniem? - zapytał.
- Nie odesłali jeszcze z laboratorium - odpowiedział dyżurny funkcjonariusz policyjnej izby zatrzymań.
- Przecież zrobili już testy. Potwierdziły, że to nie ja podłożyłem ogień. Jest zimno, nie obejdę się bez kurtki.
- Mamy weekend. Takie rzeczy muszą potrwać. Zajrzyj po niedzieli. Ale mam coś dla ciebie. - Z widoczną dezaprobatą, funkcjonariusz wyjął spod biurka reklamówkę, po czym wręczył ją Markowi.
- Inspektor Banks zostawił to dla ciebie. - Wskazał kciukiem kierunek.
- Tam możesz się przebrać.

Mark udał się do pomieszczenia, w którym fotografowano zatrzymanych oraz pobierano odciski palców. Zdjął czerwone więzienne ciuchy. Dżinsy Banksa były dobre w pasie, ale trochę za długie, musiał więc podwinąć nogawki. Rękawy starej zamiszowej kurtki na misiu, miejscami trochę przetartym, długości trzy czwarte, też się okazały za długie, a samą kurtkę trudno by zaliczyć do odzieży odpowiadającej najnowszym trendom młodzieżowej mody. Ale przynajmniej wyglądała na ciepłą. Poza tym gliniarz okazał się przyzwoity, skoro pamiętał o złożonej obietnicy, uznał Mark.

Teraz cały swój dobytek miał ze sobą: pożyczone ubranie oraz drobiazgi poutykane po kieszeniach. Nie został mu nawet jeden papieros, a biorąc pod uwagę ich wysoką cenę, na paczkę wyda pewnie resztkę pieniędzy. Więc tak to wygląda. Oczywiście miał swoje rzeczy w domu rodzinnym, jeśli Szalony Nick ich nie zniszczył.

Stare ubrania, zabawki, kilka płyt kompaktowych. Ale nigdy tam nie wróci. Tym bardziej że matka zmarła na raka płuc, jak mu przekazała ciotka Grace, i w domu został tylko Szalony Nick.

W końcu przez frontowe drzwi komendy policji wyszedł na wolność, choć czekało tam na niego tylko poczucie straty i niepewność. Szczerze mówiąc, Mark nie miałby nic przeciwko temu, gdyby chcieli go zamknąć na trochę dłużej. W pudle było ciepło, dawali przyzwoite zarcie i nikt go źle nie traktował. A na wolności? Kto wie, co go czekało w szarym, pozbawionym Tyny świecie.

Gliniarz, ten cały Banks, właśnie wyszedł z Golden Griddle i szedł po Market Street w jego stronę.

- Mark! - zawołał. - Ciuchy pasują?
- Tak - odpowiedział. - To znaczy, dziękuję.
- Nie ma za co. Chcę z tobą zamienić kilka słów.
- Co jest?
- Może to nic ważnego, ale zastanawiałem się nad tym pożarem, nad sposobem, w jaki przeniósł się na waszą barcę.
- I?
- Nie chcę cię straszyć, ale to mógł być strzał ostrzegawczy, że tak powiem.
- Jak to?
- Może ktoś, kto to zrobił, nie miał pewności, czy go widziałeś i rozpoznasz czy nie. Może nie wiedział nawet, że na sąsiedniej barce śpi Tina, chciał tylko dać ci coś do zrozumienia, przekazać wiadomość.
- Jaką wiadomość?
- Żebyś nikomu nic nie mówił.
- Ale ja nic nie wiem.
- Na pewno, Mark? Jesteś pewien, że nigdy lepiej się nie przyjrzałeś gościom Toma?
- Tak. Mówiłem prawdę.
- W porządku, wierzę ci - zapewnił Banks. - Jak mówiłem, nie chcę cię straszyć, ale jeśli morderca pomyśli, że wiesz, kim jest, to

możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Bądź ostrożny. Miej oczy otwarte.

- Umiem się o siebie zatroszczyć - odparł Mark.
- To dobrze - powiedział Banks. - Cieszę się, że tak mówisz. Po prostu uważaj na siebie, to wszystko. - Wręczył Markowi wizytówkę.
- Tu masz mój numer telefonu, gdyby coś ci się przypomniało. Także komórkowego.

Mark wziął wizytówkę i Banks zniknął we wnętrzu komendy.

Był dzień targowy, na brukowanym rynku rozstawiono więc zadaszone brezentem stragany pełne tanich ubrań, akcesoriów samochodowych, płynów do mycia naczyń, baterii, serów, mięsa, warzyw, naczyń stołowych, sztućców, zabawek, używanych książek oraz kaset wideo. Starsi, w kaszkietach i nieprzemakalnych kurtkach, dreptali między nimi, mieszając się z młodzieżą, ubraną w dżins i skórę. Klienci dotykali towarów, a kupcy wykrzykiwali zalety swoich nietłukących się talerzy albo niezawodnych elektrycznych otwieraczy do butelek.

Mark nie chciał niczego kupować na targu, ruszył więc ulicą, z rękami głęboko w kieszeniach i zwieszoną głową, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą powiedział mu Banks. Dotychczas nie pomyślał, że coś może mu grozić, teraz jednak zaczął uważniej obserwować wszystkich dookoła, choć w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, kogo szuka. Jeśli jednak Banks się nie mylił i zabójca naprawdę wierzył, że on mógłby go rozpoznać, to rzeczywiście powinien mieć się na baczności. Wyczuł coś w jednej z kieszeni zamsowej kurtki Banksa: paczka silk cutów, a w niej dwa papierosy i zapalniczka jednorazówka. To się nazywa fart! Mark zapalił. Przy najmniej tyle. Stary tytoń miał gorzki smak.

Przejrzał pozostałe kieszenie, sprawdzając, czy Banks nie zostawił w którejś pieniędzy, ale znalazł tylko kilka starych biletów parkingowych i kartkę, na której ktoś zanotował „Schoenberg-Gurrelieder-del Mar Sinopoli”, co gównem dla niego znaczyło. Mark zawsze przyznawał, że naukowcem nie jest. Nie bał się ciężkiej pracy, miał

sprawne ręce i do wszystkiego podchodził rozsądnie, ale z nauką i ortografią nie było mu po drodze. Ten gliniarz musi być mózgowcem, skoro napisał coś takiego, pomyślał Mark. To wyglądało na jakiś obcy język. Może chodziło o miejsce, gdzie spędził wakacje? Mark nigdy nie wyjeżdżał za granicę, ale kiedyś prawdopodobnie wyjedzie. W dziwne miejsce, na przykład do Mongolii. Zwiedzi Ułan Bator. Widział kiedyś to miasto na mapie, którą mieli na squacie. Spodobała mu się nazwa. Ułan Bator. Czyli jednak nie jest wcale taki głupi.

Nałożył słuchawki i włączył odtwarzacz. Po South Market Street spacerowali ludzie, którzy się tam wybrali na poranne sobotnie zakupy. Bowie zaczął śpiewać *Five Years*, jedną z ulubionych piosenek Marka. Miło było słuchać znowu prawdziwej muzyki, o wiele lepiej niż tego pijanego dupka zawodzącego *Your Cheating Heart*. Mimo to czuł się oziębiały i miał wrażenie, jakby muzyka dobiegała do niego z jakiegoś odległego miejsca przez długą tubę. Brakowało mu celu. Wszystko wydawało się takie odległe, odkąd się dowiedział o śmierci Tiny. Niby coś robił, ale jego działanie nie zmierzało do niczego konkretnego.

Po mniej więcej półgodzinnym spacerze Mark dotarł do swojej budowy. Elewacje kompleksu sportowego były prawie gotowe, ale zostało jeszcze wiele do zrobienia w środku - kładzenie podłóg, suche tynki, armatura i wyposażenie łazienek, elektryka oraz malowanie - a te prace można wykonywać także zimą, nawet przy złej pogodzie. Drzwi były otwarte i Mark wszedł do środka. Praca nie szła pełną parą, jak to w sobotę, ale kilku chłopaków przychodziło także w weekendy, a przynajmniej w soboty, żeby dotrzymać terminu.

Wnętrze budynku pachniało nowością. Nie farbą, ponieważ jeszcze jej nie położono, ale mieszaniną różnych rzeczy, od świeżo piłowanego drewna po lekko wilgotne pudła tekturowe, w których przywożono różne rzeczy, oraz porozrzucane na podłodze trociny. Mark lubił kiedyś ten zapach, tak samo jak zapach ciętego kamienia, nie potrafił jednak wyjaśnić dlaczego; budził w nim jakiś instynkt, coś poza słowami, poza świadomością. Pracy na budowie towarzyszyła

także muzyka. Nie taka, jak piosenki Bowiego, tylko dźwięki młotków, wiertarek oraz pił elektrycznych. Dla niektórych był to tylko hałas, ale Mark odnajdował w tych odgłosach jakąś jedność, wyczuwał w nich znaczenie i rytm tworzenia czegoś nowego. Składały się na prawdziwą symfonię, która wywoływała w nim takie uczucia jak muzyka morza, stanowiąca tło niektórych wspomnień ze szczęśliwego dzieciństwa. Jak przez mgłę pamiętał, że matka zabrała go nad morze, gdy był bardzo małym chłopcem, zanim zaczęła pić i zanim nastał Szalony Nick. Przypuszczał, że było to Scarborough, we wspomnieniach widział zamek na wzgórzu i słyszał fale rozbijające się o promenadę. Nie wiedział jednak na pewno. Zresztą teraz to i tak nie miało znaczenia.

Lenny Knox, wielki i krzepki facet z Liverpoolu o twarzy jak czerwony papier ścierny, był podwykonawcą, który zwykle pracował w świątek i piątek, dopóki robota nie została wykonana. Akurat zrobił sobie przerwę na papierosa i stał przy pomieszczeniu mającym się zamienić w prysznic z szatnią, gdy przyszedł Mark.

Vinnie Daly, jeden z jego współpracowników, na widok przybysza odłożył klucz francuski.

- Gdzie się podziewałeś, chłopaku? - zapytał Lenny. - Cholernie się o ciebie martwiliśmy po tym pożarze. Tak było, Vinnie? Ale w wiadomościach nie powiedzieli, kto jest poszkodowany. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - odpowiedział Mark. - Zamknęła mnie policja. Na całą noc.

- Sukinsyny!
- Nie było tak źle.
- A twoja panna?

Mark spojrzął na niewykończoną podłogę.

- Nie żyje.
- Nie! - Lenny dotknął ramienia Marka. - Biedaku. Bardzo mi przykro, synu, naprawdę bardzo mi przykro. To była miła dziewczyna.

Mark spojrzał na niego, powstrzymując łzy.

- Nie było mnie tam, Lenny. Chociaż mnie potrzebowała.
- To nie twoja wina, co się stało. Jeśli potrzebujesz gdzieś się przekićać przez kilka dni, to jestem pewien, że moja Sal nie będzie miała nic przeciwko.
- Naprawdę, Lenny? Bo wiesz, nie mam dokąd pójść.
- Nie ma sprawy. Chyba nie powinieneś dzisiaj pracować. Weź sobie dzień wolny i wpadnij do nas później.
- Nie, chcę pracować. Co innego miałbym robić? Dokąd bym poszedł? Przynajmniej zajmę czymś myśli. No i potrzebuję pieniędzy.
- To ostatnie było prawdą, ale czy praca oderwie jego myśli od problemów? Mark nie miał pewności. Bo czy cokolwiek mogłoby go powstrzymać przed myśleniem o Tinie?

Lenny spojrzał na niego.

- Oczywiście, masz rację - powiedział. - Weź te końcówki prysznicowe i chodź ze mną.

Późnym przedpołudniem w sobotę, po tym jak ostrzegł Marka Sidonsa, a następnie zlecił zdrowiejącemu już sierżantowi Hatchleyowi, żeby pogrzebał w przeszłości chłopaka, Banks ponownie wyruszył do Adel. Maria Phillips zgodnie z obietnicą dostarczyła mu katalog oraz nazwiska trzech miejscowych artystów, którzy musieli znać Thomasa McMahona, ponieważ pojawił się on na wernisażach ich wystaw w Eastvale w ciągu pięciu ostatnich lat. Niestety w katalogu nie zamieszczono fotografii McMahona. Widać ludzie nie chcą wiedzieć, jak wyglądają artyści, chyba że malują oni autoportrety.

Banks planował ponownie się zmierzyć z doktorem Patrickiem Aspernem, tym razem nie przy jego żonie, jeśli to się okaże możliwe, i nie w białych rękawiczkach. Jeszcze nie skreślił Asperna z listy podejrzanych, na pewno nie.

W samochodzie słuchał Boba Dylana, śpiewającego o tym, że został o dzień za długo w Missisipi i Banksowi przyszło do głowy, że zna to uczucie. Nie chodziło o pobyt w Yorkshire - wciąż był tam

szczęśliwy - ale o trzymanie się kogoś lub czegoś długo po tym, jak należało odejść, odpuścić sobie, bo wszystko się rozpadło i powstała szkoda, której nie sposób naprawić.

Zaparkował przed domem w stylu Tudorów. Tym razem otworzył mu Patrick Aspern, ubrany zwyczajnie, miał na sobie szare spodnie, białą koszulę i fioletowo-różowy sweter w serek. Wyglądał, jakby się wybierał na partię golfa i zapewne to właśnie zamierzał zrobić.

- Żona leży - powiedział doktor Aspern, wyraźnie zaskoczony, że tak szybko znów widzi Banksa. - Ostatnie wydarzenia były dla niej wielkim szokiem, zwłaszcza identyfikacja Christiny, w takim stanie... sam pan rozumie. Gdyby tylko mnie posłuchała... przynajmniej nie oglądałaby jej zwłok.

- Wyobrażam sobie, że był to szok także dla pana - rzekł Banks. - Mam na myśli śmierć Christiny.

- Tak, oczywiście, że tak. Ale przecież my, mężczyźni, doskonale wiemy, że musimy dalej robić to, co do nas należy. Nie możemy sobie pozwolić na uleganie emocjom, jak kobiety. No cóż, nie bardzo wiem, jak mógłbym panu pomóc, ale proszę wejść.

Banks poszedł za nim do tego samego pokoju, w którym rozmawiali poprzedniego dnia. Przez chwilę tykanie zegara na półce nad kominkiem było jedynym dźwiękiem.

- Czy już pan coś ustalił? - przerwał ciszę Aspern.

- Niestety niewiele - odpowiedział Banks. - Wiemy, że na sąsiedniej barce znaleziono zwłoki artysty nazwiskiem Thomas McMahon i że to on był najprawdopodobniej celem mordercy. Czy kiedykolwiek spotkał się pan z nim albo słyszał jego nazwisko?

- McMahon? Nie wydaje mi się.

- Chciałbym porozmawiać trochę o Marku Siddonsie - oznajmił Banks.

Aspern spochmurniał.

- Jeśli ktokolwiek ponosi odpowiedzialność za los Christiny, to z pewnością on - stwierdził. - Zastanawiałem się nad tym. Wiedział, że była chora, na litość boską, i że potrzebowała pomocy.



- Ale przecież nie podobało się panu, że są razem?
- Nie w tym rzecz. Skoro już się z nią związał, to powinien tam być. Wiedział, że sama nie potrafiła odpowiednio się sobą zająć. Gdzie wtedy przebywał?

Choćby nie wiem co, Banks nie zamierzał informować Asperna, że w czasie pożaru Mark był w łóżku z Mandy Patterson.

- Jego alibi zostało sprawdzone - powiedział więc tylko. - Rozumiem, że pański gabinet jest połączony z domem?

Aspern wydawał się zaskoczony raptowną zmianą tematu.

- Tak. To były dwa domy i zostały połączone w jeden. Wiem, że to raczej staroświeckie, ale tutejsi ludzie to lubią. Takie rozwiązanie jest o wiele bardziej cywilizowane od jakiejś anonimowej kliniki. Między innymi dlatego kupiliśmy te domy.

- Raczej kosztowne przedsięwzięcie.
- Nie pańska sprawa, ale pomógł nam ojciec Fran.
- Ach, tak. Miło z jego strony. Zmierzam do tego, że Christina mogła mieć tu dostęp do narkotyków, prawda? Przecież znajdowały się w domu.

Aspern założył nogę na nogę i zaczął skubać kant swoich spodni.

- Już panu mówiłem, że wszystko w gabinecie trzymam pod kluczem. Sama przychodnia także jest bezpiecznie zamknięta, kiedy mnie tam nie ma.

- Tak, ale przecież gdzieś są klucze.
- Na łańcuszku w mojej kieszeni.
- Zawsze nosi je pan przy sobie?
- Prawie zawsze. Nie wtedy, kiedy śpię albo biorę kąpiel.
- Christina mogła zatem się do nich dostać, kiedy pan spał, na przykład, albo wyszedł z domu?
- Wychodząc, zawsze zabieram klucze ze sobą.
- Ale istnieje taka możliwość? Mogła też przecież dorobić klucze.
- Owszem, możliwość istnieje, ale tylko teoretycznie.
- Czy kiedykolwiek stwierdził pan, że w gabinecie brakuje leków

narkotycznych? Zwłaszcza morfiny?

- Nie. I może pan być pewien, że zorientowałbym się, iż czegoś brakuje.

- Czy kiedykolwiek zauważył pan coś niezwykłego w zachowaniu Christiny, kiedy jeszcze mieszkała z państwem?

- Nie, nic szczególnego. Wydawała się zmęczona, apatyczna i spędzała dużo czasu samotnie, najczęściej w łóżku. Ale wie pan, jakie bywają nastolatki. Chciałyby spać po szesnaście godzin na dobę. Szczerze mówiąc, rzadko ją widywałem.

- Ale jest pan lekarzem. Uczono pana, jak rozpoznawać symptomy, których inni mogą nie dostrzegać.

Aspern uśmiechnął się ponuro.

- Nie jesteśmy nieomylni, proszę pana, wbrew temu, co sądzą niektórzy.

- Czyli nie miał pan pojęcia, że Christina bierze narkotyki?

- Nie. Jak mówiłem, była nastolatką. Dzieci w tym wieku są opryskliwe i niekomunikatywne, czy biorą narkotyki czy nie.

- A jej oczy? Nie zauważył pan rozszerzonych źrenic?

- Może i zauważyłem, ale nie wyciągałem pochopnego wniosku, że moja pasierbica jest narkomanką. Pan by wyciągnął?

Banks chwilę się zastanawiał. Co by pomyślał, widząc takie oznaki u Tracy albo Briana? Jako policjant doskonale wiedział, na co zwracać uwagę. Gdyby oskarżył któregoś ze swoich dzieci, a przyczyna podejrzanych objawów okazałaby się błaha, to poważnie zakłóciłby swoją relację z nimi. Dzieci nigdy już by mu nie zaufały. Z drugiej strony, gdyby oskarżenie okazało się słuszne... Na szczęście nigdy nie został poddany takiej próbie. Brian grał w zespole rockowym, miał więc pewnie łatwy dostęp do narkotyków. Banks nie wątpił, że jego syn spróbował marihuany, może nawet tabletek ecstasy. Jako ojciec mógł z tym żyć. Może nawet Brian od czasu do czasu łyknął amfetaminę, żeby się pobudzić podczas trasy koncertowej, ale nic silniejszego. Na pewno nie heroinę. A Tracy? Nie, ona jest na to zbyt wrażliwa i tradycyjna.

- Nigdy nie zauważył pan śladów po wkluciach na jej ramionach? - Banks zawiesił głos. - Albo może w innych miejscach?

Aspern wpatrywał się w niego. Trudno było zinterpretować ten chłodny i zagadkowy wyraz jego twarzy.

- To dziwne pytanie - powiedział w końcu. - Gdybym zauważył, to wiedziałbym przecież, co się dzieje. Powiedziałem panu, że nie wiedziałem, nie mogłem więc niczego zauważyć.

- Przypuszczam, że nosiła bluzki z długim rękawem - powiedział Banks.

Aspern wstał z miejsca, przeszedł kilka kroków i oparł się o półkę nad kominkiem, obok akwareli Adel Woods. Wyglądało, jakby pozował do fotografii.

- Istotnie, nosiła - przytaknął. - Rozumiem, że ma pan swoją pracę i tak dalej, dlatego wykazałem się aż nadmierną cierpliwością. Ale właśnie straciłem pasierbicę, a ta rozmowa zaczyna mi się wydawać podejrzana. Jeśli to malarz z sąsiedniej barki miał być celem mordercy, to dlaczego zadaje pan tyle pytań o Christine? Była tylko przypadkową ofiarą.

- Och, nic nie jest jeszcze pewne - odparł Banks. - Śledztwo wciąż się znajduje na bardzo wstępnym etapie. Niech mi pan wierzy, że zbieramy wszelkie możliwe informacje na temat Thomasa McMahona, ale musimy też sprawdzać każdy ślad, który się pojawi, i unikać pochopnych wniosków. Mówiąc, że kto inny był celem mordercy, użyłem słowa „najprawdopodobniej”. Ale przestępcy potrafią bardzo sprytnie kierować śledztwo na błędne tory, zwłaszcza jeśli mieli czas, by wszystko przemyśleć i zaplanować z dużym wyprzedzeniem.

- Sądzi pan, że tak właśnie było? To zostało zaplanowane?

- Zaczyna mi na to wyglądać.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego wypytuje pan mnie. Nie sądzi pan chyba, że miałem z tym coś wspólnego?

- Gdzie pan był w czwartek wieczorem?

Aspern wybuchnął śmiechem.

- Nie wierzę!
- A jednak niech pan odpowie.
- Tutaj, oczywiście. Z moją żoną. Mówiłem już, gdy pytał pan poprzednio.

- Nikogo innego? Żadnych gości na kolacji?
- Nie. Zjedliśmy we dwoje, potem oglądaliśmy telewizję. Wieczór w domowym zaciszu.

- O której poszedł pan spać?
- O jedenastej, jak zwykle.
- Codziennie kładzie się pan o dwudziestej trzeciej?
- W dni powszednie tak. W weekendy bywa, że siedzimy dłużej. Czasem się wybieramy do opery lub na kolację z przyjaciółmi. Może pan wierzyć albo nie, ale moja praca czasami jest męcząca, a ja zawsze muszę mieć jasny umysł.

- Oczywiście. Nikt by chyba nie chciał, żeby się trzęsła ręka, która trzyma igłę. - Banks zastanawiał się, jak mógłby gładko przejść do wysuwanych przez Marka oskarżeń, że Aspern wykorzystywał seksualnie Christine. Jeśli istniał jakiś sposób, to Banks nie potrafił na niego wpaść. Postanowił przejść od razu do rzeczy. - Mark Siddons zeznał jeszcze coś na temat Christiny.

- Ach tak?
- Powiedział, że wyprowadziła się z domu między innymi dlatego, że molestował ją pan seksualnie.

Przynajmniej Aspern nie zgrywa oburzonego, zauważył Banks. Raczej spokojnie przyjął to oskarżenie i zdawał się nad nim zastanawiać.

- Pan mu wierzy?
- Tego nie powiedziałem.
- Po co więc pan o tym wspomina, zwłaszcza w takim momencie? Nie rozumie pan, że takie oskarżenia, nawet bezpodstawne, mogą być przynębiające dla kogoś, kto opłakuje stratę bliskiej osoby?

Banks wstał i spojrzał Aspernowi w oczy.

- Doktorze Aspern, to jest śledztwo w sprawie morderstwa.

Nawet jeśli nie wiemy jeszcze, kto był celem mordercy, to nie da się zaprzeczyć, że zginęły dwie osoby. Jedną z nich była pańska pasierbica. Przykro mi z powodu tej straty, ale jak był pan uprzejmy powiedzieć, my, mężczyźni, musimy przecież robić to, co do nas należy. Właśnie to robię. Pytam o wszystko, co moim zdaniem może mieć związek ze sprawą. Nie wydaje się to panu rozsądne?

- Widziane w ten sposób chyba rzeczywiście ma sens - zgodził się Aspern.

- Odpowie pan więc na moje pytanie?

- Ono nie zasługuje na to, by je poważnie potraktować.

Banks znów spojrział mu w oczy.

- Mimo wszystko niech pan spróbuje.

- Dobrze. Oskarżenie jest absurdalne. Nigdy nie dotknąłem mojej pasierbicy. Czy to wystarczy?

Kłamał. Banks był tego pewien. W tej jednej chwili się przekonał, że Mark mówił prawdę i Tina też. Ale kto by mu uwierzył? Jak dowieść prawdziwości słów chłopaka? Co sam Banks mógłby w tej sprawie zrobić?

Tak bardzo uważnie obserwował mowę ciała i mimikę twarzy Patricka Asperna, że postać w drzwiach zauważył, dopiero gdy się odezwała.

- O co chodzi? - zapytała Frances Aspern. Twarz miała zapuchniętą od snu. - Co się tu dzieje?

Obydwojaj się odwrócili w jej stronę. Patrick Aspern spojrział na żonę i powiedział:

- Nic takiego, kochanie. Pan inspektor miał kilka dodatkowych pytań.

Spojrzenie, które wymienili małżonkowie, mówiło wszystko.

## Rozdział 6

Banks od dziecka uwielbiał zapach antykwariatów. Sklep Lesliego Whitakera ze starymi książkami i rycinami, mieszczący się w labiryncie brukowanych uliczek za komendą policji, też tak pachniał. Stał w szeregu naprawdę leciwych budynków z niskimi stropami na krzywych belkach i dzielonymi oknami wykuszowymi o szybach grubych jak szkło powiększające. Po jednej stronie miał sklep tytoniowy z kulistymi drewnianymi główkami egzotycznych fajek na wystawie, po drugiej zaś aptekę J.W. Allena, która w witrynie prezentowała stare niebieskie, zielone i czerwone butelki. Wszystko oczywiście z myślą o turystach.

Nad drzwiami zabrzączał dzwonek, gdy Banks wchodził do środka. Nie potrafił określić zapachu tego wnętrza, który był mieszanką kurzu, skóry i papieru, może też nawet odrobiny stęchlizny, ale z pewnością dobrze na niego wpływał, jak woń świeżo skoszonego siana albo chleba prosto z pieca. Zapewne dlatego, że Banks spędził dzieciństwo w bibliotece dla dzieci, a jako nastolatek całymi dniami przeglądał zasoby antykwariatów. Przystanął w progu, żeby się delektować tym wrażeniem, po czym pokazał legitymację mężczyźnie układającym książki na półce po przeciwległej stronie pomieszczenia.

- No proszę, sam pan inspektor - powiedział Whitaker. - W dodatku w sobotnie popołudnie. Jestem zaszczycony.

- Brakuje nam ludzi - odparł Banks. Choć rzeczywiście brakowało, nie był to prawdziwy powód, dla którego Banks często odbywał takie rutynowe rozmowy osobiście. Inspektorzy zazwyczaj wykonywali swoją pracę za biurkiem zawalonym stosami papierów albo uczestnicząc w spotkaniach, na których omawiali szczegóły budżetu,

stan zasobów ludzkich, wycinki prasowe, bazy danych, racjonalizację wydatków, wykresy oraz oceny okresowe. Choć Banks miał mnóstwo takich właśnie zajęć, to jednak nie chciał wyjść z wprawy i właśnie dlatego sam wykonywał policyjną robotę, na której się wychował. Po części chodziło o solidarność z funkcjonariuszami, którzy doceniali, że szef wykonywał te same co oni żmudne, często bezproduktywne czynności, a nawet brudził sobie ręce. Po części był to też jednak egoizm, ponieważ Banks nienawidził papierkowej roboty, a uwielbiał wychodzić w teren, żeby wywęszyć jakieś kłamstwo albo znaleźć nowy trop. Niektórzy z młodych gniewnych, którzy porobili kariery dzięki ścieżce przyspieszonego awansu, nie potrafili zrozumieć, dlaczego Banks nie zajmie się po prostu obowiązkami administracyjnymi, bo przecież większość z nich w zasadzie o niczym innym nie marzyła.

Przez wszystkie te lata instynkt detektywa bardzo się Banksowi rozwijał, a jego sukcesy w prowadzonych sprawach były na tyle znaczące, że ani nadinspektor Gristhorpe, ani główny wicekomendant policji Ron McLaughlin nie stawali mu na drodze. Przełożeni nie sprzeciwiali się również wtedy, kiedy Banks chciał poprowadzić przesłuchanie, choć należało to do obowiązków szeregowych funkcjonariuszy, najwyżej sierżantów, i większość wyższych rangą policjantów dawno już zapomniała, jak się do tego zabrać. Ale nie Banks, który potrafił celnie ripostować i ostro naciskać przesłuchiwanego, a kiedy trzeba, delikatnie go przekonywać.

Banks wiedział tylko, że Leslie Whitaker przejął firmę po ojcu, Erneście, który zmarł przed dwoma laty. Na biurku stała oprawiona fotografia przedstawiająca ich obydwo, jak się domyślał Banks. Whitaker nie odpowiadał wyobrażeniom Banksa na temat antykwarium, choć z rzadkimi, rozwichrzonymi włosami oraz w zbyt obszernym swetrze wydawał się częściowo pasować do stereotypu. Był po czterdzieście, miał na sobie jasnoszary garnitur, białą koszulę i rdzawoczerwony krawat. Jego krótkie ciemne włosy trochę się przerzedziły na skroniach, ale nawet mu to pasowało. Sportowa

sylwetka, silne mięśnie, do tego ten wydatny podbródek i jasnoniebieskie oczy: na pewno podobał się kobietom, a pewnie też mężczyznom. Nie był notowany, a sierżant Hatchley, który przecież dobrze się znał na swojej robocie, nie dogrzebał się do żadnych pogłosek na jego temat.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał Whitaker. - Proszę, niech pan usiądzie.

Zajął miejsce za starym biurkiem na wysoki połysk w tylnej części sklepu, gestem wskazując gościowi krzesło z twardym oparciem. Banks usiadł.

- Potrzebuję informacji - stwierdził.  
- Jakież przestępstwo w świecie książek?  
- W świecie sztuki. A przynajmniej na to wygląda.  
- To brzmi prawdopodobnie. W świecie sztuki roi się od przestępców.

- Zapewne słyszał pan o pożarze barek?  
- Tak, tragiczna wiadomość. Potworna.  
- Mamy powody sądzić, że jedną z ofiar jest artysta malarz nazwiskiem Thomas McMahon. Zdaje się, że go pan znał?  
- Tom McMahon? Wielki Boże! Nie miałem pojęcia...  
- A więc znał go pan?  
- Toma? Tak, trochę. To znaczy nie na tyle blisko, żeby wiedzieć, gdzie mieszka, ani jakie ma plany, ale tak, znam go... raczej znałem.

- Na jakiej płaszczyźnie?  
- Sprzedawałem jego prace. A raczej pośredniczyłem między Tomem a różnymi kiermaszami sztuki, sklepami i galeriami w całej okolicy, które sprzedawały pejzaże jego pędzla. Ponadto kilka lat temu, gdy był uznawany za dobrze zapowiadającego się artystę, sam kupiłem kilka jego dzieł, a kilka udało mi się nawet sprzedać osobiście.

- A potem? Co się stało?  
- Po prostu się nie wybił. To się zdarza częściej, niż pan myśli.



Świat sztuki jest brutalny, w dodatku naprawdę trudno się do niego przebić. Tom miał wielką wystawę w galerii domu kultury i sądziłem, że może mu się uda, ale...w końcu nie stanął na wysokości zadania.

- Był utalentowany?

- Utalentowany? - Whitaker skrzywił się. - Oczywiście, że był, ale co to ma do rzeczy?

Banks wybuchnął śmiechem.

- Rzeczywiście! Wystarczająco wiele widziałem w życiu zawiąsów na czystym płótnie, które się sprzedawały za ciężkie tysiące, żeby zrozumieć, co pan ma na myśli. Pytałem jednak całkiem poważnie.

Whitaker zagryzł wargi.

- Tom dysponował wyśmienitą techniką, ale zapożyczoną - powiedział w końcu. - W sumie wszystko się sprowadzało właśnie do tego, że nie był oryginalny.

Dokładnie to samo powiedziała Banksowi Maria Phillips.

- Zapożyczoną od kogo?

- Prawdę mówiąc, zewsząd. W jego pracach było wszystko. Krajobrazy romantyczne. Prerafaelici. Impresjonizm. Surrealizm. Kubizm. Na tym właśnie polegał problem z Tomem: nie miał żadnego wyraźnego stylu, niczego, na co można by wskazać i powiedzieć z jakąkolwiek dozą pewności, że to jest Thomas McMahan.

- Czyli obrazy, które pan kupił, okazały się...

- Bezwartościowe.

- Śmierć tego nie zmienia?

Whitaker zaśmiał się głośno.

- Rozumiem, do czego pan zmierza. Wielu artystów zyskuje sławę dopiero po śmierci. Choćby van Gogh. Ale on był oryginalny. Nie sądzę, żeby śmierć miała uwiecznić dzieła Thomasa McMahona albo zwiększyć ich wartość. Nie, panie Banks, obawiam się, że nie miałem motywu, żeby się pozbyć Thomasa McMahona. Przed wszystkim nie zapłaciłem aż tak wiele za jego obrazy.

Znów się potwierdziło to, co mu powiedziała Maria.

- Nie sugerowałem, że miał pan motyw - zapewnił Banks. -  
Próbuję tylko ustalić, kto mógłby skorzystać na jego śmierci.

- Nikt taki nie przychodzi mi na myśl, naprawdę. Ale jedno jest pewne: nie było mu łatwo - ciągnął Whitaker.

- Dlaczego?

- Nigdy nie jest łatwo poradzić sobie z porażką, prawda?

Banks wiedział, że to prawda, ponieważ więcej niż raz w swojej karierze musiał przyznać, że nie zdołał przymknąć ewidentnego łajdaka. Porażki pamiętał lepiej niż sukcesy i wszystkie bardzo go irytowały.

- Tak przypuszczam - powiedział.

- Chodzi mi o to, że po udanej wystawie człowiek się czuje drugim Pablem Picassem, a następnego dnia ludzie nawet sobie nie zadadzą trudu, żeby odczytać nazwisko w prawym dolnym rogu płótna. Potem daje się im już tylko coś w rodzaju upięszonych widoczków, które niczym fotografie mają im przypominać wakacje w Yorkshire. I tyle z artystycznej wizji i prawdy.

- Czy tak się czuł McMahan?

- Nie wiem na pewno. Nigdy o tym nie mówił. Ale ja tak bym się czuł. Proszę wybaczyć, że ekstrapoluję.

- Ale sprzedawał pan przecież te upięszone widoczki, albo przynajmniej pan próbował to robić.

- Tak, dla prowizji. Chodziło o interesy.

- Rozumiem, że McMahan był także pańskim klientem?

Whitaker zaczął się kręcić na swoim krześle i spojrzał na górną półkę z książkami.

- Wpadał do antykwariatu od czasu do czasu.

- Co kupował? - Banks przebiegł wzrokiem po oprawnych w skórę woluminach oraz pojemnikach z nieoprawionymi odbitkami i rysunkami. - Pomyślałbym, że pański towar jest raczej zbyt drogi dla ludzi pokroju Thomasa McMahona - dodał.

- Nie wszystkie pozycje są drogie. Ceny wielu książek i druków, nawet tych starych, często nie przekraczają wartości papieru, na

którym je wydrukowano. W rzeczywistości trudno natrafić na znalezisko zapierające dech w piersiach.

- McMahon kupował tanie stare książki i druki?
- Niedrogie.
- Po co?
- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że dla przyjemności.
- Co kupił, gdy był tutaj ostatnim razem?
- Podręcznik historii naturalnej z początku dziewiętnastego wieku. Nic szczególnego. I oprawa była w kiepskim stanie.
- Ile zapłacił?
- Czterdzieści funtów. Naprawdę okazjna cena.

Owszem, pomyślał Banks, ale dlaczego człowiek koczujący nielegalnie na starej barce miałby wydawać czterdzieści funtów na starą książkę? Pamiętał mokre, nadpalone stronice, które oglądał na pogorzeliisku Geoff Hamilton. Ale McMahon był w końcu artystą i prawdopodobnie lubił stare woluminy. - Może pan określić, w jakim był nastroju?

- Zawsze w dobrym, ilekroć go spotykałem. Był raczej pozytywnie nastawiony. Sugerował nawet, że coś się odmieniło.
- Sprecyzował co?
- Nie. Zapytałem go, co u niego słychać. Wie pan, grzecznościowa wymiana zdań. W takiej sytuacji nie spodziewamy się niczego ponad standardowe „wszystko w porządku, dziękuję”. Ale on odparł, że los się odwrócił, idzie mu wręcz rewelacyjnie i choć niektórzy spisali starego Toma na straty, to on im jeszcze pokaże niezłą sztukę. Często używał trzeciej osoby, mając na myśli siebie.

- Kim są ci niektórzy?

Whitaker wzruszył ramionami.

- Nie powiedział. Przypuszczam, że chodziło mu o cały świat, ludzi w ogóle. Tych, którzy się nie poznali na jego talencie i nie chcieli kupować jego dzieł.
- A jaką sztukę zamierzał im pokazać?
- Też nie mam pojęcia. Tylko przekazuję, co mówił. Tom zawsze

dużo mówił, mało robił, jak to mówią.

- Pańskim zdaniem to mogła być prawda, że jego los się odwrócił?

- Kto wie? Ale na pewno nie, jeśli idzie o sprzedaż obrazów turystom.

- Nie zauważył pan więc, żeby jego stan się pogorszył, psychiczny albo fizyczny?

- Wręcz odwrotnie. Tom nigdy nie był wzorem eleganckiego mężczyzny, zawsze chodził rozmamłany i poplamiony farbą, ale ostatnio miał jakby lepsze wyczucie w tych sprawach. Trochę też przytył. Co do zdrowia psychicznego, to moim zdaniem był w dobrym nastroju.

- Czy miał żonę?

- Kiedyś chyba tak, dawno temu, ale jeśli się ożenił, to na długo przed przybyciem do Eastvale.

- Był kobieciarzem?

- Nie.

- Mężczyźni? Mali chłopcy?

- Źle mnie pan zrozumiał. Tom nie miał takich inklinacji. Lubił kobiety, od czasu do czasu miał nawet dziewczynę, ale żaden z tych związków się nie utrzymał. W jego życiu była tylko jedna miłość, sztuka. Praca zawsze się okazywała najważniejsza, a już na pewno ważniejsza od takich przyziemnych kwestii jak punktualność i rozważa. Dlatego to naprawdę wielka szkoda, że jego dzieła dla nikogo nie miały większej wartości.

Banks skinął głową. Whitaker mógłby równie dobrze opisywać dolę policjanta. W swoim życiu zapomniał o kilku randkach i rocznicach, ponieważ zbyt go pochłonęło śledztwo. Między innymi przez to rozpadło się jego małżeństwo. I tak jakimś cudem przetrwało naprawdę długo, z czego zdał sobie sprawę dopiero potem. Zakładał, że wszystko świetnie się układa, ponieważ Sandra jest niezależna i sama kieruje własnym życiem. Istotnie, pokierowała nim w stronę Seana, rzucając Banksa i zachodząc w ciążę dobrze po czterdziestce.

Teraz znowu była matką.

- Pamięta pan którąś z jego przyjaciółek?

- Raczej mocno się zaangażował w niejaką Heather. Nie pamiętam nazwiska. Pracowała w sklepie z zaopatrzeniem dla artystów przy York Road. Nawet mu się nie dziwiłem. Była młoda i fantastyczna. Prawdziwa dziewczyna z okładki. Oczywiście też o wiele za młoda dla Toma, sam więc napytał sobie biedy. Chyba już tam nie pracuje, ale właściciel może wiedzieć, gdzie jej szukać.

- Ile miał wtedy lat?

- To było jakieś pięć lat temu, czyli był jeszcze przed czterdziestką.

- A Heather?

- Dwadzieścia kilka.

- Traktowali to poważnie?

- On tak. Załamał się, kiedy zamieniła go na artystę z większymi sukcesami. To był jeden z niewielu razy, gdy spotkałem go pijanego. Chyba naprawdę go to przygnębiło. No wie pan, czuł się skończony jako artysta, a na dodatek dziewczyna odeszła od niego do faceta, który odnosił większe sukcesy w branży. Tak, raczej nigdy nie widziałem go w gorszym stanie.

To z pewnością może człowieka załamać, pomyślał Banks.

- Z kim odeszła?

- Z Jakiem Harleyem. Wygadany skurczybyk, muszę przyznać. Wtedy dopiero zaczynał karierę i z radością informuję pana, że też niczego nie osiągnął. Tylko nie miał jaj, żeby znieść porażkę. Popęłił samobójstwo jakieś półtora roku temu, w Londynie. Oczywiście dużo wcześniej rozstali się z Heather.

- Wie pan, gdzie ona teraz jest?

- Niestety nie. Od jakichś trzech lat jej nie widziałem. Ale Sam Prescott mógłby to wiedzieć. Nadal prowadzi sklep dla artystów.

- Znał pan może jego późniejsze partnerki?

Whitaker pokręcił głową.

- Czy kiedykolwiek pojawił się w antykwariacie w czyimś to-

warzystwie, damskim albo męskim?

- Nie. Zawsze przychodził sam.

- Wspominał o kimś w rozmowie? Może wymieniał jakieś nazwiska?

- Nie, a przynajmniej sobie nie przypominam. Ale zawsze był typem samotnika, zwłaszcza po rozstaniu z Heather.

Banks wstał z krzesła i wyciągnął rękę.

- Dziękuję, panie Whitaker. Bardzo mi pan pomógł.

- Nie bardzo wiem jak, ale proszę bardzo.

- Przychodzi panu na myśl osoba, z którą mógłbym porozmawiać o McMahonie?

Whitaker zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba nie - powiedział, ale wymienił kilku artystów, których nazwiska Banks miał już od Marii Phillips.

Wyglądało na to, że McMahon odciął się od własnej przeszłości, odwrócił się od przyjaciół i zerwał kontakty ze światem, który go zranił, nie uznając jego talentu. Nie było tylko wiadomo, czy później znalazł sobie nowych przyjaciół czy prowadził życie samotnika. I po co kupował bezwartościowe stare książki w antykwariacie Lesliego Whitakera?

Annie widziała w swoim życiu dość artystów, by rozpoznać, z kim ma do czynienia. Baz Hayward przywdział maskę cierpiącego, zmęczonego światem, rozpustnego i niezrozumianego geniusza, który umiłowanie sztuki usprawiedliwia wszystkie swoje ekscesy, brak talentu i ogłady towarzyskiej - w tym niezgolony zarost, podarte ciuchy oraz zapach potu. Nie potrafiła stwierdzić, czy Hayward jest uzdolniony czy nie. Spotykała już naprawdę odrażających ludzi, którzy posiadali ogromny talent; zwykle jednak go marnowali.

Hayward kazał jej chwilę zaczekać i kilka razy pociągnął pędzlem po płótnie, nad którym właśnie pracował. Śmiejąc się w duchu z jego żalostnej arogancji i potrzeby odgrywania kogoś ważnego, Annie podeszła do okna. Gdyby chciała, mogłaby zagrać z nim ostro, ale na

jego szczęście była w dobrym nastroju, ponieważ wieczorem miała się spotkać z Philem i wszystko zapowiadało się dobrze.

Hayward mieszkał w zaadaptowanej stodole przy głównej drodze między Lyndgarth a Helmathorpe. Było to odosobnione miejsce ze spektakularnym widokiem w dół zbieżnym na przysadziste ruiny opactwa Devraulx, aż po przyciemnione mżawką kamienne dachy Fortford, gdzie znajdował się domek Phila. Dym z kominów powoli wędrował na wschód, niesiony lekką bryzą, nadając powietrzu lekko torfową nutę. Na stromo wspinających się stokach od południa, zza skupiska domków w Mortsett i Relton, wyłaniał się imponujący symetrią Swainsdale Hall.

Annie uświadomiła sobie, jak dziwnie jest oglądać zamek z tej perspektywy. Zaledwie rok wcześniej spędziła w nim sporo czasu, kierując poszukiwaniami zaginionego chłopca. Teraz z wysokich kominów nie wydobywał się żaden dym. Annie przypuszczała, że były piłkarz Martin Armitage przebywa na Florydzie albo na Karai-bach ze swoją żoną, eksmodelką Robin Fetherling. Cóż, tam jest im pewnie lepiej. Niewiele im zostało w Swainsdale Hall.

W lofcie Haywarda panował chłód, Annie nie zdejmowała więc szynela. Niska temperatura zdawała się jednak nie przeszkadzać samemu Haywardowi, który paradował z pędzlem w dłoni ubrany tylko w podarte dżinsy i brudny biały podkoszulek. Jeśli uczestniczył w przyjęciu z okazji prezentacji odnalezionego obrazu Turnera, to Annie go nie zapamiętała.

Z zaskoczeniem przyjęła informację Banksa, że Thomas McMahon także uczestniczył w tym przyjęciu. Gdy się cofnęła myślą do tamtego wieczoru, przypomniła sobie niewysokiego, mocno zbudowanego faceta z kieliszkiem wina w ręku, rozmawiającego z pracownikami domu kultury. Ale w sali bankietowej panował tłok, a ona była tam głównie po to, żeby mieć oko na wiszący w sąsiednim pomieszczeniu obraz, mogła więc nie zwrócić uwagi ani na McMahona, ani na Haywarda.

Na tym właśnie przyjęciu spotkała Phila Keane'a. On także był tam

służbowo, ponieważ jako rzeczoznawca pomagał ustalić autentyczność odnalezionego obrazu. Tamtego wieczoru nie rozmawiali wiele, ale kilka tygodni później Phil zatelefonował do niej z zaproszeniem na kolację. Była zajęta - naprawdę, nie dla wymówki - zadzwonił jednak znów po tygodniu, jak zasugerowała. Wtedy przyjęła zaproszenie. Od tamtego czasu widzieli się tylko cztery albo pięć razy, bo oboje mieli wiele zajęć, ale z każdym kolejnym spotkaniem na Annie coraz większe wrażenie robiły jego urok, uprzejmość i intelekt, nie wspominając o gracji ruchów i pięknie wyrzeźbionym ciele. Z niezmierną przyjemnością odkryła też, że Phil znał prace jej ojca.

Wreszcie usłyszała, jak Hayward odkłada pędzel, mruczając coś jakby fanfarę na swoją cześć.

- Gotowe!
- Piękny widok - stwierdziła Annie, gestem wskazując okno.
- Co? - Hayward sprawiał wrażenie zdezorientowanego. - Ach, tak - powiedział, gdy jej słowa do niego dotarły. - Owszem, jeśli się lubi coś takiego. Osobiście uważam, że krajobrazy są mocno przece-niane, a malarstwo pejzażowe umarło wraz z wynalezieniem fotografii. Dobry aparat cyfrowy potrafi zrobić wszystko, co kiedykolwiek robili impresjoniści.

- To interesująca interpretacja - rzekła Annie, przysiadając na krawędzi jedyne niezawalonego niczym krzesła. Po podłodze poniewierały się ubrania, a w filiżance z resztką kawy stojącej na niskim stoliku zebrała się pleśń. Annie była zadowolona, że nie zaproponował jej niczego do picia. Najbardziej jednak przeszkadzały jej ściany pokryte obrazami i szkicami, których autorstwo przypisywała gospodarzowi, przywodzącymi na myśl testy Rorschacha namalowane przez Francisa Bacona na narkotykach. Całość przyprawiała o zawrót głowy i budziła niepokój, a nawet lekkie mdłości, choć początkowo Annie się nie zorientowała dlaczego. Ale przecież te obrazy musiały się sprzedawać, bo inaczej ich autora nie byłoby stać na taką pracownię, pomyślała.

- To prawda - zgodził się Hayward, lekceważąco machając dło-



nią. - Staram się uwolnić od konwencjonalnych sposobów myślenia i życia. W każdym razie odpowiada mi ta izolacja. Okna są niemal zawsze zasłonięte.

- Można i tak - skwitowała Annie. - Interesuje mnie Thomas McMahon. Kiedyś byliście przyjaciółmi. Co się stało?

- Tom? - Przezeszał dłonią swoje proste, tłuste włosy. - Chyba można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi.

- Pokłóciliście się o coś?

- Nie zgadzałem się z jego kierunkiem artystycznym, a właściwie z brakiem kierunku. Efekty abstrakcyjne, nad którymi pracował, odeszły razem z kubistami, a do tego jeszcze te okropne pejzaże, które tłukł na masową skalę dla turystów.

- Żeby zapłacić czynsz?

- Tak przypuszczam. Tylko że są na świecie rzeczy znacznie ważniejsze od jakiegoś tam czynszu.

Annie poczuła ulgę, że to nie ona wynajmuje mu mieszkanie.

- Kiedy się pan z nim spotkał ostatni raz?

- Ze cztery lata temu, może pięć.

- Potem już nie?

- Nie. Zniknął z lokalnej sceny, jeśli w ogóle można to nazwać sceną. - Hayward podrapał się po kroczu. - Coraz rzadziej go widywałem. Zaczął się dystansować, i miewał humory. W końcu straciłem orientację, co się z nim dzieje, a nawet gdzie mieszka.

Pomyślałem, że wyjechał z miasta.

- Czyli nie wpadł pan na niego podczas przyjęcia po odnalezieniu obrazu Turnera zeszłego lata?

Hayward zrobił minę.

- Proszę pani! Turner? Myśli pani, że traciłbym czas na takie pierdoły?

- Oczywiście, proszę mi wybaczyć - powiedziała Annie. - Powinam była się domyślić. Oprócz tego, że nie akceptował pan sztuki McMahon, czy był między wami jakiś osobisty spór?

- Nie. Zawsze mieliśmy dobre relacje. W każdym razie uprzej-

me. Ale to, co robił, to na pewno nie była sztuka.

- I nie ma pan pojęcia, co się z nim działo ostatnio?

- Żadnego.

- Jego prace nigdzie się nie pojawiły?

- Dzięki Bogu nie!

- Czy to pana zaskoczy, jeśli powiem, że według policyjnych informacji Thomas McMahon mieszkał nielegalnie na porzuconej barce, którą w czwartek nad ranem podpalono, przez co zginął on i dziewczyna przebywająca na sąsiedniej łodzi?

Jeśli Annie miała nadzieję, że jej słowa wywołają szok i spowodują Haywarda do jakiegokolwiek ludzkiej reakcji, to rozwiły się one niemal natychmiast.

- Nie - odpowiedział. - Nic mnie już nie zaskakuje. Z wyjątkiem sztuki. Ale nawet ona nie zaskakuje mnie tak często jak kiedyś. Jak powiedział Diagilew do Jeana Cocteau: *Étonne moi*. Ha, gdyby tylko!

- Czy ma pan jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógłby nastawać na życie Tonia McMahona?

- Może jakiś przeciwnik kiepskiego malarstwa?

- Panie Hayward!

Hayward wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Trochę za brutalny żart pani zdaniem? Nazbyt szczery i nie na miejscu?

- Sprawia pan wrażenie człowieka działającego z wyraźną świadomością efektów, które zamierza wywołać - stwierdziła w odpowiedzi Annie. - Obawiałabym się, że może to usztywnić pańską twórczość, uczynić ją drętwą. Taka arogancka i wymuszona samoświadomość często przynosi efekt odwrotny do zamierzonego.

- Co pani może o tym wiedzieć?

- Nic. Wyrażam tylko własną opinię.

- Opinia laika jest mniej więcej tak samo interesująca jak pejzaże Constable'a.

- Ach, tak - mruknęła Annie, która uznawała obrazy Constable'a za interesujące, w każdym razie ciekawsze od tego, co wisiało na

ścianach w pracowni Haywarda. Ta rozmowa prowadziła donikąd, a sam rozmówca był zbyt zapatrzony w siebie, żeby dostrzec istnienie innych osób, a co dopiero kogoś zabić. Najwyższy czas się zbierać.

- Niech pani zaczeka - krzyknął Hayward, gdy Annie wstała z miejsca i ruszyła do drzwi. - Przykro mi, że nie mogę pani pomóc, ale naprawdę nie widziałem Toma od lat i nie mam pojęcia, co robił ze swoim życiem. Po prostu nie był oryginalnym malarzem, to wszystko.

- Nie szkodzi - odpowiedziała. - Dziękuję za poświęcony czas.

Hayward stanął w drzwiach. Oparty o futrynę blokował wyjście.

- Ale może pani odwiedziny nie pójdą całkiem na marne? - oznajmił.

Annie poczuła, że zabrakło jej tchu.

- Czyżby? - wydusiła z siebie.

- Bywają przecież dodatkowe efekty. Ukryte cele zdarzeń. Robimy coś z określonego powodu, przynajmniej tak się nam wydaje, potem jednak staje się oczywiste, że istniała głębsza przyczyna, której nie byliśmy świadomi. O wiele ważniejsza. Tak działa przeznaczenie.

- Niech pan mówi jak człowiek, Baz.

Hayward nie ustępował.

- Chciałbym panią namalować - oświadczył, promieniejąc, jakby proponował jej miejsce na liście odznaczonych i wyróżnionych z okazji urodzin królowej.

- Namalować mnie?

- Tak. Moglibyśmy zacząć zaraz, jeśli pani chce. Może jakieś wstępne szkice?

Annie rozejrzała się po ścianach. Wiedziała już, dlaczego wiszące wokół dzieła tak źle na nią działały. Każdy obraz, czy to szkic węglem, czy kolorowy olej, przedstawiał rozwartą waginę. Pomysł daleki od oryginalności, bo niepowtarzalny i symetryczny jak kielichy kwiatów kobiece genitalia fascynują artystów od lat. Annie nie była pruderyjna, ale w tym pomieszczeniu, otoczona jaskrawymi obrazami o takiej tematyce, dostawała gęsiej skórki, widząc, że ten obleśny Baz Hayward całkiem już otwarcie gapi się pomiędzy połami jej rozpię-

tego szynela w miejsce między jej nogami, gdzie dzinsy układają się w odwróconą literę V.

Chwyliła go za nadgarstek tak szybko, że nie zdążył jej powstrzymać, wykręciła mu rękę do tyłu i wepchnęła do środka. Zatoczył się, potknął o sztalugę i stracił na podłogę obraz, nad którym pracował. Annie owinęła płaszcz wokół bioder, zapięła pasek.

- Pierdol się, Baz - rzuciła, po czym wyszła.

Gdy Banks schodził po frontowych schodach Eastvale General Infirmary, było już ciemno i mżawka zdążyła się zamienić w przedwieczorną mgłę, przez którą neony sklepów na King Street wydawały się rozmazane. Z jakiegoś powodu w jego pamięci odżyło wspomnienie takiego samego późnego popołudnia: miał piętnaście albo szesnaście lat i siedział na górnym pokładzie autobusu wiozącego go do domu, z albumem *Fresh Cream* i najświeższym egzemplarzem „Melody Makera” wetkniętymi pod ramię. Patrząc na żółte aureole wokół zamglonych neonów, zapalił papierosa - smakował wspaniale, lepiej niż wszystkie inne w całym życiu. Chcąc znów poczuć ten smak, odruchowo sięgnął do kieszeni. Papierosów oczywiście nie znalazł. Spojrzał na drugą stronę ulicy na oświetloną wystawę kiosku, zamgloną jak wszystkie pozostałe, i przez chwilę go kusilo, żeby podejść tam i kupić paczkę. Dziesięć sztuk. Wypaliłby tylko tę jedną paczkę, potem już nic. Wziął się jednak w garść, podniósł kołnierz i ruszył, mozolnie wspinając się pod górę w kierunku komendy policji.

Ciało Christiny Aspern było w znacznie lepszym stanie niż zwłoki Thomasa McMahona. Skóra przykryta śpiworem wcale się nie spaliła. Tylko twarz i ręce uległy poparzeniu drugiego stopnia, pokryły się więc pęcherzami albo poczerniały od ognia. Doktor Glendenning powiedział, że pęcherze zwykle powstają, jeśli ofiara żyła, gdy wybuchł pożar, choć niewielka ich liczba może też się pojawić już po śmierci. Zważywszy na inne dowody w tym przypadku, patolog sądził, że pęcherze na ciele Tiny powstały *post mortem*.

Doktor Glendenning przeprowadził autopsję ze zwykłą dla siebie

dbałością o szczegóły i potwierdził, że wyniki badań toksykologicznych przyjdą najwcześniej w poniedziałek po południu, ponieważ jest weekend. Podobnie jak Thomas McMahon, dziewczyna zmarła uduszona dymem, najpewniej nie z powodu przedawkowania heroiny.

Tak samo jak w przypadku McMahona, Glendenning znalazł spowodowane wysoką temperaturą obrażenia w jamach ustnej i nosowej, ale nie niżej, przy tchawicy. Odkrył śladowe ilości sadzy poniżej krtani, co sugerowało, że w momencie powstania pożaru Christine była najprawdopodobniej nieprzytomna.

Nie dało się wykluczyć, że heroina od Danny'ego Boya była niezwykle czysta i dziewczyna zmarła z powodu przedawkowania przed lub w trakcie pożaru, ale Banks gotów był się założyć, że tylko miała odłot. Mark mówił mu co prawda, że Tina dała sobie w żyłę tamtego wieczoru. Nie byłaby więc pierwszym ćpunem, który wziął działkę i leżał owinięty kokonem złudnie bezpiecznej pustki, podczas gdy płomienie pożerały jego ciało. W każdym razie nie istniały żadne dowody przestępstwa innego niż sam pożar, a ze śladów rozlanej cieczy łatwopalnej oraz wyniku testów przeprowadzonych przez Geoffa Hamiltona płynął wniosek, że podpalacz najprawdopodobniej nie wszedł nawet na barkę Marka i Christiny.

Było późne sobotnie popołudnie i policjanci na służbie właśnie wprowadzali do budynku kilku pijanych fanów Eastvale United, kiedy Banks dotarł do komendy. Miejscowej drużynie daleko było do pierwszej ligi, ale to nie przeszkadzało niektórym kibicom zachowywać się, jakby stali na trybunach podczas meczu Leeds kontra Manchester United. Banks ominął grupkę chwiejących się mężczyzn i poszedł na górę, do swojego względnie spokojnego gabinetu, zabierając po drodze kilka raportów, które zostawiono w przegródce z jego nazwiskiem. Zdjął płaszcz, kopnął grzejnik, żeby go uruchomić, i włączył trzeci program radia na specjalną audycję o Budzie Powellu w cyklu Jazz Line Up.

Słuchając *A Night in Tunisia*, przekartkował raporty i znalazł tylko jeden, który go bardziej zainteresował.

Według jej byłego pracodawcy Sama Prescottta, Heather Burnett, dziewczyna ze sklepu dla plastyków, która zostawiła Thomasa McMahona dla Jake'a Harleya, rzuciła potem także tego drugiego - dla amerykańskiego autora instalacji nazwiskiem Nate Urlich i obecnie mieszkała z nim w Palo Alto w Kalifornii. Ale Banks i tak nie spodziewał się niczego po tym tropie.

Ponieważ był weekend, sprawy toczyły się powoli. Banks oczekiwał, że wstępne analizy kryminalistyczne pojawią się nie wcześniej niż we wtorek rano. Nadal też nie ustalili, kto jest właścicielem spalonych barek. Sierżant Templeton nie zaszedł zbyt daleko w swoich poszukiwaniach. Niewykluczone, że będzie musiał czekać do poniedziałku albo jeszcze dłużej, zanim się znajdzie ktoś dysponujący tą informacją, zapewne jakiś pracownik British Waterways.

Została też jeszcze do wyjaśnienia sprawa auta, ciemnoniebieskiego jeepa cherokee albo range rovera, cokolwiek to było, zaparkowanego w zatoczce niedaleko barek. Prawdopodobnie okaże się to stratą czasu, ponieważ takich aut jest wiele, ale Banks mimo to kazał wszcząć poszukiwania. Poleciał też sprawdzić wszystkie wypożyczalnie samochodów w okolicy. Istniała bowiem szansa, że jeśli ktoś zamierzał popełnić przestępstwo, to nie pojechał do McMahona własnym autem, obawiając się, że ktoś go zauważy. Ponadto jeśli znał drogi w bezpośrednim sąsiedztwie barek, to musiał wiedzieć, że samochód terenowy będzie o wiele lepszy od zwykłego, zwłaszcza zimą.

Banks zdążył zlecić poszukiwania terenówki, gdy zadzwonił telefon.

- Alan? Mówi Ken. - Inspektor Ken Blackstone telefonował z Leeds. - Wysłaliśmy kilku chłopaków, żeby porozmawiali z dealerem, o którym wspominałeś, Benjaminem Scottem.

- Niezłe tempo. Jak nic mieliście luźniejszy dzień.

- United grają dziś na wyjeździe. W każdym razie poświęciliśmy mu trochę czasu. W mieszkaniu znaleźliśmy niewielkie ilości podejrzanych substancji, ale facet ma niepodważalne alibi. Gdy wybuchł

pożar, był w Paryżu ze swoją dziewczyną.

- Kto bogatemu zabroni? Jesteś pewien?

- Nasi ludzie zażądali potwierdzenia. Pokazał bilety, potwierdzenia operacji kartą kredytową, podał numer do hotelu. Mam zadzwonić?

- Nie, Ken, nie trzeba. To było tylko przypuszczenie. Posłuchaj, wiesz coś może o facecie nazwiskiem Aspern? Doktor Patrick Aspern?

- Raczej nie, a przynajmniej nic mi nie przychodzi do głowy. Bo co?

- To ojczym dziewczyny, która zginęła w pożarze, a jej chłopak wysunął przeciwko niemu raczej poważne oskarżenia. Coś w tym może być. Mógłbyś sprawdzić, czy coś się na niego znajdzie?

- Nie ma sprawy.

- Aha, i nie musisz się starać, żeby to robić jakoś bardzo dyskretnie.

- Rozumiem. Gdzie mieszka?

- W Adel.

- To będzie komisariat w Weetwood. Znam tam inspektora. Dam ci znać po weekendzie. W ogóle, to kopę lat. Co u ciebie?

- Nie najgorzej - odpowiedział Banks.

- A Sandra?

- Odległe wspomnienie.

- Urodziła już?

- Tak. Sinéad. Miło, że pytasz, Ken. Matka i dziecko są zdrowe.

- Przepraszam. Nie sądziłem, że to aż tak drażliwa kwestia. Jakaś szansa, że się niedługo pojawisz w moich stronach?

- Zależy od tego, jak się rozwinie śledztwo. I czego się dokopiesz na temat Asperna.

- Jak będziesz miał czas, to zadzwoń do mnie. Pójdziemy na curry, a potem się solidnie urzniemy. Wiesz, że moja kanapa jest dla ciebie wolna w każdej chwili.

- Dzięki, Ken. Trzymam cię za słowo. Do usłyszenia.

- Cześć.

Banks stuknął długopisem w biurko. Nie spodziewał się, żeby prześwietlanie Patricka Asperna miało przynieść coś konkretnego. Gdyby dać wiarę oskarżeniom Marka, to i tak cokolwiek się działo w domu Aspernów, było sprawą rodzinną, w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa, i policja być może nigdy nie znajdzie żadnych dowodów. Frances Aspern coś wiedziała, Banks nie miał wątpliwości, ale raczej nic by nie powiedziała. Bez względu na powód, za najważniejszy uważała swój związek z Aspernem: potrzebowała go tak bardzo, że gotowa była nawet poświęcić dla niego córkę, co też się stało.

Banks chciał jednak, żeby Aspern wiedział, że miejscowa policja bada jego sprawę i właśnie dlatego powiedział Kenowi Blackstone'owi, żeby się nie starał być dyskretny. Ciekawe, jak doktor na to zareaguje. Banks spojrzął na zegarek. Najwyższy czas, żeby rozdzielić jeszcze kilka zadań, porozmawiać z Annie o dotychczasowych wynikach śledztwa i jechać do siebie. Co będzie robił w domu? No cóż, Banks nie zawsze sięgał po butelkę laphroaigu i nagranie *Kopciuszka* Rossiniego. Od czasu do czasu kierowały nim bardziej pierwotne instynkty. Teraz miał ochotę na samotny wieczór z chińskim żarciem na wynos, Jamesem Bondem na DVD - oczywiście Sean Connery - i kilkoma puszkami jasnego pełnego piwa. Ach, to luksusowe życie!

Lenny Knox mieszkał z żoną, Sally, w East Side Estate. Okryte złą sławą w Eastvale osiedle stanowiło namacalny dowód, że nie tylko duże miasta mają niebezpieczne dzielnice. Tak samo jak w wielkomiejskich dzielnicach, mieszkali tutaj także przyzwoici ludzie, próbujący jakoś przeżyć mimo kiepskiej sytuacji. Lenny był jednym z nich. Wspólnie z innymi założył straż obywatelską, żeby podjąć walkę z dilerami i wandalami. Jako nastolatek sam popadł w problemy z prawem, o czym Mark wiedział z rozmów, ale krótki pobyt w więzieniu, gdzie Lenny trafił jako dwudziestolatek, całkowicie go



odmienił.

Mieli za sobą kawał solidnej roboty, gdy Lenny zaparkował swojego starego, rdzewiejącego nissana przed szeregowcem przy głównej ulicy osiedla. Parkowanie pod chmurką nie należało do najbezpieczniejszych w tej okolicy, ale wszyscy znali samochód Lenny'ego i nikt by go nie tknął. Lenny pewnie myślał, że wszyscy się go boją, ale zdaniem Marka bardziej prawdopodobne było inne wytłumaczenie: żaden szanujący się złodziej nie traciłby czasu na takiego gruchota. Mark rozejrzył się nieufnie, wysiadając z samochodu. Nie z powodu ostrzeżenia, które przekazał mu Banks: miał kiepskie wspomnienia z East Side Estate i chociaż nie sądził, że Szalony Nick jeszcze się tam kręci, to ostrożność zawsze popłaca. Wiedział, że ojczym by go zabił, gdyby go odnalazł. Dlatego na barce czuł się bezpieczny. Nickowi nie przyszłoby do głowy, żeby szukać go poza miastem: nie miał pod sufitem nawet tyle co Mark.

Mark wszedł do środka za Lennym i natychmiast dostrzegł zaskoczenie na twarzy Sal. Kobieta przywitała męża symbolicznym pocałunkiem w policzek, po czym zniknęła w kuchni, żeby przygotować herbatę. Czarny kot bez połowy jednego ucha otarł się o nogę Marka i czmychnął na górę.

- Rozgość się - zaprosił Lenny, wskazując na wytarty fotel.

- Naprawdę mogę? - upewniał się Mark. - Nie chcę sprawiać kłopotu.

- Och, nie przejmuj się, Sal - odparł Lenny. - Dojdzie do siebie.

Zawsze tak jest.

Mark widział minę Sal i wcale nie był tego pewny.

Lenny poczęstował Marka papierosem.

- Najpierw wypijemy herbatę, żeby splukać pył - powiedział. -

Potem kupię nam rybę z frytkami i kilka puszek piwa. Może być?

Mark sięgnął do kieszeni.

- Mam trochę pieniędzy...

Lenny uciszył go gestem dłoni.

- Nie bądź dumny. Ja stawiam.

- Ale...
- Żadnych ale. Po wypłacie kupisz nam pizzę i będziemy kwita.
- W porządku.

Lenny włączył telewizor, wybrał kanał transmitujący turniej snookera i rozsiadł się wygodnie. Mark nie potrafił się skoncentrować na grze, zresztą nigdy nie przepadał za snookerem. Ciągłe myślał o Tinie, nie mógł się pogodzić z faktem, że jego dziewczyna nie żyje, wyciągnęła nogi, kofnęła i nigdy już się do niej nie przytuli w śpiworze podczas zimowych chłódów. Stracił też dom. Może nie był jakiś wypasiony, ale wiele dla niego znaczył. Barka należała tylko do nich, dała im schronienie po ucieczce z tego koszmarnego squatu w Leeds. Udało im się nawet urządzić ją trochę po swojemu - ładny świecznik, palnik do gotowania wody i jedzenia z puszki, oprawiona fotografia ich dwojga na ścianie, miniwieża oraz kilka ulubionych płyt kompaktowych: Beth Orton, David Bowie, Coldplay, System of a Down, Radiohead, Ben Harper.

Mark poczuł napływające do oczu łzy. Nie mógł się rozplakać, nie przy Lennym, ale miał na to ochotę. Co teraz robi, skoro nie może się już opiekować Tiną? Po co to wszystko? Zanim ją spotkał, całe jego życie było bezcelowym bałaganem i teraz znów się w taki zamieni. Ludzie różnie oceniali ich związek, ale nie dbał o to, co myślą inni. Wiedział, że pewnego dnia on i Tina też będą mieli dom, dzieci i wszystko. Niech więc się ludzie śmieją. Ale teraz... W dodatku to jego wina.

Komentator snookera coś głądził. Sal wsunęła głowę przez drzwi i powiedziała:

- Herbata gotowa. Czy mogę cię prosić na chwilę, Len?

Len odwrócił się do Marka z udręczoną miną, jakby chciał powiedzieć: Kobiety! Potem zwlókł się z miejsca i poszedł do kuchni.

Mark pomyślał o ojczymie Tiny i poczuł, jak wzbiera w nim bezgłośna wściekłość, aż zatrząsnęły mu się ręce. Nie miał wątpliwości, że Aspern doprowadził do uzależnienia Tiny. Mówiła mu, że zaczęła brać morfinę, żeby stępić ból i uczucie poniżenia po jego seksualnych

wczynach, a gdy pewnego dnia Aspern ją przyłapał, zaczął wykorzystywać narkotyki jako nagrodę za usługi seksualne. Zresztą już wcześniej dawał jej środki uspokajające, żeby się stała łatwiejsza. I to ma być doktor! Matka wiedziała więcej, niż dawała po sobie poznać, ale cholernie się bała Asperna. Szara myszka. Wystarczyło, że podniósł na nią głos, a jej dolna warga zaczynała się trząść i uciekała cała we łzach. Tina nie miała nikogo, kto by się za nią wstawił. Oprócz Marka. Ale to już się nie liczyło.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? - dobiegł go z kuchni głos Sal. - Jak mogłeś go tu przyprowadzić? Ten dzieciak dopiero co wyszedł z paki, na litość boską! Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Wiedziałam, że to on, jak tylko się dowiedziałam o tym pożarze.

- Sam byłem w więzieniu, kochanie, ale to nie czyni ze mnie przestępcy - odparł Lenny.

- To co innego. Siedziałeś dawno temu. Nie będziemy brać za niego odpowiedzialności.

- Miej trochę serca, kochanie. Chłopak dopiero co stracił dziewczynę i dom.

- Dom? Rozwaloną barkę. Co cię napadło, Lenny? Zwykle nie jesteś taki miękki.

- O co ci chodzi?

- Przecież na pewno opowiedział ci jakąś ckliwą historyjkę, przez którą zacząłeś go traktować jak syna, którego nigdy nie miałeś...

- Zaraz! Posłuchaj mnie.

- Nie, to ty mnie posłuchaj! Przyprowadzasz go tutaj bez mojej wiedzy, nawet nie dzwonicz, żeby mnie uprzedzić, i oczekujesz, że będę mu gotowała i sprzątała po nim? Za kogo ty mnie uważasz, Lenny, za służącą? Czy tym dla ciebie jestem? Pieprzoną służącą?

- Daj spokój, kochanie.

- Nie mów do mnie kochanie!

- Sal...

- Czy ty w ogóle pomyślałeś, co robisz? Czy chociaż przemknęło

ci przez ten twój mały mózdzek, że to on mógł podłożyć ogień? Zastanawiałeś się nad tym?

- Na litość boską, Sal! Mark nie zrobiłby czegoś takiego. Poza tym policja go wypuściła.

- Policja zawsze wypuszcza morderców. Tylko dlatego, że nie ma wystarczających dowodów. Ale to nie znaczy, że kogoś o to nie podejrzewają.

- Daj spokój, to dobry dzieciak.

- Dobry dzieciak! Ciekawe, czy też tak będziesz mówił, jak ci się dach nad głową zapali!

- Sal, nie mam...

Mark już go nie słyszał. Ledwie widząc przez łzy, czując kipiącą złość, chwycił swoją kurtkę i wybiegł z domu. Był w połowie ulicy, gdy usłyszał, że Lenny krzyczy jego imię, ale zignorował wołanie i biegł przed siebie, pod mostem kolejowym, jak najdalej od miasta.

Restauracja The Angel szczyliła się ponoć najlepszym szefem kuchni na wschód od Gór Pennińskich i plotka głosiła, że miał on też coś w rodzaju predyspozycji do potraw wegetariańskich. Miło ze strony Phila, że o tym pomyślał. Annie ubrała się stosownie do okazji, powściągając nieco swoją skłonność do ekscentrycznych strojów. Wybrała małą czarną, żeby uszanować zdecydowanie bardziej konserwatywny, choć swobodny gust Phila. Nie nosiła jej od wieków i czuła się przez to trochę skępowana. Z przyjemnością stwierdziła, że nadal się w nią mieści. Ostatni raz miała tę sukienkę na sobie podczas randki z Banksem. To jej o czymś przypomniało: wcześniej, podczas krótkiej odprawy, Banks wspomniał o czymś, co wywołało w niej jakieś odległe skojarzenia i chciała zapytać o to Phila.

Postarała się też ukryć czerwień swojego nosa pod sprytnie nałożonym makijażem i wzięła nurofen, żeby co chwilę nie sięgać po chusteczkę, ale nadal czuła to irytujące drapanie w gardle. Z doświadczenia wiedziała, że ta dolegliwość ustępuje po czerwonym winie, ale jechali do restauracji osobno, będzie więc musiała uważać z

alkoholem. Zanim wyszła, upewniła się, że zabrała telefon komórkowy i pager, choć miała wielką nadzieję, że nie przyda jej się ani jedno, ani drugie.

Phil czekał już przy barze z kuflem piwa i przywołał ją gestem dłoni.

- Właśnie przygotowują stół dla nas - powiedział. - To nie potrwa długo. Napijesz się?

- Hmm, chyba się zdecyduję na sok grejpfutowy. - Doszła do wniosku, że dzięki temu wypije dwa kieliszki wina do kolacji.

Phil zamówił bez słowa komentarza. To była jedna z rzeczy, które u niego lubiła. Nigdy nie kwestionował cudzych wyborów ani nie pozwalał sobie na złośliwe komentarze, jak niektórzy, na wieść, że ktoś w towarzystwie nie pije alkoholu albo jest wegetarianinem. Na pierwszym spotkaniu zapytał tylko, czy nie je mięsa z powodów humanitarnych czy zdrowotnych. Odpowiedziała mu wtedy, że z obydwu.

- Ciężki dzień? - rzucił.

Annie skinęła głową.

- Pożar na barkach. Na pewno już o nim słyszałeś.

- Oczywiście. Macie już jakiś trop? Czy może nie powinienem o to pytać?

- Chyba lepiej żebyś nie pytał - odpowiedziała z uśmiechem. - Ale niczego jeszcze nie mamy.

Podszedł kierownik sali, żeby zaprowadzić ich na miejsce, do stolika w zacisznym kącie, przykrytego szkarłatnym obrusem, z lampką z abażurem, w świetle której lśniły wypolerowane sztucce. W tle sączyła się muzyka, Beatlesi w wykonaniu orkiestry Mantovaniego - cicha, żeby nie przeszkadzać w rozmowie, ale na tyle słyszalna, by tworzyć atmosferę sennego spokoju. Było przytulnie i kameralnie.

Annie obserwowała Phila, gdy ten studiował kartę dań: małe chłopiące usta, lekko rzednące na skroniach ciemne włosy, czujne i inteligentne szare oczy. Doszła do wniosku, że jest siedem albo osiem lat starszy od niej, prawdopodobnie tuż po czterdziestce. Banks także

był od niej starszy. Dlaczego zawsze wybierała mężczyzn starszych od siebie? Czy czuła się przy nich bezpieczniej? Szukała ojcowskiego autorytetu? Omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem na myśl o tym, co Ray - jej ojciec - miałby na ten temat do powiedzenia.

W pewien sposób Phil był całkiem podobny do Banksa: na pierwszy rzut oka trochę tradycjonalistyczny, a nawet konserwatywny, w gruncie rzeczy jednak tolerancyjny i niezależny. Poza tym liczył się dla niej nie tyle wiek, co inteligencja, dojrzałość i kultura osobista. Osiągnięcia zawodowe i pieniądze też oczywiście się liczyły, ale dla większości szpanujących swoimi komórkami mężczyzn w jej wieku, z którymi się dotychczas spotykała, były one ważniejsze niż wszystko inne. Ją natomiast najbardziej interesowały właśnie te inne rzeczy.

Wybrała sałatkę z gruszkami, orzechami włoskimi i pokruszonym niebieskim serem na zakąskę oraz risotto z grzybami leśnymi jako danie główne, po czym odłożyła menu. Phil nadal studiował swoje.

- Jakiś problem? - zapytała.
- Nie umiem wybrać między perliczką a sarniną.
- Przykro mi, ale w tym ci nie pomogę.

Phil zaśmiał się i odłożył menu.

- Jasne, że nie! - Wyjął z kieszeni monetę, rzucił w powietrze i złapał. - Orzeł - stwierdził, sprawdzając, jak wylądowała. - Sarnina.
- Skąd mam wiedzieć, że nie oszukałeś?
- Prawdę mówiąc, oszukałem - wyznał. - Założyłem, że orzeł to perliczka, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że jednak wolę sarninę. Wina?

- Tak, proszę.

Phil zamówił butelkę chianti classico rocznik 1998. Bez ostentacji, ale też żadna taniocha, pomyślała Annie.

- Co z akwarełą Turnera? - zapytała, gdy skończyli składać zamówienie.
- Nadal leży spokojnie. Niedługo powinna trafić na aukcję. Zainteresowała się Tate.

- Czyli obraz jest na pewno autentyczny?
- Och, tak. Potwierdził to cały zespół ekspertów.
- Twoja opinia nie wystarczyła?
- Żartujesz? Nie mogło być o tym mowy! Byłbym przesadnie skromny, mówiąc, że mój głos nie ma swojej wagi, ale odkrycie tej miary sprawdza się z niewiarygodną starannością. Falszerz dzieł sztuki z prawdziwego zdarzenia nie podjąłby się podrabiania dzieł artystów z wielkimi nazwiskami, jak Turner czy Constable. Rozsądni fałszerze trzymają się mniej znanych artystów. Turner to skarb narodowy. Równie dobrze mogłabyś kopiować da Vinci albo van Gogha.

- Ale przecież takie rzeczy się zdarzały.
- Och tak, zdarzały się. Przychodzi mi na myśl choćby Tom Keating. Podrabiał między innymi Rembrandta. Eric Heborn całkiem nieźle sobie radził z Corotem i Augustusem Johnem. Ale to było wiatach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dzisiaj obraz musi przejść przez znacznie większą liczbę testów kryminalistycznych, że nie wspomnę o mnóstwie ekspertów. Ten konkretny obraz sprawdzano na przykład pod kątem odcisków palców.

- Odcisków palców?
- Wiedziałem, że cię to zainteresuje. Odciski mogą się zachować przez bardzo długi czas. Znajdowano je nawet na prehistorycznych malowidłach jaskiniowych i ceramice wydobytej przez archeologów spod ziemi podczas wykopalisk.

- Ale jak można je zweryfikować? Przecież Turner nie żyje od ponad stu pięćdziesięciu lat.

- Malowanie to nie jest czysta robota. Można pobrudzić sobie ręce, a często też malarze palcami nakładają farbę na płótno lub papier. Najczęściej olejną, ale akwarele też. Uważnie oglądając powierzchnie obrazu pod szkłem powiększającym, trochę jak Sherlock Holmes, znajdziemy często całkiem nieźle odciski palców.

- Jak je porównać z odciskami malarza?
- W tym właśnie problem. Nie zawsze jest to możliwe, a wyniki

czasem budzą spore wątpliwości, ale akurat w przypadku Turnera daje się to zrobić całkiem dobrze.

- Dlaczego?
- Jego odciski są przechowywane w archiwach Tate.
- No jasne.

- Oczywiście musisz dysponować niepodważalnym źródłem. Obrazem, który bez wątpienia pochodzi od danego artysty. Poza tym niewielka jest szansa, że na obrazie Turnera swój odcisk palca zostawił ktokolwiek inny. Wiadomo, że Turner pracował sam, bez asystentów.

Annie skinęła głową.

- Zresztą robiono to już wcześniej - ciągnął Phil. - Technikę opracował kilka lat temu Kanadyjczyk nazwiskiem Peter Paul Biro. Współpracował z policją z West Yorkshire podczas identyfikacji obrazu *Krajobraz z tęczą* w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Aż dziwne, że o tym nie słyszałaś.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku byłam zwykłym posterunkowym w Somerset i Avon.

- To wyjaśnia sprawę.

- W policji raczej nie zwracamy uwagi na sprawy poza własnym rejonem - wyjaśniła Annie. - Musimy się skupić na bieżących działaniach i...

- Rozumiem - zapewnił Phil.

- Za ile pójdzie ten obraz twoim zdaniem?

Phil zagryzł wargi i przez chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

- Jakieś trzysta tysięcy. Może trochę więcej, ponieważ jest częścią cyklu.

Przyniesiono wino. Kelner najpierw pokazał butelkę i korek, a następnie nalał odrobinę do kieliszka Phila.

- Proszę do pełna - powiedział Phil. - Jestem pewien, że jeśli wino trąci korkiem, to przyniesie pan drugą butelkę.

- Oczywiście, proszę pana - powiedział kelner.

Annie nie była przyzwyczajona do tak kulturalnej obsługi kel-



nerskiej w Yorkshire, zresztą nigdzie indziej też nie. Ale Phil miał w sobie coś takiego, że wzbudzał szacunek u innych ludzi. Może wyglądał jak ktoś sławny, chociaż Annie nie umiała wskazać kto. Jediną osobą o podobnej aurze, która przychodziła jej do głowy, był Stefan Nowak. Stefanowi kelnerzy także okazywaliby taki szacunek.

Phil napił się wina i rozejrzał po sali.

- Turner jadł tu kiedyś kolację - powiedział. - W trakcie podróży, podczas której wykonywał szkice do tej właśnie akwareli.

- Naprawdę? Wiedziałaś, że to miejsce jest stare, ale...

- No cóż, szef kuchni na pewno się od tamtej pory zmienił. Turner przeważnie narzekał na pogodę. Pan Joseph Mallord William był raczej ponurym dupkiem. I skąpcem.

- Czyli doskonale by tu pasował.

- Z mojego doświadczenia wynika, że mieszkańcy Yorkshire są naprawdę szczodrzy.

- W sumie się zgadzam. To jeden z mitów o tych stronach, a miejscowi są często dumni z przypisywanego im skąpstwa.

- Potrafią szanować swoje pieniądze, to muszę im przyznać. Ale, jak mawiał mój dziadek, z braku rozrzutności jeszcze nigdy nie-szczęścia nie było.

Annie już chciała go zapytać o dziadków z Yorkshire, ale się powstrzymała. Nie była w nastroju na historie rodzinne i wspomnienia. Zresztą rodziny innych ludzi zawsze trochę ją krępowały.

Podano zakąski i obydwójce przez chwilę jedli w milczeniu.

- Zawsze zapominam cię zapytać, jak to się stało, że ten obraz zaginął na tak długo - powiedziała Annie, gdy przełknęła ostatni kawałek orzecha włoskiego. - Chodzi mi o to, że to w końcu Turner, w dodatku jest częścią cyklu.

- Nadal nie jest znany los wielu obrazów Turnera - odpowiedział Phil. - Jak wiesz, ten był częścią cyklu dwudziestu akwarel, które Turner namalował jako ilustracje do *Historii Richmondshire*. Pierwsze dwanaście dostarczył wydawcy na sztychy wiosną tysiąc osiemset siedemnastego, a kolejne osiem w grudniu tego samego roku. Ory-

ginały sprzedano potem różnym kolekcjonerom. Ten, który widzieliśmy, *Zamek i miasto Richmond*, był jednym z sześciu, które wydawcy książki sprzedali po kosztach. Za dwadzieścia pięć gwinei. Uwierzysz? Wcześniej pojawił się tylko podczas wystawy Northern Society w Leeds w tysiąc osiemset dwudziestym drugim roku. Potem przepadł. W każdym razie trzy z tych dwudziestu zaginęły, dwa bez śladu, do zeszłego lata oczywiście, jeden natomiast strawił pożar.

Annie nadstawiła ucha.

- Pożar?

- Ach, rozumiem! Myślisz o śledztwie, które prowadzisz w sprawie spalonych barek, prawda? Muszę cię rozczarować, ten pożar zdarzył się kilkadziesiąt lat temu. Nie ma żadnego związku.

- Ale do całego cyklu nadal brakuje jednego obrazu?

- Tak. Widoku na Ingleborough z tarasu zamku Hornby. Tej akwareli nie widziano od końca dziewiętnastego wieku. Osiągnęła rekordową cenę na aukcji w Christie's w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku. Kupił ją wtedy niejaki W. Law za dwa tysiące gwinei. Miło byłoby ją znaleźć i uzupełnić cały cykl, ale oczywiście zaginione dzieła są rozproszone po całym kraju.

- Jak w programie *Antiques Roadshow*.

- Możesz się śmiać, ale takie rzeczy się zdarzają częściej, niż myślisz. Jakaś stara zakurzona rama na strychu, albo szpetny landszaft, który pradziadek ciotki Eunice schował w piwnicy.

Annie parsknęła śmiechem.

- Turnera raczej trudno uznać za szpetny landszaft.

- Owszem, trudno. Ale ktoś przecież doszedł do wniosku, że jego obraz nie jest wart, skoro go przykrył kilkoma warstwami izolacji cieplnej.

Jedząc, rozmawiali o obrazach i filmach, które im się podobają. Annie odkryła, że obydwoje lubią Aleca Guinnessa w starych komediach z Ealing Studios, chociaż Phil wolał *Raj kapitana* od *Szajki z Lawendowego Wzgórza*, którą Annie lubiła najbardziej. Obydwojgu za to podobał się *Koński pysk*.

Gdy przyszła pora na deser, Annie postanowiła się nie przejmować dietą - na której właściwie nie była, choć nigdy nie brakowało jej dobrych chęci - i zamówiła crème brûlée. Powstrzymała się jednak od wypicia koniaku, zamiast niego wybierając kawę z mlekiem. Z zadowoleniem stwierdziła, że udało jej się ograniczyć tylko do jednego kieliszka wina.

- Słyszałeś kiedyś o miejscowym malarzu nazwiskiem Thomas McMahon? - zapytała, gdy przełknęła pierwszą łyżeczkę apetycznego kremu.

Phil zmarszczył brwi.

- McMahon? Chyba nie słyszałem. A co, jest dobry?

- Chyba nie powinnam ci tego mówić, ale i tak będą o tym trąbiły jutrzejsze gazety, a telewizja i radio pewnie nawet już dzisiaj. Prawdopodobnie to on jest ofiarą pożaru na barkach. Jedną z dwóch ofiar. Chciałam po prostu wiedzieć, czy w ogóle o nim słyszałeś, albo może natknąłeś się na jego obrazy, wykonując swoją pracę.

- Niewielu żyjących artystów zajmuje mnie zawodowo - powiedział Phil.

- Z dotychczasowych ustaleń wynika, że po obiecującym starcie zniknął ze sceny kilka lat temu. Zarabiał na życie, malując pejzaże dla turystów.

- W takim razie miałem jeszcze mniej powodów, żeby o nim usłyszeć. A ty zawsze w roli detektywa, tak?

Annie poczerwieniała. Powoli zmierzała do kwestii, co do której planowała go wysondować.

- Odkryliśmy, a właściwie mój szef odkrył, że McMahon często odwiedzał antykwariat przy Market Street, w którym kupował stare książki i druki.

- To chyba nic niezwykłego, prawda?

- Raczej nie zbywało mu na pieniądzach, a poza tym kupował rzeczy w zasadzie bezwartościowe. Chociaż stare.

Spojrzał na nią i w jego oczach dostrzegła, że zaczyna rozumieć.

- Przyszło mi do głowy - ciągnęła - że może... - W tym momencie

odezwał się dzwonek jej telefonu. Wezwanie z komendy. Niektórzy goście przy innych stolikach rzucili jej pogardliwe spojrzenia. - Cholera! - zaklęła. - Znaczy przepraszam. Powinnam... To nie potrwa długo.

- Nic takiego, nie przejmuj się. Zaczekam.

Annie wyszła szybko na zewnątrz i przez chwilę szarpała się z aparatem.

- Słucham.

- Detektyw Cabbot?

- Tak.

- Inspektor Banks kazał przekazać pani, że mamy kolejny... to znaczy kolejny pożar. Ma pani jak najszybciej przyjechać do Jenings Field. Wie pani, gdzie to?

- Wiem - odpowiedziała. - Dziękuję za wiadomość. Już jadę.

Kurwa mać! pomyślała, chowając telefon i wchodząc z powrotem do restauracji. Jakiś podpalacz psuje jej wieczór. Miała tylko tyle czasu, żeby szybko przeprosić Phila.

- Może cię podwieźć? - zaproponował.

- Nie, dziękuję - odmówiła. - Pojadę swoim samochodem. - Mogła sobie wyobrazić, jaką minę miałby Banks, gdyby przyjechała na miejsce zbrodni bmw Phila. Wkładając lekki czarny płaszczyk, uświadomiła sobie, że nie jest odpowiednio ubrana, żeby przebywać na dworze w chłodną noc.

Ich wspólny wieczór zakończyła naprawdę mocnym akcentem: nie zdążyła zakryć ust chusteczką, zanim kichnęła, w ten sposób rozsiewając zarazki po całym stole. Phil tylko się uśmiechnął i gestem pokazał, że powinna już się zbierać. Wyszła, mając czerwony nie tylko nos, ale i policzki.

## Rozdział 7

Obszar znany jako Jennings Field leżał po wschodniej stronie Eastvale, na peryferiach miasta za East Side Estate i torami kolejowymi, w miejscu, gdzie teren się spłaszczył, przechodząc w żyzną dolinę między Yorkshire Dales i North York Moores. Noc była zimna i przejrzysta, bo panująca przez cały dzień lekka mgła zupełnie się rozwiła. Na niebie lodowato lśniły gwiazdy, a z daleka migotały światła sąsiednich miejscowości, w których porządni obywatele grzali się przed telewizorami, wpatrzeni w Desa Lynama. Półksiężyc rzucał młeczne światło na dalekie lasy, posrebrzając ażurowe korony nagich drzew.

Telefon z informacją o pożarze zadzwonił w połowie *Goldfingern* - gdy plamka lasera powoli przesuwiała się w stronę intymnych części ciała Bonda, a Banks jadł kupiony na wynos ryż smażony z kurczakiem, popijając drugą puszką piwa. Teraz stał z rękami w kieszeniach i wydychając smużki pary, obserwował, jak Annie wysiada z samochodu, po czym podpisuje się na liście prowadzonej przez funkcjonariusza, który pilnował odgradzonego terenu. Kilku reporterów wykrzykiwało do niej jakieś pytania, ale ich zignorowała. Jeden z nich gwizdnął przeciągle, gdy się schyliła, przechodząc pod policyjną taśmą i Annie na chwilę znieruchomiała, potem jednak ruszyła dalej. Jest ładnie ubrana, zauważył Banks, kiedy weszła w snop reflektorów ustawionych na miejscu zdarzenia przez strażaków. Czyli randka z nowym chłopakiem? W końcu to sobotni wieczór!

Uchwyciła jego spojrzenie i zaczerwieniła się.

- Co?

- Nic - odpowiedział Banks. - Ładnie wyglądasz.

Annie przewróciła oczami.

- Co tu mamy? - zapytała. Resztki przyczepy kempingowej zaparkowanej w cieniu kępy buków, jedynej tutaj ludzkiej siedziby, nadal się tliły, a w powietrzu rozchodził się kwaśny zapach spalonego plastiku i gumy. Z dachu i ścian nie zostało nic; zachowały się jedynie poczerńiałe metalowe rozpory - wewnątrz pozostawało bezbronne wobec żywiołów. Woda z węży strażackich ściekała na ziemię, tworząc bajoro. - Ktoś był w środku?

- Mamy pojedyncze zwłoki - odpowiedział Banks. - Na szczęście tym razem chyba wiemy czyje.

Annie chuchnęła w rękę. Miała na sobie czarne czółenka, cienkie pończochy i długi czarny płaszcz, raczej elegancki niż praktyczny. Strój wyjściowy, zauważył Banks. Musiało jej być zimno.

Banks wskazał na mężczyznę rozmawiającego z posterunkową Winsome Jackman przy kilku samochodach zaparkowanych obok dwóch jaskrawoczerwonych wozów strażackich.

- To Jack Mellor, regularny bywalec pubu Fox and Hounds w najbliższej wiosce, niecały kilometr stąd. To on zgłosił pożar. Chyba jeszcze się nie otrząsnął. Ponoć zauważył ogień około dwudziestej pierwszej, gdy szedł ze swoim psem na parę kufelków i tradycyjną pogawędkę z kolegami. - Banks wskazał w stronę przeciwną do światła wioski. - Mieszka w Ash Cottage, niecałe dwieście metrów w tamtą stronę. Twierdzi, że facet z przyczepy też regularnie bywał w Fox and Hounds. To był podobno spokojny gość. Nieszkodliwy. Nazywał się Roland Gardiner.

- Mieszkał w tej przyczepie sam?

- Tak. Według naszego pana Mellora co najmniej od kilku lat. Żadnych śladów samochodu. Przyczepa nie miała nawet kół. Wiesz? Stoi na ceglach. Te błonia to własność publiczna, wbrew nazwie nie należą do żadnego Jenningsa. Nikt nie wie nawet, kim on był. Jestem pewien, że lokalne władze próbowały wyrzucić stąd Gardinera, podobnie jak urzędnicy British Waterways chcieli się pozbyć nielegalnych mieszkańców barek. Ale dla Gardinera to był dom, na dobre i na złe.

- Co się dzieje, do cholery? - zastanawiała się Annie. - Czy ktoś próbuje wypalić wszystkie szpetne domostwa i za pomocą ognia pozbyć się okolicznych meneli?

- Tak to zaczyna wyglądać - zgodził się Banks. - Ale nie wyciągajmy pochopnie wniosków. Nie mamy dowodów, że między pożarami istnieje jakiś związek. I ofiary nie były menelami, mimo kiepskich warunków życia. Nie zapominaj, że Thomas McMahon był artystą zarabiającym na życie malowaniem lokalnych pejzaży, które sprzedawano turystom. Myślę, że on wybrał taki a nie inny styl życia. Nawet Mark Siddons pracuje na budowie w Eastvale. Żadna z ofiar nie była pasożytem, menelem też nie.

- Dziewczyna ćpała.

- Owszem, ale mogła to robić z różnych powodów - stwierdził Banks, obserwując, jak Geoff Hamilton kieruje technikami kryminalistycznymi, którzy pobierają próbki z pogorzeliska. Podobnie jak Mark wcześniej tego wieczoru, Banks myślał o doktorze Patricku Aspernie, z którym bynajmniej się jeszcze nie porachował. - Poza tym według moich kryteriów uzależnienie to choroba, a nie przestępstwo.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała Annie. - I wiesz też, że moje kryteria są takie same. Sugeruję tylko, że ćpun ma znacznie słabszą siłę woli niż inni. Ktoś, kto bardzo potrzebuje towaru, zrobi wszystko, żeby go dostać. Pasożytowanie na innych to dla niego mały pikus.

- Słuszna uwaga - zgodził się Banks.

Podszedł do nich posterunkowy Locke.

- Pan Mellor chce wiedzieć, czy może iść do pubu - oznajmił. - Twierdzi, że jego psu zaraz odmarzną jaja, przepraszam panią za wyrażenie, i że trzeba go podwieźć.

- Doskonale go rozumiem - stwierdził Banks. - To nie do końca zgodne z zasadami - ciągnął, biorąc Locke'a na bok i zniżając głos - bo formalnie rzecz biorąc, należy traktować Mellora jak podejrzanego. Ale zabierz go do Fox and Hounds i zaczekajcie tam na nas. Musimy z nim gdzieś porozmawiać i równie dobrze możemy to zrobić właśnie

tam. Przynajmniej będzie ciepło.

- Tak jest.

- I nie pozwól mu za dużo wypić. Może zamówić jedno małe piwo, bo swoje przeżył, ale nie więcej. Nie chcę, żeby był zalany, gdy zaczniemy go przesłuchiwać. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

- I jeszcze jedno.

- Tak, panie inspektorze?

Banks wskazał na drogę, gdzie falanga reporterów walczyła o jak najlepsze miejsce i pstrykała aparatami fotograficznymi.

- Unikaj ich. Nie mogą się niczego dowiedzieć.

- To się da zrobić. Pójdziemy boczną drogą.

Posterunkowy Locke podszedł do Mellora i obydwaj ruszyli w kierunku polnej drogi, a za nimi potruchtał na smyczy pies. Uszli kilka kroków, po czym zniknęli w ciemności za przełazem. Banks miał nadzieję, że żaden z reporterów nie okaże się na tyle bystry, żeby sprawdzić miejscowy pub. Wiedział, że dziennikarze w końcu tam dotrą, ale nie stąd, dopóki coś będzie się tu działo.

- Jesteś pewien, że to była mądra decyzja? - zapytała Annie.

- Pewnie nie była, ale nie sądzę, żeby Mellor miał się okazać podpalaczem. Chodźmy ocenić skalę zniszczeń.

Podeszli bliżej spalonej przyczepy. W jaskrawym świetle reflektorów bez trudu dostrzegli, że podłoga jest bardziej wypalona w jednym miejscu na środku, co mogło świadczyć o podpaleniu, a Banksowi wydało się nawet, że czuje w powietrzu zapach benzyny. Elektroniczny wachacz Geoffa Hamiltona już coś wykrył, potwierdzając, że użyto płynu łatwopalnego. Przyczepa uległa zniszczeniu w znacznie większym stopniu niż jedna i druga barka. Pogorzelnisko było malutkie, a resztki podłogi tak niestabilne, że Hamilton i Stefan Nowak starali się pobierać próbki, stojąc na krawędziach zewnętrznych, żeby nie stąpać po zniszczonej powierzchni. Peter Darby filmował ich działania, od czasu do czasu zamieniając kamerę na starego dobrego pentaxa, żeby pstryknąć kilka zdjęć.



Pośrodku pogorzelniska, tuż obok najbardziej wypalonego ogniska pożaru, leżały poczerńiałe zwłoki, tym razem na boku, skulone w znajomej pozycji pięściarskiej. Trudno było je zauważyć między spalonymi resztkami mebli i sprzętów; stawały się wyraźne dopiero po oddzieleniu od tła. Hamilton stwierdził, że bezkształtny stopiony przedmiot to szklanka lub kieliszek. Obok zwłok Toma McMahona także leżało stopione szkło. Banks przypomniał to sobie i przez chwilę się zastanawiał, czy ten fakt może mieć jakieś znaczenie. Zauważył, że Annie wstrząsnął dreszcz - nie sądził, że powodem był chłód.

Hamilton i Stefan Nowak podeszli do nich.

- Coś ważnego?  
- Wyraźnie większe wypalenie w jednym miejscu oraz ślady cieczy łatwopalnej - odpowiedział Hamilton.

- Tak samo jak poprzednio?

- Na to wygląda.

- Coś łączy obydwie pożary?

Hamilton przestępował z nogi na nogę.

- Gdyby nie fakt, że obydwie są podejrzane, obydwie miały miejsce na uboczu praktycznie jeden po drugim w dwa dni, podczas gdy w pechowych latach mamy dwa pożary rocznie, to powiedziałbym, że nie.

Było to ważne spostrzeżenie. Banks musiał się dowiedzieć, czy od teraz prowadzi dwa odrębne postępowania w sprawie podpalenia czy tylko jedno.

- Ile czasu potrzeba, żeby ogień doprowadził przyczepę tego typu do takiego stanu? - zapytał.

- Mniej więcej pół godziny. Cokolwiek się tu wydarzyło, temperatura była wysoka, a pożar gwałtowny.

- Jakiego przyspieszacza użyto?

- Moim zdaniem to benzyna, zresztą czuć ją w powietrzu, ale dla pewności poczekałbym na analizę chromatograficzną i spektralną.

- Poprzednia ofiara była malarzem. To znaczy jedna z poprzednich ofiar - poprawił się Banks. - Można więc zakładać, że w jego

mieszkańcu znajdowała się terpentyna. Nie wiemy jeszcze, czym się zajmował pan Gardiner, ale nie ma chyba wątpliwości, że sprawca przyniósł swoją własną benzynę. Może podpalacz znał obydwie ofiary i wiedział, że u McMahona znajdzie terpentynę do wywołania pożaru, a do przyczepy Gardinera musi przynieść kanister z benzyną. Ale dlaczego benzyna, a nie terpentyna?

- Akurat benzynę miał pod ręką - stwierdził Hamilton. - Większość posiadaczy samochodu ma. Bez problemu można spuścić trochę z baku. To bezpieczniejsze niż kupowanie terpentyny w sklepie.

- Słuszna uwaga - powiedział Banks. - Co z ofiarą?

- Jak to?

- Przecież facet nie leżał spokojnie na podłodze, czekając, aż się spali, prawda?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co robił?

- Trochę spekulacji nie zaszkodzi. Niech pan użyje wyobraźni!

Hamilton prychnął.

- Dziękuję bardzo, nie jestem od spekulowania. Zaczekam na wyniki badań oraz protokół sekcji zwłok.

Banks westchnął.

- No dobrze - ustąpił. - Ale mężczyzna miałaby szansę uciec przed pożarem, gdyby był przytomny i w pełni sprawny?

- Zapewne tak - zgodził się Hamilton. - Chyba że się dusił dymem albo oparami. W takiej sytuacji człowiek szybko traci orientację.

- Ktokolwiek podłożył ogień, musiał się znaleźć we wnętrzu przyczepy, prawda?

- Można tak wnioskować z analizy pogorzelniska. Gdyby sprawca wlał ciecz łatwopalną na przykład przez okno albo przez drzwi, zostałyby silniej wypalone ślady przy tych otworach.

- A nie ma żadnych?

- W każdym razie żadnych nie dostrzegłem.

- Następnie sprawca wyszedł?

- Przecież znaleźliśmy tylko jedno ciało.

- Którędy się przedostał na miejsce, a następnie uciekł?

- Z tyłu biegnie wąska droga, za drzewami i murem.
- Dziękuję - powiedział Banks. Odwrócił się od Hamiltona i spojrzał na zwęglone, dymiące resztki przyczepy. Niewiele więcej mógł zrobić na miejscu pożaru. Pozostawało czekać, co Stefanowi i jego ludziom uda się ujawnić, jeśli w ogóle cokolwiek.

Banks zwrócił się do Annie.

- Chodźmy porozmawiać z panem Mellorem - powiedział. - Przydałoby mi się coś mocniejszego.

Annie spojrzała na zegarek.

- Już zamknęli - stwierdziła.

Banks zareagował uśmiechem.

- Nie uważasz, że należą się nam jakieś przywileje jako gliniarzom?

Mark biegł do utraty tchu, oddalając się od ognia. Później zwolnił do marszu. Przepelniała go wściekłość. Przez cały czas w jego głowie odbijały się echem glosy Lenny'ego i Sal, które przechodziły w krzyki jego matki oraz Szalonego Nicka, klójących się o niego na parterze ich domu. Spierali się coraz głośniej, aż w końcu doszło do bijatyki. *Pozbądź się go z domu! Pozbądź się go! Pozbądź! Powinnaś go utopić, jak tylko się urodził!*

Mark zakrył uszy dłońmi, ale niewiele to dało: glosy dochodziły ze środka jego głowy. *Zawsze wchodzi mi w drogę, gnój jeden. Zrób z nim coś, nie potrafisz?* Pamiętał noce, które spędzał samotnie, zamknięty w wilgotnej i pełnej pajaków piwnicy, po ciemku, pozbawiony ogrzewania i ludzkiego towarzystwa. Pamiętał też dzień, kiedy miał szesnaście lat i zebrał się na odwagę, żeby się postawić. Zdzielił Szalonego Nicka w twarz, po czym obydwaj byli zbyt zaszokowani, by jakkolwiek zareagować, kiedy z ust Nicka popłynęła krew.

*Ty mały pojebie! Zobacz, co narobiłeś!*

Mark wiedział, że walczy o życie, okładał więc Szalonego Nicka ze wszystkich sił, dopóki ten nie upadł na podłogę, dławiąc się krwią, a matka nie zaczęła bić go po plecach małymi twardymi piąstkami.

Rozwalił jeszcze krzesło o głowę Szalonego Nicka i na tym się skończyło. To była ostatnia noc, którą spędził w domu. Wtedy także biegł, goniony groźbami odwetu oraz złorzeczeniami matki, które paliły jego uszy. Biegł tak samo jak teraz.

Przystanął, żeby złapać oddech i się rozejrzeć. Dotarło do niego, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Od domu Lenny'ego biegł na wschód poza granicę miasta, tyle pamiętał, musiał więc teraz znajdować się gdzieś na wsi. Za sobą widział światła Eastvale, a nawet słyszał jadący gdzieś daleko pociąg. Żałował, że nie ma dość pieniędzy, żeby pojechać dokądś pociągiem. Albo polecieć samolotem. To byłoby nawet lepsze. Do Ułan Bator. Przypomniał sobie jednak, że przecież nie ma paszportu, nigdzie się więc nie wyrwie. Utknął tu na zawsze. Ale nie w Eastvale. Nie miał zamiaru tam wracać. Jeśli tylko będzie to zależało od niego.

Stał na nieoświetlonej wiejskiej drodze z drzewami oraz murem z cegieł po jednej i po drugiej stronie. Pożar zostawił daleko za plecami, ale zdawało mu się, że słyszy syreny wozów strażackich. Może tym razem będą mieli więcej szczęścia. Dla Tiny nie zrobili wiele. Przypomniał sobie jej piękną delikatną twarz i drobną postać. Nie miała żadnych szans w pożarze. Łzy popłynęły po twarzy Marka i po raz setny wstrząsnęło nim poczucie winy. Dlaczego poszedł do Mandy? Dlaczego tam poszedł? Dlaczego?

Teraz po obydwu stronach drogi rozciągały się ciemne zimowe pola, a gołe gałęzie drzew wbijały się w gwieździste niebo jak szpony. Od czasu do czasu dostrzegał samotne światła pojedynczych gospodarstw, a raz skupisko lamp w jakiejś małej osadzie. Wróciły do niego słowa Banksa, który podejrzewał, że coś mu grozi, że może się stać kolejną ofiarą. Poczul dreszcz strachu. Wokół poruszały się cienie, a z tyłu coś zaszeleściło. Był to jednak tylko wiatr w drzewach. Dlaczego ktoś miałby go zabić? Nie wiedział. Ale przecież Tina też nie wiedziała.

Mark nie miał pojęcia, dokąd zmierza; szedł, bo tylko to mógł zrobić. Jeśli nie przerwie marszu, po jakimś czasie dotrze na wy-

brzeże. Może tam zamieszka? Nad morzem na pewno łatwo znaleźć jakąś pracę, bo przecież ktoś musi się zająć turystami. Drake ze squatu wspominał o tym. Kiedyś na gigancie Drake mieszkał w Blackpool i pracował tam w parku rozrywki Pleasure Bleach. Zarobił cholernie dużo kasy i zaliczył mnóstwo pańienek, przynajmniej tak twierdził. Jednak nie w styczniu. Teraz Blackpool jest zimne i puste. Ale ludzie zawsze przecież coś budują, prawdopodobnie więc znajdzie jakieś zajęcie przy budowie. I będzie miał morze. Mark uwielbiał morze.

Bieg go rozgrzał, ale teraz zwolnił tempo i zaczęło mu być zimno, tak samo jak tamtej nocy, kiedy patrzył na płonące barki. Czy naprawdę działo się to tak niedawno? Wydawało mu się, że minęły wieki. Tina nie żyła dopiero od dwóch dni. Czy przez resztę życia bez niej będzie się czuł tak samo nieszczęśliwy jak teraz? Może powinien ze sobą skończyć. Wtedy wszyscy mieliby za swoje, bez dwóch zdań. Jego matka - niech ją jasny szlag trafi, a potem niech zgnije w piekle! - Szalony Nick, Lenny, Sal, policja i cała reszta. Tak właśnie zrobi - powiesi się! Dołączy do Tiny. Przy okazji pomoże facetowi, który ma go zabić, bo nie będzie musiał już tego robić.

Wiedział jednak, że nie ma jaj, żeby ze sobą skończyć. Poza tym ludzie religijni mogli sobie opowiadać różne rzeczy, a Mark i tak nie wierzył w życie pozagrobowe.

Szczelniej owinął się kurtką na misiu i postawił kołnierz. Paradować w ciuchach gliniarza, to dopiero historia! Wszyscy oni mieliby za swoje, gdyby teraz umarł. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy jeszcze zależy mu na życiu, czy może to jednak dobry pomysł, żeby ze sobą skończyć. Czuł, że w środku wszystko mu zdrętwiało, podobnie jak stopy, i zdał sobie sprawę, że aby umrzeć, nie musi nawet robić niczego bolesnego. Wystarczy, jeśli znajdzie jakieś odosobnione miejsce, a tych wokół nie brakowało, i położy się na ziemi. Podobno taka śmierć jest jak zasypianie. Robi się zimno, potem się drętwieje i zimna już nie czuć, a potem się zapada w śpiączkę i umiera. Nic prostszego, tym bardziej że już i tak cały ścierpł. Dostrzegł wyłom w ogrodzeniu. Na sąsiednim polu stała zrujnowana stodoła. Przez jej

puste okna przedostawało się trochę światła księżycy. To wystarczy, pomyślał, przynajmniej na tę jedną noc. Wystarczy w zupełności. A jeśli tej nocy umrze, to... Wszyscy ci skurwiele będą mieli za swoje.

Było już dobrze po godzinach otwarcia, gdy Banks i Annie dosiedli się do Jacka Mellora przy stoliku najbliższym kominka w pubie Fox and Hounds, ale właścicielowi lokalu nie śpieszyło się z zamknięciem, gdy miał wśród gości policjantów.

Banks zwolnił posterunkowego Locke'a, który pilnował Mellora od wstępnego przesłuchania na miejscu zdarzenia, po czym zamówił trzy podwójne brandy, łamiąc w ten sposób za jednym zamachem kilka przepisów prawa i policyjnego regulaminu. Ale miał to gdzieś. Na dworze było cholernie zimno i musiał się czymś rozgrzać. Także Annie najwyraźniej się ucieszyła z ognia, bo usiadła jak najbliższym kominka. Nie miała też chyba nic przeciwko brandy, sądząc po tym, jak wypila pierwszy łyk. Tylko Mellor, przy którym spał zwinięty w kłębek na podłodze jego pies, nie tknął swojego kieliszka. Ale wcześniej wychylił drinka i jego okrągła jak księżyc w pełni twarz nie wyglądała już tak blado jak przy pogorzeliisku. Właściciel pubu dorzucił do ognia. Drewno trzaskało i skwierczało, dając tak dużo ciepła, że Banks zdjął płaszcz. Annie założyła nogę na nogę i przygotowała notatnik, patrząc na Banksa znacząco, gdy przyłapała go, że się gapi na złoty łańcuszek tuż nad jej kostką.

- Na początek może niech pan dokładnie opowie, co się stało dziś wieczorem - zaczął Banks.

Mark wpatrywał się w płomienie.

- Ciągle jeszcze jestem w niezłym szoku - stwierdził. - Zobaczyc coś takiego... nawet z większej odległości... Jeśli się kogoś znało...

Dzięki Bogu nie widział z bliska ciała ofiary, pomyślał Banks.

- Rozumiem, że to wielki szok - powiedział. - Niech się pan nie śpieszy.

Mellor skinął głową.

- Szedłem z Sandym. Pod wieczór zawsze wpadamy tutaj na

kilka kufli, odkąd zmarła moja żona.

- Przykro mi to słyszeć - wtrącił Banks.

- Cóż, takie życie. - Mellor sięgnął po kieliszek i wypił łyk brandy. - W każdym razie, jak mówiłem, taki mamy zwyczaj. To już rutyna. Powiedziałbym, że prowadzę raczej nudne życie.

- A dziś wieczorem?

- Dostrzegłem ogień zza drzew. Sandy chyba coś wyczuł trochę wcześniej, bo dziwnie się zachowywał. - Mellor pochylił się, żeby pogłaskać lśniący kark. Jasnorudy kolor sierści psa nie pozostawiał wątpliwości, dlaczego tak właśnie dano mu na imię. Sandy poruszył się, otworzył jedno brązowe oko i uniósł uszy, po czym znów zasnął. - Pobiegliśmy tam, ale... Od razu zobaczyłem, że nic nie mogę zrobić.

- Która była godzina?

- Zwykle wychodzę o dziewiątej, co do minuty, a to jakieś dziesięć minut ode mnie, co by znaczyło...

- Dziesięć po dziewiątej? - uzupełnił Banks.

- Tak, mniej więcej.

Banks wiedział, że zgłoszenie przyjęto trzynaste po dziewiątej.

- Skąd pan dzwonił pod numer alarmowy?

- Z budki telefonicznej przy drodze. To tylko parę metrów dalej.

Pobiegnę najszybciej, jak mogłem, ale...

Banks oglądał tę budkę, wiedział więc, że Mellor właściwie ocenił czas zdarzeń.

- Nie używam komórki - dodał. - Nie jest mi potrzebna. Nie mam do kogo dzwonić i nie wiem, kto chciałby telefonować do mnie.

Jednak większości nie powstrzymuje to przed kupieniem telefonu komórkowego, pomyślał Banks, przypominając sobie bezcelowe rozmowy, które mimowolnie słyszał w ciągu ostatnich kilku lat: „Tak, to ja. Jestem w pociągu. Właśnie ruszamy ze stacji. Pada”. I tak dalej, i tak dalej.

- Rozumiem, że był pan w domu sam?

- Tak. Mieszkam teraz sam, jeśli nie liczyć Sandy'ego oczywiście.

- Co pan zrobił po wezwaniu strażaków?
- Czekałem.
- Gdzie?
- Przy bramie.
- Nie podchodził pan do przyczepy?

Mellor pociągnął nosem i otarł łzy wierzchem dłoni.

- Wiedziałem, że nic już nie da się zrobić - powiedział. - Po prostu patrzyłem, jak przyczepa płonie. Czuję się taki bezużyteczny! Strażacy przyjechali bardzo szybko.

- Nie zrobił pan niczego złego, panie Mellor - pocieszał go Banks. - Nikt nie mógłby już wtedy niczego zrobić. - Geoff Hamilton stwierdził, że pożar trwał od pół godziny do godziny, sądząc po skali zniszczeń. Gdy Mellor się pojawił, ogień szalał w najlepsze. To znaczyło, że został podłożony między ósmą czterdzieści pięć a dziewiątą. - Czy zauważył pan kogoś w okolicy? - zapytał.

- Nikogo.  
- Nikogo nie mijał pan po drodze?  
- Nie. Ani żywej duszy. O tej porze nigdy tu nikogo nie widziałem.

- Żadnych samochodów?  
- Jeden albo dwa. Mamy tu czasem jakiś ruch, zwłaszcza w niedzielę wieczorem. To główna droga między Eastvale a Thirsk.

- Zapamiętał pan te auta?
- Niestety nie.
- Wydarzyło się coś niezwykłego albo podejrzanego?
- Nie.

Banks wypił łyk mocnej brandy. Jego kolana zrobiły się gorące od ognia. Zauważył, że łydki Annie czerwienieją pod pończochami.

- No dobrze, panie Mellor - podjął. - Co może nam pan powiedzieć o ofierze?

- O Rolandzie? Niewiele. Był raczej skrytym typem człowieka.
- Ale spotykaliście się na piwie regularnie?
- Jak by to powiedzieć, żaden z nas nie może dużo wypić. Spę-



dzaliśmy wieczór przy dwóch małych piwach, nie więcej.

- Jak często?

- Dwa, może trzy razy na tydzień. Chociaż czasem nie widywałem go przez wiele dni.

- Wspominał, gdzie był podczas tych nieobecności?

- Nie.

- Ale przecież musieliście sporo ze sobą rozmawiać?

- Oczywiście. O bieżących wydarzeniach. O polityce. O sporcie. I podobnych rzeczach. Roland był zawsze świetnie poinformowany.

- Czy kiedykolwiek mówił coś o sobie?

- Trochę mówił. Ale wydaje mi się, że to...

- Panie Mellor - przerwał mu Banks, wyczuwając jego szacunek dla tajemnic powierzonych mu przez przyjaciela - najprawdopodobniej pan Gardiner nie żyje. Poza tym cokolwiek pan nam powie, zachowamy w najściślejszej tajemnicy, to chyba oczywiste.

- Co ma pan na myśli, mówiąc, że Roland najprawdopodobniej nie żyje? To w końcu zginął czy nie?

- W przyczepie znaleziono ciało - odparł Banks ostrożnie. - Ludzkie zwłoki. Niestety jeszcze ich nie zidentyfikowaliśmy, nie możemy więc mieć pewności. Czy według pana w przyczepie mógł przebywać ktoś jeszcze?

Mark pokręcił głową.

- Nie. Roland cenił prywatność, a mieszkał sam, jak ja.

- Musimy więc założyć, że to był on, nie możemy jednak niczego oficjalnie stwierdzić, dopóki nie nastąpi identyfikacja zwłok. Cokolwiek nam pan teraz powie, może się okazać bardzo pomocne. Jak wyglądał pan Gardiner?

- Niczym specjalnym się nie wyróżniał: metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, może trochę więcej, lekka nadwaga. - Poklepał się po brzuchu. - Ale nie taka duża jak moja. Miał rzednące włosy na skroniach, trochę siwizny i haczykowany nos. Niezbyt duży, ale garbaty. I jasnoniebieskie oczy.

Mark Siddons wspominał, że człowiek z haczykowanym nosem

odwiedzał Toma McMahona na barce, przypomniał sobie Banks.

- Ile miał lat?

- Był po czterdziestce. Góra czterdzieści pięć lat.

- Proszę mówić dalej.

- Ale chyba to już wszystko. Ubierał się zwyczajnie, a przynajmniej ja nigdy nie widziałem go w garniturze. Zawsze w dżinsach i bawełnianej koszuli. Mówił łagodnym głosem. Był uprzejmy. Dużo się nie śmiał.

- Miał rodzinę?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niewiele mówił o rodzinie. Wiem, że rodzice zmarli i nigdy nie wspominał o rodzeństwie.

- Był żonaty?

- Widzi pan, w tym cały problem - powiedział Mellor. - Roland był rozwiedziony. Rozwiódł się jakieś dwa lata temu, mniej więcej wtedy, kiedy zamieszkał na Jennings Field.

- Dlaczego się rozwiódł?

- Stracił pracę i żona od niego odeszła. Do innego mężczyzny. Została mu tylko ta przyczepa i samochód, tak przynajmniej mówił. Jeździł po okolicy w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać, trafił tutaj i został.

- Z czego się utrzymywał?

- Był na zasiłku.

- Pochodził z tych okolic?

- Tak. Ale nie mówił jak miejscowi. Dużo podróżował. Spędził sporo czasu na południu kraju i za granicą.

- Co się stało z samochodem?

- Stał obok przyczepy. Roland go nie używał. Mówił, że nie jest mu potrzebny. Roland się po prostu poddał, zrezygnował z życia. Nie chciał nigdzie jeździć. W końcu auto się rozpadło.

- Kiedy?

- Może rok temu.

- Gdzie jest teraz?

- Odholowali go na szrot.

- Co pan Gardiner robił zawodowo?
- Pracował dla małej firmy z materiałami biurowymi.
- Dlaczego przestał?
- Konkurencja zrobiła się zbyt duża i zbyt agresywna. Nie mogli sobie pozwolić na rabaty i darmowe dostawy, jak najwięksi gracze, zaczęli więc ciąć koszty. Roland mówił o tym z wielkim rozgoryczeniem.

- Wie pan, gdzie mieszkał, zanim się rozwiódł?
- W Eastvale, gdzieś na tym nowym osiedlu Daleside. Ale nigdy nie podał dokładnego adresu.

- Wiem, gdzie to jest - powiedział Banks. Na osiedlu Daleside stały domy komunalne i prywatne. Zbudowano je na skraju Gallows View Fields na zachodnich krańcach miasta, skąd dawniej obserwowano egzekucje na szubienicy. W radzie miasta toczył się nawet spór, jak nazwać nowe osiedle. Część radnych chciała zachować historyczną nazwę, inni argumentowali, że odstraszy to potencjalnych nabywców. Ostatecznie zwyciężyła opcja postępową i osiedle oficjalnie otrzymało nazwę „Daleside”, choć większość mieszkańców nadal mówiła o nim po staremu. Właśnie tam Banks prowadził swoją pierwszą sprawę po przyjeździe do Eastvale, nie wspominał tego jednak z żadnym sentymentem. Rząd starych chałup i pobliski sklepik wyburzono, żeby zrobić miejsce pod nowe domy. - Czy ona nadal tam mieszka?

- Roland nigdy nie wspominał, że się wyprowadziła. Zakładam więc, że zostawił jej dom.

Annie zapisała coś w notatniku. Banks pomyślał, że nietrudno będzie odnaleźć byłą żonę Gardinera.

- Co czuł do swojej żony? - podjął Banks.
- Moim zdaniem ciężko harował, żeby zaspokoić jej upodobanie do egzotycznych podróży, luksusowych gadżetów i czego tam jeszcze? Potem, kiedy stracił pracę, zwyczajnie go rzuciła. To się dopiero nazywa kopnąć leżącego!

- Racja, sam pewnie zrobiłbym się zgorzkniały po czymś takim -

przypadł Banks. Niewątpliwie dawało to Gardinerowi motyw, żeby zabić żonę, nic takiego jednak się nie stało.

Annie spojrzała na Banksa. Jego sytuacja nie była identyczna, ale bardzo podobna, i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że Annie o tym wie. Może jedyną różnicę stanowiło to, że Banks poświęcał się karierze nie tyle ze względu na żonę - Bóg wie, że miała wyjątkowo skromny gust i niewielkie potrzeby - ale dla zaspokojenia własnych ambicji. Sandra jednak go zostawiła, zupełnie niespodziewanie, jak się wtedy wydawało, a on odchodził od zmysłów i omal nie stracił pracy. Sandra mieszkała teraz z Seanem i Sinéad w Londynie. Banks doskonale więc rozumiał, co to rozgoryczenie i zdrada.

- Czy kiedykolwiek odwiedziła go w przyczepie?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Roland nie wspominał o tym.
- Czy byli rozwiedzeni czy tylko w separacji? - Banks zastanawiał się, czy z jakiegoś powodu była pani Gardiner nie zapragnęła ostatecznie usunąć męża ze swojej drogi.
- Mówił, że się rozwiedli. Widziałem się z nim tego dnia, kiedy orzeczono rozwód. Najpierw całkiem się rozkleił, a potem ogarnęła go wściekłość. Pamiętam, że tamtego wieczoru wypił trochę za dużo.

Jedna teoria legła w gruzach.

- Czy w ogóle ktoś go odwiedzał?
- Nie wspominał nigdy o żadnych gościach, a z mojego domku nie widać przyczepy. Raz widziałem, jak ktoś od niego wychodził, gdy szedłem ścieżką, ale to wszystko.
- Kiedy to było?
- Kilka miesięcy temu. Latem.
- Mężczyzna czy kobieta?
- Mężczyzna.
- Jak wyglądał?
- Szedł za daleko, żebym mógł dostrzec. I oddalał się ode mnie.
- Wysoki, niski, czarny, biały?

Mellor uniósł brwi.

- Biały. Może nieco wyższy od pana, ale niezbyt postawny. Szedł

pewnym krokiem.

- Nie widział pan nic więcej?

- Nie, zwróciłem tylko uwagę na jego sposób chodzenia. Czasem to, jak ludzie się poruszają, mówi więcej, niżby się zdawało. Niegłupi wymyślił, że w mieście trzeba iść pewnym krokiem, jakby prosto do celu, bo inaczej można zostać napadniętym i ograbionym.

- W którą stronę poszedł?

- Do parkingu przy drodze, za przyczepą. To bardzo przydatne miejsce, naprawdę. Za Jennings Field jest wodospad. Prawdę mówiąc to zwykły strumień, ale sam pan wie, jacy są turyści. Władze oczyściły więc kawałek terenu, żeby zrobić parking. Oczywiście z parkometrem.

Z parkingu najłatwiej było dojść do przyczepy. Odgrodzono go już taśmami. Rano zespół śledczy zacznie szukać śladów.

- Widział pan, jak odjeżdżał?

- Niestety nie. Wyjazd z parkingu jest z drugiej strony, za przyczepą Rolanda. Nie widać go zza drzew i muru. Ale muszę przyznać, że trochę mnie ten gość zaciekawił, bo nigdy wcześniej nie słyszałem ani nie widziałem, żeby ktoś odwiedzał Rolanda.

- Widział pan w okolicy ciemnego jeepa?

- Nie. Przykro mi.

- I tak jesteśmy wdzięczni za informację - zapewnił go Banks. - Czy później pytał pan Gardinera o te odwiedziny?

- Tak, ale położył palec na ustach, że niby to tajemnica. Powiedział tylko, że to stary znajomy. - Mellor zakręcił resztką brandy w swoim kieliszku. - Wie pan, gdy poznałem Rolanda, to bardzo się o niego martwiłem.

- Dlaczego?

- Sprawiał wrażenie, jakby był w depresji. Czasem całymi dniami nie wychodził z przyczepy, nawet tutaj nie przychodził.

Gdy w końcu się pojawił, zapytałem go, czy wszystko w porządku, ale tylko wzruszył ramionami i powiedział coś o wyprowadzaniu na spacer czarnego psa.

Czarny pies. Tak Winston Churchill określał depresję, która prześladowała go przez całe życie.

- Uważa pan, że miał myśli samobójcze?

Banks wiedział, że pożar nie jest typową metodą samobójstwa. Ostatni przypadek, z jakim się spotkał, miał miejsce, gdy pewien mężczyzna przykuł się łańcuchem do kierownicy swojego auta, rozlał benzynę i podpalił. Ale zostawił zamknięte szyby i ogień nie miał dość tlenu, żeby strawić wnętrze samochodu. Płomienie szybko zużyły cały tlen, mężczyzna się udusił, a na jego ciele nie zostały prawie żadne ślady pożaru. Mimo to Banks musiał się liczyć z każdą możliwością.

- Sądzi pan, że mógł to zrobić sam?

- Wywołać pożar? Wielki Boże, nie! Roland nie zrobiłby czegoś tak nieodpowiedzialnego. Ktoś inny mógłby ucierpieć. Choćby któryś ze strażaków. Poza tym to byłby bolesny sposób na odejście z tego świata. Nie, na pewno nie. Mówił mi kiedyś, że dostał od lekarza silne tabletki. Nasenne. Nie znam nazwy. Miał problemy z zasypianiem i koszmary nocne. Gdyby chciał odejść, użyłby tych tabletek.

Czarny pies. Koszmary nocne. Wyglądało na to, że Roland Gardiner czymś się martwił. Czy chodziło o to, że stracił pracę i zostawiła go żona, czy może miał inne powody?

- Poza tym ostatnio zaczęło mu iść lepiej - dodał Mellor.

Banks zerknął na Annie.

- Naprawdę?

- Tak. Sprawiał wrażenie weselszego, więcej w nim było optymizmu.

- Mówił dlaczego?

- Tylko tyle, że spotkał starego znajomego.

- Co to za znajomy?

- Nie rozwodził się na jego temat. Jak mówiłem, Roland nie lubił mówić o sobie.

- Ten sam stary znajomy, który odwiedził go w przyczepie?

- Możliwe. To było mniej więcej w tym samym czasie.

- Zeszłego lata?
- Tak.
- Kiedy widział pan Rolanda ostatni raz?

Mellor zastanawiał się przez chwilę.

- To było w ubiegłą środę. Pożyczył mi książkę.
- Co to była za książka?

- Historyczna. Obydwa interesowaliśmy się okresem wiktoriańskim.

Banks wstał z miejsca.

- Naprawdę dziękuję, panie Mellor. Bardzo pan nam pomógł. Odwieźć pana do domu?

- Dziękuję za tę propozycję. Normalnie wracałbym piechotą, ale jest późno i trochę dzisiaj przeżyłem. Znajdzie się miejsce także dla Sandy'ego?

- Oczywiście, bez kłopotu.

Samochód Annie został przy Jennings Field, wcisnęli się więc wszyscy do renault Banksa. Sandy zwinął się w kłębek obok Mellora na tylnym siedzeniu i ruszyli w stronę Ash Cottage z ogrzewaniem włączonym na cały regulator. Po kilku minutach w samochodzie zrobiło się ciepło i Banks poczuł się senny po wypitej brandy. Wiedział, że nie przekroczył dozwolonego limitu, ale był po prostu zmęczony. Gdy wysadzili Mellora i Sandy'ego, Banks wręczył mężczyźnie wizytówkę.

- Na wypadek, gdyby pan sobie coś przypomniał.

Potem Banks podwiózł Annie z powrotem na miejsce zdarzenia. Przez chwilę siedzieli w samochodzie, z pracującym silnikiem i wciąż włączonym ogrzewaniem, obserwując krzątanie wokół spalonej przyczepy. Najwyraźniej wszyscy już się zbierali, ale Stefan wciąż był na miejscu, podobnie jak Geoff Hamilton i grupa strażaków. Obydwa wozy strażackie odjechały.

- Chryste, jak ja nienawidzę pożarów! - wyznał Banks.
- Dlaczego? Palileś się kiedyś?
- Nie, ale prześladują mnie takie koszmary. - Pomasował skronie.

- Kiedyś, jeszcze jak służyłem w stołecznej, zostałem wezwany do podpalenia. Szeregowy dom w Hammersmith. Coś nie wyszło z aranżowanym przez rodziców małżeństwem i obrażona rodzina wlała benzynę przez otwór na listy w drzwiach sąsiedniego budynku. - Zrobił pauzę. - Pożar pochłonął dziewięć ofiar. Dziewięcioro ludzi. W większości wypadków nie dało się odróżnić ciał od spalonych gruzów. Tylko jeden facet miał czerwony bąbel na skórze głowy. I ten smród... Jezu! Wiesz, co utkwilo mi w pamięci?

- Powiedz - zachęciła go Annie.

- Mała dziewczynka. Zmarła, klęcząc przy krawędzi łóżka ze złożonymi do modlitwy rękami. Ogień całkiem ją spalił, ale została w takiej pozycji na wieki. Modląc się. - Banks pokręcił głową.

Annie delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Ale wróćmy do spawy - podjął Banks, otrząsając się z koszmarnych wspomnień. - Co o tym wszystkim myślisz?

- Nie wiem, co mam myśleć. Dwa podobne pożary w tak bliskim sąsiedztwie to chyba za dużo jak na zbieg okoliczności. Ale co może je łączyć?

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć - odpowiedział Banks. - Jeśli nie mamy do czynienia z piromanem, seryjnym podpalaczem, który lubi podkładać ogień w odosobnionych miejscach, to musi istnieć jakieś powiązanie między ofiarami. Im szybciej je odkryjemy, tym lepiej. Posadźmy do tego Kevina Templetona. Ma nosa i jest dobry w wyszukiwaniu informacji. Wracam na komendę.

- Pojadę za tobą.

- Dobrze. Już późno, ale chcę zacząć kilka rzeczy, dopóki mam wszystko świeżo w pamięci. Przede wszystkim trzeba ustalić alibi Marka Siddonsa i Andrew Hursta na dzisiejszy wieczór. Lesliego Whitakera także. Nie zapominajmy też o doktorze Patricku Aspernie, ojczymie Tyny.

- Chyba nie sądzisz, że miał z tym coś wspólnego?

- Nie wiem, Annie. Padło przeciwko niemu poważne oskarżenie dotyczące jego kontaktów z pasierbicą. Ani on, ani jego żona nie mają



mocnego alibi w przypadku pożaru na barkach. Nie skreśliłem go jeszcze z listy podejrzanych. Rano wyślę Winsome, żeby z nim porozmawiała i zapytała o alibi. To powinno być interesujące.

Annie westchnęła.

- Jeśli uważasz, że to konieczne. W końcu to ty nadstawiasz karku.

- Chcę też przyspieszyć badania toksykologiczne. Ci ludzie nie mogli tak po prostu leżeć i czekać, aż strawi ich ogień.

- Alan...

- Tak?

- Widziałam się dzisiaj z moim znajomym. Nazywa się Philip Keane. Jest rzeczoznawcą i prowadzi firmę wyceniającą dzieła sztuki. Tę, która potwierdziła autentyczność Turnera odnalezionej w lipcu. Sądzę, że mógłby nam pomóc, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy związane ze sztuką. Jestem pewna, że chętnie z tobą porozmawia.

Banks spojrział na nią. Wiedział, że się z kimś spotyka, ale nie znał jego nazwiska. Czy to właśnie ten facet? Czy to dla niego ubrała się dziś tak ładnie i zrobiła sobie specjalny makijaż? Banks wiedział, że Annie nadzorowała ochronę miejscowej galerii, kiedy wystawiano tam obraz Turnera. Data by się zgadzała.

- Znał McMahona?

- Nie, nie o to mi chodzi. Już wcześniej przyszło mi coś do głowy, a Phil wie na ten temat znacznie więcej, to wszystko.

- Dobrze - zgodził się Banks. - Powiedz mu, żeby wpadł jutro na komendę.

- Daj spokój, Alan. To przyjaciel, a nie podejrzany. Lunch w Queen's Arms?

- Jeśli czas pozwoli. Czeka nas ciężki dzień.

- A jeśli pozwoli? - upierała się Annie.

- Niech będzie - odparł Banks.

Annie otworzyła drzwi. Gdy się poruszyła, Banks wyczuł jej grejpfrutową wodę z Body Shop, nawet mimo smrodu pogorzelniska i zapachu pubu, który przyłgnał do jej włosów i ubrania. Annie poszła

do swojego samochodu. Banks wsunął do odtwarzacza płytę *Alice* Toma Waitsa i ruszył wąskimi ciemnymi drogami z powrotem na komendę, słuchając, jak wokalista chrapliwym głosem śpiewa o wrakach statków, lodzie i zwiędłych kwiatach.

## Rozdział 8

Posterunkowa Winsome Jackman nienawidziła zim w Yorkshire. Niespecjalnie ceniła też lata w tym hrabstwie, ale zim po prostu nie znosiła. Wysiadając z ciepłego samochodu przed domem Patricka Asperna w niedzielę rano, poczuła ukłucie tęsknoty za rodzinnymi stronami, jak zwykle, kiedy chłód z wilgocią dopadały ją nawet przez gruby sweter i ocieplaną kurtkę. Pamiętała wilgotny upał w Cockpit County na Jamajce, skąd pochodziła, bujną zieloną roślinność, cykające insekty, jaskrawe erytryny, znane jako płomienne drzewa, liście bananowca kłapiące nad głową przy lekkiej bryzie znad oceanu. Pamiętała, jak w schludnym fartuszkach wracała pod górę do domu z mieszczącej się w jednym pomieszczeniu szkoły, żartując i śmiejąc się z przyjaciółmi. Ojca i matki brakowało jej tak bardzo, że czasem odczuwała bolesną tęsknotę. Za przyjaciółmi także tęskniła. Gdzie teraz są? Co się z nimi dzieje?

Potem pomyślała o ruderach, w których mieszkali, wyniszczającej biedzie i rozpacz, a także o tym, że większość mężczyzn traktowała tam kobiety jak zwyczajną rzecz - majątek ruchomy bez większej wartości. Jej ojciec był kapralem policji na posterunku w Spring Mount, matka natomiast pracowała w fabryce chipsów bananowych w Maroon Town, gdzie całymi dniami siedziała w cieniu drzew i kroila w plasterki banany, plotkując z innymi kobietami. Przez dwa sezony letnie Winsome była zatrudniona w hotelu Holiday Inn tuż przy Zatoce Montego, gdzie często rozmawiała z turystami. Ich opowieści o rodzinnej Ameryce, Kanadzie i Anglii bardzo rozbudziły wyobraźnię młodej dziewczyny, zwiększyły jej determinację. Zazdrościła turystom pieniędzy, dzięki którym spędzali wakacje w luksusowym hotelu, a także możliwości, jakie się przed nimi otwierały w ojczyź-

nie. Myślała wtedy, że w tych dalekich krajach wszędzie panuje bogactwo i dostatek.

Gośćmi hotelu byli nie tylko biali. Widywała wielu przystojnych czarnych mężczyzn z Nowego Jorku, Londynu czy Toronto, noszących na szyi grube złote łańcuchy, paradujących w towarzystwie żon ubranych w najmodniejsze ciuchy. Jaki wspaniały był ten ich świat pełen filmów, modnych ubrań, samochodów i biżuterii! Oczywiście rzeczywistość nie dorównała wyobraźni, ale w zasadzie Winsome była w Anglii szczęśliwa: miała poczucie, że dokonała dobrego wyboru. Jeśli nie liczyć zim.

Wyczuła raczej niż zauważyła, że zasłony w kilku oknach nieznacznie drgnęły, gdy szła do domu Aspernow. Pomyślała, że czarna kobieta o wzroście metra osiemdziesięciu sześciu nieczęsto pukała do drzwi w tej okolicy. Zima czy nie, miło jest oderwać się na chwilę od komputera i wyjść na zewnątrz. No i zapłacić jej za nadgodziny.

Otworzył mężczyzna, który natychmiast odstręczył ją od siebie aroganckim wyrazem twarzy. Widywała już nieraz taką minę. Poza tym jednak mężczyzna był przystojny, jak na Anglika w średnim wieku. Miękkie kosmyki rudawozłotych włosów zaczesane do tyłu, wyjątkowo zdrowe i białe zęby, szczupła sportowa sylwetka, luźne ubranie - w stylu sportowym, ale drogie. Taka mina jednak niszczyła wszystko.

Uniósł brwi.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał, omiatając ją wzrokiem od stóp do głów. Protekcyjny ton ściekał z jego ust jak melasa. - Obawiam się, że w niedzielę gabinet jest nieczynny.

- Nic nie szkodzi, doktorze Aspern - odpowiedziała, podając mu legitymację służbową. - Jestem zdrowa jak ryba. Zresztą i tak pewnie nie byłoby mnie stać na pańską konsultację.

Sprawił wrażenie zaskoczonego jej akcentem, bo niewątpliwie oczekiwał jakiejś niezrozumiałej gwary. Nie pozbyła się całkiem zaśpiewu z Jamajki, rzecz jasna, ale był on naprawdę nieznaczny. Winsome mieszkała w Yorkshire od siedmiu lat, choć do Eastvale

trafiła dwa lata temu, gdy przeniesiono ją z Bradford, zdążyła więc podświadomie przejść miejscowy akcent.

Aspern uważnie obejrzał legitymację, po czym ją zwrócił.

- Czyli najpierw przysyłają kataryniarza, a potem małpę?
- Słucham pana?

- Nieważne - powiedział Aspern. - Taka figura retoryczna. Proszę wejść.

Winsome odniosła wrażenie, że Aspern zerknął na ulicę, sprawdzając, czy ktoś ich nie obserwuje, zanim zamknął za nią drzwi. Martwił się, co pomyślą sąsiedzi? Bał się plotek, że ma romans z młodą czarnoskórą kobietą? Raczej chodziło mu o narkotyki, zgadywała Winsome. Ludzie mogliby pomyśleć, że dostarcza jej środki odurzające.

Wprowadził ją do salonu z kremowymi tapetami na ścianach, dużym płonącym kominkiem i dwoma ładnymi pejzażami. Na stoliku do kawy ze szklanym blatem obok opróżnionej do połowy filiżanki herbaty z mlekiem leżało otwarte czasopismo medyczne.

- O co chodzi tym razem? - zapytał.

Winsome nie czekała na zaproszenie, tylko usiadła w jednym z foteli, eksponując swoje długie nogi. Aspern przysiadł na kanapie i dopił herbatę.

- Gdzie pan był zeszłej nocy? - zaczęła Winsome.

- Co? - W miejsce ostentacyjnego poczucia wyższości na jego twarzy pojawiły się zaskoczenie i gniew.

- Chyba pan słyszał?

- Powiedzmy, że nie wierzę własnym uszom.

- Dobrze, powtórzę pytanie - zgodziła się Winsome. - Gdzie pan był zeszłej nocy?

- On kazał pani to zrobić?

- O kim pan mówi?

- Doskonale pani wie o kim. Mam na myśli Banksa. Pani szefa.

- Inspektor Banks zleca działania, a ja je wykonuję, proszę pana. Jestem szeregową funkcjonariuszką. Nie jestem wtajemniczona w

działania inspektora. Jak sam pan słusznie zauważył, mała to nie kataryniarz. - Uśmiechnęła się. - Muszę jednak wiedzieć, gdzie pan był zeszłej nocy.

- Oczywiście, że tutaj - odpowiedział Aspern po krótkiej pauzie.  
- Co pani zdaniem miałbym robić zaraz po śmierci córki? Całą noc bawić się na mieście, do jasnej cholery?

- Zdaje się, że była pańską pasierbicą - rzuciła Winsome.  
- Zawsze traktowałem ją jak własną córkę.  
- Nie wątpię. Ale nie łączyły was więzy krwi. To zapewne dobra sytuacja.

Twarz Asperna pociemniała.

- Proszę posłuchać, jeśli Banks nakładł pani czegoś do głowy...  
- Proszę kontynuować - zachęciła.

Aspern wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

- Dobrze więc - powiedział w końcu. - Rozumiem, do czego pani zmierza i zapewniam, że to się pani nie uda. Wczoraj wieczorem Fran i ja siedzieliśmy w domu. Oglądaliśmy telewizję, starając się oderwać myśli od tego, co się stało.

- Udało się państwu?  
- A jak pani sądzi?  
- Co państwo oglądali?  
- Film na Channel Four. Niestety nie pamiętam tytułu. Prawdę mówiąc, nie obchodziło mnie, co widzę. Rzecz działa się w Chorwacji, jeśli to w czymś pani pomoże.

- Czy pańska żona jest w domu?  
- Odpoczywa. Zapewne się pani domyśla, jak ciężkie było dla niej to przeżycie. Zresztą tylko potwierdziłaby moje słowa.

- Tego jestem pewna - stwierdziła Winsome. - Pozwolimy jej więc odpoczywać.

- Cóż za wspaniałomyślność!  
- Przyzna pan jednak, że to nie jest mocne alibi, prawda? Z doświadczenia wiem, że żony często stają po stronie mężów bez względu na to, jak bardzo zawinili.

- No cóż, ja nie poczuwam się do jakiegokolwiek winy - oznajmił Aspern, wstając z miejsca. - Może więc pożegnaj już panią, skoro to wszystko. Nie zamierzam słuchać pani obrzydliwych insynuacji.

Winsome nie dała za wygraną.

- Niby jakie insynuacje, panie doktorze?

- Dobrze pani wie, o czym mówię. Banks powiedział pani o swoich bezzasadnych podejrzaniach i przyjechała pani tutaj, żeby wykonać za niego brudną robotę. To nie przejdzie. Poskarżę się parlamentarzysty z mojego okręgu.

- Ma pan takie prawo - odrzekła Winsome. - Musi pan jednak zrozumieć, że nasza praca bywa naprawdę trudna i czasem nawet musimy postępować nietaktownie. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty, doktorze Aspern, muszę jednak zadać panu jeszcze kilka pytań.

- Powiedziałem już pani, co robiłem. Czego jeszcze pani chce?

- W co był pan ubrany?

- Proszę?

- Chyba gorzej pan dzisiaj słyszy, panie doktorze. Pytałam, w co był pan ubrany wczoraj wieczorem.

- Nie rozumiem, dlaczego pani o to pyta.

- Niech pan po prostu odpowie. Albo lepiej proszę przynieść mi to ubranie.

Aspern zmrużył oczy, po czym wyszedł z salonu, głośno tupiąc. Po kilku chwilach wrócił i przez oparcie krzesła obok Winsome przewiesił ciemnoniebieską bawełnianą koszulę i parę czarnych spodni sportowych.

- Chyba że chce pani też bieliznę? - powiedział.

- To nie będzie konieczne - odparła Winsome. Wiedziała, że to tylko farsa, ponieważ mógł wziąć dowolne używane ubrania i powiedzieć, że miał je na sobie poprzedniego wieczoru, nie tym się jednak kierowała, każąc mu je przynieść. Chodziło o to, żeby nim wstrząsnąć i zdaje się, że całkiem nieźle jej to poszło. - A marynarka i płaszcz? - zapytała.

- Jaka marynarka? Jaki płaszcz? Mówiłem pani przecież, że nie wychodziliśmy wczoraj z domu. Po co miałbym zakładać płaszcz?

- Oczywiście, panie doktorze. Mój błąd. - Winsome podniosła się. - Pozwoli pan, że zabiorę spodnie i koszulę?

- Zabierze pani? Dokąd? I po co?

- Do badań w laboratorium kryminalistycznym.

- I co ma pani nadzieję odkryć?

- Nie żywię żadnych nadziei w tym względzie, panie doktorze. Badania po prostu pomogą nam wyeliminować pana ze śledztwa.

- Uwielbiam język, którym się posługujecie. „Wyeliminować pana ze śledztwa”. To dopiero biurokratyczny bełkot!

- Trafne określenie, panie doktorze. Czasem istotnie brzmi to zbyt formalnie. Ale trudno. Gdyby zechciał pan dać mi jakąś torbę... Plastikowa byłaby najlepsza. Na przykład na śmieci, albo coś podobnego.

Aspern poszedł do kuchni i przyniósł białą plastikową torebkę.

- Dziękuję. Jest w sam raz - powiedziała Winsome.

- Z jakiego śledztwa chcecie mnie eliminować?

- O co pan pyta?

Aspern westchnął.

- Przed chwilą powiedziała pani, że to ma mnie wyeliminować ze śledztwa. Pytam więc, o jakim śledztwie pani mówiła.

- Dziwię się, że pan nie wie - odpowiedziała. - Od rana trąbią o tym we wszystkich serwisach informacyjnych. Wczoraj wieczorem wybuchł kolejny pożar, podobny do tego, w którym zginęła pańska pasierbica, w dodatku bardzo blisko niego.

- I jestem podejrzany?

- Tego nie powiedziałam, ale zgodzi się pan zapewne, że nie wyglądałoby to profesjonalnie, gdybyśmy nie sprawdzili każdej możliwości.

- Nie obchodzi mnie, jak by to wyglądało. To zwyczajna dyskryminacja.

- Jakiej grupy? Lekarzy dla odmiany?



- Posłuchaj, ty pieprzona...

Winsome podniosła palec do ust.

- Proszę nie kończyć, doktorze - powiedziała. - Wie pan, że w czasach politycznej poprawności tylko przysporzyłoby to panu kłopotów.

Aspern przesunął dłonią po włosach i odzyskał panowanie nad sobą, a z nim tę swoją arogancką minę.

- Racja - przyznał ze skinieniem głowy. - Oczywiście ma pani rację. Przepraszam. - Rozłożył ramiona. - Proszę brać, co pani chce.

- Dziękuję - powiedziała, sięgając po plastikową torbę z odzieżą. - Nie potrzebuję nic więcej. Powinam już wracać.

- Przykro mi, że straciła pani czas, jadąc tu do mnie. Przejechała pani taki szmat drogi praktycznie po nic.

- Nie nazwałabym tego czasu straconym - odrzekła. - Na pewno nie.

Czuła absurdalne samozadowolenie, gdy wracała do auta. Znów drgnęły zasłonki i Winsome uśmiechnęła się pod nosem, położyła plastikową torbę na siedzeniu obok siebie i odjechała.

Annie odnalazła byłą panią Gardiner bez większych problemów - obecnie Alice była żoną Erica Mowbraya - i późnym rankiem stanęła na progu ich bliźniaka przy Arboretum Crescent. Drzwi otworzyła kobieta koło czterdziestki, której mina wyrażała pretensję do świata, że nie traktuje jej dość dobrze. Czerwony kaszmirowy sweter i czarna spódnica wyglądały na kupione w sklepie Harvey Nicks, złoty naszyjnik też nie należał do tanich, a blond jej włosów po prostu nie mógł być naturalny.

- Kto znowu? - odezwał się głos z wnętrza domu. - Jeśli znowu ci cholerni świadkowie Jehowy, to im powiedz, żeby się odpieprzyli!

Annie pokazała legitymację i Alice zaprosiła ją do środka.

- To policja - krzyknęła w odpowiedzi.

Z pokoju po lewej stronie wyszedł mężczyzna. Na jego twarzy malowało się zaciekawienie. Mógł mieć tyle samo lat co kobieta albo

jakieś pięć mniej. Annie nie potrafiła określić dokładnie. Jeszcze nie posiwał i był na swój sposób przystojny. Annie zaklasyfikowała go do tych, którym nie brak pewności siebie i próbują podrywać kobiety w lepszych pubach. Uświadomiła sobie, że na niektóre kobiety działa taki arogancki i obleśny urok.

- Czego pani chce? - zapytał. - Jeśli chodzi o ten mandat za przekroczenie prędkości, to...

- Chcę porozmawiać z pańską żoną - przerwała mu Annie.

- Nie mam pojęcia o czym, ale jeśli już, to porozmawiajmy w oranżerii - zaproponowała Alice. - Wiem, że pogoda nie sprzyja, ale roztacza się stamtąd piękny widok, a mamy ogrzewanie elektryczne.

- Doskonale - zgodziła się Annie i ruszyła za gospodynią, czując na karku oddech Erica Mowbraya. Pomyślała, że nie zaszkodzi porozmawiać także z nim. Wyglądał na faceta, którego łatwo zde-nerwować, a wtedy wszystko wypapla, jeśli ma coś do wypapiania.

Rozgościli się w oranżerii, która była dostatecznie ciepła, wychodziła na zachód i rzeczywiście oferowała wspaniały widok na Swainsdale, aż po spowite mgłą odległe wzgórza. Alice Mowbray usiadła na wiklinowym krześle i obciągnęła spódnicę na swoich pulchnych kolanach. Annie pomyślała, że spódnica jest co najmniej o pięć centymetrów za krótka dla kogoś z jej udami, a w połączeniu z włosami tlenionymi na blond robi z właścicielki idealny wręcz przykład kobiety, do której się stosuje powiedzenie „z tyłu liceum, z przodu muzeum”. Jej mąż zdawał się jednak tego nie dostrzegać. Jego zaczesane do tyłu czarne włosy błyszczały od żelu, a dzinsy opinały się na brzuchu, który właśnie zaczynał wystawać. Mimo woli Annie wyobraziła sobie, jak tych dwoje tańczy pod lustrzaną kulą na parkiecie jakiejś dyskoteki, a Eric macha w powietrzu rękami, najlepiej jak umie naśladując Johna Travolte. Siłą stłumiła śmiech.

- O co więc chodzi? - zapytała Alice Mowbray.

- Niestety mam dla pani złą wiadomość - zaczęła Annie.

Alice dotknęła dłonią swojego naszyjnika.

- Ach tak?

- Chodzi o pani byłego męża. Oglądała pani dzisiejsze serwisy informacyjne?

- Czytałam tylko niedzielne gazety - odrzekła Alice.

Annie wiedziała, że pożar na Jenings Field wybuchł zbyt późno, żeby napisały o nim niedzielne gazety ogólnokrajowe.

- Spłonęła przyczepa, w której mieszkał pani eksmąż.

- O, nie! - wykrzyknęła Alice. - Czy Rolandowi coś się stało?

- W przyczepie znajdowała się jedna osoba. Nie mamy jeszcze pewności, czy to był pan Gardiner, ale niestety ta osoba zginęła w pożarze.

- Nie wierzę! Tylko nie Roland!

- Przykro mi, pani Mowbray, takie są fakty, jeśli oczywiście to był on. Dobrze się pani czuje?

Alice odwróciła swoją pobladłą twarz, ale skinęła głową.

- Nic mi nie jest. - Spojrzała na męża. - Czy możesz przynieść mi szklankę wody, kochanie?

Eric nie wydawał się uszczęśliwiony tym, że musi usługiwać żonie przy obcej kobiecie, nie mógł jednak zachować się inaczej, żeby nie wyjść na skończonego dupka, spełnił więc prośbę żony.

- Przepraszam, że w taki sposób przekazuję pani tę szokującą informację, muszę jednak zadać kilka pytań - powiedziała Annie.

- Oczywiście, rozumiem. Rozstaliśmy się ponad dwa lata temu, ale... no cóż, nadal żywię jakieś uczucia do Rolanda. Czy on... no wie pani...?

Annie dzięki Banksowi z pierwszej ręki wiedziała wszystko o stosunku rozwiedzionych mężczyzn do byłych żon, rozumiała więc doskonale, że takie sprawy bywają skomplikowane. Miała szczęście, że Phil nigdy nie miał żony.

- Niestety ciało w znacznym stopniu uległo spaleni - powiedziała. - Jeśli jednak to panią jakoś pocieszy, to podejrzewamy, że był nieprzytomny w chwili powstania pożaru.

Alice zmarszczyła brwi.

- Nieprzytomny? Jak to?

- Prawdopodobnie tabletki nasenne. Niczego jednak nie wiemy jeszcze na pewno. Właśnie dlatego muszę z panią porozmawiać.

Eric wrócił ze szklanką wody i tabletką i wręczył je żonie.

- Co to? - zapytała, patrząc na tabletkę.

- Twoje valium. Pomyślałem, że możesz potrzebować - wyjaśnił.

Alice odłożyła lekarstwo na bok.

- Nic mi nie jest - rzekła i wypła trochę wody.

- Był bezużytecznym jełopem.

- Słucham? - odezwała się Annie.

- Jej były. Nie dość, że tłuścioch, to jeszcze patentowany jełop.

- Ericu, nie bądź nieuprzejmy - upomniała go żona.

- Przecież taki był. Ja tylko mówię prawdę, Allie, i dobrze o tym wiesz. Bo niby dlaczego żyjesz tutaj ze mną, a on mieszkał w ciasnej przyczepie na jakimś zadupiu? Był nieudacznikiem.

- Panie Mowbray - wtrąciła Annie. - Chyba nie do końca zrozumiał pan sytuację. Zginął człowiek i prawdopodobnie był to Roland Gardiner.

- Ależ kochana, zrozumiałem panią już za pierwszym razem. Ale to nie robi żadnej różnicy. Był bezużytecznym jełopem za życia i jest bezużytecznym jełopem po śmierci.

Annie westchnęła i odwróciła się do Alice, która patrzyła na męża gniewnie.

- Nie wiem, co mu się stało - powiedziała. - Zwykle nie zachowuje się tak niegrzecznie.

- Mniejsza o to - odparła Annie, rzucając Ericowi Mowbrayowi niechętnie spojrzenie. - Może próbuje ukryć w ten sposób smutek. - Albo coś innego, dodała w myślach. Znów spojrzała na swoją rozmówczynię. - Jednym z problemów jest identyfikacja zwłok. Pomocna okazuje się zwykle dokumentacja stomatologiczna. Proszę powiedzieć, kto jest państwa dentystą. I lekarzem rodzinnym.

- Nie wiem, czy Roland był u dentysty, odkąd się wyprowadził, ale chodziliśmy do gabinetu Grunwella przy Market Street.

Naszym lekarzem rodzinnym jest doktor Robertson. Przyjmuje w

klinice na osiedlu Leaside.

Annie знаła to miejsce.

- Niewiele wiemy o pani byłym mężu - ciągnęła Annie. - Co mogłaby pani o nim powiedzieć?

- Był całkiem zwyczajnym człowiekiem, naprawdę - stwierdziła Alice.

- Powinnaś to powtórzyć - wtrącił Eric Mowbray.

- Zamknij się, Ericu - uciszyła go.

Annie coraz wyraźniej widziała, jak bardzo się myliła, uznając początkowo, że Eric Mowbray mógłby się do czegokolwiek przydać.

- Czy zechce pan nas zostawić na chwilę, panie Mowbray? - poprosiła. - Muszę zadać pana żonie kilka pytań.

Mowbray wstał.

- Bardzo mi to odpowiada. Mam coś do roboty.

Gdy opuścił oranżerię, kobiety przez chwilę zachowywały milczenie, po czym Alice powiedziała:

- Eric jest dobrym człowiekiem, naprawdę. Tylko temat Rolanda jest dla niego trochę drażliwy.

- Tak? A dlaczego?

- Bo to mój były. Eric jest po prostu zazdrosny.

- Rozumiem - powiedziała Annie. - Ma jakieś powody do zazdrości?

- Nie o Rolanda.

- Z czego się utrzymuje pan Mowbray?

- Zajmuje się komputerami. Świetnie zarabia. Wystarczy spojrzeć na tę oranżerię. Nie miałam jej, gdy mieszkałam z Rolandem. Volva też nie. W lutym spędzimy urlop na Florydzie. Zamierzamy odwiedzić Disney World.

- Wspaniale. Macie państwo jakieś inne samochody?

- Eric miał Citroena, ale sprzedał.

- Żadnego jeepa ani range rovera?

- Nie. Dlaczego?

- Czy Roland odnosił sukcesy w interesach?

- Często myślałam, że działa w niewłaściwej branży - wyznała Alice. - Nie nadawał się na handlowca. Nie miał ikry. Nie miał nawet grama ambicji. Najmniejszego choćby zapachu. Czasem dochodziłam do wniosku, że lepiej by na tym wyszedł, gdyby został nauczycielem. A już na pewno byłby szczęśliwszy. Tylko że nie zarobiłby odpowiednich pieniędzy, niestety.

Annie pomyślała, że w świecie pani Mowbray pieniądze bardzo się liczą, zapewne w świecie jej drugiego męża także. Jack Mellor wspominał już o tym poprzedniego wieczoru.

- Nie próbował znaleźć nowej pracy?  
- Byłoby mu raczej trudno coś znaleźć.  
- Dlaczego? Wielu ludzi traci pracę z powodu redukcji zatrudnienia, a potem znajduje nową.

- Redukcji zatrudnienia? A to dobre! Skąd przyszło to pani do głowy?

- Pani mąż nie stracił pracy?  
- Och, oczywiście, że stracił, ale nie z powodu redukcji zatrudnienia. Bynajmniej! Został wyrzucony. Aż osłabłam z wrażenia, gdy się o tym dowiedziałam. Nigdy bym nie pomyślała, że może się posunąć do czegoś takiego!

- Do czego konkretnie?  
- Kombinował.  
- Naprawdę?  
- Tak. Fałszował zamówienia i defraudował pieniądze. Okradał firmę. Muszę powiedzieć, że niewiele na tym zyskał, ale to cały Roland. We wszystkim był kiepski, nawet jako oszust. Żadnych ambicji.

- Jak brzmi nazwa firmy, w której pracował?  
Alice podała nazwę, a Annie zapisała ją w notesie.  
- Czy Roland miał wrogów?  
- Wrogów? Roland? Był zbyt nieważny, żeby mieć wrogów. W życiu nikogo nie obraził. Nigdy by się nie odważył wejść komuś w drogę na tyle znacząco, by uczynić sobie z niego wroga. Nie, Roland

był sympatyczny i miły, trzeba mu to oddać. Miał naturalny wdzięk. Ludzie go lubili. Może dlatego, że był taki bierny, taki spokojny. Zrobiłby wszystko i dla każdego.

- Czy miał jakiegoś wspólnika?
- Nie, wszystko robił sam. Jak pani mówiłam, aż mi się słabo zrobiło, jak się dowiedziałam, taka byłam zaskoczona.
- Jak długo byliście małżeństwem?
- Dziesięć lat.
- Pobraliście się więc raczej późno, prawda?

Alice zmrużyła oczy.

- Dla Rolanda owszem, to było późno. Miał trzydzieści dwa lata, gdy braliśmy ślub.

Annie nie miała odwagi zapytać Alice, ile lat miała wtedy ona.

- Czy wcześniej był w związku małżeńskim?

- Żadne z nas nie było. Muszę przyznać, że zawrócił mi w głowie. Roland potrafił być czarujący. Oczywiście dopóki się go lepiej nie poznało, bo wtedy wychodziło na jaw, jakie to wszystko było puste.

- Czy rozwód przebiegł spokojnie?

- O ile takie rzeczy mogą przebiegać spokojnie. Nie miał niczego, czego bym od niego chciała, mimo lewych interesów, które załatwiał na boku, a dom zostawił mi całkiem chętnie.

- Nie chciała pani przyczepy?

- Przyczepy? Nienawidziłam tej budy! Ale to był cały Roland. Jak tylko wpadło nam trochę pieniędzy ekstra, to wydał je na tę cholerną przyczepę. Takie miał pojęcie o spędzaniu wolnego czasu: dwa tygodnie na kempingu w Primrose Valley albo Flamborough Head. Na litość boską!

- Nie było więc między wami żadnych niezłatwionych spraw?
- Ja miałam swoje życie, a on swoje.
- Kiedy pojawił się na scenie pani obecny mąż, pan Mowbray?
- Jak to: kiedy?
- Czy poznała go pani przed czy po rozstaniu z Rolandem?

Alice odpowiedziała dopiero po krótkiej pauzie.

- Przed - powiedziała. - Ale między mną a Rolandem wszystko było już wtedy skończone.

Annie przypuszczała, że Alice szukała mężczyzny, który dałby jej powód, żeby zakończyć małżeństwo i do którego mogłaby odejść. Wielu ludzi tak robi: nie chcą pozostawać w nieudanym związku, ale też nie chcą żyć samotnie.

- Co pani robiła wczoraj wieczorem?

Jeśli Alice uznała to pytanie za obraźliwe, to nie dała tego po sobie poznać.

- Byliśmy na obiedzie u przyjaciół.

- Powie mi pani, gdzie mieszkają? To rutynowe pytanie, papierkowa robota.

Alice podyktowała adres.

- Sądzi pani, że Roland mógł popełnić samobójstwo?

- Moim zdaniem zabrakłoby mu odwagi. Mógłby o nim myśleć, ale by się wycofał, jakby przyszło co do czego. A już na pewno nie byłby to pożar. Nie należał do najodważniejszych ludzi, jakich poznałam w moim życiu. Wpadał w panikę przed wizytą u dentysty, na litość boską!

- Z kim się przyjaźnił?

- Przyjaźnił? Roland? Nie był z nikim blisko. Zapewne mogłabym podać pani nazwiska kilku ludzi, którzy go znali, głównie z pracy, ale nie sądzę, żeby dowiedziała się pani od nich czegoś więcej niż ode mnie.

- Czyli był skryty?

- Tak bym go określiła. A także spokojny i cichy. Nie sądzę, żeby miał wiele do powiedzenia.

- Czy ma pani jakieś jego zdjęcie? W miarę możliwości aktualne?

- Znajdę jakieś, może kilka - odpowiedziała Alice. - Przepraszam na chwilę.

Annie słyszała, jak Alice wchodzi na piętro. Usłyszała też, jak mąż wypytuje ją po drodze. Annie siedziała, podziwiając widok za oknem.



Dwa wróble trzepotały skrzydłami przy poidełku w ogrodzie. Zda-  
wało jej się, że dostrzegła jastrzębia krążącego daleko nad Tetchley  
Fell. Po kilku minutach Alice wróciła ze stosikiem fotografii.

- Były zrobione podczas ostatniego przyjęcia bożonarodzenio-  
wego w firmie Rolanda - powiedziała. - Trzy lata temu.

Annie przerzuciła zdjęcia i wybrała jedyne ostre. Gardiner siedział  
przy stole, lekko zaczerwieniony od wina, i z uśmiechem unosił  
kieliszek w stronę fotografa. Było wystarczające do celów identyfi-  
kacji.

- Czy ktoś o niego pytał po tym, jak się wyprowadził?

- Nie, ale był jeden telefon.

Annie nadstawiła ucha.

- Kiedy?

- W lipcu.

- Czy rozmówca się przedstawił?

- Nie. To było raczej zabawne. Powiedziałam, że Roland już tu  
nie mieszka, a on tylko zapytał, czy wiem, gdzie go szukać.

- I co pani zrobiła?

- Powiedziałam mu. Przecież wiedziałam, gdzie jest Roland.  
Musiałam wiedzieć. No wie pani, rozwód, prawnicy i to wszystko.

- Później już nie telefonował?

- Nie.

Ciekawe, pomyślała Annie. W lipcu. W lipcu. Mniej więcej wtedy,  
według Jacka Mellora, Roland Gardiner z optymizmem zaczął pod-  
chodzić do wszystkiego, a i Thomas McMahon wyraźnie złapał wiatr  
w żagle. Co się wydarzyło latem zeszłego roku? Zadała pani Mow-  
bray jeszcze kilka pytań na temat przeszłości Rolanda: gdzie chodził  
do szkoły, gdzie mieszkali jego rodzice i tak dalej. Potem wyszła. Po  
drodze do drzwi nie widziała już Erica Mowbraya i nie mogłaby  
powiedzieć, że to ją zmartwiło.

\*\*\*

- Jednym z problemów, wobec których staje fałszerz sztuki, jest

zdobycie papieru albo płótna z epoki - wyjaśniał Phil Keane Banksowi i Annie podczas niedzielnego lunchu w Queen's Arms.

Banks obserwował go. To więc był ów tajemniczy mężczyzna, z którym spotyka się Annie? Nazwała go jedynie przyjacielem, ale Banks wyczuwał między nimi zbyt dużo chemii, by mogła to być tylko przyjaźń. Oczywiście nie wdzięczyli się do siebie nawzajem, nie przesyłali sobie buziaczków ani nie trzymali się za ręce, ale coś wisiało w powietrzu - najprawdopodobniej feromony - i charakterystyczne było też to, jak słuchała jego słów. Nie tyle chłonęła każde z nich, ale też się angażowała, okazywała szacunek.

Wcześniej Banks zauważył, że jedna czy dwie panie powiodły za Philem oczami, gdy wchodził do restauracji dziesięć minut spóźniony i upierał się, że zamówi przy barze drinki dla Annie i Banksa. Banks musiał przyznać, że Phil jest przystojny, choć nie uderzająco, i dobrze ubrany, ale bez cienia pretensjonalności. Mówił ze swadą i miał wiedzę doświadczonego wykładowcy. Annie wspominała, że od czasu do czasu wygłasza wykłady, nic więc dziwnego, że nie brakowało mu pewności siebie. Był nawet trochę pedantyczny. Czy w tym facecie można czegoś nie lubić? - zastanawiał się Banks. - Prawdopodobnie to właśnie on pieprzył się teraz z Annie. Banks powiedział sobie, że musi odpuścić. W końcu on i Annie poszli swoimi drogami już dawno temu, a teraz miał Michelle.

Problem polegał na tym, że Michelle była w tej chwili daleko, a Banks siedział w Queen's Arms z Annie i jej nowym facetem, rozpaczliwie szukając czegoś, co mogłoby mu się w nim nie spodobać. Doświadczenie podpowiadało mu, że wszyscy i wszystko, co się wydaje zbyt dobre, żeby było prawdziwe, takie właśnie się okazuje. Przede wszystkim ten facet był dla niej za stary, ale przecież on sam także, a Phil Keane miał kilka lat mniej od niego.

- W każdym razie niełatwo zostać drugim Johnem Myattem i podrabiać współczesnych mistrzów farbą emulsyjną na pierwszym lepszym skrawku papieru - ciągnął Phil Keane. - Falszerze są więc zwykle ostrożni, zwłaszcza obecnie, gdy dysponujemy naukowymi

metodami. Falszeryz musi działać tak, żeby nie tylko jego technika malarska, ale też użyte materiały przeszły wszystkie wymagane testy. To nie zawsze jest łatwe.

- Wspominałeś o papierze...

- Tak? Rzeczywiście... - Phil podrapał bruzdę między krawędzią nosa a policzkiem.

Banks natychmiast poczuł awersję do tego gestu, którym do wypowiedzianych słów Keane dodawał stwierdzenie „Zanim mi tak niegrzecznie przerwano”. Irytacja oratora, któremu ucięto kolejną dygresję. Banks cholernie się ucieszył, że wreszcie znalazł coś, co mogło się w tym człowieku nie podobać, choć musiał przyznać, że to nie było wiele.

- Do końca dziewiętnastego wieku papier wytwarzano ręcznie, zazwyczaj ze szmat, potem zaś stopniowo pojawiły się maszyny do produkcji papieru, w tym także ze ścieru drzewnego.

- Na czym polega różnica? - zapytał Banks.

- Ścier drzewny daje produkt dużo gorszej jakości - wyjaśnił Phil. - Papier jest mniej odporny i szybciej żółknie. - Pochylił się do przodu i stuknął w blat stołu. - Przede wszystkim jednak chodziło mi o to, że jeśli się zamierza fałszować obrazy jakiegoś malarza, to trzeba używać tych samych materiałów co on.

Banks pociągnął łyk theakston's bitter. Przed Philem stał kufel XP i opróżniał się bardzo powoli, Annie natomiast wybrała sok.

- To ma sens - stwierdził. - Kontynuuj, proszę. Jak znaleźć te materiały?

- W tym problem. Papieru można szukać w kilku miejscach - ciągnął Phil. - Jednym z najlepszych są oczywiście sklepy ze starodrukami. Nie wszystko w antykwariatach jest drogie, a większość to naprawdę stare pozycje. Przydają się na przykład wyklejki starych tomów, a w książce podana jest zwykle data publikacji, co pozwala określić wiek papieru.

- Co ze sztychami? - zapytał Banks. - Czy stare ryciny także są datowane?

- Tak, ale nie zawsze to wiarygodna data. Równie dobrze mogą być kopiami wykonanymi pośmiertnie, a nawet w innym kraju, i jeśli się nie ma naprawdę dobrego nosa, to można się nieźle naciąć, wierząc w napisy na starych rycinach.

- A płótno? - pytał dalej Banks. - Przecież większość obrazów to płótna.

Phil pozwolił sobie na dyskretny uśmiech, który Banks skwapliwie uznał za niepozbawiony protekcjonalności. Z minuty na minutę coraz mniej lubił tego człowieka i bardzo się z tego cieszył.

- Owszem, wiele obrazów to płótna - przyznał Phil. - Mechanizm pozyskiwania jest taki sam jak w przypadku papieru, tylko oczywiście nie kupuje się ich w antykwariatach. Szuka się starych bezwartościowych obrazów. Falszerm uzależnia często wybór artysty od tego, co mu się uda znaleźć.

- Rozumiem - powiedział Banks. - Sądzisz, że Thomas McMahon był fałszerm?

Phil spojrział na Annie. Przez jego twarz przemknął wyraz zaniepokojenia.

- Phil stwierdził tylko, że to jeden z możliwych powodów, dla którego McMahon kupował stare książki w antykwariacie Whitakera - wtrąciła Annie.

- Właśnie - potwierdził Phil. - Nie wysuwam żadnych oskarżeń. Przecież nawet nie znałem tego człowieka.

- Nawet gdybyś rzeczywiście go o coś oskarżał, nie miałyby to znaczenia - rzekł Banks. - McMahon nie żyje. Nie może cię pozwać.

- Mimo wszystko...

- Chodzi o to, czy to ma jakiś związek z tym morderstwem, a jeśli tak, to jaki - podsumował Banks. - Zamówimy posiłek?

Phil rozejrzał się po sali.

- Wiecie co? Znam przytulne małe miejsce przy drodze do Richmond, gdzie podają najdelikatniejszą jagnięcinę na świecie. - Spojrzął na Annie. - Słyszałem też, że mają tam dobre wegetariańskie curry. Co powiecie na to, żebyśmy tam pojechali?

Mark obudził się następnego dnia i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie zawdzięcza życie kurtce na misiu. Nawet w swojej ulubionej skórce całkiem by się wychłodził. Nie wiedział, która jest godzina, ponieważ nie miał zegarka, ale było już jasno i znacznie cieplej niż nocą.

Spał zaskakująco dobrze, ale to zapewne skutek zmęczenia. Chyba maszerował długo w noc. Wyspał się po raz pierwszy od pożaru. Przecierając zaczerwienione oczy, rozejrzał się dookoła. Na wół zniszczona stodoła była pełna kozich bobków i gruzu. Śmierdziała też moczem. Czas ruszyć dalej. Chętnie wypiłby filiżankę herbaty i zjadł coś, może jajka na bekonie. Wiedział, że nie zajędzie daleko z dziesięcioma funtami i paroma drobniakami, które miał w kieszeni, ale przynajmniej wystarczy mu na kilka skromnych posiłków. Miło też byłoby wejść do jakiejś przyzwoitej toalety, żeby umyć twarz i ręce. Gdyby udało mu się znaleźć jakąś kawiarnię! Mało prawdopodobne w eleganckich miejscowościach, których pełno w tej części świata. Żadnych tanich barów czy kafejek dla kierowców ciężarówek.

Była prawie pierwsza - tak pokazywał zegar na wieży kościelnej w pierwszej wiosce, do której dotarł. Chryste, nie miał pojęcia, że spał aż tak długo! Raczej nie dałoby się nazwać tego miejsca malowniczym. Miejscowość należała do punktów na mapie, przez które turyści przejeżdżają, nie zdejmując nogi z gazu. Asfaltowana główna ulica, jedyna zresztą, a wzdłuż niej przysadziste budynki z czerwonej cegły kryte czerwoną dachówką, tak popularną we wschodniej części Yorkshire, poczta, sklep wielobranżowy i kiosk z gazetami.

W wiosce panowała grobowa cisza, tylko z pubu o nazwie Farmer's Inn dobiegała przyciszona muzyka pop. Przed wejściem do lokalu stała czarna tablica reklamująca potrawy z menu. Mark zauważył, że mógłby sobie zafundować kanapkę z szynką i serem za dwa dziewięćdziesiąt dziewięć albo lunch za pięć dziewięćdziesiąt dziewięć, na który składała się pieczona wołowina, Yorkshire pudding, warzywa i pieczone ziemniaki. Co powinien zrobić? Czy powstrzymać apetyt i zaoszczędzić na kolejną kanapkę później, czy wydać

niemal wszystko na solidny lunch? W końcu zdecydował się na to drugie, głównie dlatego, że padał z głodu. Nic nie jadł, odkąd wypuścili go z aresztu.

Ostrożnie wszedł do środka. Pub nie należał do tych, gdzie milkną wszystkie rozmowy i wszystkie oczy kierują się na wchodzącego, jak w filmie o wilkołaku, który obejrzał w telewizji jeszcze na squacie, ale i tak czuł się nieswojo w zbyt obszernym ubraniu. Poza tym do brzegu kurtki na pewno przyczepiły się jakieś patyki, a na dzinsach rozmażało się gdzieś kozie gównu. Miał tylko nadzieję, że nie śmierdzi zbyt mocno.

Pub był raczej obskurny, jak można się spodziewać w takiej wiosce, co zapewne wyjaśniało niskie ceny posiłków. Pachniał piwem rozlanym poprzedniego wieczoru oraz dymem papierosowym. W większości wypełniali go niezatrudnieni robotnicy rolni, którym nie zbierze się na mdłości z powodu odrobiny koziego gówna tu i ówdzie. Za barem stał gburowaty dupek, który jednak zapisał zamówienie Marka i dał mu numerek, zadarł tylko nosa, kiedy Mark zamówił do picia lemoniadę. Nie chciał tracie pieniędzy na piwo. Razem z drobnymi miał teraz niewiele ponad cztery funty, za co mógł sobie kupić bułkę i filiżankę herbaty na kolację, jeśli znajdzie miejsce z takimi prostymi posiłkami. Resztą będzie się martwił rano.

Uświadomił sobie, że musi szybko poprawić swoją sytuację finansową, a to mogło oznaczać jakieś drobne włamanie. Nie lubił kraść, ale robił to już wcześniej i wiedział, że zrobi jeszcze raz, jeśli będzie musiał. Między innymi tego nauczył go Szalony Nick, kiedy zmuszał go, żeby chodził z nim na robotę. Nie było chyba domu, do którego nie potrafiłby wejść. Nigdy nie będzie żebrał, ale na pewno ukradnie, jeśli nic innego nie da się zrobić. Złodziejstwo wymagało odwagi, a poza tym nie wyglądało się jak ofierma, która się poddała i potrafi tylko siedzieć z wyciągniętą ręką.

Zdał też sobie sprawę, że został mu tylko jeden papieros, a i to dzięki gliniarzowi, który pożyczył mu ubranie. Postanowił zapalić po posiłku. Usiadł w pustym rogu przy oknie i przez brudną szybę patrzył

na główną ulicę, na której nic się nie działo. Ludzie jedli pewnie pieczenie za zakurzonymi firankami, może oglądając futbol albo wyścigi, jak Szalony Nick po powrocie do domu z pubu. Jeśli jego drużyna przegrywała, bił Marka. Czasem też matkę Marka, choć to było naprawdę twarde babsko i Szalony Nick musiał się rzeczywiście nieźle wkurzyć, żeby do niej startować z łapami. Przeważnie po pijanemu.

Za barem stał telewizor, ściszony. Właśnie się zaczęły lokalne wiadomości. Mark obserwował, jak jakaś odpicowana lala z mikrofonem stoi na tle spalonej przyczepy kempingowej, ociekającej jeszcze wodą z węży strażackich. Czy ten ogień zauważył wczoraj wieczorem, gdy wybiegł od Lenny'ego? Potem na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny, którego Mark nigdy wcześniej nie spotkał. Następnie lala gadała coś jeszcze, podczas gdy kamerzysta z lubością robił zbliżenia pogorzelska, a po chwili pokazano dwie spalone barki, teraz w dziennym świetle, obok których kręcili się ludzie w ubraniach ochronnych.

Znad kanału relacjonował kolejny reporter, tym razem mężczyzna. Jego nazwisko pojawiło się na dole ekranu, ale litery były zbyt małe i Mark nie mógł ich przeczytać. Mężczyzna stał w grubym płaszczu z szyją owiniętą szalikiem. Mówił coś, szeroko gestykulując, podczas gdy pozostali, jak zgadywał Mark funkcjonariusze policji, zajmowali się swoimi sprawami.

Po chwili pokazali stare zdjęcie Toma z podpisem, że to malarz. Ledwie można go było rozpoznać, ale to na pewno był Tom.

Następnie na ekranie pojawił się obraz, który chwycił go za serce i mocno je ścisnął. Nigdy nie widział tego zdjęcia, ale przedstawiało Tinę, sfotografowaną dwa albo trzy lata temu, zanim się poznali. Jej blond włosy sięgały poniżej ramion, a twarz promieniała zdrowiem. Uśmiechała się do obiektywu, ale Mark widział, że uśmiech był trochę wymuszony. Jeśli jednak ktoś dobrze jej nie znał, nie dostrzegwał charakterystycznie zaciśniętych szczęk oraz cienia w jej oczach i nie mógł się tego domyślić. Czas się zatrzymał. Mark miał wrażenie, że

Tina patrzy na niego, że go widzi. Chciał do niej krzyknąć, powiedzieć jej, jak żałuje, że ją zawiódł, że nie było go przy niej w potrzebie.

Zdjęcie znikło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, i znów kamera pokazywała reportera nad kanałem. Mark podniósł się tak szybko, że przewrócił szklankę z lemoniadą i wybiegł na ulicę.

Banks wycofał się z wycieczki do pubu przy drodze na Richmond, pozwalając Annie jechać z Philem, co prawdopodobnie bardzo jej odpowiadało. Samotnie zjadł pieczoną wieprzowinę na lunch w Queen's Arms i wrócił na komendę. Była niedziela, sprawy toczyły się więc powoli, zwłaszcza prace kryminalistyczne, ale ponieważ prowadzono duże śledztwo, tron podlegającego Banksowi wydziału do spraw poważnych przestępstw ciężko pracował.

Na tym etapie przyczyny i motywy obydwu pożarów analizowano oddzielnie, ze wszystkich sił starając się ustalić powiązanie między nimi, gdyż wszyscy podejrzewali, że coś je łączy. Kiedy Banks zajrzał do centrum koordynacyjnego, Winsome siedziała już z powrotem za biurkiem, otwierając na monitorze zielone strony systemu HOLMES. Posterunkowy Gavin Rickerd sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu, pogrupowane i opisane jak należy.

Posterunkowy Kevin Templeton gryzł koniec ołówka, próbując zebrać wszystkie informacje o podobnych pożarach, a posterunkowy Hatchley zastanawiał się nad tym, co udało mu się wygrzebać na temat Marka Siddonsa. Od czasu do czasu odzywał się jakiś telefon, klikała klawiatura albo mruczał faks. Wszystko świetnie się kręciło, ale na pół gwizdka. I oczywiście wszyscy pracowali w ramach nadgodzin. Oprócz Banksa. Detektywom nadgodziny nie przysługują.

Banks zdążył spędzić ledwie kilka minut w swoim gabinecie, gdy do jego drzwi zapukał Stefan Nowak.

- Można na chwilę?

Banks podniósł wzrok.

- Mam nadzieję, że z dobrymi wiadomościami?



- Nie wiem - odpowiedział Stefan, stając w otwartych drzwiach. - Ale mam coś, co będziesz chciał zobaczyć. Masz chwilę?

Zaciekawiony Banks poszedł za Nowakiem do tak zwanej nowej części, jak nazywali aneks. Był tak samo stary jak cała reszta, ale mieścił się tam hotel, zanim w Eastvale utworzono Komendę Policji Obszaru Zachodniego i wyburzono ściany, łącząc obydwie budynki. Teraz urzędowali tam fotografowie, technicy kryminalistyczni, informatycy oraz ludzie od daktyloskopii.

Stefan zatrzymał się przy stole laboratoryjnym.

- Pomyślałem, że to cię zainteresuje - powiedział, wskazując na poczerńiały sześciian wielkości mniej więcej monitora komputerowego. - Znaleźliśmy go w przyczepie. Chyba był schowany w jednej z szafek kuchennych.

- Co to jest? - zapytał Banks.

- Wygląda na ognioodporny sejf - odrzekł Stefan.

- Ognioodporny sejf? Po cholere sejf facetowi, który żyje z kombinowania i mieszka w rozwalonej przyczepie kempingowej?

- Ty mi powiedz. Ja tylko znalazłem i zidentyfikowałem przedmiot.

- Da się otworzyć?

- Mogę spróbować siłą.

- Są powody, żeby się z nim obchodzić delikatnie?

- Nie. Szukaliśmy już odcisków. I nic.

Stefan sięgnął po mały łom - z policyjnego warsztatu samochodowego, jak powiedział Banksowi - wbił go w szparę przy drzwiczkach w okolicy zamka i nacisnął. Bezskutecznie. Podniósł wzrok na Banksa.

- Może w areszcie siedzi jakiś kasiarz?

- Chciałbym! - westchnął Banks. - Próbuj dalej. Ognioodporny czy nie, pożar musiał osłabić zamek, przynajmniej trochę.

Stefan ponowił próbę. Bez rezultatu.

- Może użyjemy dynamitu? - zaproponował.

Banks zachichotał.

- Moja kolej.

Stefan wręczył mu łom i Banks przyłożył go naprzeciwko zamka, przy schowanych w środku zawiasach. Nie widział dokładnie, co robi, ponieważ sejf uległ znacznemu zniszczeniu w pożarze, ale przypuszczał, że udało mu się wsunąć płaskie ostrze łomu między ściankę sejfu a osadzone na zawiasach drzwi. Delikatnie poruszał metalowym drągiem w górę i w dół. Udało mu się wsunąć ostrze kilka milimetrów głębiej. W końcu pękł zawias i było tylko kwestią czasu, kiedy puści drugi.

- Ognioodporny, ale nie Banksoodporny - powiedział, otwierając drzwiczki. Sięgnął do ciemnego wnętrza. - Wygląda na to, że coś tu jest.

- Co? - zaciekał się Stefan.

Zawartość sejfu owinięta była w plastikowy worek na śmiecie. Banks rozłożył wszystko na stole laboratoryjnym. Obydwaj mężczyźni bardzo się zdziwili. Leżało przed nimi parę rulonów papieru oraz trzy spięte gumkami zwitki banknotów dwudziestofuntowych, po pięćset funtów albo nawet więcej w każdym. Banks rozwinął rulony, by zobaczyć kilka szkiców zamku oraz gotową akwarelę rozmiarów mniej więcej trzydzieści na czterdzieści centymetrów przedstawiającą widok na dolinę z zamkowego tarasu.

- To zamek Hornby - stwierdził Stefan.
- Skąd wiesz?

Nowak zerknął z ukosa na Banksa.

- Byłem tam. Dużo spaceruję. To niedaleko Kirkby Lonsdale. A tutaj - wskazał na akwarelę - mamy widok z zamku. To Ingleborough, jeden z Trzech Szczytów. Wszedłem na wszystkie trzy.

Trzy Szczyty przyciągały wielu turystów, ale Banksowi taka wycieczka zawsze się wydawała nieco ekscentryczna. No i oczywiście wyczerpująca. Trzeba było przejść ponad trzydzieści kilometrów w dwanaście godzin, wspinając się na trzy cholernie wysokie szczyty: Pen-y-Ghent, Whernside oraz Ingleborough, najczęściej w ulewnym deszczu.

Banks ponownie spojrzął na szkice i akwarelę. Wyglądały staro. Nie były sygnowane, ale nawet niewprawne oko Banksa natychmiast rozpoznało, że to prace J.M.W. Turnera albo ich wierne kopie.

- Jasna cholera! - zaklął. - Lepiej zatelefonuję do Annie.

- Zdaje się, że twój szef mnie nie polubił - powiedział Phil Keane do Annie wieczorem. Siedzieli u niej i właśnie kończyli lekką kolację, makaron z warzywami; po obfitym lunchu nie byli specjalnie głodni.

Annie nalała po kolejnym kieliszku montepulciano d'Abruzzo.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytała.

- Och, nie wiem. Takie odniosłem wrażenie. Sądziś, że jest zazdrosny?

Annie poczuła, że się czerwieni. Nie powiedziała Philowi o sobie i Banksie.

- Jaki miałby powód?

- Może ma względem ciebie jakieś plany.

- Nie bądź niemądry. - Annie napiła się wina trochę za szybko i się zakrztusiła. Razem z przeziębieniem przyprawiło ją to o atak kaszlu. Phil przyniósł jej szklankę wody i przez kilka minut patrzył zaniepokojony, zanim doszła do siebie.

- Już dobrze? - zapytał.

- Tak. Widzisz, Alan i ja... myśmy...

Phil parzył na nią z zainteresowaniem.

- Czy muszę nazywać rzeczy po imieniu?

- Oczywiście, że nie - powiedział Phil. - I przepraszam, że o tym wspominałem. Ale mogłaś mi powiedzieć trochę wcześniej. Przecież nie oczekiwałem, że dotychczas wiodłaś życie mniszki.

- Naprawdę nie?

- W każdym razie ja takiego życia nie prowadziłem. To znaczy życia mnicha.

- Niemożliwe!

- Wyobraź sobie.

- W każdym razie to było już jakiś czas temu.

- Poczulem się zaskoczony. To wszystko.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Może dlatego, że on nie jest chyba w twoim typie.
- Skąd wiesz, jaki jest mój typ?
- Nie wiem. Ten facet jest po prostu... No właśnie, jaki on jest?
- O co pytasz?
- Co w nim lubiłaś?
- W Alanie? Stanowi świetne towarzystwo. Jeśli nie zawsze, to prawie zawsze. Kocha muzykę, lubi whisky słodową, ma znośny gust, jeśli idzie o filmy, o ile nie liczyć raczej niefortunnego zamiłowania do kina akcji, no wiesz, Jamesa Bonda, Arnolda Schwarzeneggera i tym podobnych macho. Co dziwne, bo jego samego do typu macho zaliczyć się nie da. Jest wrażliwy, pełen dobroci i życzliwości, ma świetne poczucie humoru.

- Mieszkaliście razem?

Annie zaśmiała się.

- Nie. Zostałam w mojej małej ruderze pośrodku labiryntu Harkside, jak mawiał. Sam mieszka w uroczym małym domku koło Gratly. Jest trochę samotnikiem, bardzo mu to więc odpowiada.

- Co poszło nie tak?

- Nie mam pojęcia. Po prostu nam nie wyszło. Za wiele bagażu. Alan niedawno się rozwiódł i często wraca myślami do rodziny. Nie wyszło. Ale współpracuje nam się naprawdę dobrze. Nie jest to problem, ale czasem...

- Czasem co?

- No wiesz, czasem nie można się uwolnić od przeszłości, a to bywa utrudnieniem. Ale da się z tym żyć. Alan jest dobrym szefem. Zostawia mi dużą swobodę. Liczy się z moim zdaniem.

- W sprawie tych pożarów?

- W każdej sprawie.

- Co sądzisz o tych pożarach?

- Jeszcze nic. Sprawa dopiero się zaczyna.

- Widzę, że niechętnie rozmawiasz ze mną o pracy. Przepraszam.

Annie ścisnęła jego ramię.

- Nie przepraszaaj - powiedziała. - Prawdę mówiąc, dopiero przyzwyczajam się do tego, że mam z kim porozmawiać po wyjściu z pracy. Oczywiście muszę zachowywać dyskrecję, ale nie podpisywałam żadnego zobowiązania do zachowania tajemnicy. W sprawie pożarów naprawdę nie mam jeszcze żadnej teorii. Nie zebraliśmy wystarczających dowodów. Wiemy tylko, że obydwu są zapewne skutkiem podpalenia, co zresztą trudno nazwać tajemnicą. - Nie zamierzała na razie mówić Philowi o Turnerze i pieniądzach, o których dowiedziała się od Banksa telefonicznie, dopóki nie przekona Alana, żeby dopuścił Phila do śledztwa jako rzeczoznawcę.

- Nie masz choćby najmniejszych podejrzeń?

- Nawet gdybym kogoś podejrzewała, to i tak nie mogłabym ujawnić jego tożsamości.

- Czyli jednak podpisałaś zobowiązanie.

Annie zaśmiała się i opróżniła swój kieliszek. Czula się lekko pijana, ale przecież miała za sobą długi weekend i jeszcze nie całkiem się pozbyła przeziębienia.

- To jak relacja między lekarzem a pacjentem - powiedziała.

- Dopóki podejrzany nie znajdzie się w areszcie?

- Tak, wtedy reguły się zmieniają. Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak długo zostaniesz na północy.

- Nie wiem - odpowiedział. - W firmie jest raczej spokojnie, ale w każdej chwili coś może wypaść i zostaną wezwany.

- Zapewne jakiś podejrzany Sickert? Albo wątpliwy Degas?

Phil roześmiał się.

- Mniej więcej. Chciałabyś spędzić weekend w Nowym Jorku?

- W Nowym Jorku? - Annie nigdy nie była w Ameryce. We wrześniu pojechała z Philem do Paryża i ledwie zdołała na nim wymóc, że sama za siebie zapłaci. Raczej nie mogłaby sobie pozwolić na Nowy Jork, a nie chciała, żeby to on pokrywał koszty.

- Tak. Najbliższy weekend. Niestety jadę w interesach. Muszę się spotkać z kilkoma właścicielami galerii i kilkoma handlarzami.

Ale moglibyśmy obejrzeć jakiś spektakl na Broadwayu i zjeść potem kolację.

- Nie wiem, czy zdołam się wyrwać w przyszły weekend.
- Chodzi o śledztwo?
- Tak. Jest jeszcze kwestia pieniędzy...
- Och, tym się nie martw. To podróż służbowa. Firma płaci.
- Za nas oboje?
- Oczywiście. Pojechałabyś jako mój doradca do spraw bezpieczeństwa.

Annie znów się roześmiała i zaniósła puste naczynia do zlewu.

- Brzmi cudownie, ale...
- Obiecaj mi przynajmniej, że się nad tym zastanowisz.
- Zastanowię się.

Wyczuła obecność Phila za sobą, zanim położył dłonie na jej biodrach, a jego wargi musnęły wgłębienie między szyją a barkiem. Chciała się wywinąć, ale otoczył ją ramionami i objął tak mocno, że jego sztywny członek przycisnął się do nasady jej kręgosłupa. Na moment ogarnął ją strach i omal nie wpadła w popłoch, czując jego erekcję. Obrazy gwałtu, którego ofiarą padła wiele lat wcześniej, przebiegły jej przez głowę, napinając nerwy do granic wytrzymałości. Nauczyła się jednak panować nad emocjami i nawet jeśli nie potrafiła w pełni się cieszyć seksem, to przynajmniej już go nie unikała.

- Zostaw te naczynia - powiedział Phil, rozluźniając uścisk.

Annie odwróciła się do niego przodem, zaskoczona, że panika ustąpiła tak szybko. Stała na miękkich nogach, a między jej udami rozchodziło się wilgotne ciepło. Z Alanem tak nie było, pomyślała i natychmiast poczuła się zawstydzona tym porównaniem. Phil objął ją ramionami i uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze - powiedziała. - Zostaniesz na noc?
- Nie mam szczoteczki.

Annie zaśmiała się, kryjąc twarz w miękkiej bawełnie jego koszuli.

- Chyba znajdę w łazience jakąś nieużywaną.
- W takim razie... - powiedział Phil, pozwalając, by jego ramiona

opadły. Annie wzięła go za rękę i poprowadziła w kierunku schodów.

## Rozdział 9

W poniedziałek rano Annie wyglądała na zadowoloną z życia i Banks zgadywał, że powodem nie była wyłącznie praca. Usiadła naprzeciwko niego w jego gabinecie i założyła nogę na nogę. Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy i czerwoną bluzkę z jakiegoś jedwabistego materiału, który wydawał się szeptać, kiedy się poruszała. Jej włosy były w nieładzie, a przeziębienie chyba już przechodziło. Annie roztaczała wokół siebie aurę, która niekoniecznie się Banksowi podobała.

- W każdym razie dotarłam do byłego pracodawcy Rolanda Gardinera i wygląda na to, że Roland założył firmę krzak, żeby popełnić oszustwo w całkiem nowatorski sposób.

- Naprawdę? - Oszuści zakładają firmę krzak, co przy dzisiejszym poziomie oprogramowania komputerowego jest naprawdę łatwe, żeby kupić towary lub usługi na kredyt, którego nie zamierzają spłacić. Największe finansowe przekręty tego typu wymagają czasu, żeby firma wypracowała pozycję na rynku. Przestępcy muszą też mieć na początek spory kapitał: żeby zdobyć zaufanie kooperantów i zyskać zdolność kredytową, najpierw regulują wszystkie zobowiązania w terminie. - Jak mu się to udało? - dziwił się Banks. - Przecież jego była żona twierdziła, że nie śmierdział groszem.

- Bo nie śmierdział. Na tym właśnie polegało piękno tego przedsięwzięcia. Gardiner kupował od siebie.

- Co masz na myśli?

- Od firmy, w której pracował. Materiały biurowe. Towar łatwy do zbycia. Gardiner otworzył sobie sporą linię kredytową i obficie z niej korzystał. Nie musiał przez długi czas zdobywać zaufania kontrahenta.



- W ten sposób nie mógł zarobić wiele.
- Toteż nie zarobił. Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że to właśnie przeszkadzało jego byłej żonie. Odniosłam wrażenie, że gdyby miał z tego interesu odrobinę więcej, nie miałyby nic przeciwko zarabianiu na życie w taki akurat sposób.
- Co się stało, gdy się dowiedział jego szef?
- Zaproponował mu honorowe wyjście: zwróć pieniądze i się zwolnij z pracy. Bez zawiadamiania policji. Mimo wszystko Gardiner był chyba lubiany w swojej firmie.
- Tylko dokąd nas to prowadzi? - zapytał Banks, mówiąc nie tyle do Annie, co do siebie.
- No cóż, mamy martwego fałszerza obrazów, a druga ofiara najprawdopodobniej trudniła się oszustwami. W sejfie ognioodpornym na miejscu zdarzenia ujawniliśmy około tysiąca pięciuset funtów w gotówce oraz akwarelę Turnera. Jak dla mnie to zbyt wiele na zbieg okoliczności. Cokolwiek to było, obaj musieli brać w tym udział.
- Brzmi logicznie - zgodził się Banks. - Ale co to takiego? Skąd się znali?
- Na te pytania nie potrafię jeszcze odpowiedzieć - rzekła Annie.
- Niewystarczające informacje. Jeśli jednak coś ich łączyło, to się o tym dowiemy. Interesuje mnie teraz, kto jeszcze był zamieszany.
- Ktoś trzeci?
- Tak. Ktoś ich zabił.
- Chyba że się pokłócili i Gardiner zabił McMahona.
- To nie wyjaśnia, kto zabił Gardinera.
- Była żona? Jej nowy mąż?
- Możliwe - rzuciła Annie.
- Ale nieprawdopodobne?
- Moim zdaniem nie. A Leslie Whitaker?
- Jest kolejną możliwością - powiedział Banks. - Nie jestem całkowicie przekonany, że nie wiedział, co McMahon kombinuje. Chyba powinniśmy jeszcze raz z nim pogadać. Tym razem ściągniemy go tutaj.

- Dobry pomysł. - Annie zrobiła krótką pauzę. - Alan, jeśli chodzi o tego Turnera...

- Tak?

- Pomyślałam, że przed podjęciem dalszych działań powinniśmy dopuścić do sprawy Phila, żeby zerknął na tę akwarelę. Jak uważasz? Zna się przecież na tym.

- Uważam, że lepiej będzie skorzystać z oficjalnych kanałów - odpowiedział Banks, wiedząc, że te słowa zabrzmiały tak samo niezręcznie, jak on się czuł.

- To nie w twoim stylu - odparła Annie. - Poza tym potrwa całą wieczność. Phil mógłby powiedzieć nam coś pożytecznego od ręki.

- Nie zapominaj o Kenie Blackstonie - powiedział Banks. - Ma doświadczenie z fałszerzami sztuki.

- Ale pracuje w West Yorkshire - kontrowała Annie. - I zdobył je wieki temu. Phil zna się na rzeczy i jest na miejscu, dostępny od zaraz.

- Przyjmuję do wiadomości - oznajmił.

Annie zagryzła wargi.

- Co to miało oznaczać?

- Nic. Tylko tyle, że moim zdaniem powinniśmy skorzystać z oficjalnych kanałów.

- Och, na litość boską, przecież bez przerwy sięgamy po bieglych. Mam ci przypomnieć o pani psycholog? Tej rudej, której się podobasz?

Banks poczuł, że się czerwieni, po części ze złości, a po części z zakłopotania.

- Masz na myśli doktor Fuller? Jest zawodowcem. Ma wykształcenie psychologiczne i specjalne przygotowanie do tworzenia profili psychologicznych przestępców.

- No dobrze. Phil też ma przygotowanie. Zawodowo weryfikuje dzieła sztuki.

- Nie wiemy, kim jest Phil. Ledwie go znamy.

- Za to ja wiem, o co ci tak naprawdę chodzi - powiedziała Annie, przeczesując palcami włosy. - Twój problem polega na tym, że jesteś

zazdrosny. Zachowujesz się jak pies ogrodnika. Sam nie zjesz, ale innym też nie pozwolisz, tak?

- Jeśli o mnie chodzi, to może z tobą sypiać tak często, jak chce - odparł Banks. - Ale nie narażę tego śledztwa na szwank z powodu twojego życia prywatnego.

- Nie zachowuj się tak, jakby cię coś w dupę ugryzło, Alan. Co ty wygadujesz? Masz pojęcie, jak to brzmi?

Banks poczuł się tak, jakby skręcił w niewłaściwą uliczkę i tuż przed sobą zobaczył ścianę.

- Posłuchaj... - zaczęła, ale Annie wzięła głęboki oddech i wpadła mu w słowo.

- Proponuję tylko, żeby mu pokazać szkice oraz akwarelę Turnera, nic więcej - powiedziała, łagodząc ton. - Jeśli się obawiasz, że z nimi odjedzie, możesz je sobie przykuć do ręki.

- Nie bądź śmieszna. Moje wątpliwości nie dotyczą niczego takiego.

- Czego zatem mógłbyś się obawiać?

- Ten facet jest niewiadomą. - Banks czuł, że jego zastrzeżenia są niewystarczające i wiedział, że znalazł się w defensywie, także dlatego, że powodem jego nieracjonalnego zachowania była zazdrość, a nie potrafił się wycofać tak, aby się do tego nie przyznać.

- Mogę za niego ręczyć - zapewniła Annie. - Zna się na rzeczy, Alan. Nie jest dyletantem.

Banks zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że musi jakoś wyjść z twarzą. Stąpił po naprawdę śliskim gruncie podczas tej małej sprzeczki. Choć nie podobał mu się pomysł dopuszczenia faceta Annie do śledztwa, to jednak nie dało się zaprzeczyć, że Phil Keane mógł im pomóc w zakresie wątku śledztwa dotyczącego fałszerstwa obrazów. Co więcej, już im pomógł, wskazując możliwe powody, dla których McMahon kupował stare bezwartościowe książki i druki w antykwaracie Whitakera. Poza tym sprzeciw Banksa wynikał z zazdrości, a to było nieprofesjonalne.

- W porządku - powiedział w końcu. - Przedstawię sprawę na-

dinspektorowi Gristhorpe'owi.

- Przedstawisz mi sprawę? Jesteś pewien, że nie zrobisz tego tak samo, jak w rozmowie ze mną?

- Kończymy temat, Annie. Okej? Powiedziałem, że pójdę z tym do Gristhorpe'a. To moje ostatnie słowo.

Annie spojrzała gniewnie na Banksa i zebrała swoje notatki.

- Dobrze, niech będzie - ustąpiła. - Idź z tym do Gristhorpe'a.

\*\*\*

- O co w ogóle chodzi? - dopytywał się Leslie Whitaker, wyraźnie czując się nieswojo w roli przesłuchiwanego. - Trzymał mnie pan na korytarzu ponad godzinę. Przecież ja prowadzę antykwariat!

- Przykro mi, że musiał pan czekać, panie Whitaker - odparł Banks, starannie układając teczki z papierami przed sobą na biurku. Znajdowali się w pokoju przesłuchań numer dwa, który od pokoiów przesłuchań numer jeden i trzy różnił się tylko tym, że przez wysokie zakratowane okno wpadało do środka mniej światła. Banks sprowadził do pomocy sierżanta Hatchleya. Annie zbierała dalsze informacje na temat Rolanda Gardinera, po czym miała się zobaczyć z Philem Keane'em w sprawie szkiców i akwareli Turnera. Zresztą praktycznie ze sobą nie rozmawiali, a to nie sprzyjało współpracy niezbędnej podczas skutecznego przesłuchania.

- Może więc pan przejdzie do rzeczy? - zapytał Whitaker, stukając lewą dłonią w blat biurka.

Także jego stopa uderzała o podłogę, zauważył Banks. Ma coś do ukrycia? Czy tylko się zdenerwował?

Banks spojrzał na Hatchleya, a ten uniósł brwi.

- Przejdzie do rzeczy? - powtórzył Hatchley. - Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś nam mówił, że mamy przechodzić do rzeczy, prawda, panie inspektorze?

- Prawda - przytaknął Banks. - Mimo wszystko zrobimy tak, jak pan mówi, panie Whitaker i przejdziemy do rzeczy. Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, i jeśli powie nam pan prawdę, to wróci pan do swojego

antykwarjatu naprawdę szybko.

Whitaker odchylił się na oparcie krzesła. Miał na sobie beżową marynarkę włożoną na ciemnoniebieski golf. Banks spróbował dopasować go do uzyskanego od Marka Siddonsa opisu mężczyzny, który odwiedził McMahona, ale doszedł tylko do wniosku, że opis jest na tyle nieprecyzyjny, że pasuje do niego nie tylko Whitaker, ale też setka albo i więcej innych mężczyzn.

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy dowiedziałem się od pana, że kilka razy sprzedał pan książki i reprodukcje Thomasowi McMahonowi - podjął Banks.

- Tak, sprzedałem. Co z tego?
- Wie pan, dlaczego je kupował?
- Już panu mówiłem, że nie mam pojęcia.
- Myślę jednak, że pan to wie, panie Whitaker.

Whitaker zmrużył oczy.

- Czyżby?
- Tak - powiedział Banks. - Chce pan wiedzieć, co myślę? Otóż moim zdaniem wyszukiwał pan pewne książki i druki dla Thomasa McMahona specjalnie na jego prośbę.

Whitaker założył ręce.

- Niby dlaczego miałbym to robić?
- Zajmuje się pan handlem sztuką, prawda?
- W pewnym ograniczonym zakresie. Powiedziałbym raczej, że jestem miejscowym agentem kilku artystów.
- Prawdopodobnie więc wie pan coś o fałszowaniu obrazów?
- Chwileczkę! Co pan sugeruje?

Banks powtórzył wykład, który usłyszał od Phila Keane'a na temat wykorzystywania przez fałszerzy starych książek i druków. Whitaker słuchał, nieudolnie próbując udawać, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.
- Niech się pan nie wygłupia - odezwał się Hatchley. - Byliście współnikami. Pan i McMahon. Pan dostarczał mu odpowiednie

materiały, on fałszował obrazy, pan je sprzedawał i dzieliliście się zyskami. Tylko że on robił się coraz bardziej chciwy i groził, że pana wyda.

- To niedorzeczne! Niczego takiego nie robiłem.

- Musi pan przyznać, że z mojego miejsca wszystko to wygląda raczej podejrzanie - stwierdził Banks.

- Nic na to nie poradzę, że ma pan podejrzliwą naturę. Zresztą to pańska praca.

Banks wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Otóż to. Ta praca sprawia, że nie jest się skłonny wierzyć w takie pierdoły, jak pan nam tu serwuje. Niech pan po prostu przyzna, że kombinowaliście wspólnie z McMahonem.

Whitaker wahał się przez chwilę, ale nie przerwał milczenia.

- Może to nie pan go zabił, ale coś pan wie - ciągnął Banks. - Doskonale pan się orientował, po co mu były te stare druki i założy się, że płacił za nie więcej niż normalnie. Pańska doła, przyjemna gotówka bez wiedzy urzędu skarbowego. Jaką rolę pełnił Roland Gardiner?

- Nie wiem, o kim pan mówi.

- Niech pan sobie daruje, Leslie. Roland Gardiner. Zginął w pożarze przyczepy kempingowej na Jennings Field w sobotę wieczorem.

- I sądzi pan, że ja...

- O to właśnie pytam. Ponieważ jeśli nie zabił pan ani jego, ani McMahonona, to może pan być następną ofiarą.

Whitaker zbladł.

- Nie mówi pan poważnie! Skąd takie przypuszczenia?

- To się rozumie samo przez się - stwierdził Hatchley. - Takie rzeczy się zdarzają, gdy złodzieje się pokłócą.

- Nie jestem złodziejem.

- To oczywiste - ciągnął Hatchley. - Jeśli nie kierował pan tym gangiem, jak się pan tutaj zarzeka, to był pan jednym z żołnierzy, a dwóch już nie żyje. Rozumie pan teraz? To oczywiste.

- Nie - zaprzeczył Whitaker, odzyskując panowanie nad sobą. - To wcale nie jest oczywiste. Przesłanka, na której pan się oparł, to bzdura, kompletna bzdura. Niczego nie zrobiłem.

- Z wyjątkiem tego, że dostarczał pan Thomasowi McMahonowi papier do fałszowania obrazów - uzupełnił Banks.

- Nie miałem pojęcia, co on robi z tymi cholernymi książkami.

- Uważamy inaczej.

Whitaker znów założył ręce.

- To wasz problem.

- Nie nasz, pański. Jakim samochodem pan jeździ.

- Jeepem.

- Model?

- Cherokee. Z napędem na cztery koła. Mieszkam za miastem w stronę Lyndgarth. Mamy tu raczej kiepskie drogi.

Banks uznał, że jeep cherokee jest wystarczająco podobny do range rovera i wszystkich innych aut z napędem na cztery koła, zwłaszcza widziany zza drzew przez ludzi, którzy niewiele wiedzą o samochodach terenowych.

- Kolor?

- Czarny.

Wystarczająco blisko ciemnoniebieskiego.

- Gdzie pan był w ubiegły czwartek wieczorem?

- W domu.

- Czyli gdzie?

- Już mówiłem, w Lyndgarth.

- Sam?

- Niedawno się rozwiodłem, jeśli musi pan wiedzieć.

- Przyzna pan, że to niezbyt mocne alibi - wtrącił Hatchley.

Whitaker spojrzał na niego.

- Nie miałem pojęcia, że będzie mi potrzebne.

- Wszyscy tak mówią.

- Niech pan posłucha...

- Dobrze, panie Whitaker, później się pan pokłóci z moim sier-

zantem - przerwał mu Banks. - Mamy teraz ważniejsze sprawy. Gdzie pan był w sobotę wieczorem?

- W sobotę? No więc...
- Tak?

Whitaker zastanawiał się przez chwilę, po czym triumfalnie spojrział na Banksa.

- Byłem na kolacji w Harrogate. Z księgarzami z Yorkshire. Zbieramy się raz na miesiąc, w dziesięciu. Każdy z nich to potwierdzi.

- O której pan tam przyjechał?
- O ósmej.

Banks poczuł, jak topnieją jego nadzieje. Jeśli Whitaker naprawdę spędził wieczór z dziewięcioma innymi osobami, a pożar powstał około ósmej czterdzieści pięć, to Whitaker nie mógł go wywołać. Tym bardziej że potrzeba przynajmniej godziny, żeby przejechać samochodem z Lyndgarth do Harrogate. Ale każde żelazne alibi można podważyć, jak podpowiadało Banksowi doświadczenie.

- Oczywiście sprawdzimy.
- Proszę bardzo - powiedział Whitaker. - Chce pan nazwiska pozostałych?
- Może je pan podać sierżantowi Hatchleyowi później.
- Zdaje się więc, że nie zostało nam już wiele tematów do rozmowy, prawda?

- Przeciwnie - odparł Banks. - Nadal chcę się dowiedzieć, jaką rolę pełnił w tym Gardiner i dlaczego musiał umrzeć.

- Już panu mówiłem, że nigdy nie słyszałem o żadnym Gardinerze. Jestem antykwariuszem. Od czasu do czasu pośredniczę w sprzedaży obrazów. Tylko to łączy mnie z Thomasem McMahonem. Nie wiem jednak zupełnie nic na temat niejakiego Gardinera.

Banks przerwał na chwilę przesłuchanie, szepnął coś do ucha Hatchleyowi, głównie dla efektu, po czym ponownie zwrócił się do Whitakera.

- Sprawy wyglądają tak, Leslie, że chyba powinniśmy przejść do następnego etapu postępowania - oznajmił.



- Następnego etapu? Co pan sugeruje?
- Widzi pan, dotychczas prowadziliśmy jedynie wstępne przesłuchanie - wyjaśnił Banks. - Żeby przesiać co większe kłamstwa, że się tak wyrażę. Nie jestem usatysfakcjonowany tym, co usłyszałem. W najmniejszym stopniu nie jestem. Dlatego teraz posuniemy się krok dalej. Weźmiemy pod lupę pańskie finanse, pański samochód, pańskie ubrania, transakcje pańskiej firmy oraz życie prywatne i jeśli znajdziemy jakiegokolwiek ślady tego, co nas interesuje, to wezwiemy tu pana ponownie.

Whitaker przełknął ślinę.

- Nie macie prawa tego robić - powiedział bez większego przekonania.

Banks wstał.

- Owszem, mamy - stwierdził. - Powiem więcej: zrobimy. Teraz detektyw Hatchley zapisze te nazwiska.

W poniedziałek po południu zaczęły powoli spływać wyniki z laboratorium. Zgodnie z oczekiwaniami Banksa ubrania Andrew Hursta okazały się czyste, podobnie jak ubrania Danny'ego Boya Corcorana i Patricka Asperna. Żaden z tych wyników nie zaskoczył Banksa; poza Hurstem, który uprał swoje ciuchy, nic nie łączyło ich z podpaleniem.

Banksowi odpowiadałaby wersja, że Aspern jest jakoś w to zamieszany, ale wątpił, żeby to dobry pan doktor był podpalaczem. Nie zapominał jednak, że Patrick Aspern nie ma porządnego alibi ani w jednym, ani w drugim wypadku, w dzień pożaru na barkach mógł więc pojechać nad kanał, żeby się zobaczyć z Tiną, a potem jeszcze tam wrócić. Może groziła, że ogłosi całemu światu, co jej robił. Niewykluczone, że wzniecił pożar na barce McMahona, żeby odwrócić śledztwo od Tiny. Nie udało się zlokalizować Paula Rydera, biologicznego ojca Christiny Aspern. Banks nie wyobrażał sobie, żeby ten facet miał jakieś znaczenie dla śledztwa, ponieważ nawet nie znał swojej córki. Ale przynajmniej powinien się dowiedzieć, co ją spotkało.

Były też inne kwestie do rozważenia. Przede wszystkim Banks chciał się dowiedzieć, dlaczego Andrew Hurst zrobił pranie w środku nocy. Na razie wyglądało na to, że postępowanie Hursta nie ma sensu. Posterunkowy Kevin Templeton sprawdzał jego przeszłość, podobnie jak wszystkich pozostałych, może więc coś się tam znajdzie.

Była też sprawa szkiców i akwareli Turnera, pieniędzy oraz ewentualnej działalności przestępczej McMahona i Gardinera. Może dokładniejsza analiza interesów Lesiego Whitakera przyczyni się do wyjaśnienia tego wątku.

Banks siedział w swoim gabinecie, przeglądając raporty i zlecone zadania, słuchając płyty kompaktowej z pieśniami na sopran i orkiestrę Straussa w wykonaniu Soile Isokoski. Właśnie miał zrobić sobie przerwę, żeby iść na kawę, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił dyżurny z recepcji na dole. Ktoś chciał rozmawiać z osobą prowadzącą śledztwo w sprawie pożaru na barkach. Mężczyzna nazwiskiem Lenny Knox.

Zaintrygowany Banks polecił dyżurnemu wprowadzić gościa na górę. Kilka minut później w drzwiach gabinetu stanął krzepki mężczyzna z czerwoną ospowatą twarzą.

- Niech pan usiądzie - zaprosił go Banks.

Knox usiadł. Krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Knox? - zapytał Banks, odchylając się na oparcie swojego fotela i splatając palce dłoni za głową.

- Martwię się o Marka. To znaczy Marka Siddonsa - powiedział Knox. W jego głosie pobrzmiwał liverpoolski akcent.

- Może niech pan zacznie od początku.

Knox westchnął.

- Mark to dobry dzieciak. Mój kolega. I potrafi ciężko pracować. Nie boi się ubrudzić rąk. Wykonywaliśmy prace budowlane na uczelni, wiedział pan o tym?

Banks skinął głową. Wiedział, gdzie Mark pracował.

- Ale nie o tym mowa - ciągnął Knox. - Wypuściliście go z pudła i biedak nie miał dokąd iść. W dodatku stracił dziewczynę. Zaprosi-

łem go do siebie.

- Bardzo ładny gest - pochwalił Banks.

Knox spojrział na niego i westchnął.

- Ale przyniósł odwrotny skutek do zamierzonego.
- Jak to?
- Musi pan zrozumieć, że Sal to dobra kobieta, naprawdę, ale jest... jak by to powiedzieć... Nie lubi, gdy coś się jej narzuca. Chce we wszystkim mieć swój udział, wspólnie podejmować decyzje i tak dalej. Wszystko zawsze planuje i nie lubi niespodzianek.
- Brzmi jak opis rozsądnej kobiety.
- To była moja wina. Przyproceedziłem Marka do domu i powiedziałem mu, że może zostać na noc, nie pytając jej nawet o zdanie. No i się wściekła. Mark musiał usłyszeć, jak się kłócimy w kuchni, bo po prostu dał nogę. Krzyczałem, chciałem go zawrócić, ale nawet się nie obejrzał.

Banks sięgnął po notatnik.

- Kiedy to się stało? - zapytał.
- W sobotę wieczorem.
- O której?
- Około wpół do ósmej.
- W którym kierunku pobiegł?
- Do torów kolejowych.

Banks stuknął ołówkiem o notatnik. Teren nazywany polem Jenningsa leżał na wschód od miasta, niedaleko za torami. Z kilku powodów Banks nie uważał Marka za mocnego kandydata na sprawcę pożaru na barkach, ale to stawiało sprawę w innym świetle. Mark mógł z łatwością dotrzeć do Jennings Field, zanim powstał pożar. Ale dlaczego? Czyżby był piromanem? Czy coś wywoływało w nim chęć podłożenia ognia? Złość? Poczucie odrzucenia? Był zły na Tinę, zanim wyszedł od Mandy w czwartek w nocy. Ale alibi... ustalony czas zdarzeń... ubrania... To nie miałoby sensu. Mimo wszystko trzeba go teraz odnaleźć i doprowadzić na komendę.

- Czy Mark mówił coś na temat pożaru?

- Co na przykład?
- Cokolwiek?
- Nic. Tylko że nie może się pozbierać po śmierci Tiny.
- Nie formułował żadnych podejrzeń? Żadnych domysłów na

temat tego, co się wydarzyło?

- Nie, w każdym razie mi nic nie mówił - odpowiedział Knox, a jego kolejne słowa pokazały, że żywi podobne jak Banks obawy. - Niech pan posłucha. Nie należę do tych, którzy biegają z jęczorem na policję, dlatego nie przyszedłem tutaj od razu. Martwię się o Marka. Miałem nadzieję, że może się skontaktuje, ale się nie odezwał. Nie ma nikogo innego, kto zgłosiłby jego zaginięcie. Jak mówiłem, w głębi serca to dobry dzieciak, nie taki jak większość tych, których się dzisiaj widuje. Nie ma pieniędzy i nie ma dokąd iść. Założę się, że nocuje pod gołym niebem. Wiem, że pogoda bywa gorsza, ale i tak teraz panuje za duży ziąb, żeby spać na powietrzu. Poza tym w tych rejonach temperatura szybko spada.

- To prawda - zgodził się Banks. Jeśli Mark nie ponosił odpowiedzialności za pożar na barkach, to istniało duże prawdopodobieństwo, że podpalacz chce się go pozbyć. Chłopak został bez dachu nad głową, w dodatku ktoś może na niego polować. Z pewnością nie był to idealny stan rzeczy. - Chce pan dodać coś jeszcze?

- Nie - odpowiedział Lenny. - Ale może go pan odnajdzie i powie mu, że mi przykro. Biedna Sal nie mogła dojąć do siebie, gdy się dowiedziała, że nas słyszał. Niech pan mu powie, że może wrócić do nas o każdej porze dnia i nocy. Sal też tak myśli. To naprawdę dobra dziewczyna. To był tylko szok. No i chodziło o to, że jej nie uprzedziłem.

- Co Mark miał na sobie?

- Starą złachaną kurtkę zamszową na misiu i dzinsy z podwiniętymi nogawkami. Ciuchy wyglądały jak z lumpeksu.

Banks uśmiechnął się, słysząc opis własnych starych ubrań, które dał Markowi.

- Wyślemy jego opis do wszystkich posterunków.

- Tylko go nie przestraszcie, dobrze? - poprosił Lenny. - Nie wiem, jak się zachowa zagoniony w kąt. Jest w takim stanie, że mógłby się wygłupić.

- Postaramy się, panie Knox. Teraz najważniejsze jest, żeby go znaleźć. Nie przypuszczam, żeby pan miał jego fotografię.

- Ja? Nie mam. Nie zrobiliście mu zdjęcia, jak siedział w pace?

- Nie robimy tego rutynowo, panie Knox. Musimy mieć powód i pozwolenie na utrwalenie wizerunku. Po prostu w przypadku Marka fotografia nie była konieczna.

Knox wstał.

- No dobrze - powiedział. - Dacie mi znać?

- Proszę mi zostawić numer telefonu. Dopilnuję tego osobiście.

Knox podyktował mu numer.

- Dziękuję - powiedział.

Gdy Knox opuścił gabinet, Banks podszedł do okna. Odtwarzacz przeskoczył już do jego ulubionych *Czterech ostatnich pieśni*. Przypomniał sobie pewną sytuację, do której doszło przed wielu laty, zanim jeszcze wszystko się popsło, gdy wrócił do domu bardzo późno po oględzinach miejsca zamordowania nastoletniej dziewczyny na cmentarzu w Eastvale. Siedział z papierosem w ręku, pił laphroaig i słuchał właśnie *Czterech ostatnich pieśni*, wtedy w wykonaniu Gunduli Janowitz, gdy do pokoju weszła jego córka Tracy, która się obudziła i zesłała na dół zapytać, co się stało.

Krótko rozmawiali, oczywiście Banks nie powiedział jej o morderstwie, a potem pili razem kakao, przytuleni do siebie na kanapie, słuchając pieśni Straussa. Ta chwila na zawsze wyryła się w jego pamięci, także dlatego, że nigdy się nie powtórzyła. Tracy się wyprowadziła, miała teraz własne życie. Sandra też odeszła. I Brian.

Dzień był szary, ale dość ciepły. Na szczęście dla Marka. Wielu ludzi kręciło się po rynku oraz robiło zakupy przy Market Street i York Road. Fasadę kościoła pokrywało rusztowanie, jak szkielet zewnętrzny, a pogoda pozwalała konserwatorom prowadzić prace nad starymi kamiennymi murami i ołowianym pokryciem dachowym.

Pomyślał o Marku, który mówił, że chce pracować przy renowacji kościołów. Banks znał Neville'a Laudera, kamieniarza odpowiedzialnego za prace renowacyjne, z pubu Queen's Arms. Może szepnęłoby mu słówko? Musiał jednak zachować obiektywizm. Owszem, Lenny właściwie ocenił Marka, a sam Banks polubił tego chłopaka i bardzo mu współczuł, nadal jednak istniała możliwość, że Mark Siddons jest zabójcą.

- Ma pan chwilkę, panie inspektorze?

Banks odwrócił głowę. Sierżant Hatchley.

- Wejdz, Jim - zaprosił. - Jak się masz?

- Dziękuję, panie inspektorze, nieźle. - Jim Hatchley usiadł i przesunął dłonią po swoich potarganych włosach w kolorze słomy.

Nadal wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy oraz opuchniętą płamistą twarz. Ale przecież nie tylko dochodził do siebie po ostrej grypie, ale też jego najmłodsze dziecko ząbkowało. Małe dzieci potrafią uprzykrzyć życie. *Czy Sandra nie dosypia?* zastanawiał się Banks. Wyglądała dobrze, kiedy ją ostatnio widział, ale to mogło się zmienić, jeśli małej Sinéad zaczęły wyrzynać się zęby.

- O co chodzi? - zapytał Banks. - Coś w związku z alibi Whitakera?

- Na razie się potwierdza - odpowiedział Hatchley. - Ale jeszcze za wcześnie, żeby mieć pewność. Teraz chodzi mi o zadanie, które mi pan zlecił wcześniej. Marka Davida Siddonsa.

- Tak?

Hatchley pokręcił głową.

- Biedny skurczybyk - westchnął.

- Co mi powiesz?

- Jego matka nazywała się Sharon Siddons. Jeśli potrafiła być matką, bo to zdzira jakich mało. Od początku to nazwisko coś mi mówiło. Mieszkali w East Side Estate, bo niby gdzie indziej? Zmarła rok temu. Rak płuc.

- Ojciec?

- Nieznany - odpowiedział Hatchley. - Sharon była nie tylko

dziwką, ale i alkoholizką. Zaczęła młodo. Przez jakiś czas pracowała jako prostytutka, dopóki nie zaszła w ciążę w wieku siedemnastu lat. Potem w jej życiu pojawiła się długa kolejka mężczyzn. Przeważnie nieudacznicy, z których żaden nie zagrzał miejsca dłużej. Ostatni był prawdziwym uosobieniem wdzięku i uroku osobistego.

Nazywał się Nicholas Papadopoulos. Zapewne pan o nim słyszał?

- Szalony Nick?
- We własnej osobie.

Banks istotnie słyszał o Szalonym Nicku. Nie dało się być gliniarzem w Eastvale przez pięć minut i o nim nie usłyszeć. Zakłócanie porządku, włamania, rozboje, poważne uszkodzenie ciała. Można było wybrać dowolne przestępstwo - Szalony Nick z pewnością je popełnił, jeśli nie wymagało wysilania szarych komórek. Powstrzymał się tylko przed morderstwem. Żeby go ująć ostatnim razem, trzeba było czterech naprawdę postawnych policjantów, inaczej nie dałoby się go obezwładnić i zaciągnąć na komendę. Nie przestawał się szarpać i przeklinać, a gdy już znalazł się w celi, doprowadzał do szału dyżurnych funkcjonariuszy, bez przerwy przeklinając i waląc w drzwi.

- Czy w tej chwili jest gościem Jej Królewskiej Mości?
- Istotnie - potwierdził Hatchley. - Tak się dziwnie składa, że jest.

I będzie jeszcze przez dłuższy czas. Podczas włamania do hurtowni zdzielił młotkiem dozorcę nocnego, rozłupując mu czaszkę.

- Jak długo był z tą Siddons?
- Dopóki nie zaczęła mieć objawów raka - odpowiedział Hatchley. - Wtedy popędził stamtąd jak strzała. Umierała sama, w wielkich cierpieniach. Głupia krowa.

- Mieszkał tam jeszcze, gdy Mark uciekł z domu?

- Tak. Prawdopodobnie był powodem ucieczki. Niech pan sobie wyobrazi, że Mark spuścił mu wyjątkowo solidne lanie. W każdym razie na tyle porządne, że Szalony Nick wylądował w szpitalu na kilka dni. Złamany nos i kilka żeber. Dwadzieścia szwów na skórze głowy. Wstrząśnienie mózgu. Mark wziął go z zaskoczenia. Sąsiedzi mówią,

że chłopak się wściekł. Nawet matka nie zdołała go odciągnąć.

- Dobrze mu tak - ucieszył się Banks. - Nick nie szukał zemsty?

Przecież to do niego niepodobne.

- Nie mógł znaleźć chłopaka, a później poszedł siedzieć za hurtownię.

- Ale sam Mark nie ma kartoteki?

- Nie. Mieliśmy go na liście podejrzanych w sprawie kilku włamań do domów prywatnych, a raz został przyłapany na próbie kradzieży w sklepie HMV, ale nie postawiono mu zarzutów. To wszystko.

- Coś ważnego, za co go nie dopadliśmy?

- Nie. Przynajmniej nie udało mi się dotrzeć do żadnych takich informacji.

Banks wiedział, że jeśli ktokolwiek zdołałby coś w tej sprawie ustalić, to na pewno Hatchley dysponujący długą listą szpicli i parą oczu w praktycznie każdym pubie na terenie Eastvale.

- Czyli można powiedzieć, że to spokojny chłopak? - zawyrokował.

- Na to wygląda - zgodził się Hatchley. - Uczęszczał do państwowej szkoły średniej w Eastvale, ale często wagarował. Nie narobił tam sobie problemów, jeśli nie liczyć lekkiej szarpaniny z pewnym nauczycielem, ale też nie zabłysnął wiedzą. Był dobry w sporcie. Mam szukać dalej?

- Cokolwiek w jego biografii wiąże się z ogniem?

- Niczego takiego nie znalazłem.

- Nie próbował podpalić szkoły albo domu po bójce z Szalonym Nickiem?

- Wybiegł stamtąd i nigdy nie wrócił.

- Rozsądnie - ocenił Banks.

Zważywszy na to, czego Mark doświadczył w swoim życiu, zarówno od matki oraz jej kolejnych partnerów, jak i od Szalonego Nicka Papadopoulosa, nie zaskakiwał fakt, że chłopak bez zastrzeżeń uwierzył w jeremiady Tiny. Nie znaczyło to oczywiście, że dziew-



czyna kłamała, a sam Banks nie miał wątpliwości, że w domu Aspernow coś było nie tak. Musiał też uwzględnić jeszcze jedno: ze słów Hatchleya wynikało jasno, że Mark ma wybuchowy charakter, nawet jeśli jego bunt przeciwko Szalonemu Nickowi był całkowicie usprawiedliwiony. Trzeba więc mieć oko na tego chłopaka.

- Dobrze, Jim. Dziękuję ci bardzo - powiedział Banks.
- Proszę - odparł Hatchley. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Do poniedziałkowego popołudnia Mark dotarł w okolice Sutton Bank i padał z głodu. Tym bardziej się cieszył, że poprzedniego dnia wrócił do pubu na lunch po szoku wywołanym zdjęciem Tiny w telewizji. Barman spojrział na niego spode łba, ale poza tym jego raptowne wyjście przeszło kompletnie niezauważone. Wieczorem zjadł rybę z frytkami i znalazł kolejną starą stodołę, w której się przespał. W poniedziałek rano wstał wcześniej. W kieszeni miał pieniądze tylko na batonik czekoladowy. Przeszedłszy kilka kilometrów, uświadomił sobie, że próbuje pokonać na piechotę trasę od wybrzeża do wybrzeża, a to zajęcie dobre dla skautów, postanowił więc podjechać kawałek stopem.

Tuż za Northallerton mężczyzna ciągnący przyczepę dla koni podwiózł go do Thirsk. Przez całą drogę czuł, jak za jego plecami nerwowo kręci się koń i zdawało mu się, że wyczuwa smród łajna. Kierowca prawie się nie odzywał, po prostu wysadził go na High Street. Teraz stał na Scarborough Road z nadzieją, że znowu jakaś dobra dusza się nad nim ulituje.

Było szare popołudnie. Chmury wisiały bardzo nisko, a wilgoć doskwierała tak bardzo, że miało się wrażenie, jakby padał drobny deszcz. „Mgławka”, jak mówili na to w Yorkshire, opisując dojmująco chłodną kombinację mgły i mżawki. Ruch był niewielki, a większość samochodów i ciężarówek mijała go ze świstem, nawet nie zwalniając. Mark wiedział, że jeśli dotrze do Scarborough, to ma tam szansę znaleźć jakąś pracę fizyczną. Nieważne co: kopanie rowów, rozbiórka domów, budowa - potrafił dobrze wykonać niemal każdą

pracę, pod warunkiem, że nie wymagała ona wykształcenia. Szkoła tylko na krótko oderwała go od dzieciństwa i dorastania.

Przejeżdżający patrol policyjny zwolnił trochę tuż przed nim. Mark zamarł. Wiedział, że gliniarze nigdzie go nie podwiozą. Co najwyżej stłuką go na kwaśne jabłko i zostawią zakrwawionego gdzieś w polu. Ale czarny scenariusz okazał się wytworem jego wyobraźni, bo radiowóz minął go i zniknął w oddali.

Mark włókł się nogą za nogą, nie zawracając już sobie nawet głowy machaniem. Przeszedł kilka ładnych kilometrów, cały czas widząc przed sobą stromy grzbiet Sutton Bank, gdy usłyszał za plecami nadjeżdżające auto i wystawił kciuk. Samochód zatrzymał się niecałe dziesięć metrów przed nim. Całkiem elegancki samochód. Audi błyszczące jakby przed chwilą je umyto. Miła odmiana po przyczepie z koniem. Przez chwilę Mark się zastanawiał, czy to nie zabójca, skąd jednak wiedziałby, gdzie go szukać?

Kierowca pochylił się, żeby otworzyć okno od strony pasażera. Mark zobaczył faceta w średnim wieku w piaskowej kurtce i skórzanych rękawiczkach samochodowych. Nigdy wcześniej go nie widział.

- Dokąd idziesz? - zapytał.
- Scarborough - odpowiedział Mark.
- Wskakuj.

Facet sprawiał wrażenie miłego. Mark wsiadł do samochodu.

## Rozdział 10

Banks chwycił skórzaną kurtkę, wyszedł tylnymi drzwiami i usiadł za kierownicą swojego renault z dziewięćdziesiątego siódmego roku, myśląc, że chyba już czas kupić nowy samochód, może coś bardziej sportowego, jeśli będzie go stać. Nic szpanerskiego i na pewno nie czerwony. Może butelkowa zieleń. Auto z opuszczanym dachem nie miałyoby sensu w Yorkshire, ale może jakiś sportowy model? Samochód na kryzys wieku średniego, choć nie czuł się tak, jakby go przechodził. Czasem miał wrażenie, że jego życie zostało wstrzymane na czas nieokreślony, ale to przecież trudno nazwać kryzysem. Na pewno wiedział tylko to, że się starzał; nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Chwilę wcześniej jego uwagę zwróciła pewna informacja na temat Andrew Hursta. Annie wybrała się do Phila Keane'a, żeby mu pokazać Turnery znalezione u Rolanda Gardinera - nadinspektor Gristhorpe łatwo się zgodził na dopuszczenie rzeczoznawcy - Banks postanowił więc pojechać nad kanał sam. Wsunął do odtwarzacza starą płytę Vana Morrisona, żeby rozproszyć styczniowy smutek, choć nie był całkowicie przekonany, że jego przyczyną jest zimowa pogoda, i odjechał przy dźwiękach *Jackie Wilson Said*. Miał przed sobą trochę ponad półtora kilometra do krańców miasta, obok odnowionego budynku uczelni, a następnie jeszcze kilka kilometrów do kanału, przeważnie w terenie niezabudowanym. Droga z kamiennym murem bez zaprawy po obydwu stronach wiła się wśród łąk pełnych krów i owiec, od czasu do czasu mijając teren zalesiony i przełazy z drogowskazami dla turystów. Pogoda raczej nie sprzyjała pieszym wycieczkom. Piechur złapałby przeziębienie i ugrzązł w błocie, próbując pokonać otwarty teren. Krajobraz spłaszcział się bliżej

kanalu, co oczywiście było powodem, dla którego wykopano go akurat w tym miejscu. Banks szybko znalazł wąską drogę prowadzącą do domku służowego. Zaparkował przy ścieżce holowniczej i wyłączył Vana w chwili, gdy zaczynał śpiewać *Listen to the Lion*.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Hurst podszedł do drzwi, a gdy je otworzył, wyglądał na zaskoczonego widokiem Banksa na swoim progu.

- Znowu pan - powiedział.
- Niestety - odparł Banks. - Nie spodziewał się pan mojej wizyty? Hurst unikał jego wzroku.
- Powiedziałem już wszystko, co wiem.
- Chyba ma mnie pan za idiotę. Mogę wejść?
- I tak pan wejdzie. - Hurst otworzył drzwi na całą szerokość i

odsunął się na bok. Przedpokój był niski, mężczyzna musiał się trochę zgarbić. Banks wszedł do tego samego pomieszczenia, w którym rozmawiali poprzednio, gdzie Hurst trzymał swoją okazałą kolekcję płyt winylowych. Helen Shapiro śpiewała *Lipstick on your collar*. Hurst wyłączył gramofon, gdy tylko wszedł za Banksem do środka, jakby słuchanie muzyki stanowiło jakiś intymny rytuał albo doświadczenie, którym nie chciał się dzielić.

Postępował pedantycznie. Delikatnie podniósł ramię gramofonu, potem zatrzymał talerz, zdjął z niego płytę i pieczołowicie wsunął ją do koperty. Na okładce płyty Banks zauważył tytuł *Tops With Me* i uśmiechniętą piosenkarkę. Banks całkiem zapomniał o Helen Shapiro. Nie był nigdy jej fanem, a już na pewno nie tak wielkim, żeby znać tytuły płyt, ale przecież kupił kiedyś wyjęty z szafy grającej egzemplarz *Walkin' Back to Happiness* od handlarza na Cathedral Square w Peterborough. Miał wtedy jakieś dziesięć lat. Jeszcze nie postawili hali targowej. To była czterdziestkapiątka z dużym otworem na środku, żeby jej słuchać, musiał więc nakładać na talerz specjalne plastikowe kółko.

Banks przysiadł na fotelu. Nie zdjął skórzanej kurtki, ponieważ piec elektryczny nie był włączony i w domu panował chłód. Hurst

miał na sobie gruby golf z szarej wełny. Banks zastanawiał się, czy facet jest zbyt biedny, żeby płacić duże rachunki za prąd.

- Dlaczego nie powiedział nam pan o swojej kryminalnej przeszłości - zaczął Banks. - Zaoszczędziłby nam pan wielu kłopotów. O takich rzeczach i tak się dowiadujemy dosyć szybko, tylko wtedy wygląda to o wiele gorzej dla pana.

- Nie poszedłem do więzienia. Poza tym to nie było...

- Nie będę słuchał pańskich tłumaczeń - przerwał mu Banks. - I wiem, że nie siedział pan w więzieniu. Dostał pan wyrok w zawieszeniu. Miał pan szczęście, że się sędzia nad panem ulitował.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z bieżącymi wydarzeniami.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że pan to doskonale wie. Został pan oskarżony o współudział w próbie podpalenia hurtowni. Niski wyrok zapadł tylko dlatego, że wciągnął pana w to przełożony z pracy i to on zapalił zapałkę. Ale pomógł mu pan, dał mu pan fałszywe alibi i kłamał pan w śledztwie.

- Przecież to była moja praca! I mój szef! Co miałem zrobić?

- Proszę nie oczekiwać, że rozwiążę pańskie problemy moralne. W każdej sytuacji mamy jakiś wybór. Pan dokonał złego. I tak stracił pan pracę, a zyskał tylko wpis do kartoteki kryminalnej. Gdy ubezpieczyciel nabrał podejrzeń i zawiadomił policję, pańska firma zbankrutowała. Od tamtej pory kilka razy na krótko znajdował pan jakieś zatrudnienie, częściej jednak był pan na zasiłku. - Banks rozejrzał się po pokoju. - Miał pan szczęście, że spłacił pan większość kredytu hipotecznego. Dzięki gotówce, którą szef dał panu za współudział w podpaleniu?

Hurst nie zaprotestował. Banks miał więc rację.

- Czy to wtedy zagustował pan w pożarach?

- Nie gustuję w pożarach. Nie wiem, o czym pan mówi.

- O barkach rzecznych, Andrew. O barkach rzecznych.

Hurst zerwał się na równe nogi.

- Nie może pan mnie o to oskarżać! - Dźgnął się kciukiem w pierś. - To ja wezwałem straż pożarną, pamięta pan?

- Kiedy było już o wiele za późno. Chowanie się po krzakach w okolicy barek, prawdopodobnie, żeby podglądać Tinę Aspern. Brak alibi. Upranie ubrania zanim zdążyliśmy oddać je do laboratorium kryminalistycznego. Niby na co to wygląda pańskim zdaniem? Koniec żartów, Andrew. Dlaczego pan to zrobił? Dla emocji?

Hurst usiadł, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

- Nie zrobiłem tego - powiedział. - Słowo. Nie zrobiłem. Niech pan posłucha! Wiem, że to kiepsko wygląda, ale mówię prawdę. Siedziałem tutaj sam cały wieczór, oglądając filmy. Jak prawie codziennie. Czasem czytam książkę. Nie prowadzę praktycznie żadnego życia towarzyskiego i nie mam pracy. Co innego miałbym robić?

- Czuje się pan gorszy od innych, Andrew? O to chodzi? Czy złość i gniew narastają tak długo, aż staną się tak silne, że w końcu musi pan dać im upust, podpalając jakiś obiekt?

- To niedorzeczne! Robi pan ze mnie jakiegoś piromana!

- A nie jest pan nim?

- Oczywiście, że nie! A w tym pożarze, którego nie wywołałem, nawiasem mówiąc, chodziło wyłącznie o pieniądze. Nikt nie zginął. Nikt nie miał chorej radości, patrząc na płomienie. To był tylko sposób, żeby poradzić sobie z problemami finansowymi.

- Niewykluczone, że o to samo chodziło na barkach.

- Ach tak? Czyby zmieniał pan podejście? Nie, nie jestem śliniącym się piromanem, tylko praktycznie nastawionym do życia biznesmenem, radzącym sobie z problemami. - Skrzyżował ramiona. - Tylko jaki w tym przypadku miałby to być problem?

- Może pańskim problemem była Tina Aspern.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Może dziewczyna chciała na pana donieść. Przecież ją pan podglądał, prawda?

- Nie.

- Gdzie pan był w sobotę wieczorem?

- W sobotę? Tam gdzie zwykle. Tutaj.

- Oglądał pan kolejny film wojenny?  
- *Komandosów z Nawarony*, jeśli pan chce wiedzieć. Wyjątkowo niedoceniony film.

- Powiem jasno, Andrew. W dupie mam pańskie recenzje filmowe. Interesuje mnie tylko to, że trzy osoby nie żyją, a pan może być odpowiedzialny za ich śmierć. Słyszał pan kiedyś nazwisko Gardiner? Roland Gardiner?

- Nie.

- Leslie Whitaker?

- Nie.

- Jakim samochodem pan jeździ?

- Nie jeżdżę. Nie stać mnie na samochód i nie jest mi potrzebny.

To oznaczało, że Hurstowi trudno byłoby przejechać do Jennings Field i z powrotem w sobotę wieczorem. Ale przecież mógł wsiąść do autobusu, pomyślał Banks.

- Ciągle pan węszy w całej okolicy. Widział pan kiedyś jakiś samochód zaparkowany w pobliżu barek? - zapytał.

- Kilka razy.

- Co to było za auto?

- Różne. Zazwyczaj samochody wycieczkowiczów, latem.

- A ostatnio?

- Raz, może dwa.

- A co sprawiło, że tak dokładnie pan zapamiętał?

- Bo to była jakaś terenówka. No wie pan, jeep cherokee, land cruiser, range rover albo coś podobnego. Nie jestem na bieżąco z modelami.

- Ale na pewno był to samochód terenowy?

- Na pewno.

- Jakiego koloru?

- Ciemny. Niebieski albo czarny.

- Widział pan kierowcę?

- Nie.

- Wróćmy do pożarów. Dlaczego tak często kręcił się pan koło

barek. Chodziło o dziewczynę?

Hurst odwrócił wzrok i zaczął przeglądać swoją wielką kolekcję longplayów, poruszając wargami, jakby bezgłośnie odczytywał kolejne tytuły. Zadzwoił telefon komórkowy Banksa. Inspektor przeprosił i wyszedł na zewnątrz, żeby odebrać. Dzwonił posterunkowy Templeton z komendy.

- Znaleźliśmy właściciela barek, panie inspektorze.
- Dobra robota - pochwalił Banks.
- To gruba ryba miejscowego biznesu. Nazywa się sir Laurence West. Jest właścicielem banku kupieckiego.
- Nie mogę powiedzieć, że bym o nim słyszał - powiedział Banks.
- Ale w końcu nie obracam się wiele w tych kręgach.
- Już się z nim skontaktowałem telefonicznie - podjął Templeton.
- Zechciał udzielić audiencji w swoim biurze jutro, będzie pan jednak musiał się umówić na konkretną godzinę.
- Miło z jego strony.
- Mam wrażenie, że on także był przekonany o własnej wspaniałomyślności w tym względzie.
- Rozumiem. Dobrze Kev, dziękuję. Wybiorę się tam osobiście jutro rano, skoro facet jest aż taki ważny. - Poza tym Banks uznał, że miło będzie się wyrwać choćby na jeden dzień. Wybierze się pociągiem, jeśli rozkład będzie pasował. Pociągiem jedzie się do Londynu szybciej niż samochodem i nie ma tyle zamieszania. Poza tym podczas podróży koleją można trochę się zrelaksować, gdy się zabierze dobrą książkę albo jakieś płyty kompaktowe. - Umów mnie na dziewiątą rano, dobrze?
- Tak jest.
- Jakie odniosłeś pierwsze wrażenie?
- Że jestem intruzem, który zabiera mu cenny czas. Trzeba było mu przypomnieć, że barki należą do niego.
- W takim razie nie możemy liczyć na wiele, ale trzeba to odfajkować.
- Jeszcze jedno, panie inspektorze.



- Tak?
- Dzwoniła do pana kobieta.
- Jaka kobieta?
- Maria Phillips z galerii sztuki. Chce się z panem spotkać jeszcze raz. Powiedziała, że będzie czekać w Queen's Arms o osiemnastej trzydzięci. Chyba jej się pan podoba, panie inspektorze.
- Jakoś sobie z nią poradzę. Coś jeszcze?
- Sierżant Nowak chce się z panem widzieć jak najszybciej.
- Gdzie jest?
- Tutaj, w swoim pokoju.
- Powiedz mu, żeby czekał. Wrócę za pół godziny.
- Tak, panie inspektorze.

Banks wyłączył telefon i wrócił do Andrew Hursta, który siedział w tym samym fotelu, ogryzając paznokiec. Banks nie widział sensu w ciągnięciu tematu podglądania. Jeśli Hurst chciał zobaczyć Tinę nago, to i tak się do tego nie przyzna. Nawet gdyby się przyznał, to co Banks mógłby z tym zrobić? Tina nie zażąda już ścigania podglądacza. Jeśli jednak zauważyła go któregoś razu i zagroziła, że doniesie na niego policji? Nie, dysponował słabymi dowodami, żeby powiązać Hursta z pierwszym pożarem i nie miał zgoła nic, co łączyłoby go z drugim. Poza tym ogień na pewno zaczął się na barce McMahona. Po co ryzykować starcie z dorosłym mężczyzną, skoro można podpalić przysypiającą ćpunkę? Banks uznawał Hursta za dziwaka i prawdopodobnie podglądacza, coraz bardziej jednak sobie uświadamiał, że to donikąd nie prowadzi. Jedynym oczywistym motywem Hursta byłaby zemsta na McMahonie za zdecydowanie nieuprzejme potraktowanie podczas sąsiedzkiej wizyty, ale to nie popchnęłoby go do morderstwa, chyba że był bardziej stuknięty, niż się zdawało. Ale i tak Banks miał wystarczająco dużo wątpliwości co do niego, żeby nie skreślać go z listy podejrzanych.

- Dlaczego uprał pan ubrania? - zapytał Banks. - Z kurtką włącznie. Musi pan przyznać, że to wygląda podejrzanie.

Hurst spojrzał na niego.

- Wiem, że wygląda. Chciałem po prostu... - Pokręcił głową. - Nie wiem. Może nie myślałem logicznie. To znaczy tak, wiedziałem, że w końcu dotrzecie do informacji o moim aresztowaniu w związku z podpaleniem. Nie mam was za idiotów. Liczyłem tylko na to, że do czasu, kiedy się o tym dowiecie, wpadnie ten, kto to zrobił, nie będziecie więc widzieli we mnie podejrzanego. Podszedłem na tyle blisko ognia, żeby na moim ubraniu pozostały ślady. Wszystkie rzeczy śmierdziały dymem i terpentyną. Wiem, jaką techniką kryminalistyczną dysponujecie obecnie. Nie chciałem spędzić nocy na komisariacie.

- Śmierdział pan terpentyną?
- Tak. Zapach unosił się w powietrzu.
- Nie powiedział pan nam tego za pierwszym razem.
- Nie chciałem być w nic zamieszany.

Gdyby Banks dostawał jednego pensa za każdym razem, kiedy słyszał te słowa podczas rozmów z ludźmi, to byłby już bogaty. Wstał z miejsca.

- Ma pan dużo szczęścia, że nie wsadzę pana do pudła za marnowanie czasu policji - powiedział, rzucając Hurstowi swoją wizytówkę. - Proszę nie wyjeżdżać jeszcze na wakacje, a jeśli uzna pan, że może nam w czymś pomóc, to proszę do mnie zatelefonować.

Hurst ponuro skinął głową, po czym położył wizytówkę na stoliku.

- Może pan teraz wrócić do swojej Helen Shapiro - rzucił Banks i wyszedł.

Ilekcroć Annie przekraczała próg domku Phila, nie mogła się nadziwić, jaki panuje tam ład. Oczywiście nie wszyscy mężczyźni, których dotychczas знаła, byli brudasami - choćby Banks, w zasadzie dbający o porządek, jeśli nie liczyć opakowań płyt kompaktowych piętrzących się na stoliku, zwykle obok pustej szklaneczki po whisky i przepelnionej popielniczki - ale w domku Phila panował niemal wojskowy porządek. Wszędzie rozchodził się zapach sosnowego odświeżacza powietrza. A przecież nie był to jego główny dom i nie spędzał tam

wiele czasu. Zastanawiała się, jak wygląda jego londyńskie mieszkanie. Wspominał, że to gdzieś w Chelsea. Może niedługo spędzą weekend w Londynie. Chociaż taka wycieczka sporo by ją kosztowała, to jednak mogłaby sobie na nią pozwolić, w odróżnieniu od podróży do Nowego Jorku, zwłaszcza że nie musiałyby się zatrzymać w hotelu.

- Jak miło cię widzieć - przywitał ją Phil, zamykając za nią drzwi.
- Ale nie jest to towarzyska wizyta - powiedziała Annie, uśmiechając się, żeby złagodzić wydźwięk tych słów. - Potrzebuję twojej pomocy. - Nadal była zła na Banksa, Phil nie musiał jednak wiedzieć o tej ostrej wymianie zdań.

Phil uniósł brwi.

- Mam pełnić funkcję konsultanta? Oficjalnie?
- Za zgodą samego nadinspektora. Ni mniej, ni więcej.
- Tylko jak mógłbym ci pomóc?

Annie poprosiła, żeby wypełnił niezbędne dokumenty, po czym rozsunęła aktówkę i położyła na stole szkice i akwarelę Turnera, już opisane i zabezpieczone w plastikowych torebkach na dowody rzeczowe.

- No, no - mruknął Phil. - To dopiero niespodzianka. Skąd je macie?

- Z ognioodpornego sejfu w przyczepie, doszczętnie spłonęła w weekend. Sejf należał do faceta nazwiskiem Roland Gardiner.

- Chodzi o pożar, z powodu którego musiałaś przerwać naszą kolację, prawda?

- Ten sam.

Phil pochylił się nad szkicami i uważnie je oglądał. Annie zauważyła, że w skupieniu zmarszczył brwi. Gdy skończył, odwrócił się do Annie.

- Co jeszcze znaleźliście w sejfie?
- Tylko pieniądze. Żadnych innych szkiców, jeśli o to pytasz.
- Raczej o jakieś dokumenty, listy albo katalogi wystaw. Niczego takiego nie było?

- Nie.
- Szkoda. - Phil wyjął z pudełka na półce duże szkło powiększające, po czym wrócił do szkiców, żeby obejrzeć je jeszcze dokładniej.
- Wygląda to na autentyczny papier z epoki - powiedział. - Miałbym lepszą orientację, gdybym mógł go dotknąć.
- Niestety nie możesz - odparła Annie. - Jeszcze nie zebrano odcisków palców.
- Czyje odciski spodziewacie się znaleźć?
- Nigdy nie wiadomo. Może ofiary. A może Thomasa McMahaona, jeśli między obydwoma sprawami jest jakiś związek.
- Sądzisz, że szkice i akwarela to fałszerstwo McMahaona?
- Nie wiem. Między innymi dlatego przyszedłem z tym do ciebie.
- Tylko jak zidentyfikujecie odciski McMahaona? Zakładam, że jego ciało spłonęło, właściwie że spłonęły ciała obydwu tych mężczyzn. Jeśli tak, to ich dłonie...
- Owszem. Ale któryś z nich mógł być notowany z jakiegoś powodu... - Przypomniała sobie o książce, którą Jack Mellor pożyczył od Gardinera. Istniała szansa, że zachowały się na niej odciski właściciela. Albo na jakimś przedmiocie, którego używał, mieszkając jeszcze z żoną na osiedlu Daleside Estate. Z Thomasem McMahaonem może nie pójść tak łatwo, ale była pewna, że jeśli poszukają, to w końcu znajdą także jego odciski. - Musimy próbować - dodała.
- Jak zbierzecie odciski z papieru, skoro nie widać ich przez szkło powiększające?
- Zostawiam to fachowcom - odpowiedziała. - Jeśli się nie mylę, używają do tego ninhydriny albo czegoś podobnego. Nie znam się na tym.
- Tylko czy nie zniszczą w ten sposób papieru? Jeśli to autentyczne Turnery...
- Na pewno wezmą to pod uwagę. Zapewne użyją jakiegoś źródła światła, lasera albo ultrafioletu. Naprawdę nie wiem, Phil. Technologia nieustannie się zmienia, trudno za nią nadążyć. Ale nie martw

się, nasz ekspert od daktyloskopii z pewnością wie, co robi. Na pewno nie zniszczy dzieła sztuki, zwłaszcza jeśli okaże się oryginałem.

- To dobrze - ucieszył się Phil. - Zakładam więc, że przyniosłaś je tutaj, bo chcesz, żebym ocenił, czy są prawdziwe czy podrobione?

- To by nam bardzo pomogło - stwierdziła Annie. - Prawdę mówiąc, cokolwiek, co nam powiesz o tych szkicach, może się okazać pomocne.

- Nie będzie łatwo, zwłaszcza że owinęliście szkice w folię. Oczywiście mogę wydać opinię natychmiast, bez przygotowania, opierając się na mojej znajomości stylu artysty, ale powinienem przeprowadzić testy, skonsultować się z innymi ekspertami i tak dalej. Proweniencja też ma wielkie znaczenie podczas ustalania, czy dzieła są autentyczne czy nie.

- Obawiam się, że na razie musi wystarczyć szybka opinia.

- No więc, szkice przypominają prace Turnera z dużego szkicownika i kieszonkowego notesu, których używał podczas objazdu Yorkshire w tysiąc osiemset szesnastym roku, można więc porównać je z niekwestionowanymi oryginałami. Oczywiście później, gdy zrobicie z nimi co należy.

- Czy to niezwykle, że autor zrobił więcej niż jeden szkic tego samego?

- Nie, bynajmniej. Turner rysował dziesiątki szkiców do cyklu Richmondshire. Zapełnił trzy szkicowniki. No właśnie. Interesujące jest, że zwykle rysował nie na luźnych kartkach, tylko w bloku.

- To argument przeciwko autentyczności tych prac?

Phil uśmiechnął się do niej.

- Nakazuje ostrożność, tylko tyle - powiedział. - Autentyczna czy nie, to z pewnością piękna akwarela - kontynuował. - Spójrz na mgłę wirującą wokół wierzchołka Ingleborough. Jakby się poruszała. I nie ma żywej duszy, widzisz? Jest wcześniej rano, tuż po świcie. Turner zawsze chętnie pieczołowicie oddawał porę dnia oraz warunki pogodowe. Zauważyłaś tego pawia w tle z prawej strony? Cóż za cudowny szczegół!

Annie obejrzała w życiu wiele obrazów, nierzadko wysłuchując przy tym wskazówek ojca, a nawet sama malowała całkiem znośne pejzaże, choć czas rzadko na to pozwalał, brakowało jej jednak znajomości technik i historii, dlatego zawsze czegoś się dowiadywała z wypowiedzi Phila. Między innymi to jej się w nim podobało: wiedza oraz pasja, z jaką podchodził do sztuki.

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego sądzisz, że to falsyfikaty? - zapytał.

- Nie jestem oczywiście specjalistką - powiedziała. - Kieruję się raczej okolicznościami, w których je znaleźliśmy. Poza tym to chyba zbyt wielki zbieg okoliczności, że te szkice wypłynęły tak krótko po odkryciu tamtego Turnera, nie sądzisz? I skąd Roland Gardiner, ofiara pożaru przyczepy, wziąłby Turnera oraz około półtora tysiąca funtów w gotówce? Jeśli weźmiemy pod uwagę to, o czym rozmawialiśmy wczoraj, że McMahan kupował od Lesliego Whitakera osiemnasto- i dziewiętnastowieczne książki dla wyklejek, to... Sama nie wiem. Może doszukujemy się związków tam, gdzie ich nie ma, ale przyznasz, że byłby to naprawdę zaskakujący zbieg okoliczności. Dwa morderstwa w dwa dni, właściwie trzy, jeśli liczyć tę dziewczynę, malarz kupujący stary papier, te Turnery i pieniądze.

- Twoim zdaniem ten cały Whitaker miał z tym coś wspólnego?

- Niewykluczone - odpowiedziała.

- Czy oni znali się nawzajem? Roland Gardiner i ten malarz?

- Nie ustaliliśmy. Jeszcze nie. Ale szukamy związków między nimi. Chciałam tylko, żebyś się wypowiedział, czy to prawdziwe Turnery, szczególnie akwarela.

- Na pierwszy rzut oka wygląda na prawdziwą. Jeśli nie, to jest cholernie dobrym falsyfikatem. Żeby jednak zyskać absolutną pewność, musiałbym się poprzyglądać trochę dłużej, może pokazać kolegom, wykonać kilka testów. Zbadać odciski palców, tak samo jak wypadku tego drugiego obrazu. Radiografia, ultrafiolet. Fotografia podczerwona. Komputerowe przetwarzanie obrazu. Analiza pigmentu i tym podobne. Próbowalibyśmy też ustalić pochodzenie i historię

akwareli, jeśli jakaś istnieje. A przecież na to wszystko się nie zgodzicie.

- Niestety nie - potwierdziła Annie. - W każdym razie nie w tej chwili. Jak mówiłam, najpierw musimy sprawdzić odciski palców. Akwarela może też być dowodem w sprawie.

- Dowodem na co?

- Nie wiem. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - W mojej pracy czasem tak się zdarza.

Phil odwzajemnił uśmiech.

- W mojej także. Można by chyba powiedzieć, że obydwójce jesteście detektywami, w pewnym sensie.

- Można tak na to spojrzeć. W każdym razie jak tylko zrobimy, co trzeba, poproszę cię, żebyś dokładniej zbadał autentyczność akwareli. Jeśli oczywiście nadal będziesz skłonny nam pomagać.

- Oczywiście, podpisałem przecież zobowiązanie do zachowania tajemnicy służbowej, prawda? Jakiż ze mnie gbur! Nie zaproponowałem ci nawet niczego do picia. To przez podniecenie pracami Turnera. Kawy, herbaty, czegoś mocniejszego?

- Nie mogę - powiedziała, ostrożnie wkładając kartki z powrotem do aktówki. - Zbyt wiele się teraz dzieje.

- Może więc krótka przerwa na herbatę?

Annie roześmiała się.

- Czasem nie mam czasu nawet na kolację, jak sam dobrze wiesz. - Pochyliła się i przelotnie pocałowała go w usta. Próbował zamienić jej gest w coś więcej, ale mu się wyślizgnęła. - Nie. Naprawdę muszę już iść.

Rozłożył ręce.

- No dobrze. Potrafię uznać porażkę. Zobaczymy się wieczorem?

- Zadzwoń - obiecała i popędziła do samochodu, żeby nie zmienić zdania na temat herbaty i tego, co mogło z niej wyniknąć.

- Uważaj na aktówkę! - krzyknęła za nią.

Sierżant Stefan Nowak koordynował współpracę między technikami

kryminalistycznymi na miejscu przestępstwa, technikami z laboratorium i oficerem prowadzącym śledztwo. Dbał, aby nic się nie zagubiło, a sprawy priorytetowe załatwiano jak najszybciej. Nie był kryminologiem z wykształcenia, choć skończył studia chemiczne i zestaw wymaganych kursów. Większość swojej wiedzy kryminalistycznej zdobył jednak podczas trzech lat pracy, która nauczyła go też, jak mówić o wynikach analiz laboratoryjnych przystępnym językiem. Na szczęście - ponieważ największym osiągnięciem Banksa z chemii i fizyki było zaliczenie obydwu na poziomie podstawowym podczas egzaminu końcowego w szkole średniej.

Chociaż sam Stefan był zawsze elegancki i zadbane, w jego pokoju panował potworny bałagan. Wszędzie leżały plastikowe torebki z dowodami rzeczowymi oraz do połowy opróżnione kubki z kawą. Banks usiadł, ale bał się wykonać najmniejszy ruch, bo towarzysząca mu wibracja albo prąd powietrza mogłyby zrzucić na podłogę sterty papierów z raportami oraz zlewki Bóg raczy wiedzieć z czym.

- Domyślam się, że masz jakiś pozytywny wynik? - zaczął Banks, nieco wygodniej sadowiąc się na krześle. Nic nie spadło.

- Zależy, jak patrzeć - odparł Stefan angielszczyzną, w której prawie nie dało się usłyszeć polskiego akcentu. - Większość popołudnia spędziłem w laboratorium i wreszcie mamy wyniki toksykologiczne. Sądzę, że cię zainteresują.

- Słucham - zachęcił go Banks.

- Na szczęście we wszystkich trzech przypadkach zachowało się w ciele wystarczająco dużo płynów, żeby przeprowadzić analizę toksykologiczną. Ten malarz, McMahon, był w najgorszym stanie, ale doktor Glendenning znalazł krew w organach wewnętrznych i ślady moczu w pęcherzu. Niestety we wszystkich trzech przypadkach całkowicie wyparowała ciecz wodnista oka.

- Przejdź dalej - pośpieszył go Banks, nie chcąc się zajmować parowaniem cieczy wodnistej oka.

- Może najpierw dziewczyna - zaproponował Stefan. - Christine Aspern. Wiedząc o jej uzależnieniu od heroiny, musieliśmy szukać



dokładniej. Jak wiesz, heroina przekształca się w morfinę po wstrzyknięciu do krwiobiegu, a następnie wiąże się z węglowodanami. Tylko niewielka ilość morfiny dostaje się w stanie niezmiennym do moczu. Czasem i to nie.

- Nie da się więc stwierdzić, czy wstrzyknęła sobie heroinę czy morfinę?

- Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że heroina zamienia się w morfinę po wstrzyknięciu do żyły. Poza tym heroina jest pochodną morfiny otrzymywaną w drodze reakcji z chlorkiem acetylu lub bezwodnikiem kwasu octowego. W każdym razie analiza spektralna wskazuje na ślady heroiny. Obecność innych substancji, takich jak chinina, potwierdza ten wynik.

Banks wiedział, że heroina sprzedawana na ulicy często ma domieszkę chininy, która zwiększa objętość działki.

- Czyli tak, jak się spodziewaliśmy - stwierdził. - Ile wzięła?

- Towar zawierał około trzydziestu procent narkotyku, co obecnie jest raczej normą. Nie było tego wystarczająco dużo, żeby ją zabić. W każdym razie wyniki badań laboratoryjnych każą sądzić, że to mało prawdopodobne.

- Czyli zabił ją pożar, tak czy inaczej.

- Tak. Zmarła wskutek asfiksji.

- A pozostałe dwie ofiary?

- No właśnie, tutaj robi się ciekawiej - stwierdził Stefan. Pochylił się do przodu i sarta książek zachwiała się niebezpiecznie. - W obydwu przypadkach w moczu znaleziono alkohol, którego nie wykryto w organizmie dziewczyny.

- Ile wypili?

- McMahan bardzo niewiele. Jeden, może dwa drinki.

- Czyli nie dość, żeby stracić przytomność?

- Byłoby to mało prawdopodobne.

- A Gardiner?

- Mniej więcej dwukrotnie więcej. Ale mamy coś jeszcze.

- Miałem nadzieję, że coś się znajdzie. Mów.

- W badaniu ogólnym analiza spektralna wykazała obecność flunitrazepamu w organizmach Thomasa McMahona i Rolanda Gardinera. Porównanie wskazuje na ten sam środek w obydwu przypadkach.

- Flunitrazepamu? - powtórzył Banks, przypominając sobie jeden z biuletynów na temat narkotyków, które czytał w ciągu ostatnich kilku miesięcy. - Czy to nie rohypnol?

- Owszem, rohypnol jest jedną z jego postaci - przytaknął Stefan.  
- Tak zwana pigułka gwałtu. Niedawno przeniesiona z klasy c do klasy a. Należy do grupy benzodiazepin i jest środkiem uspokajającym mniej więcej dziesięciokrotnie silniejszym od valium. Powoduje między innymi rozluźnienie mięśni i senność, pozbawia przytomności oraz wywołuje amnezję. Często wrzuca się go do drinków, ponieważ jest bezwonny, bezbarwny, pozbawiony smaku i rozpuszcza się w alkoholu. Przynajmniej kiedyś wrzucano. Teraz problemem jest niebieski barwnik, który firma farmaceutyczna La Roche, będąca głównym producentem leku, dodaje do tabletek. Sam lek rozpuszcza się teraz wolniej i zostawia grudki.

- Dzięki czemu przestępcy mają utrudnione zadanie.

- No właśnie, nawet ciemne drinki mętnieją. Możemy więc sądzić, że gdyby użyto rohypnolu, ofiary mogłyby to zauważyć.

- A zatem?

- A zatem albo użyto rohypnolu produkowanego nielegalnie, albo innej substancji z grupy benzodiazepin. Nie zapominaj, że badanie trwało trochę dłużej, ponieważ trzeba było wykonać ogólne testy toksykologiczne. Laboranci nadal pracują nad szczegółami, ale pomyślałem, że przekażę ci dotychczasowe ustalenia, żebyś wiedział, z czym masz do czynienia.

- Dziękuję, Stefan - powiedział Banks. - Jestem naprawdę wdzięczny. Po jakim czasie działa ta substancja?

- Dwadzieścia minut do pół godziny.

- Wiemy, jakie ilości im podano?

- Na pewno dość dużo, żeby lek zadziałał. Znaleźliśmy też coś

dziwnego.

- Co mianowicie?
- Ofiara pożaru przyczepy kempingowej miała w organizmie znaczną ilość tuinalu. Tuinal to...
- Wiem, co to tuinal. Barbituran.
- Właśnie. Obecnie lekarze nieczęsto go przepisują.
- Wiemy, kto był lekarzem rodzinnym Gardinera. Możemy sprawdzić. Gardiner spożył przed śmiercią więcej alkoholu, dobrze pamiętam?
- Tak. Byłem pewien, że to cię zainteresuje.
- No właśnie. Zastanawiam się dlaczego.
- Skąd mam wiedzieć? Na koniec jeszcze coś - rzucił Stefan, odprowadzając Banksa do drzwi.

Banks przystanął i odwrócił się.

- Tak?
- Ślady na parkingu przy miejscu pożaru są zgodne z oponami jeepa cherokee, a jeśli kiedykolwiek znajdziecie podejrzanego, to nosi on buty sportowe nike z bardzo wyraźnymi otarciami na prawej pięcie.

Wychodząc z pokoju, Banks wyobraził sobie, jak McMahon na swojej barce, a Gardiner w swojej przyczepie witają starego przyjaciela, rozmawiają, planują coś, co ma im przynieść duże pieniądze, piją za to, a po chwili odczuwają senność i trudno im się poruszać. W tym momencie anonimowy zabójca rozlewa terpentynę lub benzynę, rzuca zapaloną zapalniczką i wychodzi. Trudno o coś łatwiejszego.

I bardziej okrutnego.

# Rozdział 11

- Jestem Clive.

- Mark.
- Miło mi, Marku.
- Mnie też. I dziękuję za podwiezienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Clive odwrócił się i posłał Markowi uśmiech. - Zatrzymałbym się na górze, żebyśmy mogli podziwiać ten wspaniały widok, ale obawiam się, że dziś wiele byśmy nie zobaczyli. - Pięli się krętą drogą na Sutton Bank. Audi sunęło płynnie, bez trudności pokonując czternasto- i piętnastoprocentowe nachylenie terenu. Im wyżej docierali, tym gęstsza stawała się mgła, jakby wjeżdżali w chmury. Markowi zaczęło zatykać uszy. Napawał się ciepłym, luksusowym wnętrzem samochodu.

Sutton Bank zamyka od zachodu Park Narodowy North York Moors. Z jego szczytu widać szmat ziemi - od Vale of York aż po Dales. Oczywiście tylko w bezchmurny dzień.

Gdy w końcu znaleźli się na samej górze po przejechaniu mniej więcej półtora kilometra, Mark odwrócił głowę, zobaczył jednak tylko niewyraźne kształty za zasłoną szarej mgły. Z przodu rozciągały się wrzosowiska, także spowite szarością. Od czasu do czasu, kompletnie znikąd, pojawiała się owca, ale natychmiast ginęła we mgle, przez co krajobraz wydawał się jeszcze upiorniejszy. Owce przyprawiały Marka o gęsią skórkę. Nie miał pojęcia dlaczego, ale przyprawiały.

- Czym się zajmujesz, Marku? - zagał Clive.
- Szukam pracy.
- W jakiej branży.
- Renowacja. Stare budynki, kościoły i podobne.
- To ciekawe. Gdzie mieszkasz?

- Eastvale - odpowiedział Mark. Tylko ta nazwa przyszła mu na myśl.

- Urocze miasto - stwierdził Clive. - Masz dziewczynę?

Mark się nie odezwał, tylko pomyślał o Tinie patrzącej na niego z ekranu telewizora. Poczuł, jak żal ściska go za serce.

Clive znów się do niego odwrócił, żeby posłać mu uśmiech. Markowi nie spodobał się sposób, w jaki to zrobił. Nie wiedział dlaczego. Po prostu odczucie.

- Taki przystojny i silny chłopak jak ty musi chyba mieć ładną dziewczynę? - ciągnął Clive.

Klepnął Marka w kolano i Mark odruchowo znieruchomiał.

- Przecież to normalna rzecz - zapewnił go Clive. - Możesz być ze mną szczery. Jestem lekarzem. Znam dzisiejszą młodzież. Robisz to już, prawda? Mam nadzieję, że uprawiasz bezpieczny seks, Marku?

Mark nie odpowiedział. Myślał o innym lekarzu, Patricku Aspernie, któremu chętnie dalby w mordę. Słyszał, że Clive coś marudzi, nie słuchał go jednak. Miał tylko nadzieję, że szybko dotrą do Scarborough. Do morza.

- ...dlatego obrzezanie jest takie ważne - ciągnął Clive. - Wiem, że niektórzy uznają je za niemodne, ale wtedy o wiele łatwiej zachować higienę. W okolicach tej części ciała gromadzi się wiele zarazków, Marku. W okolicach penisa. Pod napletkiem gromadzi się mastka. To wstrętna maź. Obrzezanie jest więc lepsze z wielu powodów.

- Co?

- Nie słuchałeś? - Clive zerknął na Marka. - Mówię o obrzezaniu. Nie musi być bolesne. Mam w bagażniku krem, który doskonale znieczula. Działa podobnie jak substancja, którą podają dentyści, tylko nie wymaga wstrzykiwania. Jeśli chcesz, możemy zjechać na bok i zrobimy, co trzeba.

Jego ręka opadła na udo Marka i powędrowała do krocza, obmacując je w poszukiwaniu penisa. Mark zamachnął się lewą pięścią i uderzył Clive'a, trafiając w skroń. Mężczyzna z trudem łapał powie-

trze i zaczął jechać zygakiem. Mark wymierzył kolejny cios, tym razem w okolice nosa - pociekła z niego krew. Potem uderzył jeszcze raz i zdawało mu się, że czuje pękający ząb.

Clive ledwie panował teraz nad kierownicą. Próbował coś powiedzieć, na zmianę błagał Marka o litość i wyzywał od szaleńców, tocząc z ust spienioną ślinę z krwią. Ale Mark nie potrafił przestać. Nie interesowało go nawet to, czy z naprzeciwka nadjeżdżają jakieś samochody. Okładał Clive'a pięściami, widząc w nim Szalonego Nicka, Patricka Asperna i wszystkich innych, którzy kiedykolwiek go skrzywdzili.

Auto dojechało do ostrego zakrętu, gdzie Clive musiał zwolnić. Ledwie zdążył na czas zredukować bieg. Gdy zajął się sytuacją na drodze, próbując za wszelką cenę zapanować nad kierownicą, Mark wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni jego marynarki, chwycił portfel, otworzył drzwi od strony pasażera i wyskoczył. Przeturlał się kilka razy po mokrej trawie na poboczu, ale niemal natychmiast usiadł, lekko ogłuszony po upadku, gotowy jednak dalej uciekać. Ale Clive tylko przechylił się na bok, żeby zamknąć drzwi, po czym dodał gazu i szybko zniknął we mgle. Gdy dźwięk silnika ucichł w oddali, Mark słyszał już tylko beczenie owcy, odzywającej się od czasu do czasu gdzieś daleko w gęstniejącym zmroku.

Słupek rtęci podskoczył do dziewięciu albo dziesięciu kresek, co Banks z przyjemnością stwierdził, idąc wzdłuż Market Street w kierunku głównej remizy strażackiej w Eastvale, gdzie urzędował Geoff Hamilton. Od początku stycznia temperatura skakała raz w górę, raz w dół. Rozpiął płaszcz, ale i tak było mu trochę za ciepło. Ze słuchawek przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych sączyły się dźwięki pieśni Cesarii Evory, wręcz ociekające whisky.

Mijając wylot ulicy, przy której mieszkał kiedyś z Sandrą, Tracy i Brianem, Banks nie zdołał się oprzeć pokusie, podszedł do dawnego domu, żeby zobaczyć, jak bardzo się zmienił. Stał przed niskim ogrodzeniem i spojrzał na frontowe okna. Ale dom się nie zmienił. W

każdym razie niewiele. Przez zaciągnięte zasłony dostrzegł migotliwe światło ekranu telewizyjnego w salonie. Najbardziej jednak zaskoczyła go stojąca na trawniku tablica „Na sprzedaż”. A więc nowi właściciele już postanowili się go pozbyć. Może to nie jest szczęśliwy dom? Tylko ile niewinnie wyglądających budynków na przyzwoitych ulicach można nazwać szczęśliwymi? Slumsy w podupadłych częściach centrów miast i wysokościowce nie zmonopolizowały jeszcze rynku ludzkiego nieszczęścia.

Banks dotarł do remizy strażackiej, zdjął słuchawki i wszedł do środka. Dwóch strażaków zajmowało się konserwacją sprzętu, jeden ślezczał nad papierami, a dwóch grało w tenisa stołowego. Banks zapukał do drzwi gabinetu Geoffa Hamiltona i wszedł do środka. Hamilton przesunął palcami po włosach, zapraszając Banksa, żeby usiadł. Na ścianach wisiały dyplomy i certyfikaty, a na szafie leżał stary hełm strażacki. Rzeczy na biurku były starannie poukładane, z wyjątkiem papierów, nad którymi pracował.

- Raport dla koronera - wyjaśnił, gdy Banks zerknął na dokumenty. - Co mogę dla pana zrobić?

- Coś nowego?

- Jeszcze nic.

- Niech pan posłucha, Geoff. Wiem, że nie lubi pan się angażować, ale zupełnie prywatnie muszę o to zapytać, bo szukam motywów. Czy pańskim zdaniem mamy do czynienia z seryjnym podpalaczem i powinniśmy się spodziewać kolejnych pożarów, czy może widzi pan jakieś inne powody tego, co się dzieje?

Banks zauważył, że przez twarz zazwyczaj małowównego Hamiltona przemknął uśmiešek.

- A co pan o tym sądzi? Zupełnie prywatnie oczywiście.

- Nie wiem. Dlatego tu przyszedłem.

- Nie odkrył pan jeszcze powiązań między ofiarami?

- Pracujemy nad tym.

Hamilton potarł oczy. Banks zauważył, że ma pod nimi ciemne worki.

- A jeśli pan ich nie znajdzie?  
- Wtedy prawdopodobnie mamy do czynienia z kimś, kto lubi wywoływać pożary i wybiera względnie łatwe cele. Albo nie przepada za bezdomnymi. - Banksowi przyszedł na myśl Andrew Hurst, po części z powodu tego, jak się wyrażał o nielegalnych mieszkańcach barek. - Ale jestem pewien, że motywy są inne.

- Skąd ta pewność? - zainteresował się Hamilton.

- Badania toksykologiczne wykazały, że zarówno Roland Gardiner, jak i Thomas McMahon przed śmiercią spożyli rohypnol.

- Szkło, które znajdowaliśmy na miejscu zdarzenia?

- Najprawdopodobniej zawierało alkohol, w którym rozpuszczono lekarstwo.

- A dziewczyna?

- Prawie na pewno Christine Aspern była pod wpływem heroiny. Ale zostawmy na chwilę Tinę. Wygląda na to, że obydwaj mężczyźni wpuścili zabójcę do domu i przyjęli od niego alkohol. Jeśli sprawca nie miał powodu, żeby się ich pozbywać, to zrobił to dla przyjemności. Co może mi pan powiedzieć o tego typu motywacji?

- Napije się pan kawy?

- Nie odmówię - powiedział Banks. Poszedł za Hamiltonem do dużej, porządnie urządzonej kuchni, wyłożonego białymi kafelkami pomieszczenia z piekarnikiem, lodówką, kuchenką mikrofalową i automatycznym ekspresem ciśnieniowym. W dni powszednie kucharz przygotowywał strażakom gorący posiłek, a w weekendy i święta albo przynosili własne jedzenie, albo wyznaczali dyżury w kuchni.

Hamilton nalał kawy do dwóch dużych białych kubków, wsypał kupę cukru do swojego, po czym wrócili do gabinetu i usiedli. Banksowi smakował ciemny i mocny napój.

- Jak pan wie, podpalacze mają różne motywy - zaczął. - Najczęściej są chyba zwyczajna złośliwość i zemsta.

Banks dobrze o tym wiedział. Około dziewięćdziesięciu procent pożarów, z jakimi miał do czynienia w swojej policyjnej karierze - włącznie z tym najgorszym, którego wspomnienie prześladowało go,



ilekroć strach przed ogniem podnosił swój szpetny łeb - wzięło się z przekraczającej wszelkie granice wściekłości i zawiści, którą ludzie żywili do siebie nawzajem.

- Powodem bywają zatargi domowe, kłótnie między kochankami, problemy w miejscu pracy albo scysje na tle etnicznym lub religijnym.

- Istnieje jakiś profil sprawcy takich pożarów, który pasowałby do naszych przypadków?

- No cóż, może pochodzić z każdej grupy wiekowej, zwykle podpała nocą i korzysta z powszechnie dostępnych materiałów łatwopalnych. Trzy na trzy to całkiem nieźle.

- Przecież do większości podpaień dochodzi nocą, prawda?

- Owszem, to prawda, chociaż nie zawsze tak jest.

- Dobrze, a jakie inne motywy podpalenia należy brać pod uwagę?

- Zawsze może chodzić o zwykły zysk. W grę wchodzi oszustwa ubezpieczeniowe, eliminowanie konkurencji i tym podobne. Pieniądze są najczęstszym chyba motywem, tu jednak nie mamy zapewne do czynienia z pożarami obiektów komercyjnych.

- Na pewno nie w przypadku przyczepy. Należała do Gardinera. Ale barki były chyba własnością firmową - stwierdził Banks. - Znaleźliśmy już właściciela i jutro z nim porozmawiam. Mimo wszystko mogę zrozumieć, że ktoś podpała barki, żeby wyłudzić odszkodowanie, ale dlaczego miałyby przy okazji podać silny środek odurzający Thomasowi McMahonowi, a następnie upiec go w ogniu?

- W pożarach obiektów komercyjnych często giną ludzie - powiedział Hamilton. - Nierzadko przypadkiem, jeśli podpalacz nie wiedział, że ktoś przebywa na danym terenie, ale czasem też celowo. Dajmy na to jakiś wścibski stróż nocny.

- Wszystko jasne - rzekł Banks. - Postaramy się nie wyciągać pochopnych wniosków. Co z piromanią jako motywem?

- Przede wszystkim powinien pan pamiętać, że na piromanów trafia się niezwykle rzadko i że zwykle mieszczą się oni w przedziale

wiekowym od piętnastu do dwudziestu lat.

- Mark Siddons ma dwadzieścia jeden.

- W takim razie jeszcze bym go nie wykluczał. Zwykle piromani używają cieczy łatwopalnych, które wpadają im w ręce. Chcę przez to powiedzieć, że nie planują swoich pożarów. I nie ma niczego charakterystycznego w miejscach, które podpalają, także jeśli chodzi o lokalizację. Uderzają impulsywnie i często działają dla swoistej satysfakcji seksualnej. Jest tu jednak pewien problem, ponieważ nie bardzo sobie wyobrażam, żeby piroman faszzerował kogoś prochami albo ogłuszał przed podłożeniem ognia. To zwykle samotnicy, unikają wszelkich kontaktów. Wbrew powszechnemu przekonaniu zwykle też nie zostają na miejscu pożaru. Gdy przyjeżdża straż pożarna, najczęściej dawno już ich tam nie ma.

- Czy w grę może wchodzić kobieta?

- Owszem, wśród piromanów zdarzają się też kobiety, ale bardzo rzadko - odpowiedział Hamilton. - Co dziwne, zwykle podkładają ogień w dzień, w dodatku gdzieś blisko swojego miejsca zamieszkania i bez użycia cieczy przyspieszających spalanie. Na ogół wywołują małe pożary.

- Zgaduję, że my, mężczyźni, wolimy większe?

- Można tak powiedzieć. - Hamilton wypił trochę kawy. - Z przykrością muszę stwierdzić, wszystkie profile są raczej... Może inaczej. Nie chcę sugerować, że to same pierdoły, bo takie charakterystyki okazywały się czasem przydatne, ale są one raczej nieprecyzyjne, gdy się im lepiej przyjrzeć.

- Poniżej dwudziestego piątego roku życia, samotnik, moczenie nocne, trudna sytuacja rodzinna w dzieciństwie, brak ojca, dominująca matka, niezbyt błyskotliwy, problemy w szkole, problemy w pracy i nieumiejętność podtrzymania stałego związku.

- To właśnie mam na myśli. Taki opis pasuje do pierwszego lepszego socjopaty. Można by pomyśleć, że w ten sposób da się zidentyfikować wszystkich, zanim jeszcze zaatakują.

- Och, pewnie, że się da - stwierdził Banks. - Tylko nie wolno

nam podjąć żadnych działań, dopóki nie popełnią przestępstwa. W każdym razie raczej wykluczam piromana w tym przypadku. Czy na podstawie tego, co pan widział, dałoby się uznać, że któryś z tych pożarów wywołano spontanicznie?

- Nie. Ale są też pożary motywowane próżnością - ciągnął Hamilton. - Ktoś chce zwrócić na siebie uwagę poprzez czyn bohaterski. To właśnie tacy ludzie zostają na miejscu pożaru, żeby obserwować ogień, a nawet pomagają go ugasić.

- Nie mieliśmy żadnych bohaterów oprócz strażaków. Andrew Hurst został przez chwilę na miejscu zdarzenia, ale nie podszedł na tyle blisko ognia, żeby się stać bohaterem.

- A chłopak, którego złapaliście na miejscu pierwszego pożaru?

- Mark Siddons?

- Tak.

- Kręcił się przy barkach, ponieważ jego dziewczyna znajdowała się na jednej z nich. Jego alibi się potwierdziło, a na ubraniu nie było żadnych podejrzanych śladów, nie miał gdzie się przebrać albo oczyścić. Cały jego dobytek, włącznie z ubraniami, spłonął w pożarze. Nie wiem dlaczego, ale skłonny jestem mu wierzyć, Geoff. Co nie zmienia faktu, że powodowany złością mógł podłożyć ogień, a potem jakoś zatrzeć ślady. Tylko dlaczego ta cała Mandy dawałaby mu alibi, gdyby naprawdę nie spędził u niej wieczoru? Annie mówiła, że musiała trochę ją przycisnąć, zanim dziewczyna przyznała, że Mark wylądował wtedy w jej łóżku. Nie chciała, żeby ją zaliczyć do ławtewych. Możemy oczywiście porozmawiać z nią jeszcze raz. Nie znalazł pan żadnych śladów jakiegoś mechanizmu opóźniającego powstanie pożaru?

- Na razie nie. Ale nadal sprawdzamy zgliszcza. Czy jest możliwe, żeby chłopak podał McMahonowi rohypnol, skoro ofiara rzeczywiście została otumaniona, ale ogień podłożył ktoś inny?

- Możliwe - stwierdził Banks. - Ale nie uważa pan, że to wysoce nieprawdopodobne? Przecież Gardinerowi też ktoś podał rohypnol.

- I nie mógł to być ten chłopak?

- Owszem, był w pobliżu Jennings Field w odpowiednim czasie - przyznał Banks. - Tylko że nie mamy choćby cienia motywu. Ale niech się pan nie martwi, zostawimy go na liście podejrzanych. Mam nadzieję, że znów z nim porozmawiam, kiedy go znajdziemy.

- Pozwolił pan mu zniknąć?

- Nie mieliśmy powodu, żeby go trzymać pod kluczem. Po-sprzeczał się ze znajomym i dał nogę. Ale go namierzymy, to tylko kwestia czasu.

Hamilton podniósł ręce w drwiącym geście kapitulacji.

- Dobrze, już dobrze.

Banks odpowiedział uśmiechem.

- Co nam jeszcze zostało, jeśli chodzi o motyw?

- Pożar może służyć ukryciu przestępstwa.

- Co jest z pewnością możliwe w tym wypadku - zawyrokował Banks. - Ogień niszczy dowody. Nie w takim stopniu, jak sądzi przestępca, ale często wystarczająco.

- Tylko o czym miałyby te dowody świadczyć? - zapytał Hamilton.

- Tego jeszcze nie wiemy. Kilka rzeczy wskazuje na to, że Thomas McMahon wplątał się w fałszowanie dzieł sztuki. Gardiner z kolei został swego czasu zwolniony z pracy za oszustwo. Tyle udało nam się znaleźć. Ale ciągle szukamy. Najpierw musimy się dowiedzieć, czy między ofiarami były jakieś powiązania. Jeśli były, a my zdołamy je odkryć, to mogą nas one doprowadzić do wspólnego wroga obydwu mężczyzn.

- Brzmi rozsądnie. Mam tylko nadzieję, że po drodze nie będzie kolejnych pożarów.

- Ja też - odpowiedział Banks.

- Jest mały promyk nadziei - rzekł Hamilton.

- Co mianowicie?

- Wykorzystanie benzyny do wywołania pożaru może się okazać prawdziwym darem niebios.

- Jak to?

- Paliwa poszczególnych koncernów zawierają różne domieszki, można więc przeprowadzić analizę spektralną i odróżnić benzynę kupioną na jednej stacji, powiedzmy Esso, od innych, na przykład Texaco czy Shell.

- Słyszałem o tym - powiedział Banks. - Ale nie na wiele nam się to przyda. Ze stacji Esso, Shell i Texaco korzystają miliony ludzi.

- Owszem, ale na tym nie koniec - ciągnął Hamilton. - Gdy paliwo wpompuje się do podziemnego zbiornika na danej stacji benzynowej, zostaje zanieczyszczone w charakterystyczny sposób.

- Chce pan powiedzieć, że analiza spektralna materiału zebranego na miejscu pożaru pozwoli ustalić, z której stacji benzynowej pochodziła użyta do podpalenia benzyna?

- Co więcej, paliwo wlane do baku konkretnego samochodu tworzy kolejną niepowtarzalną mieszankę. Pobierając próbki ze zbiorników wszystkich lokalnych stacji benzynowych, możemy ustalić, z której stacji pochodzi paliwo oraz powiązać je z konkretnym przestępstwem, a nawet bakiem konkretnego samochodu.

- Mówi pan poważnie?

- Zawsze traktuję moją pracę z najwyższą powagą, zero zero siedem.

Hamilton nawet się nie uśmiechnął i Banks zrozumiał dopiero po chwili. Aluzja do Bonda. Geoff Hamilton pewnie niejednym potrafił zaskoczyć.

- Ale żeby uzyskać pasującą próbkę, musielibyśmy pobrać paliwo z każdego podziemnego zbiornika na każdej stacji benzynowej w okolicy?

- Właśnie tak. Przyda się więc każda informacja, która pozwoli zawęzić obszar poszukiwań.

- Na razie jeszcze nie mamy niczego takiego, ale będziemy musieli się nad tym zastanowić - powiedział Banks. - Dziękuję.

- Nie ma za co. - Hamilton spojrzął na zegarek. - A teraz, niech mi pan wierzy lub nie, idę do domu. Moja żona zaczyna się ostatnio zastanawiać, czy jeszcze jesteśmy małżeństwem.

- Znam to z własnego doświadczenia - odparł Banks, który planował spędzić wieczór w domu nad zaległą niedzielą prasą, może z kropelką laphroaigu. Oczywiście po spotkaniu z Marią Phillips w Queen's Arms o wpół do siódmej.

Później, tuż po dziewiątej, na kanale BBC mieli puszczać *Wielkie nadzieje*, współczesną wersję z Gwyneth Paltrow. Banks lubił tę powieść Dickensa i lubił też Gwyneth Paltrow za to, że rozświetla ekran, ilekroć się na nim pojawia.

Poza tym oglądanie telewizji, dosłownie czegokolwiek, było dla niego sposobem na uporządkowanie myśli i tworzenie nowych hipotez. Program angażował tylko część jego umysłu, dzięki czemu reszta błąkała się poza kontrolą, tworząc zaskakujące powiązania bez żadnych ograniczeń. Przynajmniej tak mu się wydawało, bo strategia ta sprawdziła się już wcześniej.

Mark odczekał pięć minut, dopóki nie zyskał pewności, że Clive odjechał, po czym otworzył portfel. Zawierał dwieście pięćdziesiąt funtów w gotówce - w świeżutkich dziesiątkach i dwudziestkach prosto z bankomatu - oraz karty kredytowe, fotografie uśmiechniętej kobiety z trójką jasnowłosych dzieci - zapewne rodzina Clive'a - oraz kilka rachunków za paliwo i posiłki. Żaden dokument nie potwierdzał, że Clive jest lekarzem, Mark doszedł więc do wniosku, że mężczyzna musi być akwizytorem. I zboczeńcem.

Obawiał się, że po tym incydencie zacznie go szukać policja. Chciał iść dalej przez pola i łąki, zamierzał omijać główne drogi, uświadomił sobie jednak, że Clive nie zgłosi na policję tego, co się stało. Nawet gdyby zeznał, że został napadnięty i okradziony, to oświadczenie Marka narobiłoby wystarczająco dużo szumu, żeby miał kłopoty. Przy okazji ujawniliby się zapewne inni, z czym Clive musiał się liczyć, ponieważ Mark nie wątpił, że nie padł jego ofiarą jako pierwszy. No i była też ta uśmiechnięta kobieta z trójką dzieci. Mark uznał więc, że na razie nic mu nie grozi.

Powoli zmierzchało, a on miał przed sobą długą drogę. Wrzoso-

wiska zrobiły się jeszcze bardziej upiorne, gdy osłabło światło dnia i zaczęły opadać pasma mgły. Wiedział, że zabłądzi, jeśli pójdzie na przelaj. Albo umrze z powodu wyziębienia organizmu. Zdawało mu się, że gdzieś w oddali słyszy przerażające wycie. Czy na wrzosowiskach nie grasują czarne diabelskie psy? Albo wilkołaki? Znów przypomniał mu się ten film, w którym amerykański turysta zostaje pogryziony przez wilka na wrzosowiskach, po czym zamienia się w wilkołaka. Mark uświadomił sobie, że oglądał go, jeszcze gdy mieszkał z mamą, a nie na squacie. Właściwie widział tylko fragment, ponieważ Szalony Nick zaraz zauważył, że Markowi film się podoba, a wtedy głośno uznał go za szmirę i przełączył na boks. Potem Mark stracił zainteresowanie telewizją. Nie było sensu siedzieć przed telewizorem, skoro i tak nie oglądał tego, na co miał ochotę. Przeszły go ciarki i ruszył w drogę do najbliższej wioski, Helmsley, która chyba nie znajdowała się zbyt daleko.

Gdy dotarł na miejsce, paliły się światła w oknach wszystkich domów oraz w pubie. Wioska wyglądała na pretensjonalne miejsce nastawione na turystów, o ile zdołał się zorientować, idąc główną ulicą. Sprawdził, czy na parkingu albo przy drodze nie stoi samochód Clive'a, ale na szczęście nigdzie go nie dostrzegł. Facet gnał na złamanie karku i pewnie się zatrzyma dopiero w Scarborough. Ze strachu narobił chyba w gacie. Mark upewnił się, że nikt nie patrzy, po czym przystanął i wrzucił portfel Clive'a do kratki ściekowej - bez gotówki oczywiście.

Na rogu dostrzegł otwarty kiosk. Kupił paczkę papierosów - dwadzieścia sztuk benson & hedges, skoro miał tyle forsy - i wieczorną gazetę, żeby zobaczyć, czy napisali coś o pożarach. Zrobił się głodny, a wszystkie restauracje były zamknięte, jak niemal zawsze, kiedy chciał do którejś wpaść w porze kolacji, zaszedł więc do przyjaźnie wyglądającego pubu. Najpierw znalazł łazienkę, gdzie wreszcie umył twarz i ręce oraz zeszkrobał łajno z zamszowej kurtki. Ale plam powstałych w czasie upadku na mokrą trawę nie zdołał

usunąć. Uznał jednak, że jeśli zdejmie kurtkę i przewiesi ją przez ramię, to nie będzie wyglądał tak źle.

Nikt nie zwracał na niego większej uwagi, kiedy nad kuflem guinnessa jadł kanapkę z szynką i serem; o tej porze tylko to dawali do jedzenia. W gazecie nie wyczytał niczego nowego. W pożarze przy-czepy kempingowej stracił życie mężczyzna. Nie napisano tego wprost, ale Mark odczytał sugestię, że było to podpalenie, które miało coś wspólnego ze spalonymi barkami.

Dochodziło wpół do siódmej. Ciepłe wnętrze pubu z polanami strzelającymi na palenisku wprawiło go w senność. Nie chciał już nigdzie chodzić. Zapalił pierwszego papierosa od nie wiadomo jak długiego czasu i wciągnął do płuc kwaśny dym. Jak w niebie!

Co jednak miał teraz zrobić? Wiedział, że do najbliższej stacji kolejowej w Thirsk ma czternaście mil, ale może złapałby autobus z Helmsley do Scarborough. Gdyby już tam dotarł, musiałby znaleźć jakiś nocleg, a to mogłoby się okazać trudne po nocy, zwłaszcza że był sam, nie miał żadnego bagażu ani środka transportu. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, choć był niemal stuprocentowo pewny, że Clive nie zgłosił się na policję. Pamiętał też jednak o zabójcy, który mógł jakoś odkryć miejsce jego pobytu oraz cel podróży. Będzie musiał działać ostrożnie.

Wtedy zauważył wiszącą za barem informację o noclegach. Barman zachowywał się przyjaźnie, obsługując Marka, nawet przeproszał go za brak ciepłych posiłków, Mark podszedł więc do baru i zapytał, czy są jakieś wolne pokoje.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Nieczęsto mamy pełne obłożenie o tej porze roku - powiedział.
  - Będziesz chciał jedynekę, prawda?
  - Tak - potwierdził Mark.
  - Chyba coś się znajdzie. Rachel!
- Podeszła kobieta pomagająca za barem.

- Pokaż temu młodemu człowiekowi jedynekę, dobrze? Numer sześć.



Rachel, ładna dziewczyna z jasnymi włosami i brzoskwińową cerą, zaczerwieniła się i powiedziała:

- Oczywiście, panie Ridley. - Zwróciła się do Marka. - Proszę.

Mark ruszył za nią po wąskich skrzypiących schodach. Na górze otworzyła ciężkie drzwi. Pokój prezentował się wspaniale i Mark po chwili zdał sobie sprawę, że stoi na progu z otwartymi ustami. Tymczasem Rachel najwyraźniej oczekiwała, że obejrzy pomieszczenie i coś powie.

- Ile kosztuje? - zdołał wykrztusić.

- Dwadzieścia osiem funtów ze śniadaniem - odpowiedziała. - Śniadanie na dole między ósmą a dziewiątą. Decydujesz się?

- Tak - rzucił Mark, sięgając do kieszeni po pieniądze.

- Jutro, głuptasie - powstrzymała go Rachel. - Płaci się po opuszczeniu pokoju.

- Aha. Dobrze - powiedział Mark zdumiony, jak ktokolwiek mógł mu uwierzyć i nie podejrzewać, że ucieknie, nie regulując rachunku.

Rachel wręczyła mu klucz, wyjaśniła, jak działają zamki i zapowiedziała, że musi wrócić do pokoju przed zamknięciem pubu.

Mark nie zamierzał nigdzie wychodzić, nie był to więc problem.

- Gdzie masz plecak? - zapytała.

- Nie mam plecaka - odparł.

Spojrzała na niego tak, jakby uznała go za głupka, po czym wzruszyła ramionami i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Mark został w najładniejszym pokoju, jaki miał w całym swoim życiu. Pomieszczenie nie było zbyt duże, ale to mu nie przeszkadzało: nie potrzebował wiele miejsca. Na tapecie widniał wzór w radosne kwiaty, a powietrze pachniało cytryną i ziołami. Na podłodze stało solidne łóżko, toaletka i komoda z szufladami na ubranie oraz inne rzeczy gościa. Zobaczył też telewizor oraz czajnik, a obok naczynia do parzenia kawy i herbaty. Najbardziej jednak ucieszyła go łazienka.

Na barce trudno było żyć bez bieżącej wody. Raz w tygodniu chodzili do łaźni publicznej w Eastvale, obok basenu, w pozostałe dni

radzili sobie, jak mogli. W sklepie ze starzyzną Mark wyszukał dużą emaliowaną miskę i wiadro - chodził po świeżą wodę pół mili na zachód, wzdłuż brzegu kanału, do kranów zainstalowanych przez izbę turystyki dla wioślarzy, biwakowiczów i spacerowiczów. Podgrzewali ją potem na piecu. Dużo zawracania głowy, ale lepsze to, niż chodzić brudnym.

Teraz miał do dyspozycji wannę, mydło, szampon i ręczniki. Najpierw jednak włączył telewizor. Nieważne, co puszczała: chciał, żeby towarzyszył mu jakiś dźwięk. Potem przygotował gorącą kąpiel i zrobił sobie filiżankę herbaty. Gdy wszystko było gotowe, zaniósł herbatę do łazienki, wszedł do wanny i zapalił papierosa. Czuł się cudownie. Rozkoszując się parującym ciepłem, przez uchylone drzwi słyszał, że w telewizorze idzie odcinek serialu *Emmerdale*. Pomyślał, że tak musi wyglądać normalne życie. Żałował tylko, że nie może mu towarzyszyć Tina. Wiedział, że żadna z tych rzeczy nie wydałaby się jej wyjątkowa, ponieważ w takich luksusach się wychowała, ale mimo to na pewno by się jej podobało.

Chciałby zostać tak na zawsze, zanurzony w ciepłej wodzie, otoczony parą i dźwiękami dochodzącymi z telewizora, wiedział jednak, że to niemożliwe. Nazajutrz będzie musiał znaleźć sposób, żeby się dostać do Scarborough i poszukać tam pracy. Pieniądze Clive'a kiedyś przecież się skończą, zwłaszcza gdyby musiał płacić tyle za pokój przez kilka nocy. Ale może w Scarborough znajdzie coś tańszego. Choćby małe mieszkanie. I zacznie jakoś składać do kupy swoje życie.

Banks miał wielką ochotę na drinka, kiedy wybiła szósta trzydzieści, gdyby jednak zależało to wyłącznie od niego, nie wybrałby towarzystwa Marii Phillips. Ale obowiązek rzecz święta, powiedział sobie, otwierając drzwi pubu, a Maria jest niegroźna, jeśli ją trzymać na dystans. Po godzinach pracy w Queen's Arms panował spory ruch, a większość gości najwyraźniej wołała się objąć łokciami o innych przy barze. Banks przyszedł przed Marią. Machnął na Cyrila, wziął

sobie kufel gorzkiego piwa i zajął miejsce za stolikiem przy oknie, żeby poczytać gazetę.

Maria wpadła dziesięć minut spóźniona i zziębiona. Zaczęła od przeprosin. Ktoś nie przyszedł do pracy na wieczorną zmianę i musiała sobie z tym poradzić. Banks zaproponował jej drinka.

- Jesteś kochany - powiedziała, odpinając płaszcz i rozwijając szalik. - Wypiję to co zwykle.

Gdy przyniósł do stolika campari z sodą, siedziała już opanowana, paląc silk cuta. Banks poczuł nagle wielką ochotę - na papierosa, nie na Marię - ale pokusa przeszła równie gwałtownie, jak się pojawiła, zostawiając po sobie niepokój i lekką nadpobudliwość.

- Na zdrowie - powiedziała Maria, stukając kieliszkiem o jego kufel.

- Sláinte - odpowiedział Banks irlandzkim toastem. - A więc w jakiej sprawie chciałaś się ze mną widzieć?

W jej oczach zagościł figlarny uśmiešek.

- Z tobą można tylko służbowo, prawda?

- Mam za sobą ciężki dzień.

- A w domu nie czeka stęskniona kobieta, która rozmasowałaby ci kark i przygotowała gorącą kąpiel, prawda?

- Niestety nie - potwierdził Banks, myśląc, że została mu tylko Gwyneth Paltrow w *Wielkich nadziejach* i szklaneczka laphroaigu. Tylko że Gwyneth nie rozmasuje mu karku ani nie przygotowuje gorącej kąpeli. - Nie ma nawet wiernego psa, który przyniósłby mi kaptcie. Praca w policji nie sprzyja posiadaniu zwierząt domowych, zwłaszcza jeśli się mieszka samemu.

- Żony też nie.

- No wiesz, akurat w stosunku do żony nie użyłbym słowa „posiadać”.

Klepnęła go w ramię, robiąc filuterną minę.

- Głuptasie! Przecież wiesz, co mam na myśli. Twoją pracę. Przez nią trudno stworzyć stały związek.

Cholernie trudno, jeśli to w ogóle możliwe, pomyślał Banks,

uświadamiając sobie, że od prawie dwóch dni nie zamienił słowa z Michelle. Był ciekaw, jak sobie radzi w sprawie zaginionego dziecka. Miał nadzieję, że lepiej niż on z potrójnym morderstwem. Pociąg do Londynu zatrzymuje się w Peterborough. Może znalazłaby czas, żeby podejść na stację, a on wychyliłby się przez okno i pocałował ją jak na starym czarno-białym filmie. Brakowałoby tylko pary z komina lokomotywy.

- O tym powinnaś chyba porozmawiać z Sandrą - powiedział.

- Tak bym zrobiła, gdyby nie fakt, że Sandra zapomniała o swoich starych przyjaciółach.

- Spaliła za sobą kilka mostów, to prawda - zgodził się Banks. - O co więc chodzi, Mario?

- Właściwie o nic konkretnego. Po naszym ostatnim tête-à-tête zaczęłam sobie przypominać różne rzeczy. Wiesz, jak to jest?

- Owszem. Dlatego zwykle daję rozmówcom mój numer telefonu. Często coś sobie później przypominają.

- Mnie nie dałeś numeru telefonu.

- Mario! Przestań się zachowywać jak panna Moneypenny! Przecież mieszkasz kilka domów dalej.

- Kilka domów dalej. Taki już mój los - zaśmiała się. - Och, nie irytuj się tak. Tylko się z tobą droczę.

- Staaliśmy na tym, że zaczęłaś coś sobie przypominać.

- Jaki poważny! Tak, mówiłam. Zaczęłam się zastanawiać, odtworzać sobie w pamięci pewną scenę, że się tak wyrażę.

- Co to za scena?

- Przyjęcie po wystawie Turnera oczywiście! Było tam sporo ludzi, włącznie z tą ładną młodą policjantką, z którą cię widziałam kilka razy.

- Annie odpowiadała za zabezpieczenie wystawy, o czym doskonale wiesz.

- Aż dziwne, że wy dwoje nie... - przerwała i spojrzała na Banksa, robiąc wielkie oczy. - No cóż, a może jednak? W sumie nie moja sprawa.

- Otóż to - skwitował Banks. - Wróćmy do przyjęcia.
- Do tego zmierzam. Próbowałam sobie przypomnieć, co robił Thomas McMahon, kto do niego podchodził i tym podobne.

- Z jakim skutkiem?

- No cóż, prawie przez cały czas stał sam. Ale widziałam, jak rozmawiał z panem Whitakerem z antykwariatu.

To miało sens. Whitaker przyznał, że McMahon kupował od niego stare książki. Dla wyklejek, jak zasugerował Phil Keane, które mogą służyć do malowania falsyfikatów z epoki. A Banks nadal brał pod uwagę możliwość, że Whitaker był zamieszany w jakiś przekręt z McMahonem i Gardinerem, zwłaszcza po tym, jak Stefan Nowak potwierdził, że tej nocy, kiedy dokonano podpalenia, w zatoczce blisko przyczepy McMahona parkował jeep cherokee, a takim właśnie autem jeździł antykwariusz. Dzięki fachowej wiedzy Geoffa Hamiltona mogą porównać zawartość baku w samochodzie Whitakera z paliwem, za pomocą którego wzniecono pożar.

- Co robił McMahon?

- Jedno mogę powiedzieć na pewno: jego kieliszek rzadko był pusty.

- Ale się nie upił?

- No może był trochę podпиты. Ale nie tak, żeby się to rzucało w oczy. W każdym razie nie wydaje mi się, żeby miał mocną głowę, jak to się mówi. Nie to chciałam ci jednak powiedzieć.

- Tylko co?

- Podczas przyjęcia McMahon rozmawiał z kimś, kto mógłby powiedzieć ci o nim coś więcej niż ja.

- Z kim mianowicie?

- Tym krytykiem sztuki z Londynu. Taki nadziany gość, całkiem niezłe ciacho. Wiesz, o kim mówię?

Banks poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Maria mówiła o Philipie Keanie, nowym niby-znajomym Annie.

- Tak - odparł. - Znam go. Dlaczego twierdzisz, że jest nadziany? Maria przewróciła oczami.

- Wy, mężczyźni, naprawdę! Jego garnitur, kochanie. Takie nie wiszą na kołku w sklepie Marks and Sparks. Był szyty na miarę. W dodatku przez doskonałego krawca. Najlepszy materiał. Naprawdę elegancki ciuch. Stawiałabym, że to z Savile Row.

- Skąd wiesz?

Puściła oko.

- Jeszcze wiele niespodzianek trzymam w zanadru.

Banks pomyślał, że koneser sztuki i rzeczoznawca musi zarabiać duże pieniądze, a jeśli Phil Keane chce je wydawać na garnitury z Savile Row, to jego sprawa.

- Mów dalej - zachęcił ją. - O czym rozmawiali?

- Tego nie wiem. Stałam kawałek dalej i zajmowały mnie obowiązki gospodyni. Dbałam o to, żeby ludzie mieli pełne kieliszki. Po prostu zauważyłam ich razem, to wszystko. Może dlatego, że przez większość czasu McMahon nie rozmawiał z nikim.

- Jak długo trwała ta rozmowa?

- Tego też nie potrafię powiedzieć. Coś odwróciło moją uwagę. Pamiętam, że potem McMahon uważnie oglądał jeden z obrazów na ścianie, a pan znawca sztuki flirtował z Shirley Cameron.

- Czyj to był obraz?

- Nie pamiętam. Jeden z tych, które wystawialiśmy w sali recepcyjnej. Nic szczególnego. Pewnie któregoś z miejscowych malarzy.

- Potrafiłabyś określić, o czym panowie rozmawiali?

- Nie, raczej nie.

- Chodzi mi o charakter rozmowy. Klócili się?

- Nie.

- Wymieniali uprzejmości?

- Nie.

- Spoufalali się?

- Nie w taki sposób - zaakcentowała przedostatni wyraz.

- Dyskutowali zżywieniem?

- Nie, to była zwyczajna pogawędka.

- Czyli po prostu zabijali czas?
- W sumie tak, ale...
- Ale co?
- Gdy wczoraj wieczorem przypominałam sobie to zdarzenie...

Nie wiem, może mi się wydaje, może tylko ubarwiam to, co widziałam, ale przysięgłabym, że rozmawiali ze sobą tak, jakby się znali.

- Nie jak dwóch gości, którzy dopiero co się spotkali?
- Właśnie o to chodzi, że nie. Ty też potrafisz określić, czy ludzie się znają? Nawet jeśli nie słyszysz ani słowa?

- Czasami - przyznał Banks. - Mowa ciała zdradza niejedno.

- Mowa ciała... - powtórzyła Maria. - Tak... Zresztą nieważne. -

Sięgnęła do swojej torebki. - Facet dał mi wtedy wizytówkę i wygrzebałam ją dla ciebie. Może się na coś przyda.

Banks spojrział na kartonik. Ozdobna czcionka, czarna i biała. Nazwa firmy Phila Keane'a, Art-Search Ltd., oraz adres w Belgravii.

- Mogę ją zatrzymać? - zapytał.

- Oczywiście. Na nic mi się nie przyda.

Banks podziękował.

- W takim razie to wszystko. - Maria rozłożyła ręce. - Nie mam już w rękawie żadnego asa, którym mogłabym zatrzymać cię tutaj dłużej.

- No nie wiem - stwierdził Banks, czując nagły przyływ wielkoduszności i niezbyt się śpiesząc do domu. W końcu nie było jeszcze siódmej, a film zaczynał się o dziewiątej. - A przyjemność przebywania w twoim towarzystwie?

Maria zrobiła zdziwioną minę.

- Nie musisz nigdzie pędzić?

- Nie. Przynajmniej nie teraz. Jak słusznie stwierdziłaś, nie mam żony, która czekałaby na mnie z masażem karku i gorącą kąpielą. Może jeszcze drinka?

Maria zmrużyła oczy, patrząc na niego podejrzliwie.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście.

Czerwieniąc się, Maria przesunęła kieliszek bliżej niego.

- W takim razie poproszę o jeszcze jedno campari z sodą.

W drodze do baru Banks pomyślał, że Maria straciła całą swoją śmiałość, gdy tylko on przejął inicjatywę. Czekając, aż Cyril naleje mu piwo, zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Nie musiało to niczego oznaczać, nawet jeśli przecucie Marii się potwierdziło, dlaczego jednak Phil nic mu nie powiedział? Dlaczego skłamał, że nie zna McMahona? I jak Banks mógłby to sprawdzić, nie niszcząc całkowicie i tak już fatalnych stosunków z Annie?



## Rozdział 12

W pociągu do Londynu Banks ciągle myślał o słowach, które poprzedniego wieczoru usłyszał od Marii Phillips i nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić. Tak bardzo się martwił, że nawet płyta Johna Mayalla nie pozwoliła mu się zrelaksować. Zupełnie też nie mógł się skupić na thrillerze Erica Amblera.

Maria wyraźnie stwierdziła, że Phil Keane rozmawiał z Thomasem McMahonem tak, jakby panowie znali się od lat, a Keane utrzymywał, że nie zna malarza o takim nazwisku. Oczywiście mogło dojść do zwyczajnej pomyłki, jeśli Keane nie skojarzył nazwiska z osobą, w końcu minęło ładnych kilka miesięcy, ale Banks wątpił, żeby tak właśnie było.

Może Keane, jak wszyscy inni, nie chciał mieć nic wspólnego z policyjnym śledztwem. W końcu to naturalna reakcja. Nie angażować się. Moja chata z krają. Tak samo zachował się Leslie Whitaker, a Banks był przekonany, że antykwariusz wie o wiele więcej, niż zeznał.

Ale przecież Phil Keane się zaangażował. Jako rzeczoznawca i jako kochanek Annie. To znaczyło, że powinien być po ich stronie. Ostatnim, co wchodziło w rachubę, była rozmowa z Annie na ten temat. Natychmiast zarzuciłaby mu, że chce ją poróżnić z Philem, ponieważ jest zazdrosny, i zrobiłaby awanturę, przy której ich ostatnia sprzeczka wydawałaby się tylko rozgrzewką.

Tuż za Grantham Banks wpadł na pewien pomysł. Zatelefonował do starego znajomego z policji stołecznej, który mógł mu pomóc. Po zakończonej rozmowie choć częściowo udało mu się oderwać myśli od tej sprawy i skupić na słuchaniu *Blues from Laurel Canyon*.

Na stacji King's Cross jak zwykle panowało zamieszanie. Banks

poszedł prosto do postoju taksówek i stanął w kolejce. Po kilku minutach był już w drodze do biura sir Laurence'a Westa w City. Podróż przebiegała wolno, jak niemal zawsze w Londynie, a stosunkowo ładna pogoda wyciągnęła na ulice więcej ludzi niż zwykle. Kurierzy na rowerach lawirowali między samochodami, kompletnie lekceważąc bezpieczeństwo swoje oraz innych, a piesi przekraczali jezdnię w dowolnym miejscu i bez względu na kolor świateł ulicznych. Sporo z nich miało na sobie tylko garnitury albo wiatrówki i jeansy.

W City nie ma wielu wysokościowców, ale biuro Laurence'a mieściło się na dwunastym piętrze jednego z nich - z jego południowych okien roztaczał się wspaniały widok przez rzekę na Southwark, a raczej roztaczałby się, gdyby nieba nie spowijały chmury.

Kiedy przedzierał się przez kolejnych ochroniarzy, recepcjonistki, sekretarki, dyrektorów biura i osobiste asystentki, Banks zaczął żałować, że nie zlecił tego komuś innemu. Nie znosił biurokracji i szybko zaczął tracić cierpliwość. Kiedy w końcu wprowadzono go do miejsca najświętszego, Banks dojrzał do tego, żeby dać sir Laurence'owi nieźle do wiwatu.

Gabinet zajmował powierzchnię prawie tak dużą jak całe górne piętro Komendy Policji dla Obszaru Zachodniego i prawie nie było w nim mebli. Grube dywany o misternych wschodnich wzorach pokrywały niemal całą podłogę z błyszczącego twardego drewna. Pośrodku stało duże tekowe biurko, na którym leżał tylko elegancki laptop. W rogu, wokół niskiego stolika ze szklanym blatem, ustawiono skórzany zestaw wypoczynkowy i tuż obok barek. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach dymu cygara.

Mężczyzna był wysoki, korpulentny, łysy, miał krzaczaste brwi i więcej niż trochę przypominał Roberta Morleya. Prawdopodobnie przekroczył siedemdziesiątkę, ale dobrze się trzymał. Nosił niebieskoszary garnitur, białą koszulę i krawat w prążki, niewątpliwie będący symbolem jakiejś starej szkoły, ekskluzywnego klubu albo regimentu. Podszedł do Banksa z miłym uśmiechem na twarzy,

wyciągnął dłoń na powitanie, po czym wskazał gościowi miejsce w jednym z foteli.

- Drinka?

- Nie, dziękuję - odmówił Banks.

- Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, jeśli ja się napiję.

- Bynajmniej.

West nalał sobie bursztynowego płynu z kryształowej karafki i dodał odrobinę wody sodowej. Banks poczuł zapach brandy.

- Wiem, że jest raczej wcześniej, ale zawsze wypijam drinka przed lunchem - powiedział West. - Tylko jednego. Zaostrza apetyt.

Banks, który wiedział, że znajdzie czas na hamburgera w najbliższym McDonalddie, i to jeśli dopisze mu szczęście, skinął głową.

- Napiję się coli, jeśli pan ma - powiedział.

- Oczywiście.

West otworzył coś, co wyglądało jak szafka na dokumenty, a okazało się małą lodówką. Wyjął puszkę coli, wlał zawartość do kryształowej szklanki i podał Banksowi, a ten podziękował i wypił łyk.

- Czym zatem mogę panu służyć? - przeszedł do rzeczy West, siadając naprzeciwko Banksa. Nie musiał wyjaśniać, że jest zajęтым człowiekiem; jasno widać to było po mowie ciała. - Młody człowiek, który do mnie telefonował, nie powiedział mi wiele. Mam nadzieję, że ci nieszczęśni urzędnicy z British Waterways nie nękali pana z mojego powodu. Mnie atakują od lat, ale zawsze to ignorowałem.

Banks pomyślał, że łodzie kogoś innego zostałyby pewnie odholowane już dawno temu. Bogactwo i władza dają przywileje. Opowiedział o pożarze i jego śmiertelnych ofiarach.

- O mój Boże! - jęknął West. - Mam nadzieję, że nie zamierza pan pociągnąć mnie do odpowiedzialności karnej za ich śmierć jako właściciela tych barek?

- Mój wydział nie zajmuje się takimi rzeczami - odparł Banks. - Interesuje mnie tylko jedno: kto i dlaczego podłożył ogień.

- W takim razie nie mogę panu pomóc. Niestety. Wspominał pan, że ktoś nielegalnie mieszkał na barkach. Może więc ci ludzie zaprószyli ogień?

- To bardzo mało prawdopodobne, skoro dwoje z nich zginęło w płomieniach.

- Żałuję, ale nie potrafię panu pomóc.

- Jak wszedł pan w posiadanie tych barek?

West zakręcił drinkiem w szklance.

- Należały do mojego ojca - wyjaśnił. - Zapewne więc je odziedziczyłem.

- Ale nie interesowały pana poczynania ojca?

- Nie. Ojciec dożył dziewięćdziesięciu dwóch lat, panie Banks. Zmarł dwa lata temu, chociaż przez jakiś czas przed śmiercią nie było z nim kontaktu. Wiem, że zajmował się także frachtem, ale nie miałem pojęcia o tych barkach. Może pan mi wierzyć albo nie, ale dowiedziałem się o nich dopiero od urzędników British Waterways, którzy się za mną skontaktowali po jego śmierci. Wiem, że powinienem coś z tą sprawą zrobić, wyznaczyć kogoś, żeby się nią zajął, ale miałem wtedy ważniejsze rzeczy na głowie. Nie przypuszczałem, żeby ktokolwiek mógł ucierpieć dlatego, że barki stały nieużywane na wodzie.

- Nie miał pan żadnego powodu, żeby je przejąć?

- Dobry Boże, nie!

- Albo sprzedać?

- Prędzej czy później do tego by doszło, jak sądzę.

- Były ubezpieczone?

- Tak przypuszczam. Mój ojciec był zapobiegliwym człowiekiem, zanim zaczął chorować.

- Nie wie pan, na jaką kwotę?

- Nie mam pojęcia. Wykonawca jego testamentu powinien znać odpowiedź.

- Potrafi pan wskazać kogoś, kto mógłby mieć jakiś powód, żeby podpalić te barki?

- Nie potrafię. Sugeruje pan, że to próba oszustwa ubezpieczeniowego?

- Niczego nie sugeruję - odrzekł Banks. Zresztą i tak był to niedorzeczny pomysł. West prawdopodobnie obracał miliardami rocznie, a z ubezpieczenia za te dwie barki mógł dostać dwadzieścia, najwyżej trzydzieści tysięcy. Ale przecież zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Bogaci nie stają się bogatsi, gdy marnują okazję, by zyskać jeszcze więcej pieniędzy. West mógł też kazać podpalić barki po prostu po to, żeby się ich pozbyć.

- Zabawne, ale kiedy pan o tym wspomniał, przypomniałem sobie, że kilka miesięcy temu otrzymałem list z ofertą kupna jednej z tych barek. Przekazała mi go moja sekretarka, ale nie wziąłem sprawy poważnie.

- Myślałem, że nie potrzebuje pan pieniędzy.

West roześmiał się.

- Mój drogi panie, nie ma powodu, żeby pozwalać innym brać się za głupca.

- Kiedy wpłynęła oferta? - zapytał Banks.

- Och, niedawno. Chyba w październiku.

- Czy zdoła pan odnaleźć ten list?

West wezwał sekretarkę, obdarzoną wydatnym biustem kobietę w przyzwoitej spódnicy z wąsko prążkowanego materiału i żakiecie pod kolor. Wyszła i zaraz wróciła z płowóżółtą tekturową teczką.

- Jak list trafił w pani ręce? - zapytał Banks sekretarkę, zanim zdążyła czmychnąć.

- Za pośrednictwem British Waterways - odpowiedziała.

Rzuciła sir Laurence'owi pytające spojrzenie. Ten skinął przyzwalająco i sekretarka podała teczkę Banksowi. W środku znajdowała się tylko jedna kartka papieru: list datowany na szósty października, napisany krótko i na temat.

Ktoś deklarował chęć kupna barki zacumowanej na ślepej odnodze kanału Eastvale, koło Molesby - barki Toma - za cenę dziesięciu tysięcy funtów. Taka niska cena, jak wyjaśniał autor, podyktowana

była koniecznością dużych prac remontowych. Ofertę podpisał nie kto inny jak Thomas McMahon.

Mark czuł zapach morza i słyszał fale, gdy z dworca autobusowego w Scarborough schodził wzgórzem na plażę we wtorek około jedenastej przed południem. Po śniadaniu, składającym się z jajecznicy, bekonu, kiełbasy, grzybów i pomidorów z grilla, zapłacił rachunek i poszedł na przystanek autobusowy na rynku w Helmsley. Złapał autobus o dziewiątej trzydzieści, a potem przez szybę gapił się na północ, gdzie rozciągały się ponure, zasnuwane mgłą wrzosowiska. Dopiero w Pickering autobus zaczął zjeżdżać z wrzosowych pól.

Plan Marka, choć sam nie był pewien, czy ma jakiś plan, zakładał, że musi jak najszybciej znaleźć jakąś pracę. Pieniądze, które ukradł Clive'owi, zapewnią mu dach nad głową i pełny brzuch przynajmniej na jakiś czas. Ale potem będzie potrzebował czegoś stabilniejszego. Jeśli w ogóle będzie jakieś potem.

Mark nie miał pojęcia dlaczego, ale czuł się odrętwiały i zarazem niespokojny. Powodem odrętwienia była strata Tiny, ale jednocześnie gdzieś w głębi duszy się obawiał, że ktoś na niego czyha, bo przecież nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie. Było też jeszcze poczucie winy. Dlaczego nie został wtedy z Tiną, tylko poszedł do tej zdziry Mandy? Szalała w nim złość, nieskupiona na niczym konkretnym, ale coraz silniejsza. Zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie zabiłby Clive'a, gdyby ten nie zwolnił, a ostry zakręt nie umożliwił złapania portfela i wyskoczenia z auta. Pamiętał, co mówił mu policjant: pożar nie wybuchł przypadkiem. To znaczyło, że Tinę ktoś zabił, celowo albo przy okazji. Jedynym człowiekiem, który miał powód, żeby zabić Tinę, był Patrick Aspern. Na myśl o nim Mark znów poczuł wzbierającą wściekłość.

Zimny wiatr od Morza Północnego pchał nad ląd masę chmur w kolorze pomyj. Nigdzie na horyzoncie nie widać było błękitu ani promieni słońca, które przebijałyby się do powierzchni wody, by roztańczyć na niej brylantowe refleksy. Szary całun spowił cały świat.

Wszystkie atrakcje przy deptaku zlikwidowano na zimę, zamknęły się kawiarnie i smażalnie ryb, salon gier Jimmy'ego Corrigan'a i bar Parade, a plaża była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć jednego człowieka w kurtce z kapturem, który prowadził psa, pochylony, chroniąc się przed wiatrem. Trwał przyływ i wysokie fale jak stopiony metal rozbijały się o brzeg, podrywając brązowy piasek. Kilka osób spacerowało po deptaku, starsze pary i młoda rodzina z dziećmi. Mark pomyślał, że to pewnie miejscowi. W końcu Scarborough to duże miasteczko i mieszkający w nim ludzie muszą jakoś żyć także po zakończeniu sezonu turystycznego.

Po przeciwległej stronie ulicy, zaraz przy Pociągu Widmo, parkowała samotna szara Vectra z dwoma mężczyznami w środku, którzy herbatą popijali wafle KitKat. Obydwaj zerkali na Marka, chłopak odwracał więc głowę w drugą stronę. Nie miał pojęcia, czy ich zna, ale nie było sensu pchać się im prosto w łapy. Może barki podpalił nie jeden sprawca, lecz dwóch i byli to właśnie ci dwaj? Z rękami w kieszeniach przeszedł wzdłuż portu, gdzie niedaleko zamocowanych na zimę łodzi rybackich leżały sterty sieci.

Sięgnął po papierosa, ale zbyt silnie wiało, musiał więc się poddać po trzeciej zapalce. Zapali później w jakimś ciepłym pubie. Dobrze się czuł tak blisko morza. Nie miał pojęcia dlaczego, ale widok wody rozciągającej się jak daleko wzrokiem sięgnąć, aż do miejsca, gdzie się styka z niebem, napawał go podziwem. W dodatku morze ciągle się zmieniało, wznosiło się i opadało, a wiatr targał białe grzywy olbrzymich fal. Czuł się na swoim miejscu, a rzeczy zyskiwały odpowiednie proporcje. Mógłby tak patrzeć bez końca.

Wyobrażał sobie żeglarzy sprzed wieków, na drewnianych okrętach z wyrzuszonymi żaglami podrzucanych przez takie właśnie fale, bez choćby kawałka ładu w zasięgu wzroku, i myślał, że na pewno chciałby zostać marynarzem, gdyby żył w tamtych czasach. Marynarzem na statku wielorybniczym. Ale nie harpunnikiem, ponieważ nie chciałby zabijać wielorybów. Najlepiej przy sterze. Kręciłby kołem sterowym i odkrywał nowe światy. Może nawet teraz mógłby

się zaciągnąć na statek handlowy - gdyby go przyjęli, spędziłby resztę swoich dni na morzu. Wiedział, że teraz buduje się nowoczesne statki, ale przecież i tak są one zdane na łaskę fal.

Kątem oka zauważył, że vectra ruszyła, trzymając się z jego lewej strony. Minął puste wesołe miasteczko i wszedł na Marine Drive. Samochód nie wyprzedzał go, tylko sunął powoli, trzymając się około dwudziestu metrów z tyłu. Czy jechali za nim? Mark zdobył się na odwagę, żeby zerknąć za siebie i wydawało mu się, że jeden z mężczyzn rozmawia przez telefon komórkowy.

Mark nie miał gdzie się schronić. Marine Drive otacza półkolem wzgórze zamkowe, po jednej stronie miał więc skaliste zbocze, a po drugiej tylko zimne Morze Północne. Nie było dokąd uciekać. Wiatr wył w uszach, a fale rozbijały się z hukiem wysoko nad wałem nadmorskim z metalowymi barierkami i niemal w jednej chwili ubranie Marka całkiem zamokło.

Vectra trzymała się dwadzieścia metrów za nim, ciągle w tej samej odległości, nawet jeśli zmieniał tempo marszu. Kilka osób oprócz niego odważyło się stawić czoła pogodzie, wszyscy byli ubrani w kurtki przeciwdeszczowe. W oddali na wodzie kołysał się ciemny zarys burty. Mark zastanawiał się, co to za statek, kto nim płynie i jak się czuje. Czy pasażerowie znajdowali się w niebezpieczeństwie? Nie dostrzegł żadnych sygnałów, flar ani świateł wzywających pomocy. Dadzą sobie radę, podobnie jak on.

Mark nie miał już wątpliwości, że samochód jedzie za nim. Przyspieszył prawie do biegu, a wtedy auto wystrzeliło naprzód, zjechało na bok i zatrzymało się kilka kroków przed nim, blokując chodnik.

Mark odwrócił się i pobiegł w przeciwnym kierunku, z powrotem do miasta, nie zwracając uwagi na trzaskające drzwi ani na krzyki. Zresztą i tak by nie usłyszał, czego chcą z powodu wiatru i huczących fal. Zmierzał w kierunku promenady. Gdyby mu się udało wpaść w labirynt wąskich uliczek za budynkami, miałby szansę ich zgubić, kimkolwiek byli. Nie uciekł jednak daleko, kiedy poczuł czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Stracił ją i biegł dalej, ale nie uciekł daleko. Po



kilku sekundach ktoś mu podciął nogi i upadł, uderzając policzkiem o twardą nawierzchnię. Poczł kolano między łopatkami, ktoś wykręcił mu rękę do tyłu. Słyszał, że coś mówią, ale nie zrozumiał co. Nie wiedział, czego chcą. Czuł krew oraz sól na wargach i języku, gdy postawili go na nogi i ciągnęli do samochodu. Krzyzał, ale nikt nie przybył z pomocą. Zanim wsadzili go do vectry, jeszcze ostatnia, potężna fala roztrzaskała się o wał, moczając jego i dwóch mężczyzn od stóp do głów.

Stacja obsługi samochodów z wypożyczalnią była o rzut kamieniem od wielkiego parkingu w Askham Bar, obok obwodnicy na zachód od centrum Yorku. Należała do niejakiego Charliego Kirka. Też mi miejsce na wypożyczalnię samochodów, pomyślała Annie. Przecież można wybrać pociąg, a ze stacji kolejowej podjechać autobusem i nie przejmować się ani morderczymi korkami w centrum, ani brakiem miejsc do zaparkowania.

Jak wiele razy wcześniej, opłaciło się nużące, wymagające wiele zachodu sprawdzanie wszystkich możliwych szczegółów: wyglądało na to, że właśnie tutaj sprawca wypożyczył jeepa cherokee. W każdym razie na pewno ta sama osoba wypożyczała akurat to auto kilka razy od ubiegłego lata, także w ostatni weekend. Mieli szczęście, ponieważ niewiele wypożyczalni oferuje terenówki, ale Charlie Kirk zdecydował się jednak na ten rodzaj auta. Annie zamierzała przesłuchać właściciela, podczas gdy Stefan i jego eksperci robili swoje. Razem z miejscowym mechanikiem poszli już na parking za budynkiem, Annie została z pracownikami biurowymi.

Małe pomieszczenie było przegrzane i duszne. Pracowało w nim troje ludzi: kobieta obsługująca klientów oraz młoda dziewczyna i starszy mężczyzna, którzy siedzieli trochę głębiej. Nie różniło się od innych biur - komputery, szafy na dokumenty, telefony i faksy - tylko na ścianach wisiały plakaty z samochodami.

Annie zdjęła płaszcz, przewiesiła go przez oparcie krzesła i pokazała legitymację.

- Spodziewałam się pani. - Kobieta podniosła się i wyciągnęła rękę na powitanie. - Nazywam się Karen Talbot. Jestem kierowniczką biura.

Annie dawała jej najwyżej trzydzieści lat. Karen Talbot miała blond pasemka, błyszczącą czerwoną szminek i oczy tak niebieskie, że z pewnością nosiła szkła kontaktowe. Ubrana była w czarną jedwabną bluzkę z naprawdę dużym dekoltem oraz obcisłą czerwoną spódnicę. Annie nie przypadł do gustu jej wygląd, ale potrafiła sobie wyobrazić, że większość klientów płci męskiej wpada w zachwyt.

Karen usiadła, przykrywając uda kusą spódniczką najdalej jak się dało, co wcale ich nie zasłoniło.

- Czy jest właściciel?

- Kapitana nie ma. To nie jest jego jedyna firma. Nasz kapitan tworzy całkiem spore imperium.

- Kapitan?

- Kirk. Mówimy na niego kapitan Kirk. Oczywiście w żartach i tylko wtedy, kiedy go tu nie ma.

- Rozumiem - powiedziała Annie. - W takim razie porozmawiamy z nim później. Może pani będzie mogła mi pomóc? - dodała, siadając naprzeciwko Karen.

Karen poprawiła włosy.

- Postaram się. Prawdę mówiąc, kapitan nie powiedziałby pani wiele. On przecież tutaj nie pracuje.

- Czyli to pani obsługuje klientów?

- Tak, najczęściej. - Karen zerknęła na pozostałych dwoje. - Ale się zmieniamy. To Nick i Sylvia.

Annie przywitała się. Nick odpowiedział jej, szczerząc zęby jak akwizytor, Sylvia natomiast uśmiechnęła się nieśmiało. Annie zastanawiała się, jak Nick, który był dobrze po czterdziestce, musiał się czuć jako podwładny takiej młodej karierowiczki jak Karen. Złapała się też na raczej złośliwych rozważaniach, w jaki sposób Karen dostała tę pracę i jakie relacje łączyły ją z właścicielem firmy. Ale takie myśli miały niewiele wspólnego z tym, po co tu przyszła,

odpędziła je więc od siebie i zabrała się do pracy.

- Podobno kilka razy wypożyczaliście ciemnoniebieskiego jeepa cherokee albo podobne auto terenowe tej samej osobie w okresie od lata ubiegłego roku do teraz. Czy to prawda?

- Tak - potwierdziła Karen. - Trzy razy był to jeep, a dwa razy podstawiliśmy forda explorera.

- Czy klient uznał to za problem?

- Nie przypominam sobie niczego takiego. Był zainteresowany rodzajem pojazdu, a nie marką.

- Czy obsługiwała pani tego klienta osobiście?

- Nie za każdym razem.

- Ja wypożyczałem mu samochód dwukrotnie - wtrącił Nick. - A Sylvia raz.

Karen podeszła do szafki na dokumenty stojącej przy jej biurku i po kilku chwilach wyciągnęła teczkę. Następnie wyrecytowała kilka dat we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu, z których ostatnia przypadała na ubiegły weekend.

- Kiedy dokładnie odebrał samochód? - zapytała Annie.

- W czwartek rano.

- A kiedy zwrócił?

- W sobotę rano.

Czyli miał jeepa przed pożarem na barkach, ale zwrócił go, zanim ogień strawił przyczepę Rolanda Gardinera. Annie zastanawiała się dlaczego.

- Jakież problemy ze zwrotem auta?

- Nie. Zawsze było w idealnym stanie.

- Przyjeżdżał z pełnym czy pustym bakiem?

- Z pustym. Kosztuje to trochę więcej, ale klient nie ma kłopotu z szukaniem stacji benzynowej.

- Tankujecie samochody na miejscu?

- Oczywiście, że tak.

Czyli dopisało nam szczęście, pomyślała Annie. Pobiorą próbki z baku jeepa oraz z podziemnego zbiornika. Banks powiedział jej, że

technika kryminalistyczna pozwoli wskazać zbiornik, z którego pochodziła benzyna użyta do podpalenia przyczepy Gardinera. Ktokolwiek wypożyczył jeepa cherokee, najprawdopodobniej nie uzupełniał paliwa na innej stacji. Jeśli wyniki potwierdzą to przypuszczenie, to policja zyska mocny dowód dla sądu.

- Jak się nazywa ten klient?
- Masefield. William Masefield.
- Jak wygląda?
- Raczej zwyczajnie.
- Spróbujmy trochę uszczegółwić ten opis, dobrze? - powiedziała Annie, wzduchając.

Nienawidziła wyciągać z ludzi opisów czegokolwiek. Doświadczenie podpowiadało jej, że świadkowie nie tylko nie zwracają uwagi na szczegóły, ale też nie potrafią ubrać swoich spostrzeżeń w słowa. Także tym razem tak było. Po mniej więcej dziesięciu minutach starań wypowiedzi całej trójki złożyły się na rysopis mężczyzny trochę powyżej średniego wzrostu, siwiejącego, ogólnie w dobrej formie, choć nie bez leciutkiej nadwagi, trochę przygarbionego, noszącego okulary w złotej oprawie oraz ubranie w stylu sportowym - dzinsy i niebieską wiatrówkę. Według Nicka przynajmniej raz mężczyzna miał białe sportowe buty, żadne z nich nie potrafiło jednak powiedzieć, czy były to najki czy nie. Annie była zadowolona przynajmniej z tego, że nie wystąpiły między nimi większe różnice zdań co do koloru włosów. Mógł to być opisany przez Marka Siddonsa gość Thomasa McMahona, ale równie dobrze taki rysopis pasował do tysiąca innych mężczyzn.

- Macie tutaj telewizję przemysłową? - zapytała Annie.
- Tylko za budynkiem, gdzie parkują samochody - odpowiedziała Karen. - I działa wyłącznie w nocy, gdy w budynku nie ma nikogo. Inaczej co pięć minut zmienialibyśmy taśmę.

Niedobrze, pomyślała Annie. Ale szansa była.

- Czy zapamiętała pani coś jeszcze?
- Nie.

- Jak płacił?
- Kartą kredytową.
- Poda mi pani szczegóły?

Karen szybko zrobiła kopię dokumentu z teczki Williama Masefielda i przekazała ją Annie. Widniał na niej adres w Studley, miasteczku na terenie West Midlands w hrabstwie Warwickshire, niedaleko Reffitch.

- Czy miał jakiś wyraźny akcent? - zapytała Annie.
- Nie, mówił zwyczajnie - stwierdziła Karen.
- Co według pani znaczy „zwyczajnie”? Akcent z Yorkshire? Z Birmingham?
- Nie słychać było żadnego akcentu. Mówił starannie, jak ktoś dobrze wykształcony.

Annie wiedziała, co rozmówczyni ma na myśli. Taka angielszczyzna nazywa się Received Pronunciation. Używano jej w radio i telewizji, zanim modne stały się akcenty etniczne. Received Pronunciation uchodzi za elegancki sposób wysławiania się i jest kojarzona z Oksfordem, Cambridge, a także hrabstwami wokół Londynu, tak zwanymi Home Counties. Wymowa angielska zwykle zdradza pochodzenie rozmówcy; Received Pronunciation informuje tylko o jego statusie społecznym.

Stefan uchylił drzwi i wsunął głowę do środka. Annie zauważyła, że Karen natychmiast zaczęła stroszyć piórka.

- Coś ustaliliście? - zapytała.
- Wygląda, że to ten sam pojazd - poinformował Stefan. - Ten sam rozstaw, zgadzają się opony, jest charakterystyczne kreskowanie, które zdjeliśmy na odlewie w zatoczce parkingowej, i chyba pasuje do tego konkretnego jeepa cherokee. Mike ciągle nad tym pracuje. Mamy jeszcze do pobrania próbki ziemi i żwiru, ale pomyślałem, że przekażę tę ważną wiadomość.

- Świetnie! - ucieszyła się Annie, uderzając w kartkę papieru, która leżała przed nią. - William Masefield. Mamy tu szczegółowe dane. Dopadliśmy go! - Oczami wyobraźni widziała, jak robią nalot i

dokonyją aresztowania jeszcze przed powrotem Banksa z Londynu, choć taka możliwość była w zasadzie nierealna. Ale i tak Annie nie posiadała się radości. Zaczynała nawet mieć nadzieję na weekend z Philem w Nowym Jorku. Jeśli będzie ją stać na wyjazd, bo na pewno sama za siebie zapłaci.

- Jest tylko jeden problem - dodał Stefan.

- Tak?

- Auto zostało starannie wyczyszczone wewnątrz i na zewnątrz.

Annie spojrzała na Karen, a ta wzruszyła ramionami.

- Zawsze czyścimy zwrócone auta jak najszybciej - stwierdziła.

- Cholera! - zakląła Annie. - Czyli nie będzie śladów.

- Prawdopodobnie nie - zgodził się Stefan. - Ale możemy zabrać samochód i poszukać dokładniej. Może się zachował jakiś włos albo odcisk.

- Zaraz, zaraz! - wtrąciła się Karen. - Jak to: zabrać? Niby dokąd?

- Do policyjnego warsztatu - wyjaśniła Annie.

- Ale nie możecie zabrać tego jeepa. Jest zarezerwowany!

- Znowu pan Masefield?

- Nie. Ale też stały klient.

- Samochód jest dowodem rzeczowym - stwierdziła Annie.

Zwróciła się do Stefana. - Powiedz Mike'owi, żeby przewiózł auto do naszego warsztatu. Tylko niech najpierw weźmie próbki paliwa z baku i z podziemnego zbiornika na benzynę.

- Ale kapitan nie...

- Niech się pani nie martwi, Karen - przerwała jej Annie, biorąc z biurka notatnik. - Dam pani potwierdzenie. No i zawsze może pani wynająć klientowi explorera. Jestem pewna, że zrozumie.

- Że jak? Komisarz Policji Stołecznej Burgess? Ja pierdołę!

- Uważaj na język, Banks. Poza tym skąd to zaskoczenie?

- Kiedy cię ostatnio widziałem byłeś nadinspektorem w wydziale służby wywiadowczej policji. Sądziłem, że jak cię posłali na zieloną trawkę, to już tam zostaniesz.

- Sytuacja się zmieniła. Trudno mnie złamać.

Banks doskonale pamiętał, że Dick Burgess, nazywany przez kolegów Brudnym Dickiem, został odesłany gdzieś, gdzie nie mógł wyrządzić większych szkód, bo podobno się ociągał z prowadzeniem jakiegoś ważnego śledztwa w sprawie na tle rasowym. Znali się od wielu lat, a charakter ich wzajemnych relacji zmienił się znacznie przez ten czas. Początkowo kompletnie się różnili: Burgess był aroganckim konserwatystą o rasistowskich i seksistowskich poglądach idącym do celu na skrót; Banks ze wszystkich sił próbował pozostać liberalnym humanistą, mimo rozdzierającej serce pracy i demoralizujących czasów. Teraz Banks częściej skracał sobie drogę, podczas gdy Burgess wolał się trzymać wyznaczonych ścieżek. Obydwaj pochodzili z rodzin robotniczych i obydwaj ciężko pracowali na każdy kolejny awans, poczynając od służby patrolowej na ulicach. Burgess był synem straganiarza z East Endu. Świetnie mu się wiodło pod rządami Thatcher, potem przycichł za czasów Johna Majora, a teraz znów odżył w erze Blaira. Dowodziło to tezy, której zawsze bronił Banks: Blaira i Thatcher różni tylko płeć, a i to nie na pewno.

Byli też w podobnym wieku i przez lata Banks zbudował między nimi swoistą płaszczyznę porozumienia, nawet jeśli bywało ono chwiejne i niepewne jak cienki lód na głębokim bagnie. Właśnie do Burgessa zadzwonił Banks z pociągu, gdy wpadł mu do głowy pewien pomysł. Burgess stwierdził wtedy, że da się zaprosić na lunch. Tak właśnie trafili do zatłoczonego pubu w pobliżu Old Bailey. Stali przy barze, popijając zwietrzałym piwem curry oferowane jako danie dnia i rozpychając się łokciami w tłumie adwokatów, interesantów i urzędników. Przynajmniej w jednym Burgess wcale się nie zmienił: nadal pił jak smok i nadal palił cygara Tom Thumb.

Za to zmienił się jego wygląd. Siwy kucyk i wytartą skórzaną kurtkę zastąpiły ogolona na zero głowa oraz ciemnoniebieski garnitur, biała koszula i wzorzysty krawat. Pojawiły się też lśniące buty. Burgess przytył kilka kilogramów, jego cera zrobiła się różowa, a nos

jeszcze czerwiejszy i jeszcze bardziej kartoflowaty niż kiedyś. Zmęczone światem spojrzenie człowieka, któremu się zdaje, że wszystko już widział, ustąpiło miejsca umiarkowanemu zaskoczeniu oraz ciekawości.

- Widzę, że nieźle sobie radzisz - powiedział Banks, odsuwając talerz. Zjadł tylko połowę curry, ponieważ mu nie smakowało. Ponoć było z jagnięcina, ale Banks wyczuwał baraninę. W dodatku przyprawy były tak mdłe, że równie dobrze wcale mogliby ich nie dodawać.

- Nie narzekam, nie narzekam. Starzy kumple nie zapomnieli o mnie. Miałem na koncie parę prawdziwych wyczynów, które się spodobały pewnym ludziom na samej górze. Zaręczam ci, Banksy, że świat po jedenastym września dwa tysiące jeden jest pełen możliwości dla kogoś z moimi talentami.

- Pozostaje jeszcze kwestia, dla kogo te możliwości znajdujesz.

- Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne.

- To gdzie teraz jesteś? Znowu w wydziale specjalnym?

Banks położył palec na ustach.

- Nie mogę tego zdradzić. Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić. To ścisła tajemnica. Nasza komórka jest na tyle nowa, że jeszcze nie stworzyli dla nas żadnego akronimu. Ciii! Co cię do mnie sprowadza? Przez telefon byłeś bardzo tajemniczy. - Poczęstował Banksa cygarem. Banks odmówił. Burgess zmrużył powieki. - Co jest, Banksy, przestałeś palić? Odkąd się spotkaliśmy, nie miałeś w ustach papierosa. To do ciebie niepodobne. Naprawdę rzuciłeś?

- Pół roku temu.

- Czujesz się lepiej?

- Nie.

Burgess zachichotał.

- Jak twoja wspanała żona? Ekszona powinienem był powiedzieć.

- Dobrze - odpowiedział Banks. - Powtórnie wyszła na mąż.

- A ty?



- Używam kawalerskiego życia. Posłuchaj, chcę cię o coś poprosić. Oczywiście w największej tajemnicy.

- Pewnie. Po co innego chciałbyś się ze mną zobaczyć?

Banks był pewien, że Burgessowi można powierzyć każdą tajemnicę, bo potrafi zachować dyskrecję. Trudno też chyba byłoby znaleźć kogoś z lepszą siecią informatorów i agentów, którzy potrafili zdobyć informacje na dosłownie każdy temat. Właśnie dlatego Banks zatelefonował właśnie do niego.

- Sprawa jest raczej delikatna - zaczął.

- Co się stało? Rzuciła cię dziewczyna i chcesz, żebym znalazł coś na jej nowego faceta?

Był to zaskakująco celny strzał, ale Banks wiedział, że Burgess wali na oślep, mając tylko nadzieję, że w coś trafi. Od dawna stosował takie podejście i często osiągał dzięki niemu zaskakująco dobre rezultaty, tylko że Banks był teraz trochę mądrzejszy niż kiedyś - i mniej skłonny do szybkiej reakcji. Ale i tak poczuł szacunek dla Burgessa za tę niesamowitą zdolność uderzania w czuły punkt.

- Pewnie to nic wielkiego, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć o facecie nazwiskiem Philip Keane.

- Trochę więcej szczegółów? - poprosił Burgess, przeglądając oprawny w miękką czarną skórę notatnik w poszukiwaniu wolnej kartki. Takich nie dają z przydziału, zauważył Banks. Czyli pewnie prywatny. - Bo rozumiem, że nie chodzi ci o tego narwańca, który gra dla Manchester United.

- O ile mi wiadomo, to nie on. Ten jest kulturalny i wykształcony. Oksford albo Cambridge. Na pewno jeden z tych dwóch. Pracuje jako rzeczoznawca, sprawdza pochodzenie i autentyczność dzieł sztuki, głównie dla prywatnych kolekcjonerów, ale wykonuje też jakieś zlecenia dla Tate i Narodowej. Jeśli mam dobre informacje, to prowadzi własną firmę. Nie wiem, czy ma partnerów i czy zatrudnia pracowników.

- Gdzie jest siedziba firmy?

- Belgravia. - Banks podał Burgessowi wizytówkę, którą dostał

od Marii Phillips.

- Nazwa firmy?
- Art Search Limited.
- Coś jeszcze może mi pomóc?
- Raczej niewiele. Ma czterdzieści kilka lat. Posiada domek w

Fortford na północy Yorkshire. Dobrze ubrany, dobrze wyglądający facet.

- Miałem rację, Banksy, on ci ukraść dziewczynę, prawda?
- Nic podobnego.
- Tę ładniutką sierżant, z którą się bzykałeś.
- Masz na myśli Annie Cabbot? Jest detektywem i...

- Annie Cabbot, no właśnie! - Burgess wyszczerzył zęby w uśmiechu, co stanowiło średnio przyjemny widok nie tylko dlatego, że były pożółkłe od dymu i krzywe. Pokręcił głową i cmoknął. - Czy ty się nigdy nie nauczysz, Banksy?

- Posłuchaj! - Banks starał się ze wszystkich sił, żeby uszczypliwości Burgessa nie wyprowadziły go z równowagi. - Facet skłamał w sprawie, która może się okazać ważna dla przebiegu śledztwa w sprawie morderstwa. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Sam go więc zapytaj.
- Zapytam. Ale na razie chcę się o nim dowiedzieć jak najwięcej.
- Chyba raczej chcesz, żebym ja się o nim dowiedział jak naj-

więcej.

- Racja. Zrobisz to?
- Mam znaleźć na niego haka?
- Jeśli tylko jakiś jest, to nie mam wątpliwości, że go znajdziesz.

Jeśli nie... - zawahał się - chcę poznać prawdę.

- Czyż wszyscy tego nie chcemy? Oczywiście nie chcesz, żeby Annie Cabbot dowiedziała się o tych dyskretnych poszukiwaniach?

- Nie chcę, żeby ktokolwiek się o nich dowiedział. Może to kłamstwo coś znaczy, a może nie. To, co znajdziesz, pomoże mi w podjęciu decyzji. Sprawa jest poważna.

- Chodzi o pożar na kanale Eastvale?

- Wiesz o tym?  
- Lubię trzymać rękę na pulsie. Jeszcze jedno. Dziś rano złożyłeś wizytę sir Laurence'owi Westowi.

Banks tylko się uśmiechnął.

- I nie powinienem być zaskoczony, że już o niej wiesz?

Burgess puścił oko.

- Ściany mają uszy - powiedział. - Ostrożnie, Banksy. Sir Laurence dysponuje potężnymi wpływami.

- Powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Nie sądzę, żebym miał z nim jakiś problem.

- Lepiej, żebyś nie miał. Czasy są trudne. Świat chyli się ku upadkowi. Nie wiadomo, komu można zaufać.

- Ty i tak zawsze spadasz na cztery łapy.

- Jestem jak Weeble. Pamiętasz te zabawki z dzieciństwa? Mogłeś je przewracać, nie wiem ile razy, a one i tak stawały do pionu.

- Pamiętam - przyznał Banks.

- Stare czasy. Może jeszcze po kuflu? Chyba że musisz gdzieś biec.

Banks zerknął na zegarek. Owszem, chciał iść w pewne miejsce, ale nie musiał się tam śpieszyć.

- Jestem za.

- Tym razem ja stawiam.

Winsome prowadziła nieoznakowany samochód policyjny drogą M42, z wrodzoną łatwością zmieniając pasy podczas wyprzedzania ciężarówek. Wycieraczki machały jak szalone, żeby ściągnąć z szyby brud pryskający spod kół. Annie, która sama była świetnym kierowcą, ze zdziwieniem zauważyła, że ani trochę się nie denerwuje, choć ciężarówki jechały bardzo szybko, a Winsome miała czasem naprawdę mało miejsca na manewr.

- Gdzie się nauczyłaś tak dobrze prowadzić? - zapytała Annie.

Winsome się uśmiechnęła.

- Nie wiem, proszę pani - powiedziała. - Chyba jeszcze w domu.

Zacęłam jeździć w wieku dwunastu lat i chyba mi się to spodobało. Niektóre górskie drogi...

- Ale na Jamajce nie ma chyba autostrad?

- Nigdy tam pani nie była?

- Nie.

- Rzeczywiście nie ma autostrad. W każdym razie nie według tutejszych standardów. Ale w niektórych miejscach można jeździć szybko, a w Montego Bay panuje spory ruch uliczny.

- W Kingstonie też?

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedziała Winsome. - Nigdy się nie wybrałam do Kingstonu. Ale naukę jazdy zaliczyłam dopiero tutaj, w pracy. Skończyłam kurs.

- To dobrze. Posłuchaj, Winsome...

- Tak, proszę pani?

- Chodzi właśnie o to „proszę pani”. Czuję się przez to stara.

Mogłabyś nazywać mnie jakoś inaczej?

Winsome roześmiała się.

- Jaka forma by pani odpowiadała?

- Zdecyduj sama.

- Kierowniczką?

- Nie. Nie lubię.

- Detektyw?

- Nie.

- To może po prostu szefowo?

Annie zastanawiała się przez chwilę. Wiedziała, że Banks nie lubi tego zwrotu. Ciągłe powtarzał, że brzmi za bardzo jak z telewizji. Ale jej to nie przeszkadzało. Podobało jej się brzmienie tego słowa.

- Dobrze, niech będzie szefowa.

- Tak jest, szefowo. Co pani myśli?

- O Williamie Masfieldzie?

- Tak.

- Sama nie wiem - powiedziała Annie. - Czy może to być aż takie łatwe?

- Czasem takie właśnie jest.

- Mam inne doświadczenia. Jeśli facet ma choć trochę oleju w głowie, to musiał wiedzieć, że go namierzymy przez wypożyczalnię samochodów i kartę kredytową.

- Może nie jest aż taki bystry.

Winsome wyprzedzała konwój około sześciu wielkich ciężarówek z przyczepami na hiszpańskich tablicach, przeskakując jedną po drugiej. Annie studiowała mapę.

- Prawie dojechałyśmy - oznajmiła. - Zjedź teraz na lewy pas.

Winsome mrugnęła kierunkowskazem i zjechała na lewo.

- Trzeci zjazd. Droga czterysta trzydzieści pięć. Tutaj.

Winsome zjechała i gwałtownie zwolniła. Annie sięgnęła po bardziej szczegółową mapę okolicy, którą kupiła przed podróżą i znalazła na niej ulicę, przy której mieszkał Masefield. Zjechały ze wzgórza, po czym skręciły w labirynt uliczek po prawej stronie. Annie szukała adresu, który zdobyła w wypożyczalni.

Wreszcie Winsome zaparkowała w miejscu, gdzie powinien się znajdować dom o takim numerze. Dookoła stały budynki jednorodzinne, niezbyt duże, ale wygodne, z oknami wykuszowymi i garażami. Problem tylko w tym, że pod numerem jedenastym była niezabudowana działka.

Wysiadły z samochodu i ze zdziwieniem patrzyły na pustą przestrzeń.

- Mogę pani w czymś pomóc, skarbie? - W głosie słychać było lekko nosowy akcent z West Midlands.

Annie odwróciła się i zobaczyła starszą kobietę wychodzącą z domu naprzeciwko, w szarym swetrze narzuconym na ramiona.

- Niewykluczone - rzekła, pokazując legitymację służbową i przedstawiając Winsome. - Szukamy niejakiego Williama Masefiel-da.

- Ach, pana Masefiel-da - powiedziała kobieta. - Niestety nic tu pani wskóra. On zresztą też nie, bo umarł.

- Kiedy?

- W sierpniu ubiegłego roku.
- Na co zmarł? Co się stało z domem?
- Spalił się.
- Był pożar?
- Tak, wszystko poszło z dymem. Wielkie szczęście, że się cała ulica nie zajęła.

Annie myślała gorączkowo.

- Widziała pani ten pożar?
- Nie. Gerald i ja byliśmy w Hiszpanii. Jeździmy tam każdego lata. Gdy wróciliśmy, było po wszystkim. Zostały tylko zgliszcza.
- Jaka była przyczyna pożaru?
- Nie znam szczegółów, skarbie. Będzie pani musiała zapytać strażaków.

- Czy pan Masfield mieszkał sam?
- Tak. Był kawalerem.
- Ktoś go odwiedzał?
- Nie widziałam. Był raczej tajemniczym człowiekiem. Samotnikiem.

- Jak wyglądał?
- Metr osiemdziesiąt, może nieco więcej, trochę przygarbiony, chyba od ślęczenia nad książkami na uniwersytecie. Zaczynał siwieć.
- O jakim uniwersytecie pani mówi?
- Warwick. Był tam wykładowcą.
- Czego uczył?
- Chyba fizyki. Może chemii. W każdym razie coś z nauk ścisłych.

- Ile miał lat?
- Naprawdę trudno powiedzieć. Po czterdziestce, może czterdzieści pięć. Dlaczego wypytuje pani o to wszystko?
- W związku ze sprawą, którą prowadzimy u nas na północy - wyjaśniła Annie. - Dziękuję. Bardzo nam pani pomogła.

Kobieta stała jeszcze przez chwilę, potem jednak dotarło do niej, że została odprawiona. Wtedy odwróciła się, prychnęła i wróciła do

siebie.

- No cóż - rzuciła Annie, patrząc na Winsome. - Chyba powinniśmy się zabrać do roboty i zadać kilka pytań, skoro już tutaj jesteśmy, nie uważasz?

Banks zastanawiał się, co do jasnej cholery robi na parkowej ławce w Camden Town w szare styczniowe popołudnie. A wokół nic tylko trójkątny skrawek trawy, parę chaotycznie posadzonych drzew, huśtawki, karuzela i kilka wilgotnych ławek. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że zbiera odwagę, żeby odwiedzić Sandrę, której domu po drugiej stronie ulicy nie widział zza łysych drzew. Nie miał jednak pojęcia, dlaczego chce się z nią spotkać. Owszem, Maria Phillips mówiła mu, że Sandra często rozmawiała z Thomasem McMahanem, ale raczej nie byłaby w stanie przekazać jakichś przydatnych informacji na temat zabitego malarza. Banks nie widział się z Sandrą od ponad roku, odkąd w kawiarni niedaleko miejsca, gdzie teraz siedział, powiedziała mu, że chce rozwodu. Dlaczego więc teraz? Chodziło o dziecko? Niezdrową ciekawość? I dlaczego tak trudno było mu zebrać odwagę?

Podniósł się i ruszył w kierunku bramy. Powtarzał sobie, że to głupie. Powinien pójść na King's Cross i złapać najbliższy pociąg do domu. I zatelefonować do Michelle. Może udałoby im się coś więcej niż tylko szybki pocałunek przez okno pociągu. Mógłby przecież wysiąść w Peterborough, gdyby akurat miała wolny wieczór. Tutaj nie czekało go nic.

Właśnie skręcił w kierunku stacji metra, kiedy zobaczył kobietę z wózkiem dziecięcym idącą w jego stronę. Była to Sandra. Bez cienia wątpliwości. Nadal nosiła te same babcine okulary, nadające jej wygląd znawcy sztuki, i cieniowaną fryzurę, jak wtedy, kiedy ją widział ostatni raz. Blond włosy i czarne brwi. Miała na sobie długi beżowy płaszcz przeciwdeszczowy i wełniany szalik owinięty wokół szyi. Zatrzymała się, gdy do spostrzegła.

- Alan? Co ty tu...

- Chciałem zamienić kilka słów - powiedział zaskoczony, że wypowiedział te słowa tak łatwo, chociaż serce podchodziło mu do gardła.

- Robiłam zakupy - wyjaśniła. Potem pochyliła się do przodu, żeby poprawić kocyk.

Banks ciągle stał naprzeciwko niej, nie widział więc wnętrza wózka. Spojrzała znów na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wyczuł tylko obronę, coś pierwotnego i podświadomego w tym, jak zajęła się dzieckiem. Banks miał wrażenie, że jest postrzegany niemal jak zagrożenie, jakby był wrogiem. Miał ochotę powiedzieć: „Nie ma powodu do obaw. To tylko ja”. Ale nie powiedział. Za to odezwała się Sandra. Patrząc na park, zaproponowała:

- Spacer?

- Świetnie - zgodził się Banks. Odsunął się na bok, kiedy ruszyła z miejsca, i szedł obok niej. Przy krawężniku zatrzymali się, żeby sprawdzić, czy coś nie nadjeżdża i Banks po raz pierwszy, ukradkiem, zerknął na Sinéad. Omal nie westchnął z ulgą, gdy stwierdził, że jest ładna i niczym się nie różni od innych dzieci w pierwszym miesiącu życia: wyglądała jak Winston Churchill.

Sandra przyłapała go na tym spojrzeniu i zauważył, że się zaczerwieniła, zanim wepchnęła wózek na jezdnię.

- O co ci chodzi?

- Nie rozumiem.

- Chciałeś ze mną porozmawiać.

- Ach, tak. Nic takiego. Chcę pogadać w związku ze sprawą, nad którą teraz pracuję. Pamiętasz malarza nazwiskiem Thomas McMahon?

- Toma? Oczywiście, że tak. A co?

- Nie żyje.

- Nie żyje?

- Tak. Zginął w pożarze. Nielegalnie zajmował barkę na kanale.

- Został zamordowany, prawda? Inaczej by cię tu nie było.

- Tak to wygląda - przyznał Banks.



- Biedny Tom. Był zupełnie nieszkodliwy. Muchy by nie skrzywdził.

- Ktoś skrzywdził jego.

- To był pożar?

- Tak. Podpalenie. Wcześniej stracił świadomość. Prawdopodobnie więc nie czuł, jak... no wiesz.

Sandra skinęła głową. Banks zauważył, że jej mały blady nos trochę poczerwieniał na czubku, jakby zmarzła.

- Nie widziałam go od pięciu lat, może dłużej - powiedziała. - Nie wiem, jak mogłabym ci pomóc.

- Też nie wiem - wyznał Banks, wsuwając dłonie do kieszeni płaszcza. - Przepraszam. Chyba nie powinienem był tu przychodzić.

Dotarli do ławki i Sandra usiadła. Przysunęła wózek blisko siebie, po czym nogą zablokowała hamulec. Banks usiadł obok niej. Miał ochotę na papierosa. Nie taką jak zwykle, nagłą i nieodpartą, ale zwyczajną, głęboką i nekającą jak tępy ból. Próbował ignorować tę potrzebę.

- Pachniesz piwem - powiedziała Sandra.

- Nie jestem urzędnym.

- Nie twierdzą, że jesteś.

Banks zamilkł. Owszem, wypili z Burgessem kilka piw, ale to było wszystko. A już na pewno nie miał zamiaru mówić Sandrze o Brudnym Dicku. Działał na nią jak płachta na byka.

- Maria Phillips pytała o ciebie.

Sandra rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

- Chyba w przerwie między jedną a drugą próbą wsadzenia ci ręki w rozporek?

- Skąd wiedziałas?

- Maria nigdy nie była zbyt subtelna.

- Jest naprawdę słodka.

Sandra przewróciła oczami.

- Kwestia gustu.

- Nie o to mi chodziło - pośpiesznie wyjaśniał Banks. - Miałem

na myśli to, że w gruncie rzeczy brakuje jej pewności siebie, to wszystko.

- Proszę cię!
- Mówiła, że spędzałaś z Tomem wiele czasu.
- A ty sądzisz, że sugerowała romans?
- Tego nie powiedziałem.
- Wystarczył mi ton twojego głosu. Gdybyś chciał wiedzieć, choć teraz to już nie ma znaczenia, to nie miałam żadnych romansów, kiedy byliśmy razem. Ani jednego.

Sinead poruszyła się w wózku, kwiląc. Sandra pochyliła się nad nią i znów zrobiła coś z kocykiem, potem położyła dłoń na policzku dziecka i pogładziła go z uśmiechem, mrucząc jakieś bezsensowne wyrazy. Banks przypomniał sobie, że tym samym gestem uciszała zarówno Briana, jak i Tracy, gdy byli mali. Dotknęło go to do żywego. Ten prosty matczyzny gest dawno się zatarł w jego pamięci, a teraz wrócił, tak bardzo go raniąc. Co się dzieje, do jasnej cholery? - zastanawiał się ze ściśniętym gardłem. Przecież to dziecko nie miało z nim nic wspólnego. Jeśli już, to było obrażą dla związku, który tworzył kiedyś z Sandrą. Nie było nawet wyjątkowo piękne. Dlaczego więc czuł się wyłączony? Samotny? Dlaczego reagował emocjami?

- Co więc możesz mi powiedzieć o McMahonie? - zapytał.
- Miał żywy umysł, niespokojne dłonie i niską samoocenę - odpowiedziała.
- Skąd niska samoocena?
- Nie wiem. Niektórzy ludzie po prostu tak mają. - Cały czas delikatnie kołysała wózkiem. - Nawet gdy odnosił jakieś drobne sukcesy, choćby kiedy miał tę swoją wystawę albo kiedy udało mu się sprzedać jakiś obraz, przy czym nie mówię tu o widoczkach dla turystów, i tak nie potrafił uwierzyć w siebie. Kiedyś mi wyznał, że czuje się bardziej imitatem innych artystów niż wykonawcą własnych prac.
- Tak? - zainteresował się Banks. - Kogo imitował?
- Chyba wszystkich po trochu. - Zaśmiała się. - Kiedyś naryso-

wał dla mnie Picassa. Zajęło mu to kilka sekund. Nie wiem, czy nabrałyby się na ten szkic grupa ekspertów, ale ja na pewno. Dlaczego tak cię to zaciekało?

- A Turnera?
- Co Turnera?
- Myślisz, że McMahon mógł sfalszować szkice i akwarele Turnera?

Sandra musnęła dłonią włosy.

- Czy uważam, że wystarczyłoby mu talentu? Tak. Czy kiedykolwiek widziałam, jak fałszuje Turnera albo choćby słyszałam, że o nim mówi? Nie.

- Tak tylko pytam - powiedział Banks. - Pojawiło się kilka fałszywek.

- Czy to ma związek z jego śmiercią?
- Niewykluczone.

Sandra zadrżała i poprawiła szalik.

- Jest coś jeszcze?
- Nic nie przychodzi mi do głowy.
- Nie poznałaś jego przyjaciół?
- Nie wiem, czy ich miał. Spotykałam się z nim tylko w galerii.

Czasem piliśmy tam razem kawę. To wszystko.

Sinéad znów zaczęła kwilić i Sandra pochyliła się nad nią.

- Uroczą dziewczynka - powiedział Banks.

Sandra nie spojrzała na niego.

- Tak.
- Bardzo grzeczna.
- Tak. - Sandra spojrzała na swój dom. - Lepiej już pójść - powiedziała. - Zbliży się pora karmienia Sinéad, a w dodatku... - Wyciągnęła rękę przed siebie. - Chyba zaczyna padać.

Banks skinął głową.

- A zatem do widzenia.

Sandra wstała z ławki.

- Do widzenia - odpowiedziała. - I uważaj na siebie, Alan.

Mimo deszczu Banks obserwował, jak Sandra pcha wózek po ścieżce. Nie obejrzała się.

## Rozdział 13

- No więc, Marku? - zaczął Banks, rozpierając się na krześle z dłońmi za głowę. - Dlaczego uciekałeś?

- Skąd mogłem wiedzieć, że to gliniarze po cywilnemu? Ostrzegali mnie pan, że jestem w niebezpieczeństwie i powinienem uważać. To zacząłem uciekać.

- A co masz do powiedzenia o tym wszystkim teraz?

- To samo, co wczoraj powiedziałem tym palantom w Scarborough. Facet mnie zaatakował. Bronilem się. Co miałem zrobić, pozwolić mu się obmacywać?

Banks podrapał bliznę przy prawym oku.

- A ja nadal nie wiem, o czym mówisz, Marku - powiedział. - Jaki facet? Kto cię zaatakował? Gdzie?

Mark gapił się na niego. W Scarborough aresztowano go za stawianie oporu podczas zatrzymania, a rano został przewieziony do Komendy Policji Obszaru Zachodniego. Tamtejszy policjant wspominał, że Mark bredził coś o napaści i samoobronie, nie miał jednak pojęcia, o co chodzi. Bo nie chciał mieć. Na jego biurku i bez tego leżało zbyt dużo papierów, żeby jeszcze miał się przejmować odpryskami jakiegoś tam śledztwa w Eastvale. Banks natomiast przejął się podbitym okiem, rozciętą wargą i siniakiem na policzku chłopaka. Zastanawiał się, na ile konieczne było użycie siły przez funkcjonariuszy podczas zatrzymania. I czy na początku przedstawili się jako policjanci? Mark twierdził, że nie.

- To pan naprawdę nie wie? - zapytał Mark.

- O czym?

- Ten pedał nie zgłosił sprawy na policję?

- O ile mi wiadomo, nie było żadnego zgłoszenia. Co to za

sprawa? Wpadłeś w tarapaty, łapiąc stopa?

- Nieważne - odparł Mark. - Myślałem, że o to chodzi, gdy się okazało, że mnie ścigają gliniarze. Ale teraz to nieważne. Za co mnie pan przymknął tym razem?

- Co ci wiadomo na temat pożaru w ostatnią sobotę? Przyczepa na Jennings Field.

- Nie wiem nawet, gdzie jest Jennings Field.

- Mijałeś to miejsce, uciekając z domu swojego znajomego na wschód.

- Nadal nie wiem. Dlaczego pan mnie o to pyta?

- Po prostu wydaje mi się, że to za wiele na zbieg okoliczności.

Dwa pożary i za każdym razem ty w pobliżu.

- Przecież już mnie pan sprawdzał. Mandy potwierdziła, że byłem u niej, a pańscy ludzie badali moje ubranie. Niczego nie znaleźli.

- Wiem - powiedział Banks. Wiedział także, że tym razem nie mogą przebadać ubrań Marka na obecność śladów cieczy łatwopalnych, ponieważ chłopak dostał je od samego Banksa. Nawet gdyby te cholerne ciuchy ociekały benzyną, i tak nie mogliby ich przedstawić jako dowodu w Królewskiej Prokuraturze. - Ale to nie skreśla cię z listy podejrzanych o spowodowanie pożaru na Jennings Field. Ani o morderstwo Thomasa McMahona.

- Jak pan to udowodni?

- McMahon był nieprzytomny, zanim zaczął się pożar. Może coś mu podałeś. Niewątpliwie potrafisz zdobyć narkotyki, jeśli są ci potrzebne.

- Po co miałbym to robić?

- Nie wiem. Może zaczął podrywać Tinę? Był malarzem. Mógł zaproponować jej pieniądze za pozowanie nago.

- Niczego takiego nie zrobił.

- To twoja wersja.

- Nie zrobił. A ja nawet go nie dotknąłem.

- No dobrze. Widziałeś coś, mijając Jennings Field w sobotę?

Mark odwrócił wzrok i zaczął obserwować robotników na rusz-

towaniu wokół kościoła.

- Zdawało mi się, że widzę pożar - powiedział. - Gdzieś daleko. Ale nie podchodziłem do ognia. Miałem inne rzeczy na głowie.

- Która była godzina?

- Nie pamiętam. Nie noszę zegarka. - Znów spojrzął na Banksa. - Niech pan posłucha! Nie mam z tym nic wspólnego i dobrze pan o tym wie. Może więc niech pan zapyta doktora Patricka Asperna, gdzie wtedy był. Czy może ten skurwysyn jest poza pańskim zasięgiem? Taki ważny pan doktor?

- Tym się nie martw. Przesłuchamy każdego, kogo będziemy chcieli. Kierujesz się czymś konkretnym, twierdząc, że doktor Aspern miał coś wspólnego z pożarem na Jennings Field?

- Niczym konkretnym. Ale jeśli pan uważa, że obydwa pożary wywołała ta sama osoba, to mówię panu, że powinniście dobrze mu się przyjrzeć.

- Tak też zrobimy, możesz być pewien. Jeszcze jakieś sugestie?

Mark pokręcił głową, po czym znów spojrzął za okno. Banks zapisał nazwisko, adres i numer telefonu na kawałku papieru, a następnie przesunął go w stronę Marka.

- Co to jest? - zapytał chłopak.

Gestem głowy Banks wskazał okno.

- Nazwisko człowieka nadzorującego prace restauracyjne - wyjaśnił. - To mój znajomy. Wpadnij do jego biura albo zadzwoń. I powiedz, że ja cię przysyłam.

Mark przeskakiwał spojrzeniem między ludźmi na rusztowaniu a Banksem. W końcu złożył kartkę, a ponieważ czerwony kombinezon, który mu wydano, nie miał kieszeni, trzymał ją w dłoni.

- Dzięki - powiedział.

- Nie ma za co. A twój kolega Lenny mówi, że możesz do niego zajrzeć, jeśli chcesz.

- Rozmawiał pan z nim?

- Rozmawiałem. Jego żonie jest bardzo przykro. Ona nie lubi niespodzianek, to wszystko. Obydwoje chętnie cię ugoszczą.

Banks widział, że na twarzy Marka odmalowały się wątpliwości. Nie winił go za to. Na jego miejscu też byłby podejrzliwy. Przez ostatni tydzień sprawy tego chłopaka nie układały się wyjątkowo pomyślnie.

- Sam zadecydujesz - powiedział. - I jeszcze jedno.
- Co?

Banks przesunął po blacie biurka fotografię Rolanda Gardinera, którą Annie wzięła od Alice Mowbray.

- Znasz go?

Mark uważnie się przyjrzał.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Możliwe, że to jeden z gości, których widziałem u Toma. Ma taki właśnie nos. Ale...

- Dobrze - powiedział Banks. Opisał Lesliego Whitakera. - To mógłby być ten drugi gość?

Mark wzruszył ramionami.

- Możliwe - powiedział. - Ale ten opis...  
- Wiem - wtrącił Banks. - Jest ogólnikowy. - Pomyślał, że powinien chyba zorganizować konfrontację i sprawdzić, czy Mark wybierze Whitakera spośród podobnych mężczyzn.

- Mogę już iść? - zapytał Mark.  
- Nie mam nic przeciwko. Gdzie będziesz, gdybym cię potrzebował?

- Potrzebował? Do czego?  
- Na przykład gdybym miał jeszcze jakieś pytania. Ciągłe jest szansa, że pomożesz nam znaleźć mordercę Tiny.

- Będę u Lenny'ego - powiedział.
- Rozumiem, że nie chcesz wnosić zarzutów?
- Jakich zarzutów?
- O brutalność policji.

Mark dotknął palcami siniaków na twarzy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chodnik był twardy - powiedział. - Upadłem.

Wstał z krzesła i podszedł do drzwi.



- Na zewnątrz czeka funkcjonariusz - oznajmił Banks. - Zaprowadzi cię z powrotem do izby zatrzymań i załatwi formalności ze zwolnieniem.

- Dziękuję.

- Aha, jeszcze jedno.

- Tak?

- Po aresztowaniu znaleziono przy tobie ponad dwieście funtów, a wychodząc stąd, miałeś ich tylko około dziesięciu. Skąd wzięłeś pieniądze?

- Znalazłem - rzucił Mark i czmychnął za drzwi.

Banks był przekonany, że za tym kryje się coś więcej, ale teraz to go nie obchodziło. Nie miał wątpliwości, że doszło do szamotaniny z kimś, kto podwoził Marka samochodem, podczas której chłopak podwędził portfel. Ponieważ kradzież nie została zgłoszona policji, Banks przyjął enigmatyczne wyjaśnienia Marka, że napastował go mężczyzna, któremu zainteresowanie policji potrzebne było jak dziura w moście. Banks postanowił więc uznać te dwieście funtów za coś w rodzaju odszkodowania i zamknąć sprawę.

Przez kilka chwil obserwował robotników na rusztowaniu przy kościele, myśląc o życiu, które Mark wiódł w domu rodzinnym, a potem na barce, i zastanawiając się, jaka przyszłość czeka tego chłopaka. Gorsza niż przeszłość chyba nie mogła być. Zadzwoił telefon.

- Cześć Alan, tu Ken Blackstone.

- Dobrze, że dzwonisz. Jakieś wieści o panu doktorze?

- Obawiam się, że żadnych interesujących. Wszystko czyściutkie i w najlepszym porządku, włącznie ze skrupulatnie odnowionym pozwoleniem na strzelbę.

- Ma strzelbę?

- Lubi strzelać do niedużych skrzydlatych stworzeń w towarzystwie kolegów o takich samych upodobaniach.

- Ludzie są różni. Żadnych pogłosek ani plotek?

- Nie. Jest dobrym lekarzem, ale ma nie najlepsze podejście do

pacjenta. Niektórzy twierdzą, że jest zimny jak ryba. Znaleźliśmy tylko jedno.

- Co takiego? - zainteresował się Banks.

- W poniedziałek rano jedna z sąsiadek widziała, jak z jego domu wychodzi czarna kobieta z plastikową torbą. Przypuszczała, że to mogą być narkotyki.

Banks zachichotał.

- To była posterunkowa Winsome Jackman z ubraniami doktora Asperna do badań kryminalistycznych. Dały negatywny wynik, skoro już o tym mowa.

- Ale przynajmniej facet dostał sygnał, że coś się wokół niego dzieje - stwierdził Blackstone. - Już złożył skargę do Weetwooda, że go nachodzimy, a swojej sąsiadce nieźle wygarnął, kiedy zobaczył, że rozmawia z kimś z naszych.

- Doskonale - ucieszył się Banks. - Miejmy nadzieję, że to go wytrąci z równowagi.

- Przyszło ci do głowy, że może facet nie zrobił niczego złego?

- Coś jest na rzeczy, możesz mi wierzyć.

- Instynkt?

- Nazywaj to, jak chcesz: język ciała albo komunikacja niewerbalna. Ale na pewno coś jest nie tak. Dziewczyna mówiła swojemu chłopakowi, że facet się do niej dobierał. Dlaczego miałyby go okłamywać?

- Ćpuni kłamią jak z nut. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. A może chłopak miał swoje powody, żeby jej wierzyć.

- Myślałem o tym. Sprawdziliśmy go. Owszem, miał w domu ciężko. Ale i tak uważam, że Aspern coś ukrywa. Jeśli znajdę jakiś dowód, to dopadnę bydlaka.

- Ma związek z tymi podpaleniami?

- Możliwe, chociaż nie wydaje mi się. Ale Tinę skrzywdził. Jestem tego pewien.

- Życzę więc powodzenia. Mam dalej węszyć?

- Nie, już wystarczy. Dziękuję, Ken.

- Proszę. A jeśli będziesz w tych stronach, to nie zapominaj, że kanapa zawsze jest do twojej dyspozycji.

- Nie zapomnę.

Po zakończeniu rozmowy Banks stanął w oknie i obserwował, jak ludzie w płaszczach przeciwdeszczowych kręcą się po rynku. Był pewien, że doktor Patrick Aspern wykorzystywał seksualnie swoją pasierbicę, a jego żona o tym wiedziała. Nie miał jednak żadnych dowodów. Ani nadziei na ich zdobycie, ponieważ Tina nie żyła. Jej śmierć dawała Aspernowi wymierną korzyść, ale Banks był niemal pewien, że to nie Aspern podpalił barki. Pożar miał jakiś związek z Thomasem McMahonem - Banks gotów by się o to założyć. Tina zginęła przypadkiem, najwyżej jako niewygodny świadek. Co oznaczało, że morderca to wyjątkowo paskudny typ.

McMahon przypomniał mu o Philu Keanie i jego małym kłamstewku. Banks będzie musiał zaaranżować rozmowę z Philem tak, żeby się odbyła bez Annie. Wiedział dokładnie, jak by się zachowała, gdyby doszła do wniosku, że Banks próbuje znaleźć haka na jej ukochanego Phila. I może miałyby rację. Może wersja Marii Phillips była przesadzona albo nawet nieprawdziwa. Dopóki jednak nie zyska pewności, w jedną albo w drugą stronę, będzie się trzymał na dystans, dyskretnie posprawdza to i owo oraz zaczeka na wieści od Brudnego Dicka.

Dobrze znów mieć na sobie własne ubranie, pomyślał Mark, opuszczając budynek komendy policji po raz drugi w tym tygodniu. Stara skórzana kurtka leżała na nim jak jego własna skóra. I dobrze było znów korzystać z wolności. Nadal czuł się obolały po laniu, jakie sprawili mu policjanci, rzekomo za stawianie oporu podczas aresztowania, ale jak przypuszczał, Clive nie zgłosił incydentu w samochodzie, policja nie znalazła więc powodu, żeby go aresztować. No i miał w kieszeni ponad dwieście funtów.

Mark szedł przez rynek, anonimowy w tłumie przechodniów - miejscowych oraz nielicznych poza sezonem turystów - którzy

wybrali się na zakupy. Nie miał pojęcia, dokąd się udać, wiedział jednak, że wbrew temu, co oświadczył Banksowi, nie wróci do Lenny'ego. Popęlnił błąd, przyjmując jego zaproszenie. Lenny był porządnym gościem, ale miał dosyć swoich zmartwień i bez obcych ludzi w domu. Pewnie, obydwój z żoną czują się teraz winni za to, że wyrządzili mu przykrość, ale szybko by im przeszło. Mark wiedział, że nie potrafiłby znieść milczącego niezadowolenia Sal z powodu jego obecności. Poza tym, kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że skoro nie Clive, to tylko Lenny mógł nasłać na niego gliny. Mark nigdy by się tego po nim nie spodziewał, a tu proszę bardzo. Czy także Lenny wierzył, że to Mark wywołał obydwie pożary? Nieważne, Mark nie miał zamiaru nigdy więcej oglądać ani Lenny'ego, ani tej sukki, jego żony.

Na przeciwnym krańcu rynku skręcił w lewo i po krótkim spacerze wzdłuż York Road wszedł do centrum handlowego Swainsdale. Jeszcze kiedy chodził do szkoły średniej, państwówki w Eastvale, żeby nie wracać zbyt wcześnie do domu, włóczył się tam z kolegami bez żadnego celu, paląc papierosy, czasem gapiąc się przez szybę na komputery i zestawy stereofoniczne, na które nigdy nie będzie go stać. Od czasu do czasu kradli coś w którymś ze sklepów, owszem, ale do niczego gorszego ich gang nigdy się nie posunął. Bywało, że spędzał tam całe dnie, zamiast siedzieć w szkole.

W środowe przedpołudnie nigdy nie panował tam wielki ruch. Także teraz - zaledwie kilka młodych kobiet z wózkami i dzieciaki, które się urwały ze szkoły, jak kiedyś on. Na piętrze, przy schodach ruchomych naprzeciwko sklepu HMV, sprzedawano jedzenie. Mark zafundował sobie Big Maca z frytkami i coca-colą, po czym usiadł przy jednym z laminowanych stolików, żeby się posilić. Przyszło mu do głowy, że w centrach handlowych jest coś ogłupiającego. Czy to miało coś wspólnego z upiornym oświetleniem i ledwie słyszalną muzyką? Pewnie chodziło po prostu o to, żeby ludzie więcej kupowali. Tylko że Mark niczego nie potrzebował, no, chyba że płyty kompaktowej. Przez ostatnie kilka dni znudził mu się *Ziggy Stardust*,

a była to jedyna płyta, która mu została. Może kupi coś Beth Orton, żeby uczcić pamięć Tiny. Niedługo też pewnie będzie musiał zmienić baterie, postanowił więc kupić je z góry u Dixona.

Mark żuł hamburgera, ukołysany nijaką atmosferą centrum handlowego Swainsdale, obserwując ludzi, którzy przepływali obok niego jak niematerialne zjawy w rytm ledwie słyszalnej orkiestrowej wersji *Eleanor Rigby*. Rozmyślał nad tym, co się wydarzyło w ciągu kilku ostatnich dni. Pożar wybuchł w czwartek wieczorem, a teraz była środa następnego tygodnia. Czy naprawdę minęło tak niewiele czasu, odkąd zmarła Tina i Mark wyruszył w drogę? Był napastowany przez pedała, dwukrotnie trafił do aresztu, ale też spędził najbardziej luksusowy wieczór swojego życia w pokoju nad pubem w Helmsley. Istniało też niebezpieczeństwo, że ktoś na niego czyha, chce jego śmierci.

Z trudnością przychodziło mu myślenie w takiej ogłupiającej atmosferze, ale coś było nie tak w obrazie, który się wyłaniał z tych rozmyślań. Co chciał przez to wszystko osiągnąć? Czy miał jakąkolwiek kontrolę nad swoim życiem? Od Lenny'ego uciekł raczej gnany koszmarami przeszłości niż z jakiegoś innego powodu, czy jednak wszystko to wydarzyło się dlatego, że na siłę podążał w złym kierunku?

Przecież jeszcze nie tak dawno chciał jakoś poskładać swoje życie. Wrócić do pracy na budowie. Zatrzymać się w domu Lenny'ego i Sal. Żeby wszystko znów się toczyło normalnie. Tylko czy w ogóle mogło jeszcze być normalnie? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej w to wątpił. I co chciał osiągnąć, jadąc do Scarborough? Co sobie wyobrażał, do jasnej cholery? Przecież to się sprowadzało do tego samego. Chodziło o nowy początek. Pracę. Dach nad głową. Normalne życie.

Tylko że bez Tiny nic już nie mogło być normalne. Czuł to wyraźnie, siedząc w centrum handlowym Swainsdale i gapiąc się przed siebie.

Wszystko, do czego dążył, wszystkie jego poczynania - szukanie

pracy, mieszkanie u Lenny'ego, Scarborough - nie miały sensu. Teraz rozumiał, że nie tak miało być. Zanim poskłada swoje życie, musi gdzieś pojechać. Musi coś zrobić. Dla Tiny.

Mimo że była pora lunchu, Banksowi, Annie oraz Winsome udało się zdobyć narożny stolik przy oknie w Queen's Arms. Jak zwykle kilka głów odwróciło się za Winsome, ale Banks wiedział, że jest do tego przyzwyczajona. Nosiła się jak modelka, a zainteresowanie innych przyjmowała z lekkim rozbawieniem i lekceważeniem.

- Ja stawiam - oznajmił Banks.

Annie uniosła brwi.

- Są jeszcze ludzie z gestem. - Spojrzała na Winsome, która się roześmiała. W przeciwieństwie do niej Banks nie uznał tych słów za żart. Annie wciąż była na niego wściekła za Phila, choć przecież postawiła na swoim.

Banks nie był bardzo głodny, ale i tak zamówił kurczaka z dodatkami. Annie wybrała sałatkę, a Winsome hamburgera z wołowiny i frytki. Czekaając najedzenie, z drinkami przed sobą, przeszli od razu do rzeczy. Najpierw Annie opowiedziała Banksowi o odwiedzinach w firmie nazywanego przez pracowników kapitanem Kirka i tropie, który doprowadził do tajemniczego Williama Masefielda ze Studley.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że ten cały Masefield nie żyje? - zapytał Banks, kiedy przetrawił to, co usłyszał.

Annie zerknęła na Winsome

- Najmniejszych - powiedziała. - Rozmawialiśmy z patologiem, który przeprowadzał sekcję zwłok. Między innymi dlatego spędziłyśmy tam tak dużo czasu. Musiałyśmy zostać na noc, bo lekarz mógł się z nami zobaczyć dopiero dzisiaj rano. Masefield nie miał żadnych żyjących krewnych, nie można więc było porównać DNA. Ale zidentyfikowano go na podstawie dokumentacji stomatologicznej.

- Czyli ktoś ukradł jego tożsamość?

- Na to wygląda - przytaknęła Annie. - Ktokolwiek to zrobił, przekierował pocztę Masefielda.

- Dokąd?
- Do skrytki pocztowej w śródmieściu Birmingham.
- Rozumiem - mruknął Banks. - Wystawca karty kredytowej nie mógł się o tym dowiedzieć?

Annie pokręciła głową.

- Sprawdzali tylko to, czy rachunki są płacone na czas. To częsty rodzaj kradzieży tożsamości.

- Korzystał z rachunku bankowego Masefielda?

- Tak, a wszystkie zobowiązania regulował przez Internet, nie ma więc żadnych podpisanych czeków. Oczywiście zostały jakieś ślady tych transakcji, ale niełatwo będzie do nich dotrzeć.

- Zlecimy to naszym informatykom - stwierdził Banks. - Nikt na poczcie nie zauważył, co się dzieje?

- Dlaczego mieliby się tym interesować? - Pytaniem odpowiedziała Annie. - Ktoś się wybrał do zatłoczonego urzędu pocztowego w centrum miasta, okazał wymagane dokumenty i podpisał formularz zlecający przekierowanie korespondencji. Ktokolwiek to zrobił, był wystarczająco podobny do Masefielda i umiał podrobić jego podpis. Łatwizna. I wszystko zgodnie z prawem z punktu widzenia urzędników pocztowych. Owszem, są uważni i stosują środki ostrożności, ale to raczej rutynowe działania. Założę się, że większość pracowników poczty nie zwraca sobie głowy analizowaniem dokumentów.

- Mamy pewność, że to ten samochód?

- Wzór opon jest identyczny z odciskami, które zrobiono w zatoczce parkingowej - powiedziała Annie. - Technicy znaleźli też kilka kawałków żwiru i przekazali do laboratorium.

- Dobrze.

- Ale jest pewien mały problem.

- Jaki?

- Benzyna w baku cherokee pasuje do próbki pobranej ze zbiornika w wypożyczalni. W obu przypadkach to paliwo Texaco. Ale do wywołania pożaru przyczepy Gardinera użyto paliwa Esso.

- Ciekawe - powiedział Banks. - Może z jakiegoś powodu pod-

palacz skorzystał ze swojego samochodu?

- To możliwe - zgodziła się Annie.

- Tym się na razie nie zajmujemy. Ważne, że wyniki kryminalistyczne pozwolą powiązać tego jeepa cherokee, którego wynajął Masefield, z pożarem na barkach, czy tak?

- Tak.

- Dziękujemy Bogu i za to. Mamy coś na początek.

Jenna, młoda dziewczyna pracująca w kuchni, przyniosła jedzenie. Winsome jako jedyna rzuciła się na swoją porcję. Banks zerknął na nią.

- Mam nadzieję, że nie przekroczyłyście za bardzo limitu wydatków w restauracji hotelowej wczoraj wieczorem - powiedział.

- Nie, panie inspektorze - odpowiedziała Winsome. - Jadłyśmy w McDonalddie.

Banks przeniósł wzrok na Annie.

- To prawda - potwierdziła. - Możesz sobie wyobrazić, jakie rarytasy mieli tam dla wegetarian. Mówiłam ci przecież, że byliśmy bardzo zajęte. Wieczorem miałyśmy czas tylko na drinka w barze hotelowym.

- I dwaj nieźle wyglądający biznesmeni postawili nam kolejnego, prawda, szefowo? - dodała Winsome.

- Tak. - Annie dziobnęła sałatkę. - Connor i Marcus. Nie musisz więc się martwić o nasze wydatki, dusigroszu.

- To wicekomendant McLaughlin zdejmuje majtki przez głowę, jak widzi takie rzeczy, nie ja - odparł Banks. - Dowiedziałyście się jeszcze czegoś o tym całym Masefieldzie tam na miejscu?

Annie i Winsome wymienili spojrzenia, po czym Annie odpowiedziała na pytanie:

- Kilku rzeczy. Rozpytywałyśmy o niego sąsiadów oraz współpracowników na uniwersytecie. Niewiele wiedzieli.

- A pożar?

- Głęboka patelnia. Nie wykryto żadnych cieczy łatwopalnych ani nie znaleziono żadnego innego powodu, żeby potraktować sprawę



jako podpalenie. Tylko jedno trochę nas zainteresowało. Wykładowca na uniwersytecie, na którym pracował Masefield, powiedział, że niedługo przed śmiercią Masefield utopił dużą gotówkę w wiejskiej inwestycji. Odniosłam też wrażenie, że Masefield miał problemy na uczelni, ponieważ pił za dużo i z tego powodu mógł nawet stracić pracę. Ale sam wiesz, jacy są naukowcy, gdy idzie o udzielanie informacji.

- Trochę podobni do nas - powiedział Banks.

- W każdym razie w chwili śmierci miał dużo alkoholu w organizmie. Przyjęto, że przysnął albo stracił przytomność po alkoholu i zostawił na ogniu patelnię. Takie rzeczy zdarzają się często, zwłaszcza alkoholikom i narkomanom. Wraca do domu uchlany albo naćpany, zaczyna coś smażyć, łyka kolejną porcję prochów albo alkoholu, a potem...

- Nie znaleźli śladów rohypnolu ani tuinalu? - przerwał jej Banks.

- Nie. Tylko alkohol.

- Czyli mógł to być wypadek?

- Tak.

- A potem któryś z jego przyjaciół, kolegów czy jak tam go zwał, wykorzystał śmierć Masefielda, żeby ukraść jego tożsamość?

- Albo trochę pomógł mu przenieść się na tamten świat. Nikt niczego nie widział, ale to nie wyklucza, że ktoś zostawił pijanego w sztok Masefielda na kanapie i patelnię w kuchni na pełnym gazie.

- Prawda - zgodził się Banks. - Pojawiła się jakaś sugestia, kto mógł przejąć tożsamość Masefielda?

- Niestety nie - odpowiedziała Annie. - Nikt nie wiedział, z kim Masefield się zadawał, jeśli w ogóle z kimkolwiek. Zdaje się, że nie był to towarzyski typ. Jeśli miał znajomych lub przyjaciół, to trzymał ich z daleka od współpracowników oraz sąsiadów.

- A ta wiejska inwestycja? Miał współników? Został oszukany?

- Nie wiadomo - odpowiedziała Winsome. - Nikt na uczelni nie znał szczegółów.

Banks westchnął. Wiedział, że mogą zlecić kryminalistyczną analizę rachunku bankowego Masefielda oraz zatrudnić biegłego, który prześledzi transakcje internetowe, wszystko to jednak wymaga czasu. Specjaliści napotkają wiele fałszywych tropów i wejdą w niejedną ślepą uliczkę. W tej chwili nie mogli działać zbyt wiele. Pierwszy poważny trop, wypożyczony jeep cherokee, zaprowadził ich donikąd. A przynajmniej tak się wydawało.

- Jak rzekomy Masefield docierał do wypożyczalni Kirka? - zapytał Banks.

- Zakładam, że autobusem - powiedziała Annie. - Jeżdżą waha-dłowo z Ashkam Bar do centrum miasta.

- Czyli przyjeżdżał do Yorku pociągiem?

- Albo autobusem.

- A jeśli nie? - wtrąciła Winsome.

- Nie co? - zapytał Banks.

- Jeśli nie korzystał ani z autobusu, ani z pociągu, panie inspek-torze. Skąd wiemy, że nie jest tutejszy? Albo że nie podjeżdżał pod wypożyczalnię własnym samochodem? Chcę powiedzieć, że może ma auto, tylko z jakiegoś powodu wołał, żeby go nie widziano nad kanałem ani w okolicy Jennings Field.

- W pobliżu wypożyczalni jest mnóstwo małych uliczek, gdzie mógłby zostawić zaparkowany samochód nawet na kilka dni, nie zwracając zbytnej uwagi - stwierdziła Annie.

- Chyba że miał pecha - dodała Winsome.

- Syn Sama - rzucił Banks.

Winsome odpowiedziała uśmiechem.

- Tak, panie inspektorze

- Mandat za parkowanie? Czy w taki sposób wpadł Syn Sama? - upewniała się Annie.

- Tak - potwierdziła Winsome. - Przecież to nie jest wykluczone, prawda, szefowo?

- Los by się do nas uśmiechnął - stwierdziła Annie.

- Prawdopodobnie zajmie to dzień albo nawet dwa, ale warto

sprawdzić - zdecydował Banks. - Ustal numery rejestracyjne wszystkich aut, na które wypisano mandat za parkowanie w tamtej okolicy w interesującym nas okresie, a potem wprowadź je do systemu HOLMES i zobacz, co się okaże.

- Tak jest - powiedziała Winsome. - Co prawda nie mamy żadnych konkretnych tablic, których byśmy szukali, ale się postaram. Może znajdę jakiś zapis kamer monitoringu. W dzisiejszych czasach montują je praktycznie wszędzie.

- Dobrze - pochwalił Banks. - Na pewno warto sprawdzić. - Skończył kurczaka, ale nie dojadł frytek, wypił trochę piwa i rozsiadł się wygodnie na krześle. - Nadal nie skreśliśmy z listy Whitakera - stwierdził. - Chociaż teraz już wiemy, że to nie jego jeep cherokee parkował w okolicy płonących barek.

- Porównamy paliwo w jego samochodzie z tym, którego użyto do podpalenia przyczepy. To może nam coś powiedzieć. A jeśli znajdziemy jakiegokolwiek powiązanie między Whitakerem a Masefieldem, choćby najmniejsze, to...

- Może - przerwał jej Banks. - Coś nowego na temat Turnerów? - zapytał Annie najbardziej zwyczajnym głosem, na jaki było go stać.

Przybrała oficjalny ton. Pełen profesjonalizm.

- Phil nie mógł stwierdzić na pierwszy rzut oka, czy są podrobione czy prawdziwe - relacjonowała. - Potrzeba dokładniejszych badań. Ale powiedział, że wyglądają jak prawdziwe, jeśli chodzi o styl, papier i tak dalej.

- Co znaczy, że mogą być bardzo dobrymi falsyfikatami?

- Tak - zgodziła się Annie.

- Słyszałem, że McMahan robił świetne kopie obrazów - powiedział Banks. - Podobno nie miał oryginalnego talentu malarskiego, ale posiadał dar reprodukcji dzieł innych artystów.

- Gdzie się tego dowiedziałeś? - zapytała Annie.

- Od kogoś, kto go znał - odpowiedział Banks.

- Co dalej?

- Jadę do Leeds.

- Po co?

- Chcę odwiedzić dziadków Tiny. Już do nich telefonowałam i zgodzili się ze mną spotkać. Niewykluczone, że powiedzą mi coś o relacjach Tiny z Patrickiem Aspernem.

- Chyba nie uważasz, że dziadkowie wiedzieli, co się działo? Nawet jeśli, to przecież się nie przyznają.

- Nie jestem taki głupi, Annie, odrobinę zaufania! Chcę wysondować ich odczucia, to wszystko.

Annie wzruszyła ramionami.

- Co? - zapytał Banks.

- Nic.

- Daj spokój! O co ci chodzi?

- Po prostu nie jestem przekonana, że dziewczyna ma z tym cokolwiek wspólnego.

- Co masz na myśli?

- Ubrania Asperna były czyste, prawda?

- Owszem - zgodził się Banks. - W tym problem. Czyste były też ubrania wszystkich pozostałych.

- Szczerze mówiąc, szefowo, Aspern mógł mi dać dowolne ubranie - wtrąciła Winsome. - Nie wiem przecież, w co był ubrany tamtej nocy.

Annie rzuciła Banksowi surowe spojrzenie.

- Nie mamy nawet najmniejszych dowodów przeciwko Patrickowi Aspernowi - stwierdziła. - Zaczynam sądzić, że zacząłeś jakąś osobistą krucjatę przeciwko temu facetowi.

- Więc teraz to ty kierujesz śledztwem? - odciął się Banks.

Usta Annie zwężyły się do cienkiej białej linii. Winsome odwróciła wzrok zażenowana. Banks zastanawiał się, czy Annie powiedziała jej, że się pokłócili o udział Phila Keane'a w sprawie. Może po kilku drinkach w hotelu zeszłego wieczoru.

Natychmiast pożałował swojej sarkastycznej uwagi, ale przecież nie mógł jej cofnąć. Rzucił więc tylko coś oschle na pożegnanie i wyszedł z pubu.

Banks nie powiedział Annie, że w drodze do Leeds zamierza na chwilę zajrzeć do Phila Keane'a. Prawdę mówiąc, nie było to po drodze, ale uznał, że warto nadłożyć kilka kilometrów.

Kałuze po wczorajszym deszczu nie spływały jeszcze do rynsztoków i spod kół tryskały fontanny wody, kiedy Banks trochę za szybko jechał do Fortford. Wciąż zły na siebie za wybuch złości podczas lunchu, zaparkował na bruku przy skwerze i ruszył w kierunku domku Phila. Może Annie miała rację i rzeczywiście prowadził osobistą krucjatę przeciwko Patrickowi Aspernowi? Ale nawet jeśli, to co z tego? Ktoś musiał utrzyć nosa temu aroganckiemu bydlakowi.

Po drugiej stronie ulicy, na szczycie trawiastego pagórka, stały ruiny rzymskiego fortu. Jakże rozgoryczeni, samotni i zagrożeni musieli się czuć żołnierze służący w tej placówce za czasów cesarza Domicjana, pomyślał Banks. Wszędzie wokół dzicz i czyhający wrogowie.

Dzień był przyjemny, z delikatną mgiełką w powietrzu, która być może zwiastowała jeszcze więcej deszczu. Banks nie miał pojęcia, czy Keane będzie w domu, ale warto było spróbować. Srebrne bmw zaparkowane na wąskim podjeździe obok domku było dobrym znakiem. Banks zauważył, że numer na tablicy zaczyna się od piątki i jedyńki, co znaczyło, że auto zostało zarejestrowane między wrześniem dwa tysiące pierwszego a lutym dwa tysiące drugiego roku. Całkiem nowy model, na pewno nietani. Ile może zarabiać rzeczoznawca sztuki?

Banks zapukał do drzwi frontowych i po chwili otworzył mu sam Phil, wyglądający w każdym calu jak obywatel ziemski na miarę dwudziestego pierwszego wieku, w wytartych dżinsach i rdzawym swetrze z wełny.

- Alan - powiedział, szeroko otwierając drzwi. - Miło cię widzieć. Zapraszam.

Banks wszedł do środka. Sufity były niskie, a ściany pobielone wapniem. W różnych zakamarkach widniały małe statuetki oraz rzeźby z kości słoniowej: słonie, postaci ludzkie i koty.

- Miło tu - pochwalił Banks.  
- Dziękuję. Dom należy do rodziny od pokoleń - powiedział Keane. - Chociaż jako dziecko odwiedzałem dziadków tylko od czasu do czasu, bo na moje nieszczęście wychowywałem się na południu, po ich śmierci nie dopuszczałem myśli, że mógłbym go stracić. Większość tych bibelotów należała do nich. Usiądź. Może podam coś do picia?

- Nie, dziękuję - odmówił Banks. - Wpadłem tylko na chwilę.  
Keane usiadł na poręczu kanapy.

- Tak? Chodzi o szkice i akwarelę Turnera? Jeśli oczywiście naprawdę to jego prace.

- Pośrednio - odparł Banks. - Skoro już o nich mowa, to nasi eksperci zrobili już daktyloskopię, będziesz więc mógł zabrać je do dalszych testów.

- Doskonale. Znaleźli coś?

- Niewiele. Odbierzesz je sam, czy wolisz, żebym kazał je dostarczyć do twojego biura w Londynie?

- Przyjadę po nie na komendę policji jutro rano i sam je stamtąd zabiorę, skoro ci to nie przeszkadza.

- Jeśli się nie boisz, że cię napadną.

- Przecież tylko my dwaj wiemy, co będę wiózł.

- W sumie racja - zgodził się Banks. - Czy twoim zdaniem byłoby trudno sfalszować takie prace?

- Jak mówiłem Annie, byłoby to łatwe dla malarza, który ma takie zdolności - wyjaśnił Keane. - Niełatwo imitować Turnera, specyficzne są choćby jego pociągnięcia pędzlem, ale nie jest to niemożliwe, jeśli malarz dysponuje odpowiednim papierem oraz farbą i materiałami, które nie są aż takie trudne do zdobycia, ale o rym już wspominałem. Tom Keating twierdził, że machnął około dwudziestu akwareli Turnera. Problemem jest jednak proveniencja takiego obrazu.

- Tego nie da się sfalszować?

- Da się. Człowiek nazwiskiem John Drewe zrobił to kilka lat

temu, powodując niezłe zamieszanie na całym świecie. Możliwe, że o tym słyszałeś. Dostał się nawet do archiwum Tate i sfalszował katalogi. Ale od tamtego czasu znacznie uszczelnili ochronę. No i jest jeszcze ostatni właściciel obrazu. Idzie o to, że łatwo jest wyliczać, kto posiadał obraz lata temu, bo ci ludzie dawno zmarli. Ostatni właściciel zwykle żyje.

- Rozumiem - powiedział Banks. - Czyli potrzebni są współnicy?
- Przynajmniej jeden.
- Moja wizyta tylko pośrednio wiąże się z Turnerem. Chciałem pomówić o innym malarzu, Thomasie McMahonie.

- Tak?
- Twierdzisz, że go nie znasz.
- Bo nie znam ani jego, ani jego prac.
- Tymczasem ktoś widział, jak rozmawialiście podczas przyjęcia z okazji wystawy Turnera w lipcu ubiegłego roku.

Keane zmarszczył brwi.

- Rozmawiałem tam z wieloma ludźmi. Także tam poznałem Annie.

- Wiem o tym - stwierdził Banks. - Ale co z McMahonem?
- Przykro mi. Nie przypominam sobie nikogo takiego.
- Niski, tęgawy facet, rzadko się golił, długie i tłuste brązowe włosy. Raczej niechlujny. Sporo pił.

- Ach, mówisz o tym, który przykro pachniał?

McMahon pachniał spalonym mięsem, kiedy Banks widział go pierwszy i ostatni raz.

- Naprawdę? Nigdy go nie wąchałem. W każdym razie nie za życia.

- Plastyk. Lekko wstawiony, jeśli dobrze pamiętam.
- Więc jednak go znałeś?
- Nie. Nie miałem pojęcia, kim jest. - Keane rozłożył ręce. - Ale jeśli mówisz, że to był Thomas McMahon, to na pewno masz rację.

- Rozmawiałeś z nim, prawda?
- Tak, ten jeden raz.

- O czym rozmawialiście.
- Był raczej rozemocjonowany. To pamiętam. Chyba rozmawialiśmy o obrazach, które wisiały na ścianach. Uważał, że są okropne. Mnie podobało się kilka z nich. Aha, teraz sobie przypominam, że rzucił kilka lekceważących uwag o Turnerze. Twierdził, że z łatwością mógłby popełnić brakujące akwarele z cyklu o Yorkshire.
- Tym, o którym ostatnio rozmawialiśmy?
- Tym samym.
- I przypomniałeś sobie o tym dopiero teraz?
- Tak. Pomogłeś mi trochę odświeżyć pamięć. Dlaczego pytasz?

Czy to ważne?

- Możliwe. Mam rozumieć, że spieraliście się z McMahonem?
- Keane uśmiechnął się, ale w jego głosie pojawiło się lekkie zdenerwowanie.

- Nie nazwałbym tego sporem, raczej użyłbym określenia „różnica zdań w kwestiach artystycznych”. Do czego zmierzasz? O co w tym wszystkim chodzi?

- Prawdopodobnie to nic wielkiego - powiedział Banks, wstając z miejsca i ruszając w stronę drzwi. - Przepraszam, że zająłem ci czas.

Ton Keane'a złagodniał, gdy Banks zebrał się do wyjścia.

- Nie szkodzi. Przykro mi, że niewiele mogłem ci pomóc. Może jednak wypijesz strzemiennego? Czy to wbrew policyjnym zasadom?

Banks wybuchnął śmiechem.

- Skłamałbym, mówiąc, że dotychczas zawsze się nimi przejmowałem. Ale tym razem naprawdę nie mogę, dziękuję bardzo - odmówił. - Pójdę już. Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze na temat tej rozmowy, to daj mi znać, dobrze?

- Oczywiście.

Banks zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Jeszcze jedno.
- Tak?
- Organizujemy okazanie, a ty masz taką samą budowę ciała i kolor włosów jak podejrzany. Zgodzisz się wziąć udział w identyfi-



kacji jako jeden z dobranych? Proponuję ci to, bo przecież stałeś się jednym z nas, jakkolwiek by patrzeć.

- Jakie to podniecające! Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w policyjnym okazaniu. Z przyjemnością pomogę - zapewnił Keane.

- To dobrze - powiedział Banks. - Dziękuję. W takim razie będziemy w kontakcie. Do zobaczenia.

## Rozdział 14

Tego popołudnia, w drodze do Leeds, Banks zastanawiał się nad zachowaniem Keane'a podczas niespodziewanej wizyty. Doskonale wiedział, że największe znaczenie ma zazwyczaj nie to, co ktoś mówił, lecz to, czego nie powiedział, oraz jak się wyrażał i co przekazał pozostający poza kontrolą język ciała. Raz po raz Banks odtwarzał w pamięci całą rozmowę, nie mógł jednak znaleźć najmniejszej nieścisłości w tym, co mówił Keane. Nawet lekkie rozdrażnienie wywołane pytaniami było zrozumiałe, realistyczne. Banks czułby się tak samo.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Dopiero na rondzie przy obwodnicy Leeds uzmysłowił sobie, że zachowanie Keane'a było prezentacją: wszystkie jego reakcje były na pokaz. Banks chciałby już wiedzieć, czy Burgessowi udało się coś znaleźć, ale postanowił jeszcze poczekać. Jeśli do rana nie dostanie żadnej wiadomości, to zatelefonuje do Scotland Yardu. Teraz musiał się skoncentrować przed trudną rozmową z dziadkami Tiny, państwem Redfernami. Bez kłopotu odnalazł ich dom, bliźniak z dużym wykuszowym oknem przy wysadzanej drzewami ulicy Roundhay, i zaparkował przed frontem.

- Oczekiwaliśmy pana, proszę wejść, panie Banks. Jestem Julia Redfern - przedstawiła się starsza pani o wyglądzie matrony, która otworzyła drzwi. - Wezmę pańskie okrycie.

Banks podał jej płaszcz, a ona schowała go do szafy w przedpokoju. Dom pachniał jabłkami i cynamonem. Pani Redfern zaprowadziła Banksa do kuchni, gdzie zapach był jeszcze silniejszy.

- Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, jeśli porozmawiamy tutaj - powiedziała. - Gabinet i salon są zbyt oficjalne.

Zawsze uważałam, że sercem domu jest kuchnia, a pan?

Banks przytaknął. Chociaż większość czasu spędzał w salonie, oglądając telewizję albo słuchając muzyki, to jednak uwielbiał swoją kuchnię. Prawdę mówiąc, powodem, dla którego zdecydował się na kupno swojego domku była kuchnia, bo o takiej właśnie marzył, zanim ją jeszcze zobaczył. Ale kuchnia Redfernów była o wiele większa, urządzona w stylu rustykalnym, z ciężkim drewnianym stołem i czterema krzesłami o twardych oparciach. Drzwi balkonowe, teraz zamknięte, prowadziły do małej oranżerii. Banks usiadł.

- Poza tym zaraz powinno być gotowe ciasto - ciągnęła pani Redfern. - Wyjmę je i zostawię na chwilę, żeby trochę przestygło.

- Tak mi się zdawało, że czuję jakiś smakowity zapach - powiedział Banks.

- Zawsze szykuję coś specjalnego, kiedy mamy gości - stwierdziła pani Redfern, wyjmując z piekarnika szarlotkę i kładąc blachę na podkładce. Kruszonka na cieście miała złotawy kolor. Banks zaczynał dochodzić do wniosku, że atmosfera robi się surrealistyczna: rustykalna kuchnia, smakowity zapach, ciasto prosto z pieca. Jakże to wszystko było odległe od świata Marka i Tiny. Zastanawiał się, czy pani Redfern zabrała się za pieczenie po to, żeby uspokoić nerwy albo zająć czymś myśli w oczekiwaniu na jego wizytę.

Wszedł doktor Redfern. Mimo skończonych siedemdziesięciu lat tryskał energią i był w niezłej formie, a na głowie wciąż nosił gęstą czuprynę siwych włosów. Miał silny uścisk dłoni. Banks zastanawiał się, czy był dobrym lekarzem.

- Maurice Redfern - przedstawił się. - Miło mi pana poznać. - Usiadł naprzeciwko Banksa.

- Przede wszystkim proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu tego, co spotkało państwa wnuczkę. Chcę zapewnić, że robimy wszystko co w naszej mocy, żeby znaleźć sprawcę.

- Nie bardzo wiem, jak możemy panu pomóc, ale oczywiście jesteśmy do pana dyspozycji - zapewnił doktor Redfern.

Jego żona krzątała się przy herbacie, po czym postawiła na stole

dzbanek, trzy filiżanki oraz trzy talerzyki i ukroiła po kawałku szarlotki dla każdego.

- Może śmietany do ciasta? - zaproponowała. - Albo plasterek cheddara?

- Nie, dziękuję. I tak wygląda apetycznie.

- Mleko i cukier? - zapytała, stukając w filiżankę.

- Poproszę czarną bez cukru - odpowiedział Banks.

Pani Redfern napełniła filiżanki i usiadła. Sprawiała wrażenie podenerwowanej, wciąż się wierciła. Może po prostu taką miała naturę. Banks upił trochę herbaty. Była mocna, jak lubił. Sandra zawsze mówiła, że w jego filiżance stałyby łyżeczka. Oczami wyobraźni zobaczył, jak odchodzi od niego w deszczu, pchając wózek.

- Interesują mnie raczej ogólne informacje, środowiskowe - wyjaśnił. - Bylibyście państwo zaskoczeni, jak przydatne mogą się okazać różne drobiazgi, których znaczenie dostrzegamy dopiero po tym, jak je odkryjemy. Podobnie jest chyba z diagnozą medyczną, prawda?

- Istotnie - zgodził się doktor Redfern. - Proszę więc przejść do rzeczy.

- Byliście państwo blisko z wnuczką? - zapytał Banks.

Redfernowie wymienili spojrzenia. Po chwili Maurice odpowiedział:

- Christina mieszkała u nas do piątego roku życia - powiedział powoli. - Potem często nas odwiedzała, czasem zostawała na dłużej. Opiekowaliśmy się nią, ilekroć jej rodzice wyjeżdżali na dłuższe wakacje. Tak to wyglądało.

Banks uznał, że to wymijająca odpowiedź. Ale może pytanie było zbyt trudne albo zbyt bolesne, żeby Redfernowie mogli odpowiedzieć wprost.

- Czy zwierzała się państwu ze swoich sekretów?

- Była cichym dzieckiem. Marzycielką. Nie wiem, czy się zwierzała komukolwiek.

- A gdy dorosła? Pozostaliście w bliskich stosunkach?
- Czy ma pan dzieci, inspektorze Banks? - zapytała Julia Redfern.
- Dwójkę - odpowiedział Banks. - Syna i córkę.
- A wnuki?
- Jeszcze nie.
- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Jest pan na to o wiele za młody. Ale wie pan, jak zmieniają się relacje z dziećmi, gdy wchodzą w wiek dorastania.
- Nie widywaliście jej państwo zbyt często?
- Otóż to. Odwiedziny babci i dziadka są chyba ostatnią rzeczą, o jakiej marzy nastoletnia dziewczynka.
- Chłopiec też - uzupełnił Banks. - Sam taki byłem.

Dziadkowie Banksa mieszkali w Londynie, nie widywał ich więc zbyt często, ale dobrze pamiętał niekończące się podróże pociągami z rodzicami i bratem Royem w deszczowe dni; nakręcaną kolejkę Hornby, którą dziadek Banks specjalnie dla niego trzymał rozłożoną w jednym z pokoi; stare pamiątki wojenne na strychu: hełm, łuskę i maskę gazową; klatki dla królików w dużym ogrodzie za domem dziadka Peytona, położonym zaraz za torami, i dudnienie długich pociągów, które dochodziło do niego przez sen. Wszyscy czworo zmarli, zanim Banks skończył siedemnaście lat. Żałował, że nie poznał ich lepiej. Nie zdążył na przykład zapytać ani jednego, ani drugiego dziadka o doświadczenia z czasów pierwszej wojny światowej, w której brali udział. Gdy był dzieckiem, nie przyszło mu to do głowy. Teraz bardzo go ten temat interesował. Miał nadzieję, że jeśli Brian i Tracy zdecydują się na dzieci, to jeszcze zanim on stanie się bezużytecznym starcem.

- Ale widywaliście ją państwo od czasu do czasu? - zapytał.
  - Och, tak - odpowiedział Maurice Redfern. - Ale była niekomunikatywna.
  - Podejrzewaliście państwo coś złego?
- Twarz Maurice'a stężała.

- Złego? Co pan przez to rozumie?
- Na przykład branie narkotyków. To często się zdarza wśród nastolatków.
- Nigdy nie zauważyłem żadnych objawów.
- Czy była szczęśliwa?
- Cóż za dziwne pytanie! - obruszył się Maurice. - Tak przypuszczam. W każdym razie nigdy nie twierdziła, że jest inaczej. Żyła w swoim własnym świecie. Zakładałem, że to łagodne miejsce. Teraz się okazuje, że chyba nie miałem racji.
- Tak? Dlaczego pan tak myśli?
- Chyba nie przyjechałby pan tutaj, gdyby było inaczej, prawda?
- Doktorze Redfern, przepraszam, jeśli czasem wygląda to tak, jakbym się wtrącał w sprawy rodzinne, ale prowadzę śledztwo dotyczące morderstwa. Jeśli wie pan cokolwiek o stanie umysłu pańskiej wnuczki przed jej śmiercią, to powinien pan zdawać sobie sprawę, że może to być ważna informacja.
- Niczego nie wiemy - odezwała się Julia. - Jesteśmy zwyczajną rodziną.
- Cofnijmy się trochę w czasie - kontynuował Banks. - Ile lat miała matka Christiny, kiedy zaszła w ciążę?
- Szesnaście - rzekł Maurice.
- Czy była szaloną nastolatką?
- Zamyślił się na chwilę, palcem dotykając warg.
- Nie, nie powiedziałbym. A ty, kochanie?
- Oczywiście, że nie - potwierdziła. - Raczej głupią. I nieświadomą. Wie pan, wystarczy jeden raz.
- Ojcem był student ze Stanów Zjednoczonych?
- Kimkolwiek był, zniknął ze sceny bardzo szybko - odpowiedział doktor Redfern.
- Jaką matką była Frances?
- Robiła, co mogła - zapewniła Julia. - Sprawiało jej to trudności w tak młodym wieku, ale bardzo się starała. I naprawdę kochała małą Christine.

- Kiedy na scenie pojawił się doktor Aspern?
- Znam Patricka od prawie trzydziestu lat - odrzekł doktor Redfern. - Pod moją opieką odbywał staż szpitalny, a przez jakiś czas nawet praktykowaliśmy razem w Alwoodley.
- Był więc pan jego mentorem?
- Poniekąd tak. I przyjacielem, mam nadzieję.
- Jak przyjął pan jego zainteresowanie pańską córką?
- Życzyliśmy im jak najlepiej.
- Kiedy pan to zainteresowanie zauważył?
- Nie rozumiem, o co pan pyta.
- Zakładam, że Patrick Aspern często u państwa bywał. Czy interesował się Frances, zanim przyszła na świat Christina?
- Niech pan nie będzie nedorzecznym! - oburzył się Maurice. - Przecież ona miała wtedy mniej niż szesnaście lat! Znał ją, oczywiście, niemal od dnia, kiedy się urodziła. Ale pobrali się, gdy Frances miała dwadzieścia jeden lat, a więc dawno już była pełnoletnia. Nie było w ich znajomości niczego niestosownego ani niezdrowego. Poza tym starszy mężczyzna zwykle wnosi stabilizację i większe doświadczenie. Frances tego potrzebowała.
- A więc pańska córka była wdzięczna za zainteresowanie, jakie okazywał jej Patrick Aspern?
- Nie użyłbym akurat tego słowa - oponował Maurice.
- Ale jego zainteresowanie zostało odwzajemnione?
- Oczywiście, że tak! Sądzi pan, że to małżeństwo było naszym wymysłem? Że zmusiliśmy Frances, żeby za niego wyszła?
- Do czego pan zmierza, panie Banks? Co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Christiny? - zapytała Julia.
- Jak długo chodzili ze sobą? - naciskał Banks. - Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień.
- Musi pan wiedzieć, że zawsze mieliśmy na uwadze dobro Christiny - wyjaśniła Julia. - Zawsze. Frances nie mogła prowadzić takiego życia jak jej rówieśnice. Trudno jej było nawiązywać przyjaźnie, spotykać się z chłopcami. Patrick zabrał ją kilka razy do

miasta, podczas gdy my opiekowaliśmy się Christiną. No wie pan, do kina i tym podobne. Właściwie to wyświadczał jej przysługę, żeby choć na chwilę wyrwała się z domu. Czasem na cały dzień wyjeżdżali na wieś. Na przykład do Whitby albo do Malham.

- Nie obawialiście się państwo?

- Czego?

- Że do czegoś między nimi dojdzie?

- Niby dlaczego mielibyśmy się obawiać? - odparł Maurice. - Patrick zaliczał się do najbliższych przyjaciół. Ufałem mu bezgranicznie.

- Nie martwiło państwa, że jest tak dużo starszy od Frances? Nie obawialiście się, że mógłby ją wykorzystać?

W głosie doktora Redferna zaczęła pobrzmiwać irytacja.

- Absolutnie nie! - zapewnił. - Czego mielibyśmy się obawiać? Frances miała dwadzieścia lat, a Patrick był po trzydziestce, gdy zaczęli razem wychodzić. Ona była atrakcyjną młodą kobietą, on był energicznym młodym, przystojnym i utalentowanym lekarzem z wielką przyszłością. Co złego mogłoby z tego wyniknąć? Dlaczego mielibyśmy się sprzeciwiać albo żywić obawę? Właściwie już straciliśmy nadzieję, że Frances kogoś sobie znajdzie i wtedy... to się stało. Idealna sytuacja. Prawdziwy cud. Powód do radości. Dwoje ludzi, których kochałem najbardziej na świecie, przypadło sobie do gustu. Nie mógłbym marzyć o lepszej partii dla mojej córki.

A więc o to chodziło! Banks zrozumiał powód zakłopotania i nerwowości, które wyczuwał. Redfernowie chcieli wydać Frances za męża, a maleńka Christina przeszkadzała w urzeczywistnieniu tego planu. Byli więc wdzięczni Patrickowi za zainteresowanie córką. W końcu przecież nie każdy mężczyzna zainteresuje się kobietą z dzieckiem, które nie jest jego. Gdyby dobry doktor Aspern wziął nie tylko Frances, ale i jej dziecko, Redfernowie gotowi byli przymknąć oko na wiele. Może nawet go zachęcali, zostawiali obydwójce samych, oferowali opiekę nad dzieckiem? Tylko na co przymknęli oko?

- Jaka była relacja między nimi?



- Całkowicie uczciwa - zapewniła Julia Redfern. - Żadne figle-migle. Nie w tym domu. A może mi pan wierzyć, że wiedzieliśmy, gdyby było inaczej.

- Kochali się? Okazywali sobie uczucie?

- Nie obściskiwali się ciągle jak dzisiejsza młodzież - odpowiedziała Julia. - To wstrętne, jeśli chce pan znać moją opinię. Takie rzeczy powinno się robić na osobności.

- A oni nieczęsto przebywali we dwoje?

- Raczej nie - potwierdziła. - W każdym razie nie sami.

- Byliśmy szczęśliwi, że Patrick się nią zainteresował - dodał Maurice. - Nasza córka zamknęła się jak ślimak w skorupie, a on pomógł jej z powrotem wyjść na świat. Christine nie była najłatwiejszym dzieckiem i może dlatego Frances zaczęła się starzec przedwcześnie.

- Christine miała pięć lat, gdy Patrick i Frances się pobrali?

- Tak.

- Jak podszedł do roli ojca?

- Był dla Christiny bardzo dobry, prawda, kochanie? - zapewniła Julia.

- Tak, bardzo - zgodził się z nią Maurice.

No cóż, czego innego Banks mógł się spodziewać? Oświadczenia dziadków, że święty i czysty Patrick Aspern był w rzeczywistości pedofilem obmacującym ich córkę? Ale obraz ogłupiającej wręcz zwyczajności, który malowali, po prostu nie wydawał się prawdziwy. Czyżby swego czasu mieli jakieś podejrzenia i je zignorowali? Banks wiedział, że ludzie często tak postępują. A może pozostawali w tyleż błogiej, co zamierzonej niewiedzy o seksualnym zainteresowaniu Asperna Tiną? I kiedy ono się zaczęło? Gdy dziewczynka miała sześć lat? Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć? Jeszcze wcześniej? Czy interesował się Frances także wtedy, gdy była dzieckiem? Banks bardzo chciałby to wyjaśnić, nie znajdował jednak żadnego sposobu, żeby zadać te pytania bezpośrednio. Będzie więc musiał sprawdzić, dokąd zaprowadzą go pytania pośrednie.

- Czy małżeństwo miało jakiś wpływ na Christine?  
- No wie pan, dało jej ojca - odparł Maurice. - Zdaje się, że to dla dziecka bardzo ważne, nie sądzi pan? Cokolwiek twierdzą niektóre środowiska.

- Czy po ślubie matki zachowywała się inaczej niż poprzednio?  
- Nie przebywaliśmy z nią tak często, żeby to zauważyć. Wtedy przenieśli się już do własnego domu przy Lawnswood, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkają teraz. Jestem jednak pewien, że miała jakieś problemy z dostosowaniem się do nowej sytuacji. Któż z nas ich nie ma?

- Czy Christina zachowywała się tak samo, kiedy przyprowadzali ją do państwa z wizytą?

- Tak - odpowiedział Maurice. - Dopóki nie...  
- Co?  
- Wspominałem już wcześniej. Dopóki nie wyrosła na nastolatkę.

- Wtedy stała się niekomunikatywna?  
- Można tak powiedzieć. Zrobiła się raczej cicha i zamknięta w sobie. Posępna. Zaczęła też pyskować, jeśli się ją do czegoś przymuszało. Hormony.

Albo Patrick Aspern, pomyślał Banks. Dostał więc swoją odpowiedź. Prawdopodobnie wszystko się zaczęło, kiedy dziewczyna weszła w okres dojrzewania. Wiek, który jest górną granicą dla jednych pedofilów, a dolną dla innych.

- Widzieliście ją państwo po tym, jak się wyprowadziła z domu? Redfernowie popatrzyli na siebie, po czym Julia skinęła głową.

- Przyjechała tu kiedyś - powiedziała bliska łez. - Maurice'a nie było w domu. Wyglądała okropnie, panie Banks. Mało mi serce nie... - Pokręciła głową i wyszarpnęła chusteczkę z pudełka na parapecie. - ...nie pękło z żalu. Przepraszam - dodała. - To było bardzo przygnębiające.

- Dlaczego mówi pani, że wyglądała okropnie?  
- Była taka chuda i blada. Ciągle ciekło jej z nosa. Miała pryszczki

i skórę w strasznym stanie, całą w plamach. A jeszcze niedawno była taka ładna! W dodatku, przykro mi to mówić, ale jej ubranie było brudne, a ona... Ona śmierdziała.

- Kiedy to było?
- Krótco po tym, jak odeszła z domu.

A więc w czasach squatu w Leeds, zanim zamieszkali na barce. Pewnie wtedy nie znała jeszcze Marka.

- Po co przyszła?
- Chciała pieniędzy.
- Dostała?

Spojrzała na męża.

- Pięćdziesiąt funtów. Tyle miałam w portmonetce.
- Mówiła coś?
- Niewiele. Próbowałam ją przekonać, żeby wróciła do Patricka i

Frances. Oni oczywiście zamartwiali się na śmierć.

- Jak na to zareagowała?
- Nie chciała wracać. Za nic. Była bardzo rozemocjonowana.
- Czy powiedziała dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego nie chce wracać.
- Nie, tylko bardzo się zdenerwowała, kiedy poruszyłam ten

temat i nie chciała dalej rozmawiać.

- A pani zdaniem dlaczego Christina nie chciała wrócić do domu? Co pani wtedy pomyślała?

- Uznałam, że musi chodzić o chłopaka.
- Chłopaka? Dlaczego? Czy Patrick Aspern tak twierdził?
- Nie... Ja tak założyłam. Jej matka była w tym samym wieku,

kiedy... Sama nie wiem. To trudny okres dla dziewczynek. Chcą żyć jak dorosłe, ale brak im doświadczenia. Tracą głowę dla jakiegoś beznadziejnego wałkonia, a chwilę potem zachodzą w ciążę.

- Jak Frances?
- Tak.
- Czyli uznała pani, że historia się powtarza?

- Można tak powiedzieć.
- Czy zapytała pani córkę albo jej męża o to, dlaczego Christina wyprowadziła się z domu w wieku szesnastu lat? - nie ustępował Banks.

Julia zakryła uszy dłońmi.

- Dosyć, już dosyć! Każ mu przestać, Maurice!
- Już dobrze, pani Redfern - uspokajał ją Banks. - Nie przyjechałem tutaj po to, żeby przywoływać przykre wspomnienia. Wszyscy powinniśmy chwilę odsapnąć. Proszę wziąć głęboki oddech.

Skończył herbatę. Była ledwo ciepła.

- Jak pan widzi, panie Banks, to bardzo przykre - odezwał się Maurice. - W dodatku nie rozumiem, jaki to ma związek z nieszcześliwą śmiercią Christiny. Może więc powinien pan już iść.

- Morderstwo to bardzo przykra sprawa, doktorze Redfern, a ja jeszcze nie skończyłem.

- Ale moja żona...

- Pańska żona reaguje bardzo emocjonalnie, to widzę, panie doktorze. Chcę się jednak dowiedzieć, dlaczego tak jest.

- Wydawało mi się, że to oczywiste.

- Nie dla mnie.

- Przychodzi pan tutaj i...

- Nie wierzę, że taka jest przyczyna tych emocji i nie wydaje mi się, żeby pan w to wierzył.

- Do czego pan zmierza, młody człowieku?

Banks wziął głęboki oddech. Raz kozie śmierć!

- Dysponujemy zeznaniem osoby, która twierdzi, że Patrick Aspern wykorzystywał seksualnie swoją pasierbicę, prawdopodobnie odkąd dziewczynka weszła w okres dojrzewania.

Maurice Redfern skoczył na równe nogi.

- Oszalał pan? Patrick? Jakie zeznanie? Kto je złożył?

- Christina wyznała swojemu chłopakowi, Markowi Siddonsowi, że między innymi dlatego sięgnęła po narkotyki z gabinetu swojego ojczyma. Żeby uciec przed wstydem i bólem. Siddons zasugerował, że

później Patrick Aspern dawał jej narkotyki w zamian za milczenie, a może nawet usługi seksualne.

- Niemożliwe! - Maurice opadł na krzesło, błąd. - Nie Patrick. Nigdy w to nie uwierzę!

- Więc to miała na myśli... - jęknęła Julia Redfern ledwie słyszalnym szeptem.

- Co takiego? - dopytywał się Banks. - Co powiedziała?

- Tylko tyle, że lepiej, żebym nie wiedziała. Że nigdy bym jej nie uwierzyła, nawet gdyby mi powiedziała. I ten wyraz twarzy! - Odwróciła się do męża, a łzy znów napłynęły jej do oczu. - O mój Boże, Maurice, co myśmy jej zrobili!

- Weź się w garść, Julio - odparł Maurice. - To wszystko kłamstwa. Wymyślone przez jakiegoś młodego narkomana. Nie zrobiliśmy niczego, czego musielibyśmy się teraz wstydzić. Nasza córka poślubiła dobrego człowieka, a teraz ktoś próbuje go oczernić. To wszystko. Załatwimy tę sprawę przez naszego prawnika. - Wstał z krzesła. - Wolałbym, żeby pan już wyszedł, panie Banks. Jeśli nie zamierza pan nas aresztować albo coś podobnego, to nie życzymy sobie z panem rozmawiać.

Banks i tak nie miał już więcej pytań. Uzyskał interesujące go odpowiedzi. Skinął głową, wstał i wyszedł, zostawiając na talerzu nietknięty kawałek szarlotki.

Było dawno po zmroku, kiedy Mark wysiadł z autobusu numer jeden przed pubem Lawnswood Arms, niedaleko krematorium. Podróż potrwała tak długo, ponieważ między Eastvale a Leeds nie kursowało aż tak wiele autobusów i musiał się przesiąść w Harrogate. W sklepie W.H. Smith kupił plan miasta, żeby znaleźć drogę do Adel. Nigdy wcześniej nie odwiedzał rodziców Tiny - nie miał powodu - ale dokładny adres widniał na okładce jednej z książek, które wzięła z domu na squat, a stamtąd na barkę i Mark go zapamiętał. Znał też kod, który trzeba wprowadzić, żeby w domu nie uruchomił się alarm. Tina kazała mu nauczyć się tego kodu na pamięć. Mniej więcej miesiąc

temu Danny Boy miał przerwę w dostawie towaru, Mark musiał więc coś wymyślić, żeby Tina nie oszalała. Udawał, że planuje włamanie do gabinetu jej ojca, skąd ukradnie morfinę. Na szczęście Danny Boy znowu zaczął handlować, zanim sprawy wymknęły się spod kontroli.

Za główną drogą rozciągały się pola, a za nimi, kawałek w dół, widział skupisko świateł - Adel. Nie mając pojęcia, co chce zrobić i powiedzieć, kiedy dotrze na miejsce, Mark uległ iluminacji Lawnswood Arms. Wszedł do środka. Nie jadł lunchu, był więc głodny, to przede wszystkim, liczył też jednak, że może alkohol doda mu odwagi.

Wnętrze Lawnswood Arms sugerowało, że był to raczej rodzinny pub niż miejscowy wodopój, choć o ósmej wieczorem rodzin wśród gości nie było. Mark podszedł do baru, zamówił kufel tetley's cask i zajrzał do menu. Wybrał stek z frytkami. Pierwsze piwo wypił tak szybko, że barman spojrział na niego spode łba, gdy zamawiał drugie.

- Mam na ciebie oko, kolego. Potrafię rozpoznać rozrabiakę.

No cóż, może Mark miał zamiar narozrabiać, ale na pewno nie w taki sposób, o jaki podejrzewał go barman.

Wypił dwa kufle, zanim przygotowano mu jedzenie i zamówił trzeci, żeby popić stek. Nie okazywał żadnych oznak nietrzeźwości, nie mogli mu więc odmówić. I nie odmówili. Siedział spokojnie w rogu, paląc i rozmyślając. Gdyby znali jego myśli, może wezwaliby policję, nie znali ich jednak, bo niby jak? Im więcej pił, tym mroczniejsze obrazy pojawiały się w jego głowie. Przyłyły emocji oraz wybuchy gniewu zabarwiały je na czerwono, czarno i szaro.

Zrozumiał, że dotychczas błądził po omacku: nie miał dokąd iść ani z kim porozmawiać, nie było nikogo, z kim mógłby dzielić swój smutek, kto utuliłby jego płacz. Nigdy nie istniał ktoś taki. Zawsze był sam. Miał tylko siebie, swoją wyobraźnię i swój rozum. Teraz czuł się jeszcze bardziej zagubiony: dryfował, odkąd zabrakło Tyny, która była jego kotwicą, jego balastem, sensem życia.

Przypomniał sobie, jak Szalony Nick leżał zakrwawiony na podłodze. Myślał o swojej matce, która nigdy go nie chciała, ponieważ

przeszkadzał jej w dobrej zabawie, a mimo to poczuł się przecież sam na tym świecie, gdy dotarła do niego wiadomość o jej śmierci. Przede wszystkim jednak myślał o Tinie. Skoro nie pokazano mu jej zwłok, to identyfikacji dokonali rodzice. Dostał gęziej skórki, wyobrażając sobie, jak Aspern z triumfującą miną obmacuje ciało Tiny. Kiedy widział ją ostatni raz, leżała otulona śpiworem, tuż po tym, jak dała sobie w żyłę. Westchnęła cichutko z ulgą, a odtwarzacz grał piosenkę z płyty Beth Orton. Nie *Stolen Car* tylko coś nowego, o pociągu do Paryża. To wspomnienie będzie nosił w sercu zawsze. Potem zdmuchnął świeczkę i wymknął się, żeby wpaść w ramiona Mandy. Gdyby tylko został wtedy z Tiną, jak obiecywał! Jak zawsze.

- Wszystko w porządku?

Głos wydawał się dobiegać z daleka. Tom podniósł wzrok i zobaczył dziewczynę, która zbierała puste szkło. Była niewiele starsza od Tiny, chociaż wiedział, że musiała skończyć osiemnaście lat, żeby pracować w pubie. Miała krótkie nastroszone włosy i złoty kolczyk w dolnej wardze, tak samo jak Tina. Zresztą w ogóle była jak Tina w chwilach, kiedy nie gnębiły jej mroczne myśli.

- W porządku - odpowiedział. - Tylko się zamyśliłem.

Przez chwilę taksowała go wzrokiem.

- Wyglądasz tak, jakby nie były to dobre myśli.

- Można tak powiedzieć.

Ściszyła głos.

- Ten stary smutas za barem ma coś do ciebie, odkąd tylko przyszedłeś. Jeden zły ruch i nie poda ci alkoholu. Nie zamierzasz chyba wykonywać żadnych złych ruchów?

- Nie - zapewnił ją Mark. - W każdym razie nie tutaj.

- No to wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się. - Nie widziałam cię tu wcześniej.

- Może dlatego, że nigdy wcześniej tu nie przychodziłem.

- Nie mieszkasz w okolicy?

- Nie.

- Cathy!

Okrzyk dobiegł zza baru.

- Cholera! - rzuciła, krzywiąc się. - Muszę iść. Stary smutas mnie woła. Nie rób głupstw.

- Postaram się - obiecał Mark.

Krótką rozmową przywróciła go do normalnego świata, przynajmniej na chwilę. Zastanawiał się, czy jego życie kiedyś znów będzie normalne. Nawet jeśli dziewczyna nie próbowała go poderwać, to na pewno z nim flirtowała i czuł, że jej się spodobał. Gdyby jego świat był normalny, postawiłby kolejny krok i może nawet poszedł z nią do jej domu, jeśli go miała. Prawdopodobnie tak. Wyglądała na studentkę i chyba studiowała. Miałaby stąd niedaleko do uniwersytetu. Autobus mijał uczelnię, opuszczając granice miasta. Ale po tym, co stało się z Tiną, kiedy on był z Mandy, nie brał pod uwagę takiej sytuacji, choć ta cała Cathy naprawdę przypominała Tinę.

Barman spojrział na niego krzywo, kiedy zamawiał kolejne piwo, już piąte. Chociaż stał pewnie na nogach i mówił wyraźnie, spojrzenie barmana niosło wyraźny przekaz: „To twoje ostatnie, a potem stąd spadasz”. Doskonale, i tak nie chciał już więcej. Zresztą niedługo zamykali.

Mark zapalił kolejnego papierosa, ostatniego z paczki, próbując określić, co właściwie chce zrobić i powiedzieć, kiedy już wejdzie do domu Aspernów. Niechęć do Patricka Asperna prawdopodobnie spowoduje, że potraktuje go tak samo jak Szalonego Nicka, albo jeszcze gorzej. Nie wiedział, jak się zachować wobec matki Tiny. Nie miał nic przeciwko tej kobiecie i nie chciał jej skrzywdzić, ale o swoją córkę nie dbała bardziej niż jego matka o niego. Co prawda on nigdy nie był wykorzystywany seksualnie przez żadnego z facetów matki, ale prawie każdy z nich go bił i niemal wszyscy używali do załatwiania swoich brudnych sprawek. Matki powinny troszczyć się o swoje dzieci, kochać je i pielęgnować, a matka Tiny zachowywała się tak samo jak jego własna, choć miały tak różny status społeczny. Okazało się, że pod pewnymi względami żona doktora może być tak samo beznadziejna jak zwykła dziwka, bo nią właśnie była jego



matka. Nie miał co do tego żadnych złudzeń.

Zadzwonili i ktoś krzyknął, że przyjmują ostatnie zamówienia. Markowi zostało pół kufła. Wypił pić, ale nie czuł się ani trochę pijany. Wygrzebał z kieszeni drobne na paczkę papierosów w automacie. Dopił piwo, wsadził między zęby papierosa, zapalił go i ruszył do drzwi.

- Dobranoc - krzyknął ktoś za nim.

Cathy. Stała bliżej, niż myślał, ze ścierką w rękę czyściła stoliki.

- Dobranoc - odpowiedział.

- Może się jeszcze zobaczymy?

Czy wyczuł w jej głosie nutkę nadziei? Jakoś przywołał uśmiech, specjalnie dla niej.

- Może? Nigdy nic nie wiadomo - stwierdził.

Potem wyszedł na chłodne nocne powietrze.

- Zastanawiałaś się może nad wyjazdem do Nowego Jorku? - zapytał Phil, gdy siedzieli z Annie nad czarną kawą i crème brûlée w Le Select, renomowanym francuskim bistro w Eastvale. Po kilku kieliszkach świetnego bordo Annie czuła się rozgrzana i odprężona, myśl o wspólnym wyjeździe z Philem bardzo ją pociągała. Zwłaszcza do Nowego Jorku.

- Nie mogę jechać, Phil, naprawdę nie mogę - odpowiedziała. - Chociaż bardzo bym chciała. Może innym razem?

- Jeśli to kwestia pieniędzy, to...

- Tylko częściowo chodzi o pieniądze - przerwała mu Annie. - Ty możesz ot, tak sobie jeździe do Ameryki, kiedy zapragniesz, ale ja naprawdę muszę się liczyć z wydatkami.

- Mówiłem przecież, że kupię ci bilet. Będziesz konsultantką do spraw bezpieczeństwa.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale chyba jednak nie w porządku - stwierdziła. - Poza tym gdybym się wybrała z tobą do Nowego Jorku, to z pewnością nie jako twój pracownik.

Phil zaśmiał się.

- Przecież to byłoby tylko na papierze.
- Wszystko jedno.

Podszedł kelner z rachunkiem, po który od razu sięgnął Phil.

- Widzisz? Zawsze ty płacisz - dodała.
- Zapłacimy po połowie, dobrze?

- Zgoda - powiedziała Annie, sięgając do torebki. Była pewna, że na karcie Visa nie osiągnęła jeszcze limitu. Chyba spaliłaby się ze wstydu, gdyby po tyradzie o płaceniu za siebie ten nadskakujący kelner z udawanym francuskim akcentem przybiegł i oznajmił, że jej karta została odrzucona.

- Nie wiesz, co tracisz - namawiał Phil. - Zatrzymalibyśmy się w hotelu Plaza. Wycieczka powozem po Central Parku, górne piętro Empire State Building, Tavern on the Green, Saks Fifth Avenue, Bloomingdale, Tiffany...

- Och, przestań! - Annie klepnęła go w ramię i zakryła uszy dłońmi. - Nie chcę tego słuchać!

Phil podniósł ręce, jakby chciał się poddać.

- Dobrze, już dobrze. Przystaję.

- Poza tym nadal się toczy poważne śledztwo w sprawie morderstwa.

- Ciągle nic nie macie?

- W każdym razie niewiele. Nawet wąż wynajętego samochodu utknął w martwym punkcie. I to dosłownie. Facet, który go wynajął, zmarł pół roku temu.

- Tak? - zdziwił się Phil. - W takim razie jak...

- Nie pytaj. Wiem tylko, że ta cholerna sprawa przyprawia mnie o coraz większy ból głowy i dobrze jest odpocząć od niej chociaż przez kilka godzin. Chryste, musiałam nawet spędzić wczorajszą noc w motelu pod Redditch, walcząc z zainteresowaniem dwóch handlowców z Solihull.

Phil zachichotał.

- Odniosłaś zwycięstwo, mam nadzieję.

- Owszem. Miałam ze sobą Winsome. Ona potrafi być przera-

zająca, jeśli chce. - Annie uśmiechnęła się. - Przerazająca Winsome.

Kelner wrócił z wydrukami potwierdzeń transakcji kartami kredytowymi do podpisania. Annie odetchnęła z ulgą. Gdy skończyli, zdjęli płaszcze z wieszaka przy stoliku i wyszli na brukowaną alejkę przy King Street, na tyłach komendy policji.

- Och - westchnęła Annie, kiedy owiało ją zimne nocne powietrze. - Kręci mi się w głowie. Chyba trochę za dużo wypiałam. - Wzięła Phila pod ramię.

- Zaparkowałem tuż za rogiem - powiedział. - Gdzie zostawiłaś samochód?

Annie miała buty na obcasie i trudno jej było iść po bruku, zwłaszcza że szumiało jej w głowie wypite wino, a na jezdni zrobiło się ślisko, ponieważ spadła temperatura.

- Na parkingu policyjnym.

- Niech więc tam zostanie. Ja na pewno jestem w stanie prowadzić.

Annie doskonale to wiedziała. Nigdy nie widziała Phila pijanego ani nie zauważyła, żeby wypił więcej niż kieliszek wina do posiłku.

- Ale... - zaczęła.

- Zawiozę cię do domu, jeśli sobie życzysz - zaproponował. - Chyba że wolisz...

Annie podniosła oczy.

- Co?

- Możesz zanoć u mnie, jeśli chcesz.

- Dostanę się rano do pracy?

- Może nie będziesz musiała. Może zatrzymam cię tam na zawsze. Jako moją niewolnicę.

Annie roześmiała się i popchnęła go lekko.

- Teraz poważnie - dodał. - Podrzucę cię. I tak muszę rano przyjechać po Turnery, żeby je zawieźć do Londynu.

- Wracasz na południe?

- Muszę.

- Szkoda.

- Praca. Więc jak zdecydujesz?
- Przywieziesz mnie tutaj rano? Naprawdę?
- Oczywiście. Chyba że postanowię cię uwięzić.
- W takim razie jedziemy.
- Ale ostrzegam. Trochę za dużo wypilaś i może się zdarzyć, że to wykorzystam.

Od bardzo dawna Annie nie czuła się lepiej, mając taką perspektywę, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego przed Philem.

- Nie jestem aż taka pijana - stwierdziła. - A już na pewno nie jestem aż taka łatwa.

- W każdym razie znajdziemy jakiś sposób, żebyś nie wracała myślami do spraw zawodowych.

Annie silniej ścisnęła jego ramię i skręcili w King Street.

\*\*\*

- Tata? Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dopiero wróciłam do domu.

Banks spojrział na zegarek. Prawie północ.

- Gdzie byłaś?
- W kinie. Z Jane i Ravi.
- Na czym?
- Na nowym *Władcy pierścieni*.
- Dobry?
- Doskonały! Tylko strasznie długi. Posłuchaj, tato...

Banks ściszył starą płytę Jesse Winchester, której słuchał, siedząc w fotelu ze szklaneczką laphroaigu i zniszczonym od czytania egzemplarzem *Maski Dimitriosa* Amblera rozłożonym na kolanach. Kostki torfu strzelały w piecyku, wypełniając mały salon swoim ciepłem, a ich kwaśnawy zapach doskonale harmonizował ze smakiem whisky. Ton, jakim jego córka wypowiedziała ostatnie dwa słowa, nie wróżył niczego dobrego.

- Co znowu? - zapytał.
- Rozmawiałam dzisiaj z mamą - uzupełniła.

- I?
- Mówiła, że się z tobą widziała. W Londynie.
- To prawda. Pojechałem tam służbowo.
- Mama twierdzi, że ją obserwowałeś. A właściwie śledziłeś.
- Niczego takiego nie robiłem.
- Ona mówi, że kręciłeś się koło jej domu. W deszczu.
- Nie padało. Zaczęło dopiero potem.
- Mama sądzi, że dziwaczniejsz.
- Dziwaczję?
- Tak. Kręcisz się w pobliżu jej domu i w ogóle. Sam przyznasz, że to raczej dziwne.
- Chciałem jej zadać kilka pytań.
- W związku ze śledztwem?
- Wyobraź sobie, że tak. Chodziło o malarza, którego znała w czasie, kiedy pracowała w ośrodku kultury. To się wiąże ze sprawą, nad którą teraz pracuję.
- Spalone barki. Czytałam w gazecie. - Zamilkła na chwilę. - Tego mi nie powiedziała.
- Ale to prawda. Nie wierzysz mi? Sama też uważasz, że dziwaczję na starość?
- Nikt nie mówi, że jesteś stary.
- Mimo wszystko. Żeby własna córka mnie maglowała...
- Nie magluję cię. Nie widzisz, że ona wciąż się o ciebie martwi?
- Znalazła osobliwy sposób, żeby to okazać.
- Przerażasz ją, tato. Nie wie, jak z tobą postępować. Uważa, że jej nienawidzisz. Dlatego kiedy rozmawiacie, potrafi tylko reagować chłodem.

Banks pamiętał to z czasów małżeństwa. Ilekroć Sandra nie radziła sobie emocjonalnie z jakąś sytuacją, sprawiała wrażenie, jakby się wyłączyła. Czasem nawet zasypiała w środku kłótni. Doprowadzało go to do szału.

- Nie żywię wobec niej żadnej nienawiści.
- Ale ona tak czuje.

- Cóż za zabawne odwrócenie ról. Czyżby moja własna córka udzielała mi rad na temat pożycia małżeńskiego?

- Nie mam dla ciebie żadnych rad. A ty nie jesteś już żonaty. Na tym właśnie polega problem. Co u twojej dziewczyny?

- Michelle? Wszystko u niej dobrze.

- Widziałeś się z nią ostatnio?

- Nie. Obydwoje byliśmy zbyt zajęci.

- No właśnie.

- Co niby miało to znaczyć?

- Musisz znaleźć czas na swoje życie, tato! Przystanąć i powąchać róże. Nie możesz ciągle... Sama nie wiem. Inaczej jaki to ma sens?

- Zeszłego lata przystanąłem, żeby wąchać róże - odrzekł Banks.

- Ale nie potrwało to długo.

Pamiętał dwa szczęśliwe tygodnie, które spędził na greckiej wyspie, słońce, światło na białych i niebieskich ścianach domów porzucanych na zboczu, woń lawendy, tymianku i Oregano oraz zapach martwych ryb i słoną mgiełkę drobnych kropelek. Ale pamiętał też, że nie mógł sobie znaleźć miejsca i chociaż wtedy uznałby to pewnie za wielką przykrość, to jednak skrycie marzył o tym, żeby w związku z jakimś śledztwem wezwano go pilnie do kraju. I do cudownej Michelle Hart. Jakże pragnął, żeby Michelle była tej nocy obok niego, nie zamierzał jednak dzielić się swoimi tęsknotami z córką.

- Tylko dlatego, że wróciłeś, żeby się zająć kolejną sprawą - powiedziała Tracy.

- Ależ Tracy, przecież Graham Marshall był moim przyjacielem. Jak mógłbym...

- Och, wiem, wiem. Nie twierdzą, że nie powinieneś wracać. Niczego takiego nie mówiłam. Ale przypomnij sobie poprzedni raz, kiedy mieliśmy spędzić weekend w Paryżu, a ty zamiast tego pojechałeś szukać nastoletniej córki Jimmy'ego Riddle'a, która uciekła z domu. Zawsze coś ci wypadało. I zawsze tak będzie. Musisz po

prostu... No wiesz, nie da się w pojedynkę rozwiązać wszystkich problemów świata. Nie jesteś przecież jedynym detektywem w tym kraju. Czasem myślę, że wykorzystujesz swoją pracę, żeby się chować przed samym sobą. I wszystkimi innymi.

- Co to miało znaczyć?

- To zbyt skomplikowane, żeby się w to wdawać teraz.

- Chyba ostatnio zajęłaś się filozofią. A ja głupi myślałem, że studiujesz historię.

- Wiesz, co powiedział Sokrates: „Nie warto żyć życiem przez nas niepoznanym”.

- Na twoim miejscu nie poznawałbym życia zbyt dogłębnie. Nigdy nie wiadomo, co możesz odkryć.

- Och, tato! Nie baw się teraz ze mną w gierki słowne!

Banks poczuł, jak narasta i słabnie chęć zapalenia papierosa. Pociągnął kolejny łyk whisky.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie chciałem silić się na dowcipy.

Mam za sobą długi dzień. Prawdę mówiąc, długie siedem dni. Nie wiele spałem i mam dużo na głowie.

- Czy kiedykolwiek było inaczej?

- Powiedz swojej matce, że nie czuję do niej nienawiści.

- Sam jej to powiedz, tato.

I się rozłączyła.

Przez kilka minut Banks trzymał w ręku aparat, słuchając urywanego sygnału. Chciał jej jeszcze powiedzieć, że na widok tego niemowlęcia doznał szoku, że nie był przygotowany na emocje, które w nim wywołał. Ale Tracy przerwała rozmowę.

Odłożył telefon i poszedł do kuchni, żeby napełnić szklanekę. Nalewając laphroaig, poczuł, że ogarnia go melancholia. Nie od środka, lecz z zewnątrz. Chociaż w zasadzie nie wierzył w siły nadprzyrodzone, to jednak od dawna żywił przekonanie, że w tej kuchni jest jakiś duch. Zwykle emanował silnym poczuciem dobra i nigdy przedtem nie pokazał swojej smutnej strony.

Banks zadrżał i wrócił do salonu, pogłośnił odtwarzacz z płytą

Jesse'a Winchestera, który śpiewał właśnie *The Brand New Tennessee Waltz*, i zaczął upijać się na smutno. Wiedział, że nie powinien, bo czeka go kolejny ciężki dzień, a z wiekiem coraz gorzej znosił kaca. Tylko że jego córka skończyła rozmowę, odkładając słuchawkę. Chciał oddzwonić, ale się rozmyślił. Nie miał dość emocjonalnej energii, żeby podjąć ten rodzaj dyskusji, na jaki Tracy ewidentnie miała ochotę tej nocy. Lepiej poczekać, aż obydwójce się z tym prześpią. Był pewien, że Tracy zadzwoni do niego rano, żeby jakoś naprawić sytuację. Ale trudno położyć się w takim nastroju do łóżka, dlatego nalał sobie kolejnego drinka.

Chciał porozmawiać z Michelle. Sprawy tak się ułożyły, że nie zatelefonował do niej z Londynu i nie spędził wieczoru w Peterborough. Było już po pierwszej, ale postanowił zadzwonić mimo to. Zanim sięgnął po słuchawkę, odezwał się telefon. Pomyślał, że może to Tracy z przeprosinami, odebrał więc natychmiast.

- Alan?
- Przy telefonie.
- Mówi Ken Blackstone. Przepraszam za porę, ale pomyślałem, że może cię to zainteresować. Właśnie dzwoniłi do mnie z Weetwood.

Banks usiadł prosto.

- Co się stało?
- Mamy kolejny pożar. W Adel. Dom Patricka Asperna.

Banks odstawił szklankę.

- Przyjadę jak najszybciej.
- Będę czekał.

Banks zrobił szybki bilans. Na szczęście upił tylko łyk z drugiego drinka i wiedział, że nie przekroczył limitu. Nastawił czajnik i wyspał do filtra dużo drobno zmielonej kawy. Gdy woda się gotowała, włożył głowę pod kran i przez kilka minut polewał zimną wodą. Potem wlał wrzątek do filtra i obserwował, jak skapuje do dzbanka. Napełnił filtr jeszcze raz, poszedł do łazienki umyć zęby i zaczął ssać miętówkę. Tuż przed wyjściem przelał kawę do kubka termicznego i zabrał go ze sobą do samochodu. Noc była zimna. Na drzewach i murach utworzył



się szron, przez co w mroku wyglądały upiornie. Na niebie lśniło mnóstwo gwiazd.

Zaprawione nutką goryczy rozważania Jessego Winchestera nie nadawały się na tę chwilę. Banks przejrzał swoje płyty i zdecydował się na *London Calling* zespołu The Clash. Jeśli ich muzyka oraz mocna słodka kawa nie postawią go na nogi po drodze do Adel, to już nic tego nie uczyni.

## Rozdział 15

Wozy strażackie odjechały, zanim Banks dotarł do domu Patricka Asperna po drugiej nad ranem. Dwa radiowozy stały w poprzek jezdni, żeby zablokować ruch uliczny. Nie miał pojęcia, jakich zniszczeń oczekiwać, ale przynajmniej z zewnątrz dom wydawał się nietknięty. Miejskowa policja zagrodziła chodniki, a przed wejściem na posesję rozciągnięto biało-niebieską taśmę, przy której młody posterunkowy odnotowywał każdego, kto wchodził i wychodził z budynku. Chłopak wyglądał, jakby odmroził sobie jaja, mimo że miał na sobie płaszcz. Banks podszedł do niego i zapytał o detektywa Kena Blackstone'a.

Posterunkowy zapisał coś na kartce wsuniętej pod klips na podkładce i kciukiem wskazał kierunek.

- Wewnątrz, panie inspektorze - powiedział smutnym głosem.

Banks wszedł na ścieżkę. Drzwi frontowe były zamknięte, ale nie na klucz. Zauważył ślady włamania. Strażacy czy ktoś inny?

Kena Blackstone'a razem z detektywem z Weetwood Garym Bridgesem odnalazł w salonie. Bridges stanowił przeciwieństwo Banksa oraz eleganckiego i wytwornego Blackstone'a. Przypominał trochę sierżanta Hatchleya. Duży facet w obszernym pogniecionym garniturze, były napastnik drużyny rugby z ramionami i nogami jak stalowe liny, gęstymi rudawozłotymi włosami i przenikliwymi zielonymi oczami. Mówił z lekkim belfasckim akcentem, chociaż większość życia spędził w Anglii.

Banks rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie dostrzegł choćby najmniejszego śladu zniszczeń spowodowanych pożarem, ani nawet nie poczuł zapachu dymu. Na kanapie, na tle której sprawiał wrażenie bardzo drobnego, siedział samotnie Mark Siddons. Chociaż w domu

działało ogrzewanie, chłopak był otulony kocem i lekko drżał. Podniósł oczy, gdy Banks wszedł, ale zaraz odwrócił wzrok. Zacieki, które wyglądały na brud albo zaschniętą krew, pokrywały jego twarz i dłonie trzymające koc. Z boku głowy także miał krew.

- Co się stało? - zapytał Banks, kiedy już się przywitał z Blackstone'em i Bridgesem. - Gdzie ten pożar?

- Gary zadzwonił do mnie, jak tylko usłyszał ten adres - powiedział Blackstone. - Jego chłopcy pomagali nam sprawdzić Asperna, wiedział więc, że się facetem interesuję.

- Pożar wybuchł w gabinecie doktora Asperna - wyjaśnił Bridges. - Na tyłach budynku. W zasadzie to dobudówka. Zniszczenia nie są poważne i ogień został już opanowany. - Gestem wskazał na Marka. - Wygląda na to, że ten chłopak wkroczył do akcji z gaśnicą naprawdę szybko.

Banks spojrzał na Marka.

- To prawda? - zapytał.

Mark skinął głową.

- Czy to ty się włamałeś?

Mark milczał.

- Chyba nie podпалиłeś domu? - naciskał Banks.

- Niczego nie podпалиłem.

- Ostrzegłem cię, że masz się trzymać z daleka.

- Ja tego nie zrobiłem.

- Dlaczego pan sądzi, że to on? - zaciekawiał się Bridges. - O co tu chodzi? Detektyw Blackstone powiedział, że doktor Aspern był zamieszany w sprawę, którą pan prowadzi, ale to wszystko, co na ten temat wiem. Podejrzewa pan jakiś związek ze swoją sprawą?

- Przewijają się tu ci sami ludzie - powiedział Banks.

Zwięźle zreferował pozostałe pożary i zarzut Marka przeciwko Patrickowi Aspernowi. Mark milczał. Wydawał się zagubiony w swoim świecie i nadal cały drżał.

- Co tu się wydarzyło? - zapytał Banks.

- Nie mamy jeszcze pewności - odrzekł Blackstone. - Ale pożar

nie jest głównym problemem. - Zerknął na Marka. - Dowódca strażaków powiedział mi, że drzwi frontowe były otwarte, kiedy tu przyjechali. Chcesz wszystko obejrzeć?

Banks skinął potakująco głową. Blackstone spojrzął na Bridgesa. Wypadalo zapytać go o pozwolenie, ponieważ znajdowali się na jego terenie.

- W porządku - zgodził się Bridges. - I tak chyba będziemy pracowali nad tym wspólnie. Zabiorę chłopaka na komisariat.

- Za co mnie aresztujecie? - oponował Mark. - Niczego nie zrobiłem!

- A niby dokąd poszedłbyś o tej porze? - rzucił Banks.

Mark wzruszył ramionami.

Bridges spojrzął na Banksa.

- Usiłowanie kradzieży z włamaniem?

- Wystarczy na początek. I dopilnujcie, żeby go obejrzał jakiś lekarz, dobrze? Porozmawiamy z nim jutro.

- Okej - zgodził się Bridges. - Ostrożnie tam na miejscu. Lekarz już poszedł, ale fotograf chyba jeszcze nie skończył. Technicy kryminalistyczni też jeszcze robią oględziny. Ledwie się dało wyciągnąć z łóżka tych leniwych gnojów.

- Wygląda to raczej ponuro - uprzedził Blackstone, kiedy razem z Banksem szli po pluszowej wykładzinie korytarzem na tyły domu.

Banks przypomniał sobie pogorzeliśko na barkach i w przyczepie Gardinera. Nie spodziewał się, że za chwilę zobaczy coś gorszego. A już na pewno widok nie mógł być potworniejszy od tego, co zobaczył wiele lat temu w tamtym wysokim i wąskim szeregowcu.

- Z domu do gabinetu prowadzą tylko te jedne drzwi - ciągnął Blackstone, przekraczając gałkę. - Jest oczywiście osobne wejście z zewnątrz, które prowadzi do małej poczekalni dla pacjentów, w większości prywatnych, którzy skłonni są zapłacić ekstra za staromodny urok. Założę się, że doktor miał także wizyty domowe.

Kiedy Blackstone otworzył drzwi gabinetu, oczom Banksa ukazał się widok, który niewiele miał wspólnego ze staromodnym urokiem.

Bez wątpienia przyczyną nie był pożar. Nawet mimo niewielkich śladów ognia i resztek piany rozpylonej, żeby go ugasić, było wyraźnie widać, że ściany oraz podłogę pokrywa krew, i że to krew z ciała Patricka Asperna, który leżał na podłodze z rozkrzyżowanymi ramionami. Żaden lekarz nie zdołałby mu pomóc: rozerwany przód jego ciała wyglądał jak lśniący gobelin z mięśni, organów wewnętrznych, chrząstek i kości.

Banks spojrział na Blackstone'a, który wyglądał raczej nietęgo.

- Strzelba? - powiedział. - Prawie z przyłożenia? Z obydwu łuf?
- Właśnie tak. Garry już ją zabezpieczył i opisał.
- Jezu Chryste! - mruknął pod nosem Banks.

W takim małym pomieszczeniu siła wystrzału musiała być potężna. Nawet teraz czuł zapach prochu zmieszany z odorem spalonej gumy, spirytusu chirurgicznego oraz porozrywanego ciała. Banks mógł sobie tylko wyobrazić ogłuszający huk i fontanny krwi tętniczej oraz oderwane od kości kawałki mięśni, które osuwały się po ścianach, zostawiając maziste smugi. Nawet plansza do badania wzroku spryskana była krwią, podobnie jak strzykawka do iniekcji podskórnych na podłodze przy krześle.

- Kto to zrobił? - zapytał Banks.

- Zdaje się, że jego żona - odpowiedział Blackstone. - Ale jeszcze nie mówi.

- Frances? Gdzie ona jest?

- Na komendzie.

- Chłopak też znajdował się w tym pomieszczeniu? Znaczy Mark.

- Tak.

- Co miał do powiedzenia na swoje wytłumaczenie.

- Nic. Sam widziałeś. Chyba nie wyszedł jeszcze z szoku. Będziemy musieli chwilę poczekać, zanim uda nam się cokolwiek z niego wyciągnąć.

Banks milczał przez kilka chwil, rozglądając się po gabinecie. Krwawa jatka w dosłownym tych słów znaczeniu. Na podłodze przy

krzesła lekarza dostrzegł kilka kawałków sznurka.

- Co to jest? - zapytał.
- Sądzymy, że chłopak był przywiązany do krzesła.
- Dlaczego?
- Jeszcze nie wiadomo. Ale rozciąć więzy musiała pani Aspern.
- A pożar?
- Nie zdążył się jeszcze rozprzestrzenić, kiedy chłopak chwycił

za gaśnicę. Sam widzisz.

Wskazał na wypalony kawałek dywanu. Ślad po ogniu rozciągał się aż do schowka na historii choroby pacjentów i śnieżnobiałego, choć osmalonego nakrycia leżanki dla pacjenta.

- Kto podpalił?
- Wygląda na to, że także żona.

Frances Aspern. Zapewne znalazła się u kresu wytrzymałości, pomyślał Banks. Jeśli działo się to, co podejrzewał, a ona o tym wiedziała, mógł się tylko domyślać, jak silne emocje tłumila przez wszystkie te lata, jak bardzo spaczona i niebezpieczna się one stały. Coś jednak musiało je wyzwolić. Coś pchnęło ją do działania. Może później wyciągną coś od Frances albo od Marka.

Otworzyły się drzwi wejściowe, wpuszczając podmuch lodowatego nocnego powietrza.

- Przepraszam, panowie - powiedział fotograf, poklepując swojego pentaxa. - Skończyłem wideo i musiałem wrócić do samochodu po to.

Wydawało się, że na młodym fotografie krwawa masakra nie robi większego wrażenia. Banks widział takie zachowanie już wcześniej. Wiedział, że fotografom często udaje się zdystansować od tego, co widzą przez obiektyw aparatu. Wtedy miejsce zbrodni jest dla nich kolejną fotografią, obrazem, kompozycją, a nie prawdziwą krwią i trzewiami człowieka. Tak radzą sobie z trudną sytuacją.

Banks zaczął się zastanawiać, jakie on stosuje sposoby, żeby radzić sobie w podobnych okolicznościach, i doszedł do wniosku, że żadnych. We wszystkich drastycznych scenach widział dokładnie to,

czym były: wybuch złości, nienawiści, pożądania albo namiętności, który masakruje i rozrywa ludzkie ciało, rozpruwa ten delikatny worek na krew. Banks nie wypracował sobie żadnej metody, żeby się do tego zdystansować, a mimo to przesypiał całe noce, nie mdlał ani nie rzygał nikomu na buty. Jak to o nim świadczyło? Oczywiście pamiętał wszystkie ofiary, młode i stare, a w jego snach czasem się pojawiały koszmary, czasem też nie mógł zasnąć z powodu obrazów, które atakowały jego umysł. Jakoś jednak z tym żył. Kim więc się stał?

- Alan?

Banks odwrócił się i zobaczył, że Ken Blackstone przygląda mu się spod zmarszczonych brwi.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Co powiesz na moją kanapę?

- Chętnie - zgodził się Banks z westchnieniem. - Do domu mam cholernie daleko, a jestem wykończony. Znajdziesz jakąś przyzwoitą whisky?

- Myślę, że kropelka bell's się znajdzie. Albo dwie.

- W sam raz wystarczy - stwierdził Banks. - Niech detektyw Bridges wszystko ogarnie, a my jedźmy. Zabierzemy się za to jutro.

Annie była w pracy wcześniej, mimo lekkiego kaca i praktycznie nieprzespanej nocy. Phil odebrał prace Turnera i pojechał do Londynu, najpierw jednak podwiózł ją pod samo wejście do Komendy Policji Obszaru Zachodniego. Przygotowała dzbanek mocnej kawy i usiadła do zaległej roboty papierkowej. Już zaczynała się napawać ciszą i spokojem wczesnego poranka, kiedy pokój wydziału do spraw poważnych przestępstw zaczął się budzić do życia. Posterunkowy Rickerd przyszedł pierwszy, Winsome zaraz po nim. Potem zaczęli się kręcić Kevin Templeton i pozostali, załatwiając drobne sprawy, których nie brakuje podczas poważnego śledztwa. Annie czuła się skrępowana tym, że ma na sobie ten sam strój, w którym poprzed-

niego wieczoru poszła na kolację, nikt jednak tego nie zauważył, a przynajmniej nic nie powiedział. Dobrze, że nie było Banksa. Potrafiła sobie wyobrazić, jakim spojrzeniem by ją obdarzył. Czasem miała wrażenie, że Banks rozpoznaje węchem, że była w łóżku z facetem, chociażby nie wiem jak długo stała potem pod prysznicem.

Krótko po dziewiątej pojawił się posterunkowy Templeton, z podnieceniem wymachując kartką papieru.

- Znalazłem! - krzyczał. - Znalazłem!
- Alleluja! - odrzekła Annie. - Co znalazłeś.
- Powiązanie między McMahonem i Gardinerem.

Annie poczuła, jak podniecenie wywoływane każdym poważnym przełomem w śledztwie przetacza się przez pokój, niczym pierwsze tchnienie wiosny. Wszyscy poświęcali śledztwu długie godziny i taka chwila była dla każdego nagrodą, nawet jeśli nad przełomowym wątkiem nie pracowali.

- To mów, co masz, Kev - zachęciła.
- Studiowali razem - oznajmił Templeton. - To znaczy, wtedy nie był to uniwersytet, ale teraz jest.
- Powoli, Kev - mitygowała go Ann.

Templeton przeciągnął dłonią po swoich falujących, brązowych włosach. Miał na nich jakiś żel, zauważyła Annie, po którym wyglądały jak mokre, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Kevin Templeton zawsze o sobie dbał. Był przystojnym, wysportowanym i schludnym facetem, który zapewne nieźle sobie radził z dziewczynami. Roztaczał chłopięcy urok, trochę jak Hugh Grant, co mogło rozbudzać matczyne instynkt, miał jednak tego uroku akurat tyle, żeby czynił z niego atrakcyjnego partnera dla określonego typu kobiet. Nie Annie. Ona nie zaliczała się do tych, które by chciały matkować swojemu facetowi.

- Już wyjaśniam - podjął. - Między tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym a osiemdziesiątym pierwszym rokiem zarówno Thomas McMahon, jak i Roland Gardiner studiowali na Politechnice Leeds, która od 1992 roku nosi nazwę Leeds Metropolitan University.



W tamtych latach uczelnia składała się z akademii sztuk pięknych, szkoły handlowej, instytutu inżynierii oraz szkoły gastronomicznej. Thomas McMahon studiował na akademii sztuk pięknych, a Roland Gardiner - w szkole handlowej.

- Znali się?

Templeton podrapał się w czoło.

- Tego nie wiem, proszę pani. Ustaliłem tylko, że obydwaj studiuwali tam w tym samym czasie.

Winsome rzuciła Annie znaczące spojrzenie. Annie odpowiedziała uśmiechem. Pewnego dnia także Templetonowi wybije z głowy ten rutynowy sposób zwracania się do niej. Dopiero musiała się czuć jak matrona, słysząc te dwa słowa z ust przystojnego młodego mężczyzny.

- Mało prawdopodobne, żeby studenci szkoły handlowej i akademii sztuk pięknych mieli wspólne zainteresowania - rzekła Annie. - Raczej niemożliwe, żeby mieli wspólne zajęcia.

- Wspólnych przedmiotów może nie mieli, ale przecież na tym się nie kończy studiowanie, prawda? - bronił się Templeton. - Są jeszcze puby, organizacje studenckie, koncerty. Politechnika Leeds zawsze miała świetne kapele. Możliwe, że się poznali w taki właśnie sposób.

- „Możliwe” nie wystarczy, Kev. Jeśli mamy ich powiązać, musimy wiedzieć na pewno. Trzeba ustalić, z kim się zadawali. Istnieje spora szansa, że morderca poznał ich właśnie wtedy, być może więc należał do tego samego kręgu znajomych. Raczej nie uwierzę, że dwaj mężczyźni zamordowani jeden po drugim w taki sam sposób tylko przypadkiem studiowali na tej samej uczelni. Ale potrzebujemy konkretnego powiązania, jeśli takie istnieje. Jest jeszcze świętej pamięci William Masfield. Co łączyło go z pozostałymi, jeśli w ogóle cokolwiek?

- Zawsze mogę się wybrać do Leeds. Jestem pewien, że uniwersytet ma archiwa z tamtych lat.

- I co potem? Będziemy sprawdzać każdego, kto studiował na

Politechnice Leeds między siedemdziesiątym ósmym a osiemdziesiątym pierwszym rokiem? To jak szukanie igły w stogu siana.

- Zna pani jakiś inny sposób?
- Ja mam pomysł - wtrąciła się Winsome.

Annie i Templeton spojrzeli na nią.

- Mów - zachęciła ją Annie.
- Friendsreunited kropka com. Mam tam profil. Już wcześniej używałam tego portalu, żeby odnaleźć różnych ludzi. Oczywiście można dotrzeć tylko do tych, którzy zadali sobie trud, żeby się zarejestrować, ale jest szansa, że ktoś z nich przypomni sobie McMahona albo Gardinera. Za pośrednictwem portalu do każdego, kto skończył Politechnikę Leeds w osiemdziesiątym pierwszym roku, możemy wysłać wiadomość z pytaniem, czy znał któregoś z nich. Zobaczymy, co przyjdzie w odpowiedzi. W dzisiejszych czasach ludzie są podłączeni do Internetu właściwie bez przerwy, jeśli więc dopisze nam szczęście, to nawet szybko czegoś się dowiemy.

- Warto spróbować - ocenił Annie, wstając z miejsca. - Zabieramy się do pracy.

Pokój przesłuchań praktycznie niczym się nie różnił od wszystkich, które Banks widział w swojej karierze: mały, wysokie zakratowane okno, lampa ze zwyczajnym kloszem i metalowy stół przykręcony do podłogi. Tylko tradycyjna zielona farba wyglądała świeżo i Banks miał wrażenie, że w zastałym powietrzu wyczuwał jeszcze jej woń. Albo ten zapach, albo whisky, którą wypił z Kenem Blackstone'em poprzedniej nocy, przyprawiały go o ból głowy. Rozmasował skronie.

Frances Aspern siedziała naprzeciwko Banksa i detektywa Gar/ego Bridgesa, który nie tylko miał ten sam garnitur co w nocy, ale jeszcze wyglądał, jakby w nim spał. Ubrana w jednorazowy granatowy kombinezon pani Aspern sprawiała wrażenie apatycznej i osowiałej. Wyglądała dużo starzej niż wtedy, kiedy Banks widział ją pierwszy raz. Sińce pod oczami kazały przypuszczać, że nie spała całą noc. Bawiła się pierścionkiem, ale obrączka zniknęła z jej palca.

- Czy jest pani gotowa, żeby z nami rozmawiać? - zapytał Bridges, gdy już włączył nagrywanie i wyrecytował standardową formułkę.

Frances skinęła głową, patrząc na nich nieobecny wzrokiem.

- Proszę udzielać odpowiedzi głośno - pouczył ją Bridges.

- Tak - powiedziała słabym głosem. - Przepraszam.

- Co się wydarzyło wczorajszego wieczoru?

Z udzieleniem odpowiedzi Frances zwlekała tak długo, że Banks zaczął się zastanawiać, czy usłyszała pytanie Bridgesa.

W końcu jednak zaczęła mówić.

- Spaliśmy. Patrick usłyszał jakiś hałas na parterze. Wziął strzelbę z szafki na broń i zszedł na dół.

Jej głos był monotony, pozbawiony emocji, jakby opowiadała o rzeczach, które zupełnie jej nie interesują.

- Co się stało później?

- Czekałam. Bardzo długo. Ale nie wiem dokładnie ile. Zeszłam na dół. Chciał skrzywdzić tego chłopca, wzięłam więc jego strzelbę i go zastrzeliłam. Potem uwolniłam chłopca i powiedziałam mu, że może iść.

- A pożar? - zapytał Bridges.

- Ogień oczyszcza - odpowiedziała. - Chciałam oczyścić dom.

- Czego pani użyła do wszczęcia pożaru?

- Alkoholu do dezynfekcji ran. Był na stole.

- Co potem?

- Chłopiec wrócił i ugasił ogień. Mówiłam mu, żeby tego nie robił, on mnie jednak nie słuchał. Później kazał mi usiąść i zatelefonował na policję. Czułam się taka zmęczona, że było mi wszystko jedno, co się stanie, ale nie mogłam zasnąć.

- Pytam, ponieważ usiłuję panią zrozumieć, Frances - wyjaśnił Bridges. - Dlaczego zabiła pani swojego męża?

Frances spojrzała na Banksa, nie na Bridgesa, a jej oczy zaszyły łzami.

- Ponieważ chciał skrzywdzić tego chłopca.

- Chciał skrzywdzić Marka? - Pytania zadawał Bridges, ale Frances nie odrywała wzroku od Banksa.

- Tak - potwierdziła. - Patrick jest okrutnym człowiekiem. Musi pan to wiedzieć. Zamierzał wyrządzić mu krzywdę. Chłopiec był przywiązany do krzesła.

- Ale dlaczego chciał skrzywdzić Marka? - ciągnął Bridges.

Frances powoli odwróciła do niego głowę, wciąż bawiąc się pierścieniem na swoim palcu.

- Z powodu Christiny - wyjaśniła. - Chłopiec mu ją odebrał. Patrick nie potrafił się pogodzić ze stratą.

Banks poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa. Bridges spojrzał na niego zdezorientowany.

- Inspektorze Banks, zna pan tło tej sprawy - powiedział. - Ma pan jakieś pytania?

Banks zwrócił się do Frances Aspern.

- Twierdzi pani, że mąż chciał skrzywdzić Marka, ponieważ Mark mieszkał na barce razem z Christina, czy tak?

- Tak.

- Czy mąż pojechał na barkę w ubiegły czwartek wieczorem? Czy to on ją podpalił?

Frances gwałtownie podniosła wzrok, zaskoczona.

- Nie - zaprzeczyła. - Byliśmy w domu. Akurat w tej sprawie mówiłam prawdę.

- Ale mąż wykorzystywał seksualnie Christine?

Z oczu kobiety polały się łzy i potoczyły po policzkach, ale nie łkała ani nie zawodziła.

- Tak - powiedziała.

- Jak długo?

- Odkąd skończyła dwanaście lat. Kiedy... no wie pan, zaczęła się rozwijać. Nie potrafił przestać jej dotykać.

- Dlaczego Christina go nie powstrzymała? Musiała przecież wiedzieć, że to złe. Mogła zgłosić sprawę władzom.

Frances wytarła policzki rękawem kombinezonu i spojrzała na

Banksa tak, jakby chciała go zapytać „Co ty tam wiesz?”.

- Nie знаła innego ojca. Był dla niej surowy, kiedy dorastała. W każdej sytuacji. Panicznie się go bała. Nigdy by się nie odważyła okazać mu nieposłuszeństwa.

- Wiedziała pani o seksualnym wykorzystywaniu córki od początku?

- Tak. W każdym razie dowiedziałam się bardzo wcześnie.

- Jak się pani dowiedziała?

- Nietrudno się zorientować, kiedy się jest cały czas na miejscu.

Poza tym...

- To samo zdarzyło się także pani?

- Skąd pan wie?

- Zgaduję.

Odwróciła wzrok.

- Próbowalam powiedzieć tacie, ale nie mogłam. I tak by nie uwierzył, a nawet gdyby, to złamałabym mu serce.

- Nie zrobiła więc pani nic również w sprawie Christiny?

- Jak bym mogła? Też się go panicznie bałam.

- Mimo wszystko, z takim doświadczeniem, to przecież pani własna córka...

Walnęła w stół dłonią.

- Nie ma pan pojęcia, jak okrutny potrafił być Patrick! Najmniejszego pojęcia!

- Bił panią? Albo Christine?

Pokręciła głową.

- Nie. To, co robił, było znacznie gorsze. Zimne i wyrachowane.

- Ale co?

Frances wpatrywała się w miejsce na ścianie nad głową Banksa.

- Znał się na chemikaliach. - Parsknęła śmiechem. - Oczywiście, że się znał, przecież był lekarzem, prawda?

- Co pani ma na myśli?

Spojrzała prosto na Banksa z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Patrick miał dostęp do narkotyków. Nie nielegalnych. Tych na

receptę. Wiedział, które usypiają. Wiedział, które nie pozwalają zasnąć. Które sprawiają, że serce tłucze się po klatce piersiowej jak wylękniony ptak. Wiedział, które powodują nudności, a po których co chwila biega się do łazienki. Po jeszcze innych swędzi skóra i wysycha w ustach.

Banks zrozumiał, choć wolałby tego nie wiedzieć. Spojrzał na Bridgesa, który zrobił się o ton bledszy. Banks zaczynał myśleć, że widział i słyszał już wszystko, że dokopał się do dna ludzkiej duszy, zgłębił jej najciemniejszą stronę, mimo to pozostając przy zdrowych zmysłach, teraz jednak pojawiło się coś, co rozwiało to przekonanie.

- Już pan rozumie? - stwierdziła Frances Aspern z nutką triumfu w głosie. - Ale nawet nie to było najgorsze. Ból i okrucieństwo potrafiłabym znieść.

- Co więc było najgorsze? - zapytał Banks.

- Mój ojciec. Uwielbiał Patricka. Zresztą wie pan o tym, bo pan z nim rozmawiał. Telefonował do nas zaraz po pańskiej wizycie. Jak mogłam mu powiedzieć? Gdybym się odważyła, to albo by mi nie uwierzył, albo złamałabym mu serce.

- Czyli w imię zaufania pani ojca do Patricka Asperna pozwalała pani mężowi wykorzystywać zarówno siebie, jak i córkę? Czy to chce pani powiedzieć?

- Cóż innego miałam robić? Nie rozumie pan? Gdyby się wydało, jakim człowiekiem jest Patrick, co nam robił, mój ojciec by tego nie przeżył. Nie ma tyle siły.

Banks pomyślał, że starszy pan wyglądał całkiem zdrowo, ale przecież pozory mylą. Nie było jednak sensu pytać dalej o ten wątek. Frances Aspern wiedziała, jak potwornej zbrodni się dopuściła, bez względu na powody, i rozumiała, że musi teraz ponieść konsekwencje.

- Co z Paulem Ryderem? - zapytał Banks.

- Kim?

- Paulem Ryderem. Biologicznym ojcem Christiny, pamięta pani? Nie udało nam się go odnaleźć.

Frances spuściła wzrok na blat stołu i przesunęła palcami po jego nierównej powierzchni.

- Nie było żadnego Paula Rydera, prawda? - kontynuował Banks.  
Odpowiedziała, nieznacznie kręcąc głową.

- Patrick był ojcem Christiny, czy tak?

- Tak - potwierdziła, nadal wpatrzona w blat stołu.

- Pamięta pani nasze pierwsze spotkanie, kiedy Patrick chciał zawieźć panią do Eastvale na identyfikację zwłok?

Frances tylko na niego spojrzała.

- Powiedziała pani wtedy: „To moja córka!”. Uznałem, że chce mu pani pokazać, gdzie jego miejsce, że jest tylko ojczymem Christiny. Chodziło jednak o coś innego?

- Gdy żyje się w kłamstwie dostatecznie długo, zaczyna się w nie wierzyć - stwierdziła Frances głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Banks pozwolił, by przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko cichym buczeniem magnetofonu oraz przytłumionymi odgłosami zza ściany. Spojrzał na Bridgesa, który powoli pokręcił głową.

- Przerwijmy na razie przesłuchanie - zaproponował Banks.  
Bridges skinął głową i wyłączył magnetofon.

- Alan znowu wyjechał? - zapytał Stefan Nowak, wsuwając głowę do pokoju operacyjnego tuż przed porą lunchu.

- Kolejny pożar - odparła Annie. - Tym razem w Leeds. Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon. Okazuje się, że pani doktorowa Aspern zastrzeliła swojego męża i próbowała podpalić zwłoki.

Stefan gwizdnął przez zęby.

- No właśnie - rzuciła Annie. - Masz coś dla nas?

- Możliwe. - Stefan wszedł do środka i usiadł naprzeciwko Annie: jak zawsze przystojny i arystokratyczny, jak zawsze nieodgadniony i zachowujący dystans. Nie po raz pierwszy Annie zaczęła się zastanawiać nad jego życiem prywatnym. Czy miał przyjaciół spoza policji? Rodzinę? Czy był gejem? Tego w nim nie wyczuwała, ale

przecież nie po raz pierwszy by się pomyliła.

Stefan otworzył teczkę, którą ze sobą przyniósł.

- Mam zacząć od złej czy od dobrej wiadomości? - zapytał.

- Wszystko mi jedno - odparła Annie.

- No cóż, oprócz próbek ziemi i żwiru, które pasują do tych z zatoczki parkingowej koło miejsca zbrodni, nie znaleźliśmy w jeepie cherokee kompletnie nic. Wypożyczalnia cholernie dobrze się spisała, czyszcząc go na zewnątrz i od środka. Owszem, trafiliśmy na jakiś włos, kilka włókien oraz częściowy odcisk palca pod siedzeniem, ale był już rozmazany. Może się uda obrobić go komputerowo, nie liczyłbym jednak na wiele.

- Mniej więcej tego się spodziewałam - oznajmiła Annie. - Nie byłabym zaskoczona, gdyby także zabójca starannie wyczyścił auto, zanim je zwrócił. Zdaje się, że to bardzo skrupulatny typ.

- Zbadaliśmy próbkę benzyny z jeepa cherokee Lesliego Whittakera i porównaliśmy wynik z materiałem łatwopalnym, którego użyto w przyczepie Gardinera.

- I?

- Nie pasuje.

- Cholera - mruknęła Annie.

- Ale mamy odlew całkiem charakterystycznej podeszwy butów Nike. Jeśli sprawca ich nie wyrzucił, na pewno da się zidentyfikować, kiedy znajdziemy podejrzanego.

- To była dobra czy zła wiadomość?

Stefan uśmiechnął się.

- To może się okazać nieważne, ale tuż obok ogniska pożaru w przyczepie Gardinera znaleźliśmy ślady wosku.

- Czy to ma znaczyć, że spędzał nastrojowy wieczór?

- Nie - zaprzeczył Stefan. - Nie to najpierw przychodzi na myśl. Przynajmniej nie mnie. Może jestem cynikiem, ale widzę to całkiem inaczej.

- Żartowałam - powiedziała. - Zresztą nieważne. Czy przy dziewczynie, która zginęła na barce, także nie znaleziono świecy?



- Tak - potwierdził Stefan. - Ale sytuacja była inna. Pożar nie zaczął się na tamtej barce i było raczej jasne, że użyła świeczki do przygotowania heroiny, którą sobie wstrzyknęła. Poza tym jej chłopak wyraźnie stwierdza w zeznaniu, że zdmuchnął płomień świeczki, zanim wyszedł.

- Mark Siddons? Nie rozumiem, dlaczego wszyscy natychmiast wierzą w każde jego słowo. Przecież równie dobrze mógł kłamać.

- W każdym razie tutaj chodzi raczej o coś innego.

- Chyba wiem, do czego zmierzasz.

- Właśnie. Wygląda na to, że ktoś użył prymitywnego mechanizmu opóźniającego powstanie pożaru. To się zdarza przy podpaleniach.

- Czyli zabójca najpierw usypia Gardinera, a następnie rozlewa benzynę, zapala świeczkę i wychodzi?

- Po czym godzinę albo dwie godziny później świeczka się wypala, płomień styka się z benzyną i bum! Wszystko staje w płomieniach.

- Możesz określić, ile to trwało?

- Gdybyśmy ustalili, jakiej marki i długości była świeca, to tak, przy założeniu, że wcześniej jej nie używał. Ale nie wstrzymuj oddechu, nie bardzo mamy na czym się oprzeć.

- Szacunkowo?

- Zwyczajna świeca domowa ma około dwóch centymetrów i dwudziestu milimetrów średnicy i spala się w tempie dwa i pół centymetra na godzinę, jeśli nie ma przeciągu.

- Przyczepa nie była raczej wolna od przeciągów?

- Zgoda, ale tamtej nocy prawie nie było wiatru - powiedział Stefan. - W każdym razie piętnastocentymetrowa świeca paliłaby się przez mniej więcej sześć godzin, zanim doszłoby do zapłonu.

- Skąd zabójca miał pewność, że Gardiner pozostanie nieprzytomny przez tak długi czas?

- Nie miał. Przecież to mógł być ogarek, Annie. Centymetr albo dwa. Pół godziny, góra godzina.

- Równie dobrze trzy albo cztery?
- Niestety. Równie dobrze mogła to być gruba świeca, która się wypala o wiele wolniej. Poddajemy wosk wszystkim możliwym testom, ale jak mówiłem, nie rób sobie wielkich nadziei.
- A barka Thomasa McMahona? Znaleźliście tam coś?
- Żadnych śladów wosku. Jakby ten pożar został wywołany bez opóźnienia.
- W odróżnieniu od pożaru przyczepy? - upewniała się Annie.
- Tak.
- Czy tak użyta świeca jest bardzo zawodna?
- Wyjątkowo. To metoda prymitywna oraz zupełnie nieprzewidywalna. I oczywiście niebezpieczna. Właściwie wszystko może się nie udać. Można przypadkowo podpalić rozlaną benzynę, kiedy się zapala świecę. Albo przeciąg może zapaloną świecę zgasić po wyjściu sprawcy. Albo świeca się przewróci i wywoła pożar wcześniej. Właściwie świeca to amatorszczyzna, ale bywa skuteczna. Przykro mi, że nie mam nic więcej, ale przecież coś nam ta informacja mówi.
- Owszem - przyznała Annie, zastanawiając się już nad implikacjami tego odkrycia. - To oznacza, że ktokolwiek wywołał drugi pożar, potrzebował czasu, żeby sobie zapewnić alibi. A który z naszych podejrzanych ma żelazne alibi?

Stefan zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Leslie Whitaker?
- Otóż to.
- Tylko co z benzyną?
- Okazał się na tyle bystry, żeby spuścić paliwo z cudzego samochodu. Może wiedział, że mamy możliwość identyfikacji. Nie widzisz, że to ma sens? Naprawdę, Stefan. Whitaker zeznał, że o dwudziestej pojechał do Harrogate na kolację z dziewięcioma innymi księgarzami. Oni to potwierdzili. Wiemy, że Whitaker dostarczał Thomasowi McMahonowi papier potrzebny do fałszowania obrazów. Działali wspólnie. Praktycznie sam się do tego przyznał. Głównym powodem, dla którego wykluczyliśmy Whitakera, było żelazne alibi

na czas pożaru przyczepy na Jennings Field, ale nie na barkach.

- Użycie świeczki do opóźnienia pożaru przekreśla jego alibi?  
- Tak - powiedziała Annie. - Skoro o dwudziestej pojawił się na tej kolacji w Harrogate, to musiał wyjechać z Eastvale albo Lyngarth, gdzie mieszka, około dziewiętnastej. Ale przecież mógłby użyć kilkucentymetrowej świeczki, żeby zyskać godzinę lub więcej przed powstaniem pożaru?

- Z łatwością, przy założeniu, że wszystko poszło zgodnie z jego planem.

- Tym razem poszło - stwierdziła Annie. - Wezwiemy go na przesłuchanie, a wtedy go dopadniemy!

Po przesłuchaniu Frances Aspern Banks poszedł po kawę do kantyny i przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Dicka Burgessa. Znalazł puste pomieszczenie i sięgnął po telefon komórkowy.

- Nareszcie! - powiedział Brudny Dick. - Od samego rana zostawiam ci wiadomości w Eastvale.

- Mamy tu mały kryzys - wyjaśnił Banks, po czym krótko zrelacjonował wydarzenia nocy i poranka. - Ale do rzeczy. Co masz?

- Niestety niewiele. Biznes całkowicie legalny. Działalność jednoosobowa. Żadnych wspólników, żadnych pracowników. Philip Keane jest szanowany i popularny w świecie sztuki. Liczą się z jego wiedzą, ma znajomych i przyjaciół wśród najważniejszych w branży handlarzy, kolekcjonerów, właścicieli galerii i tak dalej. Może to nie Anthony Blunt, ale coś koło tego.

- Blunt? - zdziwił się Banks. - Skąd to porównanie? Chodzi ci o tego szpiega? Philby, Burgess i MacLean i on, czy tak?

- Tak - potwierdził Burgess. - Ale też jako rzeczoznawca wyceniał obrazy ze zbiorów królowej i kierował Courtauld Institute.

- Rzeczywiście - powiedział Banks. - Pamiętam. Interesujące. Był mistrzem sztuki oszustwa. Coś jeszcze?

- Nic. Philip Keane prowadził przykładne życie. Przynajmniej przez ostatnie cztery lata.

- Cztery lata? A przedtem?
- W tym szkopuł. Przedtem nie ma nic. Zero. Nul.
- Co masz na myśli?
- To, że cztery lata temu zaistniał kompletnie uformowany, jak Atena w chwili narodzin z głowy Zeusa. I nawet nie myśl o tym, żeby mi dokuczać z powodu antycznych porównań. Skończyłem filologię klasyczną na Oksfordzie.

- Chrzanisz! Ale mów dalej, zaciekałeś mnie.
- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Ślad się urywa. Jakby przed czterema laty Keane nie istniał.

- Przecież musiał się gdzieś urodzić.
- Oczywiście. Chcesz, żebym posłał ludzi do Domu Świętej Katarzyny? A może sam mam się tam wybrać i pogrzebać w archiwach? Chyba nie zabierze mi to wiele czasu. Niech pomyślę... takie niezwykle nazwisko jak Philip Keane... Rozumiem, że dysponujesz datą urodzenia?

- W porządku, złapałem. Daruj sobie. Może Keane studiował i pracował w muzeach i galeriach za granicą? Może wcześniej nie było go w kraju?

- Niewykluczone. Na pewno da się to sprawdzić, przy odpowiednim nakładzie czasu i środków. Na ile oficjalnie mam działać?

Banks zastanawiał się przez chwilę. Nie chciał jeszcze wystąpić z tym oficjalnie, przynajmniej dopóki nie znajdzie czegoś konkretnego. Coś jednak przyszło mu do głowy.

- Możesz sprawdzić, czy jakiś Philip Keane był w jakikolwiek sposób powiązany z pożarem cztery lata temu i czy cokolwiek łączyło go z jakimś Williamem Masefieldem?

- Gdzie był ten pożar?
- Nie wiem, czy to ma sens - zaczął Banks, po czym opowiedział Burgessowi o skradzionej tożsamości Williama Masefielda. - Szukam po omacku, ale jeśli to rzeczywiście on, to mamy jakiś *modus operandi*. Niewykluczone, że ukradł tożsamość także w przeszłości.

- Czyli mam węszyć dalej?

- Jeśli możesz. Ale nadal dyskretnie. Ta sprawa i tak jest już zagmatwana. Sytuacja się zmienia z każdym porywem wiatru. Dobrze byłoby dla odmiany dostać jakieś solidne informacje.

- Na koniec mam dla ciebie pewną praktyczną radę - powiedział Burgess.

- Tak? A jaką?

- Porozmawiaj z jego żoną.

## Rozdział 16

- Mam nadzieję, że to ostatnie nasze spotkanie w takich okolicznościach - oznajmił Banks.

Mark Siddons jęknął i usiadł.

- Jak się czujesz? - zapytał Banks.

- Nawet nieźle. Tylko jestem trochę zmęczony. I mam wrażenie, jakby ktoś wypchał mi głowę mokrą watą.

- Zapewne skutek środka, który Aspern podał ci wczoraj wieczorem. Jesteś gotowy, żeby z nami rozmawiać? - Banks i Bridges ustalili wcześniej, że to głównie Banks będzie zadawał pytania, ponieważ już wcześniej przesłuchiwał chłopaka i znał podłoże sprawy.

- Jeśli pan chce. Mogę dostać najpierw trochę wody?

Banks zwrócił się do funkcjonariusza przy drzwiach i ten przyniósł dzbanek oraz trzy szklanki. Mark napełnił swoją; Bridges nie pił niczego, a Banks został przy kawie.

- Oskarżycie mnie? - zapytał Mark.

- O co?

- Włamanie.

Banks spojrzał na Bridgesa.

- To zależy - stwierdził Bridges.

- Od czego?

- Od tego, na ile będziesz z nami współpracował.

- Posłuchaj, Marku - dodał Banks. - Wiemy, że to ty ugasiliś ogień oraz wezwałeś policję i straż pożarną, a następnie czekałeś z panią Aspern na ich przyjazd. To działa na twoją korzyść. W tej chwili nie jesteś o nic oskarżony, ale lepiej opowiedz nam, co się wydarzyło. Zgoda?

- Mogę zapalić?

W placówkach policyjnych już nie wolno było palić, ale Bridges wyjął paczkę silk cutów i poczęstował Marka. Sam też zapalił.

Banks nie poczuł ochoty na dymka, raczej lekkie mdłości, kiedy uniósł się dym. Próbował nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał od Dicka Burgessa. I konsekwencjach dla Annie. Przynajmniej na razie. Dostał londyński adres, pod którym Keane mieszkał ze swoją żoną Helen. Sprawdził już godziny odjazdu pociągów z Leeds. Załatwi sprawę z Markiem, po czym pojedzie do Londynu popołudniowym pociągiem. Spotka się z tą kobietą i spróbuje z nią porozmawiać, żeby wyjaśnić, co się da. Teraz jednak musiał się skupić na Marku Siddonsie oraz Frances Aspern.

- Zanim zaczniemy, chciałbym dostać odpowiedź na jedno pytanie - powiedział Bridges.

- Jakie? - zapytał Mark.

- Chodzi o alarm. Jak go rozbroiłeś?

Mark opowiedział im o planie Tiny, dzięki któremu nauczył się na pamięć kombinacji cyfr.

- Teraz rozumiem - stwierdził Bridges, patrząc na Banksa. - Twoja kolej.

- O której wszedłeś do domu Aspernów? - zaczął Banks.

- Nie wiem. Ale było już późno. Wyszedłem z pubu tuż przed zamknięciem, a potem przez chwilę zwlekałem, kręcąc się po okolicy, zanim tam dotarłem.

- Z czym zwlekałeś?

- Nie wiem. Miałem w głowie tylko jedno, że idę w złą stronę i że to wszystko nie ma już sensu.

- Wszystko, czyli co?

- Scarborough i cały ten wyjazd. Facet w samochodzie. Gliniarze po cywilnemu wtedy nad morzem. Wszystko wydarzyło się właśnie dlatego, że szedłem złą drogą. Powinienem być wyruszyć do Adel, nie do Scarborough. Wiedziałem, że nic nie zrobię ze swoim życiem, dopóki nie stanę z nimi twarzą w twarz.

- Co się wydarzyło w samochodzie tego faceta? - zapytał Banks.  
- Nic - skłamał Mark. - Chciał... No wie pan, składał mi różne propozycje. Powiedziałem mu, że nic z tego nie będzie, a on zatrzymał samochód i kazał mi wysiadać.

Banks nie uwierzył. Była przecież jeszcze sprawa tajemniczych dwustu funtów, ale postanowił ją sobie darować. Albo Mark ustąpił i zarobił te pieniądze własnym ciałem, albo je ukradł. W każdym razie nie wpłynęło żadne doniesienie, o ile Banks wiedział, lepiej więc było sprawy nie ruszać. - Co zamierzałeś zrobić w Adel? - zapytał.

- Nie wiem. Nie miałem żadnego planu.

- W takim razie co zrobiłeś?

- Trochę za dużo wypilem w tym dużym pubie przy głównej drodze, chyba żeby sobie dodać odwagi. W każdym razie wszedłem do domu. Oni spali. Trochę się pokręciłem, zastanawiając się, co mam teraz robić, skoro już tam jestem. Czy powinienem wejść na górę i udusić tego bydlaka? A może jeszcze coś? Znalazłem butelkę, chyba brandy, i wypilem kilka łyków, siedząc w kuchni po ciemku i myśląc. A raczej usiłując myśleć. Nawet nie usłyszałem, jak przyszedł.

- Co się stało potem?

- Nie wiem. Poczulem ostry ból z boku głowy i wszystko znikło.

- A kiedy odzyskałeś przytomność?

Mark przerwał i zgasił papierosa. Spojrzał na detektywa Bridgesa, a ten westchnął i popchnął po stole paczkę papierosów. Mark jednak nie otworzył jej natychmiast, tylko obracał w dłoniach.

- Byłem w gabinecie. Paliły się wszystkie światła. On też tam był. Stał nade mną z tym jebanym uśmiezkiem na gębie.

- Patrick Aspern?

- Niby kto inny?

- Co robił?

- Nabierał morfinę do strzykawki. Wcześniej przywiązał mnie do krzesła, nie mogłem więc poruszać rękami, a w usta wepchnął mi knebel z waty, żeby nie krzyczał.

- Skąd wiedziałeś, że to była morfina?



- On tak powiedział. Urządził sobie taką zabawę. Chciał, żebym wiedział, co się ze mną stanie, żebym się tego bał tak długo, jak on będzie ciągnął swoją grę.

- Co jeszcze mówił?

- Że wstrzyknie mi śmiertelną dawkę morfiny, chociaż taki męć jak ja nie zasługuje na szybką i łagodną śmierć, że gdyby tylko mógł to zrobić po swojemu, tobym cierpiał znacznie dłużej. - Mark spojrział na Banksa. - Świetnie się bawił, naprawdę. Czuł władzę. Napawał się każdą minutą.

- Wierzę ci.

- Potem powiedział, że ogarniało go obrzydzenie na myśl o tym, że sypiam z jego córką, że ona była niewdzięczną zdzirą, która zasłużyła na śmierć, skoro go zdradziła i że teraz ja też umrę.

- Mówił o Tinie jako o swojej córce?

- Tak.

- Czy wspomniał, że jest odpowiedzialny za jej śmierć?

- Nie powiedział, że ją zabił, jeśli o to pan pyta.

- A coś na temat żony?

- Nie.

- W porządku. Mów dalej.

- Potem mówił, że nikt nie uрони nawet jednej łzy po takim śmieciu jak ja, kiedy mnie znajdą zaćpanego na śmierć w jakiejś ciemnej uliczce, w której mnie wyrzuci.

- Co było dalej?

Mark zapalił drugiego papierosa i odwrócił wzrok. Jego głos ści-chł.

- Zobaczyłem ją za jego plecami. Stała w drzwiach. Obserwo-wała nas. Słuchała. On nie miał pojęcia, że przyszła, ale ja ją wi-działem.

- Pani Aspern?

- Tak przypuszczałem.

- Nie widziałeś jej nigdy wcześniej?

- Nigdy.

- Nie odwiedzała Tiny na barce? Nie pojawiała się w tamtej okolicy?

- Nie. Chyba nawet nie wiedziała, gdzie to jest.

- Kontynuuj.

Mark przełknął ślinę, zwilżył usta wodą i mówił dalej.

- Potem on powiedział... Zaczął opisywać, co jej robił. To znaczy Tinie. Jak było jej dobrze, kiedy jej dotykał i w nią wchodził. Wyliczał wszystko, co mu robiła. Doprowadzał mnie do szału, ale nie mogłem się uwolnić ani krzyknąć. Nie mogłem zrobić nic, żeby go powstrzymać. Ona też cały czas słuchała. Jej twarz robiła się coraz bledsza. To było obrzydliwe... znaczy jego słowa. Owszem, Tina mówiła mi, że ją wykorzystywał, ale nie znałem takich szczegółów. Nigdy mi nie opisywała, co z nią robił. Chciałem zamknąć uszy, tak jak oczy, ale przecież się nie da. On przez cały czas miał na twarzy ten kpiący uśmiech i bawił się strzykawką, wypuszczając w powietrze mały strumień, jak czasem robią na filmach.

- Co zrobiła pani Aspern?

- Kiedy znów na nią spojrzałem, miała już w ręku strzelbę, którą on zostawił w drzwiach. Powiedziała, żeby mnie zostawił, bo nie zrobiłem niczego złego.

- Co on na to?

- Odwrócił się do niej i wybuchnął śmiechem. Tylko się roześmiał.

- Czy wtedy strzeliła?

- Nie. Kazał jej odłożyć strzelbę, bo i tak nie zdobędzie się na odwagę, żeby pociągnąć za spust, tak jak nie miała odwagi, żeby stanąć w obronie córki, bo jest słaba i tchórzliwa. Zwracał się do niej takim tonem, jakim się mówi do dziecka. Zaczął iść w jej kierunku z wyciągniętymi rękami, jakby się spodziewał, że odda mu strzelbę. Wtedy wypaliła.

- Pociągnęła za spust?

- Huk był ogłuszający. Jeszcze dudni mi w uszach. Ale siedziałem przywiązany do krzesła i nie mogłem ich zatkać. - Mark pokręcił

głową i potarł twarz dłońmi. - Potem... Cały byłem zalany krwią i oblepiony mazią... Nie wiem, jak to opisać... On jakby wybuchnął od środka. Pękł jak przekłuty balon, rozpryskując wnętrzności wszędzie dookoła, także na mnie. Okropnie śmierdziało. Zamknąłem oczy, ale nie mogłem zatkać nosa. Czułem proch i jego bebechy. Cuchnęło gównem. Wszędzie na sobie miałem kawałki jego ciała. Maziste i lepkie. - Mark zadrżał i opróżnił swoją szklanke. Trzęsącą się ręką dołączył sobie wody.

- Co się stało potem?

Mark głęboko się zaciągnął.

- Rozcięła więzy nożyczkami albo czymś innym i powiedziała mi, żebym wyszedł.

- Mówiła coś jeszcze?

- Nie. Tylko żebym wyszedł. Potem wzięła płyn, którym smarują skórę przed zastrzykiem. Wie pan? Stał na biurku, chociaż nie sądzę, żeby Aspern zamierzał używać go na mnie. - Mark roześmiał się ostro. - Jakie miało znaczenie, czybym się zakaził, skoro i tak chciał mnie zabić? Wychodziłem z pokoju, cofając się, a ona wylewała ten płyn na podłogę. To się chyba nazywa spirytus chirurgiczny. Czuć go było obok innych zapachów. Zbierało mi się na wymioty. W poczekalni dostrzegłem niedużą gaśnicę. Kiedy wróciłem do gabinetu, ogień już się palił, ale nie był duży. Płonął tylko wąski pas, gdzie rozlała spirytus. Z łatwością go ugasiłem.

- Co robiła pani Aspern, podczas gdy gasiłeś ogień?

- Nic. Nawet nie próbowała mnie powstrzymać, jeśli o to panu chodzi. Prawdę mówiąc, stała zupełnie obojętna. Chyba miała wszystkiego dosyć i po prostu się poddała. Upewniłem się, że ogień wygasł i zabrałem ją do sąsiedniego pokoju. Poszła ze mną potulna jak baranek, jak w transie. Potem zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście.

Banks i Bridges milczeli przez chwilę. Magnetofon nadal pracował, a Mark kończył papierosa. W końcu Banks zapytał:

- Chcesz coś dodać?

- Nie - odpowiedział chłopak.

Bridges zatrzymał taśmę.

- Co teraz zamierzasz? - Banks zapytał Marka.

- Oskarżycie mnie?

Banks spojrział na Bridgesa, a ten pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę, żeby prokuratura czegoś się tu doszukała - powiedział. - Zwolnimy cię. Ale jesteś ważnym świadkiem i prokurator koronny na pewno wezwie cię na rozmowę. Prawnicy pani Aspern także zechcą się z tobą spotkać. Musisz więc informować nas o swoim miejscu pobytu oraz stawiać się na żądanie.

Mark skinął głową.

- Wiem. Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy. Chyba wystarczy na nowe ubranie i jakiś dach nad głową na początek.

- Może wrócisz do Eastvale? Zadzwońisz do mojego znajomego w sprawie pracy przy renowacji kościoła? On zawsze chętnie przyjmie zdolnych ludzi na naukę zawodu.

- Nie wiem. Może wrócę. Ale teraz chcę trochę przestrzeni i trochę spokoju. Muszę jakoś wyrzucić z pamięci te potworne obrazy, oczyścić swoją głowę.

Powodzenia, pomyślał Banks, któremu mimo wieloletnich starań nie udało się oczyścić głowy z koszmarnych wspomnień.

Wyglądało na to, że Leslie Whitaker dał nogę. Antykwariat był zamknięty, a dom w Lyndgarth pusty. Przeklinając się w duchu za to, że nie kazała mieć na niego oko, Annie zainicjowała procedury poszukiwawcze.

Ale przynajmniej mieliśmy trochę szczęścia na portalu Friends Reunited, rozmyślała Annie, zatrzymując auto przed małym domem, do którego wybrały się z Winsome tego popołudnia. Elaine Hough mieszkała na przedmieściach Harrogate, gdzie kierowała kuchnią jednej z najlepszych restauracji w kurorcie. Nie tylko Elaine odpowiedziała na prośbę Winsome: jeszcze dwoje spośród stu piętnastu zarejestrowanych na portalu absolwentów Politechniki Leeds napi-

sało, że pamięta z czasów studenckich Thomasa McMahona i Rolanda Gardinera, Elaine była jednak z tej trójki najbliższej - aby zobaczyć się pozostałymi, trzeba by jechać do Eastburne albo Aberdeen. Poza tym Elaine Hough wspomniała, że Gardiner i McMahon blisko się z nią przyjaźnili.

Elaine Hough okazała się rzutką kobietą o krótkich czarnych włosach lekko przyprószonych siwizną. Sprawiała wrażenie osoby konkretnej, a jeśli próbowała swoich potraw, to nie było tego widać po jej szczupłej sylwetce.

- Proszę wejść - zaprosiła swych gości.

Annie i Winsome poszły za nią do skąpo udekorowanego salonu z widocznym belkowaniem i kamiennymi ścianami, w którym stały ciężkie dębowe meble.

- Ładnie tu - powiedziała Annie, chociaż prawdę mówiąc, nie taki był jej ulubiony styl dekoracji wnętrz.

- Miło mi to słyszeć, chociaż salon jest odzwierciedleniem gustów mojego męża. Ja większość czasu spędzam w mojej malej dziupli, jeśli oczywiście jestem w domu.

- Nie w kuchni?

Elaine roześmiała się.

- No cóż, to prawda, lubię gotować, a w restauracji robię to już raczej rzadko. Historia stara jak świat! Człowiek się pnie coraz wyżej w swojej ukochanej dziedzinie, a potem nagle odkrywa, że większość czasu poświęca na prowadzenie biznesu i nie ma już kiedy robić tego, co kocha. - Znów się roześmiała. - Ale nie mogę narzekać. I nie narzekam. Wiem, że mam w życiu dużo szczęścia. Napijcie się panie herbaty, kawy albo czegoś innego?

- Kawy, jeśli można prosić - powiedziała Annie. Skinieniem głowy Winsome poprosiła o to samo.

- W takim razie przejdźmy do kuchni. Tam porozmawiamy.

Poszły za gospodynią do nowocześnie urządzonej kuchni z piekarnikiem i lodówką ze stali nierdzewnej oraz miedzianymi garnkami i patelniami zawieszonymi nad wyspą z granitowym blatem, na

którym stał drewniany blok z zestawem drogich profesjonalnych noży kuchennych. Annie miała czasem ochotę na taką atrakcyjną i dobrze wyposażoną kuchnię, ale jej kulinarne szaleństwa ograniczały się do makaronu z warzywami i dań kuchni indyjskiej na wynos, zaawansowany sprzęt stałby więc u niej bezużytecznie.

Elaine wstawiła wodę, po czym zmieliła kawę i wsypała ją do kawiarki. Ziarna pachniały smakowicie. Annie obserwowała oszczędne i wprawne ruchy kobiety, które zdradzały jej zawód i wykształcenie. Nawet tak prosta czynność jak parzenie kawy pochłaniała całą jej uwagę. Pewnie też potrafiła poszatkować sznurek cebuli szybko i bez płaczu.

Usiadły na taboretach wokół wyspy. Zanim zaparzyła się kawa, Annie przepowiedziała sobie w myślach listę pytań.

- Napisała pani, że w czasach studiów na Politechnice Leeds znała pani zarówno Thomasa McMahona, jak i Rolanda Gardinera, prawda?

- Tak.

- Razem czy osobno?

- Obydwu równocześnie. Widzi pani, studiowałam w szkole gastronomicznej, co pewnie nie zaskakuje, ale cztery wieczory w tygodniu stałam za barem w pubie studenckim. Moi rodzice nie byli dobrze sytuowani, a stypendium miałam niewielkie. Ale przynajmniej dostawaliśmy wtedy stypendia, a nie pożyczki studenckie jak dzisiaj. W każdym razie tam po raz pierwszy spotkałam Tommy'ego i Rola. Tak ich wtedy nazywaliśmy. Ze smutkiem przeczytałam o tym, co się stało, ale nie miałam pojęcia, że ta przykra sprawa może się jakoś wiązać ze mną. Na pewno skontaktowałabym się z wami wcześniej.

- Ależ wszystko jest w porządku - zapewniła ją Annie. - Skąd mogła pani wiedzieć, czego szukamy? Najważniejsze, że się udało spotkać.

- Racja. - Elaine nalała kawę. Winsome poprosiła o mleko i cukier, Annie i Elaine piły czarną. - Prawdę mówiąc, chodziłam z Rolem. Ale nie było to nic poważnego. Kilka randek.

- Jaki był?

- Rolo? Czytałam, że przed śmiercią mieszkał samotnie w przyczepie kempingowej, to bardzo smutne. Ale wtedy cechowała go ambicja i błyskotliwość, mógłby brać się za bary z całym światem. Pamiętam, że często się spieraliśmy, ponieważ Rolo był thatcherystą, a reszta z nas niewydarzonymi liberałami. - Zaśmiała się. - Ale był miły i inteligentny. Co mogę powiedzieć. Dobrze się dogadywaliśmy.

- Nawet po zerwaniu?

- Pozostaliśmy przyjaciółmi. To nie był poważny związek. Wie pani, jak to jest za studenckich czasów. Eksperymentuje się, spotyka z różnymi ludźmi.

- Z Thomasem McMahonem też pani chodziła?

- Z Tommym? Nie. Chociaż był atrakcyjny i nie brakowało mu adoratorek. Tylko... jakoś nie dotarliśmy do tego etapu. Poza tym - dodała - jak pani zapewne zauważyła, jestem wyższa niż przeciętna kobieta, a Tommy był niski. Nie mam nic przeciwko niskim mężczyznom, żeby mnie pani źle nie zrozumiała, ale zawsze wygląda to... trochę dziwnie. Nawet Rolo był mniej więcej mojego wzrostu.

- Doskonale panią rozumiem - wtrąciła Winsome, uśmiechając się znad swojego notatnika.

- O, na pewno - powiedziała Elaine.

Annie się napiła. Kawa była jeszcze gorąca i trochę parzyła, ale smakowała tak samo wyśmienicie, jak pachniały mielone ziarna.

- A więc Tommy i Rolo byli dobrymi znajomymi? - kontynuowała przesłuchanie.

- Tak. Spotykali się w pubie, lubili tę samą muzykę. Rolo studiował ekonomię, ale nieźle się znał na sztuce. Chyba lubił się włóczyć z artystami. Wiele razy powtarzał, że większość kolegów z ekonomii to nudziarze. Pamiętam, że pisał. Opowiadania i poezję. Jego wiersze były nawet niezłe. Dobrze przemyślane. Przynajmniej te, które mi pokazał. Niektóre białe, niektóre rymowane. Nie miały nic z nastoletniej tandety. Rolo też dużo czytał.

- Nie byli więc aż taką dziwną parą przyjaciół?

- Nie, zupełnie zwyczajną.
- Słyszała pani kiedyś nazwisko Masefield? William Masefield?
- Nie, nie słyszałam. A dlaczego?
- Nieważne. Może Leslie Whitaker?
- Niestety, też mi to nic nie mówi.
- Był ktoś jeszcze?
- Nie rozumiem.
- Czy ktoś jeszcze trzymał z nimi, a może oni dwaj należeli do jakiegoś kręgu znajomych?
- Ach, o to chodzi. W tamtym kącie siadywało całkiem sporo ludzi, w większości studentów malarstwa i sztuki. Ale oni trzej trzymali się razem.
- We trzech?
- Tak. Rolo, Tommy i Giles.
- Kim był Giles?

Elaine uśmiechnęła się i Annie miała wrażenie, że lekko się zaczerwieniła na to wspomnienie.

- Giles był moim chłopakiem. Prawdziwym chłopakiem. W każdym razie na drugim roku.
- Był kolegą Tommy'ego i Rola?
- Tak. Znali się jak łyse konie.
- Też był na politechnice?
- Nie, Giles studiował na uniwersytecie.
- Co?
- Historię sztuki.

To ciekawe, pomyślała Annie.

- Nie był malarzem ani rzeźbiarzem?
- Nie. - Elaine wybuchnęła śmiechem. - Zawsze powtarzał, że nie ma talentu, ale uwielbiał sztukę. Tak samo z muzyką. Lubił słuchać, przeważnie klasyki, ale nie grał na żadnym instrumencie.
- Skąd znał Tommy'ego i Rola?
- Nie wiem. Prawdopodobnie zgadali się w którymś z pubów na Woodhouse Lane koło kampusu. W każdym razie byli nierozłączni.



- Chodziła pani z Gilesem?  
- Tak, przez rok. Drugi rok studiów.  
- Poważny związek?  
- Poważny, z mojej strony w każdym razie. Tak przynajmniej wtedy myślałam. Młodzieńcza miłość. Stare dzieje. Aż dziwnie teraz o tym myśleć po tylu latach i tym wszystkim, co się od tamtej pory wydarzyło.

- Co się stało z Gilesem?  
- Zniknął.  
- Zniknął?  
- Tak po prostu. Nie został porwany ani nic podobnego. Przynajmniej tak mi się zdaje. Po prostu zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

- Skończył studia?  
- Nie, to właśnie było najdziwniejsze. Zniknął po drugim roku i nigdy już się nie pojawił.

- Co pani zrobiła?  
- Próbowałam dowiedzieć się czegoś o nim na jego wydziale, ale oczywiście nie chcieli mi niczego powiedzieć.

- Posprzeczaliście się o coś?  
- Nie, naprawdę nie. Wszystko między nami świetnie się układało, a nazajutrz już go nie było. Może nie aż tak, nie z dnia na dzień, bo wszyscy wyjechaliśmy na wakacje, ale on nie wrócił. Zniknął bez śladu. Było mi smutno. Nie wiem, czy zdarzyło się pani kogoś takiego poznać, ale Giles należał do osób, które zostawiają po sobie wielką pustkę, gdy odchodzą. - Zaśmiała się. - Czy to nie zabrzmiało głupio? W każdym razie chcę po prostu powiedzieć, że trochę się w nim zakochałam.

- Może pani powiedzieć o nim coś więcej?  
- Niewiele. Był raczej skryty. I pewnie dlatego taki pociągający. Urok tajemniczości! Ale wszyscy uwielbiali jego towarzystwo. I miał gest. Zawsze szastał pieniędzmi.

- Wie pani, skąd je miał?

- Bogaci rodzice. Jego ojciec miał coś wspólnego z obronnością, realizował jakieś kontrakty rządowe. Ponoć osobiście znał Maggie Thatcher. Moim zdaniem zwyczajnie handlował bronią. Jak się nad tym zastanowić, to z nas wszystkich Giles był najbliższy Rola, jeśli chodzi o poglądy polityczne. Jego matka była krewną księżniczką Devonshire. Ale daleką. Mieli starą i wielką posiadłość rodzinną pod King's Lynn.

- Była tam pani kiedyś?

- Nie, to znaczy nie wewnątrz. Giles zabrał mnie tam raz na wycieczkę autem, pewnie dlatego, że ciągle wierciłam mu o to dziurę w brzuchu. Nie weszliśmy jednak do środka. Powiedział, że pojechali do Włoch, a dom stoi zamknięty na cztery spusty. Zupełnie jak w *Powrocie do Brideshead*.

- Nie miał klucza?

- Widocznie nie. Twierdził, że rodzice są zobowiązani dawać mu pieniądze, bo odziedziczył gotówkę, albo może jednostki funduszu powierniczego, ale nie układa mu się z nimi najlepiej. Chyba nawet ze sobą nie rozmawiali.

- Czy próbowała pani się z nimi skontaktować, kiedy zniknął?

- Nie. Po jakimś czasie po prostu zrezygnowałam i życie potoczyło się dalej. Wie pani, jak to jest, kiedy się ma naście lat. Złamane serce wydaje się nie do naprawienia przez mniej więcej cztery tygodnie. Wyciąga się wszystkie smutne, romantyczne płyty, pogrąża na chwilę w łzawej melancholii, a potem wychodzi się na miasto, żeby się upić w trupa albo wskoczyć do wyrka z pierwszym lepszym nieznajomym. Proszę wybaczyć sformułowanie.

- Pamiętam. Neil Trethowan.

- Słucham?

- Złamał moje serce. Nazywał się Neil Trethowan.

- Ach, tak. Giles... To było dawno temu, ale po naszej rozmowie mam wrażenie, że wydarzyło się to wczoraj. Przynajmniej niektóre rzeczy.

- Czy spotkała go pani kiedykolwiek potem?

- Nie.

- A wie pani może, czy Tommy i Rolo utrzymywali z nim kontakt?

- Jeśli tak, to mi o tym nie powiedzieli. Zresztą potem skończyliśmy studia i wszyscy straciliśmy ze sobą kontakt, jak to zwykle bywa, chociaż mieliśmy najlepsze intencje.

- Jak brzmiało jego nazwisko?

- Moore. Giles Moore.

Dysponując nazwiskiem oraz szczegółami, które podała im Elaine, będą mogli poszukać czegoś więcej na temat tego enigmatycznego Gilesa Moore'a, pomyślała Annie, może nawet go namierzyć. Oczywiście mógł nie mieć nic wspólnego z niedawnymi wydarzeniami, ale trop wydawał się obiecujący. Szukali kogoś, kto się zadawał zarówno z Thomasem McMahonem, jak i Rolandem Gardinerem w czasach studiów na politechnice w Leeds i wyglądało na to, że kogoś takiego znaleźli.

- Zachowała pani jakieś fotografie z tamtych czasów?

- Nie. Zapodziały się gdzieś podczas którejś z przeprowadzek.

- Szkoda - westchnęła Annie. - To pytanie może się pani wydać dziwne, ale czy Giles albo ktokolwiek z waszego towarzystwa miał kiedyś coś wspólnego z jakimś pożarem?

Elaine zmarszczyła brwi.

- Z pożarem? Nie, nie przypominam sobie. To znaczy były jakieś pożary w mieście, ale żaden nie dotyczył nikogo z nas. Nie sądzi pani chyba, że Giles jest zamieszany w to, co się stało z Tommym i Rolem? Po takim długim czasie?

- Nie twierdzę, że tak - odparła Annie. - Ale nie sądzi pani, że jeśli dwóch mężczyzn mieszkających w odległości kilkunastu kilometrów od siebie ginie w podejrzanych pożarach praktycznie w tym samym czasie, to trudno uznać za czysty przypadek ich znajomość z czasów studiów na Politechnice Leeds? Ja tak właśnie uważam. Dzięki rozmowie z panią wiemy, że w tamtych czasach blisko się ze sobą przyjaźnili. No i pojawia się tajemniczy ten trzeci: Giles Moore.

- Ale Giles nikogo by nie skrzywdził! Dlaczego miałby to zrobić?

- Czy może pani powiedzieć nam coś jeszcze, co pomogłoby go odnaleźć?

- Nie - odpowiedziała Elaine.

Annie poczuła, że kobieta się zamyka. Nie chciała wrabiać dawnego kochanka w podwójne morderstwo. Annie nie winiła jej za to. Ona sama też nie czułaby się z tym dobrze.

- Jak wyglądał?

- Był bardzo przystojny. Nieco wyższy ode mnie, smukły. Falujące włosy, trochę dłuższe. Kasztanowe. Ale przecież minęło tyle czasu!

- Ile miał wtedy lat?

- Dwadzieścia jeden. Był od nas trochę starszy.

- Jakies znaki szczególne?

- Co pani ma na myśli?

- Na przykład znamiona, blizny i tym podobne.

- Nie - odparła Elaine. - Miał gładką skórę, bez żadnych skaz. - Zaczerwieniła się na to wspomnienie. - Tylko bliznę po usunięciu wyrostka robaczkowego.

- Mówił z jakimś regionalnym akcentem?

- Nie. Mówił może trochę wyszukany językiem. Wykształcona klasa wyższa, ale to przecież naturalne przy jego pochodzeniu.

- Palił? Pił?

- Palił. Wszyscy wtedy paliliśmy. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę ze szkodliwości palenia, w końcu był rok osiemdziesiąty, ale młodzi ludzie zawsze się czują niezniszczalni. Rzuciłam dziesięć lat temu. Z piciem podobnie, wszyscy piliśmy.

- Na umór?

- Nie, Giles nigdy się nie upijał.

- Czy mogliśmy dotrzeć do kogoś jeszcze z tamtego kręgu znajomych?

- Minęło tak wiele lat. Straciłam z nimi kontakt. Nie pamiętam

większości imion. Znajomości się kończą. Ludzie się wyprowadzają, żenią, mają dzieci albo skupiają się na karierze zawodowej.

Annie uprzytomniła sobie, że chociaż jest młodsza od Elaine i od przeszłości nie dzieli jej tak dużo czasu, to nie widuje nikogo, z kim chodziła do szkoły albo na uniwersytet, kontakt się urwał. Trudno jednak się dziwić, skoro służba w policji wymaga częstych przeprowadzek i nienormalnych godzin pracy. Jeśli nie liczyć Phila, do znajomych mogła zaliczyć tylko koleżanki i kolegów z pracy, a jedyną formą życia towarzyskiego było wyjście do Queen's Arms z Banksem albo innym policjantem.

- Czy potrafiłaby pani wskazać kogoś, kto mógłby to zrobić Tommy'emu i Rolowi?

- Ja? Mój Boże, nie! Po prostu nie wierzę, żeby Giles miał z tym cokolwiek wspólnego.

Annie dała znak Winsome, a ta zamknęła notatnik. Annie miała nadzieję, że Elaine się nie myli, choć w głębi duszy liczyła na to, że uda im się odszukać tego Gilesa Moore'a i udowodnić mu winę. Przynajmniej rozwiązałyby sprawę, a na ulicach byłoby o jednego mordercę mniej. Teraz jednak powinna sprawdzić, czy udało się namierzyć Lesiego Whitakera.

Banks wyszedł ze stacji metra na Holland Park Avenue zadowolony, że dojmujący chłód poprzedniej nocy okazał się przejściowy, wdzięczny losowi również za to, że wiadomość od Burgessa odebrał w Leeds. Szczęście dopisało mu także w tym, że kolej oraz metro kursowały zgodnie z rozkładem. Dzięki temu minęły tylko nieco ponad dwie godziny, odkąd pociąg wytoczył się ze stacji Leeds City, a on zmierzał już do mieszkania przy jednej z eleganckich uliczek odchodzących od głównej przy samym parku, zajmowanego przez Helen Keane oraz jej męża Phila - rzeczoznawcy dzieł sztuki, który teraz Banksowi kojarzył się głównie ze sztuką uwodzenia. Może nie było tu tak elegancko jak w Mayfair czy Belgravii, ale w okolicy mogli zamieszkać tylko ci, których stać na wysoki czynsz.

Banks nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy naciskał dzwonek. Z oczywistych powodów nie zapowiedział swojej wizyty telefonicznie, równie dobrze drzwi mógł więc otworzyć mu sam Keane. Miał nadzieję, że tak się nie stanie, ale nie miało to większego znaczenia. Banks musiał w końcu dostać odpowiedź na pytanie, co do jasnej cholery się dzieje. Nie chodziło tylko o zranione uczucia Annie, ale o to, że ten facet nie jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Banks chciał wyjaśnić, tym bardziej że dowiedział się o jego małżeństwie zaraz po tym, jak wyszło na jaw jego kłamstwo w sprawie McMahona.

W domofonie odezwał się ostrożny głos:

- Kto tam?

Banks przedstawił się i oznajmił, że chce porozmawiać z Helen Keane. Oczywiście była podejrzliwa i nerwowa - ludzie zawsze tak reagują na wizytę policjanta - ale zdołał ją przekonać, że chodzi mu tylko o informacje. Zgodziła się go wpuścić, powiedziała jednak, że nie zdejmie z drzwi łańcucha, dopóki nie zobaczy jego legitymacji służbowej. Niech i tak będzie, pomyślał Banks, wchodząc po wyłożonych pluszową wykładziną schodach. Zawsze uważał, że wejście, hol i schody mówią wiele o jakości odwiedzanego miejsca i jego cenie, podobnie jak ręczniki i papier toaletowy pokazują jakość hotelu, w którym się zatrzymał.

Zgodnie z zapowiedzią obejrzała jego legitymację służbową przez uchylone drzwi i dopiero potem wpuściła go do środka.

Mieszkanie było rajem dekoratora wnętrz: kąty ostre, powierzchnie odbijające światło, kolory o nazwach kojarzących się z rzadkimi roślinami i państwami Ameryki Południowej. Żadnych gratów. Najwyższej jakości sprzęt stereofoniczny z frontami ze szcztokowanej stali przyczepiony do ściany obok panoramicznego telewizora plazmowego. Jeśli państwo Keanowie posiadali jakieś książki albo płyty kompaktowe, to trzymali je gdzie indziej albo poza zasięgiem wzroku. Na wierzchu zobaczył tylko kilka estetycznie ułożonych czasopism z dziedziny wzornictwa przemysłowego - poza tym nic do

czytania. W przeciwległej części wysokiego pomieszczenia stało wąskie czarne krzesło z oparciem w kształcie wiatraka. Banks obejrzał je dokładnie, ale nie był pewien, czy było to krzesło czy dzieło sztuki. W każdym razie nie palił się, żeby na nim usiąść.

Kobieta pasowała do kosztownego wnętrza tak idealnie, jakby wzięła się tam prosto z erotycznych snów projektanta, który je stworzył: piękna, elegancka, drobna, ciemnowłosa, najwyżej trzydziestoletnia, o intensywnie niebieskich oczach i bladej nieskazitelnej cerze. Miała na sobie jedwabne bojówki w kolorze kości słoniowej, sandały na wysokim obcasie i delikatną koronkową bluzkę, spod której prześwitywał skąpy czarny biustonosz.

Wskazała Banksowi miejsce na złożonej z kilku elementów kanapie, sama zaś usiadła naprzeciwko w fotelu od kompletu, którego koloru Banks nie potrafił nazwać. Róż i koral byłyby chyba najbliżej, ale i tak zbyt daleko.

- Wszystko jest w porządku, pani Keane - zapewnił ją Banks. - Nie ma powodu, żeby się denerwować. O ile mi wiadomo, nikt nie popełnił żadnego przestępstwa. Chciałbym tylko uzyskać kilka informacji i mam nadzieję, że pani mi ich udzieli.

- Na jaki temat?
- Pani męża.

Słyszac to, nieco się odprężyła.

- Chodzi o Philipa? Co chce pan wiedzieć? Niestety nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa.

Banks usłyszał obcy akcent. Skojarzył mu się z Europą Wschodnią, choć nie miał wprawy w określaniu akurat tego.

- Jak długo jesteście państwo małżeństwem?
- Trzy lata.
- Jak się poznaliście?
- W klubie.
- Gdzie?

- Na West Endzie. Pracowałam tam. Właściwie było to kasyno. Phil przychodził pograć w karty. Kiedyś zamieniliśmy kilka słów,

zaprosił mnie na kolację... wie pan.

- Skąd pani jest? - zapytał Banks.
- Skąd?
- Tak. Mówi pani z akcentem.
- Ach. Kosowo - powiedziała. - Ale wszystko jest zgodnie z prawem.

- Dzięki małżeństwu?
- Tak. Mam brytyjski paszport. Wszystko zgodnie z prawem.

Philip zrobił to dla mnie.

- A w dniu, kiedy się poznaliście?

Uśmiechnęła się.

- Widzi pan... Wtedy byłem Jeleną Pawelicz, kolejną biedną emigrantką z wstrząsanego wojną kraju, która próbowała jakoś zarobić na skromne życie. - Gestem wskazała dookoła. - Teraz jestem Helen Keane.

- Bardzo ładne mieszkanie - pochwalił Banks.
- Dziękuję. Sama je zaprojektowałam.
- Czy tym właśnie się pani zajmowała wcześniej? W Kosowie?
- Nie. Studiowałam językoznawstwo na uniwersytecie. Miałam zostać tłumaczką. Potem zaczęły się walki. Moi rodzice zginęli, a ja musiałam wyjechać.

- Jak pani uciekła?

- Pomogli mi ludzie. To była długa podróż. Nigdy jej nie zapomnę. Widziałam wiele potworności. Musiałam robić wiele złych rzeczy. Ale mówił pan, że chodzi o Philipa?

- Tak - potwierdził Banks. - Czy wie pani, co robił, zanim się poznaliście?

- Mówił, że pracował za granicą. W galeriach i muzeach we Włoszech, Hiszpanii, Rosji i Ameryce. Philip jest bardzo zdolny. Zjechał cały świat.

- Tak, wiem o tym - powiedział Banks.

Helen zmrużyła powieki i uważnie mu się przyglądała.

- Czy Philip odbił panu dziewczynę? Czy dlatego pan o niego



wypytuje?

Banks poczuł, że się czerwieni.

- Dlaczego pani tak mówi?

Uśmiechnęła się, jak zwykle kobiety, kiedy sądzą, że zdobyła przewagę, trafiając prosto w czyjś słaby punkt.

- Ponieważ Philip jest atrakcyjnym mężczyzną, prawda?

- Przypuszczalnie tak - zgodził się Banks. - Dlaczego uważa pani, że zainteresował się inną kobietą? Czy już wcześniej panią zdradzał?

Zaśmiała się. Był to głęboki, chropawy, niemal okrutny śmiech; takiego można by się spodziewać nie z ust filigranowej kobiety, lecz u bywalca zadymionego pubu, który właśnie usłyszał sprośny dowcip. Banksowi się to podobało. Pozwoliło mu spojrzeć na nią jak na kobietę z krwi i kości, a nie eteryczną piękność.

- Philip zawsze miał inne kobiety - stwierdziła.

- I to pani nie przeszkadza?

Lekko wykrzywiła usta, po czym odpowiedziała:

- Nasze małżeństwo nie jest takie. Każde z nas robi, co chce.

- Dlaczego więc jesteście razem?

- Ponieważ się lubimy. I ponieważ... no cóż...

- Proszę mówić.

Rozejrzała się po mieszkaniu, przeciągnęła dłonią po koronkowej bluzce, od dekoltu w dół swoich małych piersi.

- Lubię ładne rzeczy. Czy uważa pan, że jestem ładna?

- Bardzo.

- Philip ma też ze mnie chyba korzyść zawodową. Lubi się pokazywać w towarzystwie swojej pięknej młodej żony. Wszyscy koledzy mu zazdroszczą. I wszyscy chcieliby iść ze mną do łóżka. Wiem po tym, jak na mnie patrzą.

- Philipowi to się podoba?

- Tak. Chodzimy razem na wernisaże, kolacje i gale. Różne oficjalne okazje z mnóstwem ważnych ludzi. Wszyscy oni patrzą na mnie w ten sam sposób. Młodzi mężczyźni. Starzy mężczyźni.

Niektóre żony. Wypada mieć żonę, kiedy się prowadzi interesy, prawda?

Banks się z tym zgadzał. Z jakiegoś powodu małżeństwo tworzy pozory zarówno konserwatyizmu, jak i stabilności, których się oczekuje od ludzi interesu. Potencjalni klienci z większą podejrzliwością traktowaliby kawalera w wieku Phila czy Banksa niż żonatego mężczyznę. Fakt, że żona Phila jest tajemniczą wschodnioeuropejską pięknoscią, na pewno nie szkodził mu w kręgach, w których się obracał. Co najwyżej postrzegano go jako odważniejszego od większości. Niezbyt wielkiego, ale jednak ryzykanta, z którym warto się zadawać.

Tak, jeśli Phil Keane chciał, żeby uważano go za tradycyjnego, solidnego i godnego zaufania faceta, to występowanie z Helen u boku było nie najgorszym posunięciem. Ona zaś sama przyznała, że się lubuje w oznakach bogactwa i wystawnym stylu życia. Może i ona miała kochanków? Z jej słów wynikało jasno, że tworzyli coś w rodzaju otwartego małżeństwa, niewątpliwie dysponowała więc dużą swobodą. Banks poczuł się nieswojo, gdy jego wzrok powędrował do skąpego biustonosza prześwitującego spod koronkowej bluzki i czarnego ramiączka widocznego na jej bladym ramieniu.

Zaczął się zastanawiać, ile Phil Keane musi płacić za taki styl życia i czy dochody z firmy ArtSearch w pełni na to wystarczają.

- Czy słyszała pani, żeby mąż wspominał o znajomym malarzu nazwiskiem Thomas McMahan?

- Nie.

- Nigdy nie spotkała pani nikogo o tym nazwisku?

- Nie.

- A Williama Masefielda?

- Nie.

- Lesliego Whitakera?

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska. Ale Philip nie opowiada o swoich znajomych. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani co robi, kiedy go tu nie ma.

- Czy ma bliskich przyjaciół?  
- Bliskich przyjaciół? Nie sądzę. W większości kontakty zawodowe.

- Czyli znajomi, których poznał w związku z działalnością na rynku sztuki?

- Tak.

- Czy ma partnerów albo bliskich współpracowników?

- Nie. Mówi, że nikomu nie ufa, a współpracownicy tylko przeszkadzają w pracy. Jeśli chce coś zrobić, robi to sam.

- Czy Philip zabierał panią kiedyś do rodzinnego domu w Fortford?

- Jakiego domu rodzinnego?

- Podobno należał do jego dziadków. W Yorkshire. Odziedziczył go.

- Nic nie wiem o żadnych dziadkach. Philip powiedział mi tylko, że jego ojciec był dyplomatą i często przenosili się z miejsca na miejsce, kiedy był młody. Gdzie pan słyszał o tych dziadkach? Kto panu powiedział?

- Nieważne - uciął Banks. - Czy poznała pani jego rodziców?

- Nie żyją. Zginęli w katastrofie lotniczej dziesięć lat temu, zanim się poznaliśmy.

- I nigdy nie wspominał o posiadłości w Yorkshire?

- Nigdy. Jeśli wyjeżdżamy, to do Kalifornii albo na Bahamy. Nigdy do Yorkshire. - Objęła się ramionami i lekko zadrżała. - Tam chyba jest zimno?

- Czasami - powiedział Banks.

- Kocham słońce.

- Helen, czy wie pani o swoim mężu cokolwiek? - zapytał Banks poirytowany.

Znowu wybuchnęła tym głębokim gardłowym śmiechem, po czym rozłożyła ręce, jakby chciała pokazać swoje ciało.

- Wiem, że lubi dobre rzeczy - wyznała bez cienia fałszywej skromności.

Banks zdał sobie sprawę, że niczego więcej się od niej nie dowie, rzucił więc coś na pożegnanie i szybko wyszedł, bardziej zdezorientowany niż przed rozpoczęciem tej rozmowy.

## Rozdział 17

Po dobrze przespanej nocy i poranku poświęconym na sprawdzanie, co się wydarzyło poprzedniego dnia - zwłaszcza analizowanie zeznania Elaine Hough oraz ekspertyzy wskazującej na użycie świecy do wywołania pożaru przyczepy Gardinera - Banks zaprosił Annie na herbatę i ciasto drożdżowe z bakaliami do Golden Grill, prawie naprzeciwko komendy. Musiał zbudować kilka mostów, jeśli mieli nadal współpracować.

Po rozmowie z Helen Keane przez całą drogę powrotną z Londynu oraz cały dzisiejszy ranek rozmyślał, co zrobić w tej nowej sytuacji, nie podjął jednak żadnej decyzji. Może wysonduje, co Annie naprawdę czuje do Phila. Doszedł do wniosku, że nie byłoby fair wkraczać od razu, tym bardziej że małżeństwo Keane'a z pewnością nie zaliczało się do typowych. Z drugiej strony bał się o nią i nie chciał, żeby zbyt się angażowała w ten związek bez wiedzy o tym, że Phil jest żonaty. Ale doskonale sobie wyobrażał, jak przyjęłaby taką wiadomość, zwłaszcza że ostatnio stosunki między nimi były napięte.

Dzwonek nad drzwiami zabrzączał, kiedy wchodzili. Sala była prawie pusta i mogli wybrać miejsce. Banks natychmiast podszedł do stolika na uboczu. Jak tylko usiedli z filiżankami i ciastem, Banks zamieszał herbatę, choć niczego do niej nie dodał, i powiedział:

- Chciałem cię przeprosić. Moje zachowanie wtedy było nie do przyjęcia. No wiesz, kiedy chodziło o udział Phila w śledztwie. Oczywiście, że to ma sens. Ja tylko byłem...

- Zazdrosny? - dokończyła Annie.

- Nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Czuję się niezręcznie, to wszystko.

- On uważa, że go nie lubisz.
- Nie mam na jego temat żadnej konkretnej opinii. Przecież widziałem go tylko kilka razy.
- Och, daj spokój, Alan.
- Naprawdę. Facet wydaje się w porządku, ale skoro już o tym rozmawiamy, to co ty o nim wiesz, Annie?
- Co masz na myśli?
- Chodzi mi o jego dotychczasowe życie, otoczenie, rodzinę. Wiesz na przykład, czy kiedykolwiek był żonaty?

- Nie wspominał mi o tym. Ale nie wydaje mi się. Między innymi dlatego kontakt z nim jest taką miłą odmianą.

Te słowa zabolą Banksa i wiedział, że o to chodziło Annie. Jego nieudane małżeństwo oraz bagaż, który dźwigał po rozwodzie, niezmiennie stanowiły kość niezgody między nimi, kiedy trwał ich związek. Wiedział jednak, że mądrzej będzie puścić tę uwagę mimo uszu, zamiast odparować, podając informacje zdobyte przez Brudnego Dicka. Mimo to przez chwilę się wahał.

- Coś nowego dziś od rana? - odezwał się w końcu.
- Niewiele - odpowiedziała Annie. - Winsome rozpracowuje Williama Masfielda i dotarła do jednej interesującej informacji. Studiował na uniwersytecie w Leeds w czasie, kiedy McMahon i Gardiner zapisali się na tamtejszą politechnikę. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Nie ma jednak dowodów na to, że się znali, a Elaine Hough twierdzi, że nigdy o nim nie słyszała.

- Szkoda - rzucił Banks. - Ale mamy jakieś powiązanie, nawet jeśli słabe. Giles Moore studiował w tym samym czasie, prawda?

- To kolejna rzecz. Rano sprawdziłam. Władze Uniwersytetu Leeds twierdzą, że nie ma śladu po takim studencie.

- Ciekawe - mruknął Banks. - Może czuł się nieakceptowany, chciał imponować znajomym?
- Nawet jeśli, to raczej dziwne, nie sądzisz? - odparła Annie.
- Ten facet w ogóle jest jakiś dziwny - zgodził się Banks. - Tym

bardziej powinniśmy się nim zainteresować. Musi gdzieś być. Nie mógł tak po prostu się rozpląnąć.

- Ciągłe szukamy - powiedziała Annie. - Problem w tym, że zaczyna nam brakować miejsc, gdzie moglibyśmy go znaleźć. Żadni Moore'owie nie mieszkali nigdy w majątku niedaleko King's Lynn. Nie pytaliśmy jeszcze Maggie Thatcher ani księcia Devonshire, czy znają Gilesa Moore'a, ale niewykluczone, że będziemy musieli.

Banks zaśmiał się.

- Czyli to kłamca?

- Zdaje się, że tak.

- Musimy pokazać tej całej Hough zdjęcie Whitakera - zawyrokował Banks. - Wiem, że minęło wiele czasu, ale może go rozpozna. - I fotografię Phila Keane'a, gdyby udało mi się jakąś zdobyć, dodał w myślach Banks. - Pamiętam, że na biurku w antykwariacie stała ramka ze zdjęciem. Skoro Whitaker zniknął, a kilka osób już zamordowano, to chyba mamy powód, żeby wejść do jego firmy, nie uważasz? Przecież może leżeć na zapleczu martwy albo obłany benzyną obok sześciogodzinnej świeczki.

- Dobry pomysł - pochwaliła Annie. - Zajmę się tym. Co z żoną Asperna?

- Frances? - Banks pokręcił głową. - Nie wiem. Z zeznania Marka Siddonsa wynika, że została sprowokowana. Mogłaby przyjąć taką linię obrony.

- A ograniczona poczytalność?

- To zostawiłbym biegłym. Frances na pewno wymaga opieki psychiatrycznej, bez dwóch zdań. Nie jest chora psychicznie, o ile wolno mi wyrokować jako laikowi, ale niezrównoważona emocjonalnie już chyba tak. Moim zdaniem nie potrafiła znieść myśli, że jej mąż seksualnie wykorzystywał ich córkę w takim samym sposób, w jaki wcześniej wykorzystywał ją. Łatwiej było jej zaakceptować kłamstwo już na samym początku, kiedy zaszła z nim w ciążę. Stąd historia, że ojcem biologicznym Tiny był niejaki Paul Ryder z Ameryki, a Patrick tylko jej ojczymem. Może nawet uwierzyła w to kłamstwo. Granica

jest cienka.

- Z pewnością - zgodziła się Annie. - W związku z tym możemy chyba skreślić z listy podejrzanych zarówno ją, jak i jej męża?

- Tak - rzekł Banks.

- A na ile poważnie traktujemy Andrew Hursta i Marka Siddonsa?

- Niezbyt poważnie. Hurst to świr. Gdyby się okazało, że wątek fałszowania obrazów zaprowadzi nas w ślepy zaułek, a ogień podkładał jakiś wariat, który po prostu lubi pożary, to przyjrzałbym mu się bliżej. Ale nic go nie łączy z McMahonem, Gardinerem i całą resztą. Siddonsa też nie: był tylko sąsiadem McMahona. Mark święty nie jest, ale nie sądzę, żeby miał na sumieniu podpalenia. Poza tym dysponuje solidnym alibi. Sama tak mówiłaś.

- Mogłabym jeszcze raz porozmawiać z Mandy Patterson. Trochę ją przycisnąć.

- Nie - powiedział Banks. - Co zyskałaby, zapewniając Markowi Siddonsowi alibi? Poza tym, gdyby Mark chciał się pozbyć Tiny, to znalazłby o wiele łatwiejszy sposób niż zapewnienie sobie alibi i podkładanie ognia na barce Thomasa McMahona.

- Co prowadzi nas do Lesiego Whitakera - stwierdziła Annie.

- Gdzie studiował?

- Uniwersytet Strathclyde, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego do osiemdziesiątego trzeciego. Niestety nie mamy dowodów na jego powiązania z Gardinerem i Masefieldem, ale ciągle szukamy. Na pewno podejrzane jest to, że dał nogę. Plus dziwne operacje finansowe w ostatnim czasie. Biegły rewident twierdzi, że w księgach finansowych Whitakera panuje lekki bałagan, delikatnie mówiąc.

- Przypuszczam, że jeśli był zamieszany w jakiś przekręt z McMahonem, to musiał jakoś ukryć dochody. Jakie jest twoje zdanie, Annie?

- McMahon był dobrym imitatorem cudzych dzieł i zyskał dostęp do materiałów z epoki przez antykwariat Whitakera, niewątpliwie także z innych źródeł. Może Whitaker, Moore, czy kto tam



zaplanował ten proceder, zwerbował swoich dawnych kolegów, a oni zaczęli się wyłamywać?

- W porządku, to ma sens - ocenił Banks. - Tylko jaką rolę odgrywali w tym Gardiner i Masefield?

- Dzięki tożsamości Masefielda zabójca pozostawał anonimowy w kontaktach z McMahonem - wyjaśniła Annie. - Przed każdym spotkaniem wynajmował jeepa cherokee na nazwisko Masefielda, żebyśmy nie mogli go namierzyć. Nie zapominaj, że kiedy Masefield zginął w pożarze albo został zamordowany, ktoś przekierował jego pocztę i przejął rachunek bankowy, a potem z niego pokrywał wszystkie jego zobowiązania. Ktoś przejął jego tożsamość.

- A Gardiner?

- Jeszcze nie wiem. Ale musiał odgrywać w tym wszystkim jakąś rolę. Przecież w jego sejfie znaleźliśmy obrazy i pieniądze. To nie może być zbieg okoliczności.

- Nie zapomniałem o tym. Ale żadna z tych informacji nie przybliżyła nas do ustalenia, kim jest ten człowiek - rozważał głośno Banks. - Nawet jeśli jest nim ten cholerny Giles Moore, to teraz używa innego nazwiska i w ten sposób go nie znajdziemy. Zmienia się jak kameleon. Mamy do czynienia z inteligentnym facetem, którego trudno złapać. Znalazłaś coś jeszcze o tym Gilesie? Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc?

- Nie - odpowiedziała Annie. - Jeszcze nie. To wymaga sporo zachodu. I czasu, bo brakuje nam ludzi.

- Mogę porozmawiać z Czerwonym Ronem, żeby dał nam jakieś wsparcie.

- To dobrze - ucieszyła się Annie. - Przydałoby mi się co najmniej kilku dobrych analityków. Na razie obstawiam Lesliego Whitakera. Owszem, nie udało się znaleźć powiązań między nim a Gardinerem, ale nie jest powiedziane, że musieli się wcześniej znać. Przecież brakującym ogniwem mógł być sam McMahon. Może Whitaker przedstawił mu pomysł, a McMahon wciągnął Gardinera?

- Możliwe - zgodził się Banks. - Przyciśniemy go, jak się znaj-

dzie. - Dopił herbatę i pozwolił, żeby przez chwilę panowała cisza, zanim zapytał: - Jak ci się układa z Philem?

- Dobrze - odpowiedziała Annie. - Dlaczego pytasz?

- Bez specjalnego powodu. Gdzie on się teraz podziewa? Nie widziałem go od dwóch dni.

- Pojechał do Londynu, żeby się zająć Turnerami. Dobrze o tym wiesz. Skąd to nagle zainteresowanie?

- Nic takiego. Po prostu byłem ciekaw.

Annie spojrzała mu prosto w oczy.

- Phil ma jednak rację. Wiedziałaś. Wtedy temu zaprzeczałeś, ale nie lubiłeś go od samego początku, prawda? Nie dałeś mu nawet szansy.

- Mówiłem ci, że nic do niego nie mam - odparł Banks, chociaż w rzeczywistości Phil Keane wywoływał w nim poważne zaniepokojenie i myśl o nim nie dawała mu spokoju, jak swędząca skóra, której nie można podrapać. Za nic nie powiedziałby o tym teraz Annie, zamierzał jednak dalej węszyć wokół Phila, dopóki nie wyjaśni sprawy w ten czy w inny sposób. - Nie chcę znów się kłócić, Annie - dodał. - Po prostu zapytałem, jak się wam układa

- Owszem, zapytałeś, ale to nie jest takie proste, mam rację. Z tobą nigdy nie jest prosto i łatwo. Zawsze jest jakieś drugie dno. O co chodzi? Co wiesz? Do czego zmierzasz?

Banks rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Czy to zazdrość? Czy o to chodzi, Alan? Bo jeśli tak, jeśli kieruje tobą zazdrość, to natychmiast składam raport o przeniesienie służbowe, do kurwy nędzy!

Banks nie pamiętał, żeby kiedykolwiek słyszał, jak Annie przeklina, i teraz to nim wstrząsnęło.

- Posłuchaj - zaczął. - To nie jest zazdrość. W porządku? Po prostu nie chcę, żebyś się poczuła zraniona, nic więcej.

- Dlaczego niby miałabym się poczuć zraniona? Co ty sobie wyobrażasz? Że jesteś moim starszym bratem? Sama potrafię o siebie

zadbać, dziękuję ci bardzo.

Annie rzuciła serwetkę na resztkę ciasta drożdżowego z bakaliami i wyszła z kawiarni zamaszystym krokiem. Czy Banksowi tylko się zdawało, czy rzeczywiście dzwonek nad drzwiami odezwał się głośniejszy, gdy je za sobą zamknęła?

Przez resztę dnia Annie unikała Banksa, co przyszło jej bez trudu: miała mnóstwo papierkowej roboty, za którą mogła się schować, a potem razem z Winsome pojechały do antykwariatu Whitakera, skąd pożyczyły fotografię właściciela, wchodząc tylnymi drzwiami i nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Szybka wycieczka do Harrogate nie przyniosła rozstrzygnięcia, na które miała nadzieję. Elaine Hough stwierdziła tylko, że od tamtego czasu minęło ponad dwadzieścia lat, a z podbródkiem i oczami Whitakera coś jest nie tak. To nie skreślało jednak Whitakera z listy podejrzanych o spowodowanie dwóch pożarów, przynajmniej zdaniem Annie.

Czy zareagowała zbyt gwałtownie podczas spotkania z Banksem w Golden Grill? Nie potrafiła sobie na to odpowiedzieć. Irytowało ją, że Banks ciągle wracał do tematu Phila. Może powinna odpuścić, co zresztą nie byłoby takie trudne. Ale jeśli miała nadal się spotykać z Philem i pracować z Banksem, to coś musiało się zmienić, bo ona sama zmieniać się nie zamierzała.

Banksowi na pewno o coś chodziło i bardzo chciałaby wiedzieć, o co. Czy sprawdzał Phila za jej plecami? Czy coś na niego znalazł, a jeśli tak, to co? Annie odrzuciła te obawy jako absurdalne. Gdyby Banks znalazł jakieś brudy na Phila, zadbałby o to, żeby ona pierwsza się o tym dowiedziała. Bo inaczej po co? Chyba że chciał ją zranić. Naskoczył na nią, ponieważ był zazdrosny.

Podejrzania i niepokój towarzyszyły jej do końca dnia, przez co nie bardzo mogła się skupić. Późnym popołudniem, kiedy Annie wiedziała już, że spędzi w pracy cały wieczór, zadzwonił telefon.

- Mówi Phil.
- Cześć, miło cię słyszeć, mój panie nieznajomy.

- Pomyślałem, że się odezwę, bo w zgodnej opinii kilku specjalistów te rysunki i akwarela Turnera są falsyfikatami.

Annie była trochę zawiedziona, że Phil dzwoni do niej niejako służbowo, starała się jednak nie dać tego po sobie poznać.

- Tak? Dlaczego tak uważacie?

- Nie ma jednego konkretnego powodu. Zsumowało się kilka rzeczy, albo raczej nie zsumowało. Testy laboratoryjne pokazują, że papier jest nieco późniejszy niż daty na rysunkach. No i jest jeszcze kwestia stylu. Drobne szczegóły. Mówiłem ci, że trudno imitować Turnera. Jeśli dodamy do tego niejasne pochodzenie, luźne szkice znalezione razem z akwarelą oraz fakt, że obraz wypływa praktycznie zaraz po odnalezieniu poprzedniego dzieła Turnera, to...

- A odciski palców? Chodzi mi o ślady na farbie.

- Nie znaleźliśmy żadnych. Tym więc sobie nie pomożemy.

- Czy znaleźlibyście jakieś, gdyby obraz był prawdziwy?

- Niekoniecznie.

- No cóż, dziękuję, Phil - powiedziała. - Czy to rzuca cień na tę poprzednią akwarełę?

- Bynajmniej. W tamtym przypadku wiemy, skąd pochodzi dzieło, no i testy nie dały negatywnych wyników. Wcześniej znaleziony obraz jest więc prawdziwy. Ktoś musiał wpaść na pomysł, żeby podrobić brakujące elementy cyklu.

- McMahan?

- Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale jeśli podrobione Turnery znalazłaś w spalonej przyczepie i udało się powiązać obydwie ofiary, wtedy tak, powiedziałbym, że prawdopodobnie jesteś na dobrym tropie. Zapewne wymyślili jakiś idiotyczny plan mający im przynieść szybkie pieniądze. Można być wspaniałym artystą, a jednocześnie kompletnym nieudacznikiem niemal we wszystkim innym.

- Mnie to mówisz? - rzuciła Annie, myśląc o swoim ojcu. Dorastała wśród ciągłych dyskusji o wyższości impresjonizmu nad kubiżmem, van Gogha nad Gauguinem i tak dalej. Chociaż Ray nawet nieźle sobie radził z codziennym życiem, to jednak potrafił się zatra-

cię w pracy na wiele dni z rzędu, a wtedy zapominał o takich irytujących szczegółach jak rachunki czy sprzątanie domu.

- No cóż, takie miałem dla ciebie wiadomości, złe czy dobre. Zapakuję obrazy i odeślę kurierem. Są bezwartościowe, ale pewnie stanowią dowody w sprawie.

- Dziękuję - powiedziała Annie.

- Jak się toczą sprawy?

- Chyba dobrze.

- Pojawiła się jakaś szansa na rozwiązanie?

- Możliwe - stwierdziła. - Whitaker, no wiesz, ten facet, który dostarczał McMahanowi stary papier, gdzieś zniknął.

- Podejrzewasz, że został zabity?

- Nie, raczej dał nogę.

- Ach, rozumiem. W takim razie trzymam kciuki.

- Dzięki.

- Coś się stało? Jesteś jakby przygnębiona.

- Och, nic takiego. Dziś rano miałam małe spięcie z Alanem. Został mi po nim pewien niesmak.

- O co poszło?

- Nic wielkiego. Właśnie o to chodzi. Jestem chyba przewrażliwiona. Żałuję, że się nie polubiliście.

- Co się stało? Co takiego powiedział na mój temat?

- Nic. Chodzi o to, że... Sama nie wiem. To moja wina. Nie przejmuj się.

- Czyli jednak powiedział?

- Nie, tylko pytał o ciebie, to wszystko. Rozumiesz już, dlaczego mówię, że jestem przewrażliwiona?

- W takim razie nie mam się czym martwić - powiedział Phil. - Nic do niego nie mam. Widziałem się z nim tylko raz, i to w twojej obecności.

- No widzisz, Phil, to mój problem. Gdzie jesteś? Przyjedziesz tu na noc?

- Niestety nie. Nadal siedzę w Londynie. Może mi się uda jutro

albo pojutrze, co ty na to?

- Świetnie, do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Annie odłożyła słuchawkę i zerknęła na stertę dokumentów na swoim biurku. Przynajmniej oderwą jej myśli od Banksa. I od Phila. Zanim jednak zdążyła sięgnąć po pióro, do pokoju wpadł posterunkowy Templeton.

- Mamy go - entuzjasmował się. - Mamy Whitakera. Jest na dole.

- No cóż, Leslie - zaczął Banks. - Trochę nas pan wodził za nos, prawda?

- Nie miałem pojęcia, że mnie szukacie - stwierdził Whitaker. - Skąd mogłem wiedzieć?

Siedzieli w tym samym pokoju przesłuchań co poprzednio, tylko dzisiaj Whitaker miał na sobie jednorazowy czerwony kombinezon. Nie usłyszał zarzutów, ale został aresztowany i odczytano mu jego prawa, a przesłuchanie było nagrywane. Dyżurny adwokat Gareth Bowen usiadł obok niego. Banks nadal wyczuwał napięcie między sobą a Annie, obydwójce jednak byli profesjonalistami, potrafili więc wykonywać swoją pracę bez względu na osobiste animozje, tym bardziej że wydawało się, iż sprawa zmierza ku końcowi.

- Gdzie pan był? - zapytał Banks.
- Musiałem wyjechać. Do znajomego w Newcastle.
- Akurat w tym terminie, tak się złożyło, prawda?
- Mówiłem już panu. Nie miałem pojęcia, że mnie szukacie.
- A ja myślę, że doskonale pan o tym wiedział - stwierdził Banks.

- Nawet jestem tego pewien.

- Niech pan nam o wszystkim opowie - wtrąciła się Annie. - Na pewno poczuje się pan lepiej.

Whitaker wydał wargi.

- O czym miałbym wam opowiedzieć?
- O Thomasie McMahonie. Tommym. I o Rolandzie Gardinerze, czyli Rolu. Jak długo się znaliście?

- Nie wiem, o czym pani mówi. Już wam mówiłem, że Thomasa McMahona widywałem od czasu do czasu w moim antykwariacie, natomiast tego drugiego mężczyzny, którego pani wymieniła, nie znam.

Banks westchnął.

- No dobrze, skoro nie chce pan po dobroci...

- Niech pan spróbuje mnie dotknąć, a podam was do sądu! - Whitaker spojrział na Bowena, a ten tylko przewrócił oczami.

- Miałem na myśli to, że jestem zmęczony, tak samo jak pani detektyw Cabbot - wyjaśnił Banks. - Jestem pewien, że pan mecenas Bowen także jest zmęczony. Ale zostaniemy tutaj tak długo, jak to będzie konieczne, żeby dojść do prawdy. - Spojrział na Bowena. - Oczywiście z zachowaniem wszelkich wymaganych przerw na posiłki oraz odpoczynek, zgodnie z Ustawą o policji i dowodach kryminalnych.

- Nie mam wam nic do powiedzenia - oznajmił Whitaker.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Banks. - Ale niech pan sobie przypomni fragment wcześniejszego pouczenia, ten o możliwości uznania przez sąd za okoliczność obciążającą fakt, że czegoś pan nie powiedział, kiedy policja pytała o to po raz pierwszy. Wtedy zrozumie pan dokładnie, co to znaczy, że nie ma pan nam nic do powiedzenia. Wyłóż więc karty na stół, Leslie. Jest pan naszym głównym podejrzanym w sprawie o zamordowanie Thomasa McMahona i Rolanda Gardinera.

- Mówiłem panu przecież, że byłem w Harrogate, na kolacji. Musieliście przecież to sprawdzić.

- Owszem, sprawdziłem.

- I?

- Każdy, z kim rozmawialiśmy, potwierdził pańską wersję. Rzeczywiście był pan na tej kolacji.

Whitaker skrzyżował ręce na piersiach.

- A nie mówiłem?

- Na pańskim miejscu. Leslie, nie byłbym taki zadowolony z

siebie - kontynuował Banks. - Zdobyliśmy dowody na to, że pożar przyczepy kempingowej Rolanda Gardinera wywołano za pomocą specyficznego detonatora.

- Detonatora?

- Tak. Była nim zwykła świeczka. Prymitywne, ale skuteczne. Dzięki niej podpalacz przygotował wszystko i opuścił miejsce zdarzenia przed wybuchem pożaru. Nawet kilka godzin wcześniej, prawda, inspektor Cabbot?

- Tak - potwierdziła Annie, przewracając kartki raportu Stefana Nowaka. - Nawet kilka godzin wcześniej.

- Pytanie tylko, czy macie dowody wskazujące bezpośrednio na pana Whitakera? - wtrącił się Bowen. - Z tego, co powiedzieliście dotychczas, wynika, że pożary mógł spowodować dosłownie każdy.

- Czy kiedykolwiek słyszał pan o jakimś Williamie Masefieldzie? - Banks zapytał Whitakera.

- Nie, nigdy.

- Dobrze, zostawmy to na razie. Czy dostarczał pan stary papier Thomasowi McMahonowi?

- Kupował u mnie stare książki i druki. To moja branża. Przecież handluję książkami.

- Ale jemu sprzedawał je pan z myślą o fałszowaniu dzieł sztuki?

- Panie inspektorze Banks - znów wtrącił się Bowen. - Pan Whitaker nie może być odpowiedzialny za to, co klient robi z kupionym u niego towarem. Nie musi też wiedzieć, co klient zamierza z nim zrobić.

- Ale może, zwłaszcza w tym przypadku - stwierdził Banks. - Jeśli w grę wchodziły duże pieniądze.

Whitaker wyglądał na zmieszanego.

- Więc jak, Leslie?

- Już panu mówiłem - powtórzył Whitaker. - Sprzedawałem mu to, czego chciał. Tak właśnie się postępuje w moim fachu.

- Ma pan jeepa cherokee, czy tak? - zapytał Banks.

- Wie pan, że tak. Pańscy ludzie rozebrali go na części po naszej



ostatniej rozmowie.

- Jeśli wolno mi dodać, nie znaleźli niczego, co łączyłoby mojego klienta z jednym albo drugim miejscem zbrodni - uzupełnił Bowen.

- Jeszcze nie - sprostował Banks.

- Jak rozumiem, jeep cherokee istotnie ma związek z pożarem, w którym zginął Thomas McMahon - ciągnął Bowen. - Ale tamten został wynajęty z wypożyczalni na przedmieściach Yorku przez tajemniczego pana Williama Masefielda, który zresztą już nie żyje. Czy twierdzi pan teraz, że to mój klient jest owym Masefieldem?

- Twierdę, że pański klient mógł przejąć tożsamość pana Masefielda - odpowiedział Banks.

- Czy ma pan na to jakieś dowody? - spytał Bowen.

- Śledztwo jeszcze trwa.

- Innymi słowy nie ma pan żadnych dowodów?

- To niedorzeczne! - oburzył się Whitaker. - Mam już jeepa cherokee, po co więc miałbym wypożyczać kolejnego?

- Żeby uniknąć sytuacji, w której znajduje się pan obecnie - wyjaśnił Banks.

- Ale i tak się w niej znalazłem, prawda?

- Kilka rzeczy świadczy przeciwko panu. Po pierwsze, handluje pan sztuką, a jednej z ofiar, która była fałszerzem obrazów, dostarczał pan papier. Po drugie, prowadzi pan jeepa cherokee, a taki samochód albo bardzo podobny widziano na miejscu pożaru, w którym zginął Thomas McMahon.

- Ale przecież znaleźliście już... - zaczął Bowen.

Banks przerwał mu natychmiast.

- To nie znaczy, że jeepa pana Whitakera nigdy tam nie było. - Kontynuował wyliczanie. - Jeśli jeszcze dodamy, że nie ma pan alibi na czas jednego i drugiego morderstwa oraz fakt, że skłamał pan podczas poprzedniego przesłuchania, to dowody przeciwko panu sumują się w całkiem mocne oskarżenie.

- Same poszlaki - sprostował Bowen. - Nie ma pan dowodu, że

mój klient choćby słyszał o Rolandzie Gardinerze, a co dopiero go znał. Samochód widziany w zatoczce parkingowej nie został zidentyfikowany. Benzyna użyta do wzniesienia pożaru nie pochodziła z baku samochodu pana Whitakera i nie ma żadnego powiązania między panem Whitakerem a mężczyzną, którego kartą kredytową zapłacono za wypożyczony samochód. Powiedziałbym, że suma tego wszystkiego daje zero.

- Niekoniecznie - powiedziała Annie Cabbot. - Firma pana Whitakera ponosiła straty już dwa lata z rzędu, a mimo to dokonał on ostatnio kilku kosztownych zakupów. Za gotówkę. - Annie otworzyła teczkę. - Na przykład trzydziestodwucalowy telewizor panoramiczny z zestawem kina domowego oraz najnowszy komputer stacjonarny firmy Dell. Ponadto przeprowadził remont domu, podczas którego dobudowano oranżerię. Czy zaprzecza pan?

Whitaker spojrzał na Annie.

- Ja... ee... nie.  
- Skąd wziął pan pieniądze?  
- Wygrałem. Na wyścigach konnych.  
- Nie gra pan na wyścigach.  
- Skąd możecie wiedzieć?  
- Sądzi pan, że nie sprawdzamy bukmacherów, kiedy bierzemy pod lupę czyjeś finanse, Leslie? - odparła Annie. - Naprawdę uważa pan, że jesteśmy aż tacy głupi?

- To był podarunek. Od przyjaciela.

- Kto to jest?

- Chce pozostać anonimowy. Chodzi o podatki. Rozumie pani?

Banks pokręcił głową i nawet Gareth Bowen zrobił zaniepokojoną minę.

- Skąd wziął pan pieniądze? - powtórzyła Annie.

- Nie musi pan odpowiadać - wyjaśnił Bowen.

- Dosyć tego - powiedział Banks, podnosząc się z miejsca. - Przesłuchanie przerwano o osiemnastej trzydzieści pięć. Ja idę do domu, a podejrzany wraca do celi.

- Nie możecie...

Bowen dotknął jego ramienia.

- Mogą, na dwadzieścia cztery godziny - wyjaśnił. - Ale niech się pan nie martwi. Będę pilnował pańskich spraw.

Whitaker rzucił prawnikowi gniewne spojrzenie.

- Nawet nie ma pan pojęcia, jak cholernie mnie pan uspokoił.

Annie, przeżuwając kanapkę wegetariańską, którą Winsome przyniosła jej ze sklepu po drugiej stronie Market Street, zabrała się do ponownej lektury wszystkich zeznań. Andrew Hurst. Mark Siddons. Jack Mellor. Leslie Whitaker. Elaine Hough. Musiało być coś, co łączyło Whitakera z morderstwami, ona jednak za nic nie potrafiła tego czegoś znaleźć. W dodatku nie mogła się skupić, ponieważ nurtowało ją pytanie, o co chodzi Banksowi. Ale był też inny powód, którego jednak nie potrafiła jeszcze wskazać. Coś nie dawało jej spokoju. Wiedziała, że w końcu to sobie uświadomi, jeśli pozwoli myślom swobodnie błądzić.

Phil zasugerował, że McMahon i Gardiner byli zamieszani w jakiś fałszerstwo. Najprawdopodobniej podjęli nieprzemyślaną i całkiem nie w porę próbę wprowadzenia na rynek akwareli Turnera zaginionej od ponad stu lat. Annie się zgadzała z jego sugestią. Jeśli jednak tak właśnie było, to pozostawało pytanie, kto ich zabił i dlaczego. Leslie Whitaker nadal wydawał się najpewniejszym kandydatem na sprawcę, nawet jeśli na miejscu zdarzenia parkował jeep cherokee nie jego, lecz wypożyczony na nazwisko Williama Masefielda. Może to tylko podpucha? Albo auto z wypożyczalni nie ma żadnego związku z ich sprawą?

Annie już dawno wykluczyła Siddonsa i Asperna, chociaż od początku nie dowierzała chłopakowi. Śmierć Tiny była tragicznym, ale jednak przypadkiem, który na chwilę odciągnął ich uwagę: dziewczyna zginęła, ponieważ znalazła się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwej porze, a w dodatku w niewłaściwym stanie. Innymi słowy nie była zamierzoną ofiarą. W odróżnieniu od McMahon. Co

do Gardinera nie żywiła żadnych wątpliwości. Mężczyzna mieszkał sam i nie miał sąsiadów. McMahon i Gardiner znali się z czasów studiów na Politechnice Leeds. Obydwaj trzymali kiedyś sztamę z tajemniczym osobnikiem o nazwisku Giles Moore, który niezgodnie z prawdą przedstawiał się jako student historii sztuki.

Po co to robił? Jaki miał powód? Może był nałogowym kłamcą, a jeśli tak, to tę cechę mógł z łatwością wykorzystywać do działalności przestępczej. Giles Moore podawał się za studenta historii sztuki i według Elaine Hough znał się na sztuce, chociaż wszystko wskazuje na to, że nie zdobywał tej wiedzy na uniwersytecie. Czy to więc on przejął tożsamość Williama Masefielda i wynajmował auto, aby jeździć na spotkania z McMahonem? Spotkania dotyczyły planowanego przekrętu. Annie była pewna, że ktoś trzeci kierował całą grupą, a nie McMahon czy Gardiner. Czy tym mózgiem był Whitaker?

Pozostawało też pytanie: dlaczego ten More-Masefield-Whitaker, czy kimkolwiek był, zabił kurę, która zносиła złote jajka? Chyba że... No właśnie, może nie chodziło mu o Turnera, może planował coś innego i doszedł do wniosku, że wspólnicy zniweczą ten plan, a jego samego zdemaskują. Phil mówił, że szanujący się fałszerz wybiera mniej znanych artystów, którzy się sprzedają za niezłą cenę, ale nie przyciągają tak wielkiej uwagi jak Turner czy van Gogh. A Phil wie, co mówi. Siedzi w tym. Jest ekspertem. Lepiej też wybrać nieżyjących artystów, zwłaszcza jeśli zmarli na tyle dawno temu, że nie żyje już żaden ich znajomy, ponieważ łatwiej sfalszować historię takiego obrazu. O kogo więc mogło chodzić?

Do biurka podeszła Winsome, niosąc stos papierów z danymi, które wprowadzała do systemu HOLMES.

- Masz coś? - zapytała Annie.

- Niedługo sobie pozdzieram opuszki palców - powiedziała Winsome. - Nie wiem, czy to coś da. - Położyła papiery na biurku Annie. - Lista mandatów za parkowanie wystawionych w okolicy Ashkam Bar. Przy tak wielu numerach rejestracyjnych można chyba mieć nadzieję, że na coś się trafi, prawda?

- Syn Sama?
- No właśnie.
- Przydałoby się nam coś do picia.

Winsome wyszczerzyła zęby.

- Sama bym tego nie ujęła lepiej.

Annie przejrzała listę aut, których kierowców ukarano mandatami za niezgodne z przepisami parkowanie w okolicy wypożyczalni Kirka, skąd rzekomy William Masefield brał jeepa cherokee. Jeden z numerów rejestracyjnych natychmiast rzucił jej się w oczy. Pomyślała, że się pomyliła. Przecież to niemożliwe. Zerknęła ponownie. Może coś źle zapamiętała? Ale nie. Pamięć nigdy jej nie zawiodła.

Banks czuł się rozdrażniony, kiedy tego wieczoru dotarł do domu. Wiedział, że to przez tę kłótnię. Nie miał wrażenia, że zachowywał się natarczywie, może więc Annie zareagowała zbyt mocno? Miłość wywołuje czasem takie zachowania. Czy Annie się zakochała w tym facecie? Ta myśl nie poprawiła mu humoru, sięgnął więc po laphroaig, cask strength, nalał sobie solidną porcję i włączył płytę z kwartetami smyczkowymi Schuberta. Czy powinien był powiedzieć jej o Helen? Chyba jednak nie. Za to na pewno powinien porozmawiać z Keane'em i zasugerować mu, żeby sam jej powiedział. Przecież żyje w otwartym małżeństwie, cóż więc miałby do ukrycia? Annie nie byłaby zadowolona z takiego stanu rzeczy i z pewnością szybko by z nim zerwała, ale tym niech się martwi Keane.

Zastanawiał się, czy wrócić do Erica Amblera, czy obejrzeć w telewizji mecz Pucharu Europy, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Było za późno na komiwojażera, których zresztą ostatnio coraz mniej, a znajomy zapewne najpierw by zatelefonował. Zaintrygowany odstał szklankę i poszedł do drzwi.

Banks był zaskoczony i bardziej niż tylko trochę zakłopotany, widząc na progu Phila Keane'a z uśmiechem na twarzy i wyciągniętą ręką, w której trzymał butelkę. Chciał porozmawiać z Keane'em, ale nie we własnym domu i nie teraz, kiedy potrzebował samotności,

spokoju oraz kojących dźwięków Schuberta. Ale czasem trzeba korzystać z okazji, kiedy się nadarza.

- Mogę wejść? - zapytał Keane.

Banks odsunął się na bok. Keane wręczył mu butelkę.

- Mały prezent - oznajmił. - Podobno lubisz dobrą single malt.

Banks zerknął na etykietę. Glenlivet. Nie przepadał.

- Dziękuję - powiedział, wskazując gestem na swoją szklanę. - Ale właśnie sobie nalałem, skończę więc tamtą, jeśli się nie obrazisz. - Choć mogło to zakrawać na paranoję, Banks dziwnie niechętnie myślał o piciu czegokolwiek, co przyniósł ten facet, dopóki raz na zawsze nie wyjaśni się, kim on jest i do czego zmierza.

- Może masz ochotę? To z Islay, wysokoprocentowa.

Keane zdjął płaszcz, przewiesił go przez oparcie krzesła, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy Banksa.

- Nie, dziękuję - odmówił. - Nie lubię torfiastego aromatu, a cask strength jest dla mnie zdecydowanie za mocna. Poza tym prowadzę. Ale wypiję kropelkę tej, jeśli można.

- Oczywiście. - Banks przyniósł pustą szklanę, a przy okazji wizyty w kuchni uzupełnił swoją i wziął butelkę laphroaigu. Skoro miał zamiar porozmawiać od serca z Keane'em, to mógł jej potrzebować.

- Wiesz, jeśli się lepiej przyjrzeć, to jesteśmy bardzo do siebie podobni - stwierdził Keane, pociągając glenlivet i rozsiadając się wygodniej w fotelu.

- Dlaczego tak uważasz?

Keane omiół wzrokiem niebieskie ściany i sufit w kolorze dojrzalego brie, słabo oświetlony zasłoniętą abażurem żarówką lampy na stole.

- Obydwa lubimy w życiu dobre rzeczy - powiedział. - Świetna whisky, Schubert, angielski krajobraz. Zastanawiam się, jak płacisz za to wszystko z pensji policjanta.

- Obywam się w życiu bez złych rzeczy.

Keane uśmiechnął się.

- Rozumiem. Doskonale. W każdym razie mamy wiele wspólnego, cokolwiek by mówić. Także upodobanie do pięknych kobiet.
  - Zakładam, że masz na myśli Annie. Czy może chodzi o Helen?
  - Dopiero później Annie powiedziała mi o was. Nie wiedziałem, że wchodzę ci w paradę.
  - Nie wchodzisz.
  - Ale nie jesteś z tego powodu zadowolony, to widać. Zamierzasz jej powiedzieć?
  - O Helen?
  - Tak. Wspomniała mi o twojej wczorajszej wizycie.
  - Czarująca kobieta.
  - Powiesz jej?
  - Nie uważasz, że będzie lepiej, jeśli się dowie od ciebie?
  - A więc ona jeszcze nie wie?
  - Nie. W ogóle z nią na ten temat nie rozmawiałem. Nie wiem, jak się zachować. Może pomożesz mi podjąć decyzję?
  - W jaki sposób?
  - Przekonując mnie, że nie jesteś zakłamanym bękartem.
- Keane roześmiał się.
- Kiedy ja jestem bękartem, i to dosłownie - stwierdził. - Otwarcie się do tego przyznaję.
  - Dobrze wiesz, co miałem na myśli.
  - Posłuchaj - zaczął Keane. - Z Helen łączy mnie raczej relacja przyjacielska. To związek z obopólną korzyścią. Nie przeszkadza jej, że mam inne kobiety. Na pewno ci o tym powiedziała.
  - Ale jesteś żonaty.
  - Tak. Musieliśmy się pobrać. Była nielegalną imigrantką. Odesłaliby ją do Kosowa. Zrobiłem to, żeby ją ratować.
  - Bardzo szlachetnie z twojej strony! Nie kochasz jej?
  - Miłość? Co to takiego?
  - Jeśli nie wiesz, to nie potrafię ci wyjaśnić.
  - Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem - powiedział Keane, wpatrując się w swoją szklankę. - Przez całe życie musiałem polegać

na sobie, wóz albo przewóz. Nie miałem czasu na miłość. Na pewno nie chcesz spróbować? - Wskazał na butelkę, którą przyniósł.

Banks pokręcił głową. Zdał sobie sprawę, że jego szklanka jest pusta i nalał sobie jeszcze trochę laphroaigu. Alkohol już zaczynał działać, co zauważył, kiedy się poruszył. Postanowił więc, że tę szklaneczkę wysączy bardzo powoli, a później koniec.

- W każdym razie nie chodzi mi o to, czy Helen pozwala ci sypiać z innymi kobietami czy nie. Ważne, co czuje Annie.

- Nadal jesteś jej obrońcą? Rycerzem w lśniącej zbroi?

- Jej przyjacielem. - Banks miał wrażenie, że mówi trochę niewyraźnie, ale przecież nie wypił aż tak dużo, odkąd nalał sobie trzeciego drinka. Poza tym dzwoniło mu w uszach i zaczynał się czuć naprawdę zmęczony. Wziął się w garść. Przepracowanie.

Telefon komórkowy Keane'a zaczął wygrywać melodię.

- Nie odbierzesz? - zapytał Banks.

- Pewnie służbowy. Ktokolwiek dzwoni, może nagrać wiadomość. Posłuchaj, Alan, jeśli będziesz przez to spokojniejszy, to wyjaśnię Annie całą sytuację - obiecał Keane. - Jest tolerancyjna, na pewno zrozumie.

- Nie byłbym taki pewien.

- Tak? A dlaczego? Czyżbym o czymś nie wiedział?

- Znam Annie i wiem, że w głębi duszy jest bardziej tradycyjna, niż myślisz. Jeśli żywi do ciebie silne uczucie, to nie zechce grać drugich skrzypiec obok twojej żony, nawet jeśli wasze małżeństwo jest tylko fasadą, a twoja relacja z żoną czysto platoniczna.

- No cóż, zobaczymy, jak będzie.

- Kiedy więc jej powiesz?

- Przy najbliższym spotkaniu. Obiecuję. Jak idzie śledztwo?

Banks nie chciał z nim rozmawiać o śledztwie, chociaż Keane oficjalnie uczestniczył w nim jako biegły. Wzruszył więc tylko ramionami. Czuł się, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. Pociągnął łyk whisky. Szklanka też wydawała się ciężka, a kiedy odstawił ją na poręcz kanapy, poczuł, że się przewraca. Leżał na boku



i nie mógł się podnieść, choć próbował znów usiąść. Słyszał, że dzwoni jego telefon, za nic jednak nie zdołałby zwlec się z kanapy, żeby odebrać.

- Co z tym okazaniem, o którym wspominałeś? - zapytał Keane, a jego głos dobiegał z bardzo daleka. - Nie mogę się doczekać.

Banks nie potrafił wydusić z siebie słowa.

- To było bardzo sprytne posunięcie - ciągnął Keane. - Liczyłeś na to, że twój świadek rozpozna mnie, a nie Whitakera, prawda?

Banks nie zdołał zmusić języka, żeby się poruszył.

- W czym problem? - zapytał Keane. - Trochę za dużo alkoholu?

- Idź już - wydusił z siebie Banks, choć prawdopodobnie zabrzmiało to, jakby chrząknął.

- Nie sądzę - kontynuował Keane. - Chyba już działa. Spróbuj teraz wstać. No, spróbuj!

Banks spróbował. Udało mu się poruszyć ledwie o centymetr, może dwa. Był zbyt ciężki.

- W końcu zaśniesz - mówił dalej Keane, a słowa odbijały się teraz monotonnym echem, jak głos hipnotyzera. - A rano nie będziesz niczego pamiętał. To znaczy niczego byś nie pamiętał, gdybyś miał doczekać rana. Ale nie doczekasz. Naprawdę się dziwię, że nie masz tu praktycznie żadnych zabezpieczeń, jesteś przecież policjantem. Dziecinnie łatwo było wejść po zmroku przez okno i dodać trochę flunitrazepamu do twojej ulubionej whisky. Cask strength ma wystarczająco mocny smak, żebyś nie poczuł goryczki leku. Idealnie więc się nadawała. Nazywają to pigułką gwałtu, ale nie martw się, nie zamierzam cię gwałcić.

- Coś nie tak, szefowo? - zapytała Winsome, pochylając się nad nią.

- Znam ten numer. - Annie wskazała pozycję na liście. - To bmw Phila.

- Jest pani pewna?

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale pamiętam takie rzeczy. Nie ma mowy o pomyłce. Siedemnastego września dostał mandat za parko-

wanie dwie ulice od wypożyczalni Kirka.

Winsome zerknęła do notatek.

- Jeden z dni, kiedy Masefield wypożyczył jeepa cherokee - powiedziała. - Ale to nie ma sensu. Może się pomylił funkcjonariusz wystawiający mandat?

- Może - mruknęła Annie przejęta, ponieważ właśnie zaczęła sobie uświadamiać, co ją tak nurtowało. Podczas kłótni Banks stwierdził, że widział Phila tylko kilka razy, ale potem Phil powiedział jej, że spotkał Banksa tylko raz. Jeden raz. Do restauracji wybrali się we trójkę w zeszły weekend, a więc już kilka dni temu, tymczasem rano Banks mówił, że nie widział Phila od dwóch dni. Dlaczego? Czy potem jeszcze się z nim spotkał? Jeśli tak, to w jakim celu? Co przed nią ukrywali?

Może nie powinna się w tym niczego doszukiwać. Zwyczajne przejęzyczenie. Ale czy na pewno? Teraz znowu numer rejestracyjny bmw. Uświadomiła sobie, że Phil wkroczył na scenę zeszłego lata, kiedy zarówno Roland Gardiner, jak i Thomas McMahon zaczęli opowiadać ludziom, że ich los się odmienił. Ona sama poznała go na przyjęciu z okazji wystawy Turnera, a miesiąc później zatelefonował z propozycją spotkania zdeterminowany, żeby nie dać się spławić.

Annie coraz mniej się podobał kierunek, w którym podążały jej myśli. Choć się przed nimi broniła, zaczęły do niej docierać pewne fakty. Przypomniała sobie wieczór, kiedy przerwano jej kolację z Philem, wzywając do pożaru na Jennings Field. Stało się oczywiste, dlaczego benzyna nie pasowała do tej z baku jeepa Cherokee. Phil korzystał wtedy z własnego bmw. Nie mógł przyjechać na kolację z nią w wypożyczonym cherokee, którego szukała cała policja, poza tym nie miałyby czasu, żeby go porządnie wyczyścić i zwrócić. Warto zaryzykować, żeby zyskać takie alibi. Annie dawała Philowi nie tylko alibi, ale też informacje z pierwszej ręki o postępach śledztwa. Pierwsza ręka? Chyba raczej pierwsza dupa!

- Na pewno istnieje jakieś proste wytłumaczenie - zasugerowała Winsome. - No i ta data, na długo przed morderstwami. To może być

najzwyczajniejszy zbieg okoliczności.

- Wiem - powiedziała Annie, uświadamiając sobie, że mniej więcej wtedy Phil zatelefonował do niej po raz pierwszy, żeby się umówić. - Ale musimy to sprawdzić.

Trzęsły jej się ręce, ale wybrała numer telefonu komórkowego Phila.

Brak odpowiedzi. Poczta głosowa.

Zadzwoiła na domowy telefon Banksa.

Brak odpowiedzi. Po kilku dzwonekach odezwała się automatyczna sekretarka. Nie zostawiła wiadomości. Spróbowała na komórkę. Wyłączona.

Dziwne. Przecież Banks mówił, że jedzie prosto do domu. Oczywiście mógł pojechać gdziekolwiek albo zwyczajnie nie odbierał telefonu. Istniały setki możliwych wyjaśnień. Ale Banks zawsze był dostępny podczas śledztwa, tak czy inaczej, zwłaszcza gdy sprawa zbliżała się do końca. Nigdy wcześniej, przez cały ten czas, kiedy razem pracowali, nie zdarzyło się, żeby nie mogła się do niego dodzwonić. Udawało się zawsze, o każdej porze dnia i nocy.

Miała mętlik w głowie i czuła niepokój. Nie mogła tak po prostu siedzieć. Tę sprawę trzeba było wyjaśnić do końca. I to natychmiast.

- Winsome - powiedziała. - Masz ochotę się przejechać na wieś?

## Rozdział 18

Banks musiał ze sobą walczyć, żeby utrzymać przytomność. Wiedział, że im dłużej zachowa świadomość, tym większe ma szanse na przeżycie. Praktycznie nie mógł się poruszyć, jego ciało było jak z ołowiu. Usiłował zachować resztkę sił, która mu pozostała, bo kiedy Keane podłoży ogień, co niewątpliwie zamierzał uczynić, to zaraz potem wyjdzie, a wtedy Banks spróbuje się uratować. Jeśli nie straci świadomości. I jakoś zdoła się podnieść. McMahon i Gardiner nie przeżyli. To osłabiało jego pewność siebie, ale kurczowo się trzymał nadziei, nawet jeśli niewiele potrafił jej z siebie wykrzesać.

- Zdecydowałem się na ten krok, ponieważ jesteś jedynym, który mnie podejrzewa - ciągnął Keane. - Annie nie przyszło to do głowy i z pewnością nie przyjdzie. Wiem, że nie podzieliłeś się z nią swoimi podejrzeniami, z nikim innym zresztą też nie. Nie wpisaliście mnie na listę podejrzanych, a mam pewność, że dobrze zatarłem za sobą ślady. Jeśli więc usunę cię ze swojej drogi, to mogę się czuć bezpiecznie.

*Burgess* - pomyślał Banks mimo oglupienia i senności. - *Dick Burgess*. Keane nie mógł wiedzieć, że Banks poprosił go o pomoc. Brudny Dick się domyśli, kto za tym stoi i nie spocznie, dopóki nie odszuka Keane'a. Tylko słaba to pociecha, skoro Banks będzie wtedy martwy.

Banks czuł, że chwilami traci świadomość. Nadal słyszał Keane'a, ale część jego słów do niego nie docierała. Potrafił myśleć tylko o tym - jeśli można było to nazwać myśleniem - że niedługo umrze. W płomieniach. Przypomniawszy sobie obraz małej dziewczynki uwiecznionej przez pożar w modlitewnej pozie. Zwęglonego aniołka kłęzącego przy łóżku, który na zawsze wyrył się w jego pamięci. „Kiedy za chwilę do snu głowę swoją złożę, opiekuj się mą duszą, dobry

Panie Boże”. Banks usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe i poczuł powiew chłodnego powietrza, który ożywił go na tyle, że podjął jeszcze ostatnią próbę, żeby się podnieść. Zdołał tylko zsunąć się z kanapy i uderzyć głową o ostry kant stolika. Leżał na podłodze, czując skapującą do oka krew. Coraz więcej wysiłku wymagało zachowanie przytomności. Drzwi znowu się zamknęły, a potem na podłogę chlusnęła benzyna. Dobiegł go jej zapach, a opary jeszcze bardziej obezwładniły. Chciał tylko przytulić się do podłogi i zasnąć. Muzycy grali andante z kwartetu d-moll *Śmierć i dziewczyna*. Banks pomyślał, że to ostatni utwór, jaki w życiu słyszy.

Annie nie śpieszyło się aż tak bardzo, kiedy przemierzały dolinę w drodze do domu Banksa. Czuła, że musi się z nim spotkać, porozmawiać o tym, co właśnie odkryła i co zaczynała podejrzewać. Za kierownicą siedziała Winsome, której najwyraźniej udzielił się wewnętrzny niepokój Annie, ponieważ zaczęła naśladować Damona Hilla najlepiej, jak potrafiła.

Zwolniła, kiedy przejeżdżały przez Fortford. Gdzieniedzie za zaciągniętymi zasłonami paliło się światło, a w kilku oknach Annie dostrzegła migotanie ekranu telewizora. Zgarbiony starszy mężczyzna szedł ze swoim collie w kierunku pubu Rose and Crown. Do Helmthorpe prowadziła dalej prosta droga w terenie niezabudowanym, nic tylko ciemne sylwetki drzew na nocnym niebie, światła odległych gospodarstw i księżyc połyskujący w spokojnej rzece. Na głównej ulicy Helmthorpe kręciło się kilka osób i Annie domyśliła się, że idą na noc z muzyką folk w Dog and Gun. Sklep wielobranżowy był nadal otwarty, a kolejka w barze po rybę z frytkami niemal wychodziła na ulicę. Annie czuła głód, mimo zjedzonej kanapki z sałatą. Winsome mogłaby się tu zatrzymać. Co prawda Annie nie jadła ryby, ale jeśli frytki smażyli na oleju roślinnym, to chętnie by je schrupała z solą i odrobiną octu słodowego. Zapanowała jednak nad głodem. Zje coś później.

Winsome ostro skręciła w lewo tuż za szkołą, tylko trochę piszcząc

oponami, po czym gładko wjechała na drogę prowadzącą pod górę do Gratly. Tuż przed wioską od szosy odchodziła wąska droga w prawo prowadząca do domku Banksa. Kiedy się tam zbliżyły, wyjechał z niej samochód i szybko się od nich oddalał. Nie było to renault Banksa.

- To samochód Phila - stwierdziła Annie.
- Na pewno? - zapytała Winsome.
- Nie, to niemożliwe. Powiedział mi, że jest w Londynie.

Winsome zatrzymała się przed skrzętem.

- Mam za nim jechać?

Annie zastanawiała się przez chwilę. Dobrze byłoby zyskać pewność. Tylko co Phil miałby o tej porze robić u Banksa, jeśli to rzeczywiście był jego samochód?

- Nie - zdecydowała. - Nie ma sensu ganiać się za nim na wrzosowiskach. Nie po to tu przyjechałyśmy. Sprawdźmy, czy Alan jest u siebie.

Winsome skręciła do domu Banksa i po chwili zobaczyły płomienie wspinające się po zasłonach w salonie. *Chryste, nie!* pomyślała Annie. Nie po tym wszystkim. Chyba nie przyjechała za późno? Płomienie szalały już w całej przedniej części domu.

- Zadzwoń po straż - krzyknęła Annie, pośpiesznie odpinając pas bezpieczeństwa, żeby wyjść z samochodu. - Powiedz im, że jest zagrożenie życia i chodzi o policjanta!

Miała nadzieję, że dzięki temu strażacy się pośpieszą. Miejscowa komenda była obsadzona kontraktowcami, którzy potrzebują dodatkowych pięciu minut, żeby zareagować na pager, zanim dotrą do remizy. Na terenach wiejskich dojazd do pożaru zajmuje średnio osiemnaście minut. Do tego czasu z domku nie zostanie nic.

Annie nie mogła stać i tylko się przyglądać płomieniom. Wiedziała, że najgorszym możliwym rozwiązaniem jest w takim wypadku otwarcie drzwi, ponieważ do środka dostaje się wtedy świeże powietrze, ale tylko przez nie mogła wyciągnąć stamtąd Banksa żywego. Jeśli jeszcze żył. Annie wyciągnęła z bagażnika wełniany koc. Na szczęście deszcz zostawił kilka kałuż w dziurawej drodze. Zmoczyła

koc, po czym otuliła się nim, staranie zakrywając przede wszystkim twarz i włosy.

Winsome otworzyła drzwi od strony kierowcy, wciąż trzymając w dłoni telefon komórkowy.

- Co pani robi, szefowo? - krzyknęła. - Nie może pani tam wejść! Sama pani to wie!

- Zadzwońska?

- Tak. Jadą. Ale...

Annie podeszła do drzwi.

Zamknięte.

- Szefowo!

Cofnęła się trochę, po czym kopnęła w okolicę zamka. Trzeba było trzech prób, zanim się w końcu udało. Cholernie bolała ją noga, ale drzwi odskoczyły. Ogień natychmiast się nasilił, jak przewidywała. Przez huk płomieni słyszała, jak Winsome coś do niej krzyczy, ale nie mogła się zatrzymać. Wzięła głęboki wdech i wpadła do środka. Miała tylko kilka sekund, jeśli w ogóle. W domu unosił się gęsty dym, a przez koc, którym zakrywała usta i nos, przesączały się opary benzyny. Natychmiast poczuła wysoką temperaturę, a płomienie lizały jej kostki i łydki. Nie wiedziała, że pożar może powodować taki hałas. Krzyczała do Banksa, choć wiedziała, że on nie zdoła odpowiedzieć. Na pewno leżał otumaniony flunitrazepamem, jak tamci. Salon był mały. Annie doskonale знаła jego rozkład. Siedziała tam wystarczająco często, żeby wiedzieć o niskim stoliku między kanapą a fotelami, nie groziło jej więc, że się o niego potknie.

Płomienie ryczały, kłębił się dym. Ze ściany spadł obraz i rozbiło się szkło. Piekły ją oczy. Czowała, że musi zaczerpnąć powietrza. Miała wrażenie, że za chwilę eksplodują jej płuca.

Wtedy go zobaczyła, tylko nogę w kłębach dymu na podłodze przy stoliku. Podbiegła. Nie masz czasu na subtelnosci, Annie, powiedziała sobie, odrzucając stolik. Potem obydwoma rękami chwyciła nogi Banksa i szarpnęła. Bezwładne ciało przesunęło się po dywanie. Annie poczuła ból stawów.

Głowa Banksa uderzyła o nogę stolika, kiedy wyciągała go zza kanapy. Nie widziała wyraźnie, ale czuła, że otwarte drzwi znajdują się za nią. Musiała tylko się cofać, wlokąc Banksa po podłodze. Bała się, że zasłabnie od dymu i gorąca, ale szarpała z całych sił. Poczowała chłód, kłujący ją w plecy przez koc. Prawie się udało. Obok niej spadł fragment dachu i płomień opaliły jej brwi. Nie mogła już ciągnąć dalej. Czuła, że opuszczają ją siły. A była tak blisko! Powietrze drgało jej przed oczami. Ugięły się pod nią kolana i zaczęła przewracać się w przód.

Chwilę potem poczuła, że podnosi się do góry. Przeleciała nad szosą. Kiedy wylądowała w błocie, przetarła oczy. Winsome kończyła zadanie, wywlekając ciało Banksa przez drzwi na zewnątrz. Annie położyła się na plecach z ramionami szeroko rozłożonymi w błocie, nadal owinięta w wełniany koc. Winsome stała już na zewnątrz. Jeszcze kilka kroków i Banks znajdzie się poza zasięgiem płomieni. Jego głowa obijała się o schody. Annie nie wiedziała, czy Banks żyje. Nie chciała nawet na niego spojrzeć, bojąc się, że oszpecił go ogień. Albo zobaczy nieruchome ciało z otwartymi oczami.

W końcu Winsome zostawiła Banksa kilka metrów od płonącego budynku i podbiegła do Annie.

- W porządku, szefowo?
- Nic mi nie jest - odpowiedziała Annie.
- To był cholernie głupi pomysł, jeśli wolno mi tak powiedzieć.
- Alan...?
- Nie wiem. Wyciągnęłam was stamtąd, ale zupełnie opadłam z sił.

Annie odrzuciła koc i wzięła głęboki oddech. Potem kolejny. Zimne powietrze przyprawiło ją o zawroty głowy. Obie z Winsome podeszły do Banksa. Jego ubranie jeszcze się tliło, Annie przykryła go więc wilgotnym kocem. Twarz miał czarną od dymu i nie dało się stwierdzić stopnia oparzeń. Annie modliła się, żeby były niewielkie. Wstrzymała oddech, po czym pochyliła się, żeby sprawdzić, czy Banks żyje. Chyba oddychał. Niestety nie mogła podać mu tlenu.



Wściekała się, że strażacy i pogotowie jeszcze nie dotarli. Nie wiedziała nawet, czy stosując sztuczne oddychanie, pomogłaby mu, czy zaszkodziła. - Żyj, skurczybyku, żyj! - wyszeptwała. Poczula, jak Winsome kładzie jej dłoń na ramieniu. Wtedy usłyszała w oddali wyczekiwaną syrenę wozu strażackiego.

Dopiero w środku nocy Annie wróciła wreszcie do domu ze szpitala, nieludzko zmęczona, przy łóżku Banksa zostawiając nadinspektora Gristhorpe'a. Oczywiście nie wyrobiła się z papierkową robotą - bez dokumentów nigdy się nie obejdzie - ale to mogło poczekać do rana. Nad Banksem nadal wisiało niebezpieczeństwo. Przede wszystkim nie odzyskał przytomności. Annie powiedziała lekarzowi, że najprawdopodobniej podano mu rohypnol albo inny podobny środek, zapewne rozpuszczony w alkoholu. Ogień poparzył ciało Banksa, przede wszystkim prawą nogę i prawy bok, które znajdowały się najbliżej jednego z ognisk pożaru, a także jedną stronę twarzy. Były to oparzenia drugiego stopnia, z pęcherzami, które okażą się bardzo bolesne i prawdopodobnie zostawią po sobie blizny. Płytko oddychał i do płuc nie dostała się duża ilość dymu ani gazów pożarowych, które mogłyby wyrządzić poważne szkody. Obrażenia głowy od stolika i stopni schodów okazały się lekkie.

Annie kręciła się po domu jak zombie. Wiedziała, że powinna iść do łóżka, ale i tak by nie zasnęła. Musiała się napić. Nieczęsto sięgała po alkohole wysokoprocentowe, ale ta noc wymagała czegoś mocniejszego niż wino, naląła więc sobie koniaku. Dostała ataku kaszlu po pierwszym łyku piekącego płynu.

Kiedy pierwszy raz zerknęła w lustro, z zaskoczeniem zobaczyła swoje ubłocone włosy, osmaloną twarz i przerażone oczy. Lekarka badająca ją i Winsome niechętnie wypuściła ją do domu, nie znalazła jednak żadnych poważniejszych obrażeń, nie miała więc powodu do jej hospitalizacji. Annie upierała się, że nic poważnego jej nie dolega. Bo nie dolegało, przynajmniej fizycznie. Bolały ją mięśnie, miała posiniałą i opuchniętą stopę od kopania w drzwi, ale poza tym ogień i

dym nie wyrządziły jej praktycznie żadnej szkody. Szacowała, że w płonącym budynku spędziła nie więcej niż trzydzieści sekund. Oczywiście od dowódcy oddziału straży zebrała niezły opierdół za to, że w ogóle tam weszła, ale wyczuwała, że zjechał ją tylko z obowiązku, po cichu zaś aprobował jej decyzję. Musiał wiedzieć tak samo dobrze jak Annie, że nie było innego sposobu, żeby uratować Banksowi życie.

Phil. Philip Keane zrobił to wszystko. Wciągnął do spółki dawnych kolegów z politechniki, McMahona i Gardinera, oni tymczasem się zwąchali i wystąpili przeciwko niemu. Za to ich zabił. To musiało tak być. Tylko takie wytłumaczenie miało teraz sens. Philip Keane, a nie Leslie Whitaker był Gilesem Moore'em. Philip Keane, a nie Leslie Whitaker przejął tożsamość Williama Masfielda, a prawdopodobnie także go zabił.

Annie doszła do wniosku, że nigdy nie zrozumie, jak mogła poczuć coś do człowieka, który był zdolny zrobić coś takiego. Jak mogła myśleć, że go kocha? Iść z nim do łóżka? Na myśl o tym dostawała teraz gęsiej skórki.

Zrozumiała, że Phil, czy jak tam naprawdę miał na imię, był wyjątkowo rzadkim okazem: połączeniem oszusta z bezlitosnym zabójcą. Oszuści zwykle nie zabijają, chyba że przyparciu do muru nie widzą innej możliwości. Tak właśnie musiało się stać. Bał się zdemaskowania. Ruiny. Więzienia.

Phil Keane sprawiał, że ludzie czuli się wyjątkowo, tylko po to, żeby nimi manipulować. Jak kameleon przeistaczał się z jednej tożsamości w drugą, zostawiając po sobie chaos. Robił to dla zysku i żeby chronić siebie. Annie z niedowierzaniem pokręciła głową, dziwiąc się własnej ślepotcie. Jak niewiele wiemy nawet o tych, którzy są nam bliscy, pomyślała. Phil Keane trzymał swoje prawdziwe ja zamknięte w ciemnym, sekretnym miejscu, do którego nikt nie miał dostępu. Wszyscy pozostali widzieli to, co im pokazywał; wierzyli w to, co podał im do wierzenia.

Naprawdę potrafił sprawić, że ktoś czuł się wyjątkowy.

Annie wypła duszkiem koniak i nałała sobie kolejną solidną porcję. Niech tam! Czowała się, jakby znów została zgwałcona. Nie potrafiła stwierdzić, czy bardziej nienawidzi Phila za to, że zabił McMahona i Gardinera oraz chciał zabić Banksa, czy za to, że tak bardzo ją oszukał. Wykorzystywał ją od samego początku, tego była pewna. Najpierw nie zamierzał zabić McMahona ani Gardinera, tylko wejść z nimi w układ. Zrobił to w sierpniu, a więc wtedy, kiedy zaczął o nią zabiegać. Niewątpliwie uznał, że przyda mu się ktoś, kto zna wszystkie poczynania miejscowej policji. Na dodatek im się wymknął.

Prowadzono oczywiście wielką obławę, Annie wątpiła jednak, czy go znajda. Był prawdziwym kameleonem. W serialu telewizyjnym ogłosiliby światu śmierć Banksa, po czym Annie czekałaby, aż Phil się z nią skontaktuje, żeby złożyć kondolencje z powodu straty przyjaciela.

Ale w prawdziwym życiu reporterzy pojawili się na miejscu niemal tak szybko jak strażacy. Gorący news. Banks był powszechnie znanym detektywem, który miał na koncie wiele udanych śledztw. Prawie natychmiast regionalna telewizja i stacje radiowe poinformowały dobrych obywateli Eastvale - oraz niewątpiwie całą resztę Anglii - że inspektor Alan Banks został wyciągnięty z płonącego domu przez dwie bohaterskie policjantki, detektyw Annie Cabbot i posterunkową Winsome Jackman, po czym trafił do szpitala w Eastvale. Nie było możliwości, żeby Phil tego nie usłyszał, musiał więc wiedzieć, że gra się skończyła. Teraz zniknie, by pojawić się jako ktoś inny.

Annie śmierdziała dymem, chciała więc iść na górę i oczyścić się pod gorącym prysznicem. Zabrała ze sobą do łazienki koniak. Pomyślała, że technicy przeszukają domek Keane'a centymetr po centymetrze. Chociaż Phil był drobiazgowy i pedantyczny - nie miała wątpiwości, że wszystko po sobie czyścił - to istniała szansa, że coś znajda. Włos. Odcisk palca. Cokolwiek.

Zdjęła ubranie i wrzuciła do kosza na brudy. Zauważyła, że jej

stopa zrobiła się żółto-czarno-niebieska. Ale przynajmniej nie była złamana. Zapewniła ją o tym lekarka.

Annie oparła się o umywalkę i patrzyła na swoją czarną twarz. Wyglądała jak żołnierz idący do walki. Nie potrafiła zrozumieć wyrazu swoich oczu i nie wiedziała, co czuje. Już miała zacząć kąpiel, kiedy zauważyła na umywalce szczoteczkę do zębów. Przypomniała sobie, że kiedy Phil został na noc kilka dni temu, dała mu ją, i wyglądało na to, że jej użył. Od tamtej pory nie sprzątała łazienki.

Sięgnęła do szafki pod umywalką po plastikową torebkę i wrzuciła do niej szczoteczkę. Kto wie, może zachowało się na niej DNA Philipa Keane'a? Pewnego dnia złapią w końcu tego bydlaka, a wtedy każdy dowód się przyda.

Dopiero po dwóch dniach lekarze zezwolili Banksowi na przyjmowanie gości i Annie poszła pierwsza. Za oknem przez pokrywę chmur od czasu do czasu przebijały się snopy światła słonecznego. Ciężkie kwiaty ożywiały oliwkową szpitalną salę.

Banks leżał wsparty na poduszkach, wpatrując się w deszcz za oknem. Jedną stronę twarzy miał posmarowaną maścią z antybiotykiem i zabandażowaną. Annie pomyślała, że wygląda na bardzo wycieńczonego, ale w jego oczach wciąż tliło się życie. Życie i coś jeszcze, czego nie dostrzegala w nich przedtem. Nie potrafiła określić, co to było.

Stracił wszystko. Jego domek spłonął doszczętnie. Na własne oczy widziała, jak zamienił się w pozbawiony dachu szkielet. Cały dobytek Banksa poszedł z dymem: płyty kompaktowe, ubrania, meble, sprzęt stereofoniczny, pamiątki, fotografie rodzinne, dokumenty, listy - wszystko. Został mu tylko samochód i kilka rzeczy osobistych, które trzymał w pracy. Czy o tym wiedział? Na pewno ktoś go poinformował.

- Jak się czujesz? - zapytała, kładąc dłoń na jego odkrytym przedramieniu obok miejsca, w którym tkwił wenflon.

- Nie narzekam - odparł. - I tak nikt by nie słuchał.

- Dobrze cię tu traktują?  
- W zasadzie dobrze, przeciętnie, powiedzmy. Głównie się nudzę. Ty...

Annie wręczyła mu piersiówkę.

- Niestety nie laphroaig - powiedziała.  
- I dobrze - stwierdził, wrzucając piersiówkę do szuflady. - Nie wiem, czy mój żołądek by to zniósł.

- Co mówią lekarze?

- Powinienem dojść do siebie. Ale mogą zostać blizny. Czas pokaże. Przynajmniej ból głowy minął. Najgorszy, jaki miałem w życiu.

- Oparzenia bolą?

- Cholernie, ale trzymają mnie na przeciwbólowych. Sparzyłaś kiedyś palec?

Annie skinęła głową.

- To pomnóż tamten ból razy kilka tysięcy i będziesz mniej więcej wiedziała. Rzecz w tym, że przy poparzeniach drugiego stopnia końcówki nerwowe pozostają nienaruszone. Dlatego tak boli. Nie wiedziałem o tym. Mieszki włosowe i gruczoły potowe także pozostają nietknięte. Niszczą się tylko górne warstwy skóry. Ale wiesz, co jest najgorsze?

- Co?

- Utrata pamięci. Ni cholery niczego nie pamiętam, odkąd otworzyłem drzwi do chwili, kiedy się obudziłem tutaj. Oprócz smaku whisky. Lekarz mówi, że pamięć może wrócić, ale nie musi. Równie dobrze mógłby nic nie powiedzieć, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Tracy była kilka razy i jeszcze przyjdzie - powiedziała Annie. - Brian telefonował. Jest w Amsterdamie z zespołem. Pytał, czy jest tu potrzebny.

- Raczej tak. Przecież za kilka dni wracam do domu.

*Chryste! Biedak nic nie wie!* pomyślała Annie.

- Widzisz, Alan... - zaczęła. - Na twoim miejscu nie planowałabym... no wiesz, chodzi mi o twój dom. Pożar spowodował znaczne

szkody.

Banks spojrzał na nią, jakby potwierdzała coś, co już podejrzewał i skinął głową.

- No cóż, ale i tak mnie stąd wypiszą.

Annie wręczyła mu opakowany prezent.

- Cały zespół się na to złożył.

Banks rozpakował pudełko. Wewnątrz znalazł przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych i egzemplarz *Don Giovanniego* Mozarta.

- Nie wiedzieliśmy, co byś chciał - dodała. - Kev wpadł na ten pomysł. To chyba jedyna opera, o jakiej słyszał. Baterie są w środku.

- Dobry wybór - powiedział Banks. - Podziękuj wszystkim ode mnie.

- Niedługo sam im podziękujesz.

Przez chwilę Banks obracał w dłoniach odtwarzacz, wpatrzony w dal, jakby chciał zapanować nad emocjami.

- Złapaliście go już? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Annie. - Jeszcze nie. Ale złapiemy. To tylko kwestia czasu.

- Powiedz mi, co ustaliliście.

Annie wyprostowała się na krześle.

- Całkiem sporo - oceniła. - Policja manchesterska znalazła jego bmw zaparkowane na lotnisku, co oznacza, że mógł polecieć wszędzie. Sprawdzamy największe linie lotnicze oraz główne dworce kolejowe, ale nic to jeszcze nie dało. Wiejski dom wcale nie był w rękach jego rodziny od pokoleń. Wynajął go od małżeństwa mieszkającego w południowym Londynie. Mamy odciski palców i DNA, ale przeszukiwanie baz danych na razie niczego nie dało.

- Czyli jest czysty?

- Niezupełnie - zaprzeczyła. - Analiza spektralna wykazała, że paliwo z baku bmw zostało użyte do wzniesienia pożaru przyczepy Gardinera oraz...

- Oraz?

- Twojego domu.

- To znaczy, że do Gardinera pojechał swoim samochodem?
- Musiał - stwierdziła Annie, odwracając wzrok. - Gdy wybuchł pożar, jadł ze mną kolację w The Angel.

Banks przez chwilę milczał.

- Coś jeszcze? - zapytał w końcu.
- Jego odciski pasują do rozmazanego śladu, który technicy znaleźli w cherokee z wypożyczalni. Potwierdziło się więc to, co już przypuszczaliśmy.

- Że zabójca przejął tożsamość Masefielda?

- Tak. Specjaliści od spraw gospodarczych sprawdzili inwestycje Masefielda. Okazało się, że prowadził interesy z jakimś Ianem Langiem reprezentującym firmę Olympus Holdings zarejestrowaną na Wyspach Dziewiczych. Nasi nie mieli jednak zbyt wiele szczęścia, jeśli chodzi o szukanie pana Langa i jego przedsiębiorstwa.

- Jakoś mnie to nie dziwi - powiedział Banks. - Coś więcej o Masefieldzie?

- Wiemy tylko, że studiował w Leeds w interesującym nas okresie, zakładam więc, że rzekomy Giles Moore, jeśli jego właśnie szukamy, musiał go tam jakoś poznać, a potem utrzymywać z nim kontakt. Jest bardzo prawdopodobne, że Keane najpierw przyłożył rękę do tego, że Masefield stracił wszystkie swoje pieniądze, a potem go zabił. Nie wiemy jednak na pewno. Może tylko skorzystał z okazji. Może Masefield naprawdę popełnił samobójstwo, bo przecież wszyscy zeznawali, że przechodził depresję i za dużo pił, a Keane tylko znalazł go martwego, zrobił co trzeba, żeby przejąć jego tożsamość, a potem wznicił pożar. Tak czy owak był zamieszany w jego śmierć.

- Na pewno - zgodził się Banks. - Z łatwością mógł się podawać za Masefielda, jeśli choć trochę był do niego podobny. Niesamowite, co można zrobić za pomocą okularów, grzebienia i farby do włosów, lekko się garbiąc oraz wypinając brzuch.

- No właśnie. Rozmawiałam ponownie z Elaine Hough. Niechętnie przekazała mi kilka listów napisanych do niej przez Gilesa Moore'a. Wyjaśniła, że wcześniej nie chciała nikomu ich pokazywać.

Niestety nie znaleźliśmy żadnych odcisków, ale porównaliśmy je z próbkami pisma Keane'a i grafolog wstępnie stwierdził, że może to być ta sama osoba. Trudno jednak o pewność, kiedy porównywane próbki dzieli tyle lat. Na pewno nie utrzymałoby się to w sądzie.

- Zawsze coś na początek - stwierdził Banks. - Możesz jej pokazać zdjęcie Keane'a?

- Nie mamy jego zdjęcia - odparła Annie. - Kolejnym problemem jest to, że nie możemy nijak ustalić pochodzenia Gilesa Moore'a. Nie ma wątpliwości, że istniał dla Elaine Hough, a także McMahona, Gardinera i Masefielda oraz tych wszystkich, z którymi się zadawał w Leeds. Poza tym jednak nie zostały po nim żadne ślady. Zdajesz sobie sprawę, że możemy go nigdy nie odnaleźć?

- Ktoś taki musi być ponadprzeciętnie inteligentny - stwierdził Banks. - Keane i Moore to prawdopodobnie niejedynie tożsamości, którymi się posługiwał. Może był też Ianem Langiem, a Bóg raczy wiedzieć, kim jest teraz i gdzie. Jeśli jednak dobrze go odczytuję, to miał zaplanowaną drogę ucieczki, zupełnie nową tożsamość na wypadek dekonspiracji. Założę się, że jest już za granicą. On to robił przez całe życie, Annie. Oszukiwał ludzi, kradł tożsamości. Może tym razem zabił po raz pierwszy, a może nie. Ale prowadzi tę grę od bardzo dawna. Zobacz tylko, jak nabrał nas. - Banks zaakcentował ostatni wyraz.

Annie wyjęła z torby tani notatnik w sztywnych kartonowych okładkach i postukała w nie palcem.

- Znaleźliśmy to w domu, który wynajmował - wyjaśniła. - Jeden z techników odkrył fałszywy sufit w szafie. Wymiary się nie zgadzały. W środku był ten notes, paszport na nazwisko Ewana Collinsa oraz około dwudziestu tysięcy funtów piątkami i dziesiątkami.

- A więc nie miał czasu, żeby po to pojechać - myślał na głos Banks. - To znaczy, że może nie mieć paszportu, którym mógłby się posłużyć.

- To znaczy, że może nadal przebywać w kraju.

Banks zerknął na notes.



- Co to jest? - zainteresował się.

- Pamiętnik Rolanda Gardinera. Wygląda na to, że zaczął go prowadzić po pierwszej wizycie Keane'a. Jest naprawdę wzruszający. Elaine Hough wspominała, że Gardiner bawił się w pisanie podczas studiów na politechnice.

- Wnosi coś nowego?

- Nie bardzo. To raczej osobisty, poetycki zapis niż cokolwiek innego. Gardiner dał się nabrać na ekscytującą przygodę, którą mu zaproponował Keane. Ale przynajmniej pamiętnik pozwala wyjaśnić, dlaczego obydwaj musieli umrzeć. Przez McMahona, który nie tylko zrobił się chciwy, ale też zamierzał zaprezentować sfałszowanego Turnera jako oryginał. Gardiner pisze, że McMahon był zgorzkniały i chciał się zemścić za to, że świat nie docenił jego wielkiego talentu. Doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem będzie wyciąć wszystkim jakiś numer. Naprawdę wielki numer.

- A Keane?

- Pragmatyczny jak zawsze - odpowiedziała Annie. - McMahon chciał go zmusić szantażem, żeby poświadczył autentyczność Turnera. Groził, że jeśli Keane nie przyłoży do tego ręki, to on poda prasie, policji, galeriom i marszandom listę sfałszowanych obrazów, które za pośrednictwem Keane'a trafiły na rynek jako autentyki. To zrujnowałoby Keane'a i prawdopodobnie zaprowadziłoby go do więzienia. McMahon natomiast mógłby twierdzić, że on tylko malował fałszywki, ale ich nie sprzedawał jako oryginały. Keane musiał sobie zdawać sprawę, jakie kłopoty ściągnąłby na niego McMahon, malarz zaczął mu się więc kojarzyć bardziej z zagrożeniem niż z zyskami. Wtedy Gardiner też stał się zbędny, bezużyteczny.

- Dlaczego Keane zachował ten pamiętnik? Dlaczego nie pozwolił mu spłonąć?

- Próżność - rzekła Annie. - Nie wspomina go z nazwiska ale cały jest o nim.

- Jaka była rola Gardinera?

- Falszował pochodzenie obrazów: listy, stare katalogi, dowody

sprzedazy. Takie rzeczy. Pośredniczył między nieistniejącymi właścicielami a galeriami i domami aukcyjnymi. McMahon umiał malować obrazy, ale na tym jego umiejętności się kończyły.

- Tak jak myśleliśmy - powiedział Banks.

- Właśnie. - Annie zrobiła pauzę. - Rozmawialiśmy z żoną Keane'a, ale okazała się mało przydatna, delikatnie mówiąc. Wzięliśmy pod lupę jego firmę. Sprytnie ją zorganizował, bardzo sprytnie - ciągnęła Annie. - Wybierał mniej znanych artystów. Osiemnastowiecznych pejzażystów angielskich. Holenderskich minimalistów. Pomniejszych impresjonistów. McMahon produkował falsyfikaty w olbrzymich ilościach. Szkice. Małe akwarele. Nic wielkiego, żeby nie zwracać na siebie większej uwagi. Dziesięć tysięcy funtów tutaj, pięćdziesiąt tysięcy tam, innym razem dwadzieścia, a jeszcze innym pięć. Razem daje to całkiem niezłą sumkę.

- Chryste! - jęknął Banks. - Przecież Keane mówił nam o tym wszystkim. Powiedział nam wszystko, czego potrzebowaliśmy. On się nami bawił, a my nie umieliśmy słuchać.

Annie się nie odezwała.

- Coś więcej od Whitakera?

- Rozmawiałam z nim ponownie. Przyznał, że dostarczał papier i płótna za niewielką działkę, najprawdopodobniej z doli McMahona. Nie ma pojęcia o rzeczywistej skali oszustwa. Nie znał Keane'a, ale wiedział, jak McMahon wykorzystuje towar kupiony w jego antykwariacie. Potwierdził też to, co pisał Gardiner, że McMahon był zgorzkniały i ciągle się odgrażał, że on im jeszcze pokaże.

- Stawiamy zarzuty Whitakerowi?

- Jakże? Że jest dupkiem?

Banks zdobył się na słaby uśmiech, Annie widziała jednak, że sprawia mu to ból.

- Wiesz coś o Marku Siddonsie? Widziałas go może?

- Nie - odpowiedziała Annie. - Chyba nie mamy z nim żadnych niezłatwionych spraw?

- Nie mamy - zgodził się Banks. - Byłem tylko ciekawy, to

wszystko. - Raz jeszcze spojrzął za okno i Annie zauważyła, że szuka wzrokiem rusztowania wokół kościelnej wieży.

Annie ponownie stuknęła w okładkę notesu.

- To naprawdę dziwne - powiedziała. - Gardiner widział w Keane bohatera, wręcz się do niego modlił, a oszukańczy proceder nadawał sens jego życiu. Kiedy więc się skończył... - Rzuciła notes na łóżko. - Zresztą sam przeczytasz.

- Keane sprawił, że Gardiner poczuł się wyjątkowy? - zgadywał Banks.

- Tak. Keane pozwolił mi poczuć się kimś specjalnym. - Annie pochyliła się do przodu. - Posłuchaj, Alan...

Banks dotknął jej dłoni.

- Później... - powiedział.

Potem otworzyły się drzwi i do sali wsunęła się głowa Michelle Hart.

- Nie przeszkadzam?

Banks spojrzął na nią.

- No proszę - powiedział. - Taki widok to lekarstwo dla zmęczonych oczu.

Annie zostawiła ich samych.

## 18 stycznia

Niedługo po mnie przyjdzie. Dziś, jutro, lada dzień. Czuję, jak jego ciemny umysł ku mnie zmierza. Nieważne. Jestem już zmęczony. Jak chory na raka pacjent, który żyje dłużej, niż zapowiadali lekarze, nieszczęsny ojciec, który przeżył swoje dzieci, albo skazaniec, któremu odroczone wykonanie wyroku śmierci. Ale już czas. On niebawem się zjawi.

W chwilach słabości i głupoty marzy mi się, że wyjeżdżamy razem, znów zaczynamy od zera, podejmujemy nowe przedsięwzięcie. Ale w chłodnej, ciemnej rzeczywistości mojej przyczepy wiem, że on woli podróżować bez bagażu, a ja stałem się bezużyteczny. Nie sądzę, żeby zabijał z przyjemnością. Bynajmniej. Naturalnie nie zawraca sobie głowy sumieniem, a na dnie jego duszy panuje mroźny chłód, ale nie sądzę, żeby zabijanie sprawiało mu przyjemność. Moje morderstwo będzie beznamienne, dokonane z premedytacją. Będzie nieuniknionym końcem.

Ironia tkwi oczywiście w tym, że nigdy bym go nie zdradził. Nie jestem takim idiotą jak Tommy, którego chciwość i próżność wszystko zniszczyły. Dlaczego musiał to zepsuć? Ostatnie miesiące były wielką przygodą, jakby prosto z epoki romantycznej, pełne koleżeństwa, z dreszczem emocji, ale Tommy nie potrafił zapanować nad swoim rozdętym ego. Owszem, nie zarobiliśmy dość dużo pieniędzy, ale mógłbym z tym żyć, gdyby on nadal odwiedzał mnie w mojej przyczepie i prowadzilibyśmy te długie dyskusje przy akompaniamencie deszczu stukającego o mój lichej dach.

Słyszę, jak wchodzi po chwiejnych schodkach. Teraz puka do drzwi. Kiedy je otworzę, będzie stał z uśmiechem na twarzy i butelką w rękę. Szybko, muszę już kończyć. Kolejny drink, kolejna tabletką,

*Pastoralna* Beethovena. Powróciliśmy do punktu wyjścia.

# Podziękowania

Podziękowania zechce przyjąć przede wszystkim pan Terry Calpin, specjalista od badania przyczyn pożarów w Pontefract oraz funkcjonariusze białej zmiany tamtejszej jednostki straży pożarnej: jej dowódca Peter Lavine, dowódca zastępu Barry Collinson oraz strażacy - Gary Dixon, Andy Rees, Richard Beaumont, Dave Newsome i Arran Huskins. Dziękuję wam za poświęcony mi czas, a Garry'emu dodatkowo za zorganizowanie wszystkiego.

Za fachowe wskazówki pragnę też podziękować inspektor Claire Stevens z policji w Thames Valley i komendantowi Philipowi Gormleyowi z Policji Stołecznej. Jak zwykle wyłącznie na mnie spoczywa odpowiedzialność za wszelkie nieścisłości i przeinaczenia, jakie pojawiły się w tej powieści.

Wśród tych, którzy zechcieli przeczytać rękopis i zgłosić swoje uwagi, znaleźli się Dominick Abel, Dinah Forbes, Trish Grader, Sheila Halladay, Maria Rejt i Sarah Turner - dziękuję. Wasza pomoc okazuje się bezcenna, ilekroć szczegóły przesłaniają mi istotę rzeczy.